

Clare Naylor, Mimi Hare

# Druga asystentka

Z angielskiego przełożyła  
*Joanna Grabarek*



Świat Książki

## Podziękowania

Chcemy podziękować kilku bliskim osobom, które pomogły nam stworzyć tę opowieść:

Blonde, naszej „szarej eminencji” - jesteś geniuszką, wierną przyjaciółką i najbardziej szaloną, najwspaniałszą dziewczyną na świecie.

Barneyowi Cordellowi, z wyrazami miłości - za ekspertyzę w pokerze i innych rzeczach, które tak doskonale potrafisz robić.

Emmie Parry, która w magiczny sposób potrafi być jednocześnie Rumpolem z Bailey, Donem Kingiem i troskliwą mateczką. To cudowne, że cię spotkałyśmy.

Molly Stern, za wizję, entuzjizm i nieocenioną pomoc.

Jonowi Levinowi, jednemu z niezwykłych ludzi - oddanemu agentowi i cudownemu człowiekowi.

Kaminie Mohammadi, za zachętę i śmianie się zawsze w odpowiednich momentach.

Meg Davidson, za stół kuchenny, niezawodną gościnność i rozmowy.

Marcie Hartley, za to, że z radością witała nas w swoim życiu za każdym razem, gdy pojawiałyśmy się w Los Angeles.

Jasonowi Blumowi, naszemu ulubionemu producentowi i wspianiałemu przyjacielowi, którego nikt nigdy nie zobaczy martwego w swetrze z wełny jaka. Dziękujemy za całą tę cudowną zachodnią miłość.

Lloydowi Levinowi - choć tego nie wiesz, wiele pomysłów wykorzystanych w tej książce narodziło się

w jaskini Twego domu. Obiecujemy, że sprawimy ci nowe „Popowe Suczki”.

Richardowi Charkinowi, za koktajle. Mamy nadzieję, że papiery adopcyjne są już w drodze.

Simonowi Amiesowi, za wspieranie i zachętę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę - nawet gdy nie miałeś na to ochoty.

Wszystkim naszym przyjaciołom, którzy ze stoickim spokojem znosili ataki paniki i krytykę, i którzy zawsze byli na miejscu, gdy potrzebowałyśmy margarity.

## Prolog

Kiedy zamkniesz oczy, usłyszysz stukot szkarłatnych pantofelków aktorki Christian Louboutin, która prze-myka lekko po marmurowych podłogach atrium, podpisawszy przed chwilą kontrakt swojego życia. Gdy otworzysz oczy, zobaczysz, jak przez ogromne okna wpada do środka światło tak jasne, że natychmiast sięgniesz do torebki po okulary przeciwsłoneczne od Guccio - a potem szybko schowasz je z powrotem, ponieważ zdasz sobie sprawę, że jest to model tegoroczny, a nie z nadchodzącego sezonu. Chyba że jesteś asystentką Cameron Diaz. Ona zapewne rzuciłaby ci darmową parę, przedzierając się przez stertę upominków przysyłanych jej niemal przez wszystkich przedstawicieli handlowych na świecie w nadziei, że będą potem mogli napomknąć o używaniu przez nią ich kremu do twarzy lub koszmarnych dżinsów.

Gdy twoje oczy przyzwyczajają się już do blasku, zrozumiesz, że stoisz w świętych progach Agencji, prawdopodobnie najważniejszego miejsca w Hollywood. Na ścianie przed sobą ujrzysz obrazy Jasona Pollocka większe niż twoje mieszkanie. Usiądziesz na tej samej skórzaney kanapie, na której przycupnął niegdyś nerwowo były goniec Tom Cruise, w czasach, gdy *Top Gun* był tylko jego odległym marzeniem. Jeżeli zaś zdecydujesz się zostać, jeżeli zgodzisz się przyjąć posadę drugiej asystentki najmodniejszego młodego agenta Hollywoodu, twoje życie zmieni się bezpowrotnie.

Tak przynajmniej było w moim przypadku.

W wyłożonej lustrami windzie zastała woń perfum Must de Cartier nieudolnie maskuje wszechpotężny zapach wielkich pieniędzy. Śmiem twierdzić, że poza astronomicznymi gażami negocjowanymi przez Agencję, duża część jej wartości lokuje się w butach. Nie myślę tu wyłącznie o pantofelkach aktorek, ale też o obecnych w całym budynku butach od Manola, które wystają spod biurek, podczas spotkań nerwowo huśtają się na koniuszkach pielęgnowanych trzy razy w tygodniu stóp, a nawet, o zgrozo, zdzierają noski o podłogę, gdy właścicielka ozdabianych przez nie cudownych, gładkich kłęzcących nóg w imię kariery obciąga swojemu szefowi dokładnie tak, jak on to lubi. Robiąc ukłon w stronę równości seksualnej, powinnam dodać, iż niszczone w ten sposób buty mogłyby należeć do szefowej, która praktykuje fellatio na swoim młodym, przystojnym asystencie - chociaż z mojego doświadczenia, takim cudeńkom Manola pisany jest zwykle zgoła inny los.

Są także buty męskie. Jeżeli nie pochodzicie z Mediolanu lub z Hollywood, nie przyjdzie wam nigdy do głowy, że mężczyźni też potrafiliby oddać życie za Pradę. W tym mieście to normalne. Za Gucciego również. Tu tejsi faceci ślinią się zwłaszcza do wszystkiego, co pochodzi z Europy i jest ręcznie robione. Jeżeli kiedykolwiek będziecie na kolacji z mężczyzną z Hollywood i zabraknie wam tematu do rozmowy, sugeruję zacząć od jego butów. Zawsze będzie z nimi związana jakaś historia. Poza tym oszczędzi to wam konwersacji na tematy intymne, co mogłoby na trzy sposoby obrzydzić wam *foie gras* - specjalność restauracji Spago - której cudownego smaku nic nie powinno zniszczyć.

Parking przed Agencją to kolejne miejsce, gdzie można znaleźć niecodzienne, piękne przedmioty - oczywiście, jeśli ktoś zaryzykuje zaccadzenie oraz towarzystwo parkingowych. Ci ostatni są, moim zdaniem, najbardziej onieśmielającymi ludźmi w całym mieście. Być może wynika to z tego, że jestem właścicielką ciemnozielonej

hondy civic, jednakże moim największym pragnieniem, oprócz pokoju na świecie i zdobycia sekretnego numeru telefonu do rezerwacji stolików w Ivy, jest aprobata ze strony pewnego parkingowego w Penisuli. Kiedy przyjechałam tam na mój pierwszy w życiu lunch biznesowy, spojrzął na mnie jak na wyjątkowe paskudztwo, na które właśnie nadepnął gołą stopą. Dzień, w którym pojawię się tam w takim samochodzie, że na jego widok ów człowiek podrzuci w rękę kluczyki i z uśmiechem usadowi się za kółkiem, aby go odstawić na parking, będzie dniem, w którym przejdę na emeryturę. Zrozumcie, proszę - nie jestem płytka jak kałuża. Po prostu, będąc w Rzymie, nie chcielibyście chyba poczuć się jak gruby turysta, który właśnie ubrudził sobie lodami koszulkę Chicago Bulls.

Zostawię jednak ten problem dla mojego terapeuty. Wróćmy do parkingu Agencji.

Jest to miejsce schowane pod ziemią tak głęboko, że graniczy chyba z niższymi kręgami piekieł. Znajdują się na nim najwspanialsze auta, jakie kiedykolwiek jeździły po ziemi. Wszystkie w kolorze czarnym. W Hollywood czarny zawsze lśni nowością. Nawet prawdziwe cudeńka, jak bmw seria 7 rzadko pojawiają się w innym kolorze. Nie jestem, niestety, znawcą samochodów, nie mogę więc wymienić wszystkich tych seksownych marek, które z pewnością zmiękczyłyby serce każdego mężczyzny. Mogę wam jednak powiedzieć, że parking mieni się od symboli skaczących koni, czarno-żółtych herbów i srebrnych pacyfek. Widuje się tam również kołpaki tak precudne, że niemal każdy mężczyzna pracujący w budynku sprzedałby za nie swoją własną matkę - i to po cenie zniżkowej. Chociaż właściwie wszyscy agenci filmowi robią to na co dzień. Taka to już robota.

Jeśli chodzi o sekrety, to mury Agencji słyszały historie, które każdego dziennikarza uczyniłyby bogatszym niż Rupert Murdoch. Słuchawki telefonów pękają od „wiadomości z pierwszej ręki” o tym, kto co robi (i komu), kto co bierze oraz czyje kolekcje nosi (albo i nie).

Dyskretni pracownicy Agencji zabierają te sekrety do grobu. Chyba że po drodze na cmentarz pojawi się możliwość ich intratnej publikacji, chociaż zazwyczaj oznacza to rezygnację z obcowania w letnim ośrodku wypoczynkowym Hamptons ze Spielbergami i innymi ludźmi jego pokroju. Tak więc dyskrecja wciąż jest tu na porządku dziennym.

Witajcie zatem w najlepszej agencji filmowej Hollywoodu. Jej klientami są wszyscy ci, których nigdy się nie spotyka, chociaż zawsze wiadomo, z kim sypiają. Witajcie w branży, w której wszystko działa na wariackich papierach. Witajcie w mieście, gdzie jedynymi rodzimymi gatunkami fauny i flory są kaktusy i kojoty, cokolwiek zaś kwitnie w tych okolicach, jest z definicji wybrykiem natury. Innymi słowy, witajcie w moim świecie.

*Żeby założyć przytułek dla wariatów, potrzebny jest tylko  
pusty pokój i odpowiedni rodzaj ludzi.*

Eugene Pallette jako Alexander Bullock (*Mój pan mąż*)

- Masz za zadanie oddzielić białe pinezki od kolorowych. Upewnij się, że kolorowe zostały wyrzucone. Muszą opuścić ten budynek. Jeśli tego nie dopilnujesz, ty sama stąd wylecisz. Nasz prezes, Daniel Rosen, toleruje w Agencji wyłącznie białe pinezki. Poza tym, gdyby kiedykolwiek przyszło ci zaserwować mu coś do picia, w jego dietetycznej coli muszą znaleźć się cztery kostki lodu. Jeżeli będzie ich więcej, rzuci w ciebie nadprogramową kostką, jeśli włożysz mniej, wyleje na ciebie całą zawartość szklanki.

Było to pierwsze moje zlecenie w Hollywood. Wiem, że to nie jest normalne. Wówczas też byłem tego świadoma. Każdy jednak, kto doświadczył toksycznego związku powie wam, iż przypomina on proces erozji. Nie jest tak, że facet na pierwszej randce od razu wali cię po głębie. O nie - to bardziej subtelny, podkopujący twoją stabilność proces prania mózgu. Zaczyna się od drobiazgów, które ignorujesz, bo przecież wydają się zbyt błahe, żeby robić z nich sprawę. I oto w pewnym momencie niepostrzeżenie zaczynasz wierzyć, że białe jest czarne, dobre jest złe. Twój cały świat wywraca się do góry nogami, tyłek jest nad głową, a wariaci przejmują kontrolę nad szpitalem psychiatrycznym.



Mój toksyczny związek z Hollywood zaczął się nie od pocałunku, ale od pinezki.

Są tu również inne nienormalne zjawiska, ale od kiedy zaczęłam swój romans z miastem filmu, kompletnie nie zwracam na nie uwagi. Należą do nich:

1. Mężczyźni, którzy pomiędzy zabiegami trwałego farbowania rzęs malują je tuszem.
2. Napis w łazience przy moim biurze: „Palenie i wymiotowanie wzbronione”.
3. Woda Kabała po 126 dolarów za butelkę.
4. Mężczyźni, którzy na pierwszą randkę zabierają cię do strzelnicy w Beverly Hills.
5. Kobiety, które łykają środki antykoncepcyjne, nawet gdy nie mają faceta.
6. Centrum rehabilitacji „Promises” w Malibu, oferujące swoim pacjentom hipoterapię, albowiem „konie nie mają własnych planów, nie są egoistyczne i reagują na kontakt, a nie na tytuły, status czy sławę” (Mówię poważnie. Do weryfikacji na: [www.promisesmalibu.com](http://www.promisesmalibu.com)).
7. Mężczyźni proszący, abyś nie pozywała ich do sądu za to, że cię pocałowali.
8. Aktorzy. Obojga płci.

- W porządku. To nie powinno trwać długo. - Uśmiechnęłam się i usiadłam przy swoim biurku.

Bardzo chciałam zrobić dobre wrażenie wydajnym sortowaniem pinezek. To był mój pierwszy dzień w Agencji - pierwszy dzień na stanowisku drugiej asystentki Scotta Wagnera, jednego z najlepszych agentów w Hollywood. I nawet jeżeli kariera w tym mieście nie była moją życiową ambicją, zamierzałam włożyć w tę pracę całą duszę i serce. Zostanę tu może parę lat, zobaczę, jak kilka moich ulubionych powieści dostaje nagrody, obejrzę parę oscarowych filmów, a potem wrócę na Wschodnie Wybrzeże z odpowiednim mężem i opalenizną.

Urodziłam się i - pomijając okazjonalne wakacje w Europie i na Florydzie - wychowałam w Rockville

w stanie Maryland, na przedmieściach Waszyngtonu. Od kiedy pamiętam, zawsze pragnęłam zrobić w życiu coś wartościowego. W wieku lat czterech chciałam zostać astronautą, ale po katastrofie *Challenger* zaczęłam myśleć o bardziej przyziemnej karierze lekarza. Zostałam ekspertem z plastikowym stetoskopem, a każdy członek mojej rodziny otrzymywał ratującą życie szczepionkę z napoju *Cool-Aid*. Geny jednak miały co do mnie swoje własne plany. Ponieważ moi rodzice zawsze byli zaangażowani w prace rządowe, a w każde Święta Dziękczynienia serwowali zupki bezdomnym, koniec końców podążyłam ostatnią, wyłożoną żółtymi cegłami ścieżką oporu wprost ku karierze politycznej.

Zdobyłam dyplom *summa cum laude* z ekonomii i nauk politycznych na uniwersytecie w Georgetown. Następnie, po niezliczonych przesłuchaniach i rozmowach wstępnych, zaoferowano mi pracę u kongresmana Edmunda.

Kochałam politykę. Uwielbiałam być częścią jego drużyny. Z radością zostawałam w biurze po północy, fotokopiując ulotki. Pompowałam hel do balonów, podawałam kawę. Z zacięciem czytałam wszystkie gazety, od „*Washington Post*” do „*Nation*” i wyczekiwałam dnia, gdy będę mogła zająć się projektem ustawy o utylizacji odpadów publicznych, albo gdy poproszą mnie o przygotowanie petycji w imieniu uchodźców. Nie miałam czasu na błahe związki i nigdy nie rozjaśniałam sobie włosów.

Kiedy kampania kongresmana Edmunda legła w gruzach z powodu wątpliwych sposobów zdobywania przezeń funduszy, znalazłam się nagle na lodzie. Nie chciałam zostać stażystką, a chyba raczej zjadłabym własną matkę, niż zaakceptowałabym proponowaną mi posadę u republikańskiego senatora oskarżonego o morderstwo. Konieczność spłacenia studenckich długów nie pozostawiała jednak zbyt wielu możliwości. Wtedy właśnie odkryłam w kieszeni kurtki zniszczoną wizytówkę Daniela Rosena. Wcisnął mi ją kilka tygodni wcześniej,

na imprezie związanej ze zbiórką pieniędzy. Gdybym wiedziała, że ten były Młody Gniewny, jeden z kontrowersyjnych superagentów Hollywoodu, obecnie zaś prezes Agencji, jest uznawany w Los Angeles za Mesjasza, zachowałabym się inaczej. Wówczas jednak nie miałam o tym zielonego pojęcia. Wiedziałam jedynie, że ów mężczyzna złożył mi ofertę pracy, ja zaś byłam dostatecznie zdesperowana, aby ją przyjąć.

Daniel Rosen stał przy tacce z szaszłykami z kurczaka po tajsku i w zamyśleniu gładził swój krawat od Hermesa, próbując przekonać mnie, że moje uzdolnienia polityczne bardzo się przydadzą w przemyśle rozrywkowym. Powiedział, że Hollywood zawsze potrzebuje świeżych, inteligentnych umysłów. I chociaż nie obiecał mi, że za rok będę samodzielnie prowadziła studio filmowe, to jednak wspomniał, że wkrótce będę może wpływać na morale i myśli całej planety. Oznajmił, że władza polityczna jest niczym w porównaniu z potęgą Hollywoodu. Koniec końców, ilu demokratów potrafi zebrać w jednym miejscu więcej ludzi niż nowy film z Vinem Dieslem, co? Ilu przywódców świata może przez jeden weekend zarobić 104 miliony dolarów? Uśmiechnęłam się uprzejmie i właśnie zamierałam ucisnąć mu rękę i uprzejmie odmówić, gdy nagle Daniel wyśledził Kevina Spaceya przy półmisku z gotowanym łososiem. Nie miałam więc szans się z nim pożegnać.

Był to chyba jedyny szczęśliwy przypadek w ciągu całego miesiąca. Gdy wreszcie zadzwoniłam do jego biura, sekretarka zapisała mnie na rozmowę z szefem działu zatrudnienia. Przygotowując się do spotkania, odwiedziłam Blockbustera i wypożyczyłam wszystkie filmy, jakie podobno należało obejrzeć - począwszy od *Taksówkarza* i *Ojca chrzestnego*, kończąc na *Mrówce Z*. Potem zużyłam cały kredyt z karty bankowej i poleciałam do Los Angeles. Dostałam pracę, chociaż facet przeprowadzający rozmowę kwalifikacyjną nie zapytał mnie ani razu o filmy, chciał natomiast wiedzieć, jak

szybko piszę na maszynie i czy w mojej rodzinie ktoś kiedyś chorował psychicznie.

Po powrocie do Rockville spakowałam walizki i przeczytałam nieautoryzowaną biografię Stevena Spielberga. Zignorowałam chichoty ojca, gdy wręczał mi ogromny pojemnik gazu pieprzowego, ze słowami, że kiedy Bóg stworzył Amerykę, wszyscy wariaci wylądowali w Los Angeles.

Teraz, pierwszego dnia pracy, ssąc pokaleczone palce, otrzymałam następane polecenie:

- Kiedy skończysz już z pinezkami, przejrzymy razem listę telefonów.

- Doskonale - zaprezentowałam mój odświeżony miętą uśmiech Zupełnie Nowej Osoby. Nie wiedziałam jeszcze, że przez następne pół roku mojego życia ta niewinnie wyglądająca lista nazwisk z numerami telefonów stanie się dla mnie większą zagadką niż teorie Antonio Gramsciego o hegemonii i przysporzy mi więcej bezsennych nocy niż widmo konfliktu atomowego.

Osobą wprowadzającą mnie w ten obcy, niebezpieczny świat była Lara Brooks. Miała czerwoną poszarpaną fryzurę, czarne spodnium, na twarzy zaś wieczny grymas kojarzący się z zakonnicą, której właśnie kazano zrobić komuś loda. Jako pierwsza asystentka Scotta, była moją bezpośrednią przełożoną.

Właśnie miała mnie wprowadzić w zawłóści listy telefonów, gdy w szklanych drzwiach jednego z gabinetów pojawiła się gotycko chuda kobieta z prostymi jak druty włosami.

- Gdzie jest Scott? - warknęła.

- W Szwajcarii. Wymienia krew z Keithem Richardsem, bo jego jest czystsza - odparła Lara z kamienną twarzą.

- Pytam poważnie. - Nieznajoma wyraźnie nie była w nastroju do żartów. Ani trochę.

- Na zebraniu marketingowym w Dreamworks.

- Dupek. - Kobieta zniknęła za drzwiami i w pomieszczeniu zapanowała cisza.

- Powiedz mi, jaki właściwie jest Scott? - spytałam. Przesłuchiwał mnie ktoś z działu zatrudnienia, więc jeszcze do tej pory nie spotkałam swojego szefa. Wyobrażałam sobie, że jest dość uprzejmy, dyskretnie inteligentny i ładnie się wystawia - ale z fantazją. Nie byłam na tyle naiwna, aby wyobrazić sobie, że jakikolwiek agent w przemyśle rozrywkowym może być wcieleniem łagodności. Ale przyznaję, że oszołomiła mnie wiwisekcyjna analiza charakteru Scotta w wydaniu Lary.

- Scott jest niewykształconym, nieradzącym sobie bez pomocy, wciągającym kokę, łykającym X\* i kodeinę ćpunem. Ma platynowe członkostwo we wszystkich klubach ze striptizem w LA, a ubiera się jak pracownik stacji benzynowej. Moim zadaniem jest pilnowanie, żeby był wypłacalny i nie lądował zbyt często na odwyku.

- Rozumiem.

- Twoim zaś zadaniem jest pomaganie mi w wypełnianiu moich powinności. Po to właśnie poszłaś na studia, nieprawdaż?

- Eeee... - zająknęłam się, niepewna, co właściwie powinnam odpowiedzieć.

- Zakładam, że największą ambicją w twoim życiu było niańczenie faceta, który w każdym innym mieście, poza LA, pytałby cię: „Czy chciałaby pani większą porcję milkshake'a?”. Nie mam racji?

Dostrzegłam sarkastyczny błysk w jej zielonych oczach i parsknęłam śmiechem. Lara nie była suką, po prostu nienawidziła wszystkiego i wszystkich w Hollywood. Bez wyjątku. Przynajmniej jednak miała poczucie humoru. Czarne, naturalnie.

- Nie przejmuj się. - Spojrzała mi prosto w oczy. - Terapia jest wliczona w twój pakiet zdrowotny.

Okazało się, że nie muszę czekać tak długo, jak myślałam, na spotkanie z moim nowym pracodawcą. Kilka sekund później drzwi do biura otworzyły się z trza-

\* Ecstasy (przyp. tłum.).

skiem i do środka wkroczył przeciętnie zbudowany mężczyzna w bojówkach i swetrze khaki, które doskonale nadawałyby się dla nastoletnich deskorolkowców. przybyły podszedł prosto do biurka, przy którym pracowaliśmy z Larą.

- Lara?!

Jego głos odbił się od ścian pomieszczenia. Czarne, postawione w szpic włosy nadawały mu młody wygląd, ale zmarszczki wokół nieco przekrwionych oczu wskazywały na to, że brutalna ocena Lary nie odbiegała zbyt daleko od prawdy. Był solidnie wyimpreszowanym trzydziestoczterolatkiem.

- Scott? - odpowiedziała bez cienia uległości czy strachu.

Gdyby ktoś wykrzyknął moje imię w ten sposób, padłabym pewnie na kolana. Lara wyglądała na znudzoną.

- Co dzisiaj mamy - wypowiedziane raczej jako polecenie, nie pytanie.

- Wiadomości. - Lara wyciągnęła przed siebie wiotkie ramię i Scott chwycił listę telefonów.

- Tak jest.

Zaczął ją przeglądać, idąc w kierunku ciężkich, klonowych drzwi prowadzących do jego biura. Tak przynajmniej zakładałam, bo nie było na nich żadnej tabliczki, wyłącznie naklejka Lakersów.

- A to jest Elizabeth, twoja nowa druga asystentka - powiedziała Lara.

- Jasne.

Chyba w ogóle mnie nie zauważył. Nadal przerzucał kartki z listą petentów, gdy nagle zatrzymał się dramatycznie.

- Ashton dzwonił? - spytał.

- Jest w plenerze, na Hawajach.

- Połącz mnie z nim.

Zignorował to, że wstałam z krzesła, oczekując formalnego przedstawienia, gotowa dygnąć w razie potrzeby. Do diabła, w razie konieczności mogłam nawet oddać krew!

- Spróbuję. - Lara wzruszyła ramionami bez krzty optymizmu. - Ach, jeszcze jedno, Scott! - Spojrzał na nią z wyczekiwaniem, a Lara uczyniła gest w moim kierunku. - To jest Elizabeth.

- Och. Tak, tak, oczywiście!

Nagle w jego mózgu zapłonęło światełko zrozumienia i utkwiał we mnie intensywne spojrzenie. Uśmiechnęłam się uprzejmie i wyciągnęłam rękę, którą uściskał z entuzjazmem.

- Elizabeth. Bardzo miło. Cię poznać.

- Pana też, panie Wagner. Pana też... Jeśli będzie mnie pan potrzebował, będę w pobliżu...

- Powiedz mi, skąd jesteś, Elizabeth - zapytał.

Już zaczęłam sobie wyobrażać cudowną przyszłość. Będę się pławić w ciepłe szacunku i podziwu ze strony szefa. Że nie wspomnę o możliwości protekcji jednego z najsłynniejszych agentów w mieście. Był przystojny, młody i naprawdę fajny. Moja praca będzie dobrą zabawą: koktajle, premiery, gwiazdy filmowe... czyż Ashton nie był tym Ashtonem?

- Z Rockville, w Maryland. To właściwie przedmieścia Waszyngtonu. Pracowałam przez rok dla senatora Edmunda, dopóki jego kampania...

- No, no! Robiłaś w polityce?

- Tak.

- Niesamowite. Musi być z ciebie sprytna *chiquita*.

- Cóż, nie jestem pewna, ale na pewno będę się starała i...

Nagle jednak światełko zainteresowania w mózgu Scotta zgasło. Spojrzał w dół, na jakieś trzy tysięczne sekundy, ale to wystarczyło, żeby stracił wątek.

- Dzwoniła Reese? - zawył w kierunku listy telefonów, a ja stałam się niczym więcej niż dalekim wspomnieniem jego wczesnych dni dzieciństwa. - Dlaczego do cholery nie powiedziałaś mi tego od razu? Jezu Chryste, Lara! Dzwoniła Reese, a ty mi nic nie mówisz?

- Kazałaś mi wstrzymać wszystkie rozmowy.

- To była Reese, do kurwy nędzy!

- Kazałeś mówić każdemu, że jesteś w windzie.

- Chryste, Lara - wmaszerował do swojego gabinetu i opadł na fotel za biurkiem. - Połącz mnie z nią natychmiast.

I to już wszystko. Prawdopodobnie była to najdłuższa rozmowa, jaką udało mi się kiedykolwiek przeprowadzić ze Scottem. Kolejną wyróżniającą cechą mieszkańców Hollywood jest to, że potrafią skupić na czymś uwagę nie dłużej niż na czas trwania bardzo szybkiej, błyskotliwej zajawki filmowej, czyli około dwóch i pół minuty. I to wyłącznie wtedy, gdy zwiastuje wysokobudżetowy film. Pokaż im coś poniżej miliona i stracisz ich zainteresowanie na „dzień dobry”.



## 2

*Nie chciałbym cię skosztować. Jesteś ciastkiem pełnym arszeniku.*

Burt Lancaster jako J. J. Hunsecker (*Stodki zapach sukcesu*)

Moje piętro w Agencji przypominało kurzą fermę. Stało tam około dwudziestu schludnych biur, każde z nich posiadało:

- Około dwudziestoletnią, odzianą w przepisową czerń asystentkę o twarzy, która zapewne rozpadłaby się przy próbie uśmiechu (choć oczywiście nikt nie przetestował tej teorii).
- Cudownego, białego, przesłodzonego, tryfidopodobnego IMACa, z wygaszaczem ekranu obowiązkowo przedstawiającym obcojęzyczną maksymę życiową, np. „Plus est en vous” albo „Carpe diem”. Większość asystentów skończyła szkołę filmową w Nowym Jorku lub zdobyło dyplom ze znajomości literatury na jednym z uniwersytetów zaliczanych do Ivy League\* i była to ich jedyna możliwość do zaprezentowania swojego wartego ciężkie setki tysięcy dolarów wykształcenia.
- Puskę jakiegoś dietetycznego napoju.
- Oprawiony w ramki plakat jakiegoś genialnego filmu, zrobionego przynajmniej pięćdziesiąt lat temu,

\* Liga skupiająca najbardziej prestiżowe uniwersytety amerykańskie, jak Harvard, Princeton czy Columbia (przyp. tłum.).

zazwyczaj z Jackiem Lemmonem lub Audrey Hepburn w roli głównej.

- Opakowanie Advilu lub, na poważniejsze okazje, srebrne pudełeczko na leki od Tiffany'ego, zawierające relanium.

Wszystkie powyższe szczegóły były dokładnie ukryte za podniebnymi stertami scenariuszy w błyszczących czarnych okładkach ze złotym nagłówkiem Agencja. Zajmowały one całą wolną powierzchnię biurka, każdy wolny skrawek podłogi, a często również i ręce umęczonego, przygarbionego nastoletniego stażysty, który pędził do pokoju z kserokopiarkami. Na grzbiecie każdego skryptu wypisany był rozklekotaną czcionką tytuł. Nikt nigdy nie słyszał o tych projektach. Po pewnym czasie dowiedziałam się, że nikt nigdy się o nich nie dowie, chyba że Julia Roberts zakocha się w jednym ze scenariuszy.

Było piątkowe popołudnie mojego pierwszego dnia pracy i właśnie przed chwilą połączyłam prezesa Universal Studios z recepcją, zamiast ze Scottem. Dzięki Bogu, Scott w ogóle tego nie zauważył, oglądał bowiem w swoim biurze zwiastun najnowszego filmu jednej z jego klientek i śmiał się przy tym na całe gardło.

- Hej, dziewczyny, chodźcie tutaj. Musicie to zobaczyć - zawołał.

Drzwi do jego gabinetu były otwarte. Zdjęliśmy z Lary zestawy słuchawkowe, weszliśmy do środka i przysiadaliśmy na oparciu skórzanej sofy.

- Czy to nie jest genialne? - Scott włączył pilotem odtwarzanie i radośnie zakręcił się dookoła na fotelu. Lara i ja zaczęliśmy oglądać zwiastun.

Nie był genialny, powiedziałabym raczej, że beznaoczny. Występowała w nim jednak jedna z najważniejszych klientek Scotta, która właśnie odbyła dietę stulecia. Właściwie to na ciekłokrystalicznym ekranie zajmującym całą ścianę jego gabinetu wyglądała naprawdę nieźle, chociaż gdy parę dni temu pojawiła się

w naszym biurze, ciągnąc za sobą stylistkę i pół tuzina toreb od Barneysa, pod swetrem miała tylko skórę i kości, a jej twarz pokryta była malutkimi białymi włoskami, które wyrastają zagłodzonym ludziom.

- Wstąpiła w szeregi anorektyków. - Lara wyrzuciła oczami.

- Wygląda jak prawdziwa gwiazda rocka - westchnęła zazdrośnie Talitha, również asystentka.

Scott przewinął taśmę i zatrzymał ją na scenie, w której aktorka robiła pompki w bluzeczce bez rękawów.

- Świetne, no nie? - zachwycił się znowu.

Nie zwrócił jednak uwagi, gdy odparłam:

- Jasne, wygląda nieźle. Na pewno będzie miała dobre notowania w box office\*. To kasowa aktorka.

Czytywałam teraz tzw. „branżówki”, czyli magazyny filmowe, jak „Variety” i „Hollywood Reporter”, które ładują co rano na biurku każdego mieszkańca tego miasta. Przedstawiają szczegółowo wszystko, co dotyczy Hollywood; od fotografii gwiazd filmowych z premier, do sum zarobionych przez filmy w lokalnym box office. W związku z tym opanowałam mowę filmową niemal tak szybko, jak sztukę ubierania się na czarno.

- Popatrzcie na jej kształty. - Scott klepnął się po udach. - Lara, połącz mnie z nią.

Podreptałam za Larą w kierunku naszych biur. Właśnie miałam usiąść, gdy zadzwonił telefon.

- Czy rozmawiam z Elizabeth? - zapytał kobiecy głos.

- Tak, słucham.

- Mówi Victoria.

- Victoria? - Kim do diabła była Victoria? Czyżby to kolejna Angelina lub Urna, która nie musiała podawać nazwiska, a o której istnieniu nie dowiedziałam się jeszcze z magazynów filmowych?

- Obserwuję cię, Elizabeth. - O, to super! Mój pierwszy prześladowca. Swoją drogą, jakie to typowe, że okazał się kobietą.

\* Listy przebojów filmowych (przyp. tłum.).

- Naprawdę? - zapytałam.
- Chciałabym, żebyś przysłała do mojego biura.
- Dobrze, ale...
- Najlepiej teraz - i odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę siedziałam przy biurku i rozglądałam się wokoło w poszukiwaniu podpowiedzi. Wszystkie inne asystentki pochyliły nisko głowy, niczym w modlitwie, Lara zaś słuchała Scotta, który zapewniał przez telefon zasuszoną aktorkę, jak kurewsko cudownie zapowiada się jej nowy film. Kolejną rzeczą, do której musiałam się wciąż jeszcze przyzwyczaić w mojej pracy, było podsłuchiwanie rozmów telefonicznych. Kłóciło się to z moimi moralnymi instynktami i zazwyczaj byłam tak zażenowana tą czynnością, że zapomniałam robić notatki dotyczące tytułów scenariuszy, nazwisk aktorów, nazw restauracji, godzin spotkań i tym podobnych, po to, by Scott mógł spokojnie czytać „Hustlera” i dłubać w nosie, wiedząc, że nie musi o niczym pamiętać.

Lara słuchała, gryząc końcówkę ołówka i uśmiechając się do siebie. Scott rozmawiał z klientką, trzymając nogi na biurku i oglądając MTV. Nigdzie jednak nie mogłam dostrzec Victorii. Pochyliłam się w kierunku Talithy, która siedziała przy sąsiednim biurku.

- Hej, Talitha, czy powinnam wiedzieć, kim jest Victoria?

- Victoria?

- Tak. Właśnie do mnie zadzwoniła i kazała mi przyjść do swojego biura, tylko że ja nie mam bladego pojęcia, gdzie się ono znajduje.

- Można się tego było spodziewać.

- Można? - Zastanawiałam się, czego niby można się było spodziewać: telefonu Victorii czy mojej ignorancji.

- Biuro Victorii jest tam - wskazała na drzwi po drugiej stronie korytarza, zza których mojego pierwszego dnia pracy wynurzyła się kobieta z prostymi jak drut włosami.

- Ach, to ona... - Wstałam i wygładziłam dłońmi zmarszczki na spodniach. - Świetnie, dzięki.

- Za chwilę nie będziesz mi dziękować, to pewne - odparta złowieszczo Talitha.

- Elizabeth, usiądź. - Victoria uśmiechnęła się wąskimi wargami, odsłaniając rząd małych, równych zębów. Miała na sobie kostium od Saint Laurenta, ale równie dobrze mógł pochodzić z Talbotsa, tak był pognieciony i poroziągany.

- Dziękuję. - Usiadłam na samiutkim brzeżku fotela i rozejrzałam się ukradkowo po gabinecie. Nieliczne meble wydawały się nieprzyjemne, za sprawą porozwieszanych na ścianach żaloznych aktów.

- Lucien Freud. Uwielbiam go - poinformowała mnie ich właścicielka, nalewając sobie soku śliwkowego do szklanki. - Chcesz trochę?

- Nie, dziękuję - strach wciąż był dla mnie najlepszym środkiem przeczyszczającym. - Są bardzo... imponujące. Pani obrazy.

- Nie lubię niczego zbyt kolorowego, z wyjątkiem moich małych przyjaciółek. - Wtedy właśnie mój wzrok padł na szklaną gablotę wypełnioną lalkami Barbie. Była tam Barbie na Wakacjach Letnich, Barbie z Gali Zimowej, Barbie Olimpijska...

- Ooooch. Kolekcjonuje pani Barbie. - Wyszczrzyłam zęby w czymś, co trudno było uznać za uśmiech.

- Trzymają mnie przy zdrowych zmysłach - poinformowała mnie Victoria, kompletnie nieświadoma ironii zawartej w swoim komentarzu. - Powiedz mi, jak ci się podoba twoja nowa praca?

- Och, jest fantastyczna - odparłam z entuzjazmem.

- Rozumiem. Zatem chcesz do końca życia odbierać telefony i serwować kawę, tak?

- No nie. To znaczy, zamierzam się tutaj nauczyć wszystkiego, co mi pomoże w czekającej mnie niedługo, zapewne fascynującej karierze - rzuciłam szybko pierwszą lepszą brednię, jaka przyszła mi do głowy.

- Och, a więc uważasz, że jesteś dla nas za dobra, tak? Że przy najbliższej okazji przerwiesz się na coś znacznie bardziej doniosłego? - rzuciła gniewnie.

Najwyraźniej cierpiała na rozszczepienie osobowości. Albo po prostu była zwykłą wariatką.

- Ja... cóż... chciałabym...

- Chcesz się czegoś nauczyć czy nie? - warknęła.

- Oczywiście, że tak. - Do tego nie mogła się przecież przyczepić, prawda?

- Twój ulubiony film?

- *Słodkie życie* - skłamałam. Nie mogłam jej przecież powiedzieć, że tak naprawdę moim faworytem jest *Poznaj swojego tatę*.

- Szczyt ambicji?

- Doprowadzić do ekranizacji *Zbrodni i kary*.

- Ulubiony aktor?

- John Malkovich. - Znowu nieprawda. W rzeczywistości był to Jude Law.

Victoria przerwała na chwilę, spojrzała na moje buty i pociągnęła nieco soku śliwkowego.

- Zamierzam wziąć cię pod swoje skrzydła i nauczyć tego, na czym się znam. Siedzę w tej branży od wielu lat. Możesz się ode mnie wiele dowiedzieć.

- Bardzo dziękuję, Victorio. Jestem zaszczycona.

- Doskonale. A teraz najlepiej będzie, jeśli wrócisz na swoje stanowisko. Załatwię tę sprawę ze Scottem. Jestem przekonana, że wszystko dobrze się ułoży. Dla ciebie to wspaniała okazja. Prosta droga do sukcesu. - Złożyła dłonie, co odebrałam jako znak do odejścia.

- Och, a tak przy okazji, w poniedziałek w Sotheby jest aukcja Barbie z Lat Siedemdziesiątych. Chciałabym, żebyś się tam udała i zlicytowała dla mnie kilka sztuk. O dziesiątej trzydzieści mam spotkanie z Nic, inaczej poszłabym sama.

- Jasne. Z przyjemnością.

- Doskonale. Później przyniosę ci katalog. Aha, mam też rzeczy do odebrania z pralni chemicznej dziś po południu. Tutaj masz kwitek. Hollyway Cleaners, zaraz za Santa Monica. Jeśli pojedziesz tam w porze lunchu, nie powinno ci to zająć więcej niż dwadzieścia minut. - Wręczyła mi niebieską karteczkę.

- Jasne, oczywiście, nie ma sprawy. Jeszcze raz dziękuję, Victorio.

Wycofałam się z przerażonym uśmiechem na twarzy. Gdy zamknęłam za sobą drzwi, zobaczyłam wpatrzone we mnie wszystkie dwadzieścia asystentek, które pospiesznie spuściły wzrok, koncentrując się na listach telefonów. Jediną osobą, która wciąż na mnie spoglądała, była Lara. Przywołała mnie do siebie gestem.

- Czy Victoria zaproponowała ci protekcję? - spytała, marszcząc brwi.

- Tak. Wydaje się... cóż, wydaje się miła. Dosyć.

- Elizabeth, co robisz po pracy?

- Nic. To znaczy miałam obejrzyć kilka mieszkań. Nie znalazłam jeszcze niczego dla siebie i wciąż siedzę w Valley u ciotki, ale...

- Musimy porozmawiać. Zabiorę cię na koktajl i wyjaśnię ci parę rzeczy, zgoda?

- Zgoda - mruknęłam, czując dziwne świdrowanie w żołądku. - Dzięki.

Nigdy nie lubiłam słów: „Musimy porozmawiać”.

Mój pierwszy hollywoodzki koktajl wypiałam w barze Polo Lounge w hotelu Beverly Hills. Relaksująca tapeta w palmy, przyciszone głosy klientów i dyskretne brzęczenie pianina uspokoiły moje skołatane nerwy. Miałam przerąbane popołudnie, ponieważ pranie Victorii nie zostało ukończone, Scott zaś zostawił poprzedniej nocy swój sprzęt w łazience w Standardzie i kazał mi go stamtąd zabrać. Sam zajął się odstawianiem ataku głodu narkotykowego na kanapie w swoim biurze. Lara wmuszała w niego mocną kawę, ja zaś pognałam do baru i tam, w męskiej toalecie, na kolanach, zaczęłam grzebać wśród porzucanych na podłodze opakowań od prezerwatyw, szukając pozostałości po bilardowym szaleństwie Scotta. Jego „sprzęt” leżał za zakurzoną, pokrytą Bóg jeden wie czym rurą, która wiodła do urynału. Bardzo ekscytujące, doprawdy.

Sączyłam mój koktajl. Lara odchyliła się na krześle i przeczesła palcami ogniście czerwone, lśniące włosy. Po pracy zamiast niesamowicie dopasowanego spodnium włożyła dzinsy „siódemki”. Z długopisem w dłoni wyglądała super, ekscytująco, jak top modelka. Naprawdę była śliczna, w związku z tym w pobliżu naszego stolika krążyło przynajmniej trzech mężczyzn, popatrując na nią łakomie, niczym na sperkę. Jeden z nich był całkiem niczego, wyglądał trochę jak dwudziesto-sześcioletni Johnny Depp. Lara jednak nie była świadoma wrażenia, jakie zrobiła.

- To naprawdę popieprzone miasto - zaczęła. - Ja zawsze mówię tak: „Kto by potrzebował kochanków w Hollywood, skoro przyjaciele przelecą cię na jedno skinienie ręką”?

- Nie może być aż tak źle, prawda? - uśmiechnęłam się, myśląc, że żartuje.

- Nie. Jest znacznie gorzej. Lubię cię, Elizabeth. Uważam, że jesteś mądrą dziewczyną i prawdopodobnie dobrym człowiekiem.

Zbyłam jej komentarz wzruszeniem ramion.

- Dlatego właśnie powinnaś dowiedzieć się paru rzeczy.

- W takim razie wal. - Pociągnęłam spory łyk mojego drinka, ukrywając fakt, iż nie byłam do końca pewna, czy chcę usłyszeć to, co miała do powiedzenia.

Lara chrupnęła kostkami w dłoniach i zaczęła:

- Problem Hollywood polega na tym, że to bardzo zamknięte miejsce i nikogo nic i nikt tutaj nie obchodzi. Nawet gdyby na horyzoncie kłębiły się czarne chmury Apokalipsy, tubylcy uznaliby po prostu, że to smog. Niech ci nie przyjdzie do głowy, że ktoś tutaj przejmuje się globalnym ociepleniem klimatu, głodem na świecie, naruszaniem praw człowieka czy zadłużeniem Trzeciego Świata. - Sprawnie wyłowiła wykałaczką marynowaną cebulkę ze swojego koktajlu.

- Nie oczekiwałam tego od nich - odparłam. - W końcu to przemysł rozrywkowy, prawda? Powinien zabawić ludzi.



- A tak, jasne. Powierzchność nie jest tutaj warunkiem, lecz wymogiem.

- Naprawdę tak nienawidzisz tego miejsca? - spytałam wstrząśnięta goryczą w jej głosie.

- Naprawdę.

- W takim razie dlaczego tu zostałam? To znaczy, myślę, że mogłabyś robić tysiąc innych rzeczy.

- Chcę zostać pisarką, a to świetne miejsce na wyrobienie sobie kontaktów i nabycie wszystkich niezbędnych umiejętności. Tylko nie mów tego nikomu w Agencji, dobrze?

- Jasne.

- Zatem Victoria chce być twoją mentorką?

- Tak twierdzi. Czy robi to ze wszystkimi nowymi pracownikami? - próbowałam zbagatelizować fakt, iż zostałam potraktowana lepiej niż inni.

- Nie, ale jej propozycja to pocałunek śmierci.

- Rozumiem - zamówiłam kolejnego drinka. - Kim ona właściwie jest? Tak ogólnie?

- Agentką. Trzymają ją, ponieważ kilku jej oddanych klientów to prawdziwe grube ryby.

- Zatem jest wpływową.

- Poniekąd. Nie rozdaje jednak kart ani nie jest współnikiem. Scott natomiast jest. Ma ogromną władzę.

- Rozumiem.

- Nie przejmuj się za bardzo Victorią. To po prostu bardzo psychotyczna kobieta, która już zbyt długo pracuje w tym mieście i niewystarczająco często sypia z facetami. - Lara wpatrzyła się we mnie. - Zajmę się tą sprawą. Ze mną nie będzie zaczynać.

- To bardzo miło z twojej strony - kiwnęłam głową z wdzięcznością. Jeśli wszystko będzie się tutaj działo w takim tempie, będę szczęśliwa, gdy dotrąm do pierwszej wypłaty.

- Są jednak inne sprawy, co do których powinnaś przyjąć moją radę, Elizabeth. - Lara była śmiertelnie poważna. - Jeżeli mnie nie posłuchasz, równie dobrze

możesz już dziś wyjechać z miasta. Nie przeskakuj pól i nie zbieraj dwustu dolarów\*.

- W porządku - kiwnęłam głową.

- Nie żartuję - ostrzegła.

- Słucham cię - upewniłam ją.

- Czytaj branżówki i nigdy nie umawiaj się z nikim, kto robi w rozrywce.

- I to wszystko? - spytałam, myśląc, że jeśli tak, byłam kandydatką na drugą Sherry Lansing. Przynieście mi mój pierwszy kostium od Jil Sander!

- Tak, ale to, wbrew pozorom, wcale nie jest proste. Dla tego są pewne zasady, których należy przestrzegać, przynajmniej jeśli chodzi o randki. - Założyła nogę na nogę, oparła łokcie o stół i zaprezentowała mi „Pryncypia Seksu i Randkowania w Hollywood autorstwa Lary Brooks”:

- Nigdy nie sypiaj ze swoim szefem, chyba że masz dobrego prawnika specjalizującego się w sprawach o napastowanie seksualne.
- Jeżeli zamierzasz załatwić swój awans przez łóżko, pamiętaj, że brzydki mężczyźni są najbardziej bezwzględni.
- Bądź przygotowana do opowiedzenia w szczegółach o swoich seksualnych podbojach maksymalnej liczbie osób natychmiast po randce. Pamiętaj, że jego wersja będzie znacznie gorsza.
- Nigdy nie udzielaj swojemu kochankowi wskazówek dotyczących notowań giełdowych, scenariuszy lub pomysłów na film. Bezwzględnie to wykorzysta.
- Kluby AA, AN i AS są świetnym miejscem do spotkania gwiazd filmowych, producentów i reżyserów. Szczególnie wtedy, gdy trudno ich znaleźć.
- Jeśli masz potrzeby seksualne, zrób to z chłopakiem od czyszczenia basenu lub technikiem (na planie filmowym). Zaoszczędzisz sobie wielu łez i smutku.

\* Aluzja do gry w „Monopol” (przyp. tłum.).

Czekałyśmy, aż parkingowy przyprowadzi nasze samochody. Lara wcisnęła mi do ręki wizytówkę i powiedziała, żebym zadzwoniła do jej znajomego, Charliego, który wynajmował kawalerki w Venice.

- Muszę lecieć na obiad - powiedziała, kiedy podprowadzono nasze wozy.

- Z kimś ekscytującym? - spytałam, myśląc o tym, jak wspaniałe randki mogą przydarzać się w tym mieście komuś tak cudownemu i fajnemu jak Lara. Nawet poza branżą filmową, gdy wykluczy się już producentów, aktorów, szefów wytwórni, reżyserów, itp., muszą być tu gdzieś jacyś przystojni i odpowiedni faceci.

- O, jasne. Pewnie - przewróciła ironicznie oczami. - Pieprzona randka dziesięciolecia.

- Skąd wiesz, może nie będzie tak źle. Do zobaczenia w poniedziałek.

- Na razie - pomachała mi i odjechała.

Spojrzałam na właściciela następnego wozu, małego facecika, który z wysiłkiem wspinał się do swojego olbrzymiego suva. Samochody w LA były nieproporcjonalnie wielkie i nieodmiennie symbolizowały władzę, ego, rozmiar penisa bądź numer kodu pocztowego. Nie mogłam tylko rozpracować, które z powyższych. Wiedziałam jedno: gdybym była żoną tego gościa, kupiłabym mu pod choinkę raki i linę wspinaczkową, żeby ułatwić mu wchodzenie do wozu.

Wsiadłam do własnego samochodu i pojechałam za Larą do końca drogi wyjazdowej z hotelu. Zastanawiałam się, czy kiedyś, kiedy zostanę pierwszą asystentką, będzie mnie stać na prowadzenie lśniącego nowością range rovera, takiego jak jej.

### 3

#### *Trudno mnie namówić. Musiałbyś poprosić.*

Lauren Bacall jako Marie Browning (*Mieć i nie mieć*)

Mieszkanko w Venice, które wynajmował przyjaciel Larry, Charlie, okazało się dla mnie idealne. Był to wprawdzie tylko jeden pokój, z kuchnią gdzieś po lewej i drzwiami do łazienki po prawej, ale jeśli wychyliło się głowę przez okno i przekręciło w bok, można było zobaczyć ocean. Były tam również hiszpańskie drewniane podłogi, o jakich marzyłam od chwili, gdy dostałam tę pracę. Przede wszystkim zaś było mnie stać na wynajem, nawet z moimi żałosnymi zarobkami. Pod warunkiem, że będę jadać w restauracjach tylko raz na dwa tygodnie i sama robić sobie manikiur.

Podeksytowana, natychmiast przeniosłam się tam z walizkami, pudłami na buty i dwiema parami szpilek, które kupiłam w Valley.

Budynek zamieszkiwało milion młodych osób - asystentów, przyszłych aktorów, scenarzystów. Moją sąsiadką była nauczycielka ashtangi.

- Skoncentruj się na miękkim obszarze pomiędzy odbytem a twoimi organami seksualnymi - słyszałam, jak mówi komuś w swoim mieszkaniu. Nasze mieszkania miały wspólne ujście przewodów wentylacyjnych.

- To trudniejsze, niż myślisz - odpowiedział jakiś męski głos.

- W końcu załapiesz - upewniła go.

Gdy już odpakowałam większość rzeczy, poczułam, że umieram z głodu. Chwyciłam torebkę, powieść Dostojewskiego, którą kiedyś planowałam przenieść na wielki ekran i wybrałam się na poszukiwanie pożywienia. Uznałam, że stać mnie na bułkę i miskę makaronu w jakiejś taniej restauracji przy plaży. Wędrowałam pod palmami, mijając boiska do koszykówki, twardzieli z Venice trenujących, jakby zależało od tego ich życie i chyba setkę ładniutkich jeżdżących na rolkach dziewczyn, które spokojnie mogłyby wziąć udział w castingu do reklamy tam-paxów. Właśnie miałam zdjąć sandały i ruszyć pieszo po piasku, gdy zobaczyłam gwiazdy. Dosłownie. Zrozumcie, nie chodzi mi o gwiazdy Hollywoodu. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było Brada i Jen. Nie - zobaczyłam gwiazdy po tym, jak niespodziewanie zarobiłam w głowę. Upadłam, a gdy odzyskałam przytomność, ujrzałam nad sobą mężczyznę z najbardziej niebieskimi oczami i najprzystojniejszą twarzą, jaką widziałam w życiu, poza reklamami Calvina Kleina, królującymi nad Bulwarem Zachodzącego Słońca. Nieznajomy wpatrywał się we mnie bardzo, bardzo zaniepokojonym wzrokiem. Usłyszałam, jak mówi:

- W porządku, chłopaki. Odzyskuje przytomność.

- Dzięki niebiosom - odpowiedział ktoś poza zasięgiem mojego wzroku. - W takim razie wracam do gry. Tylko upewnij się, że nas nie pozwie. Będzie kijowo, jeśli zabronią nam tutaj grać.

- Hej, jesteś z nami? Słyszysz mnie? - spytał przystojniak.

Zdałam sobie sprawę, że moja głowa spoczywa na jego kolanach.

- Ja... jestem pewna... że wszystko w porządku. - Po kilku sekundach zorientowałam się również, że leżę na brudnym, obsikany przez psy chodniku, zaczęłam się więc gramolić na nogi.

- Kochanie, myślę, że powinnaś poleżeć jeszcze kilka chwil.

Może i byłam nieco oszołomiona, ale widziałam dobrze, że ocenia wzrokiem moje ciało, a zwłaszcza odsło-

nięte w pełnej krasie nogi. Niemrawo spróbowałam naciągnąć spódniczkę na kolana.

- Tak przy okazji, mam na imię Jake. Grałem tu z moimi koleśkami w hokeja i krążek uderzył cię w głowę.

- Jestem Lizzie.

- Cóż, Lizzie, pomogę ci wstać i odprowadzę cię do mieszkania, a na miejscu sprawdzimy, czy wszystko z tobą w porządku - uśmiechnął się.

- Jasne. - Moją skroń przeszywał okropny ból. Dotknęłam jej dłonią, żeby sprawdzić, czy nie krwawię.

- Nie masz rany, tylko zaczerwienienie - upewnił mnie Jake. - No dobrze, pomogę ci wstać. Trzy cztery.

Chwycił moje ramię i postawił mnie na nogi. Udało mi się uczynić dwa chwiejne kroki. Gdy mijaliśmy boisko do hokeja, grająca tam grupka studenciaków wyglądających jak oprychy zawyła radośnie.

- To moi kumple - oświadczył z dumą Jake.

Skoncentrowałam się na stawianiu jednej stopy za drugą. Jake otaczał mnie ramieniem, prowadząc niczym staruszkę. Myślę, że zamierzał pójść ze mną do mojego mieszkania, zostawić mnie pod opieką jakiejś mojej troskliwej przyjaciółki i powrócić z czystym sumieniem do gry w hokeja. Niestety. Kiedy zobaczył, że nie mam nawet sofy, nie wspominając o przyjaciółce, był zmuszony zmienić zdanie.

- O nie, tu nie możesz zostać - powiedział, oglądając pusty, maciupeński pokój. - Jezu, zupełnie jak u Raszkolnikowa! - zaśmiał się.

- Czytałeś *Zbrodnię i karę*? - Spojrzałam na niego z zaskoczeniem. Chciałam zamachać mu moją książką przed nosem, ale uświadomiłam sobie, że zostawiłam ją na obskanym chodniku.

- Jasne. Wydaje ci się, że wszyscy Kalifornijczycy to głupki? - Roześmiał się jeszcze głośniej.

- Nie mam pojęcia, jestem tu nowa.

- Nigdy bym nie zgadł. - Rozejrzał się po mieszkaniu w poszukiwaniu śladu życia lub nadziei. Nie znalazłszy niczego, wyciągnął z kieszeni kluczyki do samochodu. -

Dlatego pojedziesz ze mną. Och, a tak przy okazji, jestem jedynym łebskim facetem w tym mieście. - Roześmiał się, zatrzasnął za nami drzwi do kawalerki.

Dwie minuty później mój zdrowy rozsądek był tylko odległym wspomnieniem. Porsche Jake'a płynęło w dal autostradą numer jeden, wzdłuż wybrzeża. Wiatr rozwiewał tę część moich włosów, które nie były przyklepione do głowy neosporinem pożyczonym wcześniej od nauczycielki ashtangi. Przy okazji wyszło na jaw, że miała na imię Alexa i jej zdolności do wyłuskiwania z tłumu samotnych mężczyzn w potrzebie były tak doskonałe, jak jej mały, jędrny tyłeczek. W tej chwili jednak nie obchodziła mnie ani Alexa, ani inne sprawy. Jake mógł spokojnie zaplanować sobie, że mnie rozbierze i namówi do zagrania w filmie porno. Właściwie to dzisiaj pozwoliłabym mu ze mną zrobić, cokolwiek by chciał, ponieważ był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego spotkałam w całym swoim życiu. Wyglądał jak gwiazdor, tyle że wysoki.

- A tak przy okazji, dokąd jedziemy? - wrzasnęłam, próbując przekrzyczeć ogłuszające dudnienie w piosence *Still* Doktora Dre.

- Do mnie. Pomyślałem sobie, że powinniśmy wziąć cię na obserwację. - Nie przestawał przyglądać się moim nogom, zupełnie jakby im też oberwało się krążkiem do hokeja i w związku z tym szukał na nich siniaków.

- Nie chciałabym sprawiać kłopotu - wymamrotałam. Oczywiście, całkowicie nieszczerze.

W ten oto sposób udało mi się spędzić jedno z najprzyjemniejszych popołudni w moim życiu. Jake zabrał mnie do swojego domu w Malibu, zbudowanego na plaży. Dosłownie - z werandy zeskakiwało się prosto na piasek. No i wziął mnie pod obserwację. Piliśmy razem coca-colę i oglądaliśmy wyścigi samochodów World Series. Potem poszliśmy na spacer po plaży. Jake zamówił jedzenie na wynos z Nobu. Co jakiś czas dotykał mojej skroni, żeby się upewnić, iż z rany nie wycieka mózg. Dyskutowaliśmy o wszystkim, poczynawszy od książek, skończywszy na polityce, chociaż, jak się później zorientowałam, nie roz-

mawialiśmy o naszej pracy. Myślę, że ponieważ był tak przystojny i miał przepiękny dom, założyłam po prostu, iż jest znanym aktorem, o którym jeszcze nie słyszałam. Było to całkiem prawdopodobne, ponieważ rzadko chodziłam do kina. Dlatego w obawie, że wyjdzie na jaw moja ignorancja, nie zapytałam Jake'a o jego profesję.

Gdy wreszcie nastał wieczór i powietrze na werandzie zwilgotniało, my zaś osuszyliśmy kieliszki z czerwonego wina, zapytał mnie:

- I co, ślicznotko? Chyba nie umrzesz, prawda?

- Nie wygląda na to. Masz pecha, oznacza to bowiem, że musisz mnie odwiedzić do domu. - Wzruszyłam ramionami, mając oczywiście na myśli: „Mógłbyś poprosić mnie, żebym została”. Jake jednak nie znał tego pozawerbalnego narzecza.

- Och, nie ma sprawy - powiedział. - O tej porze ruch na drogach jest całkiem w porządku.

Wstał i wyciągnął w moim kierunku rękę, oferując pomoc. Potem zaś pocałował mnie (dzięki Bogu, inaczej zmuszona byłabym pomyśleć, że jest gejem lub że jestem kompletnie nieatrakcyjna). Gdyby w tej iście filmowej scenerii (księżyc nad oceanem, trotanoy pomerol rocznik 75 buzujący w naszych żyłach, ja, z moją powypadkową bledością i on, z tymi dużymi dłońmi) nic się wtedy nie wydarzyło, wróciłabym do polityki i zapuściła włosy na nogach, przygotowując się do cnotliwego życia, pełnego platonicznych zauroczeń moją własną płcią. Na szczęście jednak ocean szumiał cicho, udało mi się nie przewrócić kieliszka z winem, pocałunek zaś był wspaniały, długi i tak niesamowity, że zapomniałam, jak się nazywam. Niech żyje Hollywood, pomyślałam. Nic mnie nie obchodziło, że byłam aktorką w sequelu *Truman Show*.

- Dzień dobry - wmaszerowałam do biura w poniedziałek.

- Hej - rzuciła Lara, pisząc e-mail. Była ubrana *le dernier cri* w trzecią z kolei nową sukienkę od Marca



Jacobsa. Zastanawiałam się, skąd bierze na to pieniądze? Sądząc po wyrazie twarzy pozostałych pracowników biura, zadawali sobie to samo pytanie. Kto by się jednak tym przejmował? Dzięki Winonie sklepowe kradzieże ubrań stały się tak popularne, jak samodzielne ich uszycie.

- Jak tam sprawa mieszkania? - spytała.

- Och, świetnie. Wzięłam je.

- Super. To dobry interes. - Spojrzała na mnie przelotnie.

- Zgadzam się, chociaż nie spędziłam tam zbyt dużo czasu w ostatni weekend.

- Och, naprawdę. - Lara wróciła do swego zajęcia. Czuję jednak, że muszę komuś opowiedzieć o moim wspaniałym dniu.

- Byłam w domu pewnego faceta, w Malibu - rzuciłam. To je wzięło. Nie Larę, ale całą resztę, Talithę i Courtney.

Do tej chwili żadna z nich nie była mną zainteresowana. Pierwszego dnia obejrzały mnie od stóp do głów, a potem zaczęły mnie ignorować.

Talitha miała brązowe duże oczy i długie, syrenie blond włosy. Jej jaskrawokolorowe, niesamowicie drogie hippisowskie ciuchy odsłaniały płaski brzuch. Talitha była wyjątkiem potwierdzającym hollywoodzką regułę ubierania się w czerń. Poza tym wykazywała zdumiewającą ignorancję w stosunku do wszystkiego, co działo się poza rogatkami Los Angeles. Z wyjątkiem sytuacji randkowych - wtedy stawała się chętna, rozmowna i w pełni gotowa na podróż poza granice miasta. Jej rodzice byli podobno znanymi hollywoodzkimi pisarzami, chociaż nikt by na to nie wpadł. Jediną ambicją Talithy było prowadzenie romantycznego życia, tak barwnego jak jej różowa sukienka od Schiaparelliego. Jej szefową była wiecznie nieobecna kobieta o imieniu Gigi. Zazwyczaj udawało mi się dostrzec jedynie jej plecy oraz małą walizeczkę znikającą w drzwiach wyjściowych. Gigi wiecznie wyjeżdżała na plenery filmowe

w Londynie, Zagrzebiu czy Sidney, z tą lub inną aktorką. Raz tylko widziałam jej twarz. Weszłam wtedy do gabinetu, aby odnaleźć kopię scenariusza, który poleciła mi przeczytać Victoria. W środku, na ścianie, nad zasuszoną roślinką wisiała oprawiona w ramki czarno-biała fotografia piętnaście na pięć centymetrów. Na niej zaś nieuchwytna Gigi, z włosom rozwianym za pomocą maszyny do robienia wiatru śmiała się do rozpuku, podczas gdy stojący obok niej przerażony labrador rozpaczliwie starał się wyglądać radośnie na potrzeby kamery i swojej histerycznej właścicielki. Podobno Gigi przyjmowała wyłącznie te klientki, które przypominały ją wyglądem (z ogromnymi ustami, za małym nosem i przesuszonymi blond lokami). A może to ona upodobniła się przez lata do swoich klientek? Nikt nie pamiętał, jak dokładnie rozpoczęło się klonowanie, ale mogłabym się założyć o wszystko, że potajemna obserwacja przyjęcia bożonarodzeniowego dla klientek Gigi dostarczyłoby każdemu niesamowitych, kosmicznych przeżyć. Posada jej asystentki doskonale nadawała się dla Talithy, ponieważ mogła całymi dniami siedzieć w internecie na stronie Friendstera, w poszukiwaniu wymarzonego dyrektora studia filmowego.

Courtney z kolei była przebiegła, oportunistyczna i najnormalniej w świecie nieładna. Od nieuleczalnie nieciekawego wyglądu zbawiało ją jedynie stadko piegów rozsianych na nosie. Dla Courtney plotka była walutą handlową. Podejrzewałam, że to nie przypadek, lecz ewolucja sprawiła, iż miała długie, ruchliwe uszy, wychylające się spod przylizanej, brązowej kurtyny włosów. Nie opuściła nigdy nawet najmniej istotnej afery biurowej i wiedziałam, że gdzieś trzyma obszerną dokumentację o wpadkach i wadach współpracowników. Zapewne nie zawahałaby się użyć owych informacji przeciwko nim czy to w sądzie, czy też w dyskusji przy dystrybutorze wody. Rzucalaby oszczerstwa, insynuowała i wywracała oczami, torując sobie w ten sposób drogę na sam szczyt wysokiego drzewa, na którym

następnie spędziłaby kolejne dwadzieścia lat, spoglądając z góry na ludzi, malując paznokcie i narzekając na stroje wszystkich wokół. Ilekroć Courtney pojawiała się na horyzoncie, starałam się być niewidzialna, aby uciec przed jej hiperkrytycznym wzrokiem.

Dziś jednak, na wspomnienie o weekendzie w Malibu, natychmiast zmieniły się w parę rozkosznych kociać, które ocierają się o ciebie, mruczając rozkosznie. Nagle przypomniał mi się wykład Lary o niebezpieczeństwach umawiania się z ludźmi z biznesu i zdałam sobie sprawę, że jeśli Jake okaże się aktorem, Lara może się na mnie wkurzyć. Nie było już odwrotu. Talitha i Courtney nie zamierzały mi odpuścić.

- Byłaś? - spytały.

- T a k .

- W którym domu?

- Och, jednego takiego.

- Naprawdę? Kto to był?

- Ma na imię Jake.

- Jake kto?

- Wiecie co? Chyba nie pamiętam.

- Nie pamiętasz?

- N i e .

- Jaki samochód prowadził?

- Jakiegoś małego porschaka.

- Od jakiej litery zaczynało się jego nazwisko? Zastanów się.

- Nie wiem. Nie przedstawił mi się.

- Weintraub? Thompson?

- Nie sądzę.

- Czy był przystojny?

- Bardzo.

- Przystojny jak kto? Aktorzyna czy raczej seksowny bogacz?

- Hmm... przystojny, ale inteligentny.

- Co robi?

- Cóż, nie jestem pewną, Ale był bardzo miły.

- Nie wiesz, czym się zajmuje?

- Nie pytałam.
- Jak wyglądał jego dom?
- Ładnie. Przytulnie.
- Był mały?
- Cóż, niezbyt duży, ale...
- Gdzie dokładnie?
- Wydaje mi się, że na Carbon Beach.
- Na Czarnej Plaży, czy tylko ci się marzy?
- Bardzo śmieszne.

Na nieszczęście przerwano nam naszą inspirującą pogawędkę. Jego Nieobecność *El Presidente*, Daniel Rosen wybrał ten właśnie moment, aby pojawić się w drzwiach wejściowych. Właściwie nie przybył zupełnie niezapowiedziany. Kilka minut wcześniej pojawił się Aaron, młody asystent z drugiej strony korytarza.

- Daniel tu idzie - oznajmił scenicznym szeptem.

W tym momencie w biurze zapadła cisza, nogi zniknęły z biurek, a pogardliwe wyrazy twarzy zastąpiły istic Stepfordowskie uśmiechy. Kilka sekund później w korytarzu pojawił się Daniel. Jak na niskiego, łysiejącego człowieczka wyglądał bardzo imponująco.

- Chcę wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny - wystartował agresywnie.

Kurza ferma asystentek spojrzała na niego z niepohamowanym strachem wypisanym na twarzach. Nawet Victoria wyszła z gabinetu, mrużąc oczy w jaskrawym świetle.

- Cóż... czekam.

- Daniel, czy masz jakiś problem? - spytała niepewnie Victoria.

- W piątek po południu jakaś idiotka przełączyła Todda Lyonsa do recepcji.

- Nie zrobiła tego?!

- Owszem, Victorio, zrobiła. A teraz chcę się dowiedzieć, kto to był.

- Czy wszystko z nim w porządku? - Victoria poszarżała na twarzy bardziej niż zazwyczaj. - To znaczy, czy w recepcji przełączyli go z powrotem do ciebie?

- Musiał odłożyć słuchawkę. Jego asystent zadzwonił do mnie dziś rano i powiedział mi o wszystkim.

- O mój Boże! To okropne! - Victoria potrząsnęła głową ze smutkiem.

Niemal zwróciłam śniadanie.

Todd Lyons był prezesem Uniwersalu, ja zaś byłam odpowiedzialna za to, że zmuszono go do rozmowy z recepcjonistką. Przyznać się czy też nie przyznać? Daniel najwyraźniej nie pamiętał mnie z naszego krótkiego spotkania w Waszyngtonie. Zresztą, w ogóle nie patrzył w moim kierunku. Niemal zdecydowałam, że powinnam powiedzieć prawdę, na wypadek gdyby FBI mogło w jakiś sposób powiązać ze mną wpadkę z telefonem od Todda Lyonsa, ale w tym samym momencie otworzyły się drzwi do gabinetu Scotta i pojawił się w nich mój szef.

- Hej, Daniel - rzucił.

- Scottie, jak leci?

- W porządku, stary, w porządku. - Scott zapamiętałe wycierał nos. - Hej, słyszałeś o tym kontrakcie, który załatwiliśmy dla George'a w zeszłym tygodniu? Zajebista sprawa, człowieku!

- Tak, słyszałem.

Daniel podszedł do Scotta i po kilku rundach poklepywania się po plecach i wymierzania przyjacielskich kuksańców obaj zniknęli w gabinecie, zamykając za sobą drzwi. Moje policzki odzyskały naturalny kolor, a wszyscy odprężyli się z głośnym westchnieniem ulgi.

- Kretynie - Victoria splunęła i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

Pół godziny później z gabinetu wychynał Daniel w asyście Scotta.

- Lara? - zawołał Scott bez spoglądania w jej kierunku.

- Tak, słucham? - Wstała, zachowując nienaganne maniery z powodu obecności Daniela.

- Wyprawiamy przyjęcie.

- Wyprawiamy jak cholera! - potaknął Daniel.

- Doskonale. - Lara uśmiechnęła się uprzejmie.

- Chcę, żebyś zajęła się tym razem z... - Scott spojrział pusto i niecierpliwie pstryknął palcami. - No, jak on ma na imię?

- Ryan - odpowiedział Daniel.

- Dzięki. Chcę żebyś zajęła się tym razem z Ryanem.

- Oczywiście - odparła Lara przez zaciśnięte zęby.

- Pamiętaj, to nie będzie jakieś tam zwykłe przyjęcie, tylko bal tysiąclecia - wtrącił się Daniel. - Dwieście pięćdziesiąt największych gwiazd w całym mieście. Chcę ich wszystkich. I jedzenie, które będą pamiętać nawet w najbardziej zaawansowanym stadium alzheimera. Chcę, żeby kobiety dostały udaru mózgu, zastanawiając się, co mają włożyć. Mają o tym wydarzeniu napisać w „Variety”, ale nie w „People”. Ochrona uzbrojona. Chcę Nicole, ale nie Penelope. I najlepsze na całym pieprzonym świecie kubańskie cygara dla Jacka i jego koleżków. A dziewczyny wyłącznie te, które nadają się na okładkę „Vogue”.

- Albo „Sports Illustrated” - przerwał podniecony Scott.

- Właśnie. Mają mówić o tym przyjęciu długo po mojej śmierci.

- Zostaw to mnie - powiedziała sucho Lara.

- To urodziny George'a. Chcę mu wyprawić najwspanialsze przyjęcie w jego życiu. Wiesz co? Pokażmy, jak bardzo cenimy George'a jako naszego klienta. Zademonstrujmy całemu światu, jak bardzo go kochamy. - Daniel klepnął Scotta w plecy. - Zróbmy to w moim domu.

- Geniusz! Cholerny geniusz! - Scott zrewanżował się klepieniem, natomiast Lara śmiertelnie zbladła.

- Sam to często powtarzam - zgodził się Daniel i powędrował na czwarte piętro z wyrazem samozadowolenia na twarzy.

Zostałam ocalona, przynajmniej na jakiś czas. Nigdy już nie przełączę Todda Lyonsa do recepcji.

Nieco później przyłapałam Larę w toalecie, gdy opryskiwała sobie twarz zimną wodą. Jej usta były niemal granatowe.

- Czy masz pojęcie, co oznacza organizowanie przyjęcia w domu Daniela? - spytała, oddychając szybko. - Z wszystkimi jego Picassami, Warholami i bezcennymi Schnabelami? Nie wspominając o podłogach, na które deski sprowadzono z zabytkowej francuskiej stacji kolejowej. Ani o jego kolekcji bonsai, do których ludzie będą wylewać margarity. Ani o basenie, który zabrudzą, wymiotując do niego, lub, broń Panie Boże, pływając w nim. Czuję się tak, jakbym zgłosiła się na ochotnika na egzekucję przez wstrzyknięcie trucizny.

- Nie może być tak źle - wręczyłam jej papierowy ręcznik.

- Facet jest maniakiem kontroli. Stopień jego psychozy przeszedłby wyobrażenia nawet samego doktora Freuda. Kiedyś ktoś uprzyżył sobie kukurydzę trzy piętra poniżej jego gabinetu i został wyrzucony z pracy, ponieważ zapach zdenerwował Daniela. Nikt na jego piętrze nie ma prawa używać perfum i wszyscy stosują wyłącznie bezzapachowe proszki do prania. Naklejki na napojach w lodówce muszą być zawsze widoczne. Jego dziewczyna musi go pytać o to, co może włożyć na wyprawę do Whole Foods.

- Chryssste.

- Na dodatek, muszę zorganizować to przyjęcie z Ryanem, słuźalczym, oślizgłym dupkiem, asystentem Daniela. Przysięgam, Elizabeth, jego głowa jest tak głęboko wetknięta w tyłek Daniela, że facet nie musi przechodzić okresowych badań okrężnicy, jak pozostali faceci w jego wieku.

- To rzeczywiście okropne - powiedziałam współczująco.

- To jeszcze nic. Ryan i ja jesteśmy śmiertelnymi wrogami. Nienawidzimy się potwornie i wiem, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby powinęła mi się noga.

- Ale dlaczego?

- Kiedyś umówiłam się z nim na randkę. Nie chciałam iść z nim do łóżka, więc następnego dnia opowiedział wszystkim w biurze, że tak naprawdę jestem facetem po operacji zmiany płci.

- Niemożliwe! - roześmiałam się.

Poza idealnie piękną twarzą, Lara była również posiadaczką pary piersi, które ewidentnie nie zostały wprowadzone na miejsce przez nacięcie w skórze pod pachami.

- Ludzie mu uwierzyli, ponieważ chcieli. - Oczy Lary wyglądały teraz jak cienkie kreseczki. - Powiadam ci, Elizabeth, ktoś zginie podczas tego przyjęcia.

Wróciłam do mojego biurka, próbując współczuć Larze i wczuć się w jej sytuację, ale nie potrafiłam. Byłam zbyt podekscytowana perspektywą hollywoodzkiej imprezy. Wszystko się mogło zdarzyć. Jack mógł uczynić ze mnie swoją konkubinę, George mógł zaprosić mnie i kilka innych dziewczyn do sypialni albo mogłam zaprzyjaźnić się z Nicole.

- Jest dla ciebie wiadomość - powiedziała Talitha, gdy usiadłam. Courtney spoglądała na mnie ukradkowo.

- Dzięki - odlepiłam postit z ekranu i przeczytałam.

*Dzwonił Jake Hudson. 1-310-555-2121*

- Doskonale - uśmiechnęłam się do siebie w duszy. Włożyłam karteczkę do torebki, żeby zadzwonić do niego, gdy będę miała więcej prywatności.

- Nie zamierzasz oddzwonić? - spytała Courtney.

- Oczywiście że tak, po powrocie do domu.

- Dlaczego? - Spojrzały na mnie, jakbym postradała zmysły.

- Nie wiedziałam, że z biura można dzwonić w sprawach prywatnych.

- Prywatnych? - zachichotała Talitha.

- Jake to ten facet, z którym spędziłam weekend.

- Nie mów! - zawołała Courtney z niedowierzaniem. - J a k e Hudson?

- Tak. Facet z Malibu. Myślę, że tak się nazywa. Podałam mu numer telefonu do pracy i szczerze mówiąc, jestem tak samo zaskoczona jak ty. Nie sądziłam, że odezwie się przed czwartkiem.



- Umówiłaś się z Jakiem Hudsonem? - upewniła się Courtney.

- Tak - wzruszyłam ramionami. - Znacie go? W tym momencie obie dostały ataku śmiechu.

- Co takiego zrobiłaś? - Nagle znikąd pojawiła się Lara i stanęła przy moim biurku. Jej włosy wciąż były trochę wilgotne od obmywania twarzy, ale usta znów nabrały normalnego koloru.

- Spędziłam weekend z facetem o nazwisku Jake Hudson - odparłam, już nieco ciszej. Najwyraźniej był z tym jakiś problem. - Nie za bardzo rozumiem, dlaczego wszyscy są tak zdziwieni. Kim on jest? Powinnam go znać? - spytałam zdeorientowana.

- Jake Hudson? - Lara niemal wypluła to słowo prosto w moją twarz.

- Był bardzo miły - powiedziałam nieśmiało. Nie zamierzałam przeproszać. W końcu Jake był najprzystojniejszym facetem, z jakim kiedykolwiek się całowałam. Lara przyjrzała się całej scenie, grupie ubawionych asystentek i mnie, zadowolonej z siebie, w centrum uwagi. Wyróciła oczami.

- Jasne. Cóż, w takim razie, Elizabeth, od tej chwili działasz na własną rękę. Najwyraźniej nie wzięłaś sobie do serca ani słowa z tego, co ci powiedziałam w piątek. Nie widzę powodu, dla którego miałabym ci nadal pomagać. Powodzenia.

To mówiąc, pomaszerowała do gabinetu Scotta i zamknęła za sobą drzwi z trzaskiem, pozostawiając mnie zażenowaną i nadal nieświadomioną, kim był Jake Hudson.

- Och, a tak przy okazji - wystawiła głowę przez drzwi gabinetu. - Skoro jesteś w tak dobrych stosunkach z hollywoodzką śmietanką towarzyską, możesz sama zorganizować przyjęcie z Ryanem.

## 4

*Jesteś bardzo ekstrawagancki, skoro wyrzucasz kobiety takie jak ta.  
Kiedyś ich zabraknie.*

Claude Rains jako kapitan Louis Renault (*Casablanca*)

Okazało się, że Jake Hudson był szefem studia w Motion Pictures. I to nie byle jakiego studia, lecz jednego z ważniejszych, z najlepszym tegorocznym box office. Wyprodukował sześć filmów, które zajęły pierwsze miejsce na liście przebojów i dostały więcej nominacji do Oscarów, niż można było sobie wyobrazić. Jake Hudson umawiał się z każdą niezamężną (i zamężną) aktorką, która kiedykolwiek pojawiła się na łamach „GQ” i rzadko kiedy spotykał się z kobietami, których nogi miały mniej niż dziesięć metrów długości. Powinnaś czuć się zaszczycona, że pozwolił ucałować mi swoje usta - jedne z najbardziej pożądanych w Hollywood. Zamiast tego odczuwałam mdłości.

- Zobaczmy - powiedziała w zamyśleniu Talitha, wyciągając listę klientów Agencji. Był to tajny plik pastelowych kartek, na których widniały wszystkie interesantki firmy, w porządku alfabetycznym. Talitha zaczęła sunąć palcem po nazwiskach, zatrzymując się od czasu do czasu przy co większej gwiazdzie i wołając:

- Ach, tak! Z tą spał, zanim jeszcze wstrzyknęła sobie kolagen w usta. A z tą był zaręczony. A o tej z kolei twierdził, że są tylko przyjaciółmi, ale kiedy „Enquirer” napisał, że Jake widuje się z tamtą - Talitha postu-

kata palcem w nazwisko kolejnej niesamowicie znanej, cudownej i przy okazji zamężnej gwiazdy - przyszła tutaj następnego dnia i poryczała się na sofie Scotta, więc myślę, że zdecydowanie ze sobą sypiali. Och, a poza tym spał jeszcze z całym tuzinem modelek, chociaż zwykle łąpie się tylko za te, które mają duże kontrakty z firmami kosmetycznymi. - Odłożyła listę klientek do szuflady.

- Czy kiedykolwiek umawiał się z normalnymi kobietami? - spytałam, zastanawiając się, czy nie wprowadziłam Jake'a Hudsona w błąd. Byłam przekonana, że gdyby wiedział, kim jestem, a raczej precyzyjnie rzecz ujmując, kim nie jestem, nie dodałby mnie do rejestru swoich zdobyczy, który, jak się okazało, można było czytać niczym wydanie specjalne magazynu „InStyle”. Czyżbym niechcący zasugerowała, że moim dziadkiem był Walt Disney, a mój tata jest prezydentem Stanów Zjednoczonych? Czy pozwoliłam mu uznać, że w jakiś sposób, choć jeszcze nie osławiona, byłam już wystarczająco ważna w wielkim świecie „Vanity Fair”?

Talitha przygryzła usta i zmarszczyła nos w grymasie, o którym najwyraźniej usłyszała od kogoś, że jest słodki.

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek spotykał się z normalnymi dziewczynami. Nie - powiedziała wreszcie.

- Rozumiem - zdecydowałam, że najlepiej zakończyć rozmowę na ten temat.

Była już pora lunchu i wszystkie pozostałe asystentki zeszły na dół, do holu. Niewątpliwie zastanawiały się teraz na głos, jak mogłam dać się skusić takiemu napałonemu szczerowi albo, co bardziej prawdopodobne, jak on mógł się załapać na mnie. Kobiętę, której torebki nie pochodziły od Wielkiej Piątki: Jacobsa, Gucciego, Balenciagi, Diora czy Prady. Lara wyskoczyła do Saksa, Scott zaś był na lunchu.

Talitha, która od czasu mojej bomby z Jakem Hudsonem nie mogła się doczekać, aby opowiedzieć mi o nim wszystko, zjadła łyżeczkę sojowego deseru i zaczęła perorować:

- To były tylko te kobiety z którymi pojawia się publicznie. Zapewne istnieją całe tabuny takich, z którymi zabawia się wyłącznie w domu. No wiesz... striptizerki i... cóż, dziewczyny takie jak ty.

- Takie, które zgarnia z chodnika? - spytałam ponuro.

- Właśnie, złotko - uśmiechnęła się słodko.

- Dzięki, Talitha.

Zdecydowałam, że na razie nie będę oddzwaniała do Jake'a Hudsona. Podejrzywałam, że zadzwonił wyłącznie po to, aby się upewnić, że nadal żyję i nie wynajęłam prawnika, który pozwałby jego koleżków, w ten sposób uniemożliwiając im rozgrywki hokejowe w Venice. Cóż, będzie musiał poczekać na informację o moim zdecydowanie nieważnym życiu. W tej chwili miałam robotę. Po powrocie do biurka znalazłam e-mail od Ryana, zatytułowany „Zadania”:

Twoje zadania na przyjęcie dla George'a są następujące (proszę mnie zawiadomić po wykonaniu każdego z nich):

1. Ochrona. Minimum 25 osób. Strój czarny, nie granatowy. Garnitury, żadnych muszek. Ubrojeni, ale dyskretnie - nic powyżej KP512. Żadnych uzbrojonych kobiet. W ogóle żadnych ochroniarek. To denerwuje Daniela.
2. Przekąski. Postaraj się zdobyć sponsora. Wyślij faksem listę gości do Pipera-Heidsiecka i powiedz im, że przyjęcie będzie relacjonowane przez magazyn „People”.
3. Żadnej prasy.
4. Jedzenie. Sushi, ale tylko zgodnie z wytycznymi Atkinsa.
5. Muzyka. Nora, Robbie, Christina. Ktokolwiek zgodzi się wystąpić za darmo.
6. Kwiaty. Białe, bezwonne, niepyłące.
7. Tlen. Ma być pompowany do pokoi z gośćmi. I do ogrodu.

8. Klatki z ptakami. Jeśli zagrożone gatunki okażą się bardziej kolorowe, znajdź sposób, żeby je zdobyć.
9. Tancerki z klubu Szalone Dziewczyny w La Brea, ale tylko z małymi sutkami. Daniel nie toleruje dużych w swoim domu.
10. Zaproszenia mają być dostarczone do rąk własnych.

Nie bardzo wiedziałam, czym, w ramach pomocy w zorganizowaniu przyjęcia, właściwie będzie zajmował się Ryan, na mojej liście bowiem znalazły się właściwie wszystkie najtrudniejsze zadania. W dodatku powinnam dziś zrobić jeszcze kopie piętnastu manuskryptów. Nie obchodziło mnie to jednak. Odsunęłam na bok fakt, iż Lara uznała mnie za *persona non grata* i że cała Agencja śmieje się ze mnie z powodu mojej „randki” z cieszącym się złą sławą Jakiem Hudsonem. Postanowiłam zacząć od tancerek. Wyciągnęłam książkę telefoniczną i odnalazłam Szalone Dziewczyny w La Brea. Telefon odebrał jakiś mężczyzna.

- Dzień dobry. Zastanawiam się, czy mógłby mi pan pomóc. Chciałabym zamówić tancerki.

- Jasne. Na kiedy i ile?

- Cóż, w następną sobotę, dwudziestego siódmego. Co zaś do liczby, pan zna się na tym lepiej. Na przyjęciu będzie około pięciuset gości, pomyślałam więc, że może... no nie wiem, co pan sądzi o dwudziestu tancerkach? Albo dwudziestu czterech? Wypożycza pan na tuziny?

- To są kobiety, nie jajka.

- Oczywiście, przepraszam. - Nie było to takie proste, jak przypuszczałam.

- Czy w grę wchodzi również prywatne przedstawienia? - zapytał, z mlaskaniem przeżuując gumę do żucia.

- Nie mam pojęcia. Co wchodzi w zakres takiego przedstawienia?

- Czy chce pani, żeby rozebrały się do naga i wypole-  
rowały pupą czyjaś twarz?

- Nie sędzę. Nie. - Chociaż z drugiej strony, nigdy nie byłam na przyjęciu w Hollywood i nie mogłam być pewna, czy takie rzeczy się nie zdarzą. - Jeżeli jednak będą musiały to zrobić, oczywiście z radością dopłacimy za usługę.

- Jasne. Cóż, moim zdaniem potrzebuje pani pięćdziesięciu dziewcząt. Wystarczająco dużo, żeby je zauważyć, ale na tyle mało, żeby nie rzucały się w oczy. Rozumie pani.

- Doskonale - odparłam, wdzięczna za wskazówki. Przyszedł czas na dziwaczną prośbę. Nie byłam pewna, jak mam to sformułować, ale zaczęłam odważnie:

- Czy mógłby pan wybrać pięćdziesiąt dziewcząt z małymi brodawkami sutkowymi?

- Słucham? - Z wrażenia chyba połknął gumę do żucia. Zdaje się, że dokonałam niemożliwego i wprawiłam w osłupienie menedżera Szalonych Dziewczyn.

- Widzi pan, chodzi o to... cóż, mój szefjest wielkim fanem dziewcząt z małymi sutkami, dlatego byłabym wdzięczna, gdyby zdołał pan takie wybrać.

- Czy ma pani na myśli konkretną średnicę?

- Och nie, po prostu mają nie być duże. Wszystko, co nie oznacza duże, nada się doskonale.

- Pani sobie żartuje, prawda?

- Czy będzie z tym jakiś problem? - spytałam niepewnie, mając nadzieję, że nie. Nie chciałam zdenerwować Daniela.

- Cóż, jeżeli pani chce, proszę przyjechać i obejrzyć towar. W innym przypadku musi mi pani zaufać, że moje dziewczyny są najgorętsze w całym mieście i to niezależnie od rozmiaru brodawek sutkowych. OK? - stał się nieco agresywny. Postanowiłam się wycofać.

- Jestem pewna, że pana dziewczyny są wspaniałe, a jeżeli uda się panu wybrać te z małymi sutkami, będzie jeszcze wspaniałej - oświadczyłam. Gdy uniosłam wzrok, obok mojego biurka przechodziła właśnie Lara. Słyszac końcówkę mojej konwersacji, uśmiechnęła się ironicznie.

- Lara - zawołałam za nią.

Zatrzymała się i odwróciła.

- Czy mogłabym z tobą porozmawiać przez sekundkę?

- Przykro mi, nie wiem nic o brodawkach sutkowych. -

Wzruszyła ramionami i powędrowała do swojego biurka.

Zapiekły mnie oczy. Zapragnęłam z powrotem znaleźć się w Waszyngtonie i przestać płaszczyć się przed ludźmi, którzy osądzają kobiety po rozmiarach ich brodawek. Chciałam, żeby Lara nadal była moją przyjaciółką i dalej opowiadała mi o tym, że wszyscy faceci w tym mieście to frustraci z dyplomem, którzy nadużywają swojej władzy, próbując w ten sposób odegrać się za to, że w czasach uniwersyteckich nie chciała z nimi pójść do łóżka żadna cheerliderka. Ale Lara nie była już moją przyjaciółką. Wsunęła pod biurko wielką torbę z zakupami od Saksa Fifth Avenue i zaczęła telefonować.

- Potrzebuję latte wielkości drapacza chmur - ogłosił Scott, przelatując obok mnie.

- Rozumiem. - Wstałam i podażyłam za nim do jego gabinetu. - Emm... Scott. Zastanawiałam się, gdzie tutaj dają kawę.

- Skąd do cholery mam to wiedzieć? - odparł z wzrokiem przyklejonym do spisu telefonów.

- OK, dzięki. - Wycofałam się z jego biura i podeszłam do Lary, ale ponieważ ta wpatrywała się uparcie w ekran przed sobą, nachyliłam się i wyszeptałam w kierunku Talithy:

- Czy gdzieś w pobliżu jest jakiś Starbucks lub coś w tym rodzaju?

- Jest Coffee Bean, po drugiej stronie ulicy - wskazała za siebie. - A skoro już tam idziesz, możesz mi przynieść sojowe chai latte?

- Super, kup jeszcze podwójne espresso dla Mike'a - dodała Courtney. - Proszę.

- Jasne. Sojowe chai latte i podwójne espresso - powtórzyłam.

Mike był szefem Courtney. Rzadko kiedy wychodził ze swojego biura. Najwyraźniej czekał, aż zacznie dzia-

łać Rogaine. Jeżeli już odważył się wyjść, to tylko w kapeluszu głęboko nasuniętym na czoło.

- Czy ktoś jeszcze ma zamówienia z kawiarni? - zawołała Talitha, gdy założyłam kurtkę i chwyciłam portfel.

- O tak. Duża kawa, bez cukru - dodała przechodząca właśnie obok agentka z biura po drugiej stronie korytarza.

- Zielona herbata bez teiny i jeden biszkopt bez tłuszczu - krzyknął ktoś inny. Koniec końców lista, którą zapisałam skrętnie na dłoni, zrobiła się bardzo długa. Właściwie to musiałam użyć obu dłoni.

Aby przedostać się do Coffee Bean, trzeba było przebrnąć przez sześciopasmową ulicę. Zanim przedostałam się na drugą stronę, miałam tak spocone ręce, że prawie nie mogłam odczytać listy zamówień. Wreszcie znalazłam się w chłodnym cieniu kawiarenki, ale zdążyłam już zapomnieć, co kto chciał. Zielona herbata miała być dla Courtney, tak? Kiedy spojrzałam przed siebie, zobaczyłam sześciuosobową grupkę - dwóch chłopców i cztery dziewczyny, wszyscy w moim wieku, ubrani identycznie jak ja. Siedzieli w rogu, w milczeniu popijając latte. W pewnym momencie telefon leżący na stole przed nimi zaczął wibrować. Spojrzeli po sobie i wreszcie jeden z młodzieńców odebrał komórkę.

- Halo? - rzucił nerwowo. Ze słuchawki wydobyła się stłumiona eksplozja słów. Chłopak odsunął komórkę od ucha z wyrazem cierpienia na twarzy.

- W porządku, zaraz przyjdziemy - powiedział swojemu rozmówcy.

Z tymi słowy cała grupka dźwignęła się na nogi i w ciżmy, jedno po drugim, minęli mnie, zostawiając na stoliku podarte serwetki, do połowy opróżnione kubki z kawą i jednodolarowy napiwek.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, rozejrzałam się dookoła i zobaczyłam, że w sklepiku nie było nikogo poza miłym gościem za ladą, spoglądającym na mnie wyciekująco.

- Czym mogę służyć? - zapytał.



- Och. Emmm... chciałabym... - wyłożyłam mu listę życzeń, przekonana, że pomyliłam większość zamówień. Chwilowo jednak bardziej przejmowałam się tym, czy starczy mi na wszystko pieniędzy.

- Należy się dwadzieścia osiem dolarów - powiedział.

Zamrugałam i zaczęłam przeliczać pieniądze w portfelu. Cholera!

- Akceptujecie karty kredytowe? - spytałam z nadzieją.

- Jasne. - Wziął mojego AmExa, na którym powinno być jeszcze wystarczająco dużo kredytu, żeby opłacić osiem gorących napojów.

- Pracujesz w Agencji? - zapytał, przeciągając kartę przez czytnik.

- Tak - pokiwałam głową, nerwowo wyczekując niepożądanych pisków i syczenia, gdy kasa odrzuci moją kredytówkę.

- Chyba jesteś nowa, prawda?

- Coś w tym rodzaju.

- Widać - kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Co pan ma na myśli?

- Cóż, patrzyłaś na gości, którzy byli tu minutę temu, jakby przylecieli z Marsa, chociaż tak naprawdę są dokładnie tacy sami jak ty. - Mówiąc to, otworzył szeroko oczy, jakby streszczał komuś horror.

- Oni też są nowi?

- Oni też są biednymi wykorzystywanymi asystentami. - Wręczył mi rachunek do podpisania. - Przychodzą tutaj raz czy dwa razy na tydzień. Pracują dla Mad Maxa.

- Mad Maxa? - nie miałam pojęcia, o czym mówił.

- Maxa Fischera, szefa Fischer Films, ważnej wytwórni filmowej. Ich budynek jest tuż obok Agencji. Ma sześcioro asystentów i czasem, gdy już znudzi mu się rzucanie w nich czym popadnie, gdy ostatni rolodex\* opuści jego biurko i na podorędziu nie ma niczego, czym mógłby w nich rzucić, wywala ich z pracy.

\* Kartoteka obrotowa (przyp. tłum.).

- Żartujesz sobie? - Przyglądałam się, jak fachowo pakuje ekwiwalent mojej tygodniowej racji żywnościowej w kartonowe nosidełko.

- Nie. Tak jak powiedziałem, zdarza się to raz czy dwa razy w tygodniu. Przychodzą wtedy tutaj, czasem z płaczem, czasem z siniakami. Pewnego dnia jedna z dziewczyn krwawiła z prawej skroni, więc ją opatrzyliśmy. - Nie wyglądał na kłamcę, zdecydowałam więc, że upiję trochę swojego latte i posłucham jego opowieści. - Spędzają tu około czterdziestu minut, dopóki nie zadzwoni telefon i Max nie zażąda: „Wracać mi, do cholery, z powrotem!”. Zazwyczaj dorzuca jeszcze po drodze parę przekleństw. Reszta... cóż, widziałas zakończenie.

- Dlaczego nie pójda ze skargą do działu zatrudnienia? - spytałam przerażona i z lekkim niedowierzaniem.

- Ponieważ nie chcą stracić posad - roześmiał się.

- Dlaczego ktokolwiek miałby pozwalać na takie traktowanie? - wymądrzałam się naiwnie.

Wtedy spojrział na mnie i uśmiechnął się.

- Jestem Jason Blum. Ty zaś, sądząc po danych na karcie kredytowej, musisz być Elizabeth - wyciągnął dłoń i potrząsnął moją prawicą na przywitanie.

- Miło cię poznać. - Chwyciłam rachunek w zęby, a drugą, wolną ręką podniosłam tackę z napojami. - Dzięki.

- Jestem pisarzem, reżyserem i generalnie dobrym człowiekiem, jeśli mogę tak nieskromnie powiedzieć. - Wychylił się zza lady i przytrzymał mi drzwi. Miał krótkie włosy koloru pszenicy, duże zielone oczy i śmiał się głośniejsz niż którykolwiek mój znajomy, co przydawało mu wiele uroku. - Do zobaczenia.

- Dzięki - odparłam nieco oszołomiona, wypadając na ulicę.

Po powrocie do biura, gdy już starłam chusteczką tusz z ręki i lewego ucha (wyobraźcie sobie!), opadła mnie mała *schadenfreude*. W jakiś sposób poczucie, że w tym biznesie byli inni, równie nieszczęśliwi jak ja,

poprawiło mi samopoczucie. I nawet jeżeli pomieszałam absolutnie wszystkie zamówienia, tudzież okazałam się największym nieudacznikiem, jaki kiedykolwiek postawił stopę na płycie Międzynarodowego Portu Lotniczego w LA, nie traciłam optymizmu. Przecież byłam bystrą dziewczyną, prawda? Kiedyś wciąż mi to powtarzano. Zdałam z dobrymi ocenami wszystkie egzaminy wstępne na studia, moje raporty szkolne potwierdzały, że łatwo nawiązuję przyjaźnie, a poza tym zrobiłam wystarczające wrażenie na kongresmanie Edmundsie, żeby zatrudnił mnie do prowadzenia najważniejszej części jego kampanii. Nie mogłam być aż taką ofiarą losu, żeby nie poradzić sobie z obowiązkami drugiej (powiedzmy to szczerze) asystentki kogoś, kto pracuje w branży rozrywkowej (Ministerstwo Rozrywek, starszy wiceprezes Myszka Mickey), prawda?

Zaczęłam rozpracowywać listę Ryana. Załatwiłam już sprawę występów dziewczyn. Co z żywymi ptakami? Zadzwoniłam do właściciela ptaszarni z Sacramento i zorganizowałam trochę rajskich ptaków i papug. Facet zapewnił mnie, że nie pozabijają się w klatkach. Oferował także kolibry, ale zdrowy rozsądek podpowiedział mi, że wypuszczenie luzem najmniejszych na świecie ptaków w czasie przyjęcia hollywoodzkich sław oznaczać będzie, że prędzej czy później ktoś wetknie sobie jednego w nieodpowiedni otwór ciała lub wciągnie nosem razem z działką kokainy. Daniel zdecydował, że ma być to przyjęcie w stylu „Szaleństwa dżungli”. Do mnie należało zorganizowanie dżungli. Liczyłam na to, że szaleństwa wykrystalizują się same.

Kolejnym zadaniem było znalezienie sponsora. Popęłniłam olbrzymi błąd, mówiąc przedstawicielom Pipera-Heidsiecka i Veuve Clicquot, że nie zapraszamy żadnych dziennikarzy. Potem próbowałam skłamać komuś od Tanqueraya. Powiedziałam im, że prawie na pewno pojawi się prasa. Stchórzyłam, gdy moja rozmówczyni przycisnęła mnie do muru i poprosiła o podpisanie oficjalnego oświadczenia. Udało mi się jednak

przybić umowę z przedstawicielem Jose Quervo, który obiecał mi dostarczyć tyle tequili, ile zdołają wypić goście. Czy można się kłócić z takim argumentem? Mogliśmy podawać margarity i... cóż, margarity, no i oczywiście strzały, bum-bumy, a nawet Krwawe Juanity. Za bardzo w stylu lat dziewięćdziesiątych? Kto by się tym przejmował. Jak tylko zobaczą George'a z piękną dziewczyną u boku i pełnym magazynkiem tequili w gardle, wszyscy z radością rzucają się w wir zabawy. Teraz pozostało mi jedynie upewnić się, że wszystkie zaproszenia zostaną doręczone do rąk własnych. Wyciągnęłam listę gości i zaczęłam wypełniać zlecenia dla kurierów. Kiedy doszłam do sto pięćdziesiątego, moje biurko spowił cień. Spojrzałam w górę i ujrzałam mężczyznę, który - sądząc z opisu Lary - był osławionym Ryanem.

- Elizabeth? - spytał lakonicznie.

- Cześć.

- Jestem Ryan. Właśnie dzwonili do mnie z Cuervos. Powiedzieli, że zgodziłaś się, aby zaopatrzyli nasze przyjęcie w drinki.

- Tak. Tyle, ile zdołamy wypić - pokiwałam głową z dumą.

- To nie jest zabawa dla studentów.

Spojrzał na mnie zwięzonymi oczami. Lara miała rację: facet był rzeczywiście oślizgłym dupkiem. Wyglądał jak łasica i murowanie był niemiły dla otyłych dziewcząt w barach. Ten typ tak ma.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę - próbowałam zachować spokój. „Pomyśl o przyszłości, Elizabeth, nie przejmuj się drobiazgami”, tłumaczyłam sobie, gdy łyzy nabiegały mi do oczu.

- Rozumiem, że w takim razie jesteś również świadoma, iż alkohol, który tak hojnie nam oferują, to tequila Jose Cuervo?

- Tak, jestem tego świadoma. - Udało mi się nawet uśmiechnąć dość pewnie.

- Czy naprawdę jesteś taka naiwna, Elizabeth? - przysunął się bardzo, bardzo blisko mojej twarzy. Mo-

głęboko poczuć zapach czosnku z jego wczorajszej kolacji. Cofnęłam się odrobinę.

- Słucham?

- Cóż, chyba jednak jesteś. - Popatrzył na moje włosy tak, jakby właśnie kazano mu wyczyścić sobie nimi zęby. Potem przerzucił się na ubranie, ja zaś schowałam niezbyt zadbane paznokcie w zaciśniętych pięściach. - Jesteś, ponieważ nawet najbardziej tępa kura domowa z Idaho wiedziałaby, że ci ludzie nie tkną niczego innego, poza tequilą Patron Silver.

- Patron Silver?

- Tak, ty głupia dziewczucho. Nawet ludzie z Sherman Oaks o tym wiedzą. - Z tymi słowami obrócił się na obcasie swojego nadmiernie wypolerowanego buta i majestatycznie wymaszerował z mojego biura.

Rozejrzałam się, sprawdzając, czy ktoś usłyszał naszą rozmowę. Jest pewna określona dawka upokorzenia, jaką kobieta potrafi przyjąć w ciągu jedenastu dni. Właśnie uznałam, że niniejszym osiągnęłam swój limit.

Oczywiście w biurze panowała absolutna cisza. Wszyscy zdawali się pieczołowicie sprawdzać interpunkcję w e-mailach. Nie słyszałam jednak klikania klawiatury. Rozmowy telefoniczne zostały w tajemniczy sposób przerwane, Courtney i Talitha zaś przygryzały wargi, jakby ze wszystkich sił próbowały powstrzymać wybuch śmiechu. Nie wiedziałam, czy mam krzyczeć, czy się rozpłakać. Zanim zdecydowałam się na jedno lub drugie, Talitha przerwała ciszę:

- On ma rację. Kiedyś wypiłam parę margarit w Barze Marmont. Były zrobione na bazie jakiejś taniej tequili i zwróciłam któryś z tamtych mężczyzn, który mnie tam zaprosił. - Pokiwała mądrze głową. - Kiedy wciąż trzymał ją w ręku - dodała.

- Cóż, to lepsze niż nasranie na jego buty - rzucił gońiec, który akurat przechodził z wózkiem na korespondencję. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Oprócz mnie.

## 5

*Wygląda znajomo, ale, powiadam panu, wszystkie blondynki są takie same.*

Esther Howard jako Mrs Kraft (*Urodzeni mordercy*)

- Elizabeth? Rozmawiałyśmy przez telefon. Jestem Cameron. - Spojrzałam w górę i ujrzałam świetlistą, jasną, promieniejącą białym światłem kobietę. Doszłam do wniosku, że właśnie doświadczam spotkania z wysłannikiem Boga. Właściwie nie powinnam się temu dziwić, ponieważ od kiedy zaczęłam pracować w Agencji, modliłam się prawie nieustannie, przeważnie w tym stylu: „Proszę cię, Boże, nie pozwól, by Daniel Rosen dowiedział się, że to ja rozlałam korektor na skórzaną sofie w westybulu, a potem starałam się go wytrzeć kopia „Hollywood Reporter” lub: „Proszę cię, Boże, spraw, by Scott Wagner wziął tyle kokainy, żeby dostał krwotoku z nosa i musiał zostać w domu do końca tygodnia, ponieważ mimo iż moją pracę mógłby wykonać każdy głupek, ja wciąż nie nauczyłam się, jak programować jego wideo i wczoraj w nocy zamiast meczu Knicksów nagrałam mu *Willa i Grace*”.

Osoba, która stała przede mną, nie była jednak aniołem, tylko gwiazdą filmową. Jej zęby lśniły niezmierną bielą, a opadające na ramiona włosy były bardziej złote niż loki Goldie Hawn w *Szeregowcu Benjaminie*. Och, tak, Cameron była gwiazdą. Ale w tej chwili, poza oślepieniem mnie swoim blaskiem, zadawała mi, zdaje się, jakieś pytanie.

- Przepraszam, czy mogłaby pani powtórzyć ostatnie zdanie? - poprosiłam, lekko marszcząc brwi.

- Pytałam, czy nie będziesz miała nic przeciw temu, żebym posiedziała tu z tobą, dopóki Scott nie wróci z lunchu. Po prostu nie czuję się zbyt dobrze, czekając w recepcji. - Pochyliła się i wyszeptwała: - Zawsze wydaje mi się, że nagle pojawi się Daniel Rosen, a ja się go strasznie boję.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko. Może pani zostać. - Poderwałam się na równe nogi z takim pośpiechem, że wywróciłam krzesło na podłogę. - To znaczy, gdzie dokładnie chce pani poczekać?

- Och, klapnę sobie tutaj. - Przycupnęła na rogu mojego biurka i wyciągnęła z torebki egzemplarz „Allure”. - Tak przy okazji, co wkładasz na przyjęcie u Daniela? Ja myślałam o jaskrawym różu. Wiesz, mam już trochę dosyć tych bezbarwnych sukienek.

- Różowy będzie doskonały - zgodziłam się z nią. - Jeśli pani chce, mogę załatwić koktajle pasujące do pani sukni. Proszę mi tylko dać znać. - Jakie to żałosne. Tak bardzo chciałam zyskać przyjaciół, że byłam gotowa zorganizować przyjęcie pod kolor czyjejś sukni.

- Zabierasz ze sobą swojego chłopaka? - spytała, upijając nieco dietetycznej coli z puszki, która od rana stała na moim biurku.

- Chyba nie powinnam - wyznałam. - Właściwie to będę tam w pracy.

- Ach, rozumiem. Boże, przynajmniej będziesz miała jakąś rozrywkę, a jeżeli przyczepi się do ciebie jakiś nudziarz, zawsze możesz udąć, że musisz objechać kelnerkę czy coś w tym stylu. Ale masz chłopaka?

- Właściwie to nie. Jestem tu nowa i ostatnio bywam raczej zajęta.

Jezu, nie miałam pojęcia, jak ważną rzeczą w Hollywood było posiadanie faceta. Obecność mężczyzny, z którym można było zjeść pizzę w piątkowy wieczór, zdawało się tu całkowicie definiować twoją egzysten-

cję, urodę, wybór klubu sportowego i generalnie pojmo-  
waną atrakcyjność. W Waszyngtonie tak nie było.

Postanowiłam nie zrażać się moją przygodą z Jakiem  
Hudsonem i jak najszybciej znaleźć sobie faceta.

- Szkoda.

Ze zrozumiałych przyczyn Cameron straciła zaintere-  
sowanie rozmową. Cóż, nie miałam chłopaka, byłam  
uniżona do obrzydliwości i wciąż usiłowałam odszukać  
metkę na jej spodniach, bo uznałam, że jeślibym w nich  
wyglądała choć w połowie tak dobrze jak ona, to na  
pewno je kupię. Wreszcie zdobyłam się na odwagę:

- Świetne spodnie - powiedziałam najbardziej niezob-  
owiązującym tonem, na jaki mnie było stać. - Gdzie je  
kupiłaś?

- Oj, nie wiem. Co jest na metce? - Wypięta tyłek  
w moim kierunku. Spojrzałam ostrożnie, tym razem mo-  
dląc się tymi słowy: „Proszę cię, Boże, nie pozwól, że-  
bym wyciągnęła metkę z jej spodni w sposób, który su-  
gerowałby, że chodzi mi o coś innego niż sprawdzenie  
marki. Chybabym umarła”.

- No proszę. Kmart. - Zaśmiałam się zbyt radośnie,  
szczęśliwa, że nikt nie zaarrestował mnie za perwersję.

- O, naprawdę? To super! - zachichotała Cameron  
i zsunęła się z biurka. - A oto i on, najprzystojniejszy  
agent w Hollywood! - Podskoczyła jak labrador albo  
golden retriever na widok Scotta, który pojawił się  
w korytarzu.

- Cam, kochanie! Chodź no tu... - Uśmiechnął się sze-  
roko, gdy przytuliła się mocno do niego. - Stęskniłem  
się za tobą.

- Nieprawda. Słyszałam, że kręcisz z... - wyszeptała  
do ucha Scotta nazwisko jakiejś kobiety.

Scott wydawał się szczerze zaskoczony. Z kimkolwiek  
kręcił, Cameron trafiła w dziesiątkę. Lara, która właś-  
nie pojawiła się w biurze, uściśnęła Cameron na przy-  
witanie, a potem aktorka zniknęła w gabinecie Scotta.

- Porozmawiajmy o interesach, słonko. Zamierzasz  
zdobyć dla mnie tegorocznego Oscara, czy nie, ty słodka



suczko? - roześmiał się Scott, zamykając drzwi przed nosem Lary.

- Zadzwoiłaś już do Jake'a? - spytała Courtney, pozornie bez zainteresowania, odchylając się na krzesło i oglądając w lusterku świeżo wybielone zęby.

- Nie, nie zadzwoniłam - odpowiedziałam spokojnie. - I prawdę powiedziawszy, nie sądzę, bym kiedykolwiek to zrobiła.

- Co? Może uważasz, że jeśli nie odpowiesz, będzie pragnął cię bardziej? - spytała sarkastycznie.

- Nie. Po prostu nie jestem szczególnie zainteresowana.

- Inaczej teraz śpiewasz. - Z trzaskiem zamknęła lusterko.

- Myślałam, że jest wspianiały. Zanim zrozumiałam, że jest kompletnym palantem - roześmiałam się, próbując za wszelką cenę, by zabrzmiało to tak, jakby nic mnie nie obchodził. Tymczasem myślałam tylko o tym, jak rozkochać w sobie Jake'a Hudsona, nie mając jednocześnie szansy na stanie się Julią Roberts. W końcu oficjalnie się poddałam. - Poza tym mam wystarczająco dużo kłopotów z rozpracowaniem, jak działają telefony w Agencji. Zostawię randki na później, kiedy już się nauczę, jak oddzwaniać do facetów.

Wiedziałam, że Courtney uznała mnie za zarozumiałą dziwkę, ale przecież pomyślałaby tak o mnie niezależnie od tego, co bym powiedziała lub zrobiła. Uśmiechnęłam się najcieplej, jak potrafiłam, po czym wróciłam do pracy. W tej samej sekundzie z gabinetu Scotta wyskoczyła Cameron.

- OK, kochanie. Do zobaczenia w sobotę na przyjęciu. Czy będzie przy basenie? Bo jeśli tak, lepiej umówię się w „Beehive” na depilację.

- Mogę pójść z tobą? - spytał Scott, klepiąc Cameron w tyłek. Lara wyglądała na zdeglustowaną.

- I wiesz co? Podoba mi się twoja nowa asystentka. - Cameron podeszła do mnie i dała mi buziaka na pożegnanie. - Do zobaczenia na przyjęciu - rzuciła. Odwró-

ciła się, aby pożegnać się z Larą, kiedy nagle wyraźnie tknęła ją jakaś myśl. - Czy masz dziewicze włosy? - spytała mnie.

Boże! O co tym wszystkim ludziom chodzi. Mają obsesję na punkcie seksu. I włosów. Chyba wyglądałam na zdziwioną, bo Cameron chwyciła pasmo moich włosów i wpatrzyła się w nie.

- Dziewicze. Nigdy ich nie kolorowałam?

- Nie, właściwie nie. Raz, jako szesnastolatka, użyłam śliwkowej pianki, ale to był bardzo zły pomysł. Skóra zabarwiła mi się na różowo i...

- Och, kochanie, to takie ekscytujące - zatrzepotała radośnie rękami.

- Naprawdę? - spytałam. Myślałam, że za chwilę usłyszę, iż moje włosy mają najpiękniejszy naturalny kolor, jaki widziała w życiu i że L'Oreal zapewne zechce odtworzyć ten odcień w nowej farbie pod nazwą, dajmy na to, „Pierdolnięta Myszka”.

- O Boże, jasne! Billy umrze z rozkoszy! Uwielbia dziewicze włosy. Musisz się z nim umówić. Powiedz mu, że cię przysłałam. To niesamowite. Kiedy cię już zrobi, będziesz wyglądała bosko na przyjęciu. Powiedz mu, że Cam typuje „Hollywoodzkie Słoneczko”. To żeby podkreślić barwę twoich oczu - mrugnęła do mnie i zapisała numer telefonu Billy'ego w moim notatniku. - No dobra, dzieciaki, muszę spadać. Do zobaczenia w sobotę.

I już jej nie było. Panie i panowie, Cameron opuściła budynek.

- Elizabeth, muszę wpaść do Coffee Bean przed spotkaniem Scotta o trzeciej - powiedziała Lara, stając przy moim biurku i nie patrząc mi w oczy. - Pomożesz mi przynieść kawę?

- Jasne - odparłam. - Mam przełączyć telefony na automatyczną sekretarkę?

- Tak, zrób to. - Czekaając, szorowała czubkami swoich szarych, zamszowych butów o dywan. Gdybym nie była przekonana, że Lara nie jest istotą, która wątpiła-

by w sobie lub kiedykolwiek czuła się niepewnie, powiedziałybym, że doświadcza właśnie obu tych emocji.

Powędrowałyśmy w milczeniu przez korytarz i atrium. Pragnęłam nade wszystko znaleźć do powiedzenia coś, co mogłoby ją zainteresować. Nienawidziłam jej obcesowego wrzuszania ramionami. Nie dawało mi spać po nocach. Wczoraj w rozmowie z mamą omal się nie załamalam i nie wyznałam, że bardzo cierpię z powodu całej tej sytuacji. Chciałam wrócić do domu, ale nie wróciłam. Byłam zbyt dumna, a poza tym wolałam nie przysparzać zmartwień rodzicom.

Kiedy weszłyśmy do kafejki, pierwszą rzeczą, jaką ujrzałam, była twarz Jasona Bluma. Uśmiechnął się do mnie, po czym obdarzył nieco mniej promiennym grymasem Larę. Całkiem zrozumiałe, jako że była dość przerażającą istotą.

- Witam, dziewczęta.

- Cześć - odparłam radośnie.

- Chciałybyśmy... ja chciałabym cappuccino, a ty, Elizabeth? - zwróciła się do mnie Lara.

- Och, nie wiedziałam, że będziemy zamawiać coś dla siebie. Wobec tego wezmę sojowe chai latte - odparłam. Był to mój nowy ulubiony napój. Podejrzywałam, że dodają do niego morfinę, ponieważ bardzo uzależniał.

- Doskonale. Aha, do tego sześć czarnych kaw i jedno latte - dodała Lara. Gdy Jason zabrał się do pracy, odwróciła się do mnie, szarpnęła za złoty łańcuszek na szyi i zaczęła:

- Elizabeth, bardzo cię przepraszam.

Tego się nie spodziewałam. Pianka z sojowego chai latte utkwiała mi w gardle i o mało nie wypłułam płuc.

- Byłam dla ciebie okropna w tej sprawie z Jakiem Hudsonem, zupełnie niesłusznie. Wiem, że na pewno nie zrobiłaś tego umyślnie. Podsłuchałam, co powiedziałeś o nim dziś, w rozmowie z Courtney. Poza tym, nawet jeśli to nie była pomyłka, nie powinnam była się tak zachować. Wybaczysz mi? - spytała z wyraźną nieśmiałością. Zauważyłam, że Jason przysłuchiwał się

pilnie naszej rozmowie, pomiędzy jedną a drugą serią pienienia mleka.

- O Boże, oczywiście, że tak! Wiem, że tak naprawdę po prostu próbowałam się wymigać od organizowania przyjęcia z Ryanem - zawołałam. - Prawdę mówiąc, nie mogę cię za to winić.

W tym momencie na poważną twarz Lary wypełzł uśmiech. Pomyślałam przez chwilę, że może mnie przytuli, ale to nie z nią takie numery.

- Masz rację. Jest totalnym dupkiem żołądny! - Roześmiała się. - Atak poważnie, wiem, co to znaczy umawiać się z facetami z biznesu i daję ci słowo, to naprawdę się nie sprawdza. Myślałam, że mogłabyś skorzystać z moich doświadczeń.

- Dzięki. Prawdę mówiąc nie zadzwoniłam do Jake'a Hudsona dlatego, że gdyby porównał mnie do wszystkich tych panienek, z którymi się umawiał, musiałby zgłosić mnie do Federalnej Komisji do spraw Handlu, bo nie spełniałabym żadnych warunków do określenia mnie terminem jego „bliskiej przyjaciółki”. Wiesz, o co chodzi: Nogi, jeden doskonały zestaw. Oczy w kolorze oceanu o świcie. Ciuchy, kosztowne i piękne. Odpowiedzi: „Brak, brak, brak”.

- Dokładnie. Mózg, jeden, popieprzony, dziwaczny, neurotyczny i pusty. Odpowiedź: „Brak”.

Roześmiałyśmy się obie. Jason wręczył nam zamówienie i gdy Lara wymaszerowała z baru, trzymając napoje, odwrócił się do mnie i powiedział, *sotto voce*, żeby nikt poza mną nie mógł go usłyszeć:

- Nie mogę uwierzyć, że złapałaś się na Jake'a Hudsona. To niemożliwe.

Wyglądał, jakby zaraz miał umrzeć ze śmiechu, ale mnie to w ogóle nie ruszało. Pogodziłyśmy się z Larą. Miałam przyjaciółkę. Miałam przyjaciółkę! Chciałam podskoczyć i wykonać plemienny taniec zwycięstwa, ale nie zrobiłam tego. Z wielu powodów.

\*

Gdy nadszedł sobotni poranek, uniosłam głowę z poduszki i zauważyłam, że właściwie jest jeszcze ciemno. Była czwarta nad ranem, a mój umysł zaprzętało tysiąc i jeden problemów. Kolejny przypomniał mi się, gdy odwróciłam się na drugi bok i złapałam w nozdrza zapach wody utlenionej z moich włosów. O Boże! Wczoraj w porze lunchu odwiedziłam Billy'ego. Kolorystę gwiazd. Już samo to powinno być wystarczająco jasnym sygnałem ostrzegawczym. Gwiazd filmowych, kochanie, nie asystentek. W żadnym egzemplarzu „Allure” nie napisano bynajmniej, że zajmuje się dziewczętami, które zarabiają poniżej trzech milionów dolarów rocznie. Billy najwyraźniej zrobił mi „napławdę duzi, duzi psisługe”, przyjmując mnie bez półrocznego oczekiwania na liście. Był Włochem i nie wydawał się w połowie tak zafascynowany dziewiczością moich włosów, jak sądziła wspaniałomyślna Cameron. Obszedł mnie dookoła, unosząc od czasu do czasu moje brązowe strąki, jakby były radioaktywnymi odpadami. Jestem pewna, że gdyby miał na podorędziu szczypcę i parę grubych gumowych rękawiczek, nie zawahałby się ich użyć.

- O nie. To jest nic. To nie ma odpowiednie. - Pozwolił moim strąkom opaść w dół. - Zrobimi „Hollywoodzkie Słoneczko” - zadeklarował wreszcie, podrapawszy się uprzednio w głowę.

Z tymi słowami upłynął się i nie pokazał (a przynajmniej nie mnie) do końca mojej wizyty. Zostałam przekazana opryskliwej dziewczynie z ogoloną głową, która zafundowała mi folię, pogardę i utleniacz.

W końcu jednak wynurzyłam się z salonu w mojej nowej postaci, jako Hollywoodzkie Słoneczko. Może dla niektórych ludzi to zbyt prymitywne, ale ja byłam podniekcytowana. Czułam się tak wyalienowana w tym mieście, że byłam gotowa zrobić wszystko, żeby zacząć „należeć”, nawet za cenę sześciuset dolarów (nie licząc podatku i napiwku). Moje włosy wypisały czek, na który nie mogłam sobie pozwolić. W szatni jednak poczęstowałam się bardzo kosztownie wyglądającą francuską mię-

tówką i gdy wyszłam z salonu w „magiczną godzinę” - porę dnia uwielbianą przez kamerzystów i kobiety po dwudziestym piątym roku życia dla tej różowawej, przydającej urody poświaty - poczułam się kimś szczególnym. Wiedziałam, że była to inwestycja w moją karierę i życie. Spójrzmy prawdzie w oczy: Pierdolnięta Myszka, nawet bogatsza o sześćset dolarów od Hollywoodzkiego Słoneczka, nigdy nie zaszłaby daleko w tym mieście. Skoro zaś już się tu znalazłam - na Beverly Hills mijały mnie sznury samochodów, przed wystawami z ekskluzywną odzieżą i w pobliskiej King's Road Cafe widziałam dziewczęta, popijające organiczny sok pomarańczowy - równie dobrze mogłam wyciągnąć z tego jak najwięcej korzyści. Zanurkować, wbić zęby i wyszarpnąć więcej, niż uda mi się przełknąć. Mogło mi to, kurwa, wyjść, jak powiedziała by Scott w jednym z napadów skromności.

Przeleżałam dwie godziny, zamartwiając się, aż wreszcie wzeszło słońce i musiałam wstać z łóżka. Do tego czasu przerobiłam już każdy możliwy scenariusz totalnej katastrofy na przyjęciu. Otrułam całą hollywoodzką śmietankę towarzyską nieświeżym sushi. Płatki różane, którymi poleciłam posypać basen Daniela, były czerwone, nie białe i woda wyglądała, jakby zamordowano kogoś w głębokiej części basenu. Posłańcy wręczyli zaproszenia niewłaściwym osobom i na przyjęciu pojawił się tłum odźwiernych, służących, basenowych i nianieek, zamiast ich wspaniałych, sławnych pracodawców. I chociaż osobiście marzyłam o tym, by usadowić się w fotelu i uciąć sobie pogawędkę z kobietą, która pierze bieliznę George'a, nie sądziłam, żeby Daniel i Scott dzielali moje perwersyjne upodobania.

Gdy zobaczyłam swoje odbicie w drzwiach lodówki, z której chciałam wyjąć mleko do płatków, uświadomiłam sobie, że stres kilku ostatnich dni odbił się wyraźnie na moim wyglądzie. Mogłabym spokojnie zagrać w *Nocy żywych trupów*.

Cholera jasna. Co Jake Hudson we mnie widział? Nie była to najodpowiedniejsza, najbardziej optymistyczna

i profesjonalna myśl, jaka mogłaby przyjść do głowy młodej asystentce, ale nic na to nie poradzę. Chwyciłam za telefon i zadzwoniłam do mojej nowej starej przyjaciółki, Lary.

- Lara?

- Kto mówi - odezwał się jakiś mężczyzna. Nagle przypomniałam sobie, że jestem jedyną niesparowaną istotą w całym mieście. Nikt inny nie spędził tej nocy samotnie.

- Mówi Elizabeth, przyjaciółka Lary - odpowiedziałam nieco zażenowana.

Nieznajomy się rozłączył. Cóż, zadzwonię później, kiedy już wszyscy nocni kochankowie wrócą do domów.

Nalałam mleka do płatków i patrząc, jak wsiąka, zdałam sobie sprawę, że nie stać mnie już nawet na mleko, nie wspominając o manikiurze, pedikiurze, kosmetyczce, masażu twarzy, nowej sukni i pięknej fryzurze, które to rzeczy zafundują sobie dziś wszyscy inni z okazji wielkiego przyjęcia. Oczywiście, mówię tu wyłącznie o niektórych pracownikach Agencji. Nie będę przecież wspominać zastrzyków z botoksu pod pachami, które robią sobie aktorki, aby nie zapocić wspaniałych sukni. Ani o zastrzykach z kolagenu w podeszwy stóp, aby czuć się bardziej komfortowo w butach na niebotycznie wysokich obcasach. Cóż, w końcu byłam tylko asystentką (jak to zwięźle określiła wczoraj Victoria, moja mentorka, która, jak na razie, szkoliła mnie wyłącznie w wynajdowaniu w zachodnim Hollywood sklepów z organicznym, podwójnie wyciskany sokiem z suszonych śliwek), prawda?

- Na twoim miejscu, Elizabeth, naprawdę nie traciłabym pieniędzy na rozjaśnianie włosów - orzekła słodko, gdy próbowałam wyrwać się do fryzjera. - Ani czasu. Mówię poważnie. Przecież jutro i tak nikt nie będzie na ciebie patrzył, prawda? Nie w obecności tych wszystkich pięknych, interesujących kobiet. - Z tymi słowami wyszczerzyła w uśmiechu swoje obrzydliwe szczurze zęby i życzyła mi powodzenia. A raczej porażki, co niewątpliwie wolała.

Dwie minuty później zadzwoniła Lara.

- Hej - rzuciła energicznie.

- Och, Lara. Przepraszam cię. Nie pomyślałam, że masz towarzystwo - stwierdziłam.

- Nie mam - warknęła.

Odetchnęłam z ulgą.

- Nieważne. Słuchaj, zastanawiałam się, czy nie mogłabyś udzielić mi jakichś wskazówek co do stroju na dzisiejszy wieczór - ciągnęłam, jakby nigdy nic. - To znaczy, oczywiście wiem, że będę tam na posterunku, ale nie chcę wyglądać jak kompletna idiotka, a nie wiem, co...

- Przyjedź do mnie o piątej. Wybierzemy coś. REXford 185, południowa część Santa Monica - rzuciła i odłożyła słuchawkę.

Ta kobieta znajdzie się w studiu filmowym w mgnieniu oka. Była niesamowicie wydajna. I nie tylko, o czym przekonałam się po południu. Lara posiadała również garderobę tak imponujących rozmiarów, że musiała być ukrywaną przed światem córką Aristototelisa Onasisa albo lunatykującym prezesem „Marie Claire”. Jej szafa skrywała prawdziwe bogactwo, podobnie zresztą jak pudełka z biżuterią, po całym zaś mieszkaniu rozsiany był legion kosztownych kosmetyków, dzięki którym nawet Brigitte Bardot wyglądałaby znów na dwadzieścia pięć lat. Gdy Lara, siedząc na łóżku, kazała mi przymierzać kolejne sukienki, kimona, kaszmirowe swetry i buty od Jimmy'ego Choo, chciałam ją zapytać: „Jak?”. Jak to się stało, że córka nauczyciela i sekretarki lekarza z Pensylwanii miała tyle rzeczy? Lara była jednak pochłonięta lekturą książki *Sztuka powieściopisarstwa*, nie chciałam jej więc przeszkadzać.

- Podoba ci się to zestawienie? - spytałam w końcu i obróciłam się, pokazując, co z rozwagą wybrałam z jej kolekcji.

- Stanowczo zbyt grzeczne. - Odłożyła książkę i wstała. - Wiem, co będzie doskonale do ciebie pasować.

Zanim zdążyłam się zorientować, stałam w satynowych stringach, sukience niedużo większej niż rzecz-



na część bielizny oraz równie obscenicznych srebrnych sandałkach na wysokim obcasie.

- Nie mogę tak wyjść na ulicę - sapnęłam, widząc się w lustrze w pełnej krasie, z blond loczkami i diamentową kolia, którą Lara kończyła zapinać mi na szyi.

- Wyglądasz doskonale.

- Wyglądam jak... - zawahałam się, mając nadzieję, że Lara nie zdobyła swej kolekcji na drodze grzechu. - Wyglądam jak prostytutka.

- Baw się dobrze - uśmiechnęła się, z powrotem wskoczyła na łóżko i pogrążyła się w lekturze, pozostawiając mnie rozdartą pomiędzy myślą o tym, co powiedziałaby teraz moja matka, a tym, jak skomentowałyby mój wygląd George.

*Niektóre odcienie światła reflektorów potrafią zrujnować  
karnację kobiety.*

Audrey Hepburn jako Holly Godlightly (*Śniadanie u Tiffany'ego*)

Punktualnie o godzinie dwudziestej w noc przyjęcia otwarty się kute w żelazie wrota, prowadzące do Daniełowego Shangri-la. Odziani w garnitury od Armaniego ochroniarze uformowali zgrabny rząd za liną ze srebrnego jedwabiu, rozpiętą przy głównym wejściu. Armia parkingowych w kawowych marynarkach czekała cierpliwie na pojawienie się na podjeździe pierwszych samochodów. Zająłam swoje miejsce przy drzwiach, z listą gości w ręku. Zaczerpnęłam powietrza, upajając się niesionym przez bryzę zapachem jaśminu, który atakował nozdrza z siłą broni chemicznej. Wczoraj po południu zamówiłam osiemset krzaków, ponieważ zorientowałam się, że świece „Fleur de Coton” od Manuela Canovasa, choć niewątpliwie cudownie aromatyczne, stanowiły zagrożenie pożarowe. Teraz byłam zadowolona, że zapłaciłam dodatkowe dwadzieścia tysięcy dolarów za jaśmin, ponieważ z dużym prawdopodobieństwem zamaskuje smród paniki, który roztaczałam wokół siebie niczym rozjuszony skunks. Rozważałam nawet podciągnięcie kilkuset „jaśminowych” dolarów na wypadek, gdyby przyjęcie okazało się klapą i musiałabym uciekać do Meksyku. Muszę jednak z przykrością przyznać, że mimo moich doświadczeń z kongresmanem o złej re-

putacji nigdy nie nauczyłam się delikatnej sztuki malwersacji.

Rzuciłam wzrokiem za siebie na setkę kelnerek w miniaturowych lamparcich sukienkach, trzymających w gotowości srebrne tace z koktajlami. Sprawdziłam, czy Szalone Dziewczyny są na swoich miejscach. W złotych kostiumach Simby, z biczami standardowych rozmiarów inkrustowanymi diamentami, porozstawiały się po całym domu i ogrodzie Daniela. Były niczym źle ukryte jajka wielkanocne.

Założyłam zestaw słuchawkowy i właśnie miałam rozpocząć ćwiczenia oddechowe (zgodnie z podsłuchanymi wskazówkami, których udzielała swemu uczniowi moja sąsiadka i nauczycielka jogi, Alexa), gdy nagle w moim prawym uchu rozległ się przenikliwy wizg, po którym usłyszałam jasno i wyraźnie głos Ryana.

- Elizabeth, gdzie, do cholery, jest Tarka?

Szybko wyregulowałam głośność.

- Goście powinni słyszeć jakąś muzykę, tymczasem jego nie ma. Daniel jest wkurzony.

Rozejrzałam się rozpaczliwie, w poszukiwaniu zaginionego rockmana, gdy nagle Ryan odezwał się znowu:

- W porządku, jest tutaj. Dorwała go jedna z Szalonych Dziewczyn. A tak przy okazji, Daniel jeszcze nie skojarzył, że zamierzają zdjąć z siebie ubrania, ale kiedy to nastąpi, wywali cię z pracy. Nie mogę uwierzyć, że zamówiłaś na przyjęcie jakieś tanie striptizerki. Nie wiesz o tym, że jeden z członków zarządu Universalu jest kobietą? Podobnie jak wiceprezes Sony? Nie wspominał już o całym mnóstwie pozostałych zaproszonych tu kobiet. Zamierzałaś upokorzyć je wszystkie na przyjęciu u Daniela, sprowadzając nagie panienki? Naprawdę, Elizabeth, jestem wstrząśnięty.

- Co takiego? - spytałam z gardłem nagle wyschniętym na pieprz.

- Cieszę się, że nie jadę na twoim małomiasteczkowym wózku. - Ryan roześmiał się chrapliwie wprost do mojego ucha.

- Ryan, poczekaj... przecież sam kazałeś mi zamówić Szalone Dziewczyny - zająknęłam się.

- Czyżby? Oj. Musiałem się pomylić - i przerwał połączenie.

Rozejrzałam się dookoła w panice. Zastanawiałam się, co mogę zrobić, żeby powstrzymać Szalone Dziewczyny przed rozebraniem się, ale właśnie przybył George i zaczęli napływać pozostali goście. Nie mogłam teraz odejść od drzwi. Pozostały mi modlitwy i wiara w to, że zachowałam w komputerze e-mailowe instrukcje od Ryana, na wypadek, gdybym musiała się później z czegoś tłumaczyć. Tymczasem odsunęłam od siebie czarne myśli.

- Niezłe kryształki, złotko - mrugnął do mnie Nick, jeden z ochroniarzy, przyglądając się koliai Lary na mojej szyi. Spojrzałam na nią i chociaż mój makijaż powoli spływał z twarzy, włosy oklapły, a dobry nastrój systematycznie się ulatniał, bo przecież wkrótce miałam zostać zwolniona z pracy, od razu poczułam się kimś szczególnym. Diamentowa kolia pieściła moje piersi, jak nie potrafił żaden mężczyzna. Wyobraziłam sobie, że bardzo zaskoczę moim wyglądem Jake'a Hudsona. Musi dostrzec zmianę, a przynajmniej poprawę od ostatniego spotkania, kiedy to miałam tłuste kudły i cielece spojrzenie.

- Dzięki. To nie moje, oczywiście. - Uśmiechnęłam się do Nicka. - O, zobacz, nadchodzą.

Spojrzałam nerwowo na zbliżającą się ku rezydencji procesję samochodów. Wyciągnęłam swoją listę sławnych ludzi, o których w życiu nie słyszałam. Uśmiechając się uprzejmie, zaczęłam po kolei odhaczać ich na liście i zapraszać do środka. Ach, te fryzury, ta biżuteria, ten szyfon i *haute couture!* Nigdy nie widziałam jednocześnie tylu ludzi z tak pełnymi wargami i tak pustym spojrzeniem. Ze wszystkich sił musiałam się powstrzymać od szturchania Nicka łokciem w żebra za każdym razem, gdy widziałam cudowny *piece de surgerie cosmetique*, jak to można dyskretnie ująć.

Wszystko to jednak było do przewidzenia. Oczekiwałam, że goście olśnią nas swą wspaniałością. Nie miałam jednak pojęcia o mnogości „niezaproszonych”. Nie chodzi mi tu oczywiście o tłum, który już po południu zaczął się gromadzić przy bramie wjazdowej do rezydencji Daniela, z kanapkami, baseballówkami i aparatami fotograficznymi, w nadziei na upolowanie jednej czy dwóch gwiazd filmowych. Nie mówię tu również o grupie kobiet z Missisipi, które przywiozły ze sobą transparent głoszący: „Babeczki z Biloxi błagają Bena o bara-bara”. Nie - ich krzyki były niczym, w porównaniu z wrzaskiem profesjonalnych okupantów bramy.

Muszę w tym miejscu wyjaśnić, że w Hollywood każdy chce za wszelką cenę dostać się na przyjęcie - jedyna różnica polega na stopniu desperacji. Niektórzy lepiej ustawieni goście „bywają”, dzięki znajomościom, u producenta, ale wyłącznie na premierze np. *Aniołków Charliego*. Inni mają bardziej patologiczne potrzeby zobaczenia wszystkiego jak leci. W związku z tym podstępny, do których się uciekają, muszą być bardziej drastyczne. Potrafią na przykład podszyć się pod kogoś, kto, wedle ich wiedzy, został zaproszony na przyjęcie. Niektórzy desperaci potrafią umawiać się z dziewczynami z działu marketingowego Universalu po to tylko, aby zabezpieczyć sobie możliwość wciągnięcia na listę gości, kiedy tylko zechcą. Fałszowanie zaproszeń jest już bowiem przeszłością w Los Angeles.

Pogoń za „bywaniem” zaczyna się w dość młodym wieku. Córka pewnego znanego producenta dosłownie wyparła się swego ojca, ponieważ ten nie był w stanie załatwić jej biletów na premierę *Harry'ego Pottera*.

- Co jest, tatuśku? Nie masz żadnych wejść w Warnerze? - spytała pogardliwie, zanim osobiście wysłała faks do szefa studia. Dodam, że udało jej się osiągnąć cel.

Nagle stałam się dziewczyną ze „złotą listą”. Na początku nie przypuszczałam, że moje obowiązki jako organizatorki przyjęcia będą aż tak liczne. Ryan powinien przysłać kogoś, kto mnie zastąpi. Chwilowo jednak po-

czucie władzy, którą dzierżyłam w dłoniach, napełniało mnie dobrym humorem. Gwiazdy ekranu płynęły nieprzerwanym strumieniem, ja zaś z dużą wprawą odnajdywałam kolejne nazwiska tych, o których wcześniej nie słyszałam. Byłam niczym święty Piotr u wrót raj. To jest, dopóki przy moim notatniku nie pojawiła się Veronica Byng.

- Czy mogę prosić o pani nazwisko? - spytałam uprzejmie. Nie byłam jeszcze na tyle ważna, żeby porzucić dobre maniere.

- Veronica Byng, przez igrek.

Przeszukałam pieczołowicie listę.

- Bardzo mi przykro, proszę pani, ale nie ma pani na liście.

- Owszem, jestem. Moja asystentka odpowiedziała na zaproszenie.

- Cóż, może zapomniała tego zrobić.

- Nie zapomniała. Nigdy o niczym nie zapomina. Natychmiast przyprowdź tu Daniela Rosena!

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę.

- Owszem, możesz. Rusz tym swoim niewydarzonym tyłkiem, którym pokarał cię Bóg, wejdź do środka i przyprowdź Daniela. W tej chwili.

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić. Skoro jednak jest pani tak zaprzyjaźniona z panem Rosenem, może powinna pani zadzwonić na jego komórkę? - zasugerowałam niewinnie.

Spojrzała na mnie z tak zimną nienawiścią, że aż się wzdrygnęłam. Nie mogłam się powstrzymać. Panna Veronica Byng sprytnie dostrzegła szczelinę w mojej zbroi. Podniosła głos, ja zaś nieświadomie cofnęłam się o krok. Miałam dobry instynkt, ponieważ zamachnęła się na mnie. Jej szpony minęły mój lewy policzek zaledwie o milimetry i wbita w szpilki Veronica straciła równowagę. Zachwiała się niebezpiecznie, niczym domek z kart, fiknęła kozła, zahaczając pokaznym tyłkiem o jedwabną linę i rozpaczliwie machając wszystkimi czterema kończynami, wpadła prosto na mnie. Na

szczęście dla Daniela i na nieszczęście dla jego prawników, powstrzymałam ją przed ostatecznym upadkiem. Gdyby panna Byng złamała sobie choćby paznokieć, zażądałaby horrendalnego odszkodowania. Kilka sekund później Nick umieścił ją tam, gdzie powinna się znaleźć - po drugiej stronie liny.

Zanim się pozbierałam i przestałam się trząść, czekający na wpuszczenie tłumek urósł do okazałych rozmiarów. Niektórych z gości nie znalazłam na liście, choć wyglądali na bardzo uprawnionych. Chwilowo chciałam, żeby tam byli, ponieważ nie miałam ochoty na powtórzenie takiej przygody jak z Veronicą Byng. Przed wejściem ustawił się również sznur ludzi, których nie było na liście, chociaż dałabym głowę, że wysłałam im zaproszenie. Nagle zrozumiałam, do jakiego podstępu uciekł się Ryan. Zmodyfikował moją listę, usuwając z niej niektóre nazwiska, aby wywołać coś w rodzaju napięcia emocjonalnego po drugiej stronie srebrnej liny. Na każdym przyjęciu powinni pojawić się ludzie, którzy chcą znaleźć się w środku, ale nie mogą. Wytwarza to atmosferę podniecenia i ekskluzywności. Podobno. Abstrahując od tłumu wkurzonych ludzi, którzy krzyczeli na mnie:

- Byłam zaproszona!
- Mam tutaj swoje zaproszenie!
- To jakiś pieprzony idiotyzm!
- Jestem na liście!
- Zawołaj tu Scotta!
- Pieprz się, suko!

- Ester Hartley - szepnął w moim prawym uchu miękki, dziewczęcy głosik. Wytarłam z lewej piersi resztki śliny, którą opluła mnie Veronica i przeszukałam spis. Znalazłam Ester Hartley. Dzięki Bogu, ktoś wreszcie był na liście. Podniosłam wzrok, aby zaprosić ją do wejścia, ale moje oczy napotkały jedynie rąbek dekoldu sukni z czerwonych cekinów. Odchyliłam głowę do tyłu, zauważając kolejno piersi mleczarki, białe loki bogini Księżycy i twarz tak przepiękną, że zasty-

głam na chwilę, przeżuając końcówkę ołówka i gapiąc się na nią. Dopiero kiedy dostałam przykurczu szyi, spojrzałam w jej szmaragdowozielone oczy i skinęłam głową, zapraszając ją do środka. I wtedy uświadomiłam sobie, że Esther Hartley została nie tylko obdarzona wszelkimi cechami potrzebnymi całej rasie Słodkich Dziewczyn, ale miała też u boku mężczyznę moich marzeń, który trzymał jej ramię z miną właściciela.

Jake Hudson. Wyglądał jeszcze bardziej zabójczo, niż go zapamiętałam. Miał na sobie czarny frak i roztaczał wokół urok młodego Warrena Beatty'ego. Ten wieczór, to przyjęcie należało do niego. Moje serce zatrzepotało gwałtownie raz i drugi. Uśmiechnęłam się do niego.

- Jake Hudson - powiedział z leniwym, seksownym uśmiechem. Kiwnęłam głową bez spoglądania na listę. Odwzajemniłam uśmiech, a on radośnie wyszczerzył zęby. Czekałam na błysk zrozumienia, na chwilę, w której pozna, że to ja i przynajmniej pocałuje mnie ciepło w oba policzki. Nie byłam na tyle naiwna, aby oczekiwać propozycji małżeństwa. Przynajmniej nie w tej chwili. Po piątej wymianie uśmiechów Jake Hudson zmarszczył brwi, jakby zaniepokojony, że jestem jedną z oszalałych fanek i pośpiesznie oddalił się z Esther Hartley w kierunku buzującego radością przyjęcia. Wcale mnie nie poznał.

Zapewne załamałabym się kompletnie, gdyby nie jedna z kelnerek, która wybrała ów właśnie moment na przemaszerowanie obok z tacą pełną malibu mule. Pośpiesznie chwyciłam jeden z drinków. Zanim ktokolwiek zdołałby zliczyć do trzech, odstawiłam pustą szklankę z powrotem i wpuściłam trzydzieści osób, których nie było na liście. Nie miałam serca zostawiać ich na zewnątrz, zwłaszcza że i tak byli zaproszeni. Dlatego na przekór wstrętnemu Ryanowi pozwalałam im wchodzić do środka, aż cały dom i ogród zatętnił życiem i zaczął przypominać przyjęcie, które każdy wybrałby zamiast otwarcia bardzo ważnej, ale niesłychanie nudnej galerii z przesadnie drogimi obrazami.



Kombinacja potwornego rozczarowania, strachu i alkoholu zaczęła robić swoje. Osiągnęła szczyt dokładnie w chwili, gdy Lara wynurzyła się z pulsującego tłumu tuż za mną.

- Czy ten pustogłowy sraluch nie przysłał jeszcze nikogo w zastępstwie?

- Kto? Ryan?

- Oczywiście, że Ryan - odparła.

- Lara, czy on ma coś do mnie? - spytałam.

- Ryan ma coś do wszystkich. Nienawidzi ludzi bez dyskryminacji. W twoim przypadku, zapewne uważa, że jesteś nową pupilką, ponieważ zostałam zatrudniona przez Daniela.

- To nieprawda - powiedziałam. - Daniel zupełnie o mnie zapomniał.

Najwyraźniej w tych okolicach nikt nie potrafił mnie zapamiętać. Wpuściłam więc Marilyn Mansona, który na pewno nie figurował na liście, ponieważ kiedyś ukradł Danielowi dziewczynę, a to, bądźmy szczerzy, nie było zbyt miłe.

- Ryan jest popieprzony.

Lara odebrała mi listę i z błagalnym uśmiechem wręczyła Nickowi, który z radością przyjął plik kartek. Nie dziwota. Wyglądała jeszcze śliczniej niż zwykle i była zdecydowanie bardziej zrelaksowana. Na porcelanowo-białe ramiona narzuciła górę od czyjegoes smokingu, a jej włosy były bardzo *deshabille* - jakby właśnie wróciła z szybkiego numerku w krzakach.

- Kto jest szczęśliwym wybranym? - spytałam, wskazując na marynarkę.

- Nie chciałybyś wiedzieć. - Chwyciła mnie pod ramię i zaprowadziła w sam środek przyjęcia. - Och, a tak przy okazji, gratuluję imprezy. Scott i Daniel są zachwyceni.

- Chyba żartujesz! Co ze striptizerkami? - spytałam, nie chcąc usłyszeć odpowiedzi.

- Tak, to był niezły pomysł - roześmiała się. - Kiedy zobaczyłam, jak zdejmują swoje złote kostiumy, pomy-

słałam, że wynajmując je, straciłaś rozum. Ale gdy wszyscy zobaczyli, jak strasznie się to spodobało George'owi, to nawet Daniel dał się przekonać.

- Naprawdę?

- Jasne!

Nie macie pojęcia, co poczułam. Zupełnie, jakby ktoś darował mi karę śmierci. Nie mogłabym być szczęśliwsza. Z Ryanem policzę się później.

Szalone Dziewczyny odziane tylko w stringi drobiły wokół palącego cygaro Jacka i jego koleżków. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było zbyt dużych brodawek, a bujne listowie palm i storczyków wydawało się żyć własnym życiem, za sprawą ludzi całujących się pod ich osłoną, zawierających umowy i podlizujących się ważnym personom. Przez moment widziałam George'a rozmawiającego z bardzo atrakcyjnym czarnowłosym mężczyzną w modnych młodzieżowych adidasach (wbrew obowiązującemu na przyjęciu eleganckiemu stylowi).

- Kto to? - spytałam Larę, gdy zdążyłyśmy w stronę basenu.

- Luke Lloyd! - krzyknęła nieco za głośno, jak na mój gust. - Supergość, a przy okazji nie jest idiotą mającym obsesję na punkcie wypasionych przychodów, jak większość producentów.

- Och, a więc jest producentem - pożegnałam się z myślą o Luke'u Lloydzie i zaczęłam się rozglądać za przystojnymi kelnerami. Nie to, że bałam się znowu rozgniewać Larę. Po prostu przekonałam się, że jej ostrzeżenia dotyczące umawiania się z facetami z branży były uzasadnione. Nienawidziłam być na językach całego biura, a jeszcze bardziej nie podobało mi się to, że za zakrętem ujrzałam Esther Hartley siedzącą na kolanach Jake'a. Swoimi wiotkimi ramionami oplotła jego barki i mówiła coś, co wyraźnie bardzo go bawiło. Jeśli miałam jeszcze jakąś nadzieję, że pewnego dnia zechce się ustatkować u boku słodkiej, zwyczajnej dziewczyny, jak ja, o dobrym sercu i realistycznym spojrzeniu na życie, teraz ją porzuciłam. Do diabła, gdybym miała na

podorędziu Esther Hartley i jej boskie ciało, nawet ja nie chciałabym się ustatkować u swojego boku.

- Uwierzysz, że ona ma doktorat z astrofizyki? - trąciła mnie łokciem Lara, gdy mijałyśmy rozradowaną parę. - Przepraszam, kochanie - skrzywiła się, gdy dotarło do niej, jakie głupstwo palnęła.

- Nie przejmuj się - wzruszyłam ramionami. - Myślę, że on zaczyna się starzeć. Zauważyłam to, gdy jechaliśmy jego sportowym wozem i wiatr rozwiewał mu włosy.

- Co, przeciera mu się na czubku?

- Nie, ma zakola jak wyświechtany jeź.

- A to pech. Dobrze, że się wywinełaś! - roześmiała się Lara, gdy stanęłyśmy przy basenie. - Drinka? - Wręczyła mi szklankę z napojem koloru wody w basenie i obie rozsiadłyśmy się wygodnie na leżakach.

- Ho, ho, szykuje się mała akcyjka w krzakach - wskazała na rosnącą obok mnie kępkę, w którą jakaś męska dłoń wciągała właśnie jedną z Szalonych Dziewczyn. Nie mogłam się zorientować, kto skrył się za zasłoną liści. Po kilku minutach striptizerka wynurzyła się z wyrazem lekkiego oszołomienia (ale nie obrzydzenia) na twarzy i wizytówką w dłoni. Zaczęłyśmy się śmiać. W tym momencie siedzący przy pobliskim stoliku Scott przywołał do siebie Larę skinięciem ręki. Wydawało mi się, że nie zauważyła tego, ponieważ z uporem patrzyła w zupełnie innym kierunku, ale gdy już miałam potrząsnąć jej ramię, wstała i ze szklanką w dłoni ruszyła niespiesznie ku Scottowi siedzącemu w towarzystwie jakiejś kobiety. Przypuszczalnie była to jego żona. Wyglądała na znudzoną, on zaś ewidentnie chciał się jakoś wymigać od przebywania w jej towarzystwie.

Pociągnęłam trochę alkoholu i postanowiłam bliżej przyjrzeć się akcji w krzakach. Czułam się dosyć nieswojo, siedząc w towarzystwie pustego leżaka tuż obok. Istna reklama kącika dla samotnych, gdzie każdy wariat może przyjść i oceniać cię do woli. Wstałam i ze szklan-

ką w rękę powędrowałam w stronę krzewów, które zamówiłam na przyjęcie po atrakcyjnej cenie, albowiem nie były przyskane pestycydami. Miałam nadzieję, że Daniel nigdy się o tym nie dowie.

- Wróciłaś, kochanie. Wiedziałem, że tak będzie - gdy\* zbliżyłam się do miejsca, w którym wcześniej zniknęła Szalona Dziewczyna, wielka łapa chwyciła mój nadgarstek.

- Hej! - wrzasnęłam. Ktoś pociągnął mnie w stronę krzaków. Cóż, przynajmniej jakaś przyjemna odmiana.

- Och, to nie ty. - Było ciemno i nie mogłam się zorientować, kim był nieznajomy mężczyzna. Powstrzymałam się jednak od awantur, ponieważ istniała niewielka szansa, że może nim być Leo albo Matthew, których widziałam wcześniej tańczących w korowodzie z Szalonymi Dziewczynami. - Kim jesteś?

- Jestem Elizabeth. Asystentka Scotta Wagnera.

- Cóż, Elizabeth, asystentko Scotta Wagnera, jesteś całkiem apetyczna.

W tym momencie nieznajomy użył zapalniczki do przypalenia cygara. W słabym świetle płomienia dostrzegłam, że nie jest ani trochę przystojny, a już zdecydowanie nie był to ani Leo, ani Matthew - co oczywiście uzasadniłoby moją ewentualną decyzję pójścia na całość.

Byłam gotowa do odwrotu, gdy nagle nieznajomy powiedział:

- Jestem Bob.

W tym momencie przypomniałam sobie, że widziałam jego zdjęcie na wczorajszej okładce „Variety” i że właśnie zawarł strasznie lukratywny kontrakt z Paramountem. Podobno wyprodukował przynajmniej dwa filmy, z których każdy przyniósł ponad trzysta tysięcy zysku. Słyszałam także, że szuka nowego agenta, co oznaczało, że raczej nie powinnam go policzkować, zwłaszcza gdy mój szef, agent z żoną i nałogiem narkotycznym do opłacenia siedział trzy metry stąd.

- Cóż, Bob - rzekłam. - Miło było cię poznać. A teraz muszę lecieć. Powinnam zająć się przyjęciem.

- A kto się zajmie tobą? - spytał, wydmuchując kłąb dymu na rozjarzony czubek cygara. Słaba poświata uwi-  
doczniła gumowatą czerwoność jego obślinionych warg.

- Och, sama się sobą zajmę - odparłam, próbując przybrać swobodny ton.

Prawie mi się udało, ale niezupełnie, ponieważ sekundę później Bob umieścił swoje grube, parówkowate paluchy na mojej tali, a język w moich ustach.

- Naprawdę muszę się upewnić, czy wszystko idzie zgodnie z planem - powiedziałam, ale on nie słyszał, zajęty entuzjastycznym przeżuwaniami mojej dolnej wargi. Kopnęłam go więc leciutecznie w krocze i dałam nura za krzaki, wynurzając się od strony basenu, gdzie na chwilę oślepiły mnie baśniowe lampki i podświetlony basen. Ruszyłam najkrótszą drogą do rezydencji Daniela. Nie zacheżałam, aby się dowiedzieć, czy Agencja zyska sobie w najbliższym czasie nowego klienta, czy też nie. Próbowałam schronić się gdzieś i w samotności otrząsnąć po kolejnym spotkaniu z agresywnym hollywoodzkim bywalcem. Przeszkodziła mi w tym Lara.

- Musisz ze mną pójść. Natychmiast - powiedziała, patrząc na mnie bardzo poważnie.

Cholera. Najwyraźniej Bob dotarł do Scotta pierwszy i powiedział mu, że go molestowałam. Pewnie zostałam wyrzucona z pracy.

Lara chwyciła mnie za ramię i zaczęła ciągnąć w kierunku schodów.

- Laro, naprawdę mi przykro. Przysięgam, że to nie było żadne napastowanie seksualne. Daję słowo, że wcale go nie zachęcałam - wybuchłam, gdy przedzieraliśmy się przez tłum gości, objijając się od czasu do czasu o nieco już zmęczone kelnerki i (dałabym głowę) o jedną z bardzo popularnych młodych aktorek, która całowała szyję Tommy'ego, jednego z moich kolegów z Agencji.

- Zamknij się i po prostu idź za mną - powiedziała Lara.

Skóra na nadgarstku zaczęła mnie piec od jej uścisku i niemal złamałam kostkę, potykając się na schodach.

- To była samoobrona. Każdy prawnik na tej ziemi mnie wybroni - powiedziałam, podejrzewając, że ta akurat sprawa może w ogóle nie trafić do sądu. Po prostu dałam mi zapewne wystarczającą ilość gotówki, żeby stać mnie było na powrót do Waszyngtonu i powiedzą, żebym nigdy więcej nie pojawiała się w progach Agencji.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - spytała Lara, gdy już znalazłyśmy się w chłodnym, wyłożonym palisandrem wnętrzu głównej sypialni Daniela.

- O Bobie. - Opadłam na sedes. Byłabym się rozpląkała, gdyby nie wstrząsnęła mną dekoracja; wpuszczona w podłogę wanna wyłożona srebrną mozaiką, ciemna matowa terakota i lustro z 1920 roku. - Jezu, to najpiękniejsza łazienka, jaką kiedykolwiek widziałam!

- Wiem. Daniel musi być gejem. Nieważne, co twierdzi Scott. Gość z tak dobrym smakiem nie może być amatorem pipek. - Lara przekręciła wielki, bajkowy klucz w drzwiach, zamykając nas w środku. - Kim jest Bob?

- To znaczy, że nie jestem w tarapatkach? - spytałam.

Nie chciałam bez potrzeby zagłębiać się w detale. Koniec końców, wciąż jeszcze czułam smak jego wody kolońskiej na wargach. Wolałam nie przypominać sobie więcej szczegółów, niż to konieczne. Całe zajście spokojnie mogłoby ująć za jeden z koszmarów Wesa Cravena.

- W takim razie co my tu robimy? - spytałam.

- Musimy ściągnąć z ciebie tę sukienkę - odparła Lara, przeciągając palcami po włosach tak czerwonych, że w przydymionym świetle łazienki wyglądały jak płomień w ogniu.

- Co?! - Oczywiście przeszło mi przez myśl, że Lara mnie pragnie, ale przysięgam, że tylko na sekundę.

- Julia ma na sobie taką samą. Jeśli cię w tym zobaczy, opuści przyjęcie i Daniel dostanie szału.

- Chyba sobie żartujesz?! - roześmiałam się z ulgą. - Julii nie obchodzi to, czy mam na sobie podobną su-

kienkę. Nieważne, co na siebie włożyła, i tak będzie wyglądała sto razy lepiej niż ja. Daj spokój.

- Jezu, Elizabeth, jaka ty jesteś tępa. - Lara podeszła do mnie i zaczęła mnie rozbierać. - Nie chodzi o Julię, na rany Chrystusa. Mówisz tak, jakby w ogóle miała cię zauważyć.

- Cóż, mnie też to nie obchodzi. - Stałam, trzęsąc się lekko. Sukienka wylądowała u mych stóp. Lara zapaliła dwa papierosy i podała mi jeden.

- Chodzi o jej stylistkę, Nadię, która przyszła tu z Julią. Jest jedną z najsprytniejszych kobiet w swojej branży. Jeżeli zobaczy cię w tej sukni, wypali w niej dziury papierosem, wyleje na ciebie całą tacę koktajli albo okłamie Julię, żeby ją stąd wyciągnąć, zanim ktokolwiek oskarży ją o brak oryginalności. A teraz zastanówmy się, w co cię można ubrać.

Rozejrzała się po łazience. Wreszcie dotarła do mnie powaga sytuacji.

- Mogę pojechać do domu i się przebrać - mruknęłam. - Mieszkam tylko dwadzieścia minut drogi stąd.

- Elizabeth, jest jedenasta - powiedziała, zaciągając się głęboko dymem. - Nawet najlepsze przyjęcia w Hollywood kończą się o północy. Dyrektorzy muszą wrócić do domu i przygotować się do porannych spotkań. Aktorzy zazwyczaj chcą się wyspać przed poranną sesją pilotów, a agenci i menedżerowie? Dla nich nikt nie zostanie.

- Czy nie mogłabym po prostu schodzić z oczu Nadii przez tę ostatnią godzinę? - spytałam błagalnie, nie chcąc stracić ani jednej minuty z mojej pierwszej hollywoodzkiej imprezy. Żadne dzisiejsze ataki na moją osobę nie były w stanie odebrać mi radości z przebywania tutaj.

- Doskonale! Wiedziałam, że coś tu znajdę - zawołała Lara, grzebiąc zapamiętałe w ogromnej szafie z lustrzanymi drzwiami. - Proszę - wyciągnęła syreniozielony skrawek jedwabiu, obrębiony koronką i sprawdziła metkę. - La Perla, masz szczęście.

- Nie mogę tego włożyć - powiedziałam przerażona. - Po pierwsze, to należy do żony Daniela, a po drugie, przecież to bielizna.

- Josie nigdy się nie zorientuje. Jest na solidnej dawce leków. Włóż to.

- Ale to jest bielizna! - zawyłam.

- Nikt nie zauważy różnicy. Przymierz. - Zanim zdążyłam zaprotestować, wciągnęła na mnie jedwabną koszulkę i przyjrzała mi się krytycznie. - Doskonale. Teraz zdejmij stanik i jesteś w domu.

- Lara, ja muszę nosić stanik. Mam rozmiar C. Moje piersi nie utrzymają się same na odpowiedniej wysokości.

- Daj spokój. Wyglądasz seksownie - powiedziała i poprowadziła mnie z powrotem na przyjęcie, chwytając po drodze dwa drinki. Nalegała, żebym wypita oba, zanim zrobię następny krok.

- Dobrze. A teraz idź się pobaw. - Z tymi słowy zniknęła, zostawiając mnie samą, wśród tłumu, w bieliźnie.

Na szczęście (albo na nieszczęście - w zależności od punktu widzenia), halka okazała się prawdziwym hitem. Wypiłam kolejny koktajl dla kurażu, odkleiłam się od kolumny zwieńczającej schody w domu Daniela i ruszyłam w kierunku basenu. Nie dostrzegałam nikogo znajomego, nawet Lary, Scotta czy Daniela. Ale kiedy rozglądałam się dookoła, ktoś postukał mnie w ramię. Cameron.

- Podoba mi się twoja sukienka. Jest świetna - powiedziała.

Poczułam, że cała się spinam w obliczu jej niezmaconego gwiazdorstwa. Dziś wieczór nie miała na sobie spodni od Kmart, tylko obiecaną różową suknię, białą różę za uchem i przyjazny uśmiech na twarzy.

- Dziękuję - wydukałam, wpatrując się w nią i zastanawiając nad tym, jak nierówno zostały potraktowane istoty ludzkie przy ich stworzeniu. W tym momencie chciałam, żeby moja czarodziejska matka chrzestna załatwiła mi charyzmę zamiast inteligencji. Bycie Cameron musiało być cudowne.



- Jest tutaj jeden facet, z którym raz się całowałam, ale okazał się dużo za mądry dla mnie. Czuję się przy nim jak intelektualna mrówka. Jestem pewna, że tobie by się spodobał - wyszeptała konspiracyjnie, przysuwając się bliżej. - Naprawdę cudownie całuje, inaczej bym ci go nie poleciła - dodała, jakby próbowała poczęstować mnie kanapką z wędzonym łososiem.

- W porządku, zapamiętam to - podziękowałam, chociaż byłam za niska, żeby w oceanie gości dostrzec mężczyznę, na którego wskazywała palcem. Poza tym i tak nie starczyłoby mi śmiałości, żeby do niego podejść. - Dzięki.

- Nie ma sprawy - odparła i zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

To spotkanie w tajemniczy sposób dodało mi odwagi. Ruszyłam w kierunku przyjaźnie wyglądającej grupki ludzi siedzących w pobliżu ceglanego domku przy basenie. Powiedziałam „cześć” z zamiarem eleganckiego usadowienia się tuż obok nich. Ponieważ jednak byłam już pijana jak bela, opadłam na ziemię z gracją worka ziemniaków z Idaho.

- Cześć - powtórzyłam. Czknęłam i zbyt późno zorientowałam się, że jedną z przyjaźnie wyglądających osób był Bob.

- Muszę przyznać, że twoja nowa sukienka podoba mi się dużo bardziej - roześmiał się. Był jedynie w kąpielówkach, a towarzyszące mu dziewczyny miały na sobie bikini. Chwilę później na pobliskiej ławce przysiadł jakiś młodociany gwiazdor, którego nie rozpoznałam, i wszystkie dziewczyny zniknęły jak sen złoty, materializując się w jego pobliżu. Zostałam sama na sam z Bobem.

- Dobrze się bawisz, złotko?

Chciałam odpowiedzieć uszczypliwie, że jedyną osobą, z którą dobrze się bawiłam, byłam ja sama. Kiedy jednak spojrzałam na niego, uśmiechnął się niemal sympatycznie.

- Tak, świetnie - odparłam.

- I powinnaś. Jesteś najładniejszą dziewczyną na tym przyjęciu - mrugnął.

- Już prawie północ - rzekłam, zmieniając temat. Byłam zawsze zbyt wrażliwa na pochlebstwa.

- Dokładnie za dziesięć dwunasta. Wciąż mamy trochę czasu na zabawę, zanim pójdziemy na sianko.

- O, ja już się wybawiłam - powiedziałam, zdając sobie sprawę z prawdziwości tych słów. Pomimo całego dramatu, roztrzaskanych marzeń o Jake'u Hudsonie i tym podobnych, czułam się tak, jakbym w jakiś sposób należała do tego świata. Nie to, że nagle stałam się kimś ważnym w tym mieście, po prostu znalazłam wreszcie swoją niszę w tutejszym ekosystemie. Uśmiechnęłam się do siebie. Byłam bardzo daleko od Waszyngtonu, ale czułam się dobrze.

- Chodźmy popływać.

Pogrążona w rozmyślaniach, nie zauważyłam, że Bob stanął nade mną i wyciągnął dłoń. Byłam na tyle rozluźniona, że chwyciłam ją i pozwoliłam mu postawić się na nogi. Woda wyglądała tak cudownie, że zanim zdążyłam się zastanowić, czy aby nie wpłynię to w niewłaściwy sposób na moją karierę, zanurkowałam wraz z Bobem do basenu.

Kilka chwil później, chichocząc, pluskałam się w cudownie ciepłej wodzie, a Bob obserwował, jak prezentuję swoją słynną podwodną stójkę.

- Musisz zrzucić tę sukienkę, cukiereczku - powiedział, gdy wynurzyłam się na powierzchnię z nosem wypełnionym chlorowaną wodą. - Pływanie w tym czymś jest niebezpieczne. Może cię pociągnąć w dół.

Ponieważ zawsze, gdy trochę sobie wypiję, staję się bardzo głupia i uległa, ściągnęłam wydymającą się na wodzie halkę i wypłatałam się z niej. Popłynęłam na głęboką wodę odziana wyłącznie w stringi i diamentową kolię. Kilka sekund później, młóćąc szaleńczo wodę, pojawił się obok mnie Bob. Rzeczywiście nieźle mnie musiała wziąć ta mieszanka koktajli, diamentów, wody i smutku, ponieważ sekundę później wpił się w moje

usta, a ja nie zareagowałam. Jake wrócił do swego domu na plaży w Malibu ze swoją piękną lalą i teraz niewątpliwie uprawiali cudowną, magiczną miłość. Poza tym było coś uspokajającego w tym, jak Bob smakował cygarami i jak delikatnie gładził mnie po karku. Wokół mnie chlupotała woda. Rzeczywistość wydawała się miliony kilometrów stąd.

Zaledwie kilka minut później rozległ się głośny plusk, a potem następny i następny. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, co narobiłam. Wszyscy poszli za moim przykładem. Cztery Szalone Dziewczyny z nagimi piersiami pluskały się w wodzie, a gdzie Szalone Dziewczyny, tam musieli znaleźć się rozochoceni chłopcy. Chwilę potem woda ożyła menedżerami, reżyserami i producentami w samych bokserkach lub, o zgrozo, odzianych jeszcze skąpiej. Wydawało się, że wszyscy goście znaleźli się w basenie. Z wyjątkiem Daniela, który stał na brzegu tuż nad moją głową, przeżywając prawdziwy horror. Jego piękny basen został skalany przez dziesiątki taplających się w nim obmierzłych ciał. Był błydy z przerażenia, a ja wiedziałam, że to moja wina. „Co zrobić”, pomyślałam pragmatycznie, wyczołgując się z basenu, ociekająca wodą, i modląc się, by taksówki wciąż jeszcze jeździły. „Hollywood jest dżunglą, więc jedynym sposobem na przetrwanie jest skok na głęboką wodę”.

1

***Przełożony nie musi się usprawiedliwiać.  
To jedna z przyjemności bycia szefem.***

**Jimmy Steward jako Alfred Kralik (*Sklep na rogu*)**

W poniedziałkowy poranek, mój nastrój pt. „mam to gdzieś” szezł był na podłodze mojej sypialni, tuż obok butów Lary, mokrych stringów i chusteczek, którymi próbowałam zetrzeć makijaż, kiedy wreszcie udało mi się dotrzeć do domu. Wychodząc z przyjęcia u Daniela, nie pamiętałam nawet o tym, żeby wziąć darmową torebkę z kosmetykami. Zostało mi już tylko miotanie się między wzgardą do samej siebie a strachem na myśl o konsekwencjach moich frywolnych wybryków. Przeżeniem, które rosło wraz z pokonywaniem kolejnych poziomów parkingu Agencji. Powoli staczałam się w dół, do czwartego, piątego i szóstego kręgu piekieł, aż znalazłam miejsce tak odległe, że ciężko byłoby mi tam spotkać karalucha, nie wspominając o kolegach z biura.

Wygramoliłam się z wozu w obawie, że jeśli zostanę w środku choćby sekundę dłużej, jeden z Jose dojrzy mnie na jednej z kamer CCTV i przybiegnie uratować przed domniemaną śmiercią z zaccadzenia. Tak przy okazji, obaj Jose - dwaj przystojni, starsi Meksykanie, jeden wysoki i wiotki jak fasolka szparagowa, drugi sięgający koledze zaledwie do owłosionej piersi - byli jednym z najjaśniejszych punktów w całej Agencji. Obaj mieli tak samo na imię i prowadzili parking z efektyw-

nością jednostki militarnej i hucpą większą niż J. Lo. Pierwszego dnia pracy uśmiechnęli się do mnie współczująco i przez cały czas byli dla mnie miłsi niż moi koledzy z pracy. Jeśli zapodziałam samochód, wskazywali mi właściwą drogę bez insynuowania, że jestem idiotką. Pewnego razu, gdy całą przerwę na lunch spędziłam w pralni publicznej, czyszcząc strój sportowy Victorii, poczęstowali mnie batonikiem Rice Crispy. Kiedy zaś utknęłam na parkingu w kolejce do wyjazdu, wysoki Jose nauczył mnie, jak obliczać marżę z filmowego zysku brutto. Poza tym, obaj zawsze w tajemniczy sposób wiedzieli, kiedy będę potrzebowała samochodu. Nawet w nagłych przypadkach, czyli gdy musiałam pędzić po sok z suszonych śliwek. Jose byli chyba wszechwiedzący. Tego poranka, gdy w końcu dowlokłam się do ich stróżówki obok windy, czekali na mnie.

- Ach, udało ci się wreszcie. Tylko że teraz powinnaś wrócić do samochodu, bo skończyły się godziny urzędowania - zaśmiał się wysoki Jose.

- Może jest zbyt biedna, żeby zapisać się na siłownię, więc ćwicz, spacerując po parkingu - dorzucił drugi Jose.

- Mylicie się obaj - odparłam żałośnie. - Potrzebowałam trochę czasu na refleksję.

- Może chcesz pożyczyć moje lustro?

Nie mogłam się powstrzymać i zachichotałam.

- Cóż, cieszę się, że to dla was takie zabawne. Osobiście mam ważniejsze rzeczy na głowie.

- O tak, wiemy - powiedział ponuro wysoki Jose. Zazwyczaj był bardziej optymistyczny z nich dwóch.

- Co wiecie? - spytałam szybko, przy okazji zapewne czerwieniąc się gwałtownie.

- *Si te acuestas con ninos, te levantas meado* - pokiwał głową mały Jose.

- Co to znaczy, do diaska? - Drżącą dłonią nacisnęłam guzik windy, przywołując tym samym pojazd, który zabierze mnie bezpowrotnie na spotkanie z moim osobistym demonem.

- Kto sypia z dziećmi, ten często budzi się obsikany - wyjaśnił wysoki Jose.

- Dzięki - zamknęłam oczy, rozważając w myślach znaczenie jego słów, ale zanim zrozumiałam, że obaj Jose wiedzą o moich imprezowych wybrykach topless i chcia mi zaoferować perły swej mądrości, zadzwieczał dzwonek, drzwi windy się otworzyły i weszłam do środka.

- Dzień dobry - przywitał mnie młody agent z działu literatury, w grafitowym garniturze, z przylizanymi włosami i szerokim uśmiechem na twarzy. Zbyt szerokim, jak na mój gust. Próbowałam sobie przypomnieć, czy on też był na przyjęciu, ale większość wspomnień zasnuła mgła. Moja genialna podświadomość postanowiła nie udostępniać mi żadnych danych na temat sobotniej imprezy, ponieważ mogłabym się wtedy zabić. Postanowiłam zignorować agenta. Schyliłam głowę i wbiłam wzrok w czubki butów. Agent wysiadł na pierwszym pięttrze, ja popłynęłam na drugie. Zastanawiając się przez ten czas, co takiego będzie mnie czekać, gdy wejdem przez podwójne drzwi na kurzą fermę. Czy Scott będzie stał z rękami na biodrach i każe mi się wynosić? Czy moja hańba stanie się głównym tematem najnowszego „Variety”? Może moje rzeczy są już spakowane, a zastępczyni zmienia czcionkę na moim ukochanym Macu z Times New Roman na Arial, częstując się przy tym schowanymi na nagłe wypadki czekoladkami Junior Mints.

Okazało się jednak, że wszystko jest dokładnie tak jak zwykle. Asystentki, które zdążyły się już pojawić, siedziały za biurkami, sortując pocztę, włączając komputery i popijając sok Jamba Juice z dodatkiem echinacei. Podeszłam chyłkiem do mojego stanowiska i przypnęłam na krzesło, zanim ktokolwiek zdołał mnie zauważyć. Prawdę powiedziawszy, żadna z asystentek nie mogła wiedzieć o moim prowokacyjnym występie w basenie, ponieważ żadna z nich nie została zaproszona na przyjęcie. Ja znalazłam się tam tylko dlatego, że aranżowałam całą imprezę i miałam dopilnować, by

wszystko przebiegło zgodnie z planem. Pochyliłam głowę ze wstydu. Gdybym się nie upiła, przez co stałam się nadmiernie przyjazna, mogłabym teraz być dumna z tego, jak świetnie udało się przyjęcie. To znaczy do chwili, gdy zbecześciłam basen.

Tak czy siak, przynajmniej nie czekał na mnie Daniel, nie dostałam też żadnego e-maila z działu zatrudnienia, zapraszającego do przedyskutowania mojego lubieżnego zachowania. Nie było również Scotta, który chciałby mnie wylać. Co za ulga! Nałożyłam zestaw słuchawkowy. Noah z recepcji położył na moim biurku branzówki i pocztę.

- Dzięki - uśmiechnęłam się.

Skrzywił usta z wyższością i podszedł do biurka Talithy. Zaczęłam przeglądać korespondencję: protokół z piątkowego spotkania pracowników, nowe wydanie „Entertainment Weekly” z Nicole na okładce, „Variety” i „Hollywood Reporter” bez mojego nazwiska w tytułowych nagłówkach oraz wybrzuszona koperta Agencji, prawdopodobnie zawierająca figurki z *Aniołków Charliego*, które Scott miał pokazać Drew. Włożyłam rękę do środka i wyciągnęłam coś, co podejrzenie przypominało mój stanik z sobotniej nocy. Wcisnęłam go pospiesznie z powrotem do koperty i rozejrzałam się, sprawdzając, czy nikt nie zauważył. Gdy upewniłam się, że nie, zajrzałam do środka i wyciągnęłam żółty postit.

*Zostawiłaś to w domu Daniela. Chyba będziesz go potrzebowała.*

*Pozdrowienia  
Ryan*

To ten pierdziel! Z biura zaczęły dochodzić mnie chichoty. Podejrzewałam, że wśród asystentów krąży właśnie e-mail ze zdjęciem mojego obnażonego biustu. Znajdę sposób, aby odpłacić Ryanowi za jego złośliwe zagrania z soboty, choćby miało się to stać moją jedyną misją życiową.

Przez chwilę rozważałam ulubione zagrywki, jak zaprawienie jego kawy kropelkami Visine albo przerobienie jego wygaszacza ekranu na kolekcję gejowskich zdjęć pornograficznych. Myśli o zemście przerwał jednak telefon od Lary, która poinformowała, że nie przyjdzie dziś do pracy. Była chora. I bardzo obcesowa. Nie powiedziała niczego, co by mnie upewniło, że jestem cennym pracownikiem Agencji. Postanowiłam jednak nie popadać w paranoję. Biedna dziewczyna była chora i uspokajanie mnie to zapewne ostatnia rzecz, o jakiej teraz myślała.

Zdecydowałam, że zapomnę o sprawie i skoncentruję się na pracy. W końcu po to tu byłam, nieprawdaż? Spojrzałam na plan zajęć Scotta i zorientowałam się, że jeśli nie pojawił się pięć minut temu, to z pewnością spóźni się na poniedziałkowe spotkanie. Agenci dyskutowali na nim o postępach pracy ich klientów, o tym, kogo mogliby ustawić w poszczególnych rolach, którym reżyserom chcieli zaproponować najbardziej pasjonujące nowe scenariusze i czy przyszedł już czas na realizację filmu o Hunie Attyli (Nie robiliśmy go od lat, prawda?). Innymi słowy, każdy agent z tego budynku powinien uczestniczyć w spotkaniu i podzielić się z innymi swymi genialnymi pomysłami. Gdzie był Scott? Zadzwoiłam na jego komórkę, ale odebrała kobieta.

- Halo?

- Witam. Mówi Lizzie, z biura Scotta. Czy mogę z nim rozmawiać?

- Raczej nie. Jest teraz czymś uwiązany - usłyszałam wybuch śmiechu i połączenie zostało przerwane.

Lara opowiadała mi kiedyś, że Mia Wagner jest lekko stuknięta, nie byłam więc specjalnie zaskoczona.

O dziesiątej piętnaście zadzwoniła do mnie wkurzona Katrina, trzecia asystentka Daniela. Chciała wiedzieć, gdzie jest Scott, ponieważ spotkanie właśnie się zaczynało. Powiedziałam, że pojechał do lekarza i prosiłam, że nie powiadomiłam ich o tym wcześniej.

- O tak, jasne - odparła i rozłączyła się.



Zdaje się, że czekał mnie jeden z tych dni.

Około jedenastej zaczęłam się trochę martwić. Zrozumiałam już, że nikt nie zamierza mnie zwolnić, ale chyba wszyscy ludzie na świecie dzwonili do mnie w sprawie Scotta. Przeleciałam już przez tradycyjne usprawiedliwienia, typu: „Przed chwilą miałam go na linii, ale stracił zasięg po wjeździe do kanionu”. Czułam się nieco zdesperowana. Przejrzałam notatnik Lary, lecz poza tajemniczymi czerwonymi trójkątami w rogach stron (najprawdopodobniej kod oznaczający coś tajemnie fascynującego), dowiedziałam się jedynie, że Mia Wagner miała być do jutra w centrum odnowy biologicznej Canyon Ranch. Cholera. Może ta kobieta, która odebrała telefon Scotta nie była jednak jego żoną? Może przedawkował w domu albo został zamordowany przez jakąś sektę? W końcu to Kalifornia. Wiedziałam jedno: żywego czy martwego, muszę go znaleźć do pierwszej, ponieważ o tej porze miał lunch ze Stevenem w Czterech Porach Roku i absolutnie musiał się na nim pojawić. Wiedziałam, że przez miesiąc Scott stawał na głowie, by zostać zaproszonym na bar micwę, w której uczestniczył Steven, a potem musiał się bardzo podlizywać, żeby załatwić sobie ten lunch. Jeśli jeszcze dychał (nawet ledwo, ledwo), nie było możliwości, by przegapił to spotkanie.

Odebrałam kolejny telefon i przygotowałam sobie podręczną listę usprawiedliwień.

- Biuro Scotta Wagnera.
- Lara?
- Nie, mówi Elizabeth - odparłam ze sztuczną wesołością.
- Gdzie, do cholery, jest Lara? - nieznajomy dyszał jak jakiś psychopata.
- Przepraszam, kto mówi?
- Do diabła! To ja, Scott.
- Dzięki Bogu! - Nie mogłam ukryć ulgi.
- Trzeba mnie stąd zabrać.
- W porządku. Skąd?

- Z Dojareczki, na South Fairfax - warknął. - Ktoś ukradł mój samochód, a o pierwszej mam cholerny lunch ze Stevenem. Pospiesz się. I, do kurwy nędzy, nie wspominaj o tym nikomu!

- Jasne - odparłam gorliwie, ale on już odłożył słuchawkę. Złapałam kluczyki do samochodu i usiłując wyglądać w miarę naturalnie, ruszyłam do windy.

Gdy wreszcie przybyłam na South Fairfax Avenue numer 398, pomyślałam, że chyba pomyliłam adres. Wydawało mi się, że Dojareczka to restauracja ze zdrową żywnością, w której Scott miał z kimś poranne spotkanie i na nieszczęście w tym czasie ktoś ukradł mu samochód. Nigdzie jednak w zasięgu wzroku nie było ani jednego koktajlu truskawkowego czy restauracji z organicznymi bułeczkami rodzynkowymi. Zamiast tego zobaczyłam obskurny motel, zbudowany chyba w latach siedemdziesiątych. Była to jedna z tych przydrożnych stacji, w których człowiek sprawdza, czy na prześcieradle nie ma włosów łonowych i przez całą noc się martwi, że ktoś - może nawet sam menedżer - go obrobi. Co, u licha, robił tu Scott? Zaparkowałam na wolnym miejscu i podążyłam za mrugającą neonową wskazówką do recepcji.

- Dzień dobry. Szukam pokoju Scotta Wagnera - rozejrzałam się ostrożnie. - Tak sędzę.

- Numer dziewięćdziesiąt jeden, drugi po lewej. Powiedz mu, że wisi mi za dwie noce, bo jest już po jedenastej - odparł odpychający młodzieniec zza obdrapanej lady. Skinęłam głową i pobiegłam po klejącym się od brudu brązowym dywanie do pokoju numer 91. Zapukałam niepewnie w obrzydliwe drzwi.

- Scott, to ja - powiedziałam.

- C o ?

Drzwi uchyliły się nieco i zobaczyłam Scotta. Dodam, że nie był szczególnie zachwycony moim widokiem.

- Wszystko w porządku? - spytałam, wślizgując się do słabo oświetlonej, małej sypialni.

- Co ty tu robisz?

- Zadzwońiłeś do mnie i powiedziałeś, że trzeba cię stąd zabrać - zastanawiałam się, czy wreszcie przekroczył granicę i z narkomana „od święta” stał się nieobliczalnym, zdziwaczalnym profesjonalnym ćpunem.

- Gdzie jest samochód?

- Na dole - wskazałam przez okno na moją hondę, wyglądającą dość nieszczęśliwie na brzydkim parkingu. Scott chyba kompletnie opadł z sił.

- Prosiłem o samochód. O mercedesa. Limuzynę. Chciałem, żebyś przysłała kierowcę.

- I oto jestem - odparłam ze sztuczną wesołością.

- Przyniosłaś mi jakieś ubranie?

W tej chwili zauważyłam, że miał na sobie tylko bardzo skąpy biały ręcznik.

- Ubranie? Nie. A miałam? - Chryste! Oczekiwałam od niego przynajmniej trochę wdzięczności. Przez cały poranek nadstawiałam za niego karku, wyrabiając w ludziach przekonanie, że jako asystentka jestem większą idiotką niż w rzeczywistości. Przyjechałam aż tutaj, specjalnie po to, by go stąd zabrać, a ten na mnie jeszcze wrzeszczy.

- Muszę coś włożyć na lunch, do cholery! Spodnie? Skarpetki? Koszula?

- Co się stało z twoimi własnymi? - zapytałam głupio. Naprawdę powinnam się nauczyć, kiedy nie należy zadawać pytań, tylko reagować.

- Cholera, Lizzie! Nie czas na teleturniej. Jakaś dziwka je ukradła. Muszę coś na siebie włożyć - przemierzał wielkimi krokami obskurny pokój, zdecydowanie niekojarzący się z Czterema Porami Roku. Śmierdziało tu potem, papierosami i każdą możliwą wydzieliną ciała. Wstrzymałam oddech.

- No dobrze. Mam w samochodzie dopiero co kupiony dres Juicy Cature. Tylko że to jest kobiecy fason...

- Przynies go tutaj. Mam lunch i nie mogę się na nim pojawić w cholernym ręczniku. A przynajmniej nie w ręczniku z tego pieprzonego motelu! - wrzasnęła.

Wypadłam z pokoju, z radością biegnąc na parking, żeby napełnić płuca świeżym powietrzem. Mniejszym

szczęściem napawało mnie rozstanie się z brązową papierową torbą, w której znajdował się mój nowy dres w kolorze ultramaryny. Kupiłam go dla poprawienia sobie humoru w niedzielę, na wyprzedaży wzorów. Wiedziałam, że nigdy więcej go nie ujrzę. Z drugiej strony, chyba nie chciałabym go odzyskać, ponieważ najwyraźniej zamierzał go nosić bez bielizny, a sądząc po tym, gdzie spędził noc... cóż, przed powtórным użyciem musiałabym najpierw ten dres wygotować.

Mimo wszystko, rozstanie z nim bolało.

Kiedy Scott, odziany w moją mięciutką własność, usadowił się wreszcie na siedzeniu pasażera, zachciało mi się płakać z powodu straty. Potem jednak zobaczyłam, jak zabawnie i idiotycznie wygląda i omal nie zawyłam ze śmiechu. Przykrótką górę zapiął pod samą szyję. Spodnie na gumkę kończyły się tak nisko, że odsłaniały niemal cały jego owłosiony brzuch, a nogawki były zdecydowanie za krótkie. Wyglądał tak bardzo niescottowo, że nie potrafiłam się powstrzymać przed stłumionym chichotem.

- Co jest?! Śmiejesz się ze mnie? - warknął.

Przygryzłam wargę i pokręciłam głową.

- Nie, oczywiście, że nie - odparłam ze stoickim spokojem.

- Lepiej, kurwa, żeby tak było - powiedział ponuro i zapalił papierosa, nie zapytawszy, czy może. Nie otworzył też okna. Kiedy jednak zmierzaliśmy do Czterech Pór Roku, zaczął w zamyśleniu gładzić pluszowy welur na udzie.

- Wyglądam jak palant, co? - powiedział, krzywiąc usta.

- Tylko troszeczkę - stłumiłam chichot.

W tym momencie Scott zaczął pękać i w chwilę później oboje przedzieraliśmy się przez miasto moim starzejącym się wózkiem, w jasnych, południowych promieniach słońca, śmiejąc się histerycznie w takt delikatnej muzyki rockowej, która sączyła się z radia.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziałam, ocierając łzę z kącika oczu. - Zamierzasz wejść do restauracji tak ubrany i spotkać się ze Stevenem?

- Żebyś wiedziała - odparł wyzywająco. - Te dziwki pewnie myślą, że mnie przerobiły, ale nie zamierzam pozwolić im wygrać.

- Jakie dziwki? - spytałam instynktownie, zanim pomyślałam, że wypytywanie własnego szefa o brudy jego życia nie jest najszcześniejszym posunięciem.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - odezwał się gorliwie.

- Jasne - wzruszyłam ramionami. - Pewnie że chcę się dowiedzieć, jakim cudem znalazłeś się w tej jaskini rozpusty o jedenastej rano, bez ubrania i samochodu.

Cóż, może nie powinnam pytać, ale było już za późno. Scott zapalił kolejnego papierosa, odsunął siedzenie do tyłu, żeby zrobić więcej miejsca na nogi i zaczął swoją opowieść:

- Wczorajem, po wczorajszej premierze, planowałem pojechać prosto do domu. Darowałem sobie nawet popijawę i wyszedłem z przyjęcia wcześniej, żeby wypaść się przed lunchem ze Stevenem. Muszę powiedzieć, że jestem cholernie z siebie dumny z powodu tego spotkania. No więc jechałem sobie do domu, a tu na światłach na Doheny zaczyna mnie podrywać babeczka w czarnym range roverze. Przysięgam na Boga, Lizzie, była napalona! Nie więcej niż dwadzieścia trzy lata, fryzura z małych warkoczyków. Mia wyjechała i w ogóle, ja jestem trochę podjarany po pokazie tego seksownego filmu, a tu nagle ta laska w białym podkoszulku bez stanika, masuje sutki i gapi się na mnie. I puszcza do mnie oczko. No sama powiedz, co facet ma zrobić w takiej sytuacji? Więc opuszczam szybę i mówię: „Cześć”. Myślę sobie, nie zaszkodzi trochę kultury. Ona oblizuje wargi i pyta, czy pojedę za nią do hotelu. Sama powiedz, który facet by się oparł, Lizzie, no nie? No więc jadę za nią do Dojareczki. Oczywiście, nie jest to Bel Air, ale olewam to. Widzę, że parkuje przy tym oblechu, ale co się będę spierał? Kupuję nam pokój i ledwo udaje mi się zamknąć za nami drzwi, ona już mnie rozbiera. Naprawdę była napalona! No więc całuje moją klatę, gryzie sutki i zębami rozpiną suwak u spodni. Ściągnęła mi

ciuchy w kilka sekund. Potem sama pozbywa się bluzki, więc próbuję dotknąć tych jej ślicznych, malutkich cy-cuszków, ale ona chce, żebym wziął pastylkę. No więc łykam X i zaczynamy rock and rolla. Szalejemy i jest fajnie. I tak się zabawiamy przez jakiś czas i prawie już jestem gotowy się spuścić, kiedy nagle pokój zaczyna wirować, nadruki na tapecie tańczą tango. Ale ona ciągle siedzi na łóżku i mnie całuje, a potem przywiązuje do łóżka. Czuję się jakoś tak fajnie, więc pozwalam jej robić, co chce. Sam już odpalam. I widzę, że ta się ubiera, dzwoni do kogoś z komórki, a ja zasypiam z ciekącym fiutem. W każdym razie, kiedy się obudziłem nad ranem, nie miałem bladego pojęcia, gdzie jestem. Udało mi się jakoś odwiązać i zgadnij, co się okazało. Ukradła wszystko. Mojego porsche, klucze, portfel, zegarek i telefon. Nawet ubranie. Dokładnie wszystko. I wtedy zrozumiałem, że wszystko sobie zaplanowała. Zostawiła mi na łóżku napisaną na maszynie kartkę w kopercie:

*Drogi Panie Wagner,*

*Być może pamięta Pan, że kilka tygodni temu miał Pan szczęście opuścić przyjęcie w Laurel Canyon z moją przyjaciółką Grace. Zabrał ją Pan do domu i zanim przeleciał ją Pan w wannie, powiedział jej Pan, że jest agentem filmowym i że bez problemu znajdzie Pan dla niej pracę. Obiecał Pan, że jeśli Grace zostawi swoją wizytówkę, na pewno Pan zadzwoni. Zgodził się Pan również ją reprezentować. Oczywiście nigdy się Pan do niej nie odezwał, panie Wagner, co uznaliśmy obie za najgorszy przykład braku dobrych manier. Postanowiłyśmy się zatem upewnić, że więcej żadna początkująca aktorka nie padnie ofiarą Pana podłych kłamstw. Żywimy nadzieję, że utrata samochodu, ubrania i portfela nauczy Pana większego szacunku dla innych ludzi.*

*Z poważaniem*

*Anioł Sprawiedliwości*

- Najwyraźniej cała ta sprawa ze związywaniem miała być dla mnie nauzką. Bardzo, kurwa, przyteczna lekcja: aktorki są walnięte. Zupełnie jakbym nie wiedział!

Skręciłam w lewo i zjechałam na trzypasmową drogę dojazdową do Czterech Pór Roku. Odźwierny spojrzął na mój samochód z przerażeniem.

- Cóż, cieszę się, że żyjesz.

Tylko tyle mogłam powiedzieć. Zresztą mówiłam szczerze. Scott był jak dziecko, którym nieustannie trzeba się opiekować, ale przy tym również bardzo wyluzowanym szefem. Wiedziałam, że mogłam trafić na dużo gorszego i nie chciałam go jeszcze tracić, zwłaszcza z powodu jakiejś lekkomyślnej aktorki z misją zemsty (a obecnie również z nowiutkim, lśniącym porsche).

- Jak wyglądam? - spytał, przeciągając palcami po zmatowiałych włosach.

- Chcesz usłyszeć prawdę? - Wyglądał niezbyt reprezentacyjnie.

- No dobra. Śmierdzi mi z gęby? - Kiedy chuchnął, omal nie zemdlałam. Chwyciłam torebkę i wyciągnęłam paczkę tic taców.

- Proszę, weź wszystkie - wręczyłam mu.

Wrzucił do buzi całą garść.

- Dzięki, Lizzie-0 - powiedział i pochylił się, żeby pocałować mnie w policzek. Z całych sił starałam się nie wzdrygnąć. - Wróć z Danielem, ale mogłabyś coś dla mnie wypożyczyć. Hej, co byś powiedziała na merca, bez dachu? Nie, załatw mi ferrari. Czarne. Aha, i zadzwoń jeszcze do mojej ubezpieczalni. Powiedz, że mnie okradziono.

- Okradziono cię.

- Nie mów o panienkach.

Obserwowałam Scotta, jak wysiadł z samochodu w sam środek południowego upału, spowity w najbardziej ultramarynowy błękit, w za krótkich, obcisłych spodniach, ze zmierzwioną czupryną. Pomyślałam ze zdziwieniem, że chyba mu się uda. Portier uśmiechnął

się do niego jak do starego przyjaciela i przytrzymał drzwi. Jestem przekonana, że gdy Scott pojawił się w restauracji, sławny reżyser Steven przytulił go ciepło, a jeszcze później, kiedy wcinając bułkę, perorował z jaką pasją i zaangażowaniem reprezentuje klientów, Daniel był dumny z posiadania takiego współpracownika. Ponieważ, cokolwiek by powiedzieć, Scott był supergościem.

Za to ja byłam sto sześćdziesiąt dolców do tyłu, pod obstrzałem złych spojrzeń parkingowych i spóźniona godzinę na zebranie strategiczne, na którym miałam pomagać Victorii. Oznaczało to w praktyce parzenie kawy, ale nie w tym rzecz. Czy chodziło o pomoc logistyczną, czy serwowanie drinków i tak mi się oberwie. Wszystko dlatego, że wykonywałam swoją pracę. W świecie asystentów nie istnieje coś takiego, jak sprawiedliwość. Jest tylko nadzieja, która za każdym razem okazuje się jak najbardziej nierealna.



***On jest jak zwierzę. Ma zwierzęce zwyczaje, zupełnie jakby był podczłowiekiem.***

Vivien Leigh jako-Blanche Dubois (*Tramwaj zwany pożądaniem*)

- Słucham, Agencja. - Odebrałam telefon z ołówkiem w rękę.

- Lizzie? - zazwyczaj tylko Scott nazywał mnie Lizzie, ale ten głos raczej nie należał do niego. Poza tym widziałam Scotta w jego własnym biurze, wrzucającego piłkę do kosza.

- Elizabeth Miller.

- Tu Bob.

Zapadła cisza, podczas której usiłowałam sobie skojarzyć mojego rozmówcę. Bob... Redford? Bob... De Niro? (no dobrze, przyznaję, nie znałam ich osobiście, ale po czterdziestu ośmiu godzinach pracy w tym biznesie wszyscy wiedzą, że woła się na nich Bob, a nie Robert. To coś w rodzaju masońskiego znaku, który odróżnia profesjonalnych bywalców Hollywoodu od czytelników magazynu „People”. Wprawdzie żadne z nich nigdy nie zasiadło do wspólnego stołu ani z Bobem, ani z Robertem, ale ci pierwsi lubią sprawiać wrażenie, że robią to regularnie).

- Bob? - spytałam ostrożnie, prosząc o wyjaśnienie.

- Z sobotniego przyjęcia - poinformował mnie niskim, schrypniętym głosem.

- Bob. Tak, Bob. - Byłam tak zajęta wykonywaniem telefonów i robotą papierkową w związku z nowym kon-

traktem Scotta ze Stevenem, że sobota wydawała mi się kompletnie nierealnym zdarzeniem. Nagle jednak przypomniałam sobie wszystko: smak cygara i mięsiste paluchy.

- Lizzie, kochanie.

- Czy chciałby pan...emmm... żebym połączyła pana ze Scottem? - spytałam z nadzieją. W końcu był przecież znanym producentem. Przynajmniej tak mi powtarzał w basenie dobre sześćdziesiąt razy, gdy gładziłam palcami jego owłosioną pierś. Dlatego teraz wydawało mi się logiczne, że chciałby porozmawiać z moim szefem. Jeśli o mnie chodzi, zapewne zastosował regułę Jake'a Hudsona: „Raz pocałowana, na zawsze zapomniana”.

- Co byś powiedziała na kolację we dwoje w sobotę wieczorem?

Najwyraźniej nie stosował zasad Jake'a Hudsona.

- Kolacja? W sobotę?

Zakaszlałam, próbując zyskać na czasie. Kiedy spojrzałam w górę, przy moim biurku stał Scott z dziwnym wyrazem twarzy. Najwyraźniej nie miał zamiaru odejść.

- Kto to? - spytał bezgłośnie.

- Bob, czy mógłbyś chwileczkę zaczekać?

Zawiesiłam połączenie.

- Dzwoni Bob Davies - powiedziałam do Scotta, który założył zapewne (i słusznie), że znajdujemy się w agencji filmowej, a nie w agencji towarzyskiej, zatem telefon był do niego.

- Bob Davies? - zapytał lekko zagubiony.

- Tak.

- Czy on przypadkiem nie szuka nowego agenta? Rany gościa! Lizzie, czy Bob chce, żebyśmy go reprezentowali? Człowieku, ale tydzień! Właśnie podpisał kontrakt z Warner Brothers na sześć filmów. Musiał się dowiedzieć z branżówek o naszej umowie ze Stevenem i teraz pewnie chce, żeby ktoś ponosił go na rękach. Przełącz go do mnie natychmiast.

- Właściwie to Bob chciał się ze mną umówić na kolację. - Oczekiwałam, że się wścieknie albo zaleci mi

ograniczyć moje brudne życie seksualne do godzin pozasłużbowych.

- Absokurwalutnie fantastycznie! - Scott przybił mi piątkę.

- Tak, ale Scott, nie sądzę...

- Musisz pójść, Lizzie. To świetna partia - orzekł podkscytowany.

- Nie wydaje mi się. Jest trochę grubiański, ma nadwagę i...

- Nie to miałem na myśli. To świetna partia dla nas. Po prostu się zgódź, do cholery!

Był to zdecydowany rozkaz i mimo że spoglądałam błagalnie na mojego szefa, który był ćpunem niewiedzącym nawet, jaki mamy dzień tygodnia i dla którego poświęciłam mój strój sportowy Juicy Couture, to wyraźnie oczekiwał ode mnie umówienia się z Bobem. Połączyłam się z nim.

- Bob, przepraszam, że musiałeś czekać. Mówiłeś o lunchu w sobotę? - próbowałam uczynić moją randkę mniej przerażającym wydarzeniem, chociaż po namyśle spotkanie z nim w świetle dnia niekoniecznie musiało w tym pomóc.

- Spago, sobota o dziewiątej wieczorem. Zostaw samochód w domu.

- Tylko widzisz, Bob, ja właściwie...

Ale połączenie zostało już przerwane. Bob wiedział, że jest świetną, choć może otyłą partią. Zdawał sobie również sprawę, że dziewczyna o mojej pozycji nie może sobie pozwolić na odmowę. Cóż, w każdym razie nie w sytuacji, gdy stoi nad nią jej własny szef. Chwyciłam ołówek i zapisałam spotkanie w kalendarzu. Miałam nadzieję, że między chwilą obecną a sobotą zdarzy się coś, co pozwoli mi się z tego wywinąć. Podejrzywałam, że wymiana kości biodrowej lub epidemia dżumy w zupełności wystarczy. Pozostawało mi jedynie trzymać za to kciuki.

Niestety, do soboty nie wydarzyło się nic, co mogłoby zmienić moje ponure przeznaczenie. Zaczęły mnie je-

dynie dręczyć koszmary nocne, w których pojawiałam się w Spago, a doprowadzona do stolika dowiadywałam się, że będę jadła obiad z gorylem o imieniu Gazza, który uciekł z zoo w San Diego. Za każdym razem spocona budziłam się dokładnie w chwili, gdy Gazza sięgał przez stół, chwycił moją dłoń i mówił mi, że mam świetne cy-cuszki.

Nie muszę dodawać, że na randkę wdziałam bezpłciowy golf, tak luźny, że nawet najbardziej bystrooki podrywacz miałyby duże trudności ze zorientowaniem się, czy w ogóle posiadam jakiś biust. Do tego wybrałam spodnie tak ogromne, że trzepotały na wietrze. Swobodnie mogłabym w nich ukryć najszersze uda w całym mieście. Aby dopełnić mojego aseksualnego wyglądu, związałam włosy w skromny kucyk i włożyłam perłowe kolczyki, które głośno dopraszały się szacunku dla właściciela. Dobrze, bardzo dobrze. Zanim ruszyłam w stronę Spago, przyjrzałam się sobie w drzwiach samochodu. Żadnej dwuznaczności.

- Złotko, zdaje się, że mówiłem ci o zostawieniu samochodu w domu? - powiedział Bob, gdy przybyłam do stołu i ostentacyjnie rzuciłam kluczyki na blat (ze względu na „Hollywoodzkie Słoneczko” do września następnego roku nie będzie mnie stać na przekazanie wozu parkingowym). Wstał i obdarzył mnie wilgotnym pocałunkiem.

- Och, nie ma sprawy - odparłam uprzejmie, wycierając z ust jego ślinę. - Uwielbiam prowadzić, a poza tym potrzebuję praktyki. Zawsze się gubię na autostradzie i ląduję w South Central - zaśmiałam się beztrzesko.

- Nic się nie martw. Mam szofera. Powiem mu, żeby cię odwiózł, a samochód będziesz mogła odebrać jutro. - Bob desperacko szukał moich piersi, ukrytych przemyślnie w fałdach swetra. Było to przedsięwzięcie porównywalne z szukaniem igły w stogu siana i podejrzewałam, że wkrótce będzie potrzebował pomocy kręgarza.

- Wiele słyszałam o tym miejscu. Wiesz, nigdy przedtem tu nie jadłam - rzekłam, starając się, aby nasze spo-

tkanie było bardzo żywiołowe i jednocześnie profesjonalne, jeśli coś takiego w ogóle było możliwe. Powinam udawać, że to sprawa służbowa i że pomagam w ten sposób Scottowi. Wtedy zapewne uda mi się to jakoś przetrwać.

- Tak, nie jest najgorsze. - Wzruszył lekceważąco ramionami. - Grube ryby, kolekcjonerzy pieprzący gwiazdy, taka sceneria.

Zastanawiałam się, dlaczego w takim razie mnie tu zaprosił. Nie odwiedziłam wystarczająco wielu hollywoodzkich restauracji, aby nauczyć się, że wszyscy tutaj zawsze narzekają na „scenerię” - na to, że owe miejsca są zawsze wypełnione ludźmi z branży, och, co za beznadzieja, itp. Ale tak właśnie było w Hollywood. Aby udowodnić, że należało się do towarzystwa, trzeba było nieustannie je krytykować. U tych, którzy trzęśli przemysłem rozrywkowym, ostentacyjna nuda we wzroku była normalną rzeczą.

- Jedzenie wygląda apetycznie. - Spojrzałam z podziwem na pizzę, którą serwowano właśnie siedzącej przy sąsiednim stoliku, spowitej w biel tlenionej blondynce z pomarańczową twarzą. - Powiedz, Bob, słyszałam, że właśnie podpisałeś intratną umowę z Warner Brothers?

- Chryste, nie rozmawiajmy o pracy. Jest sobotni wieczór. - Wychylił próbkę czerwonego wina z kieliszka i zadeklarował, że jest znośne. - To tylko kontrakt. Wszystko już zaklepane. Sześć filmów w ciągu następnych trzech lat. Mam już trzydzieści skrótców i pertraktuję w sprawie kupna siedmiu powieści. Prawdopodobnie zrobimy tylko te, w których wystartują poważni gracze. Uwielbiam dobre filmy. Nienawidzę tego zagranicznego gówna. Naprawdę, wolałbym zjeść kanapkę ze smażoną okrą, niż zapłacić za obejrzenie jakiejś artystycznej szmiry. Jestem jednym z nielicznych producentów w tym mieście, którzy nie boją się powiedzieć, że motywują ich notowania na listach przebojów. Kobieto, uwielbiam to, Kocham te liczby! Sama rozumiesz, przecież ktoś musi utrzymać mój dom w Palisades i willę

w Słonecznej Dolinie. Poza tym mam jeszcze G4. Czy wspomniałem ci, Lizzie, że mam G4? Koniecznie musisz się ze mną kiedyś przelecieć. Byłaś już na Post Ranch? Dziewczyno, to miejsce jest idealne na romantyczny weekend za miastem, tyle że to trochę za daleko na podróż samochodem, więc wolę tam latać. Choć Bóg jeden wie, ile tam się szlaja rozpustników z mojej branży, więc przeważnie nie wychodzę z moją partnerką z pokoju.

Rozumiecie już, o co mi chodziło?

Zanim Bob zapytał mnie w końcu, co robiłam w Agencji, pochłaniałam już drugą łyżeczkę mojego sorbetu z herbaty miętowej. Czyli deseru.

- J a ?

Byłam szczerze zaskoczona. Jakimś cudem Bob nie przestawał mówić przez ostatnie półtorej godziny, pochłaniając jednocześnie trzydaniowy obiad oraz przystawkę z faszerowanych, smażonych we fryturze kwiatów kabaczka.

- Tak, moja ty ślicznotko. Powiedz mi, co porabiasz w Imperium Zła?

- Masz na myśli Agencję? - poprawiłam go, choć nie po raz pierwszy słyszałam, jak ludzie określają moje miejsce pracy tym mianem.

- Tylko nie mów mi, że jesteś asystentką, bo zesram się w gacie! - jęknął.

Nie jestem wymagająca i ciężko mnie czymś zaszokować (pamiętajmy, iż byłam na obiedzie z Bobem dlatego, że wcześniej pluskałam się z nim nago w basenie mojego szefa), jednak w tej chwili zakrzusiłam się ostatnim kęsem sorbetu.

- Och, złociutka, wyraz twojej twarzy jest bezcenny. Jesteś asystentką, prawda?

Pokiwałam szybko głową, upewniając się, że kluczyki od mojego samochodu wciąż leżą na stole. Przez cały obiad wpatrywałam się w rozgadanego Boba i myślałam: no dobrze, może i nie jest szczególnie atrakcyjny, poza tym strasznie skupia się na samym sobie i jest

upierdliwy, ale to dobry człowiek. Po prostu wygląda jak Shrek. Myślałam się jednak - ten człowiek był potworem. Bezsprzecznie.

- Jesteś asystentką, a muszę się przyznać, że mam słabość do asystentek. I do dziwek z produkcji. O, przepraszam, do dziewczyn z produkcji - zaśmiał się sztucznie. - Wiedz, że w tej chwili jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem, Lizzie.

- Cieszę się niezmiernie - odparłam uszczypliwie i pociągnęłam spory łyk wody, szykując się do drogi powrotnej. Cały czas, jak dalece to było możliwe, trzymałam się z daleka od alkoholu i dzięki temu byłam raczej trzeźwa.

- Digestif? - Bob pochylił się ku mnie i chwycił moją dłoń w swe usmarowane paluchy, zupełnie jak goryl Gazza. - Kelner, proszę o dwa duże kieliszki calvadosu.

- Właściwie to ja powinnam już wracać.

- Może pójdziesz przypudrować sobie nos, a ja w tym czasie zajmę się rachunkiem. Potem poproszę Alfreda, żeby cię odwiózł. Po wypiciu calvadosu.

Z tymi słowami odesłał mnie do łazienki, w której zostałam tak długo, jak to było możliwe bez obrażania jego uczuć. Chwila, w której myłam ręce, była bądź co bądź chwilą beztroski, gdy nie musiałam się martwić ponownym wymigiwaniem się od pocałunków Boba. W końcu jednak porzuciłam bezpieczne towarzystwo suszarki do rąk i poszłam na spotkanie swego fatum.

Nie jestem osobą, która wychowała się na odległej wyspie w towarzystwie niemej siostry karmelitanki. Moi rodzice także nie byli nadmiernie troskliwymi dewotami, którzy kazali by mi czytać Stary Testament zamiast oglądać telewizję. Innymi słowy, nie prowadziłam życia wyalienowanej dziewczycy i naprawdę powinnam się zorientować, że coś jest nie w porządku; zwietrzyć niebezpieczeństwo już w chwili, gdy upiłam nieco calvadosu i zauważyłam, że jest nieco musujący. Powinnam stać się również bardziej podejrzliwa, kiedy po pierwszym porządnym łyku zaczęłam nagle zachowy-

wać się jak bardziej gadatliwa wersja Anny Nicole Smith. Och, spójrzcie, gazowany calvados. Co za radość! To takie dziwne. Ale nie bardziej niż całe moje życie w tym szalonym mieście.

- Smakuje ci? - spytał Bob, gdy odstawiłam pusty kieliszek na stół.

- To było... właściwie bardzo dobre.

Bo naprawdę było. Poczułam się o wiele bardziej swobodna w towarzystwie Boba. Beztrosko myślałam o powrocie do domu. Albo i nie. Im dłużej patrzyłam na Boba, tym miłszy mi się wydawał. Najwyraźniej był jednym z tych mężczyzn, którzy robili na tobie wrażenie dopiero po jakimś czasie. Tak myślałam.

- Jesteś taki cudowny - uśmiechnęłam się do niego przez stół i chwyciłam jego dłoń. - Naprawdę.

- Świetnie. Ty też, kochanie. Wiesz co? Znam takie jedno miejsce niedaleko stąd. Moglibyśmy tam wstąpić.

Wstał i pomógł mi włożyć kurtkę, jak prawdziwy dżentelmen.

- O, to doskonale. Będziemy tam mogli potańczyć? - spytałam. Czułam, że moje stopy tęsknią za parkietem i gorącymi rytмами.

- Co tylko zechcesz - powiedział Bob. - To naprawdę wyluzowane miejsce.

- Fannntastycznie - zachichotałam, gdy opuszczaliśmy restaurację, i przytuliłam się czule do piersi Boba.

Wdrapując się na tylne siedzenie jego limuzyny, czułam się lekko i swobodnie. Nie przejęłam się zatem, gdy czarujący Alfredo zawiózł nas do Burbank, gdzie oczywiście nie mieszkam. Nie był to również Standard czy White Lotus, ani nawet Les Deux, czyli kluby do których, wedle mojego wyobrażenia mógłby mnie zabrać Shrekopodobny producent z Hollywood po sobotnim obiedzie we dwoje. Ale nie. Byliśmy w Burbank. W Valley Kiedy zbliżyliśmy się do miejsca przeznaczenia i Alfredo włączył kierunkowskaz, aby zjechać z drogi i zaparkować, zobaczyłam, że stoimy przed lokalem Dimples Supper Club. Nie słyszałam wprawdzie o klu-



bie Dimples, ale znajdował się w Burbank, w środku lśniącego pasażu handlowego i jaskrawym światłem neonów wykrzykiwał obietnicę największej z pomyłek cywilizacji - karaoke.

Nie umiem śpiewać. Nie potrafiłabym utrzymać dźwięku ani w torebce papierowej, ani na smyczy. Tego jednak wieczoru karaoke wydawało mi się najlepszym pomysłem w historii świata.

- Bob! To cudowne!

Zerwałam się jak sprinterka ze skórzanego siedzenia lincolna i pognałam prosto do baru. Kiedy Bob wręczał kasjerce dwadzieścia dolców wejściówki, ja już kręciłam biodrami w takt piosenki *It's Raining Men*, śpiewanej przez księgową z Long Beach. Melodia wibrowała w ciemności i połyskiwaniu lamet.

- Cieszę się, że ci się podoba - uśmiechnął się Bob.

Próbowałam zaciągnąć go w stronę obdrapanej pulsującej światłami sceny, ale on trzymał w ręku jakąś torebkę.

- Zostaw to i chodź ze mną zatańczyć - zażądałam piśkliwie. Bob odłożył torebkę i zaczął coś z niej wyciągać.

- Co robisz?! Chcę tańczyć! - zatrzepotałam ramionami i poruszyłam się w takt muzyki. - Myślisz, że mogę wziąć udział w karaoke?

- Oczywiście, słońce. Najpierw jednak pozwól, że ustawię tutaj mój mały przyrządzik. Nie chciałbym przegapić twojego wielkiego sukcesu.

- Zamierzasz zrobić mi zdjęcie? - spytałam, spoglądając na kamerę, którą rozkładał.

- Och, to będzie tylko taki mały cyfrowy filmik, dla zabawy.

- W porządku. Tylko się pospiesz. - Podryfowałam w kierunku parkietu i zaczęłam z zapałem podrygiwać w takt jakiegoś utworu. Jak na mnie, zachowywałam się bardzo nietypowo. Zazwyczaj nie tańczę z własnej woli. Nigdy nie byłam na Ibizie i, co ważniejsze, jak już wspominałam, nie potrafię śpiewać. Z jakiegoś jednak powodu, który później stał się dla mnie przejrzyste jasny,

świadomość tego nie powstrzymała mnie od wejścia na scenę już w trzy minuty później i od odśpiewania *I don't want no scrub* autorstwa TLC. Było to najgorsze wykonanie tej wspaniałej piosenki, jakie ktokolwiek słyszał. Nie mówię tego z wrodzonej skromności, mając głos słowika albo Arethy Franklin (ponieważ go nie mam).

Po moim wielkim wstępie, popieszczeniu Wielkiego Boba na parkiecie i wtuleniu się w niego na tyle limuzyny, gdy dzwonił do kogoś w drodze powrotnej, Alfredo podrzucił nas do wielokrotnie wspomianej rezydencji w Palisades. Muszę przyznać, że był to spektakularny budynek, ale widziałam już takie setki razy w piśmie „Życie bogatych i sławnych”. Bob przyniósł mi kieliszek wina, ja zaś bezmyślnie wpatrywałam się w jego obrazy i oprawione fotografie przedstawiające go z Billem Clintonem (podobne zdjęcie wisiało w każdym domu w Hollywood), Barbrą Streisand, Nicole i George'em. W kącie salonu stał biały steinway, obok okna wychodzącego na basen o rozmiarach olimpijskich.

- Grasz? - spytałam, opierając się o instrument i wystukując rytm melodii *Greensleeves* znanej mi jeszcze ze szkolnych czasów.

- O tak, kochanie. - Bob podszedł do mnie od tyłu i zaczął całować w szyję.

- Nie. Miałam na myśli fortepian, głuptasie - zaśmiałam się i wywinęłam z jego objęć.

Wciąż jeszcze rozpierała mnie energia i bez muzyki czułam się trochę nieswojo.

- Wiem! Chodźmy zatańczyć - powiedziałam.

- Tutaj? - spytał Bob, już nieco mną zmęczony.

- Jasne - zachichotałam.

Podeszłam do jego sprzętu stereo, wyglądającego jak centrum kontroli lotów NASA, i zajęłam się nastawianiem jakiejś muzyki. Po długich staraniach udało mi się wreszcie coś znaleźć. Kiedy odwróciłam się do Boba, spał już na sofie, ze szklanką whisky w rękę i strużką śliny cieknącą po brodzie. Przyciszyłam ogłuszającą

muzykę, żeby go nie obudzić, i zaczęłam się zastanawiać, co mam teraz robić. Spróbowałam dać mu kuksańca w zębra, ale nawet nie drgnął. Nie chciałam tańczyć sama, a poza tym wytrzeźwiałam już na tyle, żeby natychmiast zapragnąć stąd wyjść. Zaczęłam więc szukać numeru telefonu do taksówek.

Powinłam właściwie powiedzieć, że rozpierała mnie tak potworna energia, iż niemal przewróciłam dom Boba do góry nogami w poszukiwaniu tego numeru telefonu. Powinłam była po prostu zadzwonić pod 411, ale wychowano mnie w przekonaniu, że nie powinłam być leniwa i rozrzutna, dlatego mężnie poszukiwałam książki telefonicznej, aby zaoszczędzić Bobowi jego czterdziestu centów. Sprawdziłam w kuchni, w korytarzu, w salonie, wreszcie w jego gabinecie. Tam również nie znalazłam książki telefonicznej, jedynie kilka scenariuszy, faks, który drukował właśnie tygodniowe notowania box office, oraz stertę kaset wideo - zapewne zwiastunów wszystkich szmirowatych filmów Boba. Żadnego numeru telefonu do taksówek.

Zanim odnalazłam drogę powrotną do sypialni, zdążyłam już porzucić wszelką nadzieję odnalezienia tego cholernego numeru i postanowiłam zadzwonić pod 411. Przypuszczałam, że Boba będzie na to stać. Opadłam na jego ręcznie wykonane, pokryte luksusową pościelą łóżko i zamówiłam taksówkę, która miała mnie stąd zabrać do wszystkich diabłów, zanim obudzi się Bob i mnie tu znajdzie, bo nie wyglądałam bynajmniej tej chwili z podnieceniem.

Gdy tak czekałam, włączyłam MTV, przyciszając (żeby nie obudził się pan i władca tego królestwa) ogromny telewizor, stojący naprzeciwko łóżka (naprawdę sądzić, że mężczyzna z Hollywood potrafi się podniecić wyłącznie za sprawą leżącej obok kobiety? Oczywiście, że nie. Jest zazwyczaj zatwardziałym zwolennikiem wykonywania równocześnie wielu czynności i potrafi z radością uprawiać - biernie lub pasywnie - seks oralny, jednocześnie oglądając skrót meczu baseballowego albo

stare wideoklipy Rolling Stonesów). Wtedy właśnie uważniej spojrzałam na kolekcję kaset magnetowidowych i zdałam sobie sprawę, że Bob był nie tylko słynnym producentem, ale równie sławnym reżyserem. Na liście jego największych dokonań znalazły się takie niskobudżetowe hity, jak:

Elaine (Fox Searchlight) śpiewa *I'm no angel*.

Czerwiec 2000

Jennifer (CAA) śpiewa *Dangerously in love*.

Grudzień 2003

Janie (Dreamworks) śpiewa *Big spender*.

Kwiecień 1997

Przejrzałam piętzącą się na półce chronologicznie ustawioną kolekcję. Zobaczyłam parę imion, które rozpoznałam:

Talitha (Agencja) śpiewa *It ain't over till it's over*.

Czerwiec 2001

Courtney (Agencja) śpiewa *Hit me baby one more time*.

Sierpień 2001

Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy zwrócić obiady. A może uciec albo wrzucić jedną z kaset do magnetowidu i obejrzeć ją? Siedziałam, wpatrując się z przerażeniem w tytuły. Wyobrażałam sobie kolejny dodatek do kolekcji: „Lizzie (Agencja) śpiewa *I don't want no scrub*. Kwiecień 2004”, który siedział teraz w kamerze Boba, w torbie w sąsiednim pokoju. Kiedy zabierałam się do zdjęcia butów, aby wślizgnąć się niepostrzeżenie do salonu i odzyskać kasetę, usłyszałam dzwonek. Pognałam szybciej niż błyskawica do drzwi wejściowych, aby taksówkarz nie zadzwonił jeszcze raz i nie obudził Boba. Jeżeli oczywiście już tego nie zrobił.

- Dzień dobry - wyszeptałam, otwierając drzwi. - Zraz przyjdę, muszę tylko wziąć torebkę.

- Cześć. Jestem Naomi. - Przede mną stała śliczna dziewczyna w moim wieku. Miała na sobie wysokie kozaki i krótki czarny płaszcz.

- Och, cześć - odparłam, zadowolona, że dostała mi się kobieta-taksówkarz.

- Czy mam wejść do środka? - spytała.

- Jasne, proszę. Zaraz będę z powrotem.

Pognałam przez korytarz do salonu, w którym, dzięki Bogu, Bob wciąż spał, chrapiąc głośno. Rozejrzałam się za jego czarną torbą na kamerę, która, byłam pewna, musi tu gdzieś być.

- Chcesz, żebym poszła do sypialni?

Odwrociłam się i zobaczyłam, że Naomi przyszła tu za mną. Zdjęła czarny płaszcz, odsłaniając kusą czerwoną sukienkę z wycięciami.

- Słucham? - spytałam.

- Pomyślałam, że pójde tam i się rozgoszczę, dopóki nie znajdziesz tego, czego szukasz. - Oblizła wargi, patrząc mi prosto w oczy. Zamrugałam oczami.

- Nie jesteś taksówkarzem?

- Nie, kochanie. Nie jestem taksówkarzem.

- Och - odparłam. - Jesteś przyjaciółką Boba?

- Jestem przyjaciółką kogo tylko zechcesz - powiedziała, odgarniając na ramię długie, kręcone czarne włosy i podchodząc bliżej - ale myślę, że Bob chciał, bym zaprzyjaźniła się z tobą.

- Naprawdę? - powiedziałam dość nieswoim głosem.

Naomi stanęła tuż obok i położyła dłoń na moim ramieniu.

- Jesteś bardzo ładna. Może po prostu zabierzemy się do rzeczy, a on dołączy do nas, gdy się obudzi. - Najwyraźniej była tutaj już nie raz i wiedziała, gdzie iść, ponieważ zanim zdążyłam zaprotestować, chwyciła mnie za rękę i zaczęła prowadzić w stronę sypialni.

- Emm... bardzo dziękuję, Naomi. Tyle tylko, że ponieważ Bob śpi... no, w każdym razie cokolwiek chciał, żebym zrobiła... emm...

- Pssst - uciszyła mnie Naomi. Mogła być najwyżej w moim wieku, ale wyraźnie miała znacznie więcej pewności siebie niż ja, ponieważ odwróciła się do mnie, objęła mnie za szyję i pocałowała w usta. Nigdy

wcześniej nie kosztowałam szminki innej kobiety. Bardzo dziwne uczucie, naprawdę. Gdy Naomi wsunęła język do mojej buzi, ponownie rozległ się dzwonek u drzwi.

- O, to pewnie po mnie - odsunęłam się od niej. - Muszę lecieć.

Pobiegłam z powrotem do salonu, gdzie Bob bardzo udanie naśladował wyciągniętego na brzeg wieloryba. Dzięki Bogu, udało mi się wreszcie dostrzec jego torbę. Wyciągnęłam kamerę, odkleiłam rzepy i wyjęłam ze środka taśmę.

- Jedziesz już? - Naomi przyglądała mi się z progu.

- Tak. Przepraszam. Bez obrazy, po prostu czeka na mnie taksówka.

- A co ze mną? - spytała, wzruszając ramionami. Zrozumiałam nagle, że trzeba jej zapłacić. Spojrzałam na chrapiącego Boba, rozlanego na sofie jak ameba i przypomniałam sobie, że widziałam, jak wkładał portfel do lewej kieszeni spodni. Gestem nakazałam Naomi milczenie i na palcach podeszłam do kanapy. Drżącą ręką sięgnęłam do kieszeni spodni Boba (prawie nie do pomyslenia) i zgrabniej niż Fagin wyciągnęłam portfel. Wręczyłam Naomi pieniądze wraz z bardzo hojnym napiwkiem, a potem wróciliśmy razem do Venice, zostawiając Boba nieświadomego faktu, że właśnie przespał jedną z najlepszych nocy w swoim życiu.

Po dociekliwym śledztwie w poniedziałek rano dowiedziałam się, że owszem, gdybym pofatygowała się zapytać którąkolwiek z asystentek, powiedziałyby mi, iż specjalnością Boba był obiad w Spago zakończony dosypaniem ecstazy do kieliszka digestifu (mówiłam, że nie tańczę z własnej woli, a już na pewno nie śpiewam. I nawet jeśli jestem słodką dziewczyną, zazwyczaj nie flirtuję i nie szaleję z brzydkimi nieznajomymi, zatem przyczyna takiego zachowania musiała mieć podłoże chemiczne), następnie wieczorem z karaoke, utrwalonym na taśmie ku uciesze potomności, a wreszcie krótką akcją łóżkową w wykonaniu damsko-damskim. Dzień-

ki Bogu, udało mi się uciec razem z nagraniem, ponieważ nawet jeżeli kolekcja Boba liczyła więcej filmów z udziałem dziewczyn z produkcji i asystentek niż sklep Freda Segala w sobotnie popołudnie, bez cienia wątpliwości zdobyłabym Oscara za najgorzej ubraną i najbardziej fałszującą aktorkę roku. Poza tym, bez względu na to, jak miła była Naomi i jak bardzo naśmiewaliśmy się z Boba, wracając do domu, oraz niezależnie od tego, jak okropny był on i jego szpetna płęć, nie zamierzałam jeszcze rezygnować z facetów.

}

***Ile trzeba zapłacić w tym tygodniu za prawość?***

Orson Welles jako Jonathan Lute (*Nigdy nie zapomnę jego imienia*)

Po przygodzie z Bobem zrezygnowałam z randek. Nie miałam innego wyboru. Najwyraźniej nie byłam wyposażona ani w emocjonalny, ani w fizyczny pancerz, jaki należało posiadać w Hollywood, jeśli chciało się odnieść sukces w miłości. Oczywiście, na pewno istnieje jakaś książka, którą mogłabym przeczytać, czy seminarium, którego mogłabym wysłuchać, na temat „Jak odnaleźć miłość swojego życia w mieście pełnym marnot”. Może nawet byłaby to sesja podobna do legendarnego kursu pisania scenariuszy Roberta McKee - tyle że nie miałam na to czasu. Victoria zasypała mnie toną scenariuszy, które powinnam dla niej streścić, musiałam zorganizować przynajmniej 750 tysięcy lunchów dla Scotta, a od kiedy Larze przydzielono pracę domową w jej internetowym kursie pisania powieści, przypadło mi również odbieranie wszystkich jej telefonów i kupowanie kawy, kiedy nadchodziła jej kolej. Moje łokcie stały się permanentnym elementem wystroju lady w Coffee Bean, zupełnie jak trzydolarowe ciasteczka i filiżanka na napiwki.

- To co zwykle, słonko? - pytał Jason, gdy wchodziłam do sklepiku, wyglądając, jakbym właśnie spędziła relaksujące pół godziny na krześle elektrycznym.

- Tak, proszę. - Opierałam brodę na rękach i wpatrywałam się w nakrapianą formikę w nadziei, że oświeci



mnie w kwestii: „Co ja tu robię?”. Co robię w mieście, w którym kaleczyłam palce o papier, wypruwałam sobie flaki i spędzałam bezsenne noce na zamartwianiu się, czy nie zapomniałam powiedzieć Scottowi, że nowy film jego najpopularniejszego młodego reżysera w drugim tygodniu zdjęć w Nowym Jorku przekroczy szesnastotygodniowy budżet o wysokości 76 milionów dolarów (tak przy okazji, w Nowym Jorku nawet zdjęcie butów nie mogłoby kosztować poniżej trzech milionów dolców na dzień). Jeżeli bowiem nie poinformowałam go o tym, jutro miałam szansę znaleźć się w jego gabinecie, wysłuchując obietnic o własnoręcznym wykonaniu przez mojego uroczego szefa kilku dodatkowych otworów w moim ciełe.

Tego poranka, gdy weszłam do Coffee Bean, zauważyłam, że powrócili Asystenci. Mówię o pracownikach Marksa Fischera. Cała szóstka zbiła się w żałosną kupkę wokół narożnego stołu, z pobladłymi twarzami i zbolalymi spojrzeniami. Próbowałam na nich nie patrzeć. Byli zbyt żałośni. Podeszłam szybko do Jasona, który jak zwykle stał za ladą. Dziś jednak wyglądał niemal tak fatalnie, jak ja się czułam, i nie lepiej niż Asystenci. Miał poetycko wręcz podkrążone oczy i właśnie poparzył sobie palce maszyną do espresso.

- Nocna impreza? - spytałam, przyjmując tradycyjną pozycję przy ladzie.

- Spałem tylko godzinę. Musiałem tu być o szóstej.

- No, no. Ostra jazda?

Uśmiechnęłam się zadowolona, że ktoś znajomy miał życie miłosne, nawet jeżeli idea Jasona posiadającego dziewczynę nie do końca mnie cieszyła. Nie to, że byłam w nim zakochana, po prostu czułam się przy nim dobrze i swobodnie. Świadomość, że ten słodki, zabawny facet może się ze mną kiedyś spotkać poza sklepieniem z kawą - nawet jeżeli będzie to wyłącznie spotkanie na stopie przyjacielskiej - była bardzo budująca.

- Nie miałem tyle szczęścia. Kończyłem pisać scenariusz.

- Jesteś pisarzem? - spytałam w poczuciu winy, że nie widziałam w Jasonie nikogo więcej niż profesjonalnego zaparzacza kawy. Oto jak szybko stałam się osobą zaabsorbowaną wyłącznie sobą. Kiedyś byłam dziewczyną, która znała imiona dzieci inżyniera komputerowego w kwaterach kongresmana w Waszyngtonie. Co się ze mną działo?

- Reżyserem również. To mój pierwszy scenariusz. Teraz, kiedy go już skończyłam, czeka mnie najcięższa robota. - Włożył palec wskazujący pod strumień zimnej wody.

- To wspaniale, Jason.

- Możesz go przeczytać, jeśli chcesz. Szukam producenta.

- Cóż, oczywiście. To znaczy, mam mnóstwo do przeczytania przez weekend, ale na pewno uda mi się wkrótce do niego zabrać i będę ci mogła pomóc w znalezieniu listy producentów, do których będziesz mógł wysłać swoje dzieło. Wprawdzie nie jestem ekspertem, to znaczy, wiem tylko to, co uda mi się podsłuchać na zebraniach, ale...

- Miałam na myśli ciebie. Chcesz przecież zostać producentem, prawda? Jesteś sprytną dziewczyną. Nie zamierzasz chyba być przez całe życie asystentką?

- Cóż, tak. Nie. To znaczy... nie mam pojęcia - odparłam.

Zrozumiałam w tej sekundzie, że naprawdę nie wiem, czego chcę. Realizacja marzeń o sfilmowaniu *Zbrodni i kary* nie zaszła dalej niż do etapu mentalnego wyboru sukni, jaką włożę na rozdanie Oscarów, i zastanawiania się, czy pasującą do niej biżuterię powinnam wypożyczyć u Harry'ego Winstona, czy też w innym salonie. Nigdy nie zastanawiałam się nad reżyserią, produkcją, czy nawet kwestią erotyczną. Widać wyraźnie, jak bardzo dbałam o swoją karierę.

- Elizabeth, jesteś przezabawna. - Jason uśmiechnął się, chyba po raz pierwszy od rana.

Oczywiście ucieszyłam się, że go rozbawiłam, tym niemniej nieco martwił mnie fakt, iż wpadłam jak śliwka

w kompot, bez koła ratunkowego ani planu awaryjnego na podorędziu. Czy chciałam zostać producentem? Nie miałam pojęcia. Zmarszczyłam brwi i spojrzałam z nadzieją na formikę.

- Coś ci powiem. Dam ci teraz kopię mojego wielkiego dzieła. Jeśli znajdziesz chwilę, przeczytaj to przez weekend, a ja podłączę cię do skryptu jako producentkę, zanim zaanektuje go Spielberg, dobra?

Jason wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale widziałam w jego spojrzeniu, że umowa ze Spielbergiem była przez niego pieczołowicie hołubiona, podobnie jak moja bladobłękitna suknia od Alexandra McQueena, szyfonowa, do ziemi, z dekoltem w łódeczkę, odsłoniętymi plecami i haftowanym pasem w talii, idealna na uroczystość wręczenia Oscarów. Jedyna różnica między mną a Jasonem polegała na tym, że jego marzenie mogło się ziścić, ponieważ robił coś w tym kierunku. Ja z kolei byłam jedynie ludzkim podajnikiem do kawy i odbiornikiem telefonów. Ale jak na razie, nigdzie się nie wybierałam, ponieważ nie miałam pojęcia, co chciałabym dalej robić.

- W porządku. Z chęcią to przeczytam - powiedziałam, gdy Jason wyciągał swoje *magnum opus* z plecaka. - Moja siostra przyjeżdża w odwiedziny w tym tygodniu, więc mogę się nie wyrobić przez weekend, ale obiecuję, że spojrzę na to, kiedy tylko będę mogła.

- Świetnie. - Wręczył mi scenariusz i darmową chai latte. - Możesz być zupełnie szczerą, ale tak w ramach wstępnego komentarza myślę, że można by zrobić ten film cyfrowo, z udziałem aktorów niezrzeszonych. Poza tym, jeśli nie dostaniemy wystarczających funduszy, na pewno uda nam się nakręcić część zdjęć nielegalnie, w Nowym Jorku.

- No, no. Widzę, że naprawdę wiesz, czego chcesz. - Z zaparzacza kawy Jason przemienił się nagle w undergroundowego reżysera.

- Jasne, że tak. Od czternastego roku życia chciałem kręcić filmy. Zrobiłem już siedem krótkich kawałków o podobnej tematyce, pierwszą wersję scenariusza napisałem jeszcze w szkole filmowej i od tamtej pory cały

czas ją przerabiałem. Każdej nocy, kiedy kładę się spać, w mojej głowie pojawiają się poszczególne sceny. Widzę je w najmniejszych szczegółach.

- Bardzo chętnie przeczytam scenariusz. - Nie potrafiłam powiedzieć nic więcej, może oprócz: - Dzięki za latte.

Odwrociłam się, i gdy byłam tuż przy drzwiach, otworzyły się z trzaskiem i do środka wmaszerował mały faccek z rudymi włosami i brodą. Cofnęłam się instynktownie, aby uniknąć bezpośredniego spotkania.

- Wiedziałem, że was tu znajdę! Banda rozhisteryzowanych mazgajów! - wrzasnął rudobrody, dostrzegłszy kryjących się w rogu asystentów. - Co wy, do kurwy nędzy, tutaj robicie?!

Asystenci spojrzeli na niego w przerażeniu.

- Wyrzuciłeś nas z pracy - powiedział wreszcie jeden z mężczyzn cichym, drżącym głosem.

- Wyrzucam was z pracy każdego pieprzonego dnia! Nie oznacza to, że możecie tu sobie przychodzić na kawkę! Kto ma odbierać moje telefony? - Stał tam, obnażając zęby spoza gniewnej, małej bródki. - Kto ma pisać moje listy? Kto ma prowadzić całą moją pieprzoną firmę, co?! Odpowiadać, do cholery!

Asystenci jednak milczeli, wyraźnie oniemiaли. Po kilku minutach paraliżującej ciszy, Max Fischer, jeden z najpotężniejszych mężczyzn Hollywoodu, chwycił kubek ze stolika, przy którym zgromadzili się jego młodzi pracownicy, i trzasnął nim o ścianę. Wszyscy się odwrócili i z ochlapanymi twarzami patrzyli, jak resztki kawy spływają po pomarańczowej ścianie.

- Wracać mi do biura i to już, jęczybuły, albo was wyleję! - powiedział Max Fischer, tym razem niskim, groźnym głosem. Potem wyszedł, równie szybko i efektywnie, jak się pojawił, za nim zaś podążyła cała szóstka, niczym owce wiedzione na rzeź. Kiedy się odwróciłam, żeby spojrzeć na Jasona, ten z mopem w ręku zabierał się już do uprzątnięcia bałaganu.

- Hollywood! - Wzruszył ramionami. - Czyż to nie cudowne miejsce?

Potrząsnęłam głową i wybiegłam na zewnątrz. Dość często wydawało mi się, że Hollywood wcale nie jest takie wspaniałe.

Wyszłam z kafejki prosto w gorące popołudnie, wstrząśnięta tym, co właśnie zobaczyłam. I nagle pomyślałam, że naprawdę nie wiem, co ja tu robię. Jason wiedział, to pewne. Prawdopodobnie każde z grupki asystentów Fischera miało również bardzo dobry powód do znoszenia wyzysku w pracy. Niewątpliwie byli zdecydowani przetrzymać wszystko, aby zićić swoje marzenia i zrealizować ambicje. Ja jednak nie miałam pojęcia, dlaczego w ogóle tu przyjechałam. Elizabeth Miller, producent filmowy To nie brzmiało dobrze. Inne określenia, jak: wiceprezes, główny producent, menedżer i agent również nie pasowały, druga asystentka zaś - cóż, to po prostu nie byłam ja. Zdałam sobie sprawę, że naprawdę nie miałam do tego serca. Nagle przestałam rozumieć, dlaczego w ogóle znalazłam się w tym mieście, skoro nie posiadałam ani krztyny talentu do wykonywania rzeczy, jakie przede wszystkim tu się liczyły. Jasne, zdobyłam wiedzę o branży rozrywkowej, ale to samo dotyczyło faceta, który sprzedawał bułki w delikatesach w pobliżu mojego mieszkania. Poza tym, nie sądzę, bym moją pracą zdołała zmienić czyjeś życie na lepsze. W tym mieście jednak nie było na to szans. Przebywałam w otoczeniu ludzi, którzy tak bardzo kochali przemysł rozrywkowy, że byli w stanie znieść dlań niemal wszystko. Trudno mi było ukryć przed samą sobą fakt, że przyjeżdżając tu, popełniłam fatalną pomyłkę.

Kiedy przechodziłam przez ulicę, wracając do Agencji i usiłując nie rozlać po drodze kompletu politycznie niepoprawnych, kapitalistycznych kaw, postanowiłam, że czas już dokonać tego, co tłuło się w mojej głowie od kilku tygodni. Wydaje mi się, że doznałam czegoś, co zazwyczaj określa się iluminacją i co przeważnie wiąże się z obecnością spływających z niebios promieni światła oraz chórów anielskich wyśpiewujących hymny. Ja odczułam to raczej jak wytarganie za ucho i uświadomie-

nie mi, że byłam idiotką, nie dostrzegając wcześniej tak oczywistej rzeczy: przyszedł czas, aby napisać życiorys i zakończyć tę przygodę z Hollywood. Decyzja owa podniosła mnie na duchu i sprawiła, że wbiegłam do przedsiionka w podskokach, wprowadzając w konsternację nieuleczalnie ponure recepcjonistki. Zamierzałam złożyć podanie o jakąkolwiek pracę w Waszyngtonie. Mogę robić kawę (bez zmian), mogę być asystentką techniczną (zmiana jednego maleńkiego słowa, a jednak zajęcie tysiącrotnie lepsze niż drugiej asystentki), podejmę się zastępstwa kogoś, kto jest na urlopie macierzyńskim - cokolwiek, aby wrócić do polityki i żyć dalej, jakby epizod z Hollywoodem nigdy się nie wydarzył.

Zasiadłam radośnie za biurkiem. Scott zdążył już wyjść na lunch, Lara ślęczała nad swoją pracą domową, z parą ekskluzywnych zatyczek do uszu z Virgin Atlantic, a na moim monitorze widniał postit z informacją, że dzwoniła moja siostra. Czekałam na jej telefon z niecierpliwością, więc gdy zobaczyłam żółtą karteczkę zapisaną podłym charakterem pisma Courtney, moja radość sięgnęła stratosfery. Zadzwoiłam pod podany numer.

- Melissa?

- Elizabeth? O mój Boże, jak się masz?!

- Świetnie, a ty?

Paplałyśmy tak przez co najmniej dwie minuty, zanim przeszłyśmy do bardziej sensownej rozmowy. Nie zamieniłam słowa z moją siostrą od czterech miesięcy. Nie dlatego, że obie byłyśmy zbyt zajęte lub dlatego, że wyszła za mąż za moją miłość z czasów szkolnych i przestałyśmy być przyjaciółkami. Po prostu Melissa pojechała z misją pokojową ONZ do Sierra Leone.

- Jesteś w domu? Nic ci się nie stało? Wróciłaś?

Nie mogłam w to uwierzyć. Kiedy w lutym żegnałam się z nią, byłam przekonana, że nigdy więcej jej nie zobaczę. Dość szybko przyzwyczaiłam się do myśli, że może się jej przytrafić coś okropnego, a jeśli tak, będzie to coś, czego chciała - pomagać innym, nie zwracać uwagi na niebezpieczeństwa, zapominając o własnym bezpie-

czeństwie. Od dnia jej wyjazdu moja rodzina postanowiła trzymać się tego, że brak wieści to dobre wieści. Cieszyliśmy się więc nielicznymi e-mailami, które wysyłała do nas z jakiejś afrykańskiej szkoły.

- Nie tylko wróciłam. Jestem w mieście - oznajmiła ożywiona.

- Jesteś w Waszyngtonie?

- Nie, ty idiotko. W Los Angeles! - zaśmiała się. - I powiem ci, że jest to dla mnie absolutny szok kulturowy.

- Jesteś w LA? - powtarzałam jak kretyńka, aż wreszcie zdołała mi wytłumaczyć, że nocuje tu w drodze do domu i że zamierza skorzystać z mojego łóżka, zawartości lodówki i butelki wina w moim domu. Ta prosta informacja sprawiła nagle, że zachciało mi się żyć. Kiedy odłożyłam słuchawkę, zdałam sobie sprawę, że nawet najbardziej olśniewająca randka na świecie nie mogłaby pobić jednej nocy spędzonej w domu z moją cudowną młodszą siostrą. Natychmiast, z determinacją świeżo upieczonej karierowiczki, zaczęłam przedzierać się przez stertę papierysk. Jeżeli zobaczyłby mnie ktoś, kto mnie nie znał, mógłby śmiało nabrać przekonania, że uwielbiam być drugą asystentką.

Przeglądając sprawozdanie z poniedziałkowego zebrania i szukając opiewającego na 13 milionów dolarów czeku za mój najnowszy ulubiony film sensacyjny, poczułam, że jestem w odpowiednim nastroju do przyjacielskiej pogawędki z pozostałymi asystentkami.

- Co o tym sądzisz? - spytała Talitha, gdy wróciłam do pokoju po odebraniu paczki z recepcji.

- O czym? - Rzuciłam pakunek na biurko Scotta bez otwierania, ponieważ widniał na nim naniesiony fioletowym mazakiem napis „Ściśle prywatne”, a nie tykał ani rozsiewał wokół proszku z węglikiem.

- O moich jajkach.

- Twoich jajkach? - odwróciłam krzesło, spoglądając na Talithę, obok której stała zniesmaczona Courtney. - Co z nimi?

- Zamierzam je sprzedać.

Przez sekundę pomyślałam, że Talitha trzyma noskę w swoim apartamencie w El Royale, chociaż w głębi duszy wiedziałam, że nie ma na myśli tego typu jajek. Szkoda.

- Naprawdę? - spytałam, szykując się na głębszą dyskusję.

- Tak. W „Hollywood Reporter” było ogłoszenie dla dawczyń jajek. Słyszałam od jednej dziewczyny z New Line, że blondynka z wyższym wykształceniem może zarobić nawet dziesięć kawałków.

Talitha miała na sobie jasnozielone poncho i wyglądała jak gigantyczne warzywo. Odrzuciła do tyłu długi kosmyk włosów i uśmiechnęła się entuzjastycznie.

- Poważnie? - Otworzyłam butelkę wody Evian i nalałam sobie nieco do szklanki. - To takie typowe, że moi rodzice postanowili wyposażyć mnie w niskobudżetowe geny brunetki. Jak się będziesz czuła, wiedząc, że gdzieś tam na świecie żyją twoje dzieci, kiedy sama nie masz jeszcze własnego?

- To tylko oocyt, Elizabeth, nie dziecko - poinformowała mnie Talitha. - Poza tym grałam również w stanowej drużynie siatkówki, a to, jak sądzę, uczyni moje jajka bardziej wartościowymi, nie uważasz?

- Cóż... jak wygląda pobieranie jajek? - spytałam, tracąc nagle apetyt na kanapkę z tuńczykiem i sałata, którą chciałam pożyć jeszcze dwie minuty temu.

- Najpierw przez miesiąc dają ci jakieś hormony, a potem pobierają oocyty. Osobiście nie potrafię sobie wyobrazić prostszej metody na zarobienie dziesięciu tysięcy dolarów. We wtorek jestem umówiona w klinice na konsultację. Oczywiście, to tylko formalność. Pomyślałam, że może kupię sobie tę różową torebkę od Marni, taką jak ma Drew Barrymore, i pojedę na tygodniowe wakacje na Maui. Podobno można tam spotkać absolutnie fantastycznych facetów. Coś jak skrzyżowanie Fox Searchlight i Storma.

- Czemu nie, w końcu sprzedajesz swoje jajka w najlepszej intencji - skomentowała sarkastycznie Courtney, ale Talitha nie zwróciła uwagi na ironię.



Przebywając w jej obecności, zawsze łąpałam się na myślach, że najlepszą rzeczą dla kobiety jest bycie słodką idiotką. Jak cudowny musi być ten stan ducha! Zawsze zbyt dużo zastanawiałam się nad życiem. Teraz zaczęłam wierzyć, że inteligencja jest stanowczo zbyt przereklamowana.

- Właśnie. Jakaś biedna, bezpłodna kobieta będzie mogła mieć śliczne blondyniátko, wysportowane i mądre - uśmiechnęła się Talitha.

W jej świecie wszystko było cudowne. Niestety, nie mogłam powiedzieć tego o sobie, ponieważ idea zapłaćcenia własnymi oocytami za torebkę od Marni, jaką miała Drew Barrymore, nieważne jak bardzo różową i nieważne z jak miękkiej skóry, sprawiła, że poczułam się strasznie przybita.

- Słyszałam, że nie można tego odjąć od podatku - dodała Courtney, beztrąsko zakładając włosy za ucho. - Pomyślałam, że chciałabyś to wziąć pod uwagę przy podejmowaniu decyzji.

- Naprawdę? - Talitha wyglądała na lekko zaskoczona, ale nie zmartwiona. - W takim razie po prostu zażądam więcej pieniędzy. Zwłaszcza że mam 175 centymetrów wzrostu, a wysokość jest bardzo cennym nabytkiem w życiu, prawda? Hej, Elizabeth. Już wiem! Może wybierzesz się ze mną?

- Ja? - spytałam. - Widzisz, myślę, że bez blond genów i... no wiesz, nie jestem pewna, czy odpowiada mi cała ta procedura i w ogóle.

- Och, nie bądź głupia. Prawdopodobnie jest mnóstwo kobiet, które nie będą zwracały uwagi na wygląd dziecka, tylko na inteligencję, więc nadasz się w sam raz. To znaczy wiesz, twoje nogi nie są tak wartościowe jak moje, ale zdecydowanie powinnaś sprawić sobie nową garderobę, więc przydadzą ci się te pieniądze. - Błysnęła w moim kierunku różowym błyszczkiem do ust od Laury Mercier. - Poza tym będzie znacznie fajniej, jeśli pójdziemy we dwie, nie sądzisz?

- Pewnie masz rację - zgodziłam się, próbując przekonać usłyszaną przed chwilą litanie obelg. - Przemyśle to i powiem ci, co zdecydowałam. Dzięki, Talitha.

Na szczęście (przynajmniej tak mi się wydawało przez ułamek sekundy) Victoria wybrała ten moment, aby pojawić się w drzwiach swojego gabinetu i wyrzaskując moje imię, jakbym była jej irlandzkim wilczarzem, przywołać mnie do swojej ciemnej nory.

- Elizabeth - powiedziała kwaśno. - Usiądź.

Przycupnęłam jak zwykle na samym brzeżku krzesła.

- Dziękuję - powiedziałam tak cicho, że można by mnie wziąć za mima. Prawda była taka, że potwornie bałam się Victorii. Od pierwszego dnia, gdy wspaniałomyślnie zaoferowała mi swą opiekę, wykorzystywała mnie jak niewolnicę. Lara ujęła to dość niedelikatnie: „To jak biała wersja *Korzeni*, moja droga”. W nieodgadniony sposób Victoria zawsze wyczuwała, kiedy Scotta nie ma w biurze. Oznaczało to większość czasu, ponieważ Scott cierpiał na zespół nadpobudliwości psychoruchowej i potrafił usiedzieć za biurkiem maksymalnie pół godziny. Potem dostawał świra i musiał wyjść. W związku z tym nieoficjalnym zadaniem Lary i moim było wynajdowanie mu jak największej ilości zajęć. Jego ulubioną aktywnością były wizyty na plenerach zdjęciowych. Scott uwielbiał przebywać w towarzystwie aktorów i reżyserów i gadać z nimi o różnych głupotach. Brunchy, herbatki i koktajle wypełniały czas pomiędzy śniadaniem, lunchami, obiadami i premierami. Dobrym sposobem na rozrywkę były zebrania marketingowe w wytwórni Dreamworks, ponieważ tamtejsze biura urządzone były w westernowym stylu i Scott zawsze wracał stamtąd z akcentem Johna Wayne'a. Niezmiennie też cieszył się z wycieczek Gulfstreamem do Vegas, Santa Barbara czy Meksyku.

W związku z tym, że Scott miał zawsze coś do roboty, Victoria pilnowała, abym nie zajmowała się przypadkiem jakimiś głupotami (tylko jej duperelami). Zamiast zatem sortować korespondencję Scotta, uaktualniam listę te-

lefonów, kserować scenariusze i, generalnie, wykonywać pracę drugiej asystentki, za jaką mi płacono, stawałam się posługaczką Victorii, która, choć miała własną asystentkę, wyraźnie czerpała przyjemność z faktu, że byłam na jej każde wezwanie. Na początku z wdzięcznością przyjmowałam dodatkowe zajęcia, które na mnie zrzucała. Czuję, że mogę się w ten sposób czegoś nauczyć. Czytałam scenariusze i pisałam z nich streszczenia, które pomagały jej zdecydować, czy projekt wart jest uwagi. Jeśli uznawałam, że scenariusz jest dobry, czytała sama, zanim poleciała go któremuś ze swoich klientów. Jeśli decydowałam, że jest kiepski, kazała mi pisać do autora list odmowny. Byłam użytecznym filtrem literackim. Oczywiście, pracując u Scotta, nigdy nie zyskałabym tego typu doświadczeń, ponieważ jeśli przychodził do niego jakiś scenariusz, zajmowała się nim Lara lub wysyłała do zawodowego lektora. Dlatego gdy dostawałam więcej manuskryptów, niż mogłam unieść w mojej dużej torbie z monogramem L.L. Bean, nie narzekałam nawet w myślach. Nie przeszkadzały mi też sporadyczne polowania na Barbie. Byłam asystentką i próbowałam wykonywać swoją pracę - ułatwiać życie tym, którym asystowałam. Z konieczności obejmowało to bardzo różnorakie zajęcia. Po dwóch tygodniach jednak, gdy Victoria kazała mi odkurzyć swoją gablotę z kolekcją lalek i oddać do pralni chemicznej wszystkie ich ubranka, a potem nawrzeszczała na mnie, gdy okazało się, że nie zrobią tego w ciągu jednego dnia, zaczęłam myśleć, że jestem wykorzystywana. I że Victoria nie jest chyba do końca normalna. Od tamtej pory jej schizofreniczne ataki, w których na zmianę wychwalała mnie pod niebiosa i narzekała na moją bezużyteczność, zaczęły mnie przybijać, zwłaszcza że zmiana nastrojów następowała po piętnastominutowych interwałach.

- Cóż, Elizabeth. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale wyczuwam z twojej strony brak zaangażowania.

- Naprawdę? - zaczerpnęłam powietrza i przygotowałam się psychicznie do dalszego ciągu. Tym razem nie będą to pochwały.

- Chcesz się wybić w tym biznesie czy nie? A może to tylko małe wakacje od polityki?

- Nie, absolutnie nie - odparłam nieprzekonująco.

Nie dziwota. Kłamałam. Chociaż właściwie mówiłam prawdę. Nie były to wakacje, tylko bilet w jedną stronę do piekła, na podróż autobusem z zepsutą toaletą i pijanym kierowcą.

- Przeczytałam streszczenie, które przygotowałaś dla mnie w zeszłym tygodniu i szczerze mówiąc, było bezнадziejne. Nie wstawiłaś czterech przecinków. Uważasz, że mam czas na uczenie kogoś, kto kompletnie się nie stara? - Spojrzała na mnie znad szklanki. Z soku śliwkowego przerzuciła się na aloesowy.

- Przepraszam Victorio, ale...

- Żadnych ałe. Pewnie sobie wyobrażasz, że jako agentka nie będziesz musiała robić streszczeń ani rozumieć zawiłości fabuły, lecz jeśli chcesz być najlepsza w branży, musisz się nauczyć, jak funkcjonuje cały ten biznes. Rozumiesz?

- Tak. Oczywiście. To bardzo logiczne - wymamrotałam, nie dodając przy okazji, że dziesięć procent liczących się w tym mieście ludzi sądzi, że interpunkcja to nazwa badania płynu rdzeniowego.

- Chciałabym się dowiedzieć jednego, Elizabeth: czy zamierzasz się wreszcie zaangażować w to, co robisz?

O Boże, zaczęłam naprawdę się bać. Czy jej długie czarne włosy i wieczne metamorfozy oznaczały, że była wiedźmą? Czy wiedziała o tym, że planowałam stąd odejść? Czy wszystko było stracone?

- Zaangażować... cóż...

- Pozwól, że powiem ci kilka rzeczy o twojej postawie. - Pochyliła się ku mnie i oparła brodę na kościstych dłoniach. - Czy jesteś szczęśliwa w Agencji?

- Tak - skłamałam.

- Popatrz, ale z ciebie szczęściara. - Obdarzyła mnie paskudnym uśmiechem. - Siedzę w tym biznesie od piętnastu lat i nienawidzę każdej chwili mojej pracy. Pomińto mnie w awansie tyle razy, że w końcu przestałam

się w ogóle dla nich liczyć. Obserwuję, jak przychodzą tu te głupie, aroganckie dupki i stają się współnikami, zanim wyjdą na dobre z pieluch. Zarozumiałe fiutki, które nigdy nie widziały, jak robi się prawdziwy film.

W tym momencie przyszło mi do głowy, że przestała brać środki antydepresyjne. Co jednak mogłam zrobić?

- Byłam zameżna, wiesz? Mój mąż był chirurgiem. Kochał mnie i chciał mieć ze mną dzieci, ale za każdym razem, gdy zachodziłam w ciążę, był to nieodpowiedni moment. Rozumiesz? W tym mieście nigdy nie ma właściwego momentu. Bo wiesz, że kiedy odejdziesz na urlop macierzyński, jeden z twoich kolegów zaopiekuje się twoimi klientami i stopniowo, ale konsekwentnie zacznie ich wykradać, aż pozostanie ci tylko pusty gabinet i leżące na biurku wymówienie. A teraz, cóż. Teraz chcę mieć dziecko, mogę sobie na nie pozwolić, bo moi klienci są wobec mnie lojalni, tylko że - pociągnęła trochę soku aloesowego - nie mam już męża, a mój ginekolog mówi, że mam piętnaście procent szans na zajście w ciążę.

Spojrzałam na nią. Zrobiło mi się przykro, że spotkała ją tak wiele złego tylko dlatego, że odniosła sukces zawodowy. Czy coś w tym rodzaju. Zanim jednak zdążyłam wyrazić współczucie, Victoria rozłożyła mnie na łopatki:

- Nie ma w tobie ani krzty inicjatywy, młoda damo. Twoje streszczenia są liche, styl działania nieistniejący, poza tym wyraźnie brakuje ci krzty talentu. - Nieźle, zważywszy że na wczorajszym spotkaniu zacytowała dosłownie przynajmniej cztery komentarze z mojego streszczenia. Wiedziałam to dobrze, ponieważ byłam tam i robiłam notatki do sprawozdania. - Myślę, że powinnaś się zastanowić nad swoją pozycją w tej firmie, nie sądzisz? - Obdarowała mnie uśmiechem rozkosznego wampirka.

Była to wskazówka, że powinnam wyjść. Jakoś zdołałam to zrobić, bez obijania się o meble, choć oczy miały pełne łez.

- O Boże, Elizabeth. Nie przejmuj się nią. To dziwka na kółkach - powiedziała Lara, gdy powłócząc nogami, z opuszczoną głową dowlókłam się do swojego biurka. Rzuciła mi paczkę ekskluzywnych chusteczek Virgin Atlantic.

- Ale ona ma rację - powiedziałam, wycierając łzy pięściami. - Nie jestem wystarczająco dobra. Nie nadaję się do tej roboty. Jestem beznadziejna.

- Tak, jasne. A ona już od pięciu lat jest prezesem Agencji. - Lara wyróciła oczami. - Elizabeth, ma swoją trójkę klientów tylko dlatego, że pomyłkowo uznali, iż Victoria liże cipki i postawili sobie za punkt honoru być reprezentowanym przez lesbijkę. To kwestia polityki. Victoria nienawidzi siebie, dlatego cię zaatakowała. Po prostu zapomnij o tym.

- Nie jestem pewna, czy potrafię - odparłam. - Spędziłam cały weekend, pracując nad tym streszczeniem. Przeczytałam szesnaście scenariuszy. Nie widziałam skrawka nieba przez całą niedzielę. Siedziałam w mieszkaniu i czytałam. Nie mogłam zrobić nic więcej, a i tak się okazuje, że to nie wystarczy.

- Jezu, Elizabeth, nic nie kumasz, prawda? Ta kobieta jest nienormalna. Nawet pieprzony Szekspir nie zdołałby napisać streszczenia, które odpowiadałoby jej standardom. Zapomnij o tym, do cholery.

Zdałam sobie sprawę, że Lara, w swój irytujący, ale pełen dobrych chęci sposób, zapewne miała rację. Zauważyłam, że w sposobie mówienia coraz bardziej zaczynała mi przypominać Scotta. To zapewne normalne, jeśli pracuje się dla kogoś wystarczająco długo.

- Już zapomniałam - oświadczyłam, wpychając chusteczki do torebki.

Podkrađłam bardzo drogi kremowy papier Conqueror z szafki na artykuły piśmienne i zaczęłam się zastanawiać, czy moja mała siostrzyczka będzie wolała prześpać się dziś w nocy na sofie, czy też zechce dzielić łóżko ze mną, jak za starych, dobrych czasów. Owa myśl skutecznie pozwoliła mi zapomnieć o Victorii. Wylogo-

walam się i poszłam do domu całe pół godziny wcześniej, ale kto by się tym przejmował? Na pewno nie ja.

Kiedy dotarłam do domu, Melissa czekała już na mnie pod drzwiami. Siedziała na ogromnym plecaku khaki, czytając książkę Christophera Hitchensa. Obok niej stała otwarta puszką taniej oranżady.

- Dobry Boże, Melisso! - Podbiegłam do niej, nie zważając na objającą uda torbę z manuskryptami.

Melissa wstała i wyciągnęła ku mnie ramiona.

- Lizzie! Cudownie cię znowu widzieć!

Stałyśmy, trzymając się w objęciach tak długo, że zapomniałam, gdzie kończą się moje ramiona, a zaczyna jej. Całe wieki nie przytulałam osoby, którą bym kochała, i teraz po prostu nie potrafiłam jej puścić.

- Może wejdziemy do środka? - zaśmiała się Melissa, gdy wyplątałyśmy się z uścisku.

Wyrzebałam klucze z dna torby.

- Strasznie się zmieniłaś. - Melissa wyglądała na lekko oszołomioną, gdy przyjrzała mi się dokładniej.

- Och, to te włosy - odrzekłam niepewnie.

- Nie tylko. - Obróciła mnie, oglądając ze wszystkich stron. - Wyglądasz tak gładko, sztywnie, tak... w stylu LA.

W głębi duszy byłam zadowolona z tej opinii, chociaż nie sądziłam, że chciała mnie skomplementować.

- Ty za to wyglądasz prześlicznie. - Otoczyłam ją ramieniem i przekręciłam klucz w zamku. - Mel, nie masz pojęcia, jak się cieszę z tego spotkania!

Rzuciłyśmy jej plecak tuż przy drzwiach. Melissa wykręciła się od wzięcia prysznicza.

- Wiesz, przyzwyczaiałam się już do chodzenia przez parę dni bez kąpieli - powiedziała, oglądając moje mieszkanie. Wystawiła głowę za okno. - Poza tym to okropne marnowanie wody. Ludzie z zachodu używają wody stanowczo zbyt obficie i to mnie dobija.

- Masz rację - powiedziałam i szybko zakręciłam kran, z którego lała się woda na pomidory w zlewie.

- Powiedz mi, zgłosiłaś się już na ochotnika do jakiejś organizacji? - spytała, stając w drzwiach kuchni,

gdy przygotowywałam obiad. - W LA jest wielu ubogich ludzi. To aż nie do wiary. Doskonały projekt, żeby się nim zająć. - Spojrzała na mnie z nadzieją.

- Nie, ale zamierzam to zrobić. Myślałam, by zostać Wielką Siostrą, ale na razie nie chcę się tego podejmować. Sama rozumiesz, tym dzieciakom trzeba się kompletnie poświęcić, więc najpierw muszę się tu zadomowić, a przede wszystkim zdecydować, czy mam tu zostać. Nie jestem pewna, czy powinnam.

- Słuszne podejście - pokiwała głową Melissa.

Westchnęłam z ulgą. Jakoś udało mi się wywinąć od drażenia tematu. Postarałam się zapomnieć na chwilę o potrzebujących biednych dzieciach i ich błagalnych spojrzeniach.

- Opowiedz mi o Sierra Leone - poprosiłam nieco później, nalewając Melissie pełen kieliszek wina i zabierając się do makaronu, którego nie dogotowałam w nadmiernej skwapliwości nakarmienia mojej siostrzyczki. Siedziałyśmy na dachu mojego bloku mieszkalnego. Słońce nad oceanem przybrało już brzoskwińoworóżowy kolor, a ja po raz pierwszy od wielu dni czułam spokój. Pogodziłam się z decyzją odejścia z pracy i z obecnością siostry u mego boku. Była taka pełna energii, inspirująca. Nie mogłam się powstrzymać od myśli, że gdzieś tam jest cały świat, któremu mogłabym się przydać. Dlaczego marnowałam czas w tym mieście?

- O rany, nie wiem, od czego zacząć. - Roześmiała się i upiła nieco z kieliszka. - Cóż, to było niesamowite. Naprawdę niezwykle. Przy okazji również okropne, rozumiesz. Tak czy siak, to najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam w życiu.

- Wspanialsza niż wtedy, gdy uciekłyśmy z domu i spałyśmy w parku? - spytałam żartobliwie, próbując udowodnić sobie, że wciąż byłyśmy siostrami i łączyła nas miłość oraz doświadczenia życiowe. Kiedy jednak uśmiechnęła się i zaczęła opowiadać mi o misji, o tym jak ocierała się o śmierć, jak spała pod chmurką, zaledwie kilka metrów od obozu armii i o tym, jakich okru-



cieństw była świadkiem, zrozumiałam, że po tym, co przeszła, stała się zupełnie inną osobą.

Inną niż ja, asystentka z Hollywood, która przez całe miesiące nie sypia, zamartwiając się listą telefonów, która boi się, że nikt nigdy nie zaprosi jej na premierę i która zachwyca się tym, jak wspaniałe dochody potrafi przynieść Joel Schumacher. Widać to było jak na dłoni. Melissa wyglądała niesamowicie. Nie mówię o kolorze włosów ani o tym, że zeszczupiała. Naprawdę była piękna. Emanowała pasją, zaangażowaniem w to, co robiła. Była ożywiona, opowiadała o klimacie socjalnym w Afryce z pewnością siebie i z przekonaniem. Miała ugruntowaną opinię na temat polityki rządu USA i ONZ. Opowiedziała mi o wydarzeniach i teoriach, o których wcześniej nie słyszałam. Jej włosy były dłuższe i bardziej zmierzwione niż zazwyczaj, twarz i ramiona opalone. W swoich znoszonych, niechlujnych dżinsach i postrzępionej koszulce, a przede wszystkim z tym niesamowitym błyskiem w oku, wyglądała jak bojowniczką. Wręcz jaśniała. Poczulałam zazdrość.

Nieco później, na dole, w bezwietrzną noc wypełnioną graniem świerszczy, kiedy poszłam do kuchni po lody i przyjrzałam się swemu odbiciu w drzwiach lodówki, ledwie rozpoznałam tę dziewczynę z blond kosmykami, w ponurych czarnych spodniach i koszuli, ze skąpym pasmem czerwonej szminki na ustach, co miało być desperacką próbą, by wyglądać olśniewająco. Tymczasem wyglądałam blado, nijako, nieinteresująco, a przede wszystkim smutno. Nie miałam sobie nic więcej do powiedzenia. Nie miałam nic do powiedzenia - poza tym, że nienawidzę Victorii niemal bardziej niż afrykańskich dyktatorów. Wiem, to żałosne, ale nie mogłam nic na to poradzić.

- Melisso, myślisz, że jeśli złożę podanie, znajdą dla mnie jakieś miejsce w ONZ? - spytałam po powrocie do stołu, otwierając pudełko lodów Chunky Monkey.

- Czemu pytasz? Znasz kogoś, kto szuka pracy? - spytała Melissa, nabierając pełną łyżkę zimnej masy z za-

chwytem na twarzy. - Jezu, dawno już nie jadłam takich frykasów.

- Właściwie to chodzi o mnie. - Chciałam, żeby zabrzmiało to nonszalancko, ale wyszło dość żałośnie.

- O mój Boże, Lizzie. Moja biedaczko! - Nie musiała mówić nic więcej, żeby okazać zrozumienie. - Zastanawiałam się, jak sobie tu radzisz. - Wreszcie mogła przestać owijać rzeczy w bawełnę. - No wiesz, twoja praca musi być potwornie nudna. To do ciebie nie pasuje. Wszystkie te ceremonie wręczania nagród, towarzystwa wzajemnej adoracji, egocentryczne pryki produkujące filmy, które deprawują społeczeństwo. Jak w ogóle udaje ci się pogodzić całe to parcie do przodu, promowane przez przemysł rozrywkowy, z własnym poczuciem etyki? - spytała.

- Och, nie jest aż tak źle - odparłam, oszołomiona tak ostrą krytyką Hollywoodu. Może nie był to Czerwony Krzyż, ale też nie panował tu reżim faszystowski. - Myślę, że parcie do przodu jest ważne, ponieważ stanowi pewną charakterystykę społeczeństwa, w którym obecnie żyjemy. Poza tym, wielu ludzi z branży rozrywkowej przeznaczają olbrzymie sumy na cele charytatywne. Niemal co noc organizowane są jakieś imprezy na cele dobroczynne. Osoby, z którymi pracuję, też są na swój sposób bardzo wrażliwe i pełne współczucia. Po prostu... - zastanowiłam się przez chwilę - ...chyba nie mogę się w tym odnaleźć. W Waszyngtonie zawsze byłam szczęśliwa, a tutaj nie potrafię się zadomowić. Dlatego pomyślałam, że powinnam wrócić do tego, co znam. To wszystko - skończyłam nieco defensywnie.

- Zobaczą, co się da zrobić. Jutro mam lunch z jednym facetem, dość wpływowym w waszyngtońskich kręgach politycznych. Nie omieszkać go zapytać.

- Dzięki - odparłam, przypominając sobie o papierze, który ukradłam z biura. A potem o skrzywionej w grymasie twarzy Yictorii. - Pomożesz mi przygotować CV?

## 10

*Wierzę. Wierzę. To głupie, ale wierzę.*

Natalie Wood jako Susan Walker (*Cud na 34 Ulicy*)

Następnego poranka, z oczami zaczerwienionymi z niewyspania (siedziałam do drugiej w nocy), wrzuciłam do torebki siedemnaście kopert. Każda z nich zawierała mój życiorys oraz list do senatora lub kogoś na podobnym stanowisku. Ich nazwiska i adresy znalazłyśmy z Melissa w Internecie. W listach prosiłam o przyjęcie do pracy, opisując mój nieszczęsny epizod z Hollywoodem w jednym, krótkim zdaniu.

- Dzięki, kochanie. Byłaś absolutnie fantastyczna - uściskałam siostrę, odstawiwszy ją do Beverly Center, gdzie zamierzała wziąć udział w przedpołudniowym proteście przeciwko złemu traktowaniu uchodźców politycznych.

- Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze - odparła, zarzucając plecak na ramię. - Zadzwońię do ciebie, gdy dotrę do Waszyngtonu. Powodzenia w szukaniu pracy.

- Dzięki. Przyda mi się nieco szczęścia.

Stanęła obok samochodu i uśmiechnęła się do mnie jak Joanna D'Arc.

- Wszystko się uda, zobaczysz. Jesteś stworzona do kariery w polityce. To powierzchowne gówno zupełnie do ciebie nie pasuje. Pamiętasz, jak kiedyś, gdy byłaś mała, przywiązałaś się razem z rowerem do wiązu w ogrodzie? Chcieli go ściąć, ponieważ miał zarazę ho-

lenderską. Oto siostra, jaką pamiętam i kocham. Siostra, która była dla mnie natchnieniem. Waszyngton cię potrzebuje.

- Jesteś kochana, Mel. Do zobaczenia wkrótce.

Pomachałam jej, powstrzymując się od śmiechu. Mel była taka gorliwa. Włączyłam się w korek na La Cienega. W lusterku wstecznym obserwowałam, jak moja siostra przemierza chodnik w tych samych ciuchach, które miała na sobie wczoraj, dźwigając plecak dwa razy cięższy niż ona sama.

Po przyjeździe do biura uświadomiłam sobie, że jeśli chcę wypić codzienną porcję chai latte, muszę najpierw przeczytać scenariusz Jasona. Nie mogłam mu się wcześniej pokazać na oczy. Jason był jedną z nielicznych znanych mi osób w tym mieście, które były w porządku, i wiedziałam, że strasznie chciałby usłyszeć moją opinię... cóż, w zasadzie czyjakolwiek opinię na temat swojego dzieła.

Wyciągnęłam z torby jego scenariusz i zaczęłam czytać, gdy inne asystentki przeglądały najnowsze wyniki notowań box office w „Variety”. Nie miało sensu, żebym ja to robiła. Przecież wkrótce i tak odejdę z pracy: albo wykopie mnie stąd Victoria Charles David, albo sama rozpocznę karierę w miejscu, gdzie moi współpracownicy nie będą rozważać sprzedaży swoich oocytów ani nie uznają mnie za mutanta z powodu naturalnego koloru moich włosów.

Przez całe przedpołudnie w każdą wolną chwilę czytałam kilka kolejnych stron. I jeszcze kilka. O dziwo, scenariusz Jasona był bardzo wciągający. Z zasady nie należy podejmować się lektury żadnych manuskryptów przyjaciół, ponieważ bez wyjątku okazują się fatalne. Ten jednak bardzo mi się podobał. Kiedy Scott wreszcie poszedł na lunch, wyciągnęłam manuskrypt z dolnej szuflady i rozsiadłam się wygodnie, aby skończyć lekturę trzeciego aktu. Victoria pojechała na kilka dni do Sedony, na konsultacje z szamanem, a Lara wciąż była pochłonięta swoim kursem i siedziała z zatyczkami

w uszach. Udało mi się więc dokończyć lekturę bez zakłóceń.

Scenariusz Jasona zatytułowany był *Zakochani Seksoholicy*. Opowiadał o chłopaku z New Jersey, który chciał stracić dziewictwo. W tym celu zapisał się na spotkania Anonimowych Seksoholików w nadziei, że znajdzie tam partnerkę. Sądząc z tytułu, spodziewałam się czegoś w rodzaju *American Pie*, ale historia okazała się znacznie bardziej wzruszająca. A Dan, główny bohater, był najbardziej sympatyczną postacią, z jaką spotkałam się do tej pory w swoich lekturach i chociaż miałam tylko miesiąc doświadczenia w czytaniu scenariuszy, to dzięki nawałowi pracy, jaką zwałała na mnie Victoria, poznałam się na rzeczy. Pomyślałam z radością, że będzie z tego świetny film. Naprawdę doskonały. Już to widziałam: główny bohater, z jego pokręconym życiem rodzinnym, karierą na Harvardzie, przyjaciółmi, załamana matka, zwariowanym na punkcie pornografii ojczymem i nieobecnym prawdziwym ojcem. Niskobudżetówka, ale z dobrym, robiącym karierę młodym aktorem w roli głównej. Pomysł był ambitny, ale jednocześnie pełen humoru. Sprawiał, że na przemian chciało się śmiać i płakać. Poza tym był to pierwszy z dotychczas przeczytanych przeze mnie scenariuszy, który, moim zdaniem, mógł odnieść sukces na wielkim ekranie. W dodatku napisał go Jason Blum, zaparacz kawy, facet z naprzeciówka, który chciał, żebym była jego producentką. Oczywiście, to się nigdy nie stanie, ponieważ niedługo wyjadę do Waszyngtonu. Pomyślałam jednak, że zanim stąd zniknę, pomogę mu znaleźć odpowiednią osobę, to on zaprosi mnie wtedy na premierę.

Dobra nasza. Uśmiechnęłam się i chwyciłam manuskrypt i torebkę. Teraz już byłam gotowa na moją latte i przekazanie dobrych wieści.

Wstałam, aby pomaszerować do Coffee Bean. Dokładnie w tym samym momencie zabrzączał telefon, a ja popełniłam głupotę, odbierając go, chociaż nie musiałam.

Podstawową zasadą w Hollywood było, że jeśli twój szef zaparkował już w wybranej restauracji, w której chciał tego dnia spożyć lunch, biuro było zamykane i wszystkie rozmowy przełączano na automatyczną sekretarkę. Nachalne dzwonienie doprowadzało mnie jednak do szału.

- Biuro Scotta Wagnera - powiedziałam niecierpliwie.
- Scott? - chlipnęła w słuchawkę jakaś kobieta.
- Nie. Mówi Lizzie. Scott wyszedł właśnie na lunch.
- Musisz go znaleźć - usłyszałam więcej chlipania i nawet chyba coś, co można by uznać za skomlenie.
- Czy mogłabym wiedzieć, kto mówi?
- Jennifer.

O Boże. Jedna z największych klientek Scotta, która często dzwoniła do niego z Saksa z płaczem i skarżyła się, że nie może dostać torby Balenciaga Lariat w bieli. Ja musiałam traktować ją z pełną powagą.

- Brett uparł się, żeby sfilmować mnie z profilu, a w moim kontrakcie jest bardzo wyraźnie napisane, że nie robię profili. Próbowałam mu to wytłumaczyć, ale on tylko na mnie wrzeszczy i obrzuca obelgami.

- Jennifer, proszę cię, nie martw się. Spróbuję znaleźć Scotta. Gdzie można cię złapać?

- Jestem w swojej przyczepie i nie zamierzam nikogo wpuścić do środka. Wynoś się! - wrzasnęła na jakąś Bogu ducha winną osobę tak głośno, że aż zabręczało mi w uszach. - Próbuje zrujnować mi karierę z zemsty za to, że nie poszłam z nim do łóżka. Wiem, że tak jest. Nie nawidzę mojego nosa z profilu i nie zamierzam go nikomu pokazywać.

- W porządku. Nie przejmuj się, po prostu czekaj. Poproszę Scotta, żeby do ciebie zadzwonił.

- Lepiej się pospiesz, bo nie zamierzam znosić tego traktowania ani chwili dłużej. To zabija moje wewnętrzne dziecko. Jeżeli Scott nie odezwie się do mnie za minutę, dzwonię po taksówkę i jadę do domu.

Odłożyłam słuchawkę i odebrałam kolejny telefon, brzęczący natarczywie. Szczerze mówiąc, nie mogłam

uwierzyć w to, że zatyczki do uszu Lary są aż tak szczelne, nawet jeśli pochodziły z pierwszej klasy Virgin. Nieodbieranie telefonu w porze lunchu było w porządku, ale dzwonek był tak głośny, że niemal wprawiał w wibracje całe biurko. Chyba było to coś ważnego. Chwyciłam słuchawkę.

- Halo, słucham.

- Jeżeli nie wyciągniesz tej pieprzonej dziwki z przyczepy i nie sprowadzisz jej na plan w przeciągu najbliższych dziesięciu minut, to pozwę jej kościsty, spalony tyłek do sądu.

- Brett? - domyśliłam się.

- Mam po dziurki w nosie jej fochów. Rzygać mi się chce na widok tej primadonny. Nigdy nie chciałem jej w moim filmie. Zmusiło mnie do tego studio, a teraz ta oziębła, zarozumiała cipa rujnuje moją pracę. Wyciągnij ją stamtąd, do cholery, słyszysz, Scott?

Prawdopodobnie Scott rzeczywiście mógł go usłyszeć, nawet jeśli akurat przebywał w Ivy i był po trzech kolejkach krwawej mary.

- Przykro mi, ale mówi Lizzie, asystentka Scotta. Próbuję się z nim skontaktować. Jest na lunchu. Odezwiemy się do pana. - Zanim jednak skończyłam, w słuchawce rozległ się dźwięk przerwane połączenia. W porządku. Jasne. Znowu to samo.

Komórka Scotta była wyłączona. Odzywała się tylko automatyczna sekretarka. Mój szef siedział teraz przy stoliku w Ivy, zajadając się ciasteczkami krabowymi i nic go nie obchodziło, że w tej samej chwili na planie w Paramount coś dogorywało. Na nieszczęście, pomyślałam z cynizmem świeżo upieczonej profesjonalistki, nie była to Jennifer, ponieważ wtedy problem przestałby istnieć.

- Scott? Mówi Lizzie. Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale muszę z tobą pilnie porozmawiać. Zaprogramowałam mój numer telefonu na twojej komórce pod Lizzie, Elizabeth i Asystentka Numer Dwa, więc możesz do mnie zadzwonić pod każdy z nich. Dzięki.

Ziapałam kluczyki do samochodu i wrzuciłam komórkę do torebki.

- Jeśli ktoś będzie mnie szukał, pojechałam do Paramountu. Wynikła jakaś awantura na planie pomiędzy Jennifer i Brettem.

Równie dobrze mogłam mówić do ściany. Jediną odpowiedzią, jaką uzyskałam, biegnąc w kierunku drzwi, był komentarz pięknej Talithy, która wymamrotała, że awantura to nazwa ulubionych perfum Gwyneth Paltrow.

Niecierpliwie stukałam nogą w pedał przyspieszenia, gdy jeden z Jose przestawiał mercedesa, który blokował mi wyjazd z garażu. Miałam około pięciu minut na dotarcie do Paramountu i wyciągnięcie Jennifer z jej przyczepy, inaczej Bret zerwie z nią kontrakt, uderzając przy okazji Agencję. Wtedy zgadnijmy, kogo Jennifer obarczy winą za to, że musiała znosić te wszystkie tortury z rąk Brettta? Agent powinien bowiem być przyjacielem, matką, kozłem ofiarnym, kochankiem, niańką, poplecznikiem i rycerzem, gdy zaistniała taka potrzeba, broniąc honoru swej damy. Albo jej profilu. Problem w tym, że przez większość czasu agent był na lunchu, premierze lub, jak w przypadku Scotta, naćpany. Dlatego jego obowiązki przechodziły na mnie. Czego nie mogłam powiedzieć o jego porsche, niestety. Skonstatowałam to z żałością, dostrzegając błękitny dymek unoszący się spod maski mojej hondy. Postanowiłam to zignorować w nadziei, że jakoś się ulotni.

Podczas gdy wysoki Jose parkował mercedesa na nowym miejscu, mały Jose gawędził ze mną przez uchylone okno.

- Wybierasz się w jakieś miłe miejsce? - spytał, nieświadomy, że aż chodzę ze zdenerwowania.

- Do Paramountu. Ile, twoim zdaniem, zajmie mi dojazd?

- Masz na myśli tajny skrót czy zwykłą, długą, zakorkowaną drogę? - Uśmiechnął się sprytnie i przygładził czarne włosy.



- O Boże, Jose, znasz jakiś skrót? - spytałam, ale niepotrzebnie, bo zaczął już spisywać zagadkowe instrukcje. - Kocham cię, Jose, wiesz o tym?

- *Afalta de hombers buenos, a mi padre hicieron alcalde* - pokiwał głową, wręczając mi moją mapę ratunkową.

- Z braku odpowiednich ludzi zrobili mojego ojca burmistrzem? - spytałam, przypominając sobie mozołnie szkolne lekcje hiszpańskiego.

- Jedź już - powiedział.

Uśmiechnęłam się do niego i przyspieszając, z piśkiem opon i krztuszeniem silnika wyjechałam w osłepiający blask dnia.

Pojechałam w dół Melrose i dalej, w głąb Hollywoodu, w poszukiwaniu bramy Paramountu. Nigdy przedtem nie widziałam jej na żywo, ale ponieważ pokazywano je w czołówce chyba setki filmów, wiedziałam mniej więcej, czego szukam. Nie miałam jednak czasu docenić faktu, iż wkrótce po raz pierwszy w życiu postawię stopę na świętej ziemi legendarnego hollywoodzkiego studia. Zbyt pochłaniało mnie jednoczesne spoglądanie na zegarek i zastanawianie się, czy Jennifer nie wsiadła już do samochodu, demonstracyjnie opuszczając plan, monitorowanie komórki na wypadek, gdyby zadzwonił Scott, i podążanie za wskazówkami Jose, które prowadziły mnie przez luksusowe okolice do celu. Nie zatrzymałam się również na podziwianie ulic, którymi jeździli do pracy Lucille Bali, Greta Garbo i Tom Cruise, ponieważ chwilowo miałam przed oczami obraz migdałków Scotta wrzeszczącego na mnie za to, że nie powstrzymałam Jennifer przed popełnieniem samobójstwa zawodowego. W grę wchodziła reputacja Agencji. Reputacja Scotta. Poza tym, a może nawet przede wszystkim dlatego, że planowałam dziś wysłanie moich siedemnastu listów, nie chciałam, aby przyczyną mojego odejścia z pracy było zwolnienie dyscyplinarne. Dlatego wytarłam spocone dłonie o swoją czarną spódniczkę, chwyciłam mocno kierownicę i niczym kaskaderka zaczęłam przeźdierać się przez kolejne ograniczniki prędkości.

Wreszcie zadzwonił telefon. Nareszcie. Scott! Zwolniłam nieco i odebrałam.

- Lizzie, to ja. - Nie było to „ja”, na które liczyłam. Dzwoniła Melissa.

- Cześć, słońce - odpowiedziałam, ścisząc radio.

- Mam pewien kłopot, Lizzie - poinformowała mnie.

- Jakiego rodzaju? - zaniepokoiłam się.

- Zostałam aresztowana. Byłam na marszu popierającym prawa dla uchodźców i przywiązałam się do płotu.

- Rozumiem. Ale nic ci nie jest? Mam przyjść i zapłacić za ciebie kaucję czy coś w ten deseń? Chcesz, żebym zadzwoniła do mamy i taty? Potrzebujesz prawnika? - W kryzysie zawsze stawałam się bardzo praktyczna. Powinnam umieścić to w swoim CV, ale zapomniałam.

- Nie, poradzę sobie - odparła beztrąsko. - Tak naprawdę chciałam, żebyś obejrzała wieczorne wiadomości w CNN, ponieważ będą w nich puszczały wywiad ze mną na temat łamania praw człowieka w przypadku uchodźców politycznych. Gdybyś mogła rozesłać e-maile z tą wiadomością do wszystkich twoich znajomych, wieści się rozniosą. Czy to nie cudowne? - Była szczęśliwa jak dzieciak.

- Słuchaj, czy ta sprawa skończy się w sądzie? Pamiętaj, że zostałam aresztowana, słoneczko - powiedziałam, nie mogąc się powstrzymać od odgrywania roli starszej siostry.

- Nic podobnego. Teraz jestem w celi i właśnie wykorzystuję moje prawo do jednego telefonu, ale o szóstej wypuszczą mnie z więzienia, żebym o siódmej zdążyła na antenę. Koniecznie włącz wtedy wiadomości - powiedziała, po czym jej ćwierćdolarowy limit chyba się wyczerpał, ponieważ połączenie zostało przerwane.

W tej samej sekundzie zdałam sobie sprawę, jak bardzo różniłyśmy się od siebie. Zawsze myślałam, że jeśli chodziło o zasady, jesteśmy ulepione z tej samej gliny: obie przejmowałyśmy się losem drzew, więźniów politycznych, delfinów i biednych kobiet, które kamienowano za cudzołóstwo. Tymczasem, choć naprawdę obcho-

dziły mnie te sprawy i może nawet kiedyś zainspirowałam młodszą siostrę moimi małoletnimi wojowniczymi ideałami, nie potrafiłam udawać, że było to dla mnie tak ważne jak dla Melissy. Nie poświęciłabym lunchu, wolności ani reputacji praworządnej obywatelki Stanów Zjednoczonych Ameryki, przykuwając się do płotu i dając się aresztować. Nieważne, czy sfilmowałby to CNN. Mogłam podpisać petycję, rozesłać e-mail do setki osób, wziąć udział w pokojowym marszu. Nie byłam jednak typem kobiety, która potrafiła ryzykować życie, obojętne czy w Sierra Leone, czy w Beverly Center. Po prostu już mnie to nie bawiło. Może dawniej, gdy byłam młodsza. Teraz jednak uważałam to za zbyt idealistyczne, zbyt naiwne. Byłam przekonana, że gdyby Scott lub którykolwiek z hollywoodzkich VIP-ów przejeżdżał dziś rano obok demonstracji Melissy, po prostu zbluzgałby ją za spowodowanie utrudnień na drodze. Nie obesłoby ich, nawet gdyby był to marsz o pokój na świecie lub o przerwanie niehumanitarnego traktowania świnek doświadczalnych. Melissa nie wywarłaby najmniejszego wpływu na ich życie. W tej sytuacji jej szlachetne czyny były raczej bezsensowne. Służyły wyłącznie do poprawienia własnego samopoczucia. Dzięki temu czuła, że robi coś wielkiego i, trzeba przyznać, zapewne było to wspaniałe uczucie. Wiedziałam jednak, że w moim przypadku to się nie sprawdzi. Szukałam czegoś innego, chociaż nie miałam pojęcia, czego. Spojrzałam znowu na mapkę i dodałam gazu. Jeśli obliczenia Jose były właściwe, powinnam właśnie znaleźć się na wysokości Paramountu.

Gdy w końcu udało mi się podjechać do stróżówki przed parkingiem dla gości, zrozumiałam, że majestatyczne marmurowe wrota były w rzeczywistości betonowe, a ochrona nie zamierza mnie wpuścić bez uprzedniego przesłuchania w stylu hiszpańskiej inkwizycji.

- Nie dzwonił do nas nikt ze studia, proszę pani. Nie mogę pani wpuścić.

- To nagły wypadek. Jestem potrzebna na planie *Weselnej masakry* - powiedziałam błagalnie. Jednocześnie zerkałam na drogę wyjazdową, czy przypadkiem jedna z przepływających pod szlabanem limuzyn nie wywoziła właśnie Jennifer. Oczywiście sprawiało to tylko jak najgorsze wrażenie na ochroniarzach. W okularach przeciwsłonecznych od Chanel i w dymiącym spod maski samochodzie wyglądałam jak obłąkana prześladowczyni albo islamska fundamentalistka.

- Dlaczego nie zadzwoni pan do Bretta, kierownika produkcji? - podpowiedziałam z nadzieją. - Proszę mu powiedzieć, że jestem asystentką Scotta Wagnera i przyjechałam, żeby wyciągnąć Jennifer z jej przyczepy. Jestem przekonana, że potwierdzi moją historię. Naprawdę.

- Proszę poczekać. Porozmawiam z dyrektorem studia - rzekł uprzejmie strażnik.

Na nieszczęście, ostatni nagły wypadek za jego kadencji nastąpił w 1950 roku, gdy pojawiła się tu Gloria Swanson, aby nakręcić *Bulwar Zachodzącego Słońca*. W związku z tym siedziałam w nieskończoność, pocąc się w samochodzie, aż w końcu przydreptał z dumnym uśmiechem na twarzy i przepustką, którą miałam przykleić na samochodzie.

- Są w studiu numer dziewiętnaście - powiedział, wręczając mi mapę. Oczywiście nie zadał sobie trudu, aby mnie poinformować, że tereny rzeczonoego studia ciągną się na obszarze dwudziestu pięciu hektarów.

Dwie godziny, dwa wózki golfowe, trzech strażników i pięć odcisków na stopach później znalazłam się wreszcie na miejscu. Tyle że teren był wyludniony, z wyjątkiem dwóch ślicznotek, które, sądząc po barwnych smugach szminek aktorskich na wierzchach dłoni, wyglądały na charakteryzatorki. Zajadały właśnie sushi na schodach karawanu kempingowego Winnebago. Spojrzały na mnie pytająco.

- Hej. Szukam przyczepy Jennifer - zawołałam.

- Jennifer? Chyba jest w którejś z dzwonekmi wietrzynami, co nie? - skonsultowała się jedna z dziewcząt

z koleżanką, która kiwnęła wymijająco głową w kierunku kawałka ryby.

- Dzięki. - Pomaszerowałam szybko w stronę wskazanej przyczepy, stojącej na końcu nowojorskiej ulicy. Nasłuchiwałam płaczu i krzyku Jennifer, czegokolwiek, co by mnie pocieszyło, że nie przybyłam za późno. Niestety, cała okolica była dziwnie cicha. Nigdy przedtem nie przebywałam na planie filmowym, jednak wyobrażałam sobie, że jeśli wszystko szło zgodnie z planem, powinienam tu spotkać ludzi, którzy zmieniali dekorację, oświetlenie i reżyserowali.

- Cholera - wymamrotałam, powłóczęc obolałymi nogami. - Gdzie się wszyscy podziali?

- Hej - zawołał męski głos za moimi plecami. - Szukasz kogoś?

Odwróciłam się i zobaczyłam faceta w czapeczce baseballowej i powyciąganym podkoszulku, przycupniętego samotnie na schodach ze sztucznego piaskowca i zjadającego lunch.

- Emm... niezupełnie. To znaczy tak, chyba tak, ale wszystko w porządku, bo chyba wiem, gdzie idę, ponieważ... emm... cóż... mam mapę - zakończyłam, wymachując wymiętoszoną żółtą kartką papieru, którą ścisnęłam w dłoni.

- A, no to w porządku. Po prostu wyglądałaś na zagubioną. - Wzruszył ramionami i nabił na widelec kawałek tuńczyka z sałatki w miseczce, którą trzymał na kolanie. Potem przekreślił do tyłu daszek czapeczki i uśmiechnął się do mnie samymi oczami, dodając z południowym (jak mi się zdawało) akcentem: - Jeżeli jednak przypadkiem się zgubiłaś, to super, mogę ci pomóc.

- Właściwie szukam planu *Weselnej masakry*. Mieli go tutaj kręcić. Tak przy okazji, straszny tytuł - odparłam, siląc się na coś w rodzaju uroczego żartu.

- Okropny - zgodził się. - Myślę, że są tam, a przynajmniej stamtąd słyszałem jakiś czas temu krzyki. Potem rozległ się straszliwy łomot i zapanowała śmiertelna cicha. - Wzruszył obojętnie ramionami.

- O nie! Cholera! Nie mówisz poważnie? - Potykając się, zaczęłam się cofać w kierunku miejsca tragedii. Czy to możliwe, aby Jennifer i Brett pozabijali się w przepływie wściekłości? Dwoje największych klientów Scotta! A potem facet od sałatki puścił do mnie oczko i pochłonął pomidora koktajlowego.

- Aha, świetny żart. Ha, ha, ha - powiedziałam i nie oglądając się za siebie, pognałam w stronę grupy przyrzep.

Kiedy wreszcie dotarłam do tej z dzwonekami wietrznymi na drzwiach, stanęłam na aluminiowych schodkach i zanim zapukałam, wstrzymałam na chwilę oddech. Wreszcie zebrałam się w sobie i spróbowałam nastroić się w miarę optymistycznie.

- Halo? - zawołałam nerwowo. Nikt nie odpowiedział. Nacisnęłam klamkę i bardzo powoli i ostrożnie otworzyłam drzwi.

- Hej, dzieciaki, zobaczcie, to Lizzie - powiedział jakiś męski głos, gdy wsadziłam głowę do środka przyczepy.

To typowe w tym mieście: rzeczy ewidentne zawsze były wypowiedane przez facetów. Gdy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyłam przed sobą Scotta, Jennifer i Brettta, zgromadzonych niczym Waltonowie wokół kuchennego stołu i grających w jengę.

- Och. Bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Po prostu myślałam, że był problem, więc...

- Świetnie się bawimy, Lizzie. Taka krótka przerwa na relaks, zanim wszyscy wrócą do pracy po południu. Umiesz grać w jengę? - Scott przerwał mi, nim zniweczyłam cały wysiłek, jaki włożył w zażegnanie konfliktu między aktorką i reżyserem.

- Jengę? - spytałam, zastanawiając się, dlaczego, do stu diabłów, nic mi nie powiedział i pozwolił, żebym pędziła tu przez miasto, załamując się nerwowo, podczas gdy moja biedna siostra siedziała samotnie w celi. Jednocześnie odczuwałam ulgę, że dawne dobre stosunki na planie zostały przywrócone do tego stopnia, że gdy Brett usuwał drewniany klocek ze stosiku, drugą ręką objął

Jennifer. - Nie, nie umiem - skłamałam. - Źle reaguję na drgania i wstrząsy. Lepiej, jeśli po prostu wrócę do firmy. - Cofnęłam się w kierunku drzwi, z nadzieją szybkiej ucieczki i powrotu do mojego biurka, gdzie zamierzałam czym prędzej dodać do mojego CV dyplomację.

- Hej, uważaj - usłyszałam tuż za prawym uchem i poczułam, że czyjeś ręce obejmują mnie w talii. Odwróciłam się i zobaczyłam faceta w czapeczce baseballowej, którego spotkałam wcześniej na schodach

- Oj - powiedziałam zaskoczona tym, że tak po prostu, bez pukania wszedł do przyczepy Jennifer.

- Lukę, wchodź, chłopie! - zawołał Scott od stołu.

- Nie, już się zmywam. Chciałem się tylko upewnić, że ta młoda dama znalazła właściwą drogę. - Przyjrzał mi się z bliska.

- Ach, widzę, że poznałeś już Lizzie - rzekł Scott. - Doskonale. To moja druga asystentka. Hej, Lizzie, poznaj Luka Lloyda, producenta *Weselnej masakry*.

Producenta? Miał najwyżej trzydzieści pięć lat. Wyglądał na gońca, ale w końcu przemysł rozrywkowy to młoda dziedzina i nic w tym niezwykłego, że ktoś w jego wieku prowadził już całe studio, nie mówiąc o produkowaniu filmów.

- O Boże, nie - wyszeptałam cichutko, ale Lukę Lloyd usłyszał mnie, nawet pomimo stukania drewnianych bloków walącej się za naszymi plecami wieży jengi.

- Właśnie że tak. I wiesz co? Tak sobie myślałem, że ten tytuł nie za bardzo mi pasuje. Wprawdzie dobrze symbolizuje całą historię, ale brakuje mu... no nie wiem... subtelności, jak myślisz? - Powiedział to tak, że można go było usłyszeć w całej przyczepie. Wpatrywał się przy tym intensywnie w moje oczy. Wyraźnie widziałam blade pięgi na jego nosie.

- To prawdziwy przebój, człowieku. Zaufaj mi - za-grzmiał Scott. - Niczego nie zmieniaj.

- Lizzie? - spytał Lukę Lloyd.

W tej chwili potrafiłam jedynie kontemplować jego długie ciemne rzęsy i jednocześnie rozważać samobójstwo.

- Prawdopodobnie jest to jeden z tych tytułów, które zyskują wraz z upływem czasu - odparłam, próbując opuścić pomieszczenie bez narażania się na dalsze upokorzenia. - Właściwie to już zaczyna mi się bardziej podobać. *Weselna masakra*. Tak, ma w sobie coś brutalnego i zakręconego. Masz rację, to świetny tytuł.

Udało mi się wreszcie jakoś wyminąć Luke'a Lloyda. Zbiegłam w dół po schodkach, zostawiając Scotta, Jennifer i Bretta odbudowujących hałaśliwie wieżę jengi i Luke'a spoglądającego na mnie ze szczytu schodów.

- Do zobaczenia, Lizzie - uśmiechnął się szeroko i zdjął baseballówkę, odsłaniając zmierzwioną czarną czuprynę. Dopiero wtedy go rozpoznałam. Był producentem, w którym usilnie starałam się nie zakochać na przyjęciu u Daniela. Tym samym, który rozmawiał z George'em i który, jak uznałam, umawiał się wyłącznie z modelkami, jeździł sportowymi wozami i na pewno był skończonym łajdakiem.

- Jasne. Do zobaczenia - wydukałam i aby uniknąć dalszych kłopotów, uciekłam w kierunku gościnnych ulic Nowego Jorku.

Mijając domy z piaskowca, które gościły tylu fikcyjnych mieszkańców Wielkiego Jabłka, od Jerry'ego Seinfelda do Holly Golightly, zaczęłam upajać się dziwną magią tego miejsca. Opuszczony plan filmowy, tekturowe ściany, drzwi prowadzące donikąd, nieistniejące pokoje czekały na wypełnienie ich romansem, życiem, wymyśloną przez kogoś przygodą. Bo przecież Hollywood jest urzeczywistnieniem czyichś snów. Usiadłam więc na schodach i zaczęłam się przyglądać nagrywaniu *Weselnej masakry*, z Brettem za kamerą, Jennifer wypruwającą z siebie flaki w scenie wrzasku, ze Scottem i Lukiem obserwującymi to wszystko z założonymi rękami i kiwającymi z zadowoleniem głową. Zdałam sobie wtedy sprawę, że w pewien sposób należałam do tego miejsca. Kochałam fantazję, świat iluzji i nawet mojej egalitarnystycznej duszy podobał się fakt, że w tym mieście każdemu mogło się udać; czy to anonimowemu pra-



ownikowi stacji benzynowej, czy mieszkającej po sąsiedzku nauczycielce jogi. Nikt nie był odporny na czar Hollywoodu.

Poza wszystkim, dzisiejsze aresztowanie Melissy uświadomiło mi, że nie nadaję się do pracy w polityce. Za bardzo się wciągnęłam w tutejszy świat. Przekroczenie bram Paramountu było niczym wejście do innej rzeczywistości, pozostawienie za sobą przeszłości. Oto znalazłam się wśród duchów Hollywoodu. Może siedziałam w tym samym miejscu, gdzie niegdyś Audrey Hepburn śpiewała *Moon River*. Musiałam dalej robić to, co robię. Kochałam scenariusz Jasona i chciałam spróbować szczęścia jako jego producentka. Podobało mi się to, że nad parkingiem Paramountu zawsze będzie się rozciągał ogromny parawan błękitnego nieba z białymi, puszystymi chmurami, nawet gdy akurat padało. Lubiłam również nowy, jaśniejszy, bardziej blond kolor moich włosów. I gdy tak obserwowałam mój nowy świat, zdecydowanie podobał mi się fakt istnienia w nim Luke'a Lloyda, nawet jeśli między nami nigdy do niczego nie dojdzie. Był przystojny, miły i zapewne również niezmiernie rozwiązał, ale uśmiechał się do mnie jak mężczyzna moich marzeń i mogłam przynajmniej poudawać, że nim jest. I nawet jeżeli jego południowy akcent był tak samo udawany, jak jego troska o mnie, nie było to teraz istotne, ponieważ dobrze pasował do roli mojego ideału.

Jeżeli zaś spojrzeć na to w odpowiednim świetle, ja też pasowałam do mojej roli. Myślałam o tym, wracając na parking. Nie byłam wprawdzie gwiazdą. Nie wsiądę za chwilę do lśniącej limuzyny i nie zostanę zaproszona dziś wieczór na wielką premierę, ale to przecież dopiero początek. Byłam podekscytowana i pełna nadziei. Pomyślałam, że skoro już tu jestem, spróbuję odegrać moją rolę najlepiej, jak potrafię. Oczywiście bez pokazywania profilu. To jedno miałyśmy wspólne z Jennifer: nienawidziłyśmy naszych nosów widzianych z boku. W moim przypadku szczególnie z lewej strony.

Gdy oddalałam się od bram Paramountu, zdążając w kierunku autostrady w Santa Monica, przypomniało mi się powiedzenie Jose: „Z braku odpowiednich ludzi zrobili mego ojca burmistrzem”. Nagle zrozumiałam, co to znaczy. W tym mieście, gdzie, jak to ujął William Goldman, „nikt nic nie wie”, miałam szansę na odniesienie sukcesu. Mogłam zająć się scenariuszem Jasona, pomóc mu wyprodukować film, stać się częścią gry. Naprawdę uważałam, że *Zakochani seksoholicy* to jedna z najlepszych historii, jaką kiedykolwiek przeczytałam. Oczywiście z wyjątkiem *Zbrodni i kary*. Widziałam w wyobraźni każdą scenę i wiedziałam, że powstanie z tego doskonały film. Jeśli zaś chodziło o ziszczenie marzeń, to - jeśli wierzyć słowom Jose - ja, Elizabeth Miller, miałam tu taką samą szansę, jak każdy inny.

## 11

*Wiem, że jestem pełna nienawiści, gniewu i frustracji i tylko złoto, srebro i diamenty całego świata zdołają mnie uleczyć.*

Caroll Baker jako Sylvia West (*Sylvia*)

Przez ostatnie pół godziny zastanawiałam się nad użyciem produktów brązujących: podkładów, toników, sprayów, płynów nabłyszczających, jednorazowych gigantycznych puszek z pudrem. Nieustannie rozważałam wszystkie znane mi metody uzyskania złotobrązowej cery bez konieczności wystawiania się na światło słoneczne. Wszystko dlatego, że od kilku godzin siedziałam zamknięta w oświetlonej jarzeniówką klitce bez okien i wiedziałam, że wynurzę się stąd spowita tym rodzajem bladości, która każe ludziom panicznie rozglądać się za czosnkiem, święconą wodą i kołkami osikowymi. Próbowałam sobie przypomnieć, czy w najbliższym czasie nie zaczynają się zdjęcia do nowych filmów o wampirach, bo jeśli tak, mogłabym pójść na casting. A nawet gdyby mnie nie zatrudnili, to załapię się na modę na przezroczystą cerę, która nastanie po ukazaniu się owego filmu. Wtedy wszyscy będą z zazdrością kopiować kobiety takie, jak ja czy Nicole Kidman. Ją może bardziej niż mnie.

Kopiować. Kopiować. Ile można kopiować? Szesnaście kopii. Postukałam w ciekłokrystaliczny wyświetlacz. Gdyby ktoś się jeszcze nie domyślił, znajdowałam się w pomieszczeniu z kserokopiarką i właśnie zaczynałam

się czuć, jakbym się w nim urodziła i z dużym prawdopodobieństwem miała tu umrzeć. Opuściły mnie wspomnienia o dzieciństwie, świadomość posiadania mieszkanek w taniej, ale przyjemnej części Venice. Straciłam kontakt z moimi współpracownikami, rozmawiającymi przez telefony, robiącymi coś rozsądnego tam, gdzieś, w realnym świecie, którego przestałam być częścią. O moim istnieniu przypominał mi jedynie szum kserokopiarki, który, nawet jeśli choć raz w życiu przyszło ci skopiować jakiś dokument, niechybnie odbije się na twoim umyśle, tak jak kserowany dokument na papierze.

Kliknięcie. Błysk światła. Kliknięcie. Szelest łądującej na podajniku kartki.

Bądźmy szczerzy: kserowanie nie jest tak proste, jak to by się mogło zdawać. Ludzie myślą, że nawet wioskowy idiota potrafiłby skopiować scenariusz szesnaście razy. Cóż, możliwe. Ja jednak nie uważam tego za prostą sprawę. W ciągu kilku godzin udało mi się zapodziać kilka stron, ułożyć kartki w niewłaściwej kolejności, skaleczyć nadgarstek (jestem gotowa przyznać, że jest to dość freudowskie). Zabrakło mi też papieru, tonera, tuszu, cierpliwości, a teraz zdaje się, że postradałam również zdrowe zmysły. Właśnie zaczęłam nucić piosenkę Celinę Dion, której kompletnie nie znałam, gdy nagle ciężkie drzwi oddzielające mnie od reszty ludzkości otworzyły się gwałtownie, i stanęła w nich zadyszana Talitha.

- Dzięki Bogu, tutaj jesteś! Szukałyśmy cię wszędzie. - Pierwszy raz jej policzki uzyskały kolor nie za sprawą różu Francois Nars. Wyglądała na poruszoną.

- Dlaczego? Co się stało?

Zatrzymałam maszynę, żeby dobrze usłyszeć posępne wieści. Nota bene, był to scenariusz, który przerabiałam w myślach przez cały czas kserowania manuskryptów. Jest to część paranoi kserokopiarkowej. Człowiek wyobraża sobie przeróżne wydarzenia typu: rozwścieczony szef, utrata pracy, atak terrorystów, zamach stanu, itd., o których dowie się dopiero po powrocie na

stanowiska pracy. Dzisiaj najwyraźniej stało się jedno z nich. Moja paranoja nie poszła na marne.

- Chodzi o Mię Wagner - powiedziała Talitha.

- O mój Boże, co takiego?

- Mia Wagner - potrząsnęła szaleńczo głową.

- Tak, wiem. Żona Scotta. Co z nią? Co się stało?

- Jest w recepcji - powiedziała wyczekująco Talitha.

Milczałam, spodziewając się dalszego ciągu. Czyżby Mia przyniosła ze sobą swoje uzi? Czy mówimy tu o zakładnikach? O epileptycznych podrygach na marmurowej podłodze? Najwyraźniej nie. Złą wiadomością było samo to, że Mia Wagner była w recepcji, kropka.

- To wszystko? - spytałam z ulgą, spokojnie układając wszystkie kartki w zgrabny stosik i przy okazji kalecząc sobie palce.

- Elizabeth. Mia Wagner jest w recepcji. Nie rozumiesz?

- Nie, nie sędzę, bym rozumiała. Żona mojego szefa czeka na... O Boże! - Nagle oprzytomniałam. - Scott chyba nie posuwa teraz w biurze tej ładniutkiej prawniczki? Wiem, że wcześniej miał z nią spotkanie, ale do tej pory powinien już być w Warnerze...

- Nie. Scott nikogo nie posuwa. A przynajmniej nie w swoim biurze, ale Mia Wagner jest koszmarna. Musisz natychmiast przyjść. Absolutnie nie będę się nią zajmować. Courtney też nie.

- Dobrze, dobrze, już idę - zgarnęłam scenariusze. - Gdzie jest Lara?

- Lara nie robi nic dla Mii - powiedziała Talitha takim tonem, jakby przemawiała do idiotki.

- Dlaczego nie? - spytałam, idąc w kierunku biura i dźwigając ogromne pudło z kopiami manuskryptów.

- Och, Elizabeth, zjeżdż wreszcie na ziemię. - Talitha pokręciła głową z niedowierzaniem i pomaszerowała naprzód.

W ostatnim momencie zdołałam odskoczyć, żeby nie przewróciły mnie drzwi rozbujane jej gwałtownym przejściem.

- Jasne. Rozumiem - burknęłam, chociaż wcale tak nie było. Wróciłam do biurka i rzuciłam pudło z kopia-  
mi scenariuszy z takim hukiem, że nawet Courtney się  
na mnie spojrzała.

- Idzie tu - powiedziała. - Sugeruję, żebyś zabrała ją  
od razu do gabinetu Scotta. Możesz się nią tam zająć.  
Scott pojechał do Warnera i nie będzie go do końca  
dnia.

- Właśnie. Trzymaj ją z daleka od nas. Jest zbyt wku-  
rzająca - zgodziła się Talitha.

- Czy ktoś może mi wyjaśnić, dlaczego Mia Wagner  
jest taka okropna? - spytałam, prostując się po za-  
mknięciu pudła.

- Właśnie. Czy ktoś może jej wyjaśnić, dlaczego Mia  
Wagner jest taka okropna?

Tuż przede mną stała drobniutka, ładna rudowłosa  
kobieta, która wyglądała, jakby nie potrafiła skrzywdzić  
nawet muchy. To ona właśnie zadała owo kłopotliwe py-  
tanie, na które nikt najwyraźniej nie zamierzał odpo-  
wiedzieć. Wszystko na mojej głowie.

- Pani zapewne jest Mią. Witam. Jestem Elizabeth,  
nowa druga asystentka Scotta. - Wyciągnęłam rękę  
i uśmiechnęłam się.

- Elizabeth - uściśnęła moją dłoń, ale nie odwzajem-  
niła uśmiechu. Zamiast tego otaksowała uważnym spoj-  
rzeniem rozmazany tusz do rzęs, każdy guzik mojej su-  
kienki, rysy na butach. A miałam na sobie sukienkę,  
którą wyciągnęłam dziś ze sterty rzeczy odebranych  
z pralni chemicznej. Żaden szczegół nie umknął uwagi  
Mii Wagner.

- W czym mogę pomóc - zapytałam pośpiesznie, za-  
nim miała szansę zauważyć, że byłam małomiasteczko-  
wym czupiradłem, dla którego nie ma miejsca w Holly-  
woodzie.

- W przyszłym tygodniu są moje urodziny. Muszę się  
upewnić, że mąż kupi mi coś, co lubię - powiedziała.

Przez chwilę miałam trudności z przypomnieniem  
sobie, kim jest jej mąż, ponieważ ta czysta, krucha, ład-

nie się wystawiająca istota miała tyle wspólnego z moim szefem, co... co ze mną, jak przypuszczam.

Mia Wagner miała na sobie luźną sukienkę od Louisa Vuittona z wetny boucle, włosy prerafaelowskie w kolorze, lecz post- Jennifer Anistonowskie w stylu. Jej ramiona były porcelanowobiałe i perfekcyjnie ukształtowane za pomocą sesji pilatów. Żadnego nadmiernie rozbudowanego, żyłastego mięśnia w zasięgu wzroku. Nie mogła być ani minuty starsza niż trzydzieści dwa lata, ale wyglądała na wiecznie młodą. Miała ponadczasową, nieco przerażającą urodę. Była kobietą, którą, jak sądzę, zawsze opisywano jako elegancką, ale nigdy jako seksowną (poza pewnymi ściśle określonymi momentami i przez bardzo szczególny typ mężczyzn). Chciałam, żeby przestała mi się tak przyglądać. Pragnęłam upewnić ją, że nie sypiam z jej mężem, ponieważ to najwyraźniej zakładała. Chociaż z drugiej strony, jeśli nieskazitelna Mia była w typie Scotta, mogła sobie łatwo wykombinować, że kompletnie się nie nadaję na jego kochankę, nawet na „ostatnią deskę ratunku”.

- Może przejdziemy do biura Scotta i omówimy tę sprawę na osobności? - zasugerowałam, mając na uwadze żądanie dziewcząt, żeby się jej pozbyła z biura. Sądząc jednak po ich spojrzeniach, teraz by chyba wołały, żebyśmy zostały. Chciały obserwować rozwój wypadków. Zastanawiałam się, na co czekają. Napad złości? Układ gimnastyczny? A może coś jeszcze? Przypuszczałam, że cokolwiek sprawiało, iż uważały ją za koszmar, zostanie mi to objawione w odpowiednim momencie. Ale ze mnie szczęściara!

- Nie - odparła Mia. - Myślę, że musimy pojechać na miasto i coś dla mnie wybrać.

- Ach tak. Scotta nie będzie w Agencji przez całe popołudnie, ale jestem przekonana, że już zadbał o odpowiedni podarunek, więc nie musi się pani niepokoić. - Zanotowałam w myślach, aby kupić wstrząsająco doskonały bukiet kwiatów i wysiać go do ich domu, na wypadek, gdyby jednak Scott zapomniał.

- Nie mówiłam o tym pierdzielonym nieudaczniku, moim mężu - prychnęła z pogardą. - Miałam na myśli ciebie.

- O, chce pani, żebym pojechała z panią na zakupy? Teraz? - spytałam, próbując zyskać na czasie, w nadziei, że pojawi się Lara i wybawi mnie z kłopotu.

- Nie mam całego dnia. - Mia zerknęła na swój dyskretnie oprawiony w diamenty zegarek firmy Patek Philippe, a potem spojrzała na mnie, jakbym też była pierdzieloną nieudacznicą. - Może więc weźmiesz torebkę i pójdziemy od razu?

- Chyba muszę to najpierw uzgodnić z Larą - wyjaśniłam uprzejmie. - Ona jest pierwszą asystentką i prawdopodobnie lepiej będzie, jeżeli to ona pojedzie z panią na zakupy, ponieważ... - W tym momencie Courtney i Talitha dosłownie zanurkowały pod swoje biurka, z wyrazem zaskoczenia i niedowierzania na twarzach. Dziękuję wam bardzo, dziewczyny, że poinformowałyście mnie o małym *froideur* między panią Wagner i asystentką pana Wagnera.

- Wiem, kim jest Lara - syknęła jadownicie Mia. - Dlatego właśnie proszę o pomoc ciebie. A teraz, czy mogłabyś się wreszcie ruszyć? Parkingowy pewnie pali papierosa w moim samochodzie.

- Jasne. Oczywiście. Przełączę tylko telefony na automatyczną sekretarkę - odparłam niechętnie i podążyłam w ślad za jej niewidocznym tyłeczkiem i policyjnym stukotem obcasów.

- Dobrze. Zamierzam kupić coś, co można by potem sprzedać - powiedziała już w samochodzie, po podkreśleniu wentylacji i włączeniu czwartego biegu.

Gdyby nie fakt, iż czułam się uprowadzona przez przerażającą żonę mojego szefa, mogłabym nawet cieszyć się chwilą. Oddalałyśmy się od Agencji w granatowym sportowym bmw z ekskluzywnymi siedzeniami z jasnej cielejącej skóry, prowadzonym przez kobietę, która do jazdy wkładała specjalne rękawiczki. Płynęliśmy w dół Wilshire, obok Saksa Fifth Avenue i butiku



Kate Mantalini, mijałyśmy sznury topornych SUV-ów, a ja czułam się, jakbym właśnie znalazła się na rozkładówce magazynu mody. W świetle Mii Wagner wszystko było piękne - nawet aria Pucciniego, płynąca na idealnym poziomie głośności z samochodowego stereo.

- Sprzedać? - spytałam niepewnie.

- Jeśli będzie to podarunek, nie będzie mógł go odzyskać. Im droższy, tym lepszy. Biżuteria i dzieła sztuki są wręcz idealne.

- Jestem przekonana, że Scott nigdy nie odebrałby pani prezentów - powiedziałam w obronie hojności mojego szefa. Jedno, co można było o nim powiedzieć, to że nie był sknerą.

- To na wypadek rozwodu - poinformowała mnie. - Takie moje małe zabezpieczenie.

- Ach, rozumiem. - Starałam się, bo to zabrzmiało, jakbym wiedziała wszystko o prawie rozwodowym w Kalifornii. Spodziewałam się, że i tak dowiem się tego w najbliższym czasie.

- Zaczniemy może od Butterfieldsa, dobrze? - Odwróciła się do mnie i przez chwilę jej twarz rozjaśnił rozbajający uśmiech. - O Boże, Elizabeth. Pewnie myślisz, że jestem okropna, prawda? - spytała, parkując przed domem aukcyjnym. - Nie zawsze taka byłam. Dlatego koniecznie muszę wyciągnąć z tego małżeństwa jak najwięcej. Jeżeli pieniądze nie mogą kupić szczęścia, to na pewno będą małą rekompensatą za moje upodlenie.

- Nigdy przedtem nie byłam w Butterfieldsie. - Naprawdę nie chciałam dać się wciągnąć w szczegóły. Nie teraz. - Szuka pani obrazu czy raczej rzeźby?

- Myślałam o Dalim albo Miró. Może nie tym ostatnim. Obawiam się, że ceny rynkowe hiszpańskich surrealistów są obecnie nieco zawyżone. Nie chciałabym kupować niczego, co może stracić na wartości - odparła, wręczając kluczyki parkingowemu i maszerując w stronę budynku. - Z drugiej jednak strony, kto by się tym przejmował? W razie czego to nie moje pieniądze wyrzucam w błoto.

Najwyraźniej Mia Wagner nie była wyłącznie rozkapryszoną małą modniśką, która kochała kosztowne drobiazgi. Gdy spacerowałyśmy po galerii pełnej obrazów na sprzedaż - ja zachwycona i Mia robiąca notatki w obitym jasną skórą notatniku - zdałam sobie sprawę, iż była bardzo mądrą kobietą, a już na pewno znacznie sprytniejszą niż jej nieszczęsny, naprawdopodobniej wkrótce znacznie bardziej biedny mąż.

- Nie zawsze byłam taką cipą - rzuciła nagle bez owijania w bawełnę, prezentując jedną przynajmniej wspólną cechę ze Scottem: dobrą znajomość anglosaksońskiego. - Kiedy pierwszy raz spotkałam mojego męża, dobrze się razem bawiliśmy. Pracowałam w Gagosiannie w Nowym Jorku, a on przyszedł na prywatną prezentację z Davidem Bowie i jakimś znanym aktorem, którego nazwiska teraz nie wspomnę. Pamiętam, że próbowałam wytłumaczyć mu, dlaczego Damien Hirst to nie tylko martwe owce. Scott usiłował mnie wtedy zaprosić do apartamentu w Mercerze, w którym się zatrzymał. Był tak niesamowicie czarujący, że z nim pojechałam, choć na tym samym przyjęciu był mój ówczesny chłopak.

- No tak, typowy Scott - zgodziłam się. - Atak poprzez urok osobisty.

- „Atak” to właściwe słowo, pod wieloma względami - rzekła, przypominając, że byliśmy tutaj, aby orznać jej małżonka na kilka milionów dolarów. - W każdym razie, przeżyliśmy wspaniałą romans. Wszystko było bardzo eleganckie; nastrojowe wakacje na Bora Bora, weekendy w Rzymie. Zrozum, nie była to dla mnie nowość. Umawiałam się już z mężczyznami, którzy mieli więcej sławy i pieniędzy niż Scott. Ale on sprawiał, że to wszystko było również zabawne. Mogliśmy być w Wenecji, w barze u Harry'ego i umierać ze śmiechu, albo kochać się przy kominku w Aspen, a on stawał się najsłodszym, najtroskliwszym i najbardziej szczodrym mężczyzną pod słońcem. - Z tymi słowami zapisała w swoim notatniku numer referencyjny Mondriana. - Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, że taki właśnie jest Scott. Daje. Jest poda-

runkiem, który wiecznie siebie daje. Tyle że daje siebie wszystkim dookoła, każdej bezpańskiej aktoreczce, która nawinie mu się pod rękę. Daje siebie Danielowi Rosenowi, który nie jest wart, aby wylizywać mu buty. Daje się parkingowym, kierowcom autobusów, reżyserom. A przede wszystkim daje się kobietom. Nie potrafi się im oprzeć. Dziewczynom w rangę roverach, poznanym na światłach, które okradają go z samochodu...

- Powiedział ci o tym? - spytałam zaskoczona. Planowałam zabrać ten sekret ze sobą do grobu.

- Jasne, że nie. Już dawno przestaliśmy rozmawiać. - Odwróciła się do mnie i wzruszyła ramionami. - Kazałam go śledzić na każdym spotkaniu, premierze, nawet wyjściu na siłownię. Tak przy okazji, możesz anulować jego członkostwo w klubie sportowym, ponieważ nie pojawił się tam od dziesięciu miesięcy. Znalazł sobie inny sposób na utrzymywanie się w formie.

- Rozumiem. - Wcale nie chciałam wiedzieć aż tylu szczegółów z życia Scotta. Zdaje się jednak, że nie miałam wyboru.

- W każdym razie, problem w tym, że Scott ma czas dla wszystkich oprócz mnie. Jego znajomi, narkotyki i wieczna zabawa... cóż, to niezupełnie przypomina małżeństwo. - Obdarzyła długim, twardym spojrzeniem Dufy'ego i podeszła bliżej, aby sprawdzić ramę.

- Próbowaliście terapii małżeńskiej? - Wiem, wiem, to beznadziejne, ale nie potrafiłam wymyślić niczego lepszego.

- Jeżeli Scott miałby wybierać pomiędzy otwarciem koperty w chińskim teatrze Manna a dwoma godzinami u psychologa, zgadnijmy, na co by się zdecydował? - powiedziała z goryczą. - On nie chce ocalić naszego małżeństwa. Tak samo, jak nie chce przestać wciągać nosem to białe świństwo. Naprawdę, to tylko kwestia czasu, kiedy zadzwonię do prawnika.

- Ale skoro kiedyś go kochałaś i on najwyraźniej kochał ciebie... czy to niewystarczający powód, żeby spróbować jeszcze raz?

Spojrzała na mnie, jakbym przyleciała z kosmosu. W zasadzie spodziewałam się takiej reakcji.

- Wiem, jestem zbyt romantyczna, ale lubię Scotta i chociaż cię nie znam, wydaje mi się, że jesteś dla niego stworzona, więc szkoda by było waszego związku.

Nie wiem dlaczego nagle, po raz pierwszy w życiu, zrobiłam się taka wygadana. Może dlatego, że polubiłam Mię? Nie miała w sobie ani krzty moralności, ale przy okazji była mądrą i zabawną kobietą. Poza tym, jak sama napomknęła, nie zawsze była taka, jak teraz. Prawdopodobnie w głębi duszy pozostała dobrą i wrażliwą osobą, tak jak Scott. W głębokiej głębi.

- Och, nas się już nie da ocalić, kochanie - powiedziała i poklepała mnie beztrudnie po plecach. - W zeszłym tygodniu przyłapałam go na pieprzeniu się z dziewczyną wyprowadzającą naszego psa. Była naprawdę godna zaufania, ale, niestety, musiałam ją wyrzucić i teraz zwierzę na tym cierpi. Poza tym, zrozumiałam, że nigdy nie będę mogła mieć dzieci ze Scottem, więc naprawdę nasze małżeństwo jest skończone. Muszę się już tylko upewnić, że wyciągnę od niego jak najwięcej, dopóki jeszcze mogę. Szczerze mówiąc, czuję się do tego uprawniona. Od czterech lat jestem żoną człowieka, który nie potrafi nawet podnieść z podłogi skarpetek i który nie chce się przyznać przed samym sobą, że jest uzależniony od wszystkiego, od seksu po excedrin.

- Skoro tak mówisz... - Starałam się unikać wydawania jakichkolwiek opinii.

- No dobrze. Moim zdaniem, wszystko tutaj to drugorzędne dzieła. - Mia zamknęła zdecydowanym ruchem notatnik. - Nie ma tu niczego, co kosztowałoby ponad milion dolarów, a ja wolę na urodziny coś zdecydowanie lepszego. Jedźmy do Harry'ego Winstona.

Jedźmy zatem do Harry'ego Winstona.

Nie jestem znawczynią biżuterii i nie potrafiłabym odróżnić diamentów od zwykłego szkła. Pokażcie mi jednak kobietę, która oprze się takiej pokusie. Ja nie

potrafiłam. Wkrótce porzuciłam wszelkie myśli o zdradzie Scotta, lojalności i etykiecie zawodowej i zajęłam miejsce w pięknym wozie Mii. Od kiedy zrezygnowałam z umawiania się w tym mieście na randki, wydawało mi się, że przeżywanie świata przez pryzmat życia Mii choćby przez to jedno popołudnie pozwoli mi poczuć się jak hollywoodzka żona. A przynajmniej coś w tym guście, bo przecież nigdy się nią nie stanę. Postanowiłam więc dobrze się bawić, mimo że na biurku w pracy czekało na mnie szesnaście niezbindowanych scenariuszy, które należało rozprowadzić, i więcej telefonów do wykonania niż stringów Cosabelii w szafie Lary. Powinnam jeszcze odwiedzić Jasona w Coffee Bean i porozmawiać z nim na temat *Zakochanych seksoholików*. To tyle na temat mojej błyskotliwej kariery w Hollywood: przy pierwszej nadarzającej się okazji rzucałam się w wir rozrywki.

W samochodzie Mia odebrała telefony od przynajmniej czterech przyjaciółek. Usiłowałam nie przysłuchiwać się rozmowie, ale trudno się było nie zorientować, że były to Jen (która wyszła za Brada), Courtney (która zdecydowanie nie pracowała w Agencji), Sarah Jessica (jest tylko jedna taka) i Julia (bez komentarza). Mia planowała małe sobotnie przyjęcie w porze lunchu. Miały się pojawić u niej w domu i absolutnie niczego nie przynosić. Nie, nawet butelki rose. Dobrze? To tylko nieformalne małe spotkanko na werandzie. Może potem sobie trochę popływają. Doskonale, cudownie. Nie mogła się doczekać. I tak dalej, w podobnym stylu. Gdy skończyła rozmawiać przez telefon, wyłączyła Pucciniego, wrzuciła Missy Elliot i zaśpiewała razem z nią: „Czy zapłacisz moje rachunki? Powiedz mi że tak, bo dziewczyna musi żyć...”.

I żyła. Ja zaś żyłam z nią. Na kolejne dwie godziny stałyśmy się najlepszymi przyjaciółkami. Na arenie rozwodowej Mia była może bezlitosną oponentką, ale potrafiła się świetnie bawić w luksusowych wnętrzach sklepów z biżuterią.

- Czy wiesz, że Harry Winston był ostatnim właścicielem diamentu Hope'a? - wyszeptła, gdy wchodziliśmy z rozgrzanego słońcem powietrza na Rodeo Drive do klimatyzowanych wewnątrz sklepu. Zimny podmuch sprawił, że dostałam gęziej skórki. Pocierając ramiona, podążyłam za Miał, która skierowała się prosto ku rzędowni największych w sklepie szklanych gablot. Zawierały one, jak miałam się wkrótce przekonać, „Szczególnie Cenne Klejnoty” - precjoza mające nazwy własne, historie i ceny, na które liczyła Mia. Wkrótce stało się jasne, że karta kredytowa Scotta nie była tu używana po raz pierwszy.

- Pani Wagner, jakże się cieszę. Wygląda pani znakomicie - uśmiechnął się obłudnie mężczyzna w grafitowym garniturze. Ukłonił się Mii, po czym odszedł, aby przynieść nam po lampce szampana. To dopiero było życie. Przestałam się już obawiać, że ochrona zatrzyma mnie za fałszerstwo, z powodu podróbki zegarka od Cartiera, który kupiłam na Canal Street za dwadzieścia dolarów. Z błogością zanurzyłam się w świetle, gdzie kupowanie klejnotów za milion dolarów jest tylko jednym z wielu środowych zajęć, między lunchem w Indochine i masażem w domowym zaciszu o czwartej po południu.

- Co powiesz na ten?

Mia wskazała na wisior z pojedynczego żółtego diamentu, otoczonego małymi brylancikami. Tak przynajmniej mi powiedziano. Sama nie byłabym w stanie rozpoznać brylantu, gdyby nawet uścisnął mi dłoń i się przedstawił. Ekspedient wręczył nam szampana i otworzył gablotę.

- To wyborna rzecz - powiedział i umieścił wisiorek na cieniutkiej szyi Mii. Przez chwilę pomyślałam, że ciężar diamentu może pociągnąć ją w dół i Mia upadnie prosto na twarz. Daję słowo, był to najbardziej obscenicznie wielki kamień, jaki kiedykolwiek widziałam.

- W żółtym moja cera robi się nieco ziemista, nie sądzisz? - spytała mnie Mia.

Co powinnam odpowiedzieć? Nie miałam bladego pojęcia o biżuterii i, co najważniejsze, nie znałam zasad kupowania klejnotów. Czy to to samo, co nabycie pary butów? Powinnam zapytać, czy ma jakieś pasujące ubrania?

- Co będziesz do tego nosiła? - udało mi się wydukać po upiciu dużego łyku szampana. W końcu Mia czekała na mój komentarz, a nic innego nie przychodziło mi do głowy.

- Nie sędzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Ekspedient spojrział na mnie, jakbym wyczołgała się spod jakiegoś kamienia (prawdopodobnie kawałka granitu, nie zaś, dajmy na to, diamentu Kruppa). Wyraźnie nie mógł pojąć, kim jestem. Na pewno nie byłam najlepszą przyjaciółką Mii, ponieważ jako taka zapewne byłabym tu stałą klientką, która od czasu rozwodu w 1997 roku nie umyłaaby sobie sama nawet włosów i która ubierałaby się z niedającym się z niczym pomylić, wręcz kaszmirowo spokojnym stylem wzbogaconej podstępem kobiety. Nie byłam również nielegalnie zatrudnioną pokojówką, dlatego ekspedient nie wiedział, czy powinien się ze mną zgodzić, czy też potraktować mnie obcesowo. Oboje zatem, dwa szaraczki, których stać było jedynie na oglądanie, osiągnęliśmy kompromis, ignorując się nawzajem.

- Nie podoba ci się - stwierdziła Mia i szybko zdjęła żółty wisior z szyi. - W takim razie co ze szmaragdami? Lepiej pasują do koloru moich włosów - rzekła, gdy para zielonkawych kolczyków zwisała z jej uszu niczym jajka rudzika.

- Są niezwykle. - Wreszcie odnalazłam się w świecie klejnotów. - Czyste linie dobrze współgrają z twoimi oczami. - Cokolwiek to miało oznaczać. Wystarczy, by Mia zdecydowała się przekazać je mi, aby zobaczyć je *d la distance*, jakby to ujęła Holly Golightly

- Masz, ty je przymierz. Muszę zobaczyć, czy są proporcjonalne.

Zrobiłam to. Odgarnęłam włosy i umieściłam dwa niesamowite dzieła sztuki jubilerskiej w odpowiednim

miejscu. Były ciężkie, ale ocierały się o moją szyję absolutnie kusocielsko. Spojrzałam w lustro. W moich uszach tkwiły klejnoty, które prawdopodobnie kosztowały więcej niż dom moich rodziców. Jak się do tego ma idea zachowania proporcji?

- Och, są absolutnie cudowne - szepnęłam, odwracając się w stronę Mii.

I rzeczywiście, były cudowne. Czułam się jak Elizabeth Taylor. Właśnie wybieram się do Cap Ferrat, moja droga, popławić się trochę w basenie. Słowa same cisnęły mi się na usta.

- Nie, to groteska - zdecydowała Mia, przerywając mnie i Richardowi Burtonowi wycieczkę jachtem na Capri.

- Mówisz o mnie? - spytałam, wytracona z marzeń, ale Mia nie zaszczyciła mnie odpowiedzią. Była już skoncentrowana na zupełnie nowym przedmiocie, prawdziwej perełce. No, no, pomyślałam, zastanawiając się, czy ktoś zauważył brak pewnego ślicznego, małego rubinu, który leżał na ladzie w aksamitnym pudełku i wyraźnie nie wybierał się do domu tak szczęśliwego i pełnego miłości jak mój. Powstrzymałam jednak zakusy i podreptałam w stronę Mii, która z poważną miną pochylała się nad szklaną gablotką.

- To bardzo szczególny zestaw, z 1925 roku. Szmaragd z korałem, onyksem, naturalną perłą i diamentowy naszyjnik - powiedział ożywiony ekspedient, spodziewając się rychłej transakcji. Mia zaczynała się już nieco niecierpliwić, a moim skromnym zdaniem rzeczywiście była to przepiękna rzecz. - Wydaje mi się również, że to bardzo młodzieńczy klejnot. Dodaje żywotności i blasku. - Rachu ciachu i do piachu! Sprzedane dzięki aluzji do dziewczęcego wyglądu damy, która wydaje czteryście dolarów miesięcznie na krem pod oczy, chociaż dopiero co przekroczyła trzydziestkę. Niesamowite, jak młodzi ludzie w dzisiejszych czasach martwią się starzeniem.

- Wezmę to - powiedziała Mia. - Podoba mi się.



Był to jedyny moment w ciągu całej naszej wycieczki, kiedy wyraziła aprobatę w stosunku do czegokolwiek. Czy tak właśnie jest, gdy człowiek się bogaci? Staje się niezadowolony ze wszystkiego? Podejrzywałam, że w głębi duszy podskakiwała z radości, tak jak ja bym to zrobiła, gdyby dane mi było zakupić dla siebie spektakularnie piękny kawałek amerykańskiej historii. Ów naszyjnik został wykonany w latach dwudziestych dla pewnej dziedziczki, która prawdopodobnie kiedyś tańczyła w ogrodzie o północy z F. Scottem Fitzgeraldem. Jakże Mia mogłaby się nie cieszyć?

- Dałabym głowę, że po powrocie do domu włożysz to cacko do piżamy i będziesz skakać po łóżku z radości - palnęłam bez zastanowienia i natychmiast zrozumiałam, jak strasznie prostacko to zabrzmiało. Nie nastawiałam się na znalezienie bogatego męża, ale nagle zrozumiałam, że nigdy nie wydam się takiemu człowiekowi atrakcyjna. Kobiety takie jak Mia nie stawały się kobietami takimi jak Mia przez ekscytowanie się różnymi rzeczami. Był to jeden z ich wielkich talentów, a zarazem przyczyna zainteresowania ze strony bogatych mężczyzn: trudno było zrobić ąa nich wrażenie. Kreowały się na tak wyniosłe i lodowate, jak Mount Everest. Oczywiście, jeżeli kupiło im się na Gwiazdkę małą, lecz idealnie ukształtowaną wyspę na Karaibach, potrafiły wydobyć z siebie podziękowanie, ale generalnie rzecz biorąc, ich oblicza były tak twarde jak diamenty, którymi się z pasją otaczały.

- Och, nie sądzę, że kiedykolwiek to włożę - powiedziała Mia, gdy znalazłyśmy się znowu w wozie i ruszyłyśmy w kierunku Agencji. - Tak naprawdę to dość wulgarna rzecz, ale wiem, że pod koniec roku w Muzeum Sztuk Współczesnych planowana jest wystawa pod tytułem „Biżuteria dwudziestego wieku” i ten naszyjnik prawdopodobnie sporo zyska na wartości.

Spojrzałam na nią kątem oka i zauważyłam, że wygląda na starszą niż w rzeczywistości. Linia jej ust znamionowała małoduszność. Mia krzywiła się na myśl o odwiezieniu mnie do pracy.

- Kiedy wrócisz do biura, weź od Scotta jego kartę kredytową, zadzwoń do sklepu i powiedz, żeby dostarczyli mi naszyjnik przed piątkiem - rzuciła, jakbym była... cóż, drugą asystentką jej męża.

- Oczywiście - obiecałam. - To było bardzo interesujące popołudnie. Dziękuję, że mnie ze sobą zabrałaś.

- Co? - Sprawdziła makijaż w lusterku wstecznym. - Ach, to. Jasne, nie ma sprawy.

- Może wyrzuc mnie przy głównym wejściu. Nie będziesz musiała skręcać w prawo - powiedziałam, pokazując, gdzie mogłaby się zatrzymać.

- Świetnie, tak właśnie zrobię. Dzięki, Elizabeth. Czy możesz do mnie zadzwonić, gdy już zapłacisz za naszyjnik? Daj mi znać, dobrze?

- Oczywiście - pokiwałam głową, otwierając drzwi od samochodu.

- Och, i wiesz co? Może przyszyłabyś w sobotę?

Odwrociła się nagle do mnie z uśmiechem. Pochlebilo mi to. Super! Sobota z Mią i jej przyjaciółkami. Nie mogłam wyobrazić sobie zbyt wielu bardziej interesujących rzeczy do roboty. Oznaczało to wprowadzenie powiększenia debetu na moich kartach kredytowych, ale co z tego?

- W sobotę? - upewniłam się. - Doskonale. O której?

- Koło jedenastej. - Mia nie wyłączała silnika.

- Jasne - oparłam. - Do zobaczenia.

- Świetnie. - Kierowcy w samochodach za wozem Mii zaczęli trąbić. - Do zobaczenia, Elizabeth. Do soboty. Aha, postaraj się nie spóźnić.

Z tymi słowy pokazała środkowy palec kierowcy w samochodzie tuż za nią i wjechała na środkowy pas bez włączenia kierunkowskazu. Powędrowałam powoli w stronę marmurowego monolitu Agencji. Mia Wagner nie była może najlepszą z możliwych kandydatek na przyjaciółki ani ja nie nadawałam się zbyt na jej towarzyszkę, ale to właśnie jest piękne w przyjaźni, nieprawdaż? Często jest zupełnie nieoczekiwana.

## 12

*Taki mój los. Zawsze trafiają mi się puste czekoladki.*

Marilyn Monroe jako Sugar Kane (*Pół żartem, pół serio*)

Był już prawie weekend. No dobrze, była dopiero środa. W dodatku przepadł jeden z naszych najbardziej prestiżowych aktorów.

- Znajdź dla mnie Tony'ego - wrzasnął Scott ze swojego gabinetu, gdy wtoczyłam się rano do biura, zaledwie sekundę po dziewiątej. Wyruszyłam z domu o siódmej trzydzieści, kompletnie nieprzytomna, ponieważ moja sąsiadka do drugiej w nocy ćwiczyła bardzo dynamiczne układy ashtangi. Gdybym nie wiedziała, że sprawcy tych wszystkich głuchych uderzeń i łomotów jest pacyfistką praktykującą zen, pomyślałabym, że jestem świadkiem sceny przemocy domowej. Alexa była jakieś dziesięć decybeli głośniejsza niż parka rzucająca w siebie talerzami.

Po drodze trafiłam na korki, co w teorii powinno być doskonałą okazją do wprowadzenia w czyn zasad zenistycznych, o których opowiedziała mi pokrótce Alexa podczas przypadkowego spotkania przy śmietniku. Nieważne jednak, jak bardzo starałam się rozluźnić mięśnie miednicy i myśleć o kwiecie lotosu mojej czakry Anaharta. Chciało mi się siusiu i miałam ochotę nawrzeszczeć na pewną dziwkę w bmw z personalizowaną rejestracją, która wepchnęła się przede mnie na środkowy pas. Naprawdę usiłowałam zachować spo-

kój, ale słowa: „Pieprz się, Tami 69, ze swoją gtupią czupryną!” wypłynęłyby z moich ust z dużo większą ochotą niż „Om”. Chyba będę musiała nabrać wody w usta i powstrzymać wszystkie cisnące się na wargi przekleństwa do następnego razu, gdy Victoria wyśle mnie do pralni Hollyway z jej ponurymi ciuchami. Kto jednak mógłby mnie winić za serię nieprzyzwoitości (niestety, tylko werbalnych) w moim życiu? To wszystko przez Scotta.

- Znalazłaś już Tony'ego? Muszę z nim porozmawiać bardziej niż pilnie, do cholery! - Znowu Scott, tym razem na tle muzyki Linkin Parku, którego muzyka stała się jego nowym ulubionym sposobem na odprężenie.

- Pracuję nad tym - powiedziałam, wystukując jedną ręką numer telefonu Tony'ego, drugą zaś i za pomocą zębów zdejmując marynarkę. W komórce Tony'ego odzywała się jednak tylko automatyczna sekretarka. Przejrzałam swój rolodex i znalazłam jego numer stacjonarny. Nie cierpiałam tupać klientów w domu, a zwłaszcza aktorów, którzy zazwyczaj bardzo dbali o swoją prywatność. Czasem wręcz paranoicznie.

- Cześć. Nie ma mnie w domu. Zostaw wiadomość. - Tony był najbardziej pozbawionym uroku człowiekiem, z jakim kobieta mogłaby chcieć się przespać. Jednakże pokusa istniała. Przynajmniej wtedy, gdy oglądało się go w kinie, zwłaszcza w nominowanej do Oscara roli, która wymagała od niego noszenia demonicznego skórzanego płaszcza. Prawdopodobnie jednak czar przyskał, gdy spotkało się go w łazience dublińskiego pubu, okładającego pięścią po twarzy jakiegoś nieustraszonego dziennikarza. Chociaż jestem przekonana, że nawet wtedy znalazłoby się mnóstwo chętnych pańienek. Tony stanowił podręcznikową definicję faceta z zabójczą urodą - z naciskiem na to pierwsze.

Zauważyłam numer telefonu do jego mamy, zapisany na kartce czerwonym tuszem. „Mama Tony'ego”, głosił tytuł, pod którym widniał ciąg cyfr z irlandzkim numerem kierunkowym. Zastanawiałam się, czy znajdę w so-

bie odwagę, aby do niej zadzwonić. Chyba jednak nie. Wstałam i podeszłam pod drzwi Scotta. Nie miałam głosu Pavarottiego i nie przebiłabym się przez ogłuszający ryk rap metalu.

- Scott, zostawiłam wiadomości na komórce i pod prywatnym numerem Tony'ego. Na razie jeszcze się nie odezwał. Możemy już tylko czekać, aż do nas zadzwoni.

- Próbowałeś się skontaktować z jego matką? - Jak na faceta, który rutynowo zabijał szesnaście milionów neuronów dziennie, był irytująco bystry.

- Jego matką? - udałam, że wcale nie zauważyłam czerwonego napisu na kartce rolodexu. - Świetny pomysł. Zobaczą, czy uda mi się znaleźć jej numer i spróbuję do niej zadzwonić.

- To pilne, Lizzie! - ryknął, waląc pięścią w biurko. Pod wpływem wibracji, puszkę z ołówkami przesunęły się po blacie, myszka od komputera wyskoczyła w powietrze, a książka Davida Sklansky'ego pod tytułem *Teoria pokera* spadła na ziemię. Najnowszą rozrywką Scotta był hazard na stronie internetowej Texas Hold 'Em. Z centralą w Kostaryce. Poker w Internecie. Gdziekolwiek. Nastrój Scotta zmieniał się teraz w zależności od tego, jak poszło mu w ostatniej rozgrywce.

- Pierdolę cię, ty dupowata cioto z Indianapolis, z twoimi trzema pedalskimi królami! - wrzasnął.

- Dzień dobry. Czy mogłabym rozmawiać z Tonym? - powiedziałam, gdy słuchawkę odebrała jakaś Irlandka.

- Kto mówi? - warknęła. Mama Tony'ego? Przynajmniej tak przypuszczałam.

- Elizabeth Miller z Agencji w Los Angeles. Reprezentujemy Tony'ego i jego agent, Scott Wagner chciałby z nim pilnie porozmawiać. Czy mam przyjemność z mamą? - spytałam moim najlepszym służbowym tonem, który zawsze, gdy „jestem uprzejma” wspina się na najwyższe oktawy. Zupełnie jak wtedy, gdy przemawiam do małego zwierzątka.

- Nie twój interes. Poza tym wiem, co to jest Agencja, ty cholerna idiotko - odparła. W tle usłyszałam chórek

aprobujących głosów. Mama Tony'ego zwróciła się do swoich klakierek, którymi, jak przypuszczałam, były kobiety o oczach jak paciorki, usadowione dookoła stołu, z kubkami przesłodzonej herbaty. - Ona myśli, że nie mamy bladego pojęcia o świecie, ponieważ nie mieszkamy w Los Angeles - zaanonsowała, wymawiając „Los Angeles” z przesadnym akcentem. Usłyszałam więcej trajkotania i szeptania w tle. Teraz już wiedziałam, po kim Tony odziedziczył swój cudowny charakterek.

- Przepraszam, że pani przeszkadzam. Jeżeli Tony'ego nie ma u pani, to...

- Kto powiedział, że nie?

- Och, w takim razie jeżeli jest, to świetnie. Czy mogłaby pani poprosić do telefonu? A jeżeli chwilowo nie może podejść, czy zechce pani mu przekazać wiadomość, aby pilnie skontaktował się z panem Wagnerem? - Najbardziej irytowało mnie przeświadczenie, że osiągnęłabym swój cel w mgnieniu oka, gdybym tylko rzuciła: „Posłuchaj, ty stara krowo. W interesie twojego głupkowatego synalka jest porozmawianie z jego agentem. Może i jest jednym z najbardziej utalentowanych aktorów, jacy kiedykolwiek pokazali dziób na srebrnym ekranie, ale w tej chwili znajduje się na najlepszej drodze do utraty kontraktu, ponieważ ma problemy z agresją, nadwagą, kobietami i wykonywaniem poleceń wydawanych mu przez kulturalnych i rozsądnych ludzi. Prawdę mówiąc, nikt w Hollywood go nie lubi. Jeśli nie rozumiesz, o czym mówię, radzę zapuścić żurawia do najnowszego magazynu „Hełło!”. Nie ma tam nic o Tonym? Czyżby dlatego, że nikogo już nie obchodzi?! To wszystko, co miałam ci do powiedzenia, mamó Tony'ego”. Oczywiście powstrzymałam się przed takim komentarzem.

- Jeśli chce pani wiedzieć, to nie ma go tutaj - rzuciła wojowniczo. Cóż, naturalnie, że chciałam wiedzieć. Po to zadzwoniłam!

- W porządku. Przepraszam za kłopot i dziękuję za pomoc. Do widzenia.

Już chciałam odłożyć słuchawkę, gdy rzuciła drwiącym, lekko beczącym głosem:

- Ale może wiem, gdzie jest.

- Rozumiem.

- Tyle że nie wiem, czy mogę powiedzieć.

- Oczywiście.

- Chociaż może byłabym skłonna udostępnić ci tę informację. - Najwyraźniej ktoś powiedział jej kiedyś, że wiedza oznacza władzę. Mama Tony'ego wzięła to sobie do serca.

- Będę niezmiernie wdzięczna za wszelkie wieści. Podobnie Scott Wagner, który naprawdę musi pilnie porozmawiać ze swoim klientem - przybrałam formalny ton w obawie, że za chwilę skończy się zasób moich dobrych manier.

- Jest na diecie.

- To wspaniale - powiedziałam, nieco zbyt ochoczo. Tony kochał fastfoody jak Marlon Brando i po zakończeniu zdjęć do filmu, w którym grał jakiegoś seksownego bohatera, z nieprzyzwoitym zapałem zaczynał wpychać w siebie burgery i zapiekanki. Dlatego pomiędzy kręceniem kolejnych filmów jedyną rzeczą, która wyglądała bohatersko, były jego policzki.

- Na diecie arbuzowej - ciągnęła mama Tony'ego. - Powinnaś zobaczyć, jak wygląda moja toaleta na parterze.

- Czy Tony jest teraz u pani?

- Wyjechał w poniedziałek, w ciepłe kraje. Arbuz wpłynął nie tylko na jego jelita, ale i na mózg. Nie chciał przestać, chociaż błagałam. „Na twego świętej pamięci ojca, Tony, zaklinam cię, skończ z tym arbuzem”, mówiłam, ale nie słuchał. W końcu wyjechał do jakichś tropików, gdzie arbuzy są bardziej dostępne i świeższe niż w naszym osiedlowym spożywcaku.

- I nie wie pani przez przypadek, gdzie mógłby się teraz znajdować?

- Nie jestem upoważniona do ujawnienia tej informacji osobom takim, jak ty.

- Cóż, w każdym razie dziękuję za poświęcony mi czas. Do widzenia.

Odłożyłam słuchawkę. Ścisnęłam głowę dłońmi, tłumiąc krzyk. Zawiodłam. Po całym tym chuchaniu i dmuchaniu na mamę Tony'ego, nadal nie wiedziałam, gdzie przebywa jej synalek. Najwyraźniej miałam talent dyplomatyczny Pol Pota i zapewne uda mi się porozmawiać z Tonym dopiero wtedy, gdy jego kochająca matka zgodzi się mnie zaadoptować.

- I co? - wrzasnął Scott w przerwie pomiędzy czymś, co z dużą dawką dobrej woli mogłabym nazwać piosenkami.

- No więc... - powiedziałam, wstając i podchodząc do drzwi jego biura. - Wygląda na to, że Tony przeszedł na dietę arbużową, stracił rozum i pojechał na wakacje w tropiki.

- Przełącz go do mnie. - Scott okręcił się na swoim służbowym fotelu i za jednym odepchnięciem pokonał dystans między oknem a biurkiem. Opanował poruszanie się na tym krześle tak doskonale, że mógłby zdobyć złoty medal na olimpiadzie dla niepełnosprawnych. Oczywiście, gdyby był inwalidą. Podniósł słuchawkę.

- O nie. Zrozum, wcale z nim nie rozmawiałam. - Zmrużyłam oczy i skrzywiłam się, w oczekiwaniu na policzek.

- Dlaczego, kurwa, nie? W poniedziałek zaczyna zdjęcia w Meksyku do najdroższego filmu roku, a nie udało mi się z nim porozmawiać od trzech tygodni. Gdzie on jest, do cholery?

- Może już w Meksyku? - zasugerowałam z naiwnym optymizmem. - Przecież tam jest ciepło, prawda?

- Tak, Lizzie, tam jest ciepło.

- I mają tam arbuzy. Całe mnóstwo.

- O co do kurwy nędzy chodzi z tymi arbużami?! - Scott nie był w stanie dłużej się skupiać na naszej konwersacji. Utkwił wzrok w monitorze, gdzie właśnie zaczynała się kolejna partyjka pokera. Dzięki ci, dobry Boże, za zespół nadpobudliwości ruchowej, pomyślałam, zamierzając wyslizgnąć się z jego gabinetu.



- Ni-gdzie-nie-i-dzies - wycedził Scott, wciąż spoglądając na internetowego pokera. Mówił jednak ewidentnie do mnie.

- Scott, nie wiem, co moglibyśmy jeszcze zrobić. Zostawiłam wiadomość jego matce, na poczcie głosowej w jego domu i na komórce. Skontaktuje się z nami, kiedy będzie gotowy.

- Zadzwoń do Interpolu.

- Słucham?

- Przecież jest osobą zaginioną, prawda?

- Scott - zaczęłam błagalnie.

- Kurde, jestem normalnie geniuszem - przegrał rozdanie, ale był tak zachwycony swoim pomysłem, że nic go to nie obeszło. - Widzisz? Odwyk na coś się jednak przydaje. Tłumaczą ci tam, że powinno się używać wszelkich dostępnych środków, a przecież Interpol jest właśnie jednym z nich, czyż nie? - wyszczerzył w uśmiechu zęby. Wyglądał jak dziecięca reklama kliniki dentystycznej na Beverly Hills. - Skontaktuj się z nimi, Lizzie.

Obdarzyłam go jeszcze jednym spojrzeniem w stylu „Scott, chyba nie mówisz tego poważnie”, ale odbiło się ono od wybielonego Britelem uśmiechu, niczym promień słońca od tafli szkła.

- Eee... tak, dzień dobry. Czy mogłabym rozmawiać z kimś z wydziału osób zaginionych?

Nie mogłam tego ścierpieć. Czułam się jak skończona idiotka. Musiałam jednak to zrobić, ponieważ najwyraźniej za to mi płacono. Dzięki Bogu, że mój rozmówca mnie nie widział. To była jedyna pociecha. Do dziś nie mogę w pełni opisać mojego wstydu. Dość, że dziewczęta z biura usłyszały coś w tym stylu:

- Chciałabym zgłosić zaginięcie, jeśli można... Nie, nie sądzę, że chodzi o handel ludzkim towarem, raczej... cóż, czy macie w biurze kogoś, kto zajmuje się sławnymi osobami? Niekoniecznie? Rozumiem. W takim razie chciałabym rozmawiać z kimś, kto zajmuje się zwykłymi osobami zaginionymi. Dziękuję... Halo?

Tak, zastanawiałam się, czy może mi pan pomóc. Zaginął pewien aktor i mieliśmy nadzieję, że będą państwo w stanie rzucić światło na kwestię dotyczącą miejsca jego pobytu... nie, nie jestem członkiem najbliższej rodziny, tylko drugą asystentką hollywoodzkiego agenta owego aktora... Niespotykane? Rozumiem. Nie możemy się z nim skontaktować od, och, od kilku dni... Porwany? Cóż, jest sławnym aktorem, więc istnieje pewne prawdopodobieństwo, chociaż nie sądzę... nie, nie otrzymaliśmy żadnego żądania okupu. Problem w tym, że powinien teraz pracować nad filmem zatytułowanym - sięgnęłam po notatnik z zapisanymi tytułami wszystkich filmów, które miały być kręcone w tym roku, pod warunkiem że ktoś to sfinansuje - tak, pod tytułem *Uczynki Boga*. Zdjęcia zaczynają się w poniedziałek, w Meksyku i... zaginiony gra w nim główną rolę, więc dużo od niego zależy... Podejrzane? No, myślę, że jeśli aktor poddaje się diecie arburowej, która zdecydowanie rozstroiła go nerwowo, to na pewno cała sytuacja jest nieco dziwna. Rozmawiałam już z jego matką z Irlandii... terroryzm? Nie, nie sądzę. Chociaż z drugiej strony, jeżeli wasz wydział do spraw terroryzmu dobrze sobie radzi z odnajdowaniem różnych osób, to byłoby doskonale, gdyby mogli... no... wypuścić parę czujek. Tak, doskonale rozumiem, że Interpol jest poważną firmą, która zwalcza międzynarodową przestępczość. Bardzo przepraszam. Tak. To już się więcej nie powtórzy. Marnuję pana czas? Jestem nieodpowiedzialna? Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Tak, przepraszam. Dziękuję.

Nagle z „już środy” zrobiła się „dopiero środa”. Weekend zdawał się gorącym prysznicem, czekającym na mnie pod koniec wyczerpującego, ostrego szkolenia wojskowego w zimny grudniowy dzień. Jeżeli ktoś strzela do ciebie z karabinu maszynowego, gdy usiłujesz pokonać siatkę o wysokości domu mieszkalnego, prawdopodobieństwo zobaczenia pod koniec takiej akcji mydła wydaje się raczej małe..

- I co, zajmą się tym? - Scott wyszedł z gabinetu i oparł się o moje biurko, wciąż rozpromieniony swym doskonałym pomysłem.

- Scott, to jest Interpol. Pomaga różnym organizacjom, władzom i służbom, które zwalczają międzynarodowe przestępstwa lub zapobiegają im. Nie zajmuje się aktorami na diecie arbużowej.

- W grę wchodzi miliony dolarów. Powiedziałaś im o tym?

- Nie sądzę, by to ich obchodziło - odrzekłam, wciąż czerwona z upokorzenia po reprimendzie od faceta z Interpolu.

- Więc na co, do ciężkiej cholery, idą nasze podatki? - wściekł się Scott. - Czy ty wiesz, na ile obcina mnie urząd podatkowy? Jeśli pomnożyć to przez liczbę wszystkich pracowników Agencji, myślę, że zebrałoby się wystarczająco dużo argumentów, by zadzwonić do nich znowu i powiedzieć, że już zapłaciliśmy za prawo żądania, aby znaleźli naszego aktora. Mogą pocałować mnie w dupę, jeśli myślą, że...

- Scott, skończ już, dobra? - przerwała Lara, wpatrując się w ekran i nie zaszczycając go ani jednym spojrzeniem.

- C o ? Atak, jasne. OK.

Nagle cały jego gniew wyparował. Przesunął ręką po włosach w przeproszającym geście i powędrował z powrotem do biura. Ciekawe, czy to samo zadziałałoby, gdyby wyszło z moich ust? Wątpiłam w to. Lara zdecydowanie miała coś, czego mnie brakowało.

Gdy nadeszła sobota, położyłam swoje ubranie na łóżku. Czułam się jak zupełnie nowa osoba. Lunch u Mii miał otworzyć przede mną drzwi do stania się osobą, której życie w Los Angeles nie ograniczało się do Coffee Bean i biura. Nowe, lepsze dni mieniły się na horyzoncie, niczym oaza na pustyni. Nie byłam wprowadzie odлюдkiem, który spędza każdą noc samotnie, pocieszając

się obiadami z mrożonek, ale też magnesiki na mojej lodówce nie urywały się pod ciężarem setki (lub choćby trzech) zaproszeń na przyjęcia. Podobał mi się również pomysł pojawiania się wiadomości na mojej automatycznej sekretarce - chociaż od czasu do czasu. Z radością myślałam o nocach, w które, po powrocie z pracy, zamiast piżamy włożę na siebie sukienkę i buty na wysokich obcasach. Ostatnimi czasy czułam się bowiem strasznie samotna, chociaż zazwyczaj byłam zbyt zajęta i przerażona, żeby się tym przejąć.

Wiedziałam, co się ze mną dzieje, bo przestałam uważać lakier do paznokci i pudełko lodów za najbardziej ekscytujące towarzystwo na piątkowe wieczory. Eksperymentalne wykonanie szynki w coca-coli wedle przepisu Nigeli Lawson było wprawdzie bardzo udanym sposobem na odstresowanie po całoniedzielnym czytaniu scenariuszy, ale we wtorek z bólem serca musiałam wyrzucić moje dzieło, ponieważ nie było nikogo, kto zjadłby je ze mną, zanim zzielenieje. Jestem samowystarczalną dziewczyną i znam różnicę między byciem samą a byciem samotną. Czułam jednak, że ostatnio zapuszczam się coraz głębiej w jałowy, niegościnniej ląd tego ostatniego. Musiałam jakoś zareagować - i oto pojawiła się szansa. Lunch z nowymi ludźmi. Nie to, że koniecznie chciałam się zaprzyjaźnić z gwiazdami. W tym względzie miałam jedynie nadzieję, że nie wyleję im wina na kolana lub nie strzelę ich w oko ziarnkiem kukurydzy, usiłując podać im wodę, o którą poprosiły. O nie - przyjaźń sławnych aktorek była dalekim brzegiem i nie zamierzałam utonąć w pragnieniu dopłynięcia doń. Miałam jednak nadzieję, że Mia zaprosiła również mniej znane przyjaciółki, które, jeśli wszystko dobrze pójdzie, nie miałyby nic przeciwko wypiciu ze mną kiedyś kawy we Who's on Third.

Przyjechałam do domu Scotta i Mii pełna optymizmu. Punktualnie o jedenastej wjechałam na drogę dojazdową do ich rezydencji i spróbowałam dyskretnie zaparkować pod drzewem. W ten sposób Scott nie przestraszy się jego widoku. Dom Wagnerów był piękny. Stanowił

charakterystyczny przykład architektury Beverly Hills. Miniaturowy zameczek, wyłaniający się zza liści palmowych. Czysty ideał. Wszystko, każdy listek i każdy kamień, miały swoje miejsce. Woda ze zraszaczy mieniła się wszystkimi kolorami tęczy nad trawnikami, uzbrojeni strażnicy czaili się w krzakach, aby zastrzelić cię bez ostrzeżenia (przynajmniej tak twierdził biały znak na bramie). Nawet róże, pnące się po ganku i ścianach wyglądały bajkowo perfekcyjnie. Wrzuciłam kluczyki do torebki i ruszyłam w stronę dębowych drzwi wejściowych. Zapukałam w nie złotą kołatką w kształcie głowy lwa i czekając na otwarcie, poprawiłam sarong.

Zakładałam, że Mia zaprosiła mnie wcześniej niż innych gości, ponieważ potrzebowała małego wsparcia moralnego przy drobieniu sałaty czy czegoś w tym stylu. Może chciała się upewnić, że taragonowy sos do sałatki jest wystarczająco pyszny, albo że bładocytrynowe koronkowe serwetki nie są zbyt toporne.

- Elizabeth! Fantastycznie! Wejdz - w drzwiach stanęła Mia w codziennym stroju hollywoodzkiej żony: dzinsy „siódemki”, kłapeczki na obcasie i beżowa bluzka. Włosy ułożone w dwa lśniące warkocze, spływały na ramiona. W jej wyglądzie nie było nic niezobowiązującego. Swoboda Mii była biznesem.

- Cześć, spóźniłam się? - zapytałam, żeby coś powiedzieć. Wskazówka na moim zegarku właśnie przesunęła się na dwie minuty po jedenastej.

- Troszeczkę, ale to nie szkodzi - uśmiechnęła się i zaprosiła mnie do przedsionka. - A teraz posłuchaj. Wierzę, że jesteś bardzo odpowiedzialną osobą, ale muszę powiedzieć ci kilka rzeczy, zanim ją wyprowadzisz.

- Jasne - pokiwałam głową, nie mając zielonego pojęcia, o czym mówi.

- Chodź tędy.

Poprowadziła mnie przez chłodną, wyłożoną dębową boazerią ciemność przedpokoju ku drewnianym schodom, które, jestem przekonana, były świadkami kilku występów Mii w stylu Scarlett O'Hary.

- Cudowny dom - powiedziałam, rozglądając się dookoła. Staralam się ukryć fascynację schizofrenicznym (przepraszam, eklektycznym) zestawem breugheli, Picassów i Buddhów. Meble w stylu Biedermeier stały tu w towarzystwie dzwonek wietrznych i indiańskich łowców snów, które pewnie pochodziły ze sklepu etnicznego w Venice Beach. Cokolwiek by powiedzieć o nienagannym guście Mii, nie potrafiła się oprzeć dziwacznemu kalifornijskiemu przyzwyczajeniu zabezpieczania się na dwie strony, na wypadek życia po śmierci. Odrobina buddyzmu, kilka lekcji kabały, zaspokójmy indiańskie duchy, a na koniec dorzucimy kilka ikon rzymskokatolickich, na wypadek, gdyby ktoś tam, na górze, na nas patrzył. Zupełnie jakby niebo było imprezą, na którą chcesz się za wszelką cenę dostać.

- Gdzie ona jest? - Mia wsadziła głowę przez kuchenne drzwi - Anastasia! - zawołała z taką siłą, że musiałam przytrzymać się poręczy, niczym niania Mary Poppins relingu, aby nie zostać zmieciona przez wichurę. - Ach, tutaj jest.

W tym momencie w progu pojawił się chart afgański wielkości małego kucyka, o sierści dokładnie tego samego odcienia, co włosy Jayne Mansfield. Przydreptał do Mii i usiadł.

- Och, ona jest... chartem afgańskim - rzuciłam słodkim głosem. Zazwyczaj byłam w stanie przekonać samą siebie, że moje wstrętne kłamstwa są po prostu dyplomacją lub, jeśli wola, sposobem na przetrwanie. Nie potrafiłam jednak z czystym sumieniem skonstatować, że pies jest czymś więcej, niż tym, czym jest, czyli chartem afgańskim. Z najdłuższymi blond włosami i o najdziwaczniejszym wyglądzie, jaki widziałam od czasu mojego obiadu w Spago. Oczywiście Anastasia mogła być słodkim psiakiem, ale było w jej półpsim, półkurowskim wyglądzie coś takiego, co wywoływało we mnie dreszcze.

- Oczywiście, że jesteśmy chartem afgańskim, prawda, kochanie? - powiedziała Mia, nie ruszając palcem,

żeby jej dotknąć. Nie mogłam jej za to winić. Byłoby to niczym pogłaskanie innej kobiety.

- Lizzie, może wzięłabyś drugi samochód Scotta. Nie chcę mieć włosów na tapicerce w moim wozie. Potrzebuje przynajmniej czterdziestominutowego treningu aerobowego. I nie zapomnij o rozgrzewce i wyciszeniu. Kiedy wrócisz, po prostu zostaw ją z gosposią. Tak będzie najlepiej. Wyprawiam małe przyjęcie w porze lunchu i... cóż - obrzuciła mnie spojrzeniem - dziewczęta nie lubią, kiedy ktoś zakłóca ich spokój.

Z tymi słowami zatrzasnęła karabińczyk na obroży Anastasii (od Hermesa), wręczyła mi kluczyki i chyba się uśmiechnęła. W każdym razie w jakimś alternatywnym wszechświecie, w którym chirurdzy plastyczni nie odkryli, że zastrzyki z botoxu doskonale maskują wszelkie przejawy ludzkich uczuć, ów grymas mógłby uchodzić za uśmiech. W naszej rzeczywistości wyglądało to jak tik nerwowy.

Ukryłam ogromne rozczarowanie i upokorzenie, jakiego doznałam, i pogodnie wzięłam smycz. Oczywiście, Mia nie zaprosiła mnie na lunch. To wyłącznie moja wina, że, głupia idiotka, nie zorientowałam się od początku, jak mało prawdopodobny byłby taki scenariusz. Dlaczego ktoś chciałby posadzić mnie pomiędzy dwoma najznamienitszymi aktorkami naszych czasów i wpaść na pomysł, że miałabym im coś ciekawego do powiedzenia? Jakimi to anegdotami uprzyjemnić ich lunch? Jakie mądrości im przekazać, aby stać się godną organicznego filetu z łososia w sosie z rzeżuchy? Wróciłam na swoje miejsce na samym dole drabiny społecznej i poprowadziłam do samochodu Anastasię. Nawet ona zajmowała w tym społeczeństwie wyższą pozycję niż ja.

„Drugim” samochodem Scotta okazał się srebrnobłękitny mustang kabriolet z 1969 roku. Gdy wiozłam Anastasię na spacer Bulwarem Zachodzącego Słońca, mężczyzna w samochodzie tuż za nami mógł śmiało pomyśleć, że jesteśmy dwiema babeczkami z bujnymi blond fryzurami. Oczywiście, dopóki nie podjechał bli-

żej i nie zorientował się, że jedna z nas była oszustką z Waszyngtonu, druga zaś suką. A przy okazji, czy wspominałam już, że była psem samobójcą? Chociaż zdecydowanie nie zamierzała umrzeć samotnie i za wszelką cenę próbowała zabrać mnie ze sobą. Nieustannie usiłowała wyskoczyć z samochodu i zginąć pod kołami nadjeżdżających z tyłu ciężarówek. A ja wiedziałam jedno - że na pogrzebie dostanie znacznie lepsze kwiaty niż ja.

- Anastasia, przestań, kochanie - próbowałam naśladować sposób mówienia Mii, ale bez większego skutku. Anastasia nadal wierciła się i warczała wkurzona. Zanim dotarłyśmy do następnych świateł, obie byłyśmy zaplątane w skórzaną smycz niczym para masochistek amatorów.

- Dosyć tego. Do jasnej cholery, siadaj na dupie, i to już! - wrzasnęłam piskliwie, ku ucieście faceta na motocyklu, który zatrzymał się obok nas. Polecenie podziałało. Najwyraźniej jednak nie naśladowałam do tej pory właściwego sposobu mówienia. Podejrzewałam, że „kochanie” nie było słowem, które gościło zbyt często w domu Wagnerów.

Dzięki Bogu, przez całą resztę drogi Anastasia zachowywała się tak grzecznie i spokojnie, że zaczęłam o niej niemal myśleć jak o swojej siostrze, towarzyszce niedoli na hollywoodzkiej ziemi. Było to znakomitym odzwierciedleniem mojej potrzeby posiadania przyjaciółki, zwłaszcza po tak bezlitosnym potraktowaniu mnie przez Mię i spółkę. Od potencjalnej przyjaciółki do wprowadzaczki psa dzielił mnie tylko jeden mały krok. A może mój przypływ uczuć do Anastasii był jedynie przejawem delirium, jakiego doświadcza się po otarciu o śmierć? W każdym razie postanowiłam jej pokazać, że choć zachowania w stylu Courtney Love nie są mile widziane, posłuszeństwo i dobroć będą nagrodzane. Sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam kilka organicznych wegetariańskich psich herbatników, które Mia wcisnęła mi, zanim wyszłam. Poleciała, żebym dała Ana-



stasii tylko jeden, ze względu na figurę. Po szóstym ciasteczku Anastasia zmieniła się w rozkosznego psiaka (z odrażającą sierścią). Po siódmym jednak zaczęła czuć się zbyt komfortowo i zanim zaparkowałyśmy przy parku dla zwierząt, prawie uwalila się na moich nogach. Musiałam sporo się napracować i cisnąć kilka dodatkowych przekleństw, żeby zrzucić ją z kolan na wysypany piaskiem parking.

Nigdy wcześniej nie zajmowałam się psem. Nie miałam zatem pojęcia, czym jest park dla zwierząt. Wyobrażałam sobie go jako wyludnione, obrzydliwe i śmierdzące miejsce, z przesiadującym tam na ławce jednym zbrojeńcem. Nie doceniałam jednak Los Angeles. Park dla zwierząt okazał się rajskim ogrodem. Po pierwsze, były tu takie tłumy, że z trudem znalazłam miejsce na postawienie fordka mustanga. Po drugie, najmniejszego śladu brudu, tylko doskonale zadbane trawnik, obsadzony najmodniejszymi tego roku bylinami, przy każdym drzewie pudełko z plastikowymi torebkami, a na końcach zaś parku dwie fontanny z wodą do picia; jedna dla psów, druga dla ludzi. Co najważniejsze, było to jedno z najpraktyczniejszych na świecie miejsc do podrywania, a poza tym - skoro już mowa o wybrednych tubylcach - dwa razy zdrowsze niż obskurne bary i znacznie mniej podejrzane niż randki internetowe.

Jednak nawet tutaj, gdy Roztańczona Księżniczka i ja wkroczyłyśmy przez cedrową bramę na teren parku, musiałyśmy stanowić niezły widok. Co za ironia losu. Raz w życiu byłam ubrana tak, że mogłam spokojnie wejść do Tiffany'ego i kupić coś więcej niż tylko breloczek do kluczy. Ale był to strój odpowiedni do mojej niedosłej roli, tak jak i umyte włosy, nad których lśnieniem sporo się napracowałam, paznokcie u stóp, niczym z reklamy lakieru Chanel, a nie kolorowego środka grzybobójczego, oraz śliczne kłapeczki na obcasie. Niestety, szykowałam się do występu u Romana Holidaya, podczas gdy wszyscy tutaj najwyraźniej grali w filmie Tarantina. Lśnili wręcz subkulturowym, dosko-

nale młodzieżowym, iachmaniarskim stylem odsłaniających brzuch, płytkich bojówek, obcisłych, krótkich koszulek i morza czapek, pod którymi skrywały się legendy kina. Od *Aniołków Charliego* do *Swobodnego jeźdźca*, nakrycia głowy wśród ludzi były wyznacznikiem pozycji społecznej. Gwiazdy filmowe nie potrzebowały takiego kwalifikatora - używały kapeluszy dla rzucanego przez nie cienia.

Spuściłam ze smyczy Anastasię, która, zamiast jak każdy rozpieszczony pies zająć się obwąchiwaniem trawnika, pognąła przed siebie niczym koń wyścigowy na starcie zawodów Kentucky Derby. Próbowałam chwycić ją za ogon i przyciągnąć z powrotem, zanim wyrządzi jakąś szkodę, ale moje obcasy zapadały się w trawnik. Zamierzałam ją zawołać, ale poczułam strach na myśl o wykrzyknięciu jej pretensjonalnego imienia w obecności wszystkich tych modnisiów, których psy niechybnie zwały się Killer, Elvis albo Bling.

- Hej, piesku, wracaj tu - spróbowałam. *Nada*. Anastasia nie reagowała również na zdrobnienia typu „Stash”, „Stasi”, a nawet „Anna”. W końcu poddałam się i uznałam, że spuszczenie ze smyczy nie powinno psu zaszkodzić ani drastycznie zmienić jego idyllicznej psiej egzystencji.

Większość ławek zajęta była przez najbystrzejszych prawników w mieście i najgorętsze gwiazdy oper mydlanych. Znalazłam więc sobie kawałek trawnika i usadowiłam się ze stertą scenariuszy. Zabrałam je wcześniej z bagażnika mojego samochodu, gdy już stało się dla mnie oczywiste, że nie spędzę dzisiejszego popołudnia, sącząc chardonnay i gawędząc z miłymi ludźmi. Zdjęłam kłapeczki i otworzyłam scenariusz, który wręczyła mi wczoraj Victoria, gdy czekałyśmy, aż parkinгови przyprowadzą nasze samochody. Chociaż jednak przeczytałam pierwszą stronę sześć razy, nie mogłam się skupić. Stężenie talentów w parku dla zwierząt było niesamowite - i nie mówię tu o talentach, które mogły być reprezentowane przez Agencję (choć było tu wy-

starczająco wielu aktorów z ich *bichons frises*, żeby narkęcić przeróbkę epiku Cecila B. DeMille: Hugh rzucający frisbee swojemu skoczemu brązowemu labradorowi, Gisele rozmawiająca przez telefon podczas spaceru z miniaturowym yorkiem i producent, którego zaledwie wczoraj widziałam na okładce „Entertainment Weekly”. A to jeszcze nie wszystko). Chodziło mi o utalentowanych samotnych pięknych ludzi - chociaż było tu również kilka sparowanych osób, szukających po prostu przygody. Zbierali szufelką ekskrementy i jednocześnie przeczesywali wzrokiem okolice. Kto by pomyślał, że zbliżenie do psiej kupy potrafi wytworzyć tak gorącą atmosferę? Gdziekolwiek spojrzeć, strefy erogenne. Ani chwili do stracenia. Odłożyłam scenariusz i zanurzyłam się w wonnej parkowej atmosferze męskości. Nie mogłam wprawdzie tego dotknąć, ze strachu przed bólem złamanego serca, ale zdecydowanie (i dość bezkarnie) mogłam popatrzeć.

Jakiś zły bóg miał jednak inne pomysły co do mojej tu obecności, ponieważ ledwo zaczęłam wzrok na spacerującym z chartem angielskim aktorze w bluzie z kapturem, rozległo się wysokie, agresywne szczeknięcie, które zniszczyło sielankowy nastrój. Nagle z krzaków wypadła Anastasia, niosąc w zębach coś, co okazało się małym zwierzątkiem. Niech to diabli, pomyślałam. Postanowiłam udawać, że nie mam z nią nic wspólnego. Pochyliłam się nad scenariuszem i zignorowałam kakofonię pisków.

- To Lilibet! - wrzeszczała jakaś kobieta. - To na pewno ona!

- Nieprawda. To Chihuahua - oznajmił jakiś mężczyzna.

- Nie żyje?

- Jeszcze podryguje.

- To na pewno Lilibet!

- Czy to, co kapie temu psu z pyska, to krew?

- Nie, to jelita biednego zwierzątka.

- O Boże, zaraz zwymiotuję.

Wpatrywałam się usilnie w przecinek, ignorując chór pełnych dezaprobaty głosów, aż jakiś spryciarz wreszcie zapytał:

- A właściwie czyj to pies?

W tym momencie zaczęłam rozważać błyskawiczny odwrót do samochodu i ukrycie się tam, aż wszyscy się rozjeżdżą. Jeśli ten tłum dowie się, że żadna krwi charcica z niewinnymi wnętrzościami zwisającymi jej z pyska była pod moją opieką... cóż, miałabym przesrane. Dlatego czytałam dalej, ale gdy przewróciłam kolejną kartkę, bojąc się spojrzeć w górę, zorientowałam się, że tłum zamilkł. Nad moim lewym uchem rozległ się dziwny zgrzyt. Odwróciłam się i w tym samym momencie Anastasia rzuciła bezgłową wiewiórkę prosto na mój scenariusz. Wrzasnęłam i skoczyłam na równe nogi. Gdy wreszcie odzyskałam oddech, zamiast współczucia na myśl o tym, co przeszłam i uzaleniem się nad moimi opryskanymi krwią stopami, napotkałam złowieszcze spojrzenia.

- To tylko wiewiórka - powiedziała na użytek właścicielki Lilibet, która w tej chwili prawdopodobnie dzwoniła do swojego prawnika.

- Tylko wiewiórka? - spytała głośno kobieta w nieciekawym brązowym kucyku. - Ciekawe, co byś powiedziała, gdybyś to ty była wiewiórką?!

- Nie to miałam na myśli - odparłam, odsuwając się od Anastasii, która wyglądała jak hitchcockowska blond wariatka z morderczym instynktem.

- Pewnie karmi psa hormonami - powiedział ktoś inny.

- Biedna mała wiewiórka.

- Posłuchajcie, naprawdę mi przykro, ale to nie jest mój pies i...

- Jezu, nie potrafi nawet wziąć odpowiedzialności za swoje własne czyny - westchnął facet z bardzo kiepsko zrobionym nosem.

Stałam obok Anastasii z opuszczoną głową, czując się jak nieodpowiednio ubrany parias.

- W porządku. Koniec przedstawienia. - Nagle znikąd pojawił się facet z planu filmowego, który był rów-

niez rozmawiającym z George'em gościem z przyjęcia. - Zajmiemy się wiewiórką, a wy możecie wrócić do swoich psów - powiedział autorytatywnie z (musiałam to przyznać) autentycznym południowym akcentem. Obserwowałam zdumiona, jak banda wściekłych spacerowiczów rozchodzi się w pomruku rozczarowanych komentarzy.

- Brak mi słów. - Spojrzałam na producenta *Weselnej masakry*, jak Ginewra na Lancelota. Gdyby oczywiście nie był mizoginistycznym, podżegającym do wojny wierzchem. - Chyba ocaliłeś mi życie.

- Przesadzasz, słońce - odparł i pochylił się, aby wytrzeć chusteczką nieco krwi z warg Anastasii. - Hej, Anastasia, co to miało znaczyć? - spytał.

- Znasz ją?

- O tak, znamy się już długi czas. Uwielbia lizać jaja mojemu psu. - Okazał się nim buldog o bardzo churchilowskim wyglądzie, który właśnie beztrzesko człapał w naszym kierunku. - Oto Rocky.

- Miło cię poznać, Rocky - powiedziałam i pochyliłam się, aby go pogłaskać. Chciałam udowodnić, że nie rzucam złego uroku na psy. - Czy poznali się w parku dla zwierząt? - spytałam.

- Nie. Jestem przyjacielem Scotta. Wpadam do niego od czasu do czasu i Rocky z Anastasia dobrze się razem bawią. - Uśmiechnął się, przyklęknął przy Rockym i zaczął go drapać po brzuchu.

OK, przystopuj, kochanie, powiedziałam sobie, gdy moja ręka bezwiednie przygładziła włosy, a piersi bez polecenia wykonały powitalną ceremonię. To przyjaciel Scotta. Nie dla ciebie. Nie dla ciebie!

- Spotkaliśmy się już kiedyś, pamiętasz?

Boże, dlaczego nie może sobie pójść i przestać być taki uroczy? I przystojny. To znaczy męsko-seksownie przystojny, przystojny inaczej, nie jak wyprowadzający psa męski model. Dzięki Bogu. A raczej nie dzięki Bogu. Właściwie to powinnam przekląć los za wystawienie mnie na taką pokusę. Byłam w tarapatkach.

- Pamiętam - pokiwałam głową. - Jestem drugą asystentką Scotta.
- Z obtartymi kolanami? - uniósł brwi z uśmiechem i spojrzął na moje pokaleczone rzepki.
- To przez tę tutaj Złą Księżniczkę - burknęłam. - Nie to, co myślisz.
- Och, naprawdę? Pewnie dobrze wiesz, co sobie myślę, prawda?
- Wyraźnie się rozkręcał. Niech go diabli.
- Nie, ale zakładam, że z dużym prawdopodobieństwem jesteś rozwiązłym typem filmowca ze słabością do aktorek, cygar i intratnych kontraktów.
- Och, a więc jesteś jasnowidzką.
- Chyba go uraziłam.
- Przepraszam. - Ponieważ nie mogłam pogłaskać go po włosach, poklepałam jego psa. - Po prostu chyba jeszcze nie otrząsnęłam się po epizodzie z wiewiórką.
- Jasne. No to w porządku. Chociaż tak przy okazji, nie cierpię cygar.
- Jestem Elizabeth Miller. I bardzo cię przepraszam.
- Lukę Lloyd - wyciągnął dłoń. Wymieniliśmy uścisk, z psami wpatrującymi się w nas, jak na ujęciu z *Wielkiej przygody*. - Pojawisz się tu z księżniczką w przyszłym tygodniu?
- Mam nadzieję, że nie - skrzywiłam się. - To znaczy, przynajmniej nie z nią. Bez niej zaś chyba będzie to bezcelowe, więc... cóż... nie jestem pewna.
- Wezmę to zatem za delikatną próbę spławienia mnie - odparł i puścił do mnie oczko. - Miło cię było spotkać, Elizabeth Miller.
- Z tymi słowy ruszył z Rockym w stronę fontanny z wodą pitną. Nie obejrzał się ani razu.
- Niech go diabli - powiedziałam do Anastasii w drodze powrotnej do samochodu. - Dlaczego musi być jednym z nich? Dlaczego nie może być zwyczajnym człowiekiem, jak ja? - Czyli takim, który mówi do siebie i urąga obcym dlatego, że są sexy.

## 13

*Dojście do drzwi powinno ci zająć dokładnie cztery sekundy.*

*Daję ci dwie.*

Audrey Hepburn jako Holly Golightly (*Śniadanie u Tiffany'ego*)

- Elizabeth, proszę przyjść do mojego gabinetu.

Scott przemaszerał przed moim biurkiem, nie patrząc w moją stronę. Spojrzałam na Larę w nadziei, że powie mi, o co chodzi, ale wyglądała na równie zaskoczoną, jak ja.

- Może zapomniałaś odnowić jego karnet na rozgrywki Lakersów? - zasugerowała.

- Nie. Zrobiłam to w zeszłym tygodniu.

- Hm, w takim razie nie mam pojęcia. Przykro mi. - Wzruszyła ramionami.

Wstałam i powędrowałam do pokoju Scotta, aby dowiedzieć się, w jaki nowy rodzaj tarapatów wpadłam dzisiejszego dnia.

Istniało około piętnastu różnych kategorii kłopotów, od zabawnych *faux pas* do niewybaczalnego spieprzenia sprawy. Kara za te ostatnie absolutnie nie była zabawna, ale na szczęście przez ostatni miesiąc nie popełniłam żadnej podobnej pomyłki i miałam kryształowo czyste sumienie. Zanim skonfrontowałam się ze ścianą muzyki, postanowiłam upić szybko łyżeczek dietetycznej coli.

- Powiedziałem chyba, że masz przyjść do mojego gabinetu.

Scott stanął w drzwiach gabinetu. Wyglądał bardzo poważnie albo był na głębokim kacu. Nie mogłam się zorientować. Spojrzałyśmy po sobie niepewnie z Larą. Poczułam, że nie miała to być rutynowa awantura.

- Natychmiast, proszę - odwrócił się i podążył w stronę biurka.

„Proszę” przeraziło mnie dogłębnie. Nigdy przedtem nie słyszałam, aby używał tego słowa. Natychmiast żołądek skurczył mi się do rozmiarów guzika, a nogi zaczęły się uginać.

- Czy mogłabyś zamknąć drzwi, Lizzie? - poprosił, gdy rzuciłam ostatnie spojrzenie w stronę biura.

Nikt poza Larą nie zauważył, że coś się dzieje, ponieważ raz w życiu Scott nie wyskoczył na mnie niczym Don Kichot na swoje wiatraki. Kiwnęłam w milczeniu głową i usiadłam na wskazanym mi przez Scotta, obitym fioletowym zamszem krześle, stojącym naprzeciwko biurka. Nigdy przedtem nie oglądałam jego gabinetu z tej perspektywy. Zazwyczaj przysiadłam na oparciu kanapy albo kładłam nogi na brzegu jego stolika na kawę, gdy oglądaliśmy razem jakiś zwiastun filmowy, powtórki najlepszych zagrań w koszykówce, albo bieliznę Christiny Aguilery w jej najnowszym wideoklipie. Czasami również stałam tuż przy jego biurku, rozpaczliwie próbując oderwać go od rozmowy telefonicznej lub gry komputerowej na wystarczająco długi czas, aby zdobyć jego podpis pod listem. Jakże pragnęłam teraz odrobiny owej beztroski. Na próżno. Zamiast bawialni przerosniętego nastolatka ujrzałam nagle biuro jednego z najbardziej wpływowych ludzi w Hollywood. Ja zaś byłam w tarapatkach.

- Posłuchaj, Lizzie, nie cierpię robić tych rzeczy. - Scott siedział za biurkiem i wyraźnie nie czuł się zbyt komfortowo. Wyglądało, jakby pod powierzchnią skóry łąziły mu mrówki. Raz w życiu nie była to sprawa kokainy. Wstał i zaczął się przechadzać wzdłuż biurka. Założył ramiona i spojrzał na mnie z namysłem. - Daniel chce, żebym cię zwolnił.



Gdyby nagle wykopał spode mnie krzesło, nie zaskoczyłyby mnie bardziej.

- Rozumiem - powiedziałam. Spojrzał na mnie, a ja mocno przygryzłam dolną wargę, żeby powstrzymać łzy. - Dlaczego?

Nie byłam pewna, czy rzeczywiście powiedziałam to na głos. Chyba jednak tak, ponieważ Scott zaczął przeczesywać palcami włosy.

- Spieprzyłaś sprawę - powiedział.

Cóż, przynajmniej niektóre rzeczy tutaj się nie zmieniły.

- A dokładnie co?

Wiedziałam, że to już koniec. Pomyśleć tylko, że jeszcze tydzień temu, gdy odkurzałam mój życiorys, miałam szansę sama zrezygnować z pracy, którą nagle pokochałam.

Scott chrupnął kostkami dłoni. Zadrżałam.

- W zeszłym tygodniu, gdy wreszcie udało się nam odnaleźć Tony'ego w Tucson, miałaś zamówić dla niego lot do Los Angeles, bo trzeba go było przetransportować stamtąd do Meksyku na poniedziałkowe zdjęcia do filmu.

- Zrobiłam to. Bilety wysłano mu FedExem do jego apartamentu. Dostałam potwierdzenie. Podpisał się na blankiecie odbioru. Sprawdziłam.

Do tej pory nie nauczyłam się, że nikt tutaj nie chce słuchać twoich tłumaczeń. Decyzja została podjęta. Trzeba spuścić uszy po sobie i przeprosić. Byłam jednak pewna, że tej akurat sprawy nie spieprzyłam. Na sto procent.

- Zaczekaj chwilkę. - Twarz Scotta nie wyrażała żadnych uczuć. Wnętrznosci bolały mnie tak, jakby właśnie ktoś przepuścił je przez maszynkę do mięsa. - Wsiadł do samolotu. To akurat nie był żaden problem. Kłopot pierwszy: zarezerwowałaś mu miejsce w drugiej klasie. Jezu Chryste, Lizzie! Facet ma ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Nie lata rzeźnią od czasu nakręcenia pierwszego filmu. Wszystko jest w jego pieprzonym kontrakcie.

Ukryłam twarz w dłoniach i zacisnęłam powieki.

- O Boże, Scott, nie miałam pojęcia. Przepraszam.

- Och, kochanie, ja nawet jeszcze nie zaczęłam - Scott zamknął oczy z niedowierzaniem. - Dokąd leciał jego samolot, Lizzie?

- Do Los Angeles. Z przesiadką w Las Vegas.

- Właśnie. Zarezerwowałaś mu lot do Las Vegas.

- Powiedziałaś, że mam kupić tani bilet, bo jego następny film jest typu artystycznego i nie zarobi nawet na dostawę z „Pizzly Hut”. W związku z tym załatwiłam to przez Expedia.

- Elizabeth, nie zorientowałaś się jeszcze do tej pory, że większość z tego, co mówię, to bzdury? Nawet ja nie wierzę we własne słowa. Jeśli nie byłaś pewna, powinnaś zapytać kogoś innego.

Chciałam mu powiedzieć, że nie było nikogo, kto mógłby udzielić mi porady. Lara poszła na trzydniowy urlop, aby tworzyć swe wiekopomne dzieło, a on oddalił się do jakiegoś bliżej niesprecyzowanego świata wyobraźni i przez większość czasu czułam się jak Stevie Wonder za kierownicą ferrari, jadący autostradą numer jeden.

- Jeżeli chodziło o warunki transportu, mogę napisać do niego list z przeprosinami - zaoferowałam.

Wiedziałam, że nie była to najlepsza sytuacja, ale na pewno nie zasługiwałam na wilczy bilet. Przecież w końcu doleciałam na miejsce, prawda? W zasadzie wszystko było w porządku.

- Transport to najmniejszy problem. Kłopot w tym, że Tony jest uzależniony od hazardu. W 2001 roku stracił wszystko, co zarobił. Do ostatniego centa. Wierz mi, wiem o czym mówię, ponieważ to ja aranżowałam jego umowy. Trzydzieści milionów. Wszyscy wiedzą o tym, że Tony jest uzależniony od gry w kości. Było o tym na okładkach „Time”, „Newsweeka” i „Entertainment Weekly”.

W tym momencie straszliwie pobladałam.

- Gdzie ty miałaś głowę, Lizzie?

- Ja nie wiedziałam...

To prawda. W czasie, gdy Tony tracił miliony, byłam stażystką w Białym Domu. Wiecie, w tym miejscu, w którym dzieją się prawdziwe rzeczy, a nie wypadki w stylu utraty fortuny na własne życzenie przez ogarniętych megalomanią, aroganckich, uzależnionych od hazardu aktorów, którzy z prędkością światła zbliżali się do tragicznego zakrętu w ich własnej historii...

- Problem w tym, że Tony zarabia teraz trzy razy więcej niż w 2001. Jest w Vegas od trzech dni, a ja nie wiedziałam o tym do chwili, gdy cholerny producent zadzwonił do mnie dziś rano i skopał mi dupę przez telefon.

- Pojadę tam po niego, Scott. Obiecuję. Zaraz lecę do Vegas. Kupię bilet za własne pieniądze. - W końcu w Expedii kosztował tylko siedemdziesiąt dolców. - Znajdę go i dostarczę do Meksyku przed rozpoczęciem zdjęć w poniedziałek. - Zaczynałam zachowywać się nieco histerycznie. Głos załamywał mi się nieustannie, łzy zaś drwiły z moich rozpaczliwych wysiłków, aby zatrzymać je pod powiekami.

- OK, uspokój się. Normalnie wolałbym załatwić to po cichu, ale niestety, tak się złożyło, że siostra Daniela przebywała akurat na konferencji w Bellagio. Przyuważyła Tony'ego przy stole do gry w kości, o czym natychmiast poinformowała swojego brata. Oczywiście Daniel strasznie się wkurzył, co chociaż raz jest zrozumiałe, zważywszy że w 2001 roku musiał wraz ze mną podpisać wszystkie czeki na pokrycie szaleństw Tony'ego. Przyśporzyło mu to wtedy niejednej bezsennej nocy, mnie zaś kosztowało parę poważnych narkotykowych sesji znieczulających.

- Scott, proszę cię, nie wyrzucaj mnie. Lubię moją pracę. Kocham ją. - Nagle rzeczywiście tak było. - Zrobię wszystko.

- Nie, nie zrobisz, Lizzie, i za to właśnie cię lubię.

Po raz pierwszy od rana jego twarz zrelaksowała się nieco. Zaczęłam się zastanawiać, jak to będzie, gdy

przestanę widywać Scotta i chociaż nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym być smutną z tego powodu, teraz ta myśl zmroziła mi krew w żyłach. Nie chciałam budzić się nad ranem i jechać do innej pracy. Lubiłam wsiadać do mojej hondy, kochałam tętniący życiem szum Los Angeles, który słyszałam, jadąc do pracy autostradą z włączonym dla towarzystwa radiem. Uwielbiałam też niezgłębioną mądrość obu Jose, którzy byli dla mnie niczym przyszywani wujkowie.

Zanim jednak zatraciłam się we „Wspomnieniach z hollywoodzkiej kariery Elizabeth Miller”, zadzwonił telefon i z głośnika popłynął spokojny głos Lary:

- Dzwoni Duży Jack. Mówi, że to pilne.

- Połącz go. - Scott natychmiast chwycił słuchawkę. - Masz coś dla mnie, chłopie? - spytał. Wyłączyłam się. Duży Jack był prawdopodobnie dealerem Scotta. Zastanawiałam się, czy Lara ma do niego numer telefonu, żeby mogła sobie zafundować małą sesyjkę znieczulającą, gdy już zalegnę na sofie jako osoba niezatrudniona. Będę tego potrzebowała.

Ciekawe, jak to będzie, po raz ostatni wyjść z biura pełnego asystentek? Jeżeli wyrzucą mnie z pracy, nie sądzę, abym miała wystarczająco dużo siły, by znaleźć inne zajęcie w Hollywood. Gdy o tym myślałam, nie zdawałam sobie jeszcze sprawy z unikatowej koncepcji obowiązującej w tym mieście, znanej jako „upadek w górę”. Oznaczało to, iż jeśli zostaniesz zwolniony z pracy i masz jaja, żeby ubiegać się o pracę na wyższym stanowisku, najprawdopodobniej zostaniesz zatrudniony po pierwszej rozmowie kwalifikacyjnej. W Hollywood bowiem smrodek porażki znika szybko jak sen złoty. Ludzie mają prawo do codziennego wymyślania siebie na nowo. To niezwykle tolerancyjne miasto, choć dość przerażające, jeśli chcesz znaleźć tu przyjaciół lub partnera.

Scott odłożył słuchawkę na widełki. Nie okazywał żadnych emocji, jedynie zaczął bębnić palcami po biurku.

- To twój szczęśliwy dzień, Lizzie. Duży Jack znalazł Tony'ego i wsadził go do samolotu lecącego do Puerto Vallarta. - Wyglądał jak mały chłopiec, który właśnie znalazł złotą rybkę.

- Kim jest Duży Jack? - spytałam, zastanawiając się, czy powinnam cieszyć się z wieści w odruchu solidarności, „dla dobra Agencji”, chociaż właśnie zamierzano wywalić mnie z niej na zbity pysk. A może dlatego, że dzięki temu mi się upiecze?

- To prywatny detektyw, którego wynajęła moja żona do śledzenia mnie. Najlepszy w swojej branży. - Wina musiała być wypisana na mojej twarzy tłustym drukiem, ponieważ Scott nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Wiedziałaś o tym, tak?

- Mia wspomniała coś o nim, kiedy pojechałyśmy kupować jej prezent urodzinowy.

- Zatem to tobie powinienem podziękować za to, że teraz nie stać mnie nawet na parę nowych spodni z Gapu?

- Przepraszam - powiedziałam, uznając, że Elton John stanowczo nie miał racji. „Przepraszam” to łatwe słowo. A na dodatek, było dziś jedynym w moim słowniku. Co nie znaczy, że miało mi w jakikolwiek sposób pomóc.

- Na rany Chrystusa, Lizzie! Przestań się na mnie patrzeć jak zbity pies.

Scott rozjaśnił się nagle i wyprostował w fotelu. Cóż, przynajmniej jedno z nas mogło sobie pozwolić na uśmiech, nawet jeśli utrzymywało, iż nie stać go na parę spodni z Gapu.

Scott nie mógł się powstrzymać od przesunięcia myszką po komputerze. Rozpoznałam charakterystyczne klik-klik-klik elektronicznych kart rozdawanych w wirtualnej przestrzeni „Texas Hold 'Em”.

- W takim razie, czy mam spakować swoje rzeczy już teraz, czy też wolałbyś, abym odpracowała swoje dwa tygodnie wymówienia? - spytałam, patrząc na niego.

- Czyżbym nie wyraził się wystarczająco jasno?

Nie, Scott. Nie wyraziłeś się wystarczająco jasno.

Oderwał wzrok od monitora i spojrzał na mnie z mniejszym zainteresowaniem niż Poncjusz Piłat na Jezusa. A ściślej, z mniejszym namysłem, niż pijani ludzie poświęcają umyciu zębów. Jednakże w przypadku Scotta było to bardzo wiele. Przerwał na chwilę, nie mogąc się jednak powstrzymać przed rzuceniem okiem na rozdanie, potem jednak znów spojrzał mi prosto w oczy.

- Rzecz polega na tym, że Lara naprawdę cię lubi, a tak się składa, iż jest mi niezbędna do życia. Bez niej nie potrafię funkcjonować. Poza tym, cholernie trudno ją zadowolić. Nie znosiła wszystkich moich drugich asystentek poza tobą, więc nawet jeżeli Daniel chce, żebym cię wywalił, nie zrobię tego. Ostateczna decyzja należy do mnie.

- W porządku.

Nadal nie bardzo rozumiałam, do czego dokładnie zmierzał, ale zaczęłam mieć nadzieję. Wstrzymałam oddech na całą wieczność, modląc się, aby nie pokonały mnie trzy piki, z których jeden okaże się asem.

- Dlatego zamierzam powiedzieć Danielowi, żeby się gonił. - Scott wymierzył we mnie palcem. - Sądzisz, że wytrzymasz dalszą pracę u mnie?

- O mój Boże! Jasne! To znaczy, nie chcę, żebyś się dla mnie narażał, ale...

- Właściwie to w tej chwili bardzo podoba mi się pomysł powiedzenia mu, żeby się gonił. Masz szczęście. A teraz zabieraj tyłek z mojego gabinetu. A tak przy okazji, skontaktuj się z producentem Tony'ego i zanim go do mnie przełączysz, wytłumacz mu, co się zdarzyło. Musi uwierzyć, że jesteś koszmarnie niekompetentna, żebym potem mógł powiedzieć mu, jaki jestem wspaniały, że wszystko naprawiłem.

- Tak jest, sir - chciałam go wyciąłować. - Dzięki, Scott.

Spojrzałam na niego znacząco, ale zbyt długa wymiana spojrzeń była ponad jego siły. Machnął na mnie, wypraszając mnie z biura. Wyglądał na zażenowanego.

- Co się stało, do stu diabłów? - wyszeptała Lara, gdy usiadłam za biurkiem, z łzawymi zaciekami z tuszu do rzęs, niczym postać z opery mydlanej. Courtney była gotowa skrócić sobie kark, żeby podsłuchać, o co chodzi. Najwyraźniej zamknięte drzwi do gabinetu Scotta obudziły w niej instynkty myśliwego i teraz próbowała wyczuć pismo nosem.

- Wysłałam Tony'ego na małe wakacje w Las Vegas - powiedziałam.

- O kurczę - skrzywiła się Lara, pojawiając się w lot sytuacji.

- Na szczęście Duży Jack go odnalazł i zamierza dostarczyć na miejsce. Daniel chciał mnie wyrzucić, ale dzięki tobie Scott zamierza mu odmówić.

- Dzięki mnie? - wyglądała na szczerze zdziwioną. - Co to znaczy?

- Najwyraźniej Scott uważa, że chcesz, abym tu została. Liczy się z twoją opinią, ponieważ jesteś mu niezbędną do życia i nie potrafi bez ciebie funkcjonować, czy coś w tym stylu - wyjaśniłam, wyciągając z górnej szuflady paczkę advilu i łykając dwie tabletki.

- Naprawdę? - Zachowanie Lary zmieniło się na krótką chwilę. Przymknęła powieki i uśmiechnęła się łagodnie. Przyszło mi do głowy, że właściwie nigdy nie słyszała od Scotta żadnych wyrazów uznania, a przecież też chyba była człowiekiem i komplementy musiały jej sprawiać przyjemność. - Cóż, mam taką nadzieję, zważywszy na to, ile czasu i energii poświęciłam temu dupkowi przez ostatnie dwa lata.

Nagle jej łagodny wyraz twarzy stał się odległym wspomnieniem. Lara założyła zestaw słuchawkowy i wróciła do pisania powieści. Przedtem jednak rzuciła jeszcze:

- Słuchaj, wiem, że ostatnio nieczęsto tu bywam i co więcej, planuję utrzymać ten stan w przyszłości, ale jeśli kiedykolwiek będziesz miała pytania albo jakiegokolwiek wątpliwości, zadzwoń do mnie.

- Dzięki, Laro. To naprawdę miłe z twojej strony - powiedziałam, czując, jak łzy znowu napływają mi do

oczu, z ulgi i na wspomnienie nieoczekiwanej dobroci, jaką przez ostatnie dziesięć minut okazali mi Scott i jego pierwsza asystentka.

- Gdyby cię wyrzucono z pracy, musiałabym prze-  
rwać pisanie - mruknęła Lara.

Nieco później zadzwoniłam do reżysera nowego filmu Tony'ego i przekonałam go, że jestem idiotką, dzięki czemu Scott wyszedł na superbohatera. Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, że zarobiłam dla Agencji ładny bonusik. A oto w jaki sposób. Przed rozpoczęciem zdjęć do filmu *Uczynki Boga* w Meksyku, Tony postanowił, że od tej chwili będzie pracował wyłącznie dla sztuki. Zamierzał zapuścić brodę i zrobić trzy filmy z rzędu za mniej niż 3 miliony. Co więcej, ku przerażeniu jego menedżerów, chciał pracować za minimalną gażę ustaloną przez Gildię Aktorów (najwyraźniej stawka owa wynosi jedyne, śmieszne 678 dolarów za dzień). Jednak dzięki małej wycieczce, jaką mu zafundowałam i siedemdziesięciu dwóm godzinom, jakie spędził w Vegas, Tony stracił więcej pieniędzy, niż ktokolwiek z nas potrafiłby wydać w kilku kolejnych komfortowych życiach. Mając na utrzymaniu liczną irlandzką rodzinę oraz armię ochroniarzy, która uczyniłaby paranoika nawet z Józefa Stalina, potrzebował dużo kasy. Wystarczyło to, aby porzucił swoje artystyczne pozycje i zobowiązał się do nakręcenia dwóch sequeli i jednego filmu sensacyjnego. To nieznaczące potknięcie z mojej strony zarobiło dla Agencji okrągłutkie jedenaście i pół miliona dolarów. Gdyby tylko moi szefowie zechcieli uznać, że jestem makiaweliczna, a nie bezużyteczna.

Scott wrócił do swoich zajęć, ja zaś uznałam, że mam czas na wizytę w Coffee Bean i spotkanie z Jasonem. Niedawny szok spowodowany otarciem się o zwolnienie z pracy natchnął mnie nową miłością do mojej posady w Agencji. Niczym człowiek, który wyszedł z poważnej katastrofy kolejowej zaledwie z małym guzem na czole, postanowiłam zrobić wszystko, aby urzeczy-



wistnić wszelkie moje marzenia. Oznaczało to również pomoc przy realizacji filmu Jasona.

- Chcesz kawy? - pochyliłam się w kierunku Lary, aby nikt inny nie usłyszał pytania. Chciałam uniknąć zwyczajowej litanii zamówień, bo to by oznaczało, że Jason będzie zbyt zajęty szykowaniem napojów, by mnie wysłuchać.

- Mrożona herbata o smaku malinowym - odparła szeptem Lara.

- Robi się.

Wstałam z krzesła z portfelem ukrytym w dłoni i szybko podreptałam do łazienki, aby obmyć twarz zimną wodą. Każdy głupi mógł się domyśleć, że płakałam. Nie chciałam, aby po Agencji rozniosła się wieść, iż Scott mnie oszczędził i to nie dlatego, że byłam niezastąpiona, lecz dlatego, iż rolodex Lary zawierał numery telefonów każdego lekarza w Kalifornii, który bez zmrżenia powieką wydaje recepty na dowolne leki. Jak każda dobra asystentka, Lara знаła się swojego rolodeksu. W razie czego odszedłby wraz z nią. W moich oczach sprawa wyglądała następująco: Scott nie mógł ryzykować rozgniewania Lary, dzięki czemu mi się upiekło.

Kiedy minęłam w korytarzu Ryana, który wpatrzył się intensywnie w moje opuchnięte oczy i garść zużytych chusteczek, przestraszyłam się, że jest za późno i że wieści o moim ułaskawieniu od wyroku śmierci rozejdą się po Agencji szybciej niż uśmiech, jaki pojawił się na jego twarzy.

- Hej, Lizzie - rozpromienił się Jason, gdy weszłam do pustego sklepika.

Nagle poczułam się znacznie lepiej. Poza marmurowymi, obwieszonymi Pollockiem ścianami budynku, który dziś odgrywał rolę Ministerstwa Strachu, stawałam się znowu odczuwającą istotą ludzką, z głosem i opinią na różne tematy, począwszy od Justina Timberlake'a, a skończywszy na genetycznie modyfikowanej żywności.

Potrafiłam również oddychać bez obawy, że powietrze, które nabieram w płuca, może zawierać trujące cząsteczki, rozprowadzane przez Ryana przewodami klimatyzacyjnymi. Cząsteczki, które aktywują się wyłącznie w kontakcie z moim DNA, omijając pozostałych pracowników Agencji, a mnie przerabiając na istotę o współczynniku inteligencji Talithy, jednak bez jej urody. Mój Boże, a ja przed chwilą oskarżałam Tony'ego, że jest paranoikiem!

- Cześć - przytuliłam się do Jasona.

Była to nowa rzecz w naszej znajomości, wcale nie taka niemiła. Nie przytulałam nikogo od czasu odwiedzin mojej siostry. Poza tym, to nie było to samo. Może to kompleks ojca albo jakaś podświadoma potrzeba seksualna, ale czasem po prostu marzy się o tym, aby znaleźć się w uścisku męskich ramion - dużych, silnych, miążdzących bicepsów, które zgniatają twoją klatkę piersiową i odkształcają wargi, jakby twoja twarz została zakleszczona pomiędzy zamykającymi się drzwiami od windy. Uwielbiałam czuć się jak wątyły robaczek w żelaznym uścisku Jasona.

- Co u ciebie? Zamierzałem zorganizować ekipę poszukiwawczą, ale przyszło mi do głowy, że może po prostu nie podobał ci się mój scenariusz, pomyślałaś, że jestem zboczeńcem i przerzuciłaś się na kawę w Starbucksie.

- Nigdy - odparłam, gdy uwolnił mnie z objęć. - Tak naprawdę - smakowałam tę chwilę, wiedząc, jak słodka okaże się dla niego - absolutnie kocham twój scenariusz i będę zaszczycona, jeżeli weźmiesz mnie na pokład jako producentkę - uśmiechnęłam się radośnie.

- Żartujesz?! - Przyjrzał się mi z niedowierzaniem. - Nie żartujesz.

- Mówię poważnie. To świetna rzecz. Fabuła, postaci, puenta. Struktura filmu jest bardzo solidna. Uważam, że spokojnie da się wyciągnąć poniżej pięciu milionów. Jesteś geniuszem.

- Rany gościa! Ty nawet już nadajesz jak producent! - zaśmiał się Jason, pochwycił mnie w objęcia i obrócił dookoła. To znaczy, w każdym razie spróbował.

Byłam trochę niezgrabna, więc udało mu się zaledwie podrzucić mnie do góry. Ale już nie obrócił w powietrzu, a tylko szturchnął przyjaźnie.

- A co myślisz, nie pracuję przecież w najlepszej agencji w Los Angeles na darmo - wzruszyłam ramionami. - Najwyraźniej przez cały ten czas, gdy byłam tylko pożałowania godną podwładną, która nie potrafi sobie poradzić z prostą rozmową telefoniczną, jednocześnie wchłaniałam umiejętności branżowe przez osmozę.

- Następny Scott Rudin - skomentował Jason. - Zrobię ci latte, a potem porozmawiamy, dobrze?

- Latte brzmi cudownie. Poproszę jeszcze mrożoną herbatę malinową. Ale potem będę musiała wrócić i odrobić największą wpadkę od czasu *Wyspy piratów*.

- Lizzie, tutaj wywalają ludzi z pracy co dzień. Nie mogło być aż tak źle. - Zabrał się do przygotowywania napojów.

- Tym razem rozkaz przyszedł z samej góry. Daniel Rosen zażyczył sobie mojej głowy na półmisku.

- Więc jakim cudem ciągle tu jesteś?

- Ułaskawienie z rąk Scotta. A właściwie Lary. To długa historia, ale najważniejsze, że wciąż pracuję i że... chcę się zająć twoim filmem, Jason. Podoba mi się, a poza tym jestem świadoma, że moja kariera musi opierać się na czymś innym niż na byciu ulubienicą Lary.

- Ach, ten zmienny świat hollywoodzkich łowców talentów. Cóż, jeśli oznacza to, że wchodzisz w interes z *Seksoholikami*, to wcale nie jest mi przykro.

- Zdecydowanie wchodzę. Może powinniśmy spotkać się w weekend i przedyskutować sprawę? To, co usłyszałeś dzisiaj, to tylko powierzchowne streszczenie. Mam ci do powiedzenia znacznie więcej.

- A założę się, że jeśli zechcesz, potrafisz powiedzieć niejedno, prawda? - zapytał zaczepnie.

- Swego czasu zdarzało się, że mnie poniosło, ale jeden policzek zazwyczaj sprowadza mnie na ziemię. - Zgarnęłam kubki.

- W porządku. Co powiesz na niedzielę rano?

- Doskonale - odparłam, wdzięczna za coś, co przez desperata mogło zostać uznane za plan na weekend.

- Możemy wybrać się na wycieczkę - zaproponował.

- Wycieczkę?

Jeżeli od chwili przybycia do tego miasta odniosłam sukces w czymkolwiek, to było to ukrywanie, jak kiepską miałam kondycję. Z wysiłkiem, który wystarczyłby na ukończenie trzech triatlonów, udało mi się nie zapisać na siłownię, nie postawić stopy w studiu pilatów ani nie wstąpić do żeńskiej drużyny koszykówki na moim podwórku. I zdecydowanie nie zamierzałam oddawać się odrażająco najzdrowszej aktywności kalifornijskiej - pieszym wycieczkom. Sama myśl o tym sprawiała, że natychmiast odczuwałam przemożne pragnienie, by się uwalić na kanapie, przyszyć się do poduszki i pozostać tam na następne siedemnaście lat. Nie miałam absolutnie żadnego przekonania do wycieczek, poza tym brakowało mi pełnoziarnistych skarpetek i całego tego sprzętu sercowo-naczyniowego. Owszem, miałam serce i płuca, ale nie byłam pewna, jak zareagują, gdy zaprzęgnę je do pracy.

Od kiedy Hollywood stał się moim domem, mogłam zmienić uczesanie i ciuchy, ale pod wszystkimi tymi podkoszulkami Petit Bateau i bojówkami od Joie wciąż byłam dziewczyną, która pracowała w polityce. W Waszyngtonie jechałam na szatańsko mocnej czarnej kawie, okazynym batoniku proteinowym i łapanych w przelocie kanapkach z indykiem. Jedynym ćwiczeniem, jakie wykonywałam, był bieg na spotkanie lub przytupywanie i podskakiwanie na mrozie na przystanku autobusowym. Poza tym, fani pieszych wycieczek mieli z zasady włosy koloru pszenicy, piegi i rumiane twarze. Po prostu nie byłam typem wycieczkowicza.

- Brzmi nieźle. O której?

Z którego pokręconego, głębokiego zakamarka mojego jestestwa wypłynęły te słowa? Nie przestawałam się nad tym zastanawiać, gdy wracałam do biura, modląc się o nagłą powódź w kanionie Frymana, w niedzielę o siódmej rano.

## 14

### *Wszyscy bywamy trochę szaleni.*

Anthony Perkins jako Norman Bates (*Psychoza*)

Słyszałam telefon po drugiej stronie drzwi. Stanowczy sygnał, mówiący: „dzwoni twoja matka. Nie zamierzam zostawiać wiadomości”. Z kliknięciem włączyła się automatyczna sekretarka. W tej samej chwili upuściłam klucze, usiłując w pośpiechu otworzyć drzwi. Po sygnale nastąpiło chłodne pstryknięcie i za trzy sekundy telefon rozdzwonił się na nowo. Wreszcie udało mi się otworzyć oba zamki, zainstalowane jeszcze w 1923 roku, gdy zbudowano ten blok mieszkalny. Nie wpadłam na to, że można by je wymienić, podobnie jak żadna z moich sąsiadek. Nie miałyśmy niczego wystarczająco atrakcyjnego dla złodziei, jeżeli zaś chodzi o gwałt, zapewne i tak byłybyśmy zbyt zmęczone. Może poza wiecznie doenergetyzowaną Alexą, ale z kolei jej miednica była mocniejsza niż dziadek do orzechów i niewątpliwie każdy zboczeniec po spotkaniu z nią żałowałby, że nie został przy oglądaniu pornografii w Internecie.

Otworzyłam drzwi i rzuciłam się w stronę telefonu. Wciąż jeszcze miałam w sobie odrobinę nadziei, że może to Jake Hudson zdecydował się zadzwonić. Nieodmiennie była to moja mama.

- Elizabeth? To ty?

Dlaczego pytała o to za każdym razem? Czyżby spodziewała się, że słuchawkę odbierze jakaś inna kobieta,

nie jej niezamężna córka, która mieszkała sama w Los Angeles?

- Tak, mammo. Oczywiście że to ja. Jak się masz?

Zrzuciłam buty i kopniakiem posłałam je na drugą stronę pokoju. Podreptałam w stronę lodówki. O, cudownie, dzisiaj dzień zakupów. Powinnam wyrzucić wszystkie warzywa, którymi optymistycznie wypełniłam koszyk w zeszłym tygodniu: fenkuł, który zamierzałam upiec, kabaczek, z którego zamierzałam wydłubać środek, napełnić go masłem, posypać z wierzchu brązowym cukrem i włożyć do piekarnika na czterdzieści pięć minut. Oba warzywa były teraz wyraźnie przywiednięte i spoglądały na mnie wrogo z półki, zdecydowane wzbudzić we mnie poczucie winy, lenistwa i marnotrawstwa. Chciały mi też przypomnieć, że przez sześć dni w tygodniu jadłam pizzę, na co, jak utrzymywałam, wcale mnie nie stać.

- Świetnie, kochanie - powiedziała mama nieprzekonywająco. Zdecydowałam się na kolację z płatków owsianych i wyrzuciłam martwą zdrową żywność do kosza. - Tyle że przewróciłam się wczoraj. Te psy kiedyś mnie zabiją.

- Upadłaś? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Co się stało?

Nienawidziłam, gdy postępowała w ten sposób. Nigdy nie informowała mnie o istotnych wydarzeniach we właściwym momencie. Z tego powodu przez dłuższy czas czułam się winna, że nie kontaktuję się z nią częściej. Oczywiście mój brat, Tim, był zawsze na miejscu, żeby zabrać ją do szpitala, a Melissa mogła się nią opiekować w okresie rekonwalescencji. Tylko wstrętnej Elizabeth nigdy nie uświadczysz tam, gdzie jest potrzebna. Jak zwykle.

- Cóż, słoneczko, jesteś tam taka zajęta, w tej swojej Kalifornii. Nie chciałam ci zawracać głowy głupotami. Poza tym, sama masz wystarczająco dużo zmartwień, jak trzęsienia ziemi, pożary lasów i zamieszki na tle rasowym.

Wprawdzie jeszcze ich nie miałam, ale będzie lepiej, jeśli dodam je do listy rzeczy, które nie będą dawały mi spać tuż przed świtem, o godzinie samobójców.

- Nigdy nie jestem na tyle zajęta, żeby nie móc z tobą porozmawiać, mamó. - Wlałam do miseczki z płatkami nieco podejrzanie wyglądającego mleka i opłukałam łyżkę. - Powiesz mi, co się stało?

- Zabrałam psy na spacer, a te pognały za królikiem. Byłam głupia, bo owinęłam obie smycze dookoła nadgarstka i gdy rzuciły się w pogoń, pociągnęły mnie za sobą. Włokły mnie za ramię przez pół pola, ale wszystko w porządku. Jestem tylko poobijana. Tyle tylko, że w sobotę mamy coroczną imprezę dobroczynną na rzecz delfinów, a ja wyglądam, jakby ktoś przepuścił mnie przez maszynkę do mięsa.

- Jezu, mamó, trzeba było zadzwonić od razu.

- Nie chciałam cię kłopotać. Zresztą, czuję się świetnie. Po prostu to zdarzenie sprawiło, że zaczęłam o tobie myśleć. Nie podoba mi się to, że jesteś sama w Los Angeles. Nie mogę przez to spać. A jeżeli zachorujesz albo zrobisz sobie krzywdę? Kto się tobą zajmie?

- Mamó, w Los Angeles są lekarze, a jeżeli naprawdę się rozchoruję, możesz zawsze przyjechać i zaopiekować się mną.

Nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwała.

- Powiedz mi, poznałaś ostatnio jakichś miłych mężczyzn? - spytała doskonale obojętnym tonem, chociaż obie wiedziałyśmy, że jest to główny powód jej telefonu. Nareszcie.

- Nie, mamó. Nie sądzę, żeby w Los Angeles byli jacyś sympatyczni faceci. Jest jeden, który na pierwszy rzut oka wydaje się miły, ale wiem, że po jednej randce zmieni się nagle z doktora Jekylla w pana Hyde'a, albo przysporzy mi więcej bólu, upokorzenia i rozczarowań, niż mogłabym aktualnie znieść. - O Boże! Chciałam kopnąć się w nogę. To zbyt wiele informacji dla mojej zmartwionej, oddanej, posiniaczonej matki.

- Elizabeth, myślę, że powinnaś natychmiast wrócić do domu. Kupimy ci bilet na samolot i zostaniesz z tatą i ze mną, dopóki nie znajdziesz pracy. Słyszałam, że ten młody senator z Karoliny Południowej zbiera nowy zespół do prowadzenia kampanii. Wyobraź sobie, że jest „zielony”, kochanie.

W tym momencie spjrzałam na przepełniony kosz na śmieci, w którym tkwiły miriady czerwonych puszek, brązowych butelek i niebieskich papierów, proszących się o posegregowanie i przeznaczenie do odzysku, co nigdy nie nastąpi, podobnie jak moje gotowanie warzyw. Odwróciłam się plecami do mojego zdecydowanie nie zielonego kosza i skoncentrowałam na rozmowie z mamą.

- Mamo, naprawdę nie jest aż tak źle. Na pewno będzie lepiej, kiedy znajdę sobie parę przyjaciółek i nie będę cię obarczać wysłuchiwaniami opowieści o moich problemach, zwłaszcza że tak naprawdę nie są to problemy, tylko naturalna kolej rzeczy, kiedy ktoś przeprowadza się tysiące mil od domu do obcego miasta i zaczyna nową pracę.

- Tym bardziej powinnaś wrócić. Nigdy wcześniej nie miałaś kłopotów ze znajdowaniem przyjaciół. Najwyraźniej z Los Angeles jest coś nie tak. Rozmawiałaś już z Timem?

Tim, mój doskonały brat, był prawnikiem pracującym dla organizacji „Lekarze bez granic”. Ostatnio został kandydatem do trybunału osądzającego zbrodnie wojenne w Afryce.

- Nie, mamo. Ciągłe się rozmijamy. Zadzwońię do niego w niedzielę.

- Powiedział nam w tajemnicy, że zamierza oświadczyć się Daphne, ale pozwól mu, żeby sam oznajmił ci tę wiadomość. Oczywiście jesteśmy z tatą po prostu zachwyceni.

No tak, świetnie. Nie sądziłam, że mój idealny brat może osiągnąć jeszcze większą doskonałość, ale przebił



samego siebie. Pół roku temu na Capitol Hill poznał Daphne, założycielkę organizacji charytatywnej, która zbierała fundusze na przekształcenie najgorszych szkół w Waszyngtonie w placówki prywatne. Aktualnie pomysł okazał się genialny. Przy okazji Daphne miała urodę, klasę i była naprawdę fajna. Bardzo się cieszyłam z ich szczęścia. W cichości ducha liczyłam na to, że ta sprawa odciągnie na chwilę uwagę mamy ode mnie. Byłam w błędzie.

- Dlaczego nie znajdziesz sobie jakiegoś miłego mężczyzny, Lizzie? Nie rozumiem tego. Od czasów Patricka nie miałaś żadnego chłopaka, a przecież to było jeszcze podczas studiów. Zaczynam się zastanawiać, czy nie masz przypadkiem kłopotów emocjonalnych, kochanie. Tata i ja pomyśleliśmy, że może powinnaś z kimś o tym porozmawiać.

- Na przykład z Timem?

- Profesjonalista byłby lepszy.

- Z psychiatrą? - spytałam lekko przerażona.

Moja rodzina choć generalnie kochająca i zawsze dająca wsparcie, czasem była zbyt wścibska. Delikatnie mówiąc. Odetchnęłam głęboko, żeby nie zacząć wrzeszczeć na mamę, co oczywiście nie byłoby produktywnie, a, co więcej, potwierdziłoby tylko ich teorię, że przydałaby mi się solidna dawka psychoterapii.

- Mamo, nie mam problemów emocjonalnych. Miałam chłopaków w Białym Domu, po prostu nigdy ich nie poznałaś, a robota dla kongresmana Edmunda nie wypaliła nie z mojej winy.

- Nie musisz się tak od razu oburzać, kochanie. To tylko sugestia. Niektórzy powiedzieliby, że twoje problemy to produkt uboczny bycia środkowym dzieckiem. Nie ma się czego wstydzić.

Musiałam skończyć tę rozmowę, zanim powiem coś, czego będę potem żałować.

- Wiesz co, mamo? Ktoś puka do drzwi. Pewnie to Alexa, moja sąsiadka. Powiedziała, że wpadnie do mnie na kolację. Do usłyszenia, pa. Ucałuj ode mnie wszystkich.

Zignorowałam jej peine irytacji pojękiwania i odłożyłam słuchawkę. Przepraszam, mamó. Kocham cię, ale nie mogę tego znośić.

Następnego poranka przeglądałam pocztę, skubiąc lewą ręką cynamonową bułeczkę, zaczęłam przeglądać pocztę. Posegregowałam listy najlepiej, jak umiałam. W rezultacie trzy kupki - korespondencja Lary, Scotta i moja - wyglądały porażająco schludnie. Był nowy dzień i jeszcze nie zdążyłam popełnić żadnego błędu (o którym bym wiedziała), czułam więc radość na myśl o tym, ile miłych rzeczy mnie dziś czeka. Ucieszyłam się jeszcze bardziej, gdy odkryłam, że wśród zwyczajowego pliku przedawnionych ulotek informacyjnych i listownych próśb o zdjęcie z autografem Cameron znajdowała się również szara koperta. Również jej zawartość okazała się interesująca, może niespecjalnie, ale wystarczająco, żeby mnie uradować.

Zostałam włączona do firmowego planu ubezpieczeń zdrowotnych. W związku z tym otrzymałam kartę Blue Cross z moim nazwiskiem i słowem „Agencja”. Pogłaskałam miękki kawałek plastiku. Oznaczało to, że mogłam teraz pójść do dentysty i wyczyścić sobie zęby. Może nawet znajdę jakiegoś miłego higienistę, który przy okazji mi je wybieli? Poza tym, Courtney powiedziała, że jeżeli zdecyduję się na wizytę u dermatologa, mogę zażyczyć sobie zabiegu pielęgnującego twarzy i zapłacić za to tylko piętnaście dolarów. Najwyraźniej lekarze i usługowcy w Los Angeles byli skłonni nieco nagiąć zasady, aby pomóc wybijającym się młodym ludziom. I teraz to ja, jako jedna z nich, potrzebowałam zębów i pięknej cery, żeby stać się kimś.

Zaczęłam kartkować informator, szukając listy rzeczy, których nie pokrywało ubezpieczenie. Mogłam zostać przyjęta do szpitala, ale nie przysługiwał mi w nim osobny pokój. Miałam prawo zgłosić się do kliniki odwykowej z problemem alkoholowym i narkotykowym,

ale ubezpieczenie pokrywało wyłącznie koszty trzydziestodniowej kuracji, co prawdopodobnie wykluczało odtruwanie z heroiny, ale zostawiało okno tolerancji dla uzależnienia od oxycodonu. Byłam również uprawniona do szesnastu wizyt u psychoterapeuty. Wyglądało na to, że za darmo. Powoli oblizałam palce z posypki cynamonowej, rozważając słowa mojej mamy. Może rzeczywiście potrzebowałam porady specjalisty? A jeżeli faktycznie istniała przyczyna, dla której byłam chyba jedyną osobą na świecie, która nie potrafiła znaleźć sobie chłopaka? W końcu wizyta u psychiatry to nic zdroźnego. Wręcz przeciwnie. Tutaj zapewne wszyscy uważali mnie za dziwaczkę i zastanawiali się, do czego nie chcę się przyznać sama przed sobą, skoro na skórzanej kanapie nie odprawiam cotygodniowych rekolekcji na temat moich skrywanych problemów. Jak nic uznali, że jestem pełna wszelakich neuroz i psychoz maniakalno-depresyjnych. Albo że jestem egomaniaczką, bo tak się na sobie koncentruję. Na tym właśnie polegał problem z psychoterapią: człowiek był napiętnowany bez względu na to, czy z niej skorzystał, czy nie.

- Pomocy! - powiedziałam.

Potem zaczęłam przywoływać szczątkową wiedzę o Freudzie. Wierzył on, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Nieprzypadkowo przed chwilą wołałam o pomoc. Nie uznawał również czegoś takiego, jak żart. Nie wołałam zatem pomocy dla zabawy. Tak naprawdę, prosiłam o pomoc, bo jej potrzebowałam.

W ciągu kilku godzin przepytiałam kilka osób na okoliczność lekarzy od głowy, którzy okazaliby się odpowiedni do zajęcia się moją (jak obecnie byłam przekonana) delikatną psychiką. Talitha głosowała za doktor Amandą, która jakoby udzieliła jej rewolucyjnej rady dotyczącej związków. Jednak najwyraźniej nie na tyle rewolucyjnych, by życie Talithy przestało przypominać skomplikowane epizody *Seksu w wielkim mieście*. Tak czy siak, podziwiałam doktor Amandę. Musiała wysłuchiwać szczegółowych opowieści o dyrektorze kreatyw-

nym z Buena Visty, z którym Talitha spała w zeszły weekend i który nie zadzwonił. A przecież wiadomo było, że facet skończył Harvard, miał bogatą rodzinę w San Francisco, drugi dom w Napa i, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, w ciągu najbliższego roku podatkowego zostanie być może starszym wspólnikiem. Ale doktor Amanda przynajmniej zgarniała forszę za słuwanie Talithy, czego nie można było powiedzieć o nas, tutaj w biurze. Nie mogliśmy również wyrzucić jej po godzinie z gabinetu. Skreśliłam doktor Amandę z mojej listy, ponieważ nie chciałam się znaleźć w tym samym pokoju, gdy jej mózg wreszcie nie wytrzyma przeciążenia i eksploduje.

Zerknęłam na Courtney, która siedziała za biurkiem z kwaśną miną i zapewne komentowała żonę Mike'a lub jego problem z łysieniem na stronie IFILMpro. Było to forum internetowe, na którym pracownicy branży filmowej mogli anonimowo mordować swoich współpracowników, szefów i aktorów. Sądziłam, że zostało stworzone po to, aby dyskutować o sprawach zawodowych, ale coś takiego zdecydowanie nie wystarczyłoby Courtney. Jej żądza krwi mogła zostać zaspokojona jedynie przez wypruwanie flaków z ludzi. Szukanie u niej porady dotyczącej psychoterapeuty było bez sensu. Ona była wypruta z emocji, o których mogłaby opowiadać. Była spragnioną plotek maszyną, która każdą chwilę poświęcała na zastanawianie się, jak najefektywniej udawać osobę bardzo zajęłą, bez której Mike nie może się obejść. Chciałabym być trochę do niej podobna i nie myśleć o takich głupotach, jak sens życia i stosunki międzyludzkie.

Zastanawiałam się, czy psychoterapeuta Lary jest dobry. Najwyraźniej był zwolennikiem starej szkoły Junga, który ujawniał archetypy w jej snach i uwalniał jej kreatywność. Nie byłam jednak pewna, czy jestem istotą twórczą, a poza tym gość najwyraźniej miał brodę. Zarost zawsze mnie odstrasza i wywołuje myśli o resztkach lunchu zalegających w gęstwinie włosów. Nie, doktor Lary również był na straconej pozycji. Mogłam

jeszcze odwiedzić któregoś z nieskończonej listy psychiatrów Scotta. Miałam ich numery telefonów, ponieważ zawsze umawiałam Scotta na wizytę. Z rozmowy z Larą wynikało jednak, że większość z nich to specjaliści od uzależnień - i to najwyraźniej nie najlepsi.

Wreszcie wpadłam na pomysł, żeby poprosić o radę najwspanialszą, najlepiej przystosowaną do życia osobę, jaką znałam. Było to w końcu najlogiczniejsze wyjście. Przecież nie zapytasz kogoś z okropnie zrobionym nosem o zamiary na jego chirurga plastycznego, prawda? To samo powinno dotyczyć psychiki. Rozejrzałam się po biurze. Hmm. Żadnych typowych przykładów zdrowia psychicznego. Przejrzałam listę telefonów. Też nic. Przeskanowałam w myślach cały budynek, ale najmiłszymi i najzdrowszymi psychicznie ludźmi byli dwaj Jose. Podejrzewałam jednak, że ich pakiet zdrowotny nie obejmuje cotygodniowych sesji na skórzanej sofie, spędzanych na rozważaniu, czy guacamole ich matek było wystarczająco smaczne. To wcale nie żart. Pewnego razu poznałam faceta ze Smith College, który żywił ogromną urazę do swoich rodziców za to, że zapoznali go z makaronem włoskim dopiero, gdy skończył dwanaście lat. Uważał, że w ten sposób postawili go w niekorzystnej sytuacji społecznej.

Włożyłam kartę Blue Cross do portfela i złożyłam w kupkę plik informacji o pakiecie zdrowotnym. Zastanawiałam się, czy fakt, iż niezrównoważenie psychiczne w moim miejscu pracy jest wprost proporcjonalne do liczby wizyt u psychoterapeuty oznaczał, że powinnam sobie darować? Jasne, że nie. Muszę spróbować odkryć, czy mam problem, czy też nie. Poza tym, to może być niezła zabawa, coś jak czytanie horoskopu albo sprawdzanie w Internecie, o jakim nastroju świadczy to, że wybrało się taki, a nie inny kolor piłeczki.

Usiadłam przed komputerem i połączyłam się z witryną Blue Cross. Znalazłam zdjęcie lekarki, które mi się spodobało. Oczywiście doktor Shirley Vance były pełne współczucia i głębokiej mądrości. Wybrałam kobietę,

ponieważ nie mogłam sobie wyobrazić, że rozmawiam o seksie z mężczyzną. Nie to, że miałam w tym względzie coś do powiedzenia, ale optymistycznie założyłam, iż moja sytuacja może się wkrótce odmienić. Zwłaszcza jeśli terapia odniesie pożądany skutek i pozwoli mi otworzyć się na nowe związki. Czy coś w tym stylu.

Poczekaliśmy do lunchu, gdy Scott został bezpiecznie zdeponowany w Ca'Brea z Jennifer i Brettem, którzy od ostatniej rozróbki na planie *Weselnej masakry* stali się najbardziej zakochaną parą w okolicy. Planowali kupić stary dom Madonny w Hills, gdy tylko Jennifer zakończy proces rozwodowy, a grająca w operach mydlanych przyjaciółka Brettta od sześciu lat wreszcie się od niego wyprowadzi.

Biuro opustoszało. Zadzwoiłam do psychoterapeutki.

- Doktor Vance przy telefonie - odezwała się żwawo.

- Dzień dobry, pani doktor. Nazywam się Elizabeth Miller. Znalazłam pani numer telefonu na stronie Blue Cross. Pomyślałam, czy mogłabym się zapisać na... sesję. - Myślę, że tak to właśnie nazywali. W końcu miało to bardziej przypominać masaż aromaterapeutyczny niż leczenie kanałowe zęba. Uznałam zatem, że nie jest to wizyta, tylko sesja. Zgadza się?

- Tak się składa, Elizabeth, że mam wolną godzinę w czwartki o siódmej. Czy to ci odpowiada?

- Jak najbardziej. Wspaniale. Problem w tym, że jestem uprawniona tylko do szesnastu darmowych sesji. Mam nadzieję, że nie zostanie pani na lodzie, jeśli okaże się, że po tym czasie będę się czuła wystarczająco dobrze, by przerwać.

- Nie przejmuj się tym, Elizabeth. Spotkajmy się raz i zobaczymy, jak nam pójdzie, dobrze?

Wydawała się pełna zrozumienia i dobrej woli. Nieczęsto spotykałam się tutaj z takim podejściem. Czy to dlatego tylu ludzi w tym mieście odwiedzało psychoterapeutów? Substytut życia rodzinnego, przyjaciół i kochanków.

- Chciałabym, Elizabeth, abys przygotowała na nasze dzisiejsze spotkanie listę powodów, dla których uważasz, że powinnaś zasięgnąć mojej porady.

- Dobrze, nie ma sprawy. Spróbuję. - O rany! Nikt nie powiedział mi, że muszę mieć jakiś powód. Sądziłam, że to jest tak jak z łyżworolkami. Było to coś, co się po prostu robiło po zamieszkaniu w Kalifornii. - Jak długa ma być ta lista?

- To nie jest test. Po prostu napisz to, co uważasz za najważniejsze. Do zobaczenia o siódmej.

Usiadłam, żując końcówkę ołówka. Zastanawiałam się, dlaczego z własnej woli poświęcam wolny wieczór po to, aby wypowiadać się z moich wad przed jakąś obcą kobietą. Abstrahując, oczywiście, od faktu, że właśnie skończyli nadawanie *Sześciu stóp pod ziemią* i nie miałam nic innego do roboty.

Za chwilę wróciła Talitha, z torbą ze Star Books i uśmiechem szerokim jak Carbon Canyon.

- Hej - opadła na krzesło i rzuciła na użytek wszystkich obecnych w biurze osób - właśnie poznałam w księgarni najbardziej niesamowitego faceta na świecie. W najbliższy weekend jedziemy na konie do Santa Barbara.

- No, no, szybka jesteś - burknęłam.

- A co mam do stracenia? - Wyciągnęła z siatki plik płyt CD oraz czasopism i zaczęła je przeglądać. - Moim zdaniem, jestem już na tyle dorosła, żeby wiedzieć, czego chcę, a jednocześnie wciąż wystarczająco młoda, by wykorzystywać nadarzające się okazje.

- Świetna filozofia - powiedziałam, po czym zorientowałam się, że jest już piętnaście po drugiej, więc wyłączyłam automatyczną sekretarkę.

- Prawda? Powiedziała mi to moja pani psycholog. Od kiedy zaczęłam stosować się do jej rad, poszczęściło mi się więcej razy, niż gdy zakładałam mój cudowny stanik z Victoria's Secret. To naprawdę coś.

- Wyobrażam sobie - odparłam, myśląc, że w najgorszym przypadku doktor Vance udzieli mi może kilku

wskazówek, dzięki którym zacznę się umawiać na randki i przestanę być dziwaczką, która trzyma na półce książkę *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus*.

- Jasne. Nie masz nic do stracenia poza własnym życiem - rzuciła Courtney, wracając od chłodziarki z wodą. - Jesteś pewna, że to nie żaden morderca z siekierą?

- Chryste, Courtney! On lubi konie. Słyszałaś kiedyś o facecie, który by lubił konie i jednocześnie mordował ludzi siekierą? - spytała Talitha ze swoją niepowtarzalną i niezbitą logiką.

- Chyba nigdy - przyznała Courtney. - Ma jakiegoś przyjaciela?

Ponieważ wszyscy zdążyli już wrócić do biura i rozpoczęło się popołudnie pracy, zdecydowałam się odłożyć listę dla doktor Vance na później. Zaczęłam odsłuchiwać wiadomości.

„Cześć Scott!“. To był Tony. *„Zaczęliśmy zdjęcia, ale o tym pewnie już wiesz. Reżyser jest strasznym palantem, zgodnie z oczekiwaniami. Próbuje diety Atkinsa, tak jak mi poleciłeś, ale muszę ci powiedzieć, stary, że strasznie przez to śmierdzieć. W każdym razie, daj mi znać o tej trzydziestomilionowej ofercie na «X-Menów»!»*.

Druga wiadomość pochodziła od Ryana, który chciał, abym zaaranżowała spotkanie Scotta z Danielem. Potem nagrała się asystentka Katherine Watson. Katherine była superagentką z działu literatury Agencji. Muszę się przyznać, że trochę się w niej zadurzyłam, jak jakiś uczeń. Często wpatrywałam się w nią na spotkaniach, a gdy przypadkiem znalazłam się z nią w tej samej windzie, wychodziłam z niej lekko skołowana. Nie byłam zresztą odosobniona w swych uczuciach. Nigdy nie słyszałam o niej złego słowa, a za każdym razem, gdy szłam do recepcji po odbiór przesyłki, czekał tam na nią ogromny bukiet lilii lub antycznych róż, albo torba od Tiffany'ego. Katherine miała trzydzieści sześć lat, ciało cheerleaderki, troje ślicznych dzieci i idylliczne małżeństwo z francuskim mężem - reżyserem reklam.



Mówiła czterema językami, znakomicie grała w baseball i była co najmniej piętnaście razy ładniejsza od każdej aktorki, którą reprezentowała. To, że asystentka Katherine chciała potwierdzić termin spotkania swojej szefowej ze Scottem, nie było dziwne. Podejrzany natomiast wydał mi się fakt, iż umówili się poza biurem, na śniadanie w hotelu Bel - Air, ja zaś nie miałam o tym żadnej informacji w moim notatniku.

- Słuchaj, Lara. Czy to ty umówiłaś Scotta i Katherine na śniadanie? - spytałam, gdy tylko Lara pojawiła się w biurze.

- Nie. Czemu pytasz?

- Bo wiesz, nie mam tego w notatniku, a mają się spotkać w Bel - Air. Dość daleko od biura. Nie sądzisz, że to trochę... dziwne? - spytałam, robiąc adnotację w kalendarzu.

- Niby dlaczego? - warknęła, pochylając się nade mną niebezpiecznie nisko.

- Cóż... może to rzeczywiście nic takiego. Po prostu... pomyślałam, że mają...

- ...romans? - spytała, zwięzając oczy.

- Tego nie twierdzę. Po prostu trochę dziwne, to wszystko. - Wzruszyłam ramionami. Żałowałam, że w ogóle poruszyłam tę sprawę.

Lara odchyliła się w krzesło i zaczęła pisać do kogoś e-mail.

- Hej, Lizzie, chcesz pójść na przyjęcie w sobotę wieczorem? - spytała, nie patrząc na mnie. - Mój przyjaciel z Silver Lake urządza imprezę zaduszkową. Zabiorę cię z domu.

- Jasne, że chcę - odparłam, podniecona perspektywą.

Lara była zabawną kobietą. W jednej chwili wyglądała tak, jakby chciała wetknąć ci w oczy szpilki, a za chwilę zapraszała cię na przyjęcie. Silver Lake? Fajni ludzie? Za cenę kilku szpileczek w oczach? Nie ma sprawy.

Zaledwie kilka sekund później, z siłą wodospadu do biura wpadł Scott.

- Witam, moje panie - rzucii, wyciągając ręce po listy telefonów i wiadomości.

- Cześć, Scott. - Wciąż zachowywałam się jak lizus. Przyznaję, byłam wkurzająca. Uznałam to jednak za zło konieczne, zważywszy moją niedawną wpadkę z Tonym.

- Lara? - powiedział pytająco Scott, gdy potraktowała go tak samo chłodno, jak mnie zaledwie minutę temu. Tyle że nie zaprosiła go zaraz potem na przyjęcie, lecz zignorowała.

- Hej, Lara - powtórzył Scott, usiłując dojrzeć, czy ma zatyczki w uszach.

- Pieprz się, Scott. - Spojrzała na niego przelotnie i wróciła do stukania w klawiaturę.

- Co się dzieje?

Wyglądał na szczerze dotkniętego jej słowami. Lara jednak nie odpowiedziała. Scott poczuł się chyba dość niepewnie, ale potem zdał sobie sprawę, że siedzę tu i się gapię. Pozbierał się szybko do kupy.

- W razie czego będę w swoim gabinecie - oświadczył, po czym powoli odpłynął w stronę swojego biurka. Spędził za nim kolejne pół godziny, czyszcząc paznokcie, aż w końcu udał się na zebranie strategiczne do jednego z pokoiów konferencyjnych.

Ponieważ nie miało go być przez najbliższą godzinę, Lara zaś pisała swoją powieść, waląc w klawiaturę z zapamiętałością i siłą młota pneumatycznego, zdecydowałam, że zajmę się listą dla doktor Vance. Dlaczego uważałam, że potrzebuję porady psychologa? Upiłam nieco zielonej herbaty, wydłubałam orzeszek z herbatnika i zaczęłam pisać:

## DLACZEGO POTRZEBUJĘ TERAPII

1. Mam w domu doskonale świeże warzywa, lecz wykazuję perwersyjny brak chęci do ich ugotowania czy zjedzenia. Czy czuję się niegodna wzbogacanego witaminami, smacowego jedzenia i wykazuję subkliniczną potrzebę złego odżywiania, wybieram

jąc pizzę? Czy to wczesne stadium zaburzeń dietetycznych? A może utajona autodestrukcja?

2. Nie przejmuję się rzeczywistymi niebezpieczeństwami, które czyhają na mnie w życiu (zamieszki na tle rasowym, trzęsienia ziemi, pożary lasów). Zamiast tego martwię się niepotrzebnymi rzeczami, np. co zrobi Victoria, jeśli przez przypadek oderwę głowę jednej z jej lalek Barbie.
3. Na studiach dwa razy zmieniałam przedmiot kierunkowy, a następnie karierę polityczną zamieniłam na pracę w przemyśle rozrywkowym. Poza tym od chwili przybycia do LA już cztery razy zmieniałam rodzaj płatków śniadaniowych. Mam problemy z zaangażowaniem emocjonalnym?
4. Miałam kilku kochanków, ale niewiele poważnych znajomości z mężczyznami. Kiedyś uważałam się za wytwór mojego pokolenia, ale teraz nie jestem już pewna. Może celowo wybieram niewłaściwych mężczyzn? A może po prostu jestem brzydka?
5. Wolę pracować dla nieprzewidywalnego szefa pozbawionego jakichkolwiek zasad moralnych, w firmie, w której główną rozrywką jest bezinteresowna zawiść, zamiast zająć się kampanią słodkiego, „zielonego” polityka z Virginii, który w sobotnie popołudnia urządza grilla dla swoich współpracowników. Dlaczego???
6. Przestałam segregować śmieci.

Zastanawiałam się, czy doktor Shirley Vance wyposaży mnie w odpowiedni zestaw środków medycznych na moje dolegliwości, czy też po prostu uzna, że jestem lesbijką. Nie obchodziło mnie to, byle była uczciwa. W tej chwili zrobiłabym wszystko dla orgazmu. Oderwałam wzrok od komputera, chyba po raz pierwszy tego popołudnia (przynajmniej tak to odczuwałam) i zobaczyłam, że jest już za piętnaście piąta. Będę musiała przedsięwziąć się do gabinetu doktor Vance w najgorszych warunkach.

- Lara, muszę lecieć. O siódmej mam spotkanie z moją psychoterapeutką - powiedziałam, pędząc w stronę drzwi.

Kiedy obejrzałam się, aby sprawdzić, czy wyłączyłam komputer, ujrzałam niewypowiedzianą ulgę na twarzach wszystkich moich współpracowników. Pewnie uważali mnie za nieźle stukniętą, ponieważ do tej pory nie miałam psychoanalityka. I podśmiewali się ze mnie z tego powodu. Hurra! Teraz jestem jedną z nich, pomyślałam, wybiegając z biura.

Zaparkowałam w garażu i pobiegłam do windy. Wjechałam na czternaste piętro, odnalazłam apartament 1402 i weszłam do poczekalni. Nie zdążyłam jeszcze przekroczyć progu jej gabinetu, a już poczułam przygnębienie. Coś dziwnego emanowało z kolorowej wykładziny i szeregu dzwonek na ścianie, opatrzonych tabliczkami z nazwiskami lekarzy. Podeszłam niepewnie bliżej, odnalazłam napis drukowanymi literami „DR VANCE”, wykonany zielonym atramentem. Zadzwoiłam i stanęłam przed wbudowanym w ścianę głośniczką. Nikt nie odebrał, zadzwoniłam więc drugi raz, nieco bardziej natarczywie. Tym razem ze ściany dobiegł mnie głos jak zza grobu:

- Elizabeth, proszę, usiądź. Za chwileczkę po ciebie przyjdę. - I cisza.

Usiadłam na rozdartym fotelu obitym skajem, który przyklejał się nieprzyjemnie do ud i zaczęłam się wpatrywać w styropianowe płytki sufitowe. Kiedy byłam jeszcze w szkole, zwykłam rzucać w takie ołówkami. Zastanawiałam się, czy nie powinnam uciec, póki jeszcze miałam szansę. Chciałam nawet wstać, chwycić torebkę i rzucić się w kierunku wyjścia, ale właśnie w tej chwili do poczekalni wmaszerowała para długich, odzianych w męskie spodnie nóg i rozgościła się na fotelu naprzeciwko. Wyglądały jak własność Jake'a Hudsona. Opuściłam włosy na twarz i spojrzałam ukradkowo zza ich za-

słony. To był Jake Hudson. Mój Boże, wiem, że powinienam mieć teraz na głowie ważniejsze sprawy, ale był taki apetyczny.

Wyciągnął komórkę.

- Cześć, stary. Mój prawnik mówi, że skopałeś komuś tyłek tą umową - zaczął. - Doskonale, cieszę się, bo to kompletny palant na kółkach. - Wstał i zaczął się przechadzać po poczekalni, jakby był jej właścicielem. - Jeszcze jak. Dałem mu siedemdziesiąt pięć, więc niech teraz spróbuje mi powiedzieć, że nie robi filmów akcji. Może mnie pocałować w dupę - zaśmiał się chrapliwie i stanął przed lustrem, obserwując siebie w czasie rozmowy.

- Elizabeth Miller? - doktor Vance wybrała ten właśnie moment, aby pojawić się w drzwiach.

Skoczyłam na równe nogi i podeszłam do niej, wpatrując się przez cały czas w czubki swoich butów. Dzięki Bogu, Jake chyba niczego nie zauważył. W każdym razie nie mnie - dziewczynę, którą całował w swoim własnym domu. Ani tego, że odwiedzałam właśnie psychoterapeutkę. Jediną rzeczą, którą widział, była jego prawa brew, umieszczona nieco wyżej niż lewa, co chyba mu się podobało. Uznał zapewne, iż przypomina dzięki temu Seana Connery'ego.

- Miło cię poznać. Może przejdziemy do mojego gabinetu? - powiedziała doktor Vance. Poszłam za nią wzdłuż korytarza, myśląc o tym, że od tyłu bardzo przypominała moją matkę. Mogłam ją sobie wyobrazić w kapciach z owczej skóry, oglądającą w domu wiadomości w telewizji publicznej. Gabinet doktor Vance był przytulny i skromny. Kanapa stała w kącie.

- Proszę, usiądź. Napisałaś listę? - zapytała.

Wyciągnęłam zmięty kawałek papieru i podałam jej niczym sześcioklasistka wręczająca nauczycielce pracę domową. Uśmiechała się ze znanstwem, czytając moje wypociny. Wiedziałam, że przejrzała mnie na wylot. Prawdopodobnie potrafiła czytać w moim umyśle ze sposobu, w jaki mrugałam. Nie mogłam się dłużej powstrzymać.

- Moi rodzice myślą, że mam problem z zaangażowaniem emocjonalnym - wybuchłam. Nastąpiła długa, okropna cisza. Mogłam mówić dalej, wypełniając ją długą listą przeróżnych spraw i łzami ulgi, że oto wreszcie jestem w stanie się swobodnie wypowiedzieć. Zanim jednak zdołałam zaczerpnąć oddechu, ubiegła mnie:

- A co ty na ten temat myślisz, Elizabeth?

- Nie wiem. Dlatego tu przyszedłam.

- Rozumiem - pokiwała głową.

Pojęłam wówczas, dlaczego ludzie to robili. Dlaczego przychodzili do terapeutów, aby dzielić się swoimi problemami? Świadomość, że można być szczerym to cudowne uczucie. Jaka ulga! Zaczęłam się rozluźniać i umościłam się wygodniej na kanapie, gotowa do naprawienia wszystkich złych i anormalnych rzeczy w mojej osobowości.

- Wydaje mi się, że sama twoja dzisiejsza wizyta tutaj dowodzi pomyłki twoich rodziców. Oczywiście, nie oznacza to, że nie miałaś podobnych problemów w poprzednich życiach - ciągnęła cicho doktor Vance.

Nie byłam pewna, czy dobrze ją usłyszałam, więc kontynuowałam, jakby nigdy nic:

- Rozumie pani, chciałam się upewnić, że fakt, iż nie posiadam chłopaka, nie jest symptomem jakiegoś poważnego problemu.

- To możliwe - odparła. - Pozwolisz, że skonsultuję się ze swoimi przyjaciółmi?

Spojrzałam w kierunku drzwi, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zgodziłam się bezwiednie na udostępnienie mojej sesji terapeutycznej dla potrzeb edukacyjnych. W gabinecie nie pojawił się jednak nikt nowy. Nie zadzwonił również żaden telefon.

- Nie za bardzo rozumiem - powiedziałam, prostując się na sofie, już nie tak zrelaksowana jak przed sekundą.

- Vivianne chciałyby ci zadać pytanie - rzekła doktor Vance.

- T a k ?

- O co chciałaś się ją zapytać, Vivianne? - ciągnęła, chociaż w pokoju nikogo nie było. - Och, Tom, ty również masz spostrzeżenie? Rozumiem, ale będziesz musiał zaczekać na swoją kolej.

Rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu szklanej ściany, za którą mogłaby znajdować się grupa zafascynowanych mną ludzi. Nie spostrzegłam niczego takiego.

- Przepraszam bardzo, ale z kim pani rozmawia? - spytałam wreszcie.

Doktor Vance uśmiechnęła się pokrzepiająco.

- Wybacz, Lizzie. Nie obrazisz się, jeżeli będę do ciebie mówić Lizzie, prawda? A może tylko twój ojciec i szefmogą do ciebie mówić w ten sposób? - Spojrzałam na nią z ukosa. - Widzisz, ja słyszę głosy. Towarzyszą mi od dzieciństwa. Są bardzo *aufait* z poprzednimi wcieleńiami, a poza tym mają ogromne wyczucie, jeśli chodzi o moich klientów. - Uśmiechała się. - Teraz mówią mi, że twoja niechęć do ustabilizowania się jest spowodowana prostym faktem, iż w większości swych poprzednich żyć byłaś mężczyzną.

- Byłam kim? - Siadłam wyprostowana, jakbym połknęła kołek.

- Wiem, to niesamowite, prawda? A przy okazji dość niezwykle, chociaż czasem się zdarza. W twoim przypadku przyczyniło się do notorycznego strachu przed zaangażowaniem się, ponieważ jesteś zaprogramowana jak mężczyzna, jak wolny strzelec. Nie musisz się tym martwić. Za kilka lat uspokoisz się nieco. - Znów uśmiechnęła się ciepło. Dla mnie było już jednak za późno.

- Przepraszam, doktor Vance, ale muszę iść - powiedziałam.

- No tak. - Tym razem uśmiech wyrozumiały. - To normalne, że na początku moje sesje wydają się zbyt tłoczne. Zapewniam cię, że wkrótce się do tego przyzwyczaisz.

Chciałam wybiec z pokoju. Moja pierwsza sesja terapeutyczna wywołała u mnie wzwód wsteczny (co można

by potraktować dosłownie, biorąc pod uwagę, że przez większość mojego czasu na ziemi byłam facetem). Na dodatek pokręciło mi szyję, tak szybko zerwałam się z kanapy. Zastanawiałam się, czy pozostałe piętnaście darmowych sesji u psychoanalityka mogę przetransferować na wizyty u osteopaty albo po prostu zamienić je na kupon do Barneysa.

- Moi przyjaciele mówią, że jesteś w dość dobrym stanie psychicznym, Elizabeth. Po prostu potrzebujesz drobnej regulacji.

- Naprawdę? - Spodobało mi się to, co powiedziała. Po kilku sesjach na jej sofie mogę stać się emocjonalnym odpowiednikiem ferrari; sprawna, zdolna pokonać wszelkie zakręty życia i rozstaje dróg z gracją i łatwością. Poza tym, kto mógłby pomóc mi lepiej niż ci, którzy już raz przez to wszystko przeszli? Duchy zmarłych? - W porządku, brzmi świetnie - ułożyłam się z powrotem wygodnie na kanapie. - Czy twoje głosy mogą mi powiedzieć, gdzie z największym prawdopodobieństwem spotkam swoją drugą połowę? A może mają jakiś kodeks, który zabrania udzielania takich informacji?



*Nie szkodzi, że nie lubisz moich manier. Ja też ich nie lubię.  
Są dosyć złe. Zamartwiam się nimi w długie zimowe wieczory.*

Humphrey Bogart jako Phillip Marlowe (*Wielki sen*)

Nigdy nie lubiłam schodzić do piwnicy, gdzie mieściła się blokowa pralnia. Trzeba było zjechać windą dwanaście pięter w dół do wilgotnego lochu, a potem przebyć długi korytarz pełen mrugających jarzeniówek i zaryglowanych metalowych drzwi. Byłam przekonana, że w każdej chwili może wychynąć z nich inspektor, który właśnie nakarmił ogień piekielny jakimś młodocianym lokatorem zalegającym z czynszem. Była to moja największa obawa, ponieważ sama nieustannie balansowałam na granicy zostania takową. Oczywiście ten scenariusz był czystą neurozą, ponieważ nasz gospodarz był wiecznie upalonym starym hipisem, zbyt zajętym próbami dostrzeżenia wszechświata w ciekącym kranie, aby dbać o moje finansowe problemy.

Przebiegłam korytarz z koszem w rękach i dokładnie zamknęłam za sobą drzwi pralni. Pokrzepiające detergentowe ciepło pralki uruchamianej na ćwierćdolarówki uspokoiło moje skołatane nerwy. Wyciągnęłam drobne i nakarmiłam głodną maszynę, a następnie wepchnęłam do środka tyle brudnych rzeczy, że musiałam naprzeć na klapę całym ciałem, aby ją zamknąć. Nalewałam właśnie zmiękczacza do tkanin, gdy otworzyły się drzwi. Nigdy przedtem nie spotkałam tu nikogo.

Przez chwilę szamotałam się z myślą o zbliżających się do mnie cieniach morderców z siekierą. Odwróciłam się w kierunku drzwi. Zawsze sądziłam, że każdy szanujący się człowiek oddaje swoje rzeczy do prania albo ma własną pralkę w mieszkaniu. Byłam w błędzie. Ujrzałam Alexę, moją uprawiającą jogę sąsiadkę, spowitą w bladobłękitną Nualę. Napełniała właśnie cztery pralki całą górą ubrań. Zobaczyła, że na nią patrzę, więc pomachałam do niej nieśmiało.

- Cześć, jestem Elizabeth. Mieszkam obok ciebie.

- Wiem. Jesteś moją cichą sąsiadką. - Alexa uśmiechnęła się swobodnie. - Miło cię znowu spotkać. Mam nadzieję, że głowa już cię nie boli po tym okropnym wypadku z krążkiem hokejowym?

- Nie, już nie. Dzięki za pamięć. I za neosporin - odwzajemniłam uśmiech. Wcześniej uznałam, że jest krową, ponieważ była idiotycznie ładna i zabawowa, ale najwyraźniej była też naprawdę miłą osobą.

Zamierzałam wrócić do mieszkania, przekonana, że moje rzeczy z Republiki Bananowej są bezpieczne. Nawet ja brzydziłam się swojej garderoby, zdziwiłabym się zatem, gdyby ktoś zechciał ją sobie przywłaszczyć. Alexa zatrzymała mnie jednak badawczym spojrzeniem.

- Słuchaj, Elizabeth, czy spotkałaś już kiedyś mojego przyjaciela, Noela? Wysoki, przystojny brunet, kierownik studia w wytwórni Fox? - spytała. - Przychodzi do mnie na prywatne sesje we wtorki o dziewiątej.

Nie musiałam wysilać umysłu. Doskonale wiedziałam, o kogo jej chodzi.

- Tak, kojarzę go. Chyba spotkałam go kiedyś, wynosząc śmieci.

- Możesz mi powiedzieć, co pamiętasz z tego spotkania?

Pamiętałam bardzo dokładnie, że dźwigałam wtedy trzy ogromne torby na śmieci i opakowanie po nowym tosterze, a w zębach niosłam klucze od mieszkania. Noel wpadł na mnie, wychodząc z mieszkania Alexy, przez co wszystkie torby upadły na podłogę i połowa śmieci

rozsypała się po korytarzu. Klucze wpadły niezauważenie do pojemnika z czterodniową chińszczyzną, ja zaś, sprząając pośpiesznie, wrzuciłam go wraz z innymi odpadkami do zsypu. Noel, który stał się przyczyną tego galimatiasu, nie miał nawet na tyle przyzwoitości, aby się zatrzymać i pomóc mi to pozbierać. Nie zdobył się nawet na przeprosiny. Spojrzał tylko na mnie z ironicznym uśmieszkiem i krzywiąc się z obrzydzeniem, zrobił krok nad śmieciami (i mną) i wrzasnął do kogoś, aby przytrzymał dla niego windę.

W rezultacie nie mogłam się dostać do mieszkania i musiałam zaczekać na pojawienie się naszego gospodarza, tylko po to zresztą, aby dowiedzieć się, iż nie ma zapasowych kluczy i że za wynajęcie ślusarza o tej porze będzie czterysta dolarów. Ponieważ zaś miałam do spłacenia debet na kartach kredytowych i nie odczuwałam radości na myśl o wydaniu takiej kupy forsy na kilka kawałków metalu, spędziłam całe trzy godziny, przegrzebując kontener na śmieci, aż wreszcie znalazłam klucze, tym razem w słoiku po maśle fistaszkowym. Krótko mówiąc, Noel wywarł na mnie bardzo silne wrażenie.

- Co się stało? Jest jakiś problem? - spytałam.

Nie chciałam się przyznać do tego, że przez cały tamten wieczór życzyłam mu śmierci pod kołami autobusu, i wolałam, by Alexa nie próbowała mi teraz powiedzieć, że Noel właśnie w ten sposób zakończył swój żywot.

- Od kiedy Noel został mianowany na starszego współpracownika, cierpi na zdecydowany przerost ego. Zastanawiałam się, czy cokolwiek zauważyłaś.

- Co na przykład? - spytałam ostrożnie. Nie chciałam zbyt pochopnie wieszać psów na jej przyjacielu, żeby nie zapragnęła potem wymedytować moją śmierć.

- Na przykład to, że zachowuje się w nieodpowiedni sposób.

- Cóż, szczerze powiedziawszy, Noel jest jednym z największych dupków, jakich znam. A przypominam, że pracuję w Agencji. - Opowiedziałam jej historię ze śmietnikiem i kluczami. Alexa słuchała cierpliwie.

- Tak mi przykro, Elizabeth. Powinnaś mi o tym powiedzieć. Zmusiłabym go do zapłacenia za ślusarza. Mimo wszystko, dzięki za szczerość. Właśnie takiej reakcji oczekiwałam.

- Nie ma sprawy. Mam nadzieję, że to pomoże - ree-  
kłam i zamierzałam wyjść z pralni, gdy Alexa znów  
mnie zatrzymała.

- Co porabiasz jutro wieczorem?

Mój Boże. Na każdym rogu nowy przyjaciel!

- Nic specjalnego.

- Czy przyszedłabyś na interwencję u Noela?

- O Boże, tak mi przykro. Naprawdę czuję się winna. Nie wiedziałam, że ma problemy z alkoholem albo narkotykami. Gdybym wiedziała, nigdy nie byłabym tak niemą.

• - Nie masz za co przepraszać, Elizabeth.

- Przepraszam. To przyzwyczajenie z pracy.

- Znowu to zrobiłaś. - Uśmiechnęła się do mnie łagodnie. - Noel nie jest uzależniony. To po prostu dupiek. Chodzi o interwencję w jego dupkowatość. Od kiedy dostał awans, jego egoizm niszczy rodzaj ludzki. Żona Noela rozważa odejście od niego, jego siostra nie chce z nim rozmawiać, a jego najlepszy przyjaciel dał ogłoszenia, że szuka nowego kolegi.

- Naprawdę? - zdziwiłam się, choć wcale nie byłam zaskoczona. Noel naprawdę zachowywał się jak palant.

- Nawet ja musiałam zrezygnować z naszych sesji, bo jego energia jest potwornie pokręcona. Po spotkaniach z nim czułam się chora. W każdym razie, Noel potrzebuje interwencji albo zostanie sam, rozczarowany i ze złamanym sercem.

Chciałam wybuchnąć śmiechem. Czy ona sobie żartowała? Spojrzałam w jej szczere, łagodne brązowe oczy i zrozumiałam, że mówiła śmiertelnie poważnie.

- Jak to się odbywa? - spytałam.

- Z założenia, powinien bez swojej wiedzy znaleźć się na spotkaniu z grupą oddanych przyjaciół i członków rodziny. Potem każde z nas opowie po kolei, jak widzi

jego zachowanie. Albo Noel przyjmie pomoc i odnajdzie dawnego siebie, albo wszyscy odwrócimy się od niego. To bardzo poważny i intensywny proces.

Wyobraziłam sobie pokój pełen szczerych, troskliwych ludzi, pokręconą energię i rozwścieczonego, ego-maniakalnego wiceprezesa. Szczerze mówiąc, było to odrobinę za dużo, jak dla mnie.

- Alexa, słuchaj. Myślę, że nie znam go na tyle dobrze, aby wziąć udział w tym spotkaniu. Wygląda mi to na coś ogromnie osobistego.

Alexa jednak wypisywała mi już adres i czas spotkania na odwrocie maślanożółtej wizytówki.

- Uwierz mi, że tak nie jest. Zaprosiliśmy całe spektrum ludzi. To ważne, żeby przybyły także osoby mniej zaangażowane w całą sprawę, ponieważ ich też w jakiś sposób skrzywdziło okropne zachowanie Noela. Nawet listonosz zgodził się wziąć w tym udział. Naprawdę potrzebujemy cię, Elizabeth, i twojej historii. Zgodzisz się?

Ponieważ i tak nie miałam nic innego do roboty, więc odmowa byłaby dość małoduszna. Poza tym, była to szansa na spotkanie nowych ludzi. Moja matka na pewno by się z tego ucieszyła.

- Jasne, wpadnę tam po pracy. Czy obowiązuje jakiś specjalny ubiór? - Uznałam, że bezpieczniej będzie zapytać.

- Raczej nie, ale mogłabyś włożyć coś uduchowionego lub kolorowego. Na przykład pomarańczowy to kolor leczący. Poza tym nie chcemy, żeby poczuł się jak na własnym pogrzebie. Zamierzamy zamówić jedzenie u Mr Chow. Czy jest coś, czego nie lubisz?

Boże, toż to raj! Zdecydowanie w to wchodziłam.

- Uwielbiam wszystko. Nie mogę się doczekać. To znaczy doczekać spotkania, pomagania, wiesz. Do zobaczenia jutro.

Pomachałam jej i tańcząc, dotarłam do windy. Zastanawiałam się, czy powinnam wspomnieć, że mam ogromną słabość do słodko-kwaśnych kotlecików krewetkowych.

Skręciłam w lewo za Laurel Canyon i wjechałam w system pnących się w górę wąskich uliczek. Kiedyś były tu hipisowskie meliny, teraz warte co najmniej półtora miliona dolarów za trzysypialniowe ranczo. Niestety, owe półtora miliona nie zapewniało miejsca do parkingu. Poza tym, nie można się tu było oddalić od domu, żeby nie skończyć pod kołami samochodu, a ponieważ ulice miały szerokość jednego samochodu, nieustannie blokowały je korki. Mimo to, był to jeden z najdostępniejszych kanionów w bezpośrednim sąsiedztwie Hollywood, co najwyraźniej odpowiadało niektórym ludziom.

Kontynuowałam moją podróż zgodnie ze wskazówkami Alexy. Im większy sukces odniosło się w Los Angeles, tym wyżej się mieszkało. Najwyraźniej Noelowi nieźle się powodziło w życiu, ponieważ dziesięć minut później moja rzucająca honda, choć z niechęcią, nadal wspinała się po krętych ulicach. Wreszcie odnalazłam dom z numerem 106 i zaparkowałam na końcu długiego rzędu bajkowych wozów, których właściciele przybyli tu, aby być świadkami unormalniania Noela. Miałam niejasne podejrzenie, że kilkoro z nich chciało po prostu wyżyć się na nim bezkarnie. Poza tym, jeżeli jego rodzina pomyślała o sprzedaży biletów, mogło zjawić się jeszcze więcej chętnych. Przez cały dzień zastanawiałam się, czy nie zostawić Aleksie wiadomości, że odwołuję mój udział w spotkaniu, ponieważ byłam pewna, że w imię uzdrawiania mogą się tu stać rzeczy straszne. Perspektywa poczęstunku z Mr Chow była jednak zbyt kusząca, abym się jej oparła. Nigdy w życiu nie udało mi się dostać u nich stolika, nie wspominając o tym, że nigdy nie będzie mnie stać na zjedzenie tam czegokolwiek. Dzisiejszy wieczór był moją jedyną szansą na posmakowanie perfekcyjnego jedzenia z owej znanej i lubianej restauracji - chyba że umówię się z Bobem, co oczywiście było absolutnie wykluczone. Wciąż próbował mnie usidlić i nawet zadzwonił dziś do pracy, zapraszając

mnie na otwarcie jakiejś galerii. Oniemiałam. Nie miałam pojęcia, że w Los Angeles w ogóle istnieją galerie, a poza tym, nie mogłam sobie wyobrazić, że zepsuty do szpiku kości Bob mógłby zrobić coś równie niewinnego i publicznego, jak zwiedzanie wystawy. Nie chciałam ryzykować drugi raz: mógł przecież zainstalować kamery w łazience, planując nagranie kolejnego filmiku do kolekcji. Dlatego uprzejmie odmówiłam. Zadzwoił jednak znowu i tym razem musiałam szybko odłożyć słuchawkę, ponieważ stała nade mną Victoria, szykując się do zmycia mi głowy. Najgorsze było to, że Bob wyraźnie nic sobie nie robił z mojej nieuprzejmości. Naprawdę trudno się było od niego uwolnić. Może ktoś powinien zorganizować unormalniającą sesję dla niego? Byłam jednak przekonana, że posunął się w swej dewiacji za daleko, a poza tym nikomu na nim nie zależało.

Do domu Noela prowadziła żwirowana ścieżka obsadzona po bokach idealnie przyciętymi i odżywionymi krzewami żywopłotu. Rozejrzałam się za dzwonkiem do drzwi, ale posiadłość była typowym przykładem przecięcia w stronę minimalizmu i coś takiego nie miało tu racji bytu. Architekt przekształcił to niegdyś brzydkie ranczo, oblewając jego ściany betonem, powiększając okna i wymieniając dziurawą papę na piękny miedziany dach blaszany. Wypolerowane schody z płytek łupkowych prowadziły do surowych drzwi bez klamki, nadając całej posiadłości wygląd bardzo niegościnnego ogrodu zen. Ponieważ nigdzie nie mogłam dostrzec dzwonka ani kołatki, w końcu zastukałam pięścią w białą, drewnianą płytę i zaczęłam modlić się do Buddy o to, aby wyjście stąd okazało się łatwiejsze niż dostanie się do wewnątrz. To tak na wypadek, gdybym musiała się gwałtownie ewakuować.

Kilka sekund później otworzyła mi Alexa i objęła mnie serdecznie.

- Elizabeth, tak się cieszę, że jesteś.

W środku nie było żadnych zbędnych dodatków, w rodzaju przedpokoju. Niemal od razu znalazłyśmy się

w imponującej białej przestrzeni Noelowego salonu, gdzie wokół stolika z pierożkami i miseczkami sałaty kłębiła się dwudziestoosobowa grupa.

- Kochani, przywitajcie Elizabeth - oznajmiła Alexa. - To ona opowiedziała mi historię ze śmietnikiem.

Powitały mnie troskliwe i współczujące spojrzenia oraz kilka „ochów” i „achów”.

- Czy Noel już tu jest?

Nagle przestraszyłam się perspektywy spotkania z nim. Na pewno mnie znienawidzi, a ponieważ nie jest pijakiem ani narkomanem, zapamięta wydarzenia dzisiejszego wieczoru do końca życia. Pomyślałam, że może powinnam szybko uszczknąć nieco chińszczyzny i wymknąć się podczas zamieszania związanego z jego przybyciem. Podeszłam do stolika z jedzeniem i zaczęłam napełniać talerzyk. Obok mnie stanął mężczyzna odziany w jakiś rodzaj religijnego ubioru i zaczął nakładać na swoją miseczkę wegetariańskie potrawy, ja zaś wpatrywałam się w jego ciuchy, próbując rozszyfrować, jakiego jest wyznania. Miał na sobie purpurową szatę i wyglądał trochę jak papież, tylko bez kołnierza i czapki.

- Feng shui w tym domu jest po prostu doskonałe, nie sądzisz? - spytał.

Zdecydowanie nie był papieżem.

- Nie znam się na feng shui, ale kiedy tu weszłam, poczułam spokój - odparłam.

Nie była to prawda, ale to nie przez wystrój wnętrz, lecz przez świadomość, że za chwilę wezmę udział w ceremonii, która może zrujnować mi życie.

- Spozregawcza z ciebie dziewczyna. Jestem Lee, konsultant Noela do spraw feng shui. Obszedłem z nim wszystkie domy, których kupno rozważał, i doradzałem mu na tak lub na nie. Ten tutaj był doskonały, z wyjątkiem kilku poważnych wad, które musieliśmy zlikwidować, zanim wstawił tu nawet pudełko z butami.

- No, no. To niesamowite zajęcie. Co musiałeś zmienić? Wszystko wygląda idealnie.



Zaśmiał się i wywrócił oczami w udawanym przerażeniu.

- Nie masz pojęcia, Elizabeth, co tu się działo. Jakiś projektant wewnątrz odrestaurował dom i próbował go sprzedać bez dalszych modyfikacji. W dodatku liczył sobie jak za złoto. Ściany były w głębokiej czerwieni i ani jednego elementu wodnego.

- Dlaczego czerwony jest zły? Myślałam, że w Chinach przynosi szczęście - spytałam nieśmiało, z nadzieją, że nie popełniłam błuźnierstwa.

- Nie w sypialni, moja droga. Czerwony zabija wołę, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. Wyciąga soki życiowe z korzenia.

- To niedobrze. - Doskonale rozumiałam, do czego pije. - A po co woda?

- Pieniądze. Płynąca woda pomaga w zwiększeniu napływu gotówki. Poprzedni właściciel tego domu zbankrutował. Zanim Noel wprowadził się tutaj, zamontowałam przed wejściem fontannę, w jadalni zaś ten piękny kawałek architektury. - Gestem zaprosiłam mnie do sąsiedniego pomieszczenia. Część dachu została tam zastąpiona szybą, i tam Noel umieścił jadalnię z krzesłami wzdłuż dwóch ścian, które zdawały się piąć pod niebo. Jedna ze ścian została zastąpiona szybą, po której spływała woda. Można się było oprzeć o ten swoisty wodospad, jedząc pizzę, chociaż zgadywałam, że nic tak pospolitego jak pizza nigdy nie skałało progów tej świątyni. Usiadłam przy stoliku i odchyliłam się do tyłu i spoglądając w niebo (nieco zasnutę smogiem, ale kto by zwracał uwagę na takie detale?), słuchałam ciurkania wody spływającej wokół mnie. Czułam się jak w akwarium. Genialne. Może Noel był dupkiem, ale miał dobry gust i przez chwilę naprawdę chciałam być nim.

- Jesteś po prostu niesamowity - powiedziałam do Lee. - Na razie nie mam forsy, ale kiedyś się odbiję, dlatego proszę, daj mi swoją wizytówkę, żebym mogła cię odszukać i zatrudnić.

Lee uśmiechnął się ze zrozumieniem, bez cienia obłądy. Wiedział doskonale, jak szybko ludzie tutaj zbijają fortuny i nie zamierzał mnie zbywać, bo przecież mogłam okazać się zwycięskim koniem.

- Zadzwoń do mnie, kiedy chcesz, słoneczko. Jeśli będę miał chwilkę czasu, rzucę okiem na twój dom - zaśmiał się uprzejmie.

Ja też.

- To zabawne. Dzięki, Lee - zamierzałam sprezentować mu ukłon lub coś w tym stylu, ale przerwała nam mała brunetka, żona Noela, Sandy. Zaczęła tłuc się po pokoju niczym osa w słoiku, usiłując usadzić wszystkich na miejscach.

- Szybko, utwórzcie okrąg. Noel wrócił do domu.

Wszyscy rzucili się w kierunku krzeseł, ja zaś zdecydowałam się przycupnąć na oparciu sofy, z daleka od złowieszczego wyglądającego skórzanego fotela, który wybrano gremialnie na miejsce dla Noela. Nie chciałam znaleźć się na linii ognia, jeśli zdecyduje się na kogoś naskoczyć.

Zasiedliśmy w pełnej oczekiwania ciszy, nasłuchując chrobotu klucza w zamku. Sandy przywitała Noela w progu. O Boże, wyglądało to jak obserwowanie sceny z dentystą w *Maratończyku* - proces bolesny tym bardziej, że wiadomo było, co za chwilę nastąpi.

- Cześć, dziecino. Jestem wykończony. Myślałam, że masz dzisiaj zajęcia dziergania. Ten pierdziel rozłączył się ze mną, kiedy jechałem do domu i... - Noel wszedł do środka, rzucił skórzaną torbę od Gucciego na smolicie czarny postument i przeszedł koło żony, nie całując jej na przywitanie. Zapewne normalnie pomaszzerowałby prosto do salonu, pytając, co jest na obiad, ale dziś stanął jak wmurowany, widząc gromadę ludzi spoglądających na niego z wyczekiwaniem.

- Urządzasz jakieś przyjęcie? - spytał zdezorientowany i zmieszany.

- Nie, kochanie. To interwencja. Dla ciebie. Zmieniłeś się i nikt nie lubi tej osoby, którą się stałeś.

Noel oceni! sytuację i przez chwilę wygląda! na autentycznie wstrząśniętego. By! jak nowo narodzony żreback, nierozumiejący złego świata, na którym przyszło mu żyć. Zaraz jednak przywdział mentalną zbroję i uśmiechnął się szyderczo.

- To jakaś bzdura. Wychodzę.

Odwrócił się, ale w tej samej chwili wstał jego najlepszy przyjaciel z uniwersytetu, prezes bractwa, do którego obaj należeli.

- Noel, myślę, że powinieneś zostać i wysłuchać nas wszystkich. Możesz się z nami nie zgodzić, twoja wola, ale wszyscy tu zgromadzeni cię kochają i zależy im na tobie, dlatego zadali sobie trud, aby tu przyjechać, specjalnie dla ciebie. Usiądź i posłuchaj.

Noel zaśmiał się i potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- W porządku, jak sobie chcecie, ale czy możemy się streszczać? Mam jeszcze do przeczytania dwa projekty, które muszę do jutra zatwierdzić. Gadanie o emocjonalnych idiotyzmach z bandą altruistów nie pomoże mi w odwaleniu mojej roboty, prawda?

Wszyscy uśmiechnęli się z satysfakcją. Noel potwierdził właśnie, że zrobienie z niego potwora było rzeczą godną i sprawiedliwą, słuszną i zbawienną. Jego żona poprowadziła go w kierunku skórzanego fotela, przywiezionego chyba przez któregoś z ich przyjaciół, bowiem wyglądał dużo bardziej humanitarnie niż betonowy cokół, na którym sama przycupnęła.

- No dobra. Zaczynajcie tę egzekucję.

Noel usadowił się wygodnie z miną wielce znudzoną. Gdyby żuł gumę, zapewne puściłby teraz balona, niczym buntowniczy nastolatek.

Podniosła się jego siostra i zaraz usiadła.

- Nie rozmawialiśmy ze sobą od czterech tygodni. Kiedyś dzwoniliśmy do siebie codziennie - powiedziała.

- Przykro mi, Samantha. Jestem zajęty. Myślałem, że oddzwoniłem?

- Oddzwonita twoja sekretarka, ale potem przestałam się do ciebie odzywać, a ty nawet tego nie zauważyłeś.

- Jezu, Sam. Jestem zaganiany. Jeżeli jesteś na mnie zła, to po prostu powiedz. O co chodzi?

- Mam całą listę zażaleń, ale kroplą przepełniającą czarę było polowanie na Bambi. Jak mogłeś! - Uderzająco podobna do Noela Samantha była wyraźnie wstrząśnięta.

Noel zaczął się śmiać, ale zorientował się chyba, że jeśli nie przestanie, grozi mu rozstrzelanie.

- Daj spokój, Sam. To tylko niewinna zabawa. Nikomu nic się nie stało.

- Czy ktoś chciałby wyjaśnić, na czym polega polowanie na Bambi? - Sam spojrzała na zasłuchanych ludzi. Kilka osób pokiwało głową. - Otóż kilku mężczyzn spotyka się w lesie i strzela do nagich kobiet z pistoletów na pociski z farbą.

- Słyszałem o tym w telewizji - powiedział Lee, dodając szybko - bardzo niemoralne.

Noel się skrzywił.

- Do cholery! Jedna z dziewczyn zarobiła dwa i pół tysiącza, ponieważ nie dała się trafić - powiedział, ale widownia pozostała niewzruszona.

- Noel, strzelałeś z pistoletu do kobiet, które uciekały nago przez las. Uważasz, że to jest normalne? - jęknęła Samantha.

- Miały na nogach adidas, a poza tym mogły włożyć gogle ochronne i kaski. Słyszałem, jak przewodnik im to oferował. W każdym razie to tylko niewinny sposób na upuszczenia pary. My, faceci, prowadzimy bardzo stresujące życie. Bambi nie miały nic przeciwko temu. Po skończeniu polowania wszyscy wypiliśmy razem po piwku.

- Polowałeś na nagie kobiety. Nie sądzisz, że to trochę nienormalne, Noel? Naprawdę jesteś takim mizoginem? Masz żonę i siostrę. Żonę, która protestowała przeciwko twojej zabawie, ale tyją zignorowałeś. Jesteś odrażający.

- Hej, co jest?! To tylko farba.

- Noel, kiedyś byłeś demokratą. Brałeś udział w demonstracji przeciwko zbyt swobodnemu używaniu broni. Co się z tobą stało?

Proszę, proszę. Zaczynało się robić gorąco. Mój mały incydent ze śmieciami w korytarzu był wręcz banalny wobec czegoś takiego. Dzisiejsze spotkanie było najlepszą rozrywką, w jakiej brałam udział od dłuższego czasu. Może powinnam zrobić dla NBC program pod tytułem *Interwencja*? Prawdziwy dramat, rozgrywający się przed oczami publiczności, z udziałem rodziny, przyjaciół i nieznajomych. Polowanie na Bambi? Nigdy o tym nie słyszałam. Powinnam się dopytać, jak się tam trafia, na wypadek, gdybym kiedyś rozpaczliwie potrzebowała forsę. Byłam dość odporna na ból i potrafiłam szybko biegać, więc pewnie okazałabym się w tym niezła. Ucieszyłam się na samą myśl - niestety, na głos. Powoli wszyscy zwrócili się w moim kierunku. Noel przyjrzał się mi wyraźnie wkurzony.

- Kto to jest, do cholery?

- Widzisz, Noel? Zachowujesz się wrogo i niesympatycznie w stosunku do kompletnie niewinnej dziewczyny - stanęła w mojej obronie Alexa. - To Elizabeth, wobec której postąpiłeś jak skończony dupek. - O kurczę! Przez moje głupie chichoty znalazłam się w centrum zainteresowania. - Elizabeth, czy zechciałabyś się podzielić z nami swoim doświadczeniem?

Teraz będę musiała odezwać. Wszyscy na to czekali, a ja chyba nagle straciłam głos.

- Żeby wszystko wyjaśnić... - chrząknęłam, połykając ogromny kamień, który blokował mi gardło. - Wpadłeś na mnie przed drzwiami Alexy. Przewróciłeś mnie i śmieci, które właśnie wynosiłam, rozsypały się po korytarzu. Nie zatrzymałeś się nawet, nie spojrzałeś ani nie przeprosiłeś. Po prostu przeszedłeś obok mnie, jakbym była powietrzem.

Tu Alexa przejęła pałeczkę.

- Zrozum, próbujemy pokazać ci na różnych przykładach, jak bardzo się zmieniłeś. Kiedyś byłeś szarmanc-

kim, dobrze wychowanym i wykształconym mężczyzną, dżentelmenem z nienagannymi manierami, szanującym innych ludzi.

Ku mojemu zdziwieniu Noel ucichł. Wpatrywał się we mnie uważnie, jakby usiłował przypomnieć sobie tamto zajście. Odniosłam wrażenie, że moje wyznanie zawstydziło go dużo bardziej niż opowieść o strzelaniu do nagich dziewcząt w lesie. Spojrzał mi prosto w oczy.

- Elizabeth, wiem, że zachowałem się wobec ciebie jak cham. Powiniennem przystanąć i pomóc ci pozbierać śmieci. Przepraszam. - Wyglądał jak zbity pies.

- Nie ma sprawy. Wybaczam ci.

Szturm trwał, ale ja poczułam, że usłyszałam już za dużo. Dalsza obserwacja byłaby niczym niesławne polowanie na Bambi. Zbyt łatwa. Wyszeptałam pożegnanie do ucha Alexy i wymknęłam się niepostrzeżenie, podczas gdy mama Noela zmywała mu głowę za to, że spóźnił się na pogrzeb swojego dziadka, a potem odebrał telefon w chwili, gdy jego wujek płakał ze wzruszenia na ambonie. Zamykając za sobą cicho drzwi, pomyślałam, że Noel był wart ocalenia. Nie zawsze był dupkiem, po prostu zmienił się w tę obcą osobę, jak mutant z *X-Men*. Miałam nadzieję, że trochę mu pomogłam i że kiedyś, gdy być może ja stanę się archetypową hollywoodzką suką, znajdzie się kilkoro fajnych ludzi, przyjaciół i członków rodziny, którzy zechcą mnie ocalić. Zawsze można mieć nadzieję.

Następnego poranka coś mnie obudziło. Dzwonek do drzwi. Niestety, zanim się zorientowałam, co się dzieje, zdążyłam już rzucić budzikiem przez cały pokój i teraz nie mogłam zobaczyć, która godzina. Powłokłam się do drzwi w piżamie i otworzyłam je. Na korytarzu stała Alexa z dwoma matami do jogi, ubrana w obcisłe spodnie i podkoszulek.

- Dzień dobry, Lizzie. Pomyślałam sobie, że udzielię ci darmowej lekcji jogi. To bardzo ważne, aby odpłacić

dobrocią za dobroć. Poza tym przyszło mi do głowy, że przyda ci się mała medytacja.

Przetarłam oczy i ziewnęłam. Tak naprawdę przydałaby mi się dodatkowa godzina snu.

- Która godzina? - Próbowałam otworzyć oczy, ale moje powieki były sklezione jakimś tajemniczym elfim pyłkiem.

- Szósta trzydzieści. Możemy ćwiczyć razem trzy razy w tygodniu, przed twoim wyjściem do pracy, co ty na to? Dla mnie to żaden problem, ponieważ sama zazwyczaj ćwiczę o tej porze i nie mam nic przeciwko uczeniu cię przez kilka tygodni. Potem będziesz mogła robić to sama, zgodnie z moimi wskazówkami. Powiedziałaś mi kiedyś, że nie masz pieniędzy, żeby zapisać się na siłownię, a joga, tak czy siak, będzie dla ciebie najlepsza.

Alexa wmaszerowała do mojego mieszkania i rozłożyła maty. Potem zasiadła w pozycji lotosu i zamknęła oczy. Spojrzałam na nią. Czy nie mogłabym po prostu obserwować?

- Kochana, musisz włożyć na siebie coś wygodnego i rozciągliwego. - Otworzyła oczy. - Masz coś z lycry? - Potrząsnęłam niemrawo głową. - Nie szkodzi. Ta piżama jest w sam raz.

Niechętnie usiadłam na wolnej macie i skrzyżowałam nogi.

- To doskonałe miejsce do ćwiczenia jogi, Lizzie. Przyjemna, otwarta przestrzeń.

Alexa zademonstrowała mudrę (coś, co najwyraźniej powinnam zrobić z moimi palcami podczas siedzenia).

- Mój szef ma swoją własną mudrę, której używa codziennie.

Zachichotałam, demonstrując wyciągnięty środkowy palec, ale mój żart nie został doceniony, więc przestałam się śmiać, zrobiłam, jak mi kazano, i zaczęłam ją naśladować. Była to rozsądna decyzja, zważywszy bowiem na ogrom bólu, jaki sprawiało mi samo siedzenie ze skrzyżowanymi nogami, w najbliższym czasie mo-

głęboko potrzebować pomocy wszystkich guru, do których miałam dostęp.

Tego dnia przybyłam do biura punktualnie o ósmej trzydzięci. Miałam nawet wystarczająco dużo energii, aby przeczytać jeden ze scenariuszy Victorii nad kubkiem chai latte w Coffee Bean. Czułam się bardzo dobrze i w podskokach wbiegłam do gabinetu Scotta, aby położyć na biurku najnowszą korespondencję. Na piętrze nie było jeszcze nikogo, ale zauważyłam, że drzwi do gabinetu były leciutko uchylone. Zazwyczaj sprzątacze zamykają je wieczorem i dopiero Lara lub ja otwieramy je następnego dnia, nad ranem. Pchnęłam je powoli, myśląc, że może Scott spędził tu całą noc po jakiejś kłótni z Mią. Nie byłam przygotowana na widok schowanej za biurkiem ciemnowłosej głowy. W pierwszej chwili przeraziłam się okropnie, pomyślałam bowiem, że oto przyłapałam Scotta na gorącym uczynku z jedną z jego kochanek. Kiedy jednak odchrząknęłam, głowa intruza wychynęła zza biurka niczym diabełek z pudełka. To był Ryan. Kompletnie zaskoczona, potrafiłam tylko patrzeć się tępo, kiedy ruszył w stronę drzwi, niemal przewracając mnie po drodze.

- Ty głupia krowo! - rzucił z nienawiścią. - Zawsze przychodzisz nie w porę - i już go nie było.

Podeszłam oszołomiona do biurka Scotta i sprawdziłam, czy Ryan nie zostawił czegoś po sobie - na przykład wyjaśnienia, co do diabła tutaj robił. Niczego nie brakowało, ale ktoś zdecydowanie buszował w papierach Scotta. Poza tym wyglądało na to, że Ryan próbował włamać się do szuflady z dokumentami. Na szczęście Scott poprosił mnie dwa tygodnie temu, żebym zabezpieczyła ją dobrym zamkiem. Często dostarczano mu narkotyki w manierze Beverly Hills - bezpośrednio do biura, przywożone przez jasnowłosą kurierkę na motocyklu. Nigdy nie widziałam takiej akcji, ale Lara powiedziała, że trawka przychodziła w próżniowo zamykanych torebkach ze znakiem firmowym dealera na specjalnej naklejce. Scott potrzebował na to bezpiec-



nej kryjówki, zorganizowałam więc ślusarza, który założył w gabinecie specjalną metalową szufladę z zamkiem. Klucz do niej miał tylko Scott.

Wróciłam na swoje miejsce i z wielką niecierpliwością czekałam na przybycie szefa. Wreszcie nadszedł dzień odpłaty Ryanowi i nawet nie musiałam w tym celu spiskować. Nie było absolutnie nic złego w poinformowaniu Scotta o tym, co widziałam. Właściwie to i tak nie miałam wyboru. Jeśli zdecydowałabym się zatrzymać tę informację dla siebie, tym samym okazałabym się nielojalna wobec przełożonego. Zastanawiałam się, czy Ryan ma problem z narkotykami. Może ktoś powiedział mu, gdzie Scott trzyma swoje skarby i próbował urwać dla siebie działkę? Agencja była jak Ministerstwo Plotek, dlatego zupełnie by mnie to nie zdziwiło. Tylko dlaczego w takim razie nigdy od nikogo nie słyszałam o uzależnieniu Ryana?

Mój raport o dzisiejszym odkryciu zdecydowanie zrobił wrażenie - tyle że nie takie, jakiego się spodziewałam. Byłam przekonana, że na wieść o próbie włamania się do szafki przez Ryana, Scott wybiegnie wkurzony z gabinetu i zażąda od Daniela, aby zwolnił tego oślizgłego złodziejzaka. Zamiast tego uśmiechnął się i gestem nakazał mi zamknąć drzwi.

- Lizzie, czy wspomniałaś Ryanowi, że zamierzasz mnie poinformować o tym incydencie?

Zamrugałam. Nie była to reakcja, jakiej oczekiwałam.

- Nie. Nie w pierwszej chwili, ale nie boję się przed nim przyznać, że na niego doniosłam, jeśli o to ci chodzi.

- Jak sądzisz, czy mógł pomyśleć, że nie opowiesz mi o tym zajściu? To znaczy, może Ryan przypuszcza, że za bardzo go szanujesz lub za bardzo się go boisz, aby zrobić coś takiego?

Scott wyglądał poważniej niż kiedykolwiek. Zastanowiłam się przez chwilę, żeby jak najuczciwiej odpowiedzieć na jego pytanie.

- Niestety, spokojnie mógł uznać, że się go boję. Od samego początku był dla mnie okropny. Pracuje dla Da-

niela, który mnie tu zatrudnił. Uwielbia mnie tyranizować i robi to, kiedy tylko ma okazję, dlatego z dużym prawdopodobieństwem mógł założyć, że nic ci nie powiem, próbując w ten sposób wkupić się w jego łaski - powiedziałam.

- Uważam, Lizzie, że Ryan nie zostawi tej sprawy w spokoju. Jeżeli spyta cię, czy opowiedziałaś mi o dzisiejszym zajściu, odpowiedz, że o niczym nie wspomniałaś ani słowem. Postaraj się go przekonać. Poćwicz przed lustrem, jeśli musisz. Nie zamierzam rozmawiać o sprawie z Danielem.

- Ale czy on nie powinien się dowiedzieć? Może Ryan jest złodziejem i jego też okrada?

- Lizzie, Ryan nie jest złodziejem. To wszystko, co powinnaś wiedzieć, jasne? Oficjalna wersja jest taka, że przybyłaś do biura o dziewiątej i nie zauważyłaś niczego szczególnego.

Kiwnęłam posępnie głową i wyszłam z gabinetu.

Resztę dnia spędziłam, podskakując nerwowo na widok mojego własnego cienia. Cały czas spodziewałam się, że za plecami wyrośnie mi Ryan, przybyły z misją ocalenia własnego tyłka. Naprawdę nie miałam żadnych skrupułów, żeby mu zełgać. Nie musiałam nawet ćwiczyć przed lustrem. Oczywiście, że wolałabym zadzwonić do niego i powiedzieć, żeby zabierał stąd swój oślizgły tyłek, ponieważ Scott i policja w LA chcą go zaaresztować za wkroczenie na teren prywatny i usiłowanie kradzieży. Poprawiłoby mi to samopoczucie sto razy bardziej niż godzina jogi.

Cokolwiek planował Scott, byłam pewna, że Ryanowi się nie upieczę. Martwiła mnie jedynie perspektywa ujżenia zadowolonego uśmiechu na gębie Ryana, gdy mu oświadczę, że nie powiedziałam o niczym Scottowi. Choć będzie to kłamstwo w żywe oczy, on nigdy się tego nie domysli. Wyjdzie po prostu z założenia, że zadziałała taktyka onieśmielenia, a jego wysoka pozycja głównego dupowłaza Daniela powstrzymała mnie przed doniesieniem o sprawie mojemu szefowi. Natychmiast

uzna to za swoją atutową kartę. Jeżeli jednak mądrze to rozegram, będę mogła zasugerować, że wyrzuciłam mu przysługę, a nie po prostu wycofałam się ze strachu przed nim. Wtedy mogłabym ocalić twarz i jednocześnie wypełnić polecenie Scotta.

Tak, powiedziałam sobie, myjąc ręce w łazience. Właśnie tego potrzebuję. Muszę pójść na górę i zobaczyć się z Ryanem, zanim on znajdzie mnie. Powiem, że przed chwilą ocaliłam jego tyłek. Dzięki temu zawrzemy chwilowy pakt o nieagresji. Nieważne, jak fałszywe będą jego przesłanki, dość, że zyskam nieco ciszy i spokoju. Poza tym, jak to mawia moja mama, najwięcej much łapie się na lep (choć nie sądzę, aby potrafiła sobie wyobrazić tak odrażającą istotę jak Ryan).

Wracając korytarzem do biura, rozważałam, co dokładnie powinnam powiedzieć Ryanowi, i nagle uświadomiłam sobie, że nigdy nie przestałam być politykiem. Może właśnie przerabiałam aferę Iran - Contras w wersji hollywoodzkiej. Tylko kto w takim razie był Reaganiem? A co ważniejsze, kto był Poindexterem i Olliem Northern? Gryząc końcówkę ołówka, zdecydowałam, że pozostawię analizę tego problemu na następne spotkanie z doktor Vance. Teraz musiałam wymknąć się z biura na lunch, żeby zebrać siły przed wycieczką do biura Daniela i odegraniem swej roli w dramacie, w którym byłam jeszcze niczego nieświadomą statystką.

## 16

*Wznoszę się coraz wyżej i nikt nie ściąga mnie w dół.*

Lana Turner jako Lora Meredith (*Zwierciadło życia*)

W niedzielę rano wstałam z łóżka z prędkością mocno zniedołężniałego zółwia. Bardzo nie chciałam iść na wycieczkę do Fryman Canyon. Pragnęłam zostać w łóżku i jeszcze trochę pospać.

- O nie... - wymamrotałam zaraz po przebudzeniu, z twarzą ukrytą głęboko w poduszce.

Może zadzwonić do Jasona, zbesztać go za złożenie mi wczoraj takiej niemoralnej propozycji i umówić się o jakiejś przyzwoitszej godzinie? Tak właśnie należy zrobić! Wyciągnęłam rękę spod kołdry w poszukiwaniu komórki, która powinna leżeć na szafce nocnej tuż obok mnie. Halo, telefoniku?!

Nie było go tam. Został w torebce, która leżała na krześle w kuchni. O jeden pokój za daleko. Schowałam z powrotem rękę pod prześcieradła i zawyłam jak ranne zwierzę.

W końcu jednak poczucie winy kazało mi wstać i, wlokąc ręce po ziemi niczym wczesny *Homo sapiens*, poczłapałam do łazienki. Niestety, w przeciwieństwie do tego, co twierdzą dziewczyny z reklam, grejpfrutowy żel pod prysznic, który obficie na siebie wylałam, nie obudził moich zmysłów. Podobnie jak stanie pod kłującymi strugami gorącej wody. Prawdziwą ostrogą, starym jak świat bodźcem do ocknięcia się i pobudzenia dalszej chęci ży-

cia była żądza zemsty. A może po prostu gniew, który trawił mnie od piątku i objawiał się w snach tak brutalnie, że nad ranem musiałam sprawdzać, czy przypadkiem nie mam siniaków?

Usiłując niezgrabnie obmyć twarz wilgotną ściereczką, przypomniałam sobie twarz Ryana, kiedy wyłuszczyłam mu moje małe kłamstwo. Uśmiechnął się tak wyniośle i z takim samozadowoleniem, że natychmiast zapragnęłam go uderzyć, nawet za cenę zabrudzenia białych mankietów mojej bluzki jego pomarańczowym makijażem.

Myślałam, że będzie to chwila mojego triumfu i początek tymczasowego paktu o nieagresji. Tymczasem nastąpił moment czystej degradacji. Zamiast przyjąć mój gest dobrej woli jako coś w rodzaju gałązki oliwnej i okazać wdzięczność jak normalny człowiek, Ryan uznał to za kolejne pawie piórko w jego kapeluszu. Umierałam z chęci powiedzenia mu prawdy o makiażowym płaniu, w którego realizacji brałam udział, ale wtedy straciłabym pracę. Instrukcje Scotta były bardzo wyraźne, ja zaś zgodziłam się je wypełnić. Gdybym tylko wiedziała, jak przykrą rzeczą będzie pozwolić Ryanowi myśleć, że pociąga za moje sznurki niczym władca marionetek! Wrzałam gniewem. Strasznie chciałam go zapytać, czy używa płynnego podkładu od Bobbi Brown, czy też woli Chantecaille Real Skin. Ze wszystkich sił pragnęłam nakryć go w sobotni poranek w salonie manikiuru. Chciałam opowiedzieć wszystkim, że raz przyłapałam go na oglądaniu z aprobatą własnego tyłka w lustrze windy. Marzyłam o odkryciu pisemnych dowodów na to, że Ryan prenumeruje czasopismo „InStyle”. Chciałam go zabić.

W rzeczywistości jedynym sposobem na to, aby zerwać z jego twarzy ten obrzydliwy uśmiezek, był mój natychmiastowy awans albo wyrzucenie go z pracy, co, niestety, z różnych przyczyn nie miało nastąpić w najbliższym czasie. Pozostało mi tylko spojrzeć na niego z czterdziestego piętra, a potem zaraz spuścić wzrok

i oblać go pogardą (ponieważ nigdzie na podorędziu nie było gorącej smoły i pierza). Dzisiaj, stojąc pod prysznicem, zrozumiałam, że z braku średniowiecznych narzędzi tortur będę mogła ukarać Ryana tylko wtedy, gdy podpiszę kontrakt na *Zakochanych seksoholików* i to taki, o którym będą trąbiły wszystkie nagłówki gazet. Kontrakt, dzięki któremu z niepewnej posady drugiej asystentki Scotta Wagnera płynnym ruchem przejdę na stanowisko niezależnej producentki. Będę miała własne biuro, umowę ze studiem filmowym, Ryan zaś będzie musiał zamówić dla mnie bukiet gratulacyjny w imieniu Daniela. Nie wspominam już o rodzinnych relacjach między mną a Danielem Rosenem. Mój sukces potraktuje niczym dumny ze swego dziecka ojciec i umówi się ze mną na lunch, natomiast Ryan będzie mógł tylko zgrzytać zębami po nocach z bezsilnej wściekłości i zyska jedynie tyle, że wykosztuje się na stomatologa i higienistę.

- O tak!

Wysłałam spod prysznicza, czując nagły przypływ sił. Potem zaś zorientowałam się, że nie mam się czym wytrzeć. W domu był tylko jeden ręcznik, który cichutko wegetował sobie w kącie, porastając pleśnią. Od przyjazdu do LA nie wyprałam go jeszcze ani razu, był bowiem biały i musiałabym włożyć go do pralki osobno. W obliczu tej małej komplikacji wytarłam się dłońmi. Poczulałam nowy przypływ nadziei.

- O tak! - powtórzyłam.

Razem z Jasonem osiągniemy nasz wspaniały cel. Nawet jeśli w tym celu trzeba będzie pójść na wycieczkę. W tej chwili byłam gotowa wspiąć się choćby na Kili-mandżaro. Albo na Mount Everest. Jeśli zajdzie taka potrzeba, to dojdę do celu, nawet w samych skarpetkach.

Wepchnęłam do ust kęs tostu i zabrałam się do układania kolażu „Najbardziej Inspirujących Kobiet Hollywoodu”. Wyciągnęłam z kosza na śmieci plik branżówek i po krótkiej chwili odnalazłam to, czego szukałam. „Hollywood Reporter” z listą Stu Najpotężniejszych Ko-

biet w Branży Rozrywkowej. Nie obchodziło mnie, że gazetę przystrajała stara skórka od banana. Po prostu wytarłam brudne smugi rękawem piżamy. Na zdjęciu z okładki, w feerii kolorów (tak naprawdę to było tam dużo czarnych kostiumów i jedna plama różowej koszulki, tak dla równowagi) widniało osiem najbardziej liczących się zawodniczek w branży filmowej.

Na okładce zapewne miało się znaleźć dziesięć kobiet, ale dwie były zbyt ważne, żeby pojawić się na sesji zdjęciowej. Kiedy przyjdzie moja kolej, będę jedną z tych dwóch „nieobecnych”. Wszystkie czarne kostiomy pojawią się grzecznie w studiu, natomiast ja w tym czasie będę na planie zdjęciowym w Pradze; opatulona w owczą skórę, ze styropianowym kubkiem pełnym czeskiej kawy, rozmawiając z reżyserem o budżecie *Zbrodni i kary*. Egzemplarz „Hollywood Reporter” wylądował na biurku Ryana z tąpnięciem głośniejszym niż uderzenie jego szczęki o podłogę, gdy przeczyta o mnie w nagłówkach. W dodatku nie będzie nawet mógł dorysować wąsów na moim zdjęciu.

Ostrożnie wycięłam z okładki fotografie owych wszechmocnych istot płci żeńskiej. Wzmianki twierdziły, że niemal każda z nich godziła prowadzenie studia lub sieci radiowo-telewizyjnej z wychowywaniem trójki dzieci. Uznałam, że moje piesze wycieczki nie prezentują się przy tym najgorzej. Niemal każda Tytanka Hollywoodu deklarowała, że codziennie przez dwie godziny, tuż przed świtem, uprawia jogę. Górskie spacerowanie powinny wypełnić lukę w części ankiety, która traktowała o sposobie na odstresowanie: „Wstaję o szóstej każdego poranka i przez trzy godziny spaceruję po Fryman Canyon. Świat o tej godzinie wygląda po prostu przepięknie. Poza tym, wycieczki utrzymują mnie w formie, rozluźniają i dają zastrzyk energii oraz natchnienie na cały dzień”.

Siedziałabym tak w nieskończoność, śniąc na jawie o zajęciu piątego miejsca na liście Najpotężniejszych Kobiet Świata (tuż za dyrektorką działu rozrywki w sie-

ci Fox Broadcasting). Zerknęłam jednak na zegarek i zorientowałam się, że nie zostało mi zbyt wiele czasu. „Sekrety sukcesu” będą musiały poczekać - może nawet do chwili, gdy rzeczywiście coś osiągnę. Chociaż nie - odłożenie tego na później będzie jak wypuszczenie konia z zagrody, a następnie zamknięcie mu przed nosem wrót stajni? Chyba lepiej, jeśli zawczasu wszystko sobie ustalę.

Wyciągnęłam granatowy płaszcz - jedyną goratek-sową rzecz, jaką posiadałam - i postanowiłam, że z braku laku pożyczę sobie czyjeś inne „Sekrety sukcesu”. Tyle że były one zazwyczaj zbyt długie, żeby zapisać wszystko na grzbiecie dłoni, wybrałam więc tylko jeden element: Pasję. W którymś momencie wszyscy wymieniali pasję jako nieodzowny element sukcesu. Poza tym, dzięki Bogu, akurat ten element nie będzie wymagał ode mnie uczęszczania na kursy wieczorowe.

- Przepraszam za spóźnienie. Nie miałam pojęcia, że o tej porze dnia na Hills będzie taki korek - rzuciłam, podbiegając truchtem do drewnianej furtki, na której przycupnął Jason. Za jego plecami widniała stroma ścieżka w górę.

- Powiniennem cię uprzedzić. Tłum śniadaniowy, fanatycy siłowni, właściciele psów w drodze na poranny spacer.

Jason obdarzył mnie krótkim, przyjacielskim uściskiem. Nie wyglądał na wkurzonego. Gdyby mi ktoś każał czekać na siebie czterdzieści minut, zdenerwowałabym się okrutnie.

- No dobrze. Co teraz? - spytałam żwawo, starając się odwrócić uwagę od mojego spóźnienia.

- Teraz idziemy na wycieczkę.

- Wycieczkę. Aha. Zatem chodźmy.

Jason zwinął „LA Times”, który przed chwilą czytał, i wstał.

- O mój Boże - powiedziała zaskoczona, zatrzymując się w miejscu.

- Co się stało?



Otworzył bramkę i przytrzymał ją, żeby mnie przepuścić. Ja jednak ani drgnęłam.

- Nic takiego. Po prostu jesteś... wysoki - stwierdziłam.

- Właściwie mam tylko metr osiemdziesiąt, ale przez traperki wydaję się wyższy. - Wyglądał na nieco zażenowanego.

- Nie, nie o to chodzi. Po prostu chciałam powiedzieć... - Zaczęłam żałować, że w ogóle otworzyłam usta. To nie była randka, tylko spotkanie w sprawach zawodowych. Nie chciałam, żeby pomyślał, że lubię (albo nie) jego wygląd, bo tak naprawdę nie miało to znaczenia. Twarz Jasona przybrała kolor keczupu. Prawdopodobnie przestraszył się, że uznałam to spotkanie za randkę. Rany gościa! - ...chciałam powiedzieć, że pierwszy raz widzę twoje nogi. To znaczy we właściwy sposób. - Lizzie, jak możesz!!!

- T a k ? A h a ...

Biedny facet.

- Po prostu zawsze oglądałam cię tylko od pasa wzwyż, bo resztę zasłaniałada. Chyba jeszcze nie widziałam cię całego. No, może raz w kawiarni, ale tylko przez kilka sekund, więc właściwie to się nie liczy. Może i metr osiemdziesiąt to niewiele, ale naprawdę wyglądasz na o wiele wyższego niż zazwyczaj.

- Rozumiem. - Teraz już był szczerze przerażony.

Zgarbiłam się i skurczyłam pod moją brzydką goreteksową kurtką.

- J a s o n , przepraszam. Po prostu byłam zaskoczona. Naprawdę zaskoczona. Nie to, że się w tobie z miejsca zakochałam. Ucieszyłam się tylko, że masz nogi. I w ogóle jesteś w komplecie. Rozumiesz?

Pewnie uznał mnie za tak żalosną, że zmusił się do potaknięcia. Poklepał mnie po plecach na tyle mocno, aby udowodnić mi, iż nasze spotkanie rzeczywiście nie jest randką, tylko biznesem. Przy okazji jednak spowodował, że język cofnął mi się gwałtownie i na chwilę mnie zadławił. Zastanawiałam się, czy istnieje społe-

czeństwo, w którym tego typu nieporozumienia mogłyby być postrzegane jako pomyślny początek spotkania zawodowego. Poza, oczywiście, ciemnym światkiem satanizmu, który zresztą był kultem, a nie prawdziwą wspólnotą.

Powędrowaliśmy piaszczystym północnym zboczem, tak stromym, że mogło równie dobrze być częścią góry Eiger. Chciałam powiedzieć Jasonowi, że mam niezbyt dobrą kondycję. Właściwie to w ogóle nie miałam kondycji. Po namyśle jednak nie zrobiłam tego. Przyszedł czas na ujawnienie moich „Sekretów sukcesu”. Skradzionych i skróconych, to prawda, musiałam jednak ratować naszą znajomość zawodową, nawet jeśli jeszcze się na dobre nie zaczęła.

- Istota tkwi w pasji - wydyszałam, pokonując zakręt. Przed sobą zobaczyłam kolejne wzniesienie, o bardzo znacznym stopniu nachylenia.

- Uhm - rzucił wyczekująco, najwyraźniej z lekką trwogą myśląc o dalszym ciągu.

- Takiemu projektowi trzeba się poświęcić z pasją. A ja naprawdę kocham twój scenariusz - ciągnęłam i potykając się, próbowałam za nim nadażyć.

- To naprawdę super. Wiesz, nikt inny jeszcze tego nie czytał. Nie jestem pewien, dlaczego dałem to najpierw tobie. - Spojrzał na mnie z zastanowieniem. - Po prostu czułem, że tak będzie dobrze i teraz cieszę się, że tak się stało. Nie znam cię dobrze i nie wiem, co robiłaś przedtem, ale radzisz sobie w Agencji naprawdę doskonale. Myślę, że będzie z ciebie bardzo dobra producentka.

- Odjazdowo - odpowiedziałam. Powinnam się szkolić w slangu ludzi sukcesu.

- Od czego zaczniemy? - spytał Jason, gdy wspięliśmy się na szczyt, skąd rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na Hollywood.

Przyszło mi do głowy, że określenie „zapierający dech w piersiach” zostało wymyślone setki, a może tysiące lat temu przez kogoś równie pozbawionego kondy-

cji, jak ja, w bardzo podobnej chwili. Szczyt wzgórza i widoczna stamtąd panorama owej niesprawnej osobie skojarzyła się przede wszystkim z brakiem oddechu po nadmiernym wysiłku. Stąd „zapierający dech w piersiach” widok. Oczywiście, nie mogłam być pewna, czy rzeczywiście tak było, ale w tej chwili, gdy świeża dawka tlenu zaczęła powoli docierać do zmęczonych mięśni i przyduszonego mózgu, uznałam to za całkiem rozsądną teorię. Niezależnie od genezy owego wyrażenia, rozciągający się przed nami widok był absolutnie wspaniały, a przy okazji stał się dobrym pretekstem do krótkiego odpoczynku.

Po jednej stronie widniała Valley, ciągnąca się aż do Malibu. Niebo miało mlecznoniebieską poranną barwę. Osłoniłam dłonią oczy przed światłem słonecznym. Choć były spowite mgłą, dostrzegałam w dali zarysy niskich rancz. Do lat osiemdziesiątych należały one do społeczności hipisów, a potem wprowadzili się tu ludzie bogaci i nowomodni, wypełniając dzielnicę prywatnymi basenami. Po drugiej stronie rozpościerał się widok na Canyons i coś, co wyglądało jak domy Franka Lloyda Wrighta, przycupnięte wysoko na skarpach. W 1930 roku gwiazdy filmowe przechadzały się w owych ustronnych okolicach, wokół rezydencji z białymi ścianami i szklanymi drzwiami, z kieliszkiem martini w dłoni, i zastanawiały się pewnie, czy to jest właśnie „to”. Można żyć w najwyższym położonym domu w Hollywood, a mimo to być dalej od Boga niż kiedykolwiek.

- Ja już swój wybrałem - odezwał się Jason, gdy wpatrywałam się w owe ekskluzywne pustostany. Wskazał palcem na Laurel Canyon. - Jest za tamtym wzgórzem. Kiedyś należał do reżysera niemych filmów. Za każdym razem, gdy rodziło mu się dziecko, dodawał aneks do posiadłości. Teraz cały dom wygląda, jakby wspinał się spiralą ku szczytowi. Całość otacza żywopłot z szaławii krzewiastej. Wszystko jest trochę zaniedbane, ale byłem tam kiedyś na proszonym obiedzie i z miejsca się zakochałem. Mają fantastyczny kominek.

- Ja chyba chciałabym mieszkać nad oceanem - powiedziałam, myśląc o domu Jake'a Hudsona i cudownym wieczorze, jaki tam spędziłam. Wciąż trochę mnie bolała myśl o tym, jak szybko Jake o mnie zapomniał. Nie mogłam jednak zająć się teraz rozpamiętywaniem smutków. - Musimy poważnie zająć się twoim projektem - oświadczyłam, odrywając się od widoków i koncentrując na szlaku przed sobą.

Słońce niedawno weszło nad horyzont i powietrze wciąż było dosyć rześkie. Pod naszymi stopami piasek ustąpił miejsca leśnemu poszyciu, pokrytemu odłamkami kory, pachnącej niczym najbardziej luksusowy płyn do kąpieli, jaki można dostać w tych małych modnych sklepikach na Melrose. Nic dziwnego, przecież w końcu byłam w LA. Tutaj nawet powietrze miało kosztowny, ekskluzywny zapach.

- Mój sąsiad z naprzeciwka studiował na Uniwersytecie Kalifornii Południowej. Powiedział, że może nam opracować budżet. Poza tym ma program *Movie Magic* - wyjaśniłam Jasonowi, gdy ruszyliśmy w dalszą drogę.

- Czym się zajmuje? Może go znam.

- Myje samochody w Paramountie, a nocami pracuje jako barman u „Jonesa”. Ma na imię Peter.

- Super - pokiwał głową Jason w rytm własnych kroków.

Wyraźnie zwracał uwagę na to, co mówię. Było dla mnie dość niecodzienne doświadczenie, przynajmniej ostatnimi czasy. Co zabawniejsze, wzbudziło to nieco moją nerwowość, kiedy bowiem otaczających cię ludzi nie obchodzi, co mówisz, zaczynasz się wreszcie zastanawiać, czy aby na pewno masz do powiedzenia coś wartościowego. Jason wciąż wydawał się zainteresowany, skorzystałam więc z okazji i ciągnęłam:

- Uważam jednak, że najpierw musimy znaleźć ci agenta. Musimy zdobyć jakieś pieniądze, nawet jeśli to film niskobudżetowy. Poza tym, jeśli zdobędziesz reprezentację, będziemy mogli zabrać twój scenariusz do kilku pomniejszych wytwórni. Co o tym sądzisz?

- Dałbym się zabić za agenta. - Jason roztrzącał poszytacie czubkami butów. - Próbowałem już kiedyś... tak naprawdę to setki razy, ale wszyscy mnie odsyłali. Jak to zrobimy?

- Myślę, że mogłabym zapytać kilku młodszych agentów w mojej firmie. Podsunę im scenariusz i zobaczymy, co powiedzą. Aha, żeby wszystko było jasne: nie chodzi ci wyłącznie o sprzedaż materiału na film. Chcesz być również jego reżyserem, prawda?

Musiałam to wyjaśnić od razu. Wiedziałam, że łatwiej mi będzie przepchnąć swój gruby, niewysportowany tyłek przez ucho igielne, niż przekonać jakiegokolwiek rozsądnego sponsora, żeby pozwolił nieznanemu absolwentowi szkoły filmowej wyreżyserować jego własny debiut filmowy. Zwłaszcza że wyżej inkryminowany tyłek należał do ewentualnej przyszłej producentki owego dzieła, co oczywiście oznaczało, iż zawarcie jakiegokolwiek umowy będzie jeszcze trudniejsze. Zwykłą koleją rzeczy, im więcej ludzi podczepiło się do filmu na samym początku, tym bardziej nieefektywny i kosztowny okazywał się cały proces zawierania kontraktu i tym mniejsze stawało się prawdopodobieństwo, że realizacja filmu w ogóle dojdzie do skutku.

- Nie wchodzę w to, jeśli nie będę mógł reżyserować. Wiem dobrze, o czym myślisz, ale nie zrobię tego, jeśli ty nie będziesz producentką. OK? Jestem cholernie lojalny.

- Dzięki. W takim razie mógłbyś po prostu zrobić mnie oficjalnie współproducentką i wysadzić na pierwszym przystanku. Nie obrażę się, tylko powiedz mi to teraz - rzekłam wspaniałomyślnie.

Oczywiście w duchu liczyłam na to, że odmówi. Naprawdę zaczęłam się angażować emocjonalnie w nasz projekt. Typowa kobieta: jedna randka i wpadłam po uszy.

- Nic z tego. Jeśli mówię, że zostajesz, to zostajesz. Zaufaj mi w tej sprawie, Elizabeth. - Zatrzymał się przy fontannie do picia i zaprosił mnie do skorzystania. Po-

chyliłam się i zaczerpnęłam kilka łyków. Smakowała 0 niebo lepiej niż woda Evian. - Jak myślisz, kiedy nam się uda zdobyć agenta?

- Uważam, że musimy być ostrożni w wyborze - mruknęłam, ocierając usta. - Jutro popytam w Agencji i spróbuję coś wymyślić. Wydaje mi się jednak, że do końca tygodnia ktoś powinien połknąć haczyk.

- Świetnie.

Jason pochylił się, aby zaspokoić pragnienie, a ja spojrzałam na kanion. Słońce stało już wyżej i zaczynało się robić gorąco. Myślałam o tym, jak przyjemnie byłoby pojechać teraz na późne drugie śniadanie. Jak na razie zdołałam jakoś przeżyć tę niedzielną wycieczkę o poranku.

- Powinniśmy przedyskutować najpierw kilka uwag, które miałam po przeczytaniu scenariusza. Jeśli chcesz, możemy to zrobić teraz - zaproponowałam.

- Doskonale - Jason ściągnął kurtkę, odsłaniając bardzo sportowy podkoszulek. - Jestem rozgrzany, więc będę bardziej otwarty na wszelkie pomysły. Jeszcze dwanaście kilometrów i może nawet miałbym coś do dodania.

Odwrócił się i znowu klepnął mnie po plecach. Tym razem nie połknęłam języka. Usłyszałam jedynie echo uderzenia rozchodzące się po moim pustym żołądku. Zdjęłam swój gorateksowy płaszcz i pogodziłam się z myślą, że moje marzenia o wyłuszczeniu mu uwag nad szklaneczką organicznego koktajlu i huevos rancheros w Newsroom Cafe spełnią się dopiero za jakieś dwadzieścia kilometrów.

*To jeden z tych dni, o których historia uczy, że należy je spędzać  
w łóżku.*

Louis Calhern jako Wujek Willie (*Wyższe sfery*)

Okazuje się, że ritalin nie jest lekiem przeznaczonym wyłącznie dla hiperaktywnych dzieci. Przepisuje się go również dorosłym, którzy wykazują objawy zespołu nadpobudliwości ruchowej. Podobno pomaga im się skupić. Scottowi zaś dostarczył wiele rozrywki, od kiedy trzy dni temu psychoterapeuta wręczył mu ogromną pomarańczową fiolkę leku. Oczywiście Scott nie byłby sobą, gdyby zastosował się do zalecanej mu dawki. Odkrył, że o ile jeden czy dwa ritaliny dość łagodnie wpływają na skupienie, to dziesięć lub jedenaście pigułek sproszkowanych pomiędzy dwiema kartkami białego papieru za pomocą przycisku do papieru, a następnie wciągniętych przez nos, dawały dużo więcej radości i zauważalnie wzmacniały zdolność koncentracji.

- Dzień dobry, Scott - wetknęłam głowę przez drzwi do jego gabinetu. Była środa rano. - Idę do Coffee Bean. Przynieść ci coś do picia?

- Potrójne espresso - odparł, wpatrując się w komputer.

Szczerze powiedziawszy, byłam zdumiona jego nową wydajnością. Ostatnio spędzał przy komputerze każdą minutę swego czasu pracy. Przychodził do biura przed nami i zostawał, gdy wychodziliśmy wieczorem. Zasta-

nawiałam się, czy w ogóle wracał do domu. W jego gabinecie leciuteńko zalatywało nieświeżością, a popołudniowy zarost Scotta stopniowo przekształcał się w brodę.

- Scott, dobrze się czujesz? - spytałam. Weszłam do środka i usłyszałam znajome klikanie „Texas Hold 'Em”. Na biurku leżały porozrzucane karty kredytowe, prawdopodobnie przygotowane do opłacenia jego małutkiego nałogu. Oczywiście, mówię o kartach, a nie o narkotykach.

- Jak ci leci w grze?

- Spoko - postukał palcem wskazującym w klawisz myszki i zamrugał zaczerwienionymi, suchymi powiekami, nie odrywając wzroku od ekranu. Wycofałam się do biura. Courtney i Talitha siedziały przy biurkach, trzymając w dłoniach kubki z gorącymi napojami, i przeglądały branżówki.

- Czy ktoś rozmawiał z Larą? - spytałam.

Nie było jej od zeszłego tygodnia i za dnia nigdy nie można się było z nią skontaktować. Zawsze dzwoniła w nocy, zostawiając krótkie wiadomości, że boli ją gardło i jutro też jej nie będzie. Nie martwiłam się jednak zbyt, bo Scott nie wykazywał najmniejszego zniecierpliwienia z powodu jej przedłużającej się nieobecności. A ponieważ przeżywał teraz okres wzmożonej aktywności umysłowej i nigdy nie opuszczał swojego gabinetu, nie miałam nic specjalnego do roboty. Może poza odsyłaniem wszystkich interesantów, co było proste, gdy już opanowało się umiejętność kłamania, bez jednoczesnego chowania się pod biurko przed gromem z jasnego nieba. Ostatnio nauczyłam się kłamać w żywe oczy, dzięki czemu stałam się dużo wydajniejszą drugą asystentką, niż mogłabym się spodziewać.

- Ryan widział ją wczoraj wieczorem w Les Deux z jakimś agentem od Williama Morrisa - powiedziała Courtney na tyle głośno, aby wyrwać Scotta z jego pokorowych mrzonek.

- Gdzie jest moje pieprzone espresso? - wrzasnął.



- Już się robi - zaczęłam zbierać się do wyjścia. - Nie sądzicie, że Scott potrzebuje pomocy? - spytałam przy-ciszonym głosem, przysuwając się do dziewczyn. Zazwyczaj pytałam je wyłącznie o godzinę, ale Lary nie było w pracy, ja zaś martwiłam się, że Scott może przechodzić coś w rodzaju załamania.

- Nie, no co ty? - odparła Courtney protekcyjnym tonem.

Natychmiast zapragnęłam wsadzić jej ołówki w nos.

- Wiem, że powinien udać się do „Promises”, ale jak sądzisz: czy to bardzo pilne? Te prochy mogą go przyprowadzić o zawał serca albo coś w tym stylu? - zwróciłam się do Talithy.

- Co on tam robi? - Talitha wyjrzała zza biurka, zapuszczając żurawia do gabinetu Scotta.

- Gra w internetowego pokera. Chyba stracił już kupę pieniędzy.

- I pewnie od trzech dni nie spał ani nie jadł?

- No nie, chyba musiał, nie sądzisz? To znaczy, ja osobiście nie zamawiałam mu żadnego jedzenia ani nie widziałam, żeby spał, ale zakładam, że nie wytrzymałby tak długo. W końcu jest człowiekiem, a nie wielbłądem.

- Scott jedzie na ritalinie, kochana. - Talitha potrząsnęła głową z troską. - To speed. Uspokaja i pomagają się super skoncentrować. Ludzie uzależnieni od speedu potrafią ciągnąć bez przerwy przez trzy dni. Założę się o każdą sumę, że Scottie nie ruszył się stąd od poniedziałku.

- O rany, to straszne! - powiedziałam. Moja małomiasteczkowość objawiła się w pełnej krasie, podobnie jak odrosty koloru „Pierdolniętej myszki” (chwilowo nie stać mnie było na ponowne farbowanie). - Nie dostanie odparzeń od siedzenia, czy czegoś w tym stylu?

- Cóż, jeśli nie przegra wcześniej ostatniego centa lub nie umrze w piątek, wtedy rzeczywiście martwiłabym się o jego odparzenia. Wydaje mi się jednak, że teraz jest to najmniejszy problem.

- Może powinnam zadzwonić do jego żony? - spytałam w panice.

Zajrzałam znowu do gabinetu Scotta, upewniając się, że nie leży z twarzą w klawiaturze. Nie. Wciąż siedział przykuty do ekranu.

- O tak, kochanie, daj mi asa! Daj mi asa! Asa we flopie! Błagam cię, Boże! - krzyczał.

- Jeżeli dotychczas nie zauważyła, że go nie ma, najpewniej nic ją to nie obchodzi - mruknęła Courtney.

- W takim razie może do jego psychiatry? Powinnam do niego zadzwonić? - Nagle uznałam, że nie mogę zostawić Scotta samego.

- Jak uważasz.

Talitha straciła zainteresowanie Scottem, ponieważ w biurze pojawił się właśnie przystojniak z księgowości. Obie z Courtney zaczęły z nim plotkować.

Poszłam do Coffee Bean, gdzie Jason związał się jak w ukropie.

- Hej, Lizzie. Jest coś nowego? - spytał ponad głowami sześciorga klientów. Stałam na końcu lady, by nie usłyszeli mnie pracownicy Agencji, którzy przyszli tu na przedpołudniową kawę.

- Rozmawiałam z kilkoma młodszymi agentami, ale żaden jeszcze nie odpowiedział. Podejrzewam, że przeczytają scenariusz dopiero w ciągu tego weekendu - odparłam.

Tak naprawdę, już tydzień temu wysłałam manuskrypt Jasona do sześciu osób i czułam się lekko rozczarowana brakiem zainteresowania. Wybrałam ich bardzo rozważnie, rozmawiałam z każdym osobiście i myślałam, że zajmą się naszą sprawą nieco zwawiej. Z drugiej strony, wiedziałam, jak długo czasem trwa zabranie się do lektury, dlatego nie uważałam milczenia z ich strony za coś złowieszczonego. Wystarczy, że nasz materiał spodoba się jednej osobie i będziemy mogli startować do wyścigu.

- W porządku. Trzymajmy kciuki. Chcesz coś zamówić? - spytał, zrzucając na ziemię stos papierowych kubków.

- Tak. Potrójne espresso i coś dla mnie, ale zaczekam. Nie chcę, żeby ktoś miał mi za złe wpychanie się do kolejki.

Sądząc jednak po spojrzeniach niektórych klientów, i tak było już za późno. Wszak odciągnęłam uwagę Jasona od przygotowania kawy.

- Tak będzie najrozsądniej - powiedział.

Stanęłam więc na końcu kolejki i zaczęłam się zastanawiać nad Scottem. Moim zadaniem na dzień dzisiejszy powinno być utrzymanie go z dala od ostrego dyżuru. W związku z tym dodałam do zamówienia trzy ciabatty z serem i bekonem oraz dwa koktajle mleczno-owocowe. Musiałam go jakoś dokarmić.

- Spotkamy się później u mnie, żeby omówić najnowszą wersję scenariusza? Zadzwońię do ciebie, to się umówimy - powiedział Jason.

- Jasne. Doskonale - odparłam.

Po niedzielnej wycieczce uznaliśmy zgodnie, że powinniśmy jeszcze raz przeczytać pierwszą wersję manuskryptu i sprawdzić, czy można coś w niej zmienić, żeby fabuła stała się bardziej przejrzysta, uderzająca, emocjonalna i generalnie lepsza. Miałam już przygotowaną listę uwag. Najwyraźniej Jason też. Nie mogłam się doczekać, kiedy zakaszemy rękawy i zabierzemy się do przerabiania. Chciałam poczuć, jak pracują moje producenckie mięśnie.

Zgarnęłam swoje zapasy żywności i pobiegłam radośnie do biura. W Agencji zdobywało się wiedzę w postępie geometrycznym. Nawet zajmując tak niskie stanowisko, mogłam nauczyć się tu więcej, niż robiąc magisterkę na Stanfordzie. To właśnie było wspaniałe w Hollywood: nieważne, gdzie człowiek pracował lub co robił, prędzej czy później musiał się stać ekspertem filmowym. W każdej kawiarni można było usłyszeć o warunkach umów i aranżowaniu kontraktów. W salonie manikiuru również często trafiało się na „Hollywood Reporter”, co na magazyn „People”. Pewnego dnia zaskoczyła mnie kobieta z pralni chemicznej, która podczas segregowania spódn-

czek i spodni opowiedziała mi ze szczegółami o najnowszym kontrakcie filmowym Michaela Baya. Wiedzę o mechanizmach produkcji filmowej przyswajało się przez osmozę. Był to produkt uboczny wizyty u fryzjera. Dodatkowy czas, który poświęcałam na rozwijanie swojej kariery, oglądając stare filmy, czytając o stawkach produkcyjnych i przedzierając się przez magazyn „yenice” sprawiał jedynie, że tym bardziej czułam się jak prawdziwy producent. Tyle z tego miałam, bo realizacja moich planów nie szła mi najlepiej.

- Scott? - Weszłam do gabinetu na paluszkach, niosąc zdobycze z kafejki. - Dobrze się czujesz?

- Mhmmmm - było jedyną odpowiedzią. Podeszłam bliżej do biurka. Dziwne, ale z bliska Scott nie wyglądał tak źle, jak się obawiałam. Był trochę wymęczony, ale jego oczy lśniły pełnią życia.

- Powiedz, jak ci idzie w pokerze? - spytałam, próbując ocenić jego rozmiar zaniku intelektualnego. Stałam z tyłu i zerknęłam ponad jego ramieniem.

- Zlicytowałem jako drugi sześć stów w rozgrywce z dwustudolarową stawką wejściową. W tej rundzie idę na całość - odpowiedział racjonalnie Scott. - Dalej, człowieku! Zaraz skopię ci tyłek.

Postawiłam obok niego potrójne espresso. Wiedziony wskazaniem jakiegoś wewnętrznego radaru, sięgnął po kubek, nie patrząc, i jednym łykiem opróżnił jego zawartość.

- Tak mi rób! O tak! Pieprzone asy na cholernym flopie! - wrzasnął.

Przyjrzałam się pobojuwisku na jego stole, metalicznemu błyskowi tuzina kart kredytowych (dzięki Bogu, nie zaczął jeszcze używać czarnych), pustej butelce po jacku danielsie i do połowy opróżnionemu pojemnikowi z ritalinem.

- Jesteś pewien, że można proszkować te pastylki? - spytałam cicho.

- Jasna cholera! - Scott zerwał się nagle z fotela i przybił mi piątkę. A przynajmniej próbował, ale że by-

łam zbyt powolna, walnął mnie tylko w ramię. - Kto jest mistrzuniem?! Kto jest cholernym mistrzuniem?! - Opadł z powrotem na fotel i obrócił się na nim kilka razy. - Właśnie wygrałem trzydzieści sześć tysięcy dolarów! - obwieścił. - Co mówiłaś, Lizzie?

- Pytałam, czy na pewno powinieneś proszkować te pigułki i wciągać je nosem.

- O tak! Zdecydowanie. Widzisz, to jest tak: leki, które dobrze działają po wciągnięciu nosem, zwykle są łatwe do sproszkowania. Farmaceuci specjalnie tak je przygotowują, żeby łatwiej nas uzależnić. Kim ja jestem, żeby się z nimi spierać? - Chwycił myszkę i lekko nacisnął klawisz. Sekundę później usłyszałam klikanie rozdawanych elektronicznie kart.

- Naprawdę? - spytałam, zastanawiając się, czy powinnam zadzwonić do Daniela albo Katherine Watson. Do kogokolwiek, kto mógłby mi powiedzieć, czy zachowanie Scotta jest normalne. Jak na ćpuna, oczywiście. Cóż, przynajmniej wygrał wreszcie jakąś forszę. Mia się ucieszy.

- Jasne! Zoloft, paxil i lit są pokrywane specjalną powłóczką i nie można się do nich dostać, ale też człowiek nie miałby żadnej zabawy z ich wachania. Z kolei vico-din i percocet łatwo jest sproszkować i co? Niespodzianka! Wywołują uzależnienie. Sama widzisz, to konspiracja. Ja się po prostu dostosowuję.

- Scott, zrobisz mi tę przyjemność i zjesz jedną z kanapek, jakie ci przyniosłam?

- Jasne, złotko. Zostaw je gdzieś tutaj. Zajmę się nimi później.

- Wrócę tu za dziesięć minut i sprawdzę, czy zjadłeś - powiedziała, ale on już mnie nie słyszał. Zaczął wy-rzekać na swojego najnowszego oponenta.

- Ty palancie z Oslo! Ty fiordojebny pożeraczu fok! Gdzie się pchasz ze swoimi płetwami?!

Odepchnął się od biurka w geście frustracji. Zeszłam mu z drogi i wycofałam się z gabinetu. Scott zdecydowanie wyglądał na żywego i chyba dobrze się bawił. Posta-

nowiłam więc dać sobie chwilowo spokój i zamiast się martwić, napisałam zaległy e-mail do siostry.

W sobotę, na wzór pozostałych mieszkańców Los Angeles, postanowiłam oddać się popularnej aktywności rozrywkowej. O siódmej rano zapukała do mnie Alexa. Jej student już wyszedł i chciała teraz, żebym pojechała z nią do Beverly Center. Musiała kupić trochę olejku z krzewu australijskiego, a poza tym wstąpić do „Old Navy”, ponieważ słyszała, że mają tam na wyprzedaży fantastyczne spodnie do jogi.

- Świetny pomysł - odparłam. Przetarłam zaspane oczy i usiadłam, próbując ukryć dziury w mojej flanelowej piżamie w kwiatki. - Muszę sobie kupić coś na dzisiejsze przyjęcie halloweenowe. Nie mam pojęcia, za co się mam przebrać, bo nie mogę sobie pozwolić nawet na maskę Spider-Mana. Czy tutaj ludzie rzeczywiście przebierają się w Halloween?

- Jeszcze jak! Wieczorem całe miasto zacznie się bawić. Mieszkasz w stolicy bezrobotnych aktorów. Zobaczysz dziś tylu ludzi przebranych za ofiary katastrofy kolejowej, że nigdy więcej nie odważysz się wsiąść do pociągu - poinformowała mnie Alexa. - Ja zwykle chodzę na festiwal dyń, ale jutro mam warsztat, więc w tym roku spędzę Halloween w domu.

- Pojedziemy moim samochodem? - spytałam. Najwyraźniej Alexa nie zamierzała udzielić mi żadnych wskazówek co do stroju na dzisiejsze przyjęcie.

- Jasne - rzuciła, przybierając kolejną przeczącą zasadom fizyki pozycję, która, jak przypuszczałam, pochodziła z jogi.

- Fajnie jest mieć przyjaciółkę w tym samym bloku - powiedziałam, starając się przy tym, by nie zabrzmiało to jak kwestia Jennifer Jason Leigh w *Sublokatorce*. - O tak, żeby móc się czasem spotkać i robić razem zwykłe rzeczy. - Trala lała! Na przykład włamać się do czy-

jegoś mieszkania, przebierać się w cudze rzeczy i ukraść czyjegoś chłopaka.

- Jasne - Alexa powiodła palcem po brzegu szklanki i zlizwała resztki różowego soku. - Muszę jeszcze wpaść do Polka Dots i Moonbeams. Mają tam świetne ciuchy... może powinnaś się przebrać za kurę domową z lat pięćdziesiątych? - Uśmiechnęła się i zrobiła kilka wypadów w kierunku drzwi.

- Świetny pomysł. Wezmę prysznic i wstąpię po ciebie za jakąś godzinę - powiedziałam, oddając jej szklankę i modląc się, żebyśmy wpadły na jakiś seksowniejszy pomysł co do mojego kostiumu. - Dzięki za sok.

- *Namaste* - odparła, wychodząc.

Nie miałam pojęcia, co to znaczy, ale na wszelki wypadek się uśmiechnęłam. Miałam przyjaciółkę. Taką, z którą mogłam po pracy wyskoczyć do Beverly Center. Niech mnie ktoś spróbuje powstrzymać przed wyrażaniem radości!

Każda obowiązkowa wycieczka do Beverly Center zaczyna się od drogerii Rexall. Całymi godzinami można tam podziwiać limonkowe, lśniące spinki do włosów, masło kakaowe, a wybór szamponu jest tam równie trudny, jak rozwiązywanie zagadek ludzkiego genomu. Następna w kolejności jest księgarnia Star Books. Należy w niej kupić stertę książek w miękkich okładkach, dzięki którym człowiek staje się biegłyjszy w tematach literackich - nawet jeżeli nowe nabytki dołączają do stosu „nieprzeczytanych” pozycji, z Dickensem na samym dnie i najnowszym Salmanem Rushdim na wierzchu. Tam też należy nabyć najnowsze wydanie magazynu „InStyle”, „People” i jeszcze jedną ofiarę zbyt szybkiego życia - „New Yorkera”. „InStyle”, z cudownymi zdjęciami dokumentującymi wieśniackie śluby i blamaże na czerwonym dywanie, szybko blaknie w słońcu i przesiąka wodą od nadmiernego używania. „New Yorker” z kolei zachowuje niezmiennie poważny i nieskazitelny wygląd, leżąc na stoliku do kawy, dopóki człowiek się nie zorientuje, że połowa opisywanych w nim osób daw-

no już umarła, a wszelkie afery dawno pokrył kurz niepamięci.

Następny przystanek to Old Navy, w celu nabycia kilku nowych sztuk bawełnianej bielizny, która nigdy nie ujrzy światła dziennego na randce, ale pomoże znieść najtrudniejsze dni przeziębienia. Oczywiście trzeba jeszcze znaleźć czas na zakup ubrań codziennego użytku w Gapie i kilku DVD. Wypada także złożyć krótką wizytę w Victoria's Secret, gdzie można zaopatrzyć się w śmiałą, skąpą czerwoną (a jeśli człowiek czuje się wyjątkowo odważny - purpurową lub w „kolorze północy”, jak to nazywają tubylcy) bieliznę z koronkami. I te rzeczy również nigdy nie ujrzą światła dziennego na randce, ponieważ człowiek nie posiada chwilowo życia miłosnego. Może sobie za to poczytać o rzeczonym w magazynie „InStyle”. Rozumiecie już, o co chodzi? Czasem jest to tak skomplikowane, że przyprawia mnie o zawrót głowy.

Zakończyłyśmy wreszcie z Alexą najazd na Beverly Center, podczas którego w akcie desperacji nabyłam drogą kupna obrzydliwie nachalny kostium francuskiej pokojówki. Teraz rozpaczliwie potrzebowałyśmy odpoczynku i doładowania akumulatorów.

- Jamba juice? - spytałam. Wydawało mi się, że dodatkowa porcja echinacei będzie Alexie odpowiadać. Okazało się, że jestem zacofana żywieniowo.

- Kochanie, chyba nie pijesz tego świństwa? - spytała, gdy szłyśmy w stronę samochodu, obładowane siatkami.

- Jest aż takie złe? - chciałam uniknąć bezpośredniej odpowiedzi na jej pytanie.

Jeśli o mnie chodzi, uwielbiałam jamba juice. Nigdy nie wykazywałam skłonności do sadomasochizmu i zawsze ogarniał mnie zachwyt na myśl o napoju z mango czy o smaku masła orzechowego. Kiedy studiowałam menu na ścianie baru, aż mózg mi się przegrzewał od zastanawiania się, co powinnam wybrać; femme boost czy vibrant c-boost? Soki Jamba Juice były dla mnie niczym



ogromny, woskowany kielich rozkoszy. Moim skromnym zdaniem reprezentowały wszystko, co najlepsze w LA.

- Pójdziemy do Urth - powiedziała Alexa z wyrozumiałym uśmiechem. - Mają tam koktajle z prawdziwych owoców. Czyste żywe witaminy.

No tak. Owoce były jedyną „prawdziwą” rzeczą, jaka liczyła się w tym mieście.

- W porządku - wrzuciłam torby z zakupami na tylne siedzenie. - Idziemy czy jedziemy?

- Jedziemy. - Alexa była czystej krwi mieszkanką Miasta Aniołów. Miała usposobienie tak słoneczne, jak tutejsza pogoda, ale na myśl o spacerowaniu gdziekolwiek, z wyjątkiem bieżni lub gór, robiła się chłodniejsza niż zimowy poranek w Waszyngtonie. - Potem przelecimy przez Polka Dots i Moonbeams. Jeśli chcesz, spróbujemy wybrać ci coś na twoją dzisiejszą zabawę.

- Fajnie. - Władowałyśmy się do mojej hondy i pomknęłyśmy w kierunku Melrose.

Caffe Urth jest jednym z moich najbardziej ulubionych miejsc na... Urth, jak przypuszczam. Jest enklawą wszystkiego, co organiczne i przepyszne. Jej słoneczne patio zaś to prawdziwy teren wystawowy dla ludzi, którzy wyglądają zdrowo i dorodnie, niczym niskotłuszczowe babeczki rodzynkowo-otrębowo-miodowe. Tutaj właśnie Los Angeles oddaje się swej ulubionej aktywności - łączeniu pracy z przyjemnością. Pisarze siedzą z ołówkami i laptopami, znajdując natchnienie w świeżo wyciśniętym soku z pomarańczy i kłótni siedzących tuż obok, zrywających ze sobą kochanków. Aktorzy w fałszywych okularach korekcyjnych (podobno dodających powagi) przeglądają skrypty, producenci spożywają późne śniadanie i przez cały ten czas wszyscy obserwują się nawzajem z jawną ciekawością turystów na safari. To kolejne dziwactwo w tym mieście, do którego wciąż jeszcze się nie przyzwyczałam: wszyscy się obserwują. Może to upał wywołuje wrzenie krwi i każe wszystkim szukać partnera, a może po prostu wrodzona paranoja tutejszej populacji, która nie chce przegapić

absolutnie niczego i nikogo, bo może się to okazać sukcesem lub jeszcze lepiej - sławnym człowiekiem. Nie jestem pewna. Kiedy człowiek pojawia się w tym mieście po raz pierwszy, takie wiecznie przyglądanie się jest dość niepokojące. Potem jednak obserwowanie wszystkich wchodzi w krew i szczerze mówiąc, jest fantastyczną sprawą. Pod parasolkami Caffè Urth podglądactwo kwitło w pełni.

Zajęłam stolik, odpierając atak przylepionego do kórnki dyrektora studia (odgadłam jego zawód po głośnych uwagach dotyczących miejsca pracy, hektycznej premiery i programie dnia pełnym gwiazd filmowych oraz o jego pensji, gorszej jedynie od gaży Brada Pitta) z głosem jak karabin maszynowy. Alexa stanęła w kolejce, aby zamówić zupę i sałatkę.

Wystawiłam na słońce blade nogi i odepchnęłam zostawione na stole serwetki oraz umazane pianą kubki po kawie. Nagle ktoś poklepał mnie po ramieniu.

- Elizabeth? Tak myślałem, że to ty - usłyszałam.

Szybko zasłoniłam nogi i odwróciłam się do mego rozmówcy.

- Cześć - próbowałam wstać, ale walnęłam tylko kolanami o krawędź stołu. Usiadłam z powrotem i spojrzałam na Luke'a Lloyda, który znów się do mnie uśmiechał.

- Nie wstawaj - powiedziała. - Jesteś tu sama?

- Nie, właściwie to jestem z przyjaciółką - wyjaśniłam.

Wiedziałam, że powinnam zatrzeć złe wrażenie z psiego parku, kiedy to zachowałam się wobec niego beznadziejnie i niegrzecznie. Nie potrafiłam jednak znaleźć żadnego tematu do rozmowy ani też odpowiednich słów. Byłam do tego stopnia bezradna, że zaprzęgnęłam, aby kelner wylał na Luka kawę, dając mi w ten sposób trochę czasu na zebranie myśli.

- O, to świetnie! - Rozejrzał się, jakby chciał odnaleźć wyżej inkryminowaną przyjaciółkę i w ten sposób przekonać się o prawdziwości moich słów. - Rozumiem, że pozbyłaś się tej głupiej suki?

- Alexy? - spytałam, rozcierając posiniaczone kolano. - Nie, jest w środku. Kupuje zupę i sałatkę.

- Mówiłem o psie. - Spojrzał na mnie z zastanowieniem. Pewnie szukał przejawów normalności.

- Och, Anastasii - pokiwałam głową. - Dzisiaj jestem z nauczycielką jogi. - W tym momencie strasznie się nienawidziłam.

- Doskonale. A jak się miewa Scott? - Mój wspaniały Lancelot przełknął tę głupawą odpowiedź bez zmrużenia powieki.

- Scott? Świetnie. Trochę za dużo gra w pokera, a poza tym odkrył ritalin, co niewątpliwie jest interesującym doświadczeniem, ale generalnie Scott to Scott. - Ciekawe, czy przyznawano Oscary za najbardziej błyskotliwą drugą asystentkę? Zakochaną, śmiem dodać. Drugą asystentkę, beznadziejnie i straszliwie zakochaną w producencie filmowym klasy C? Starał się być miły, niech go Bóg błogosławi, ale w tej chwili pragnęłam, by tego nie robił. Niech mnie zostawi samą z moim tępym mózgiem, żebym mogła wycinać sobie z „Entertainment Weekly” jego zdjęcia na planie najnowszego szlagieru i przyglądać się do woli jego przystojnej twarzy oraz nastroszonej fryzurze. Niech sobie pójdzie i zrobi to, co podobne mu typy zazwyczaj robiły w tym mieście. Niech w końcu przestanie obnosić się w mojej obecności ze swoimi głupimi południowymi manierami.

I wiecie co? Moje ciche modły zostały wysłuchane.

- Hej, Lukey. - U jego boku pojawiła się dziewczyna, najwyżej osiemnastoletnia, z długimi nogami żrebięcia i szerokim uśmiechem z rodzaju, który kochają wszyscy, począwszy od niemowlaków, skończywszy na miliardrach. Miała leniwe spojrzenie kogoś, kto wie, że cały świat należy do niej. Nie cierpię mówić jak stuletnia staruszka, ale jej chemicznie kurczone ubranie było tak mikroskopijnych rozmiarów, że chyba każdy wybaczyłby mi myśl, iż tego poranka w jej mieszkaniu był pożar i musiała się w pośpiechu ewakuować. Na ubranie się zabrakło jej czasu.

- Cześć, kochanie. - Lukę odwrócił się i spojrzął na nią z ukontentowaniem, gdy z siorbaniem upiła nieco soku pomarańczowego z kubeczka. - Znalazłaś nam jakiś stolik?

- No. Jest tam, w cieniu - pokazała miejsce słomką.

- Super. Cóż, Elizabeth, miło było znów cię spotkać. Życzę miłego dnia.

I to wszystko. Wystarczyło pojawienie się jakiejś nieletniej siksy w bawełnianych spodenkach w kratkę i mikroskopijnej dżinsowej sukieneczce, żeby odciągnąć jego uwagę ode mnie i naszej absolutnie fascynującej konwersacji.

- Kto to był? - spytała Alexa, opadając na krzesło obok mnie. Wręczyła mi lemoniadę, do której wrzuciłam cztery łyżeczki organicznego brązowego cukru. Na pocieszenie.

- To? Lukę Lloyd. - Zamieszałam sok, nie spoglądając za siebie. - Jeden z tych zbyt przystojnych, odnoszących zbyt duże sukcesy mężczyzn, którzy igrają z twoimi uczuciami dla sportu.

- Milutki - powiedziała i przestawiła krzesło, żeby go obserwować. - Najwyraźniej jego dziewczyna ma kompleks ojca.

- Naprawdę sądzisz, że to jego dziewczyna? - spytałam, artykułując moje najczarniejsze obawy. - Czy aby nie jest dla niego trochę za młoda?

- Żartujesz sobie? Jest idealna. Ale popatrz na jej ramiona, jakie są zamknięte. Zatrzymuje energię w czakrze Muladhara, nie uwalnia jej. Oznacza to, że jest tygrysią w łóżku, ale nie potrafi się otworzyć na miłość.

- Myślę, że faceci to właśnie lubią najbardziej - powiedziałam, dorzucając do lemoniady kolejną łyżeczkę cukru.

- Tylko ci nieoświeceni - zapewniła mnie Alexa. - A takich, zapewniam cię, nie chciałybyś ich tknąć bez pięciometrowego kija.

Kiedy kelner przyniósł nasze sałatki, pozwoliłam sobie na szybkie spojrzenie w kierunku stolika, przy któ-

rym Lukę słuchał uważnie opowieści swojej nastoletniej narzeczonej. Odwróciłam się z pochmurną miną. Moja euforia zakupowa topniała jak kryształki cukru w lemoniadzie.

- Czy ty przypadkiem troszeczkę się nie zakochałaś? - spytała Alexa, odkroiwszy kawałek wędzonego tofu.

- Nawet bardzo. Jest dla mnie tak cholernie miły, że aż boli. Chciałabym, żeby już sobie odpuścił - wyrzuciłam z siebie.

Nie zdawałam sobie dotąd sprawy z rozmiaru moich uczuć do Luka. Teraz, gdy wreszcie wyszły na światło dzienne, musiałam wyglądać na przerażoną, ponieważ Alexa pogłaskała mnie po ramieniu.

- Nie przejmuj się. Wszyscy mamy uczucia i zawsze jest lepiej, gdy je uzewnętrzniamy, a nie tłumimy w sobie - powiedziała. - Możemy pójść do niego, nawet teraz i porozmawiać z nim, jeśli chcesz.

- Po co? - jęknęłam

- Trzeba mówić ludziom, że się ich kocha - odparła Panna Pocieszycielka. - Skąd wiesz, może on czuje to samo?

- Nie czuje, Alexa. Zaufaj mi. - Spojrzałam znowu na Luke'a i jego Lolitę.

- Kto nie ryzykuje, ten nic nie zyskuje - odparła.

- Wiem, ale to powiedzenie dotyczy tylko sytuacji, w których masz coś do zaoferowania. Ja zaś jak dotąd zachowywałam się w jego obecności jak totalna idiotka. Za pierwszym razem baraszkowałam w basenie mojego szefa, wyposażona wyłącznie w stringi, pożyczony diamentowy naszyjnik i legendarnie obleśnego producenta. Za drugim razem przerwałam Luke'owi lunch i skrytykowałam jego film. Podczas trzeciego spotkania, w psim parku, wylądowałam, wycierając krew wiewiórki z butów, a dziś objawiłam się mu jako beznadziejna nudziara. Nawet jeśli nagle zmieniałabym się w krzyżówkę Miss Kalifornii i naukowca z NASA, przypuszczam, że szkoda została już wyrządzona i nie ma dla mnie żadnej nadziei. - Dramatycznym gestem odsunęłam od siebie zupę. Straciłam apetyt.

- Rozumiem - odparta Alexa z namysem. - Mimo wszystko uważam, że powinnaś się z nim pożegnać.

- Może mu pomacham, kiedy będziemy wychodzić - ustąpiłam, ale tylko ze względów profesjonalnych. Nie mogłam zachowywać się niepoprawnie w stosunku do jednego z przyjaciół Scotta.

- Dalej więc, na co czekasz?

- O co ci chodzi? Przecież jeszcze nie skończyłaś.

Dopiero wtedy spostrzegłam, że Alexa pochłonęła już całą sałatkę z wędzonym tofu. Zdaje się, że joga pobudza apetyt. Ja ze swej strony nie mogłabym przełknąć ani kęsa.

- Ja skończyłam, ty skończyłaś, chodźmy więc powieźć do widzenia.

- Najpierw musimy zapłacić - odparłam.

- Już to zrobiłam, w środku, nie pamiętasz? - Chwytiła torebkę i uśmiechnęła się do mnie. - *Fait accompli\**, Elizabeth. Idź, albo osobiście cię do niego odeskortuję.

Stała, obserwując i monitorując, ja zaś, rzucając jej wściekłe spojrzenia, powlokłam się w stronę stolika, przy którym Lukę Lloyd jadł lody ze swoją małą dziewczyną. Tak bardzo nie chciałam się do niego zbliżyć, że przebyłam całą drogę zakosami. Rozumiecie - nie prosto, jak w pysk strzelił, już prędzej jak zezowaty strzelił. Wreszcie dotarłam na miejsce.

- Hej, Lukę - powiedziałam, ale nie zareagował.

Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności ten sam moment wybrał samochód policyjny, aby przemknąć po Melrose na sygnale. Odchrząknęłam, aby zacząć jeszcze raz, ale zanim wydusiłam z siebie cokolwiek, zauważyła mnie Lolita i szturchnęła Luke'a łokciem w żebra.

- To ta laska, z którą rozmawiałeś - powiedziała przy akompaniamencie cichnącej syreny.

- Co? O, cześć Elizabeth. - Lukę zdjął okulary przeciwsłoneczne i wstał. - Chcesz się do nas przyłączyć?

\* *Fait accompli* (fr.), rzecz dokonana, fakt dokonany, nie do odrobienia (przyp. tium.).

Twoja przyjaciółka się nie pojawiła? - spytał ze szczerą troską w głosie. Najwyraźniej nie przyglądał mi się przez ostatnie dwadzieścia minut swojej tu bytności. Bo wtedy na pewno by zauważył, że moja przyjaciółka zdecydowanie się pojawiła i że obserwowałyśmy go tak intensywnie, jakby był aktorem w filmie pornograficznym.

- Pojawiła się. Jest tam - pokazałam za siebie. - Właśnie się zbieramy i pomyślałam, że przyjdę się pożegnać - unikałam kontaktu wzrokowego z Lukiem, w związku z tym przemawiałam głównie do jego białej, postrzępionej koszulki z krótkimi poszarpanymi rękawkami.

- No to ciao - rzuciła Lolita i rozparła się na krzesło, wyraźnie znudzona.

- Tak... - powiedział Luke.

- No... - kiwnęłam głową, nie ruszając się z miejsca.

- W takim razie, do zobaczenia.

- Jasne. - Chciałam, żeby zabrzmiało to swobodnie, ale czułam się potwornie niezręcznie, a poza tym wcale nie chciałam odchodzić. Jego koszulka zbyt przykuwała moją uwagę. Podobało mi się przebywanie w takiej bliskości Luke'a. Czułam się cudownie, a nie wiedziałam kiedy (jeśli w ogóle) znowu go zobaczę. - No to na razie.

- Na razie.

Uśmiechnęłam się uprzejmie do Lolity, która wyjęła komórkę, protestując przeciwko wciąganiu jej w naszą nużącą konwersację.

- Elizabeth? Mogę cię prosić o poradę w pewnej kwestii? - rzucił szybko Luke.

- Oczywiście - odparłam z ledwo skrywanym zachwytem.

Spojrzał na Lolitę, która gadała przez telefon jak nąjęta. Deliberowała nad nową kolekcją Diora, najpewniej z jakąś swoją nastoletnią przyjaciółką z drugiego końca miasta, która w tej chwili rozpierała się wygodnie na różowej narzucie z piór marabuta, podczas gdy gwiazdor rocka ssał jej śliczne paluszki u stóp. Luke

upewnił się, że Lolita nie może go podsłuchać i przysunął się do mnie bliżej.

- Zastanawiałem się, czy...

No dalej, zaproś mnie na randkę. Zapomnę o dumie. Nie obchodzi mnie, że jednocześnie umawiasz się z kimś innym. Nieważne, że będę tylko twoją środową randką w kinie, podczas gdy ona jest twoją wielką sobotnią przygodą. Zakochałam się w tobie i chwilowo nie mogę się z tego wyleczyć, więc po prostu mnie zaproś.

- Tak? - przysunęłam się do Luke'a, na tyle blisko, aby poczuć zapach jego rozgrzanych słońcem, świeżo umytych włosów.

- ...zastanawiałem się, jaki jest twój ulubiony sklep z obuwem w LA? - zapytał, gdy Lolita roześmiała się zgrzytliwie do słuchawki.

- Mój ulubiony sklep z obuwem? - powtórzyłam, nie przypuszczając nawet, że te, jakże niewłaściwe słowa, mogą zabrzmieć w jego ustach tak uroczo. - Cóż, myślę, że Jimmy Choo. Jest absolutnie cudowny.

Wprawdzie nigdy tam nie byłam, a już na pewno nie posiadałam żadnych butów od Jimmy'ego Choo, ale za każdym razem, gdy przejeżdżałam obok lśniącej wystawy na Cañon, moje serce odrobinę przyspieszało. Nie miałam wątpliwości, że za tymi wielkimi oknami z walcowanego szkła kryła się prawdziwa magia.

- Świetnie - powiedział. - W przyszłym tygodniu są urodziny Scarlett, a ja nie miałem pojęcia, co jej kupić.

- Scarlett? - spytałam, nie rozumiejąc. Nagle mnie oświeciło. Scarlett to imię Lolity. Miała urodziny i Luke zamierzał jej sprawić parę butów od Jimmy'ego Choo. - Ach, oczywiście. Scarlett - zamaskowałam swoje uczucia z wirtuozerią prestidigitatora światowej klasy. - Jestem przekonana, że bardzo się ucieszy.

- Bardzo mi pomogłaś, Elizabeth. Dzięki. Chciałem zapytać o to swoją asystentkę, ale trochę się...

- Wstydziłeś? - pokiwałam głową ze zrozumieniem.

- Wstydziłem? - Luke zmarszczył brwi.

- To rozumiałe - dodałam.



- Zrozumiałe, że wstydziłem się zapytać mojej asystentki, jakie buty powinienem wybrać dla Scarlett? - Wyglądał na zaintrygowanego.

- Ja osobiście jestem dość otwarta na takie sprawy, ale rozumiem, dlaczego nie chciałeś, aby twoja asystentka się dowiedziała. W końcu to chyba nie jest najlepiej widziane w waszym środowisku, prawda? - rzuciłam, zanim zdążyłam się ugryźć w język.

- Co takiego? - Luke wyglądał na trochę zaniepokojonego. - Chyba nie bardzo nadażam.

- Scarlett. Jest bardzo młoda.

- Ma osiemnaście lat - powiedział. Tak po prostu. Boże, był chyba bardziej pozbawiony skrupułów, niż przypuszczałam.

- Jasne. Cóż, mam nadzieję, że spodoba ją się buty od Jimmy'ego Choo. Do zobaczenia. - Zamierzałam odejść, ale Luke przytrzymał mnie za rękę.

- Elizabeth, chyba czegoś nie rozumiem - powiedział. Patrzył mi prosto w oczy, a jego dłoń spoczywała na moim nadgarstku.

- Naprawdę? Boże, przepraszam, Luke. W końcu to nie moja sprawa, z kim się spotykasz. Poza tym jest już w odpowiednim wieku, więc nie ma sprawy - powiedziałam, zastanawiając się, jakim cudem sprowokowałam tę surrealistyczną rozmowę. Chciałam, żeby to wszystko się już skończyło, zanim zostanę wciągnięta w rozmowę o nieletnich panienkach i sklepach obuwniczych z jedynym mężczyzną na świecie, z którym chciałam się trzymać za rękę. Oczywiście poza Clooneyem i jego kolegami.

Przypomniałam sobie, że to wszystko wina Alexy, która teraz prawdopodobnie gotuje się na słońcu, czekając na mnie. Musiałam się stąd wydostać.

- Myślałaś, że Scarlett jest moją dziewczyną?

Niepokój nagle znikł z twarzy Luke'a, zastąpiony przez radosny uśmiech. W tym samym momencie Scarlett skończyła rozmowę ze „Szczęśliwymi Stopkami” i usłyszała koniec naszej konwersacji.

- Myślała, że jestem twoją dziewczyną? - prychnęła głośno w stronę Luka.

- A nie jesteś? - Luke nie mógł przestać szczerzyć zębów z radości.

- Ha, ha, bardzo zabawne - burknęła Scarlett bez cienia uśmiechu.

- Scarlett nie jest twoją dziewczyną? - W tym momencie mogłabym spokojnie zniknąć na tle jaskrawoczerwonej terakoty, którą wyłożone było patio. Czułam, jak wstyd pali moje policzki.

- Scarlett jest moją przyszywaną siostrą - powiedziała Luke i poklepał mnie przyjaźnie po plecach.

Był niezwykle uprzejmy, zważywszy że przed sekundą prawie posądziłam go o pedofilię. Jego wybaczenie nie poprawiło mi nastroju.

- To dobrze. Dla ciebie - powiedziałam. - Naprawdę bardzo cię przepraszam. Pomyliłam się. Do zobaczenia. Kiedyś.

Z tymi słowami zrobiłam to, co wychodziło mi ostatnio nader świetnie: pozostawiłam Luke'a Lloyda zdumionego i prawdopodobnie zaniepokojonego, że dziewczyn takich jak ja nie zaopatruje się w odpowiednie leki, które ułatwiłyby im funkcjonowanie w społeczeństwie.

Wróciłam z Alexą do domu i wycięłam z „Hollywood Reporter” zdjęcie Luke'a z jakiejś imprezy dobroczynnej. Włożyłam je do pamiętnika, gdzie miało pozostać nieoglądane na wieki. Bo od tej pory ilekroć przypominałam sobie o Luke'u Lloydzie, musiałam wrzeszczeć co sił w płucach, żeby zagłuszyć wspomnienie owego okropnego popołudnia.

*Kobieta zakochana w żonatym mężczyźnie nie powinna używać  
tuszu do rzęs.*

Shirley MacLaine jako F'yan Kubelik (*Garsoniera*)

Siedziałam w miękkim pluszowym szarym fotelu range rovera Lary, dłubiąc w oczkach moich kabaretek i dumając nad miotełką z piór. Czułam strach na myśl o czekającym mnie wieczorze. Nastała noc duchów. Miałam na sobie strój francuskiej pokojówki. Lara paliła jak straceniec i słuchała samobójczych kawałków Linkin Parku, a ja, choć bardzo chciałam być jej przyjaciółką i bawić się razem z nią jak przystało na dwudziestolatki, dzisiejszego wieczoru nie czułam się zbyt dobrze. Moją niepewność wzmagala dodatkowo samobójcza jazda Lary. Zaliczyła już kilka krawężników, przejechała kilka skrzyżowań na czerwonym świetle, a teraz prowadziła z jedną ręką (co ciekawsze, nie tą, w której trzymała papierosa) za oknem. Wydawała się nieobecna duchem, niemal pogrążona w katatonii. Będę miała szczęście, jeśli po przybyciu na miejsce przedstawi mnie gospodarzowi, zanim odpłynie w siną dal, zostawiając mnie jak nieproszonego gościa. Nie chciałam jednak być niewdzięczna - w końcu zaproszenie to zaproszenie.

Zaczęłam podejrzewać, że rzucanie głową w takt piosenki było u Lary wyrazem swoistego masochizmu, a nie pasji muzycznej. Miała głębokie cienie pod oczami.

mi i więcej makijażu, niż potrzebowała, nawet jeśli była ucharakteryzowana na zmartwychwstałą, zrekapitowaną Marię Antoninę. Gdy kolejna piosenka dobiegła końca, ściszyłam nieco muzykę.

- Lara, dobrze się czujesz?

- Jasne. Czemu pytasz?

Ani razu na mnie nie spojrzała. Może to i lepiej, prowadziła bowiem wystarczająco nieuważnie.

Nie powinnam w ogóle pytać. Chociaż stawałyśmy się sobie coraz bliższe, wciąż istniała między nami bariera niemal przypominająca Chiński Mur.

- Bez powodu. Po prostu wyglądasz na trochę zmęczoną.

Wzruszyła ramionami.

- Pracowałam nad powieścią. Zaczyna mnie to powoli wykańczać. Muszę po prostu upuścić nieco pary. Zaszaleć. Dzięki, że zgodziłaś się ze mną dzisiaj pójść, Elizabeth. Naprawdę potrzebowałam towarzystwa.

- Nie ma sprawy - odparłam szczerze. Dojechaliśmy wreszcie do pięknej hacjendy w stylu hiszpańskim, która ciągnęła się całymi kilometrami. Najwyraźniej ze względu na liczbę chętnych, imprezę przeniesiono w inne miejsce. Dom zbudowano tuż u podnóża Runyon Canyon. Lara zaparkowała samochód i weszliśmy przez otwarte wrota, w których odziani na czarno osobnicy sprawdzali listę gości. Zapowiadało się tu na najlepsze przyjęcie halloweenowe w tym roku. Łatwiej było się dostać na Treya Parkera. Po prostu pełny luz! Przełknęłam nerwowo ślinę.

Wspięliśmy się po schodach w kierunku wejścia. Lara musiała mnie popychać, czułam się oszołomiona teatralnością tego miejsca. Zupełnie jakbyśmy wstępowały w progi nawiedzonego domu i to bez potrzeby płacenia dolara za wstęp. Z trawnika przed wejściem unosiły się opary, tworząc niesamowity klimat. Zewsząd dobiegał upiorny jęk wiatru. Tu i ówdzie wystawały z ziemi nagrobki z nazwiskami obecnych dyrektorów studiów filmowych i dałabym głowę, że w pewnym mo-

mencie za odległą wierzwą mignęła mi jakaś koścista zjawą. Lara wyglądała na wkurzoną. Ściągnęła pajęczynę z peruki.

- Kurde, to już przesada! - warknęła, gdy zaczęły się uchylać drzwi.

- Daj spokój! Nie sądzisz, że jest świetnie? - Z zabójczego spojrzenia, jakim mnie obdarzyła, wywnioskowałam, że nie podzielała mojego zachwytu.

Wreszcie drzwi stanęły przed nami otworem. Sądziłam, że zobaczę naszego gospodarza, ale nikogo tam nie było. Zadrżałam, gdy wkroczyliśmy do przestronnego, mrocznego holu, niemal pustego, tylko z sufitu zwisało pełno fałszywych pajęczyn. Całość do złudzenia przypominała żyjące własnym życiem mauzoleum jakiejś dawno zgasłej hollywoodzkiej gwiazdy, a nie nawiedzony dom. Wszystko tu było gigantyczne, nawet piaskowe płyty podłogi w holu, który prowadził do schodów żywcem wyjętych z *Bulwaru Zachodzącego Słońca*. Zastanawiałam się przez moment, kto mógłby leżeć pod tymi ogromnymi kawałkami skały.

- Laro, do kogo należy ten dom?

- Nie mam pojęcia, ale jest niesamowity. Chyba kiedyś mieszkała tu Bette Davis albo Myrna Loy. Jeden z moich znajomych jest dekoratorem i o ile wiem, w zeszłym tygodniu podpisał wszystkie dokumenty na renowację tego miejsca.

Później dowiedziałam się od jednego z dobrze poinformowanych gości, że nikt nie mieszkał tu od lat i dom miał zostać kompletnie przerobiony, aby odzyskać dawną świetność. W tej chwili jednak doskonale się nadawał na przyjęcie hałloweenowe. Dodatek w postaci zwisających ze ściany dwumetrowych figur woskowych, przedstawiających zwłoki w różnym stadium rozkładu sprawił, że przysunęłam się bliżej do Lary. Z różnych stron dochodziły ciche głosy, ale nie potrafiłam dokładnie określić, gdzie znajduje się ich źródło, ponieważ oświetlenie było bardzo słabe i wszędzie zwisały czarne ciężkie drapowania. Nagle poczułam, że coś dotyka mo-

jej kostki, a potem nagle z ciemności wytoczyła się głowa. Wrzasnęłam tak głośno, że mogłabym spokojnie konkurować z Janet Leigh podczas castingu do *Psychozy*. Odcięta głowa, ociekająca fałszywą krwią podskoczyła parę razy tuż przed moimi stopami, a potem usłyszałam śmiech dochodzący z holu. Jak na mój gust, niektórzy goście za bardzo wzięli sobie do serca całe to przebieranie. Spojrzałam na Larę i przez chwilę szczerze się zmartwiłam. Schowała się za mną, trzymając mnie kurczowo w pasie, kucając niczym mała dziewczynka.

- Lara, wszystko w porządku?

Spojrzała na podskakującą przed nami głowę i zamrugała oczami w zdumieniu.

- Boże, wygląda jak prawdziwa! Najbardziej chorzy i popieprzeni charakteryzatorzy w tym mieście musieli dziś mieć pełne ręce roboty. - Puściła mnie i wstała, śmiejąc się z samej siebie. - Rany, przechodzę chyba jakiegoś załamanie nerwowe?

Kusiło mnie, żeby się z nią zgodzić, ale skwitowałam tylko jej słowa uśmiechem. Lara poprawiła perukę, która, swoją drogą, była prawdziwym dziełem sztuki. Mierzyła ponad pół metra i miała wplecioną między loki klatkę z ptaszkiem. Na alabastrowej szyi Lary widniał czerwony pasek po cięciu gilotyny, przebrania dopełniał osiemnastowieczny strój pożyczony od zaprzyjaźnionego projektanta kostiumów. W mrocznym korytarzu Lara wyglądała zjawiskowo; niezwykle upiornie i niesamowicie smutno.

W końcu zdołałyśmy dotrzeć w jednym kawałku na tyły domu, gdzie przyjęcie trwało już w najlepsze. Z lodowych figurek spływał różowy szampan, a mordercy w maskach z *Krzyku* roznosili przekąski, przeważnie wyglądające jak obcięte ludzkie palce. Chwyciłam kanapkę z parówką od jednej z zakapturzonych postaci z tacą i zapomniałam podziękować.

Ku mojemu zaskoczeniu większość gości podeszła do kwestii przebrania z nadmierną powagą. Impreza w ni-

czym nie przypominała zwyczajowych przyjęć w tym mieście, na których wszyscy hołdowali niezobowiązującemu stylowi Zachodniego Wybrzeża. Zazwyczaj mieszkańców LA nie można było przekonać, aby włożyli na nogi coś innego niż klapki. Dzisiaj jednak owa miejscowa „swoboda” zniknęła w halloweenowej mgle. Hip-hopowi reżyserzy, którzy zazwyczaj byli zbyt „wyluzowani”, aby nosić garnitury, dziś ucharakteryzowali na Frankensteiny i Dracule, prezentując taką ilość sztucznej krwi i obciętych kończyn, że można było dostać zawrotu głowy. Najwyraźniej bal przebierańców był dla nich iście katartycznym przeżyciem. W swoim stroju francuskiej pokojówki czułam się tu jak niskobudżetowa amatorka.

Na szczęście godzinę później, dzięki jakiemuś rozentuzjanzmowanemu trzmielowi, który skradł mi miotełkę z piór, i pewnemu rycerzowi w lśniącej zbroi, który nie chcąc porwać mi kabaretki kolczugą, zaczęłam przypominać tanią bulwarową dziwkę, którą właśnie ktoś poturbował. Przynajmniej dodało to mojemu wyglądowi nieco grozy. Zdażyłam już obejść całe przyjęcie z nadzieją natknięcia się na Luke'a Lloyda, ale w tym tłumie nawet rozpoznanie własnej matki byłoby zadaniem niewykonalnym. Poza tym ludzie, którzy przybyli na przyjęcie, nie należeli do hollywoodzkiej śmietanki towarzyskiej. Byli o wiele fajniejsi. Mimo wszystko, cały czas musiałam trzymać fason i bardzo się pilnować, nie zniosłabym bowiem kolejnej porażki podczas przypadkowego spotkania z panem Lloydem w miejscu publicznym. Naprawdę zaczynało mi to trochę działać na nerwy. Najgorsze było to, że Luke wydawał się naprawdę miły. I szczerzy. Wciąż musiałam sobie powtarzać, że jego zachowanie było tak prawdziwe jak Hulk, który serwował na przyjęciu tuńczykowe sashimi.

Zgodnie z przewidywaniami, Lara przedstawiła mnie kilku gościom, a potem odpłynęła w dal, unoszona na fali powitań i gratulacji ze strony innych upiórów, pozostawiając mnie na pastwę charakterizatorki przebranej

za Marilyn Monroe po przedawkowaniu. Musiałam wysłuchać opowieści o jej sztucznym biuście, o wyższości oleju sojowego nad solą fizjologiczną i o niesamowitej nowej powłoce ochronnej na silikonowych implantach. Kiedy dyskretnie zerknęłam na zegarek, sprawdzając, czy przypadkiem jej monolog nie trwa już godzinę, zauważyłam, że wpatruje się w mój biust, wygodnie schowany w powiększającym optycznie staniku firmy Victoria's Secret. Wreszcie dostrzegła moje zaniepokojone spojrzenie.

- Przepraszam, że się tak gapię, ale kto ci robił pierś? - spytała. - Wyglądają tak naturalnie. Popatrz tylko na te łagodne linie - zanim się spostrzegłam, chwyciła moje piersi w obie dłonie i zaczęła je ścisnąć, jakbym była dojną krową rasy holsztyńsko-fryzyjskiej na konkursie hodowlanym.

- Danny, chodź tu i pomacaj te cacka - uśmiechnęła się dobrotliwie. W podnieceniu nie zauważyła, że peruka zsunęła się jej z czoła. - Danny to mój mąż.

Naturalnie. W takim razie wszystko w porządku, nie ma sprawy.

Danny pojawił się przy nas w mgnieniu oka. Jego żona chwyciła jego dłoń i umieściła ją na jednej z moich piersi. Rozpoznałam Danny'ego natychmiast. Był przebrany za Michaela Jacksona, teraz jednak zdjął tę przerażającą „postoperacyjną” maskę, więc było mi dane ujrzeć jego prawdziwą twarz. Mimo zniszczonej skóry i solidnych zakoli, wciąż był tym samym, bezdyskusyjnym idolem z moich lat młodzieńczych. Grywał delikatnych, romantycznych bohaterów lat osiemdziesiątych, którzy nigdy nie obnażali włochatej klaty, a ich włosy były zawsze dokładnie ułożone na żel, niczym w rzeźbach Michała Anioła. Jeśli dobrze pamiętam, był „gwiazdą jednego przeboju”, odkrytą w programie Star Search. Muszę zadzwonić do rodziców i zapytać, czy mają jeszcze podpisany przez niego plakat, który kiedyś wisiał na ścianie mojego pokoju.

- Świetna robota.



Danny spojrzął, pomacał, po czym jego druga dłoń dołączyła do zabawy. Zamarłam. Nie chciałam okazać się zbyt pruderyjna lub za bardzo związana konwenansami, ale szybko się zorientowałam, że był to jeden z ich salonowych tricków. Jeżeli nie zakończę tego teraz, po kolejnym koktajlu mogę wylądować jako pieprzny dodatek do ich małżeńskiego łoża. Byłam wprawdzie otwarta na nowinki, poza tym kiedyś, jako czternastolatka, oddałabym swoje własne wrotki za to, aby Danny pomanipulował nieco moimi „wrostkami” i zabrał mnie do swego domu (bez względu na to, czy czekała tam na niego żona w peruce Marilyn), ale dorosłam już, a Danny stracił wiele ze swojej atrakcyjności. Zresztą, nawet gdybym chciała, i tak nie miałabym pojęcia, co z nimi robić. Uśmiechnęłam się przyjaźnie i usunęłam ich dłonie z mojego biustu.

- Niezwykle miło się rozmawiało - rzekłam, wstając. - Tak przy okazji, są prawdziwe - dodałam.

Na szczęście ta informacja była dla nich wystarczającym szokiem, aby zamilkli ze zdumienia, zostawiając mi wystarczająco dużo czasu na ucieczkę. Przez skrzypiącą furtkę przedostałam się na taras przy basenie, gdzie chyba nagle przeniosło się całe przyjęcie.

Wyszłam na zewnątrz i znalazłam się w środku pod ekscytowanego tłumu. Wszyscy wpatrywali się w dach domu i dyskutowali o jakiejś szalonej dziewczynie, która po nim spacerowała. Zastanawiali się czy była *piece de resistance* przemysłu rozrywkowego, czy też sama wpadła na ten pomysł. Spojrzałam w górę i na tle chmurnego nieba ujrzałam figurkę odzianą w osiemnastowieczny kostium. Wprawdzie Lara zniknęła mi z oczu godzinę temu, ale jej peruka dała się rozpoznać z łatwością nawet na wysokości drugiego piętra.

- Jak długo tam jest? - spytałam stojącego obok wampira.

- Około dziesięciu minut. Ciągłe krzyczy coś o tym, że zawsze chciała skoczyć z dachu do basenu. Mam tylko nadzieję, że dobrze przymocowała perukę.

- Jezu Chryste! Czy ktoś poszedł na górę i próbował ją sprowadzić na dół? - spytałam w popłochu.

Spojrzał na mnie, jakbym właśnie przyleciała z Marsa.

- To nie ja dawałem jej narkotyki. Dlaczego teraz to ja mam coś robić?

Pognałam do środka i najszybciej jak mogłam wspięłam się po wielkich schodach. Przeskakiwałam po trzy stopnie, aż wreszcie znalazłam się na samej górze. Było tam wiele drzwi. Zaczęłam je wszystkie otwierać, wykrzykując imię Lary. Miałam nadzieję, że w jednym z pomieszczeń znajdę okno, przez które wydostała się na dach. Potem spostrzegłam, że są tu jeszcze jedne schody, prowadzące na strych. W korytarzyku paliło się światło. Gdy wspięłam się na samą górę, przez otwarte okienko dojrzałam śmiejącą się histerycznie Larę, która skakała jak szalony konik po starych, uszkodzonych dachówkach. Wyglądało to dość niebezpiecznie, a ja byłam wciąż dobre piętnaście metrów od niej. Przestałam biec i zaczęłam iść spokojnie, żeby jej nie wystraszyć.

- Lara? To ja, Elizabeth - zawołałam tak łagodnie, jak potrafiłam. Podeszłam do okna. - Lara, co ty tu robisz? Czy mogłabyś na minutkę do mnie zejść?

Lara odwróciła się tak szybko, że jej lewa noga ześlizgnęła się po dziurawym dachu. Zanurkowałam w kierunku okna, próbując ją przytrzymać, ale na szczęście szybko złapała równowagę.

- Elizabeth, to ty? Musisz do mnie wejść. Tu jest po prostu świetnie. I można zobaczyć logo Hollywoodu... coś niesamowitego!

- W porządku, kochanie, już idę. Jedna chwileczka! - Wspięłam się na parapet i usiadłam na futrynie, z nogami na zewnątrz. Uśmiechnęłam się odważnie do Lary.

- Brawo. Chodź tu - powiedziała. - Rany, ale się dobrze bawimy, nie? Musimy zapomnieć o wszystkim i zacząć od nowa. Dlatego właśnie zamierzam skoczyć do basenu, tam, na dole. To będzie nowy start. Duchowe odrodzenie.

Przytrzymałam się okna i spojrzałam w dół. Z tej odległości basen wyglądał jak kropeczka lśniącego błękitu w oceanie betonu. Dobrze znałam kusicielską moc basenów na przyjęciach, ale dzięki Bogu mój występ był jedynie podświadomą próbą popełnienia samobójstwa zawodowego. Lara, jeśli skoczy, może się naprawdę zabić.

- Laro, to za wysoko. Zrobisz sobie krzywdę.

- Nie bądź taką asekurantką, Elizabeth. Trzeba żyć na granicy ryzyka. Poza tym, już to kiedyś zrobiłam.

- Nieprawda. Nie z tej wysokości. Czy mogłabyś na chwilę zejść? Proszę cię. Chciałam z tobą o czymś porozmawiać.

Lara roześmiała się beztrzesko i podeszła niebezpiecznie blisko krawędzi dachu. Rozejrzałam się z desperacją po strychu, szukając natchnienia. Miałam nadzieję, że dostrzegę gdzieś siatkę asekuracyjną, może jakiś bosak, którym mogłabym ściągnąć Larę z dachu. Przydałby się nawet zabłąkany uczestnik przyjęcia. Oczywiście nie znalazłam niczego takiego. Wszystko, co miałam pod ręką, to stare pudła, książki i meble. Ludzie, którzy opróżniali ten dom, najwyraźniej nie odkryli poddasza.

- Jego i tak nie obchodzi, czy żyję, czy nie.

Spojrzałam znowu na dach, z którego Lara wpatrywała się intensywnie w maluteńki prostokąt wody.

- Kogo? - musiałam ściągnąć ją stamtąd, a) skoczy, b) ktoś zorientuje się, że to nie żarty i wezwie policję. Wtedy wszystko pojawi się w gazetach i będą z tego kłopoty. Nikt nie uwierzy, że Lara nie zrobiła tego z powodu wyzysku panującego w Agencji.

- Mój chłopak. Jesteś taka dobroduszna i praworządna, Elizabeth. Pewnie pomyślisz, że jestem zepsuta do szpiku kości, ale on jest żonaty. - Lara zaczęła płakać.

- Posłuchaj, usiądź tu koło mnie i pogadamy o tym.

Lara roześmiała się gorzko przez łzy.

- Nie chcę umierać, Elizabeth. Chcę się bawić. Zapomnieć choć na chwilę.

- Rozumiem, ale czy tego chcesz, czy nie, jeden fałszywy krok i staniesz się wspomnieniem przeszłości - ostrzegłam.

Lara spojrzała na mnie bystro.

- I tak jestem tylko wspomnieniem przeszłości. Nie widzisz? Jestem przebrana za Marię Antoninę.

- Wystarczy tych żartów, Laro. Chodź tu do mnie. Pogadamy o tym twoim żonatym facecie.

- To nie znaczy, że nie skoczę - ostrzegła mnie z buntowniczym potrząśnięciem głową, zrzucając z głowy perukę, która potoczyła się po dachu i spadła do basenu. Chłodna wieczorna bryza przyniosła okrzyk zdumienia tłumowi obserwatorów. Przez chwilę ogarnęło mnie przeżenie, że Lara naprawdę może skoczyć.

Potrzebowałam czegoś, co odwróci jej uwagę. Czegoś, co odciągnie myśli od wspomnień, które tak ją raniły. Zajrzałam na strych i znów dostrzegłam książki. Wyglądały na klasykę. Odwróciłam się i zeskoczyłam na poddasze. Podeszłam do półek, przejrzałam rzędy wiekowych woluminów, wybrałam jeden z nich i wróciłam do okna.

- O rany, Lara! Spójrz tylko! To stare wydanie *Anny Kareniny*. O mój Boże! Jaka piękna okładka, popatrz! - Udawałam, że całkowicie pochłonęło mnie przewracanie delikatnych, pożółkłych kartek. Był to strzał na ślepo, ale trafiłam. W ułamku sekundy Lara znalazła się obok mnie.

- Pokaż - zażądała. Usiadła obok mnie i zabrała książkę. - Jest przepiękna - powiedziała, otwierając ją i czytając na głos motto ze strony tytułowej. - „Mnie pomsta, ja oddam! - mówi Pan”.

Z jej oczu popłynął ocean łez, ja zaś odetchnęłam z ulgą. Spojrzałam przez okno w dół i kiedy minął mi zawrót głowy, spostrzegłam, że tłumek ciekawskich już się rozproszył. Dzięki Bogu za ich wrodzoną niezdolność do koncentracji. Nad ranem nikt nie będzie pamiętał o całym zdarzeniu, a ci, którym pozostanie ślad wspomnień, założą po prostu, że jakaś zdeterminowana

aktorka chciała przyciągnąć uwagę i zdobyć w ten sposób agenta lub rolę w filmie.

Lara uspokoiła się trochę. Podeszłam do szafy i wyciągnęłam dwa wiszące w niej futra. Zastanawiałam się, czy zostawiła je tu prawdziwa Marilyn po kolejnym przyjęciu, w którym uczestniczyła wiele lat księżycowych temu. Otuliłam jednym Larę, sama włożyłam drugie.

- A teraz, kochanie, powiedz mi, co się stało - powiedziałam.

- Spotykam się z tym żonatym facetem już od dwóch lat. Wczoraj z nim zerwałam. Zawsze zdradzał swoje kobiety, nawet mnie. Przeważnie się tym nie przejmuję, ale teraz myślę, że może to być ktoś z jego pracy. - Wyglądała na kompletnie załamana. Objęłam ją ramieniem i poprowadziłam w głąb strychu. - Tak czy siak, to nie miało przyszłości. Ja taka nie jestem. Chcę od życia czegoś więcej. - Opadła na zakurzoną podłogę, ściskając kurczowo książkę.

Pochlipując żałośnie, opowiedziała mi o tym, jak spotkała swojego żonatego mężczyznę w nocnym klubie, gdy jeszcze była studentką na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Dorabiała sobie wtedy jako barmanka, żeby jakoś związać koniec z końcem. Pewnej nocy pojawił się on i zaczął ją rozśmieszać. Był czarującym dziwakiem, a ich romans nie zaczął się przed upływem roku.

- Nie wiem już sama, co się ze mną dzieje. Miotam się między radością a rozpaczą, w górę i w dół, w górę i w dół. To wykańczające. Życie przestało mnie cieszyć. Jestem strasznie zagubiona.

Odwiazałam mój fartuszek francuskiej pokojówki i podałam Larze jako chusteczkę.

- Laro, to co się z tobą dzieje, to nic dziwnego. Po prostu jesteś w trudnym położeniu.

- Widzisz, ilekroć próbuję sobie wyobrazić moją egzystencję bez niego, odechciewa mi się żyć. Wiem, że to brzmi idiotycznie i absurdalnie romantycznie. Ta znajomość mnie wykańcza. Za każdym razem przysięga mi, że

przestanie spotykać się z innymi kobietami, a potem oczywiście nie dotrzymuje słowa. Chciałabym, żeby życie było inne. Chciałabym umieć podążać za swoimi własnymi radami. - Zapatrzyła się w paznokcie u rąk. - Jestem hipokrytką, Elizabeth. On pracuje w przemyśle rozrywkowym.

- Naprawdę? - zakręciło mi się w głowie. - Ale nie nazywa się Luke Lloyd, prawda?

Lara spojrzała na mnie pytająco.

- Producent *Weselnej masakry*?

Cholera. Zdradziłam się, ale Lara nie mogła się teraz na mnie pogniewać. Nie po tym, co mi opowiedziała.

- Tak, poznałam go i... - zaczęłam.

- On nie jest żonaty, Lizzie, więc nawet jeśli złamiesz zasady i pójdziesz z nim do łóżka i tak będziesz w lepszej sytuacji niż ja.

- To nie tak. Po prostu ciągle się na niego natykam, a on zawsze pamięta moje imię. Wiem jednak, że jest dla mnie za dobry.

Lara kopnęła mnie lekko w goleń. Lekko, ale za to boleśnie i to bardzo.

- Nikt nie jest dla ciebie za dobry, ty głuptasie. Sprawiasz, że samochody zatrzymują się na ulicach. Luke powinien czuć się szczęśliwy jako prześladowca dziewczyny tak inteligentnej i normalnej, jak ty.

- Dzięki, Laro. - Postanowiłam, że zastanowię się nad jej słowami nieco później. - Co zamierzasz zrobić w swojej sprawie? Mogłabym w czymś pomóc?

- Chciałabym - Lara potrząsnęła głową załośnie. - Pewnie po prostu wrócę do pisania mojej książki. Mogę przelać na jej karty cały mój ból i rozżalenie. Może ten bałagan emocjonalny jeszcze się do czegoś przyda.

- Twoja książka na pewno będzie bestsellerem.

- Jeśli zdołam ją kiedykolwiek skończyć. Muszę przestać sobie pobłażać i zająć się pisaniem na poważnie. Pomyślałam po prostu, że mogłabym dzisiaj przyjechać tu, odprężyć się trochę i poznać innego mężczyznę, który pomoże mi zapomnieć o moim żonatym chłopaku.

Tymczasem każdemu facetowi, który zaczynał się do mnie dobieierać, miałam ochotę skopać jaja. Wszyscy wydają mi się tacy beznadziejni.

Lara wstała i otrzepała suknię. Tusz rozmazał jej się na policzkach i wyglądała jak szop. Chwyciłam ją delikatnie za ramię.

- Chodź tutaj. Masz wszędzie tusz do rzęs. - Pośliniłam palec i spróbowałam zetrzeć czarne smugi z jej białej twarzy. Udało mi się jednak tylko jeszcze bardziej je rozmazać.

- Daj spokój. Zostaw to tak, jak jest. Dodaje upiornego efektu. Poza tym, chyba chciałabym już wrócić do domu. Wystarczająco się nabawiłam, jak na jedną noc. - Przycisnęła do piersi *Annę Kareninę*. - Jak myślisz, czy ktoś zauważy, że ją wzięłam?

- Szczerze powiedziawszy, nie sędzę, by ktokolwiek wiedział o istnieniu tej tajemnej biblioteczki. Jestem pewna, że znajdziemy tutaj więcej skarbów. Na przykład stare listy miłosne Rudolfa Valentino albo Greta Garbo. - Sięgnęłam ręką do pobliskiego pudła i wydało mi się, że coś się w nim poruszyło. Cofnęłam szybko dłoń. - Albo lepiej chodźmy. Ja też już chyba jestem zmęczona.

Wstałyśmy i trzymając się za ręce, zeszłyśmy po schodach w dół, gdzie wciąż trwało przyjęcie.

- Tak... w Halloween lepiej jest nie otwierać żadnych pudełek, żeby przypadkiem nie wypuścić z nich wszystkich nieszczęść - powiedziała Lara melodramatycznie.

- Wciąż jednak pozostaje nadzieja - przypomniałam jej. - To właśnie zostało na dnie puszkki Pandory, prawda?

- Tak, powinnyśmy mieć nadzieję - odparła, gdy znalazłyśmy się na parterze. - Nadzieja to dobry sposób na przetrwanie.

*Następnym razem posłucham cię dopiero wtedy,  
gdy mnie zahipnotyzujesz.*

Cary Grant jako David Huxley (*Drapieżne malarstwo*)

Nawet gdyby Jason Blum nie miał krzty talentu, to widząc po raz pierwszy wystrój jego mieszkania, pomyślałabym, że jest geniuszem. Całe schody były udekorowane zdjęciami z filmów Rogera Cormana, który, jak się okazało, był reżyserem drugorzędowych horrorów. Zaczynał karierę dawno temu, a jego umiejętność wyłapywania talentów pomogła wybić się takim sławom, jak Francis Ford Coppola, Martin Scorsese, James Cameron czy Jonathan Demme. Wszyscy oni (i kilku innych reżyserów) pracowali z Cormanem na początku swej kariery. Zaczęłam wspinać się po schodach na górę, gdzie oczekiwał mnie Jason w powyciąganych szarych dresach, bezkształtnym peruwiańskim swetrze i wełnianych kapciuchach. Po drodze musiałam minąć makabryczne ujęcia z filmów, takich jak *Swamp Women*, *Bucket of Blood* i *Attack of the Crab Monsters*.

- Cześć, Lizzie - przywitał mnie i zaprowadził do dużego pokoju, który również był świątynią kina. Wszędzie walały się DVD, książki o Viscontim, szpule taśm filmowych i sterty nieznanymi mi profesjonalnych magazynów filmowych dla reżyserów. Dałabym głowę, że w całym domu pachniało prażoną kukurydzą.



- No proszę! Nikt by się nie domyślił, że kochasz filmy - roześmiałam się. Rzuciłam torbę na ziemię i rozparłam się na jednym z obitych czerwonym aksamitem (jakże by inaczej) foteli.

- Chyba rzeczywiście mam lekkiego hysia na tym punkcie - powiedział Jason. - Chcesz coś?

- Jasne. - Wyciągnęłam z torby kilka nowych długopisów i scenariusz. - To zupełnie jak odrabianie pracy domowej, prawda?

Jason wyłonił się z kuchni i wręczył mi puszkę. O czymś tak luksusowym jak szklanka nie mogłam marzyć. Nagle przestał być uśmiechniętym, pomocnym zaparaczem kawy. Z nieumytymi, roztrzepanymi włosami wyglądał jak przysły guru filmowy. Ja zaś byłam świadkiem narodzenia się geniusza.

- Może masz trochę racji - powiedział, siadając przede mną na ziemi i wyciągając ponad pięćdziesiąt fiszek z zaznaczonymi scenami z manuskryptu. Najwyraźniej nie była to jednak praca domowa, lecz coś znacznie poważniejszego. Wyraz twarzy Jasona sugerował, że właśnie wyprodukowaliśmy bombę wodorową i teraz powinniśmy zdecydować, czy mamy podzielić się naszą rewelacją z całym światem. - Pomyślałem, że zaczniemy od poprawek w charakterystyce postaci matki. Uważam, że historia jej życia w pierwszym akcie jest niezwykle ważna dla przedstawienia najistotniejszych wątków.

- Zgadzam się. - I rzeczywiście tak było. Po prostu ujęłabym to w nieco inny sposób.

Kilka godzin później padliśmy oboje na podłogę, z zeszytwniałymi kręgosłupami, palcami poranionymi od ciągłego przewracania kartek i zmęczonymi oczami. Rozpuściłam włosy, ponieważ w ciasnym kucyku czułam się powoli, lecz konsekwentnie skalpowana. Jason chrupnął kostkami w dłoniach i włączył lampkę na stoliku za swoimi plecami. Byliśmy tak pochłonięci pracą, że nie zauważyliśmy nawet, kiedy się ściemniło.

- Zdaje się, że odpadł mi tyłek i nawet nie pamiętam kiedy-powiedziałam, potrząsając włosami i pocierając ręką miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

- Było naprawdę świetnie. Myślę, że dopracowaliśmy najważniejsze sceny. Wycięliśmy kilka zbędnych wstawek i wszystko wygląda znacznie zwężlej. Dzięki, Lizzie.

- Nie ma za co. - Podniosłam się, żeby rozprostować nogi. - Uważam, że powinniśmy podesłać nową wersję kilku kolejnym agentom. Tymczasem ja rozejrzę się za sponsorami. Oczywiście, jeśli się zgodzisz?

- Pewnie, ale przecież wiesz, że ty jesteś producentem i wszystkie tego typu decyzje należą do ciebie. Nie mógłbym zająć tak daleko bez twojej pomocy, Lizzie. Wiesz o tym, prawda?

- Nie przejmuj się, po prostu jestem trochę zmęczona. Tak przy okazji, pomyślałam, że ta historia jest chyba trochę zbyt poważna - mruknęłam, zerkając do rozrzuconego na podłodze scenariusza. Martwiło mnie to od dłuższego czasu; dzieło Jasona było naprawdę beznadziejnie poważne. Lekkość pisania nie była jego mocną stroną.

- Dlaczego miałyby być wesoła? - spytał wstrząśnięty.

- Bo życie czasem jest zabawne.

- Potrafi również być tragiczne.

- Pomyśl jak Mike Leigh - zasugerowałam.

- Nazywam się Jason Blum - powiedział.

W tym momencie zrozumiałam, że dopnie swego; osiągnie wielki, ogromny, niesamowity sukces. Wrzuciłam ramionami.

- Może masz rację. I wiesz co? Nastrój jest idealny.

Później, gdy jedliśmy pizzę, rozmawialiśmy o filmie i planowaliśmy inwazję na kilka najbardziej liczących się agencji filmowych oraz posiadaczy gotówki w LA, przytapałam Jasona na wpatrywaniu się we mnie o jedną chwilę za długo. Walczyłam właśnie z ciągnącym się kawałkiem sera i pomagając sobie palcem, usiłowałam go umieścić w ustach. Nie dałam po sobie poznać, że zauważyłam jego przydługie spojrzenie. Zaczęłam się

zastanawiać, czy chciałybym, aby mnie pocałował. Albo coś w ten deseń. Już od dawna nie miałam żadnego romantycznego kontaktu z mężczyznami (przynajmniej nie z tymi, którzy mi się podobali). Jason nie był jednym z Jake'ów Hudsonów, Bobów Daviesów i Scottów Wagnerów tego miasta. Wszyscy oni wydawali się przy nim ożywionymi postaciami z filmów Rogera Cormana. Był zdecydowanie zbyt gorliwy, jak na mój gust, ale z drugiej strony podchodził do ukochanej reżyserii z taką pasją, oddaniem i miłością, że wcale nie miałabym nic przeciwko temu, aby zakochał się również we mnie. Wyszła by z tego niezła produkcja, pomyślałam z rozmarzeniem.

- Wspominałaś coś wcześniej o humorze, Lizzie - przerwał moje rozmyślenia. - Uważam, że to przereklamowana rzecz. Dewaluje zbyt wiele prawdziwych emocji. Za dużo poświęcamy w imię humoru - ciągnął, wyłuskując ze swojej pizzy oliwki i układając je w stosik na brzegu talerza. I nagle zrozumiałam, że między nami nigdy nic nie będzie. Mogłam się przyzwyczaić do szarego stroju i galerii zdjęć ze skrwawionymi flakami, ale nie mogłabym ścierpieć jego ponurego podejścia do życia. Wykluczone.

Jechałam właśnie na górę, aby przekonać Ryana o mojej „lojalności”, gdy do windy wsiadł Daniel Rosen. Chociaż był drobnym mężczyzną w średnim wieku, jego zachowanie tchnęło taką potęgą, że niemal upadłam na kolana i oddałam mu cześć. Ten idealnie dopracowany wygląd, nieskazitelnie wyprasowana różowa koszula, doskonałe linie granatowego garnituru i gładka, lekko opalona twarz; musiałam chyba patrzeć na niego przez wazeliniarskie okulary. Był tak perfekcyjny, jak jego dom, klasyczny rolex i aston martin razem wzięte. Pachniał elitą (jeśli to w ogóle możliwe). Spojrzał na mnie przelotnie i uśmiechnął się. Oczywiście, jak ostatnia idiotka pomyślałam, że jego skinięcie głową oznaczało, iż mnie rozpoznał i postanowiłam się z nim przywitać.

Wielki błąd. Gdybym pomyślała sekundę dłużej, zrobiłabym jedyną rozsądną rzecz w tej sytuacji - wpatrzyła się w czubki własnych butów i trwała tak, aż dostałabym zęza, a Daniel by wysiadł, zostawiając mnie w windzie samą. Nie miałam jednak czasu do namysłu, poza tym, pochodziłam ze świata, w którym ludzie witają się z sąsiadami wyprowadzającymi psy i starszymi paniami spotkanymi na ulicy. Był to zwyczaj, którego jeszcze nie zdołałam się wyzbyć od przyjazdu do Hollywood.

- Cześć, Daniel - rzuciłam.

Spojrzał na mnie zaintrygowany, próbując przypomnieć sobie, kim jestem. Miałam szczerą nadzieję, że pierwszą rzeczą, którą sobie skojarzy, będzie coś innego niż mój niesławny występ topless w jego basenie.

- Elizabeth Miller - pospieszyłam z podpowiedzią. - Poznaliśmy się, gdy pracowałam dla kongresmana Hutchensa w Waszyngtonie. Załatwił mi pan pracę w Agencji.

Dlaczego u diabła miałam tak ogromną potrzebę zwrócenia na siebie uwagi wszystkich wokół mnie? Sama nie wiem. Niestety, otworzyłam puszkę Pandory.

- Elizabeth? Oczywiście, kojarzę cię. Pracujesz dla Scotta Wagnera, prawda? Jak ci się powodzi? - Jego głos był melodyjny i z bogatą barwą. Idealnie przystosowany do zdobywania pieniędzy i przyjaciół.

- Naprawdę świetnie. Dużo się uczę i bardzo mi się podoba to, co robię.

Świdrował mnie wzrokiem, a ja panicznie usiłowałam sobie przypomnieć, czy nie użyłam dziś rano perfum, które mogłyby wywołać u niego szok anafilaktyczny lub sprawić, że znowu zechce mnie wylać z pracy. Nie zapomniałam jeszcze o tym drobnym incydencie, chociaż miałam nadzieję, że on tak.

- Powiedz mi, chcesz zostać agentką, czy też rozważasz powrót do polityki? Słyszałem, że praca ze Scottem nie należy do przyjemności.

Cóż, w tej akurat kwestii był źle poinformowany. W porównaniu do tego, co nasłuchiwałam się o Danielu, asystowanie Scottowi było zabawą.

- Scott jest świetny - powiedziałam.

Nie chciałam się wdawać w głębszą dyskusję na ten temat. Nagle mnie olśniło. Powinnam wspomnieć Danielowi o scenariuszu Jasona! Może udzieli mi jakiejś porady albo wręcz pomocy? Koniec końców, byłam jego protegowaną. W pewnym sensie. Poza tym, jak dotąd nie udało mi się przekonać żadnego innego agenta do przejścia scenariusza Jasona. Nie poszłam z nim do Scotta, ponieważ on i tak niczego nie czytał, dlaczego więc prosba o pomoc Daniela miałyby w czymś zaszkodzić?

- Jesteś bardzo lojalna w stosunku do Scotta. To interesujące, chociaż zupełnie niewłaściwe podejście. - Daniel uniósł brew i roześmiał się cicho.

- Daniel, czy to prawda, że choć kierujesz całą Agencją, wciąż jesteś otwarty na obiecujących debiutantów? - spytałam.

Winda przystanęła i otworzyły się drzwi, za którymi nikt jednak nie czekał. Ruszyliśmy więc dalej.

- Oczywiście. Dzień, w którym stracę zainteresowanie młodymi talentami, będzie końcem mojej kariery.

- Bo widzisz, mój przyjaciel napisał scenariusz. Moim zdaniem to prawdziwa perełka. Próbuję pomóc mu w realizacji projektu. Ów przyjaciel jest jednocześnie świetnym reżyserem - dodałam, chociaż szczerze mówiąc, jakoś nie byłam przekonana co do tego ostatniego. Widziałam kilka amatorskich filmów Jasona, wszystkie równie mgliste i niezrozumiałe. Z powodzeniem mogłyby posłużyć jako środek nasenny w jednym z moich rzadkich napadów bezsenności, ale w końcu nie znałam się tak dobrze na rzeczy.

- Brzmi nieźle - powiedział Daniel, kiwając z zainteresowaniem głową.

Winda dotarła do jego piętra. Miałam dziesięć sekund na zdecydowanie, jak poradzić sobie z moim nowym wyzwaniem. Jeśli się wycofam, do końca życia będę podawała kawę lepszym ode mnie. Daniel zerknął na zegarek i gestem zaprosił mnie do wyjścia. Nie ruszyłam się z miejsca.

- Czy miałbyś coś przeciwko temu, aby rzucić okiem na ten manuskrypt? Oczywiście jeśli znajdziesz chwilę czasu, którego zapewne nie masz... Zresztą, to nie ma sensu. Zapomnij, że cię o to prosiłam - wycofałam się nieporadnie.

Teraz Daniel powinien mnie dyskretnie spławić. Cóż, przynajmniej spróbowałam. Z czystym sumieniem będę mogła powiedzieć Jasonowi, że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy.

Myśląc o tym, nie byłam przygotowana na sukces. Może dlatego, że tak mało ich było w mojej dotychczasowej karierze. Daniel ponownie, tym razem bardziej stanowczo, zaprosił mnie do wyjścia z windy. Wysiadł tuż za mną.

- Oczywiście, że się tym zajmę - odparł. - Polecę jednej z moich asystentek, aby umówiła nas na spotkanie. Będziemy mogli porozmawiać o tym, jakiej pomocy oczekujesz. Jestem pod wrażeniem twojej determinacji, Elizabeth.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Może pomaganie swoim podwładnym we wspinaczce po szczeblach kariery było kluczem do sukcesu Daniela? Właśnie udowodnił, że był wielkim człowiekiem i to większym, niż mogłam przypuszczać. Skierował się w stronę swojego gabinetu i zanim odzyskałam mowę, zamknęły się za nim drzwi. Ruszyłam w powrotną drogę, zastanawiając się, jak będzie wyglądał nagłówek w „Variety”, gdy wreszcie podpiszemy kontrakt na film Jasona. Sprawa Ryana kompletnie wypadła mi z głowy.

Lara była kobietą co najmniej nieprzewidywalną. Nie zdziwiłabym się, gdyby w świetle trzeźwego poranka pożałowała intymnej nici porozumienia, jaką nawiązałyśmy na przyjęciu halloweenowym. W niedzielę zostawiłam jej wiadomość na sekretarce. Chciałam sprawdzić, jak się miewa jej złamane serce, ale nie oddzwoniła. Miałam tylko nadzieję, że nie zapragnęła znowu jakiejś głupiej rozrywki, w stylu pływania w Pacyfiku po odro-

binie MDMA\*. Wkrótce jednak strach o Larę został zastąpiony nowym rodzajem paniki. Zaczęłam martwić się Danielem. Przerzucając branżówki, zastanawiałam się, dlaczego tak chętnie przystał na spotkanie. Wpatrywałam się w telefon, jakby był obsypany węglikiem. Miałam przyjść do biura Daniela dziś w samo południe. Czekałam na potwierdzający telefon od Ryana lub jednej z rozlicznych asystentek Daniela. W tej chwili zdecydowanie wolałabym pozostać do końca życia przy podawaniu kawy, kserowaniu i przetrząsaniu sklepów w poszukiwaniu sukni na bal w college'u dla Barbie, niżli ryzykować upokorzenie w gabinecie szefa Agencji. Chyba jednak nie nadawałam się na producentkę. Byłam po prostu naiwną dyletantką.

- Odbierzesz wreszcie ten telefon, czy nie? - Courtney podeszła do mojego biurka i spojrzała na mnie ganiąco.

Niepewnie podniosłam słuchawkę i rzuciłam paskudne spojrzenie jej plecom.

- Biuro Scotta Wagnera.

- Czy rozmawiam z Elizabeth Miller, asystentką Scotta Wagnera? - zapytał głęboki męski głos. Zazwyczaj klienci nie znają mojego nazwiska, a jeśli już, to poznają mnie po głosie. Moim rozmówcą na pewno nie był Ryan.

- Tak, słucham.

- Twój głos brzmi absolutnie smakowicie. Nie chciałabyś wyskoczyć na małe śniadanko? - Brrr! Skojarzenie niemal wysadziło mnie z mojego ruchomego fotela i powaliło na łopatki. - Mówi Bob.

- Nigdy bym nie zgadła.

- Założę się, że się czerwienisz.

- Tak naprawdę jestem w trakcie przepisywania notatek, Bob. Potrzebujesz Scotta?

- Nie. Potrzebuję ciebie.

W tym momencie odłożyłam słuchawkę. Ogarnęło mnie błogie uczucie wolności, którym jednak nie było

\* Narkotyk, ecstazy (przyp. tłum.).

mi dane zbyt długo się rozkoszować, albowiem telefon zadzwoni! znowu, a ja odebrałam, jak to winny czynić asystentki, chyba że mają akurat coś ważnego do oplotkowania:

- Biuro Scotta Wagnera.

- Cały urok umawiania się z asystentkami polega na tym, że zawsze można je złapać przez telefon. Nawet gdy przerywają rozmowę. Nie widuję cię od kilku miesięcy. Dlaczego?

Znowu Bob. Zdecydowałam, że milczenie będzie najlepszym sposobem na pozbycie się go. Jakże się myliłam.

- Boże, ale mnie podniecasz. Już sama myśl o tym, że siedzisz z tymi swoimi cudownymi piersiątkami w biurze pełnym ludzi sprawia, że mi sta...

Znów się rozłączyłam. Sekundę później telefon zadzwonił po raz trzeci. Gdzie, do cholery, była Lara? Nie zostawiła wiadomości, że jest chora i - poza oczywistym wkurzaniem się, że muszę się opędać od Boba, zaczęłam też martwić się o nią. Telefon wciąż dzwonił.

- Biuro Scotta Wagnera.

- Jeżeli jeszcze raz przerwiesz rozmowę, Elizabeth, zadzwonię do Daniela Rosena i powiem mu, że jesteś bardzo niekulturalną asystentką.

- To się nazywa szantaż.

Talitha przestała pisać na komputerze. Najwyraźniej to słowo działało niczym magnes na pracowników Agencji. Zniżyłam głos.

- Bob, ja tu pracuję. Jeżeli kilka miesięcy temu nie wspomniałam o tym, chociaż jestem pewna, że to zrobiłam, to teraz bardzo ci dziękuję za zaproszenie do Spago. Nie mogę ci jednak wybaczyć dorzucenia narkotyków do mojego drinka i... całej reszty. - Ze złości ledwie mogłam złapać oddech.

- Kiedy się wściekasz, zachowujesz się zupełnie jak pani Jenkins. Była moją guwernantką. Cholera, ale mam sztywnego. Zjedz ze mną kolację dziś wieczorem.

Trzasnęłam słuchawką po raz trzeci i ostatni. Nie musiałam znosić takiego traktowania. Prześladowała



mnie obleśny zboczeniec, który nie przyjmował do zrozumienia odmowy. Co mogłam zrobić innego?

- Mam nadzieję, że to nie był Bob Davies - powiedziała Courtney z uśmiechem tak wąskim, jak jej kości sty tyłek. - Nie należy traktować w ten sposób człowieka, który zarabia ponad milion dolarów za film i ma wyższy dochód netto, niż jakikolwiek inny producent.

- Cóż, Courtney. Tak się składa, że dzwoni z żądaniem seksu przez telefon. Ostatnim razem, gdy sprawdzałam, nasze telefony nie zaczynały się od numeru 1-900.

- Droga Elizabeth, jeśli tylko potrafiłabyś powstrzymać się przed zdejmowaniem ubrania przy łaďa okazji i nie pochylać się podczas rozmów z klientami, to może między tobą i Bobem nie byłoby tego całego nieporozumienia.

*Touche.* Zamierzałam wystąpić ze zjadliwą ripostą, ale telefon znów dzwonił jak najęty. Wiedziałam, że teraz Courtney na pewno mi nie pomoże w spławieniu Boba, Talitha zaś była zajęta rozmową. Chwyciłam słuchawkę i wrzasnęłam:

- Bob, zostaw mnie w spokoju!

- To rzeczywiście bardzo profesjonalny sposób odbierania telefonów. Podejrzywałam już wcześniej, że jesteś bardzo ograniczona, ale myślałam, że przynajmniej tę jedną rzecz potrafisz robić prawidłowo.

- Dzień dobry, Ryan. W czym mogę ci pomóc? - Ty mały gnojku, dupku, padalcu?!

- Z powodów, których nie potrafię pojąć, Katrina, trzecia asystentka Daniela, umówiła cię z nim na spotkanie. Podobno wpadłaś na niego w windzie. Sprytnie zaplanowane, zwłaszcza jak na ciebie. Wyrazy uznania. - Wiedziałam, że moje spotkanie z Danielem wzbudzi ciekawość Ryana, nie spodziewałam się jednak, że okaże to aż tak jawnie. - Dlaczego Daniel chce się z tobą widzieć? - spytał beczelnie.

Musiałam przyznać, że rzeczywiście było dość nieprawdopodobne, aby Daniel poświęcił mi tyle czasu tylko dlatego, iż chciałam zostać producentką. Nie zdążył

jeszcze nawet przeczytać scenariusza. Z jakiego powodu w ogóle miałyby się zainteresować prywatnym projekciem drugiej asystentki? Niepokoiło mnie to, nie miałam jednak najmniejszego zamiaru dzielić się wątpliwościami z tym szcurem Ryanem. Raz w życiu to ja miałam wszystkie atuty w ręku. Jeszcze nie zapomniałam o przesłaniu mojego stanika przez recepcję.

- Doskonale wiem, dlaczego chce się ze mną zobaczyć, Ryan. Tak się składa, że jest to sprawa między mną a Danielem. Spotkanie nadal ma się odbyć o dwunastej? - Dałabym głowę, że słyszałam, jak Ryan zapluwa się z wściekłości. A może oddychał teraz do papierowej torebki?

- O trzeciej. Nie spóźnij się. O trzeciej piętnaście ma następane spotkanie. - Kliknięcie.

Doskonale. Śmiertelnie bałam się Daniela i podejrzewałam, że jego motywy nie były zbyt uczciwe, jednak w tej chwili z radością dałabym się rozszarpać stadu wściekłych psów, gdyby miało to rozwścieczyć Ryana.

- Mam spotkanie z Danielem Rosenem. Możesz mnie zastąpić? - spytałam Larę, gdy wreszcie bez słowa przeprosin pojawiła się w biurze, wyglądając o niebo lepiej niż w sobotnią noc. Zmarszczyła brwi.

- Jasne. O co chodzi?

- Pamiętasz ten scenariusz do filmu, który chciałybyśmy wyprodukować? Spotkałam się w windzie z Danielem i poprosiłam go o radę. Nie sądziłam, że zechce się ze mną spotkać. Nawet nie streściłam mu fabuły. - Wzruszyłam ramionami w odpowiedzi na jej zaniepokojone spojrzenie.

- To dziwne. Pilnuj się.

Lara przeniosła wzrok na komputer i wystartowała go. Jak zwykle zajęła się czymś, co absolutnie nie miało nic wspólnego z pracą dla Agencji lub, konkretniej, dla Scotta Wagnera. Cokolwiek robiła, miałam nadzieję, że dla własnego dobra niedługo skończy. Jeżeli Scott albo - co gorsza - dział zatrudnienia zorientuje się w cha-

rakterze jej zajęć, Lara nie zagrzeje tu długo miejsca. Otrzeptałam spódniczkę z chipsów octowych, poprawiłam pomadkę na ustach i powędrowałam na górę, aby spotkać się z wielkim małym człowiekiem.

Na ostatnie piętro, do królestwa Daniela, można było wejść wyłącznie za pozwoleniem. Dostawało się wtedy coś w rodzaju przepustki. Podobno ze względu na wymogi bezpieczeństwa. Każdy z elementów wyposażenia piętra był wart więcej niż moja roczna pensja. Gdy wysiadłam z windy i przekroczyłam szklane drzwi prowadzące do biur Daniela, poczułam się, jakbym wylądowała w hollywoodzkiej wersji Wersalu. Daję słowo, był to widok dużo bardziej spektakularny, niż mógłby sobie wymarzyć sam Król Słońce.

Cały budynek był wyposażony w eleganckie nowoczesne plastiki projektu Eamesa. Zgodnie z tym, co rozpowiadano w naszych lochach, Daniel zafundował sobie gzymsowanie, ręcznie rzeźbione drzwi, lustrzane ściany, gobeliny, marmury, żyrandole i nawet rzeźby.

- Przestań się gapić i idź do jego gabinetu. Daniel jest bardzo zajęтым człowiekiem. Zmuszasz go, żeby na ciebie czekał. - Obok mnie wyrósł Ryan w bokserkach i... no dobrze, żartuję. Tak naprawdę miał na sobie czarne spodnie i koszulę, ale w tak dziwnym otoczeniu wszystko mogło się zdarzyć. Spojrzałam na zegarek. Przybyłam o minutę przed czasem.

Poszłam za Ryanem do jaskini Daniela. Wyobrażałam sobie, że po wejściu zobaczę tron. Byłam dość rozczarowana, zastawszy tam tylko zwykłe biurko z blatem pokrytym skórą oraz gigantyczny kominek, w którym huczał ogień. Dziwna rzecz, zważywszy że na zewnątrz było trzydzieści trzy stopnie Celsjusza. Podobno na żądanie Daniela w jego gabinecie utrzymywano temperaturę o osiem stopni niższą niż w reszcie budynku, specjalnie po to, aby kominek mógł płonąć przez okrągły rok. Jakiś Sai Baba powiedział kiedyś Danielowi podczas podróży do Indii, że ogień pomaga spalić negatywną energię wywołaną współzawodnic-

twem i zneutralizować wpływ wrogiego usposobienia konkurentów.

Ryan towarzyszy! mi do samego końca. Tak jak się spodziewałam, Daniel rozmawia! z kimś przez telefon. Odziane w mokasyny od Gucciego stopy trzyma! na biurku. Dziś miał na sobie zwykłe džinsy i białą koszulkę. Wyglądał jak świeżo upieczony adiunkt. Albo jak wart dwadzieścia milionów dolarów aktor, odgrywający przede mną rolę niegroźnego, świeżo upieczonego adiunkta. Uśmiechnął się zachęcająco i gestem poprosił, żebym usiadła. Usadowiłam się w jednym z ogromnych skórzanych foteli. Daniel odłożył słuchawkę i spojrzał na mnie, odśladając w uśmiechu perfekcyjnie ukształtowane zęby.

- Witaj, Elizabeth. Dzięki, że zgodziłaś się ze mną spotkać. - Mrugnął dobrodusznie.

- Nie ma sprawy. Dzięki, że mnie zaprosiłeś. - Już zrobił ze mnie idiotkę.

- Ryan, może podasz Elizabeth coś do picia?

- Myślałem, że zabawi tu tylko kilka minut i...

- Nie płacę ci za myślenie, Ryan, tylko za wykonywanie moich poleceń i nieocenianie ważności moich gości. Zapytaj ją, co chce do picia. Natychmiast.

Chciałam zmienić się w krzesło biblioteczne.

- Elizabeth, czy chcesz napić się czegoś zimnego? - Ryan z całej siły zaciskał zęby, jednocześnie usiłując się uśmiechać. W ramach asertywności, którą ostatnio usiłowałam ćwiczyć, powinnam teraz wymyślić napój, którego przygotowanie będzie wymagać od Ryana wykonania salto mortale. Przez mój umysł przebiegły dziesiątki nazw koktajli, takie jak: Szalony Pępek, Alabama i (jakże na czasie) Słodka Zemsta. Nie potrafiłam jednak znaleźć w sobie wystarczająco dużo podłości.

- Poproszę o dietetyczną colę. - Z mojego miejsca widziałam stojący za drzwiami zimny barek. - Zresztą mogę ją wziąć sama. - Prawie się podniosłam, ale powstrzymał mnie Daniel.

- Usiądź, Elizabeth. To zadanie Ryana, nie twoje. Przynajmniej na czas twojej wizyty w moim biurze. Odpręż się.

Byłam pionkiem w jakiejś bardzo pokręconej grze między szefem i jego asystentem. Nie dziwota, że Ryan był takim potworem.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, Elizabeth: spotkaliśmy się w Waszyngtonie na zbiórce pieniędzy. Miałaś wtedy na sobie tę śliczną sukienkę w kwiaty.

Nie mogłam w to uwierzyć. Pamiętała! „Bóg tkwi w szczegółach”, jak zwykła mawiać moja mama.

- Niesamowita pamięć - uśmiechnęłam się.

- Niezbędna w moim zawodzie. - Musisz pamiętać, kto cię wyrolował, żeby wyrolować ich podwójnie, kiedy tylko nadarzy się okazja. - Roześmiał się. Nie wiedziałam, czy mam się przyłączyć, czy się rozpłakać. Po bliższym przyjrzeniu się, Daniel nie był tak niepokalany i bez skazy, jak myślałam. - Jesteś szczęśliwa w Los Angeles, Elizabeth? Czy dobrze ci poradziłem, abys zamiast polityką zajęła się filmem?

- Na pewno był to bardzo pouczający krok w moim życiu. Myślałam kiedyś, że to politycy są ludźmi, których najtrudniej jest znaleźć w potrzebie. - Po wyjściu Ryana z pokoju poczułam się nieco pewniej.

- Naprawdę? - rozpromienił się. - Wyobrażam sobie, że Scott jest pod tym względem nieco kłopotliwy. Często bywa w biurze?

Cholera! Niechcący otworzyłam niewłaściwe drzwi, a teraz nie wiedziałam, jak je zamknąć, bez jednoczesnego wkurzania Daniela.

- Wydaje mi się, że Scott pracuje w normalnych godzinach, jak wszyscy inni agenci.

- Dlaczego więc powiedziałaś, że tak trudno go złapać? - Roześmiał się zbyt głośno, aby jego wypowiedź mogła zostać odebrana jako żart. Wyglądał jak typowy czarny charakter z jak najgorszymi intencjami.

- Miałam na myśli cały biznes rozrywkowy. Trudno nadażyć za tym, co się dzieje. Wszystko nieustannie się

zmienia i w każdą sprawę zaangażowane są dziesiątki ludzi.

Była to chyba dostatecznie naiwna odpowiedź i zarazem dobre preludium do rozmowy o moich producencyjnych planach na przyszłość. Ale Daniel jeszcze ze mną nie skończył.

- Ostatnio trochę się martwię o Scotta. Na imprezie dobroczynnej w Mieście Nadziei wpadłem na jego żonę, Mię. Jest u kresu wytrzymałości. Przez dwadzieścia minut opowiadała mi o szaleństwach Scotta i o tym, że mąż bierze chyba zbyt dużo narkotyków. Czy zauważyłaś coś, Lizzie? Nie bój się, możesz mówić całkiem otwarcie. To w najlepiej pojętym interesie Scotta.

„Jasne! Nie urodziłam się wczoraj, cwaniaku!”, przeszło mi przez myśl. Na zewnątrz jednak przybrałam zatroskaną minę z drobnym odcieniem naiwności i głupoty.

- Hmm... cóż... - zaczęłam mój wielki występ.

W tym momencie otworzyły się dębowe drzwi prowadzące do gabinetu Daniela i stanął w nich Ryan z dietetyczną colą na tacce. Nigdy nie myślałam, że tak się ucieszę na jego widok. Z hukiem postawił przede mną oszronioną szklankę z napojem. Zaschło mi w gardle, ale nie chciałam tknąć coli w obawie, że Ryan nasikał do niej, z czystej złośliwości.

- Ryan, czy mógłbyś być bardziej uprzejmy? Postaw szklankę na stole, nie rzucaj nią. Zechciałbyś spróbować jeszcze raz?

Nie mogłam w to uwierzyć. Ryan musiał podnieść szklankę i delikatnie postawić ją ponownie na stole. Poczulałam do niego nagły przypływ sympatii. Właściwie powinnam się teraz skontaktować z HRW\* albo przynajmniej SPCA\*\*. Toż to czyste okrucieństwo! Z drugiej

\* Human Rights Watch, organizacja monitorująca prawa człowieka (przyp. tłum.).

\*\* Society for the Prevention of Cruelty to Animals, organizacja zajmująca się ochroną zwierząt (przyp. tłum.).

strony może właśnie dlatego Ryan i Daniel tak się dobrze dogadywali? W tym zawodzie podobieństwa silnie się przyciągają. Nigdy nie słyszałam niczego dobrego o Ryanie, może więc stał się dupkiem żołądym, zanim jeszcze pojawił się w Agencji. Miałam tylko nadzieję, że Victoria nie została moją mentorką dlatego, że uznała mnie za pokrewną duszę.

Ryan opuścił pokój, a ja postanowiłam skierować rozmowę na inne, bezpieczniejsze dla mnie tory.

- Daniel. Scenariusz, o którym ci wspominałam, nosi tytuł *Zakochani seksoholicy*. Chciałabym zająć się produkcją tego filmu. Jason Blum, autor i reżyser w jednej osobie, jest niezwykle utalentowany. Wiem, że jeśli uda się nam uzyskać dostęp do odpowiednich osób, zdobędziemy pieniądze na realizację. Opracowałam już budżet i wiem, że wyrobilibyśmy się w czterech milionach.

- Rozmawiałaś o tym ze Scottem? Pokazałaś mu scenariusz? - Daniel próbował mnie podstępnie oskarżyć o nielojalność. Miał rację.

- Jeszcze nie. Wszystko dlatego, że spotkałam cię wtedy w windzie i byłeś dla mnie taki miły, że zaferowałeś pomoc i...

Uśmiech Daniela był niczym kubek gorącej czekolady po kuligu.

- Elizabeth, uspokój się. Nie próbuję cię krytykować. Cieszę się, że przyszłaś z tym najpierw do mnie. To komplement. Poza tym to ja cię zatrudniłem, a więc ostatecznie odpowiadasz przede mną. - Ufff, mogłam znów swobodnie odetchnąć.

Czy aby na pewno? Co znaczący jego ostatnie słowa? Daniel próbował mnie kiedyś wyrzucić z pracy, a Scott mnie ocalił. Wobec kogo powinnam być teraz lojalna? Była to jedna z tych rzeczy, o których nie dowiem się od ludzi z działu zatrudnienia.

- Opowiedz mi, jak wygląda twój typowy dzień asystentki - zaatakował znowu Daniel.

- Naprawdę zwyczajnie - uśmiechnęłam się niewinnie. Oczywiście moja odpowiedź nie obejmowała nar-

kotyków, kobiet, alkoholu i wiecznej nieobecności Lary. - Przypuszczam, że w naszym biurze wszyscy pracują na podobnych zasadach, jak w twoim. Scott jest wiecznie na spotkaniach.

Zaczęłam się rozwodzić nad tym, jak bardzo zajęty był ostatnio mój szef, próbując pozyskać dla Agencji kolejnego reżysera, ścigając w plenerach swoje aktorki i zdobywając punkty dla Justina za jego pierwszy film. Potem zorientowałam się, że znów poczułam się zbyt pewnie. W gabinecie Daniela było ciepło i nastrojowo, jak w prywatnej bibliotece starego kolonialnego domu. Zbyt łatwo przychodziły mi zwierzenia. System przesłuchania Daniela był bardzo subtelny, cały czas jednak usiłował zdyskredytować Scotta, zarzucając mu niekompetencję i nieodpowiedzialność. Zdecydowanie miał w tym swój ukryty cel. Scenariusz Jasona i ja niewiele go obchodziliśmy.

- Czy Scott spotyka się z Katherine Watson?

Czyżby Daniel też uważał, że ci dwoje mają ze sobą romans? Nigdy więcej nie rozmawiałam na ten temat z Larą. Katherine dzwoniła do Scotta dość często, jednak zawsze bezpośrednio do biura, nie znałam więc treści ich rozmów.

- Nie organizowałam im żadnych spotkań - odparłam zgodnie z prawdą.

Spojrzał na zegarek, sygnalizując w ten sposób zakończenie naszego spotkania.

- Elizabeth, zostaw swój scenariusz na biurku Ryana. Zajrzę do niego w wolnej chwili. Dziękuję za bardzo pouczającą rozmowę. Naprawdę cieszę się, że jesteś z nami, w Agencji. Myślę, że bardzo się tu przydajesz. Umówmy się za jakiś czas na kolejne spotkanie. Lubię wiedzieć, co się dzieje z moimi podwładnymi - powiedział.

Trwałam z uśmiechem przyklepionym do twarzy, niczym mucha na szybie samochodu.

- Oczywiście. Danielu, dziękuję za poświęcony mi czas. - Rozmowa ze mną była pouczająca? Zdecydowanie nie miałam takiej intencji. Poza tym, czy naprawdę



powinna zostawić Ryanowi scenariusz Jasona? Nie byłam pewna, czy chcę to zrobić. Wyciągnęłam manuskrypt z torby i spojrzałam na niego czule. Jak go tu zostawić w rękach tego ludożercy, Ryana? Z drugiej strony, w którymś momencie i tak wpadłby w jego łapy. - Raz jeszcze dziękuję. Do zobaczenia wkrótce.

Wycofałam się tyłem z jego gabinetu z okropnym uniżeniem. Na szczęście Ryana nie było przy jego biurku. Uśmiechnęłam się do asystentek numer dwa, trzy i cztery, położyłam scenariusz obok najsympatyczniej wyglądającej dziewczyny i popędziłam w kierunku klatki schodowej. Nie zdzierżyłabym spotkania z Ryanem przy windzie. Moje nerwy były i tak wystarczająco zszarpane.

Przed powrotem do biura zjechałam do samochodu, żeby wyciągnąć zapasową bluzkę, którą woziłam ze sobą na wszelki wypadek. Po przesłuchaniu u Daniela byłam dosłownie mokra ze strachu. Poza tym, potrzebowałam kilku chwil, aby zebrać myśli. Zastanawiałam się, czy Daniel rzeczywiście miał na względzie dobro Scotta, jak twierdził. Był jego szefem od lat i wiedziałam, że to dzięki niemu Scott zajmował obecnie tak dobrą pozycję w Agencji.

Wyjęłam bluzkę z bagażnika, zamknęłam go z trzaskiem i ruszyłam w stronę windy. Czyżbym wciągnęła się w tutejsze gierki tak bardzo, że chcę pomocy traktowałam z podejrzliwością? Wiedziałam jedno: powinnam być lojalna wobec Scotta. To, co odbyło się dzisiaj na czwartym piętrze, zupełnie mi nie pasowało; Daniel i Ryan, kataryniarz i jego małpka, swobodny ton konwersacji i udawana serdeczność. Po prostu nie wydawało mi się to wszystko szczerze.

Miałam już nacisnąć guzik windy, gdy nagle podeszli do mnie obaj Jose.

- Lizzie, *donde hay humo, hay calor*.

To było proste. Uznałam, że postanowili podreperować mój hiszpański. Może po to, żebym stała się lepszym materiałem na agentkę, a może w przyszłości chcieli wydać mnie za jednego ze swoich synów.

- Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą - przetłumaczyłam z dumą. - Pamiętam to z ósmej klasy.

Moje tłumaczenie nie zrobiło na Jose większego wrażenia.

- Uważaj, mała jaszczureczko - mruknął jeden z nich, po czym obaj zmyli się czym prędzej, ponieważ w pobliżu stróżówki pojawili się dwaj księgowi, rzucając na półkę karty parkingowe.

Wskoczyłam do windy i wróciłam do świątyni mojego biura. Nie umknęła mi ironia tej myśli: traktowałam moje miejsce pracy jak schronienie. Wjeżdżając na pierwsze piętro, zastanawiałam się nad fenomenem obydwu Jose. Podejrzewałam ich o posiadanie jakiejś wtyczki na samej górze Agencji. W mojej głowie wciąż kołatały się ich słowa. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Ostatnio działy się tu dosyć dziwne rzeczy: Ryan buszujący w gabinecie Scotta, tajemnicze spotkania Scotta z Katherine, a potem nagłe zainteresowanie Daniela akurat mną, spośród wszystkich jego pracowników. Nie chodziło mu przecież o mój projekt.

Wiedziałam jedno: nie mogłam już dłużej chować głowy w piasek, oznaczało to bowiem nielojalność wobec Scotta. Postanowiłam porozmawiać jak najszybciej z Larą i ustalić, czy cierpię na paranoję zawodową, czy też rzeczywiście coś się święci. Może powinnam podzielić się ze Scottem swoimi spostrzeżeniami? Tak podejrzewałam. Porzuciłam plany przebrania się w świeżą bluzkę i pobiegłam prosto do biura.

Wpadłam do środka zadyszana. Lary nie było przy biurku, a drzwi do gabinetu Scotta zamknięto. Musiałam mu o wszystkim powiedzieć od razu, zanim stracę odwagę. Podeszłam do jego gabinetu i dramatycznie otworzyłam drzwi. Oficjalnie Scott nie miał teraz żadnego spotkania, zapewne więc oglądał mecz koszykówki albo jakiś film.

Przywitał mnie dość niecodzienny widok. Zamrugiałam kilka razy, próbując rozpoznać tego gładko ogolonego, pachnącego wodą kolońską, odzianego w szary gar-

nitur mężczyzną siedzącego przy biurku. Od chwili przybycia do Agencji dziś rano, jakimś tajemniczym sposobem ze zdziwaczałego osła Scott przemienił się w eleganckiego współnika Agencji. Spojrzał na mnie wyczekująco, z profesjonalnym uśmiechem na twarzy.

- Wybierasz się dziś na ślub? - spytałam.

Scott uśmiechnął się szerzej, z lekkim zawstydzeniem, po czym wskazał na Katherine, która siedziała po prawej stronie, na kanapie.

- Lizzie, poznałaś już Katherine Watson, szefową działu literatury?

Zdziwiłam się niepomierne na myśl, że Scott tak się odstawił na cześć kuszącej pani Watson. Żałosne, ale na swój sposób słodkie. Dzięki Bogu, że nie weszłam w jakimś wstydlwym momencie. Obydwoje byli kompletnie ubrani, Katherine siedziała dobre trzy metry od Scotta i uśmiechała się uprzejmie. Stałam jak wmurowana, gapiąc się na nich z otwartymi ustami.

- Lizzie, mogę ci w czymś pomóc? - spytał Scott.

- Tak. Chciałam z tobą o czymś porozmawiać. - W tym momencie obydwójce spojrzeli na mnie z wyczekiwaniem. - To w pewnym sensie prywatna sprawa. Mogę poczekać.

Katherine uniosła brwi. Odwróciłam się, żeby wyjść, ale wstała szybko i wygładziła spódniczkę.

- Lizzie, proszę cię, zostań - powiedziała. - Właśnie skończyliśmy. Miło było cię poznać, a co do naszych spraw, Scott, dam ci znać.

Znać o czym? O tym, w którym hotelu mają się spotkać? O tym, że zdecydowała się odejść od swojego idealnego męża? O tym, jaką pozycję lubiła najbardziej, albo...

- Lizzie, co się dzieje? - Scott patrzył się na mnie cierpliwie. Rozpaczliwie usiłowałam skoncentrować się znowu na tym, co mnie tu przywiodło.

- Właśnie miałam rozmowę z Danielem. Myślałam, że będzie dotyczyła filmu, który chciałabym wyprodukować, ale...

- Jakiego filmu? - spytał zdziwiony Scott. - Dlaczego nie przyszłaś z tym do mnie?

- Mój przyjaciel napisał niesamowity scenariusz. Chciałabym zająć się produkcją opartego na nim filmu... - przerwałam, ponieważ Scott wyglądał na bardzo zaniepokojonego. A może zranionego?

- Chcesz mi powiedzieć, że masz jakiś projekt i nie przyszłaś z nim najpierw do mnie? - spytał.

Spojrzałam na niego i załało mnie poczucie winy. Natychmiast pożałowałam swojej decyzji.

- Scott, ja naprawdę nie chciałam... tylko widzisz... - Cała historia wylała się z moich ust jak lawa z wybuchającego wulkanu, w jednym, nieskończone długim zdaniu. - Spotkałam Daniela w windzie, a on zapytał mnie, czy dobrze mi się powodzi i czy lubię z tobą pracować, i zanim się spostrzegłam, powiedziałam mu o tym projekcie, a potem on powiedział, że powinniśmy się spotkać w jego biurze, żeby porozmawiać na ten temat, i ja myślałam, że wcale nie zadzwoni, ale jego asystentka potwierdziła nasze spotkanie, a potem on wypytywał mnie o ciebie i naprawdę żałowałam przez cały ten czas, że byłam zbyt uprzejma i przywitałam się z nim wtedy, w windzie.

- W porządku, Lizzie - O. Klapnij sobie - powiedział Scott i odeskortaował mnie na kanapę. Sam usiadł w fotelu naprzeciwko. - Opowiedz mi wszystko od początku, tym razem nieco spokojniej.

- Dzięki - odparłam i odetchnęłam głęboko.

- Zatem nie przyszłaś do mnie ze swoim projektem, bo uważasz, że jestem beznadziejny w swoim fachu? - spytał Scott.

Boże, jakie to typowe. Dlaczego mamy się zajmować kompleksami Scotta, kiedy są ważniejsze rzeczy, którymi powinniśmy się teraz martwić? Na przykład Daniel. I jego podstępny. I różne ciemne sprawy.

- Oczywiście że nie. Uważam, że jesteś genialny. Po prostu uznałam, że jesteś zbyt zajęty. Poza tym, zajmujesz się raczej aktorami, nie scenariuszami. Nie chcia-

tam zabierać ci cennego czasu. Jeśli chcesz, mogę ci dać ten scenariusz, mam go w swoim biurku. - Wskazałam za siebie, w kierunku mojego stanowiska pracy. - Tylko że ty nigdy nie czytasz, Scott.

Uff! Powiedziałam to wreszcie. Zawsze musiałam przygotowywać dla niego streszczenia streszczeń, a na końcu i tak kazał mi je sobie odczytywać na głos. Albo wyrzucić, jeśli nie była to komedia albo sensacja.

- Masz rację - roześmiał się. Dzięki Bogu! - Jestem po czubek głowy zavalony robotą i nie czytam. Zgłoś się jednak, jeśli będziesz miała pomysł co do obsady. A teraz powiedz mi, o czym chciał wiedzieć Daniel?

Opowiedziałam mu więc o całym wcześniejszym przesłuchaniu. Scott podszedł do sprawy bardzo spokojnie. Zadał mi tylko jedno pytanie:

- Lizzie, jesteś ze mną?

- Co? Gdzie? Teraz? - Czyżby Scott stał się egzystencjalistą?

- Nie. Pytam, czy jesteś ze mną, czy przeciwko mnie. Nie to, żeby coś się działo. Po prostu muszę wiedzieć.

- Jestem z tobą, Scott. Bez dwóch zdań - rzuciłam, zanim zdołałam się zastanowić nad możliwymi konsekwencjami swojego postępowania. Właśnie ogłosiłam lojalność wobec genialnego wariata. Pozostało mi tylko modlić się, żeby nie poszedł na dno jak „Titanic”.

*Chciałabym gdzieś pojechać. Chciałabym, żebyś mnie stąd zabrał.  
Możemy wyjechać razem.*

Mary Murphy jako Kathie Bleeker (*Dziki*)

Moja mama uważa, że podróże prywatnymi odrzutowcami to sposób, w jaki Bóg daje do zrozumienia, że ktoś ma za dużo pieniędzy. Za każdym razem, gdy w wiadomościach opowiadają o wypadku prywatnego samolotu, potrząsa głową i wzdycha, spoglądając ponuro z wyrazem: „A nie mówiłam?”. Dodam, że mama jest ateistką, nie wiem zatem, jak jej teoria godzi się z jej poglądami. Tak czy siak, przeczyły temu statystyki.

Dziś jednak, w ten deszczowy styczniowy poranek, nie miałam głowy, żeby się nad tym wszystkim zastanawiać. Weszłam do budynku Agencji, ciągnąc za sobą walizkę pełną swetrów, szalików i różnych zimowych rzeczy. Scott zaprosił mnie na festiwal filmowy Sundance. Moja pierwsza podróż służbowa. Byłam niesamowicie podekscytowana.

W założeniu, Scottowi miała towarzyszyć Lara; odbierać jego telefon, upewniać się, że dotrze na czas na wszystkie zebrania, chodzić na filmy, których on nie mógł obejrzeć z powodu napiętego planu zajęć. Okazało się jednak, że jej rodzice wybrali właśnie ten weekend, aby przyjechać do niej z wizytą z Filadelfii. Musiała więc zostać w domu. Na moje szczęście stało się to dokładnie wtedy, gdy najbardziej tego potrzebowałam.

Wszyscy powtarzali mi, że od Święta Dziękczynienia aż do Nowego Roku przemysł rozrywkowy zapada! w sen zimowy. Nie mogłam jednak uwierzyć, że życie może się stać tak niewymownie beczynne. W grudniu Scott nie podpisał żadnego nowego kontraktu, Lara całymi dniami nie przychodziła do biura, spotykając się z agentami literackimi, i nawet Victoria znalazła sobie chyba kogoś innego do robienia jej świątecznych zakupów. Poza jednym bardzo zajęтым popołudniem, gdy próbowałam ustalić, do których klientów Scotta powinnam wysłać kartki bożonarodzeniowe, a do których z okazji Chanuka (żeby ci, którzy spodziewali się widoczku z Dzieciątkiem Jezus w kołysce, nie otrzymali przez pomyłkę rysunku siedmioramiennego świecznika i vice versa), nie robiłam nic w najmniejszej mierze stymulującego.

Żaden z wybranych agentów nie zgłosił się do mnie w sprawie *Zakochanych seksoholików*, chociaż wysłałam scenariusz do ludzi pracujących poza Agencją; z CAA, Williama Morrisa i Endeavour. Daniel też nie wspomniał o projekcie ani słowem. W ogóle ostatnimi czasy stał się dziwnie milczący. Nie poklepywali się już po plecach ze Scottem tak często i długo, jak kiedyś. Nawet Ryan zdawał się wpełznąć na jakiś czas pod swój kamień. Co gorsza, Talitha doniosła mi, że mój ukochany Luke Lloyd wyjechał na plener do Maroka. Nie mogłam się więc nawet wpatrywać w jego zdjęcie na stronach „y”, zastanawiając się, kim jest ta olśniewająca piękność, z którą pojawił się na kolejnej premierze lub w psim parku. Z braku informacji wyobrażałam sobie, że ma romans z główną aktorką swojego najnowszego filmu i że spędzają radosne chwile w jakimś mauretańskim pałacu, karmiąc się świeżymi figami i uprawiając miłość w upalne popołudnia.

Kiedy dzisiejszy dzień pracy dobiegł końca, wylogowałam się z komputera, a potem pobiegłam do Coffee Bean pożegnać się z Jasonem i odebrać najnowszą wersję *Zakochanych seksoholików*. Chociaż bowiem naszym projektem nikt się jeszcze nie zainteresował, nie za-

mierzaliśmy się poddać i spędziliśmy wiele weekendów na ponownej lekturze i wprowadzaniu poprawek. Pozostałam się wszelkich zahamowań i odgrywałam role niezliczonych prostytutek, matek i dziewczyn, podczas gdy Jason z zapałem profesjonalisty wziął na siebie przedstawianie wszystkich męskich bohaterów. Gdy prezentowane przez nas postacie miały się pocałować, uśmiechaliśmy się po prostu nieśmiało i przechodziliśmy do następnej sceny. Bardzo się do siebie zbliżyliśmy, mimo że nie było między nami ani odrobiny chemii. Chodziliśmy razem na seanse popołudniowe, a gdy któreś z nas zatęskniło za domem, przygotowywaliśmy sobie kolacje z pieczonego kurczaka w moim mieszkaniu. I chociaż nie wybraliśmy się już więcej na żadną wycieczkę w góry, czasem spacerowaliśmy po plaży. Pod prawie każdym względem stanowiliśmy parę. Tyle że nigdy nie zbliżyłam się do niego wystarczająco blisko, aby poczuć na swej skórze drapanie jego swetrów z jaskowej wełny.

- Baw się dobrze, Lizzie - powiedział, gdy włożyłam poprawiony scenariusz do torby i ruszyłam w stronę drzwi.

- Szkoda, że nie mogę cię spakować do walizki i zabrać ze sobą. Moglibyśmy razem rozejrzeć się na festiwalu i znaleźć jakiegoś sponsora dla naszego maleństwa - poklepałam dłonią wybrzuszący moją torbę manuskrypt.

- Zrobisz, co w twojej mocy - machnął ręką. - A jeśli dla sprawy będziesz musiała pójść z kimś do łóżka, nie wahaj się. Jest to ryzyko, na które jestem przygotowany.

Rzuciłam mu wrogie spojrzenie i zaraz potem się roześmiałam.

- W porządku. Zrobię, co będzie trzeba.

Nasz biedny film kiepsko sobie radził w tym martwym okresie. Ktoś powiedział mi jednak, że najlepiej będzie sprzedać projekt na wiosnę, kiedy wszystko zacznie się rozkręcać, nie traciłam więc nadziei. Coraz bardziej się upewniałam, że scenariusz *Seksoholików*



to dzieło geniusza. Ostatnio potrafiłam nawet docenić mizerne wysiłki reżyserskie Jasona. Musiałam w tym celu nieco się doszkolić, spędzając niezliczone wieczory na oglądaniu filmów Elii Kazana i Prestona Sturgesa, nie wspominając już nawet o całym stadzie filmów zagranicznych, które wcześniej bojkotowałam jako tragiczne pomyłki młodocianych amatorów-nudziarzy. Festiwal Sundance miał być dla nas okazją, aby ruszyć coś w sprawie naszego projektu. Zamierzałam wcisnąć go każdemu, kto wyrazi choćby cień zainteresowania.

Półtorej godziny później wysiedliśmy ze Scottem z limuzyny na lotnisku międzynarodowym LAX. Padał deszcz i nasz szofer rozłożył ogromny parasol, aby uchronić nas przed przemoknięciem. Spojrzałam w górę i zobaczyłam, że na małym pasie startowym czeka na nas mój pierwszy w życiu gulfstream. Schody były opuszczone, a w drzwiach stała śliczna stewardesa, czekając z uśmiechem na nasze przybycie. Chciałam wyciągnąć swoją walizkę z bagażnika, ale szofer popchnął mnie lekko w stronę czerwonego chodnika rozwiniętego na asfalcie, prowadzącym do samolotu. Chciałam szturchnąć Scotta w żebra i roześmiać się na widok tej nedorzecznosci, ale on zdawał się niczego nie zauważać. Był pochłonięty konwersacją z Katherine Watson. Mówił przyciszonym głosem, ale słyszałam coś o prawnikach. Poza tym, dla Scotta podróż gulfstreamem była niczym dla mnie przejażdżka greyhoundem. Tyle że nie musiał znosić zapachu hamburgera pożeranego z mlaskaniem przez faceta na sąsiednim siedzeniu.

- Witamy na pokładzie samolotu do Salt Lake City - stewardesa uśmiechnęła się do Scotta, który wręczył jej kurtkę, nie przerywając rozmowy z Katherine.

- Jesteśmy kryci ze wszystkich stron. Piętnastu moich prawników pracuje nad papierami. Nawet jeśli będzie chciał nas pozwać, mamy poparcie zarządu - rzucił Scott, ruszając w głąb samolotu.

Weszłam za nim, uśmiechając się do pilota, pięciu stewardes i do myśli, że oto za chwilę znajdę się w najbardziej ekskluzywnym środku lokomocji, znanym człowiekowi.

- Przepraszam, gdzie mam usiąść? - spytałam nonszalancko, udając, że prywatne odrzutowce to dla mnie zwyczajna rzecz.

- W tym samolocie może pani usiąść gdziekolwiek pani sobie życzy - uśmiechnęła się stewardesa.

Z pewnością wiedziała, że to mój pierwszy (i prawdopodobnie ostatni) taki rejs w życiu.

- Oczywiście - zarumieniłam się i rozejrzałam wokoło. Scott zajął miejsce na samym końcu kabiny, jak najgorszy uczeń w szkole. Reszta siedzeń była wolna. Założyłam torbę na ramię i podeszłam do brązowej pluszowej kanapy przy oknie. Po drodze zgarnęłam kaszmirowy koc pod kolor. Usadoviłam się wygodnie na poduszkach. Co z tego, że załoga wie, iż jestem stałą bywalczynią klasy ekonomicznej? Leciałam na festiwal Sundance. Wszystko wskazywało na to, że będzie zimno i już się cieszyłam na myśl o włożeniu mojego ulubionego wełnianego swetra. Pierwszy raz w tym roku. Zapowiadała się świetna zabawa.

Wyciągnęłam z torby poprawiony scenariusz *Zakochanych seksuolików* i związałam włosy w koński ogon. Na stronie tytułowej Jason umieścił moje nazwisko i adres kontaktowy, dla informacji każdego, komu mógłby się spodobać nasz projekt. Miałam nadzieję, że kiedyś rzeczywiście ktoś się do mnie odezwie.

Zaczęłam czytać:

*AUDYTORIUM WEWNĘTRZNE, HARVARD,  
ŚRODEK DNIA*

*JACK zostaje sam na uroczystości wręczenia świadectw, przyglądając się, jak jego przyjaciele wychodzą po kolei.*

- Lizzie, kochanie, masz coś do pisania? - zajrzał mi przez ramię Scott.

- Jasne. - Sięgnęłam do torby, pogrzebałam w jej przepastnych zakamarkach i triumfalnie wyciągnęłam długopis. - Proszę uprzejmie.

- Dzięki, słoneczko - zwichrzył mi włosy.

Zanim jednak zdążył cofnąć rękę, padł na nas cień.

- Scottie, stary koniu! - usłyszeliśmy

Scott wyplątał palce z mojego kucyka. Spojrzałam w górę i zobaczyłam Jake'a Hudsona w pełnej krasie.

- Jake! - przywitał się głośno Scott. - Cieszę się, że się wyrwałeś, stary.

- Wiesz, miałeś rację. Na Sundance zawsze jest pełno apetycznych panienek, a my przecież lubimy odkrywać nowe talenty, co nie? Dzięki za podwózkę, stary.

- Spoko.

Scott i Jake stuknęli się pięściami i roześmiali głośno, w przyjemny dla ucha sposób. Stewardesy chyba dostały orgazmu.

Gwoli wyjaśnienia, Sundance jest festiwalem niezależnych filmów, powołanym do życia przez Roberta Redforda. Odkrywa się na nim i nagradza młode talenty. Każdy początkujący reżyser, scenarzysta i producent na tym świecie stawia sobie za cel pojawienie się na Sundance, gdzie zaś ciągną młodzi i nowocześni, tam zjeżdżają również starzy i zdesperowani. Stąd tłum szefów studiów filmowych i agresywnych agentów, którzy mają nadzieję kupić za grosze jakąś odlotową nowinkę. Zazwyczaj żałują swej podróży, ponieważ w naszych czasach nie ma już tanich, dobrych filmów. Poza tym notorycznie łamią sobie nogi i upokarzają się jazdą na snowboardach, przed którą nie mogą się powstrzymać. Wszyscy bowiem zatrzymali się w rozwoju emocjonalnym na poziomie trzynastolatka i wydaje im się zawsze, że ma to również przełożenie na ich sprawność fizyczną. Co oczywiście jest wierutnym kłamstwem.

Zauważyłam, że Jake wybrał się do Prądy Sport, specjalnie na okoliczność wyjazdu. Nie mogłam się tylko zdecydować, czy Jake wyglądał jak bóg, czy jak idiota z kołnierzykiem z króliczego futra, zdobiącym jego kurt-

kę narciarską. Tak czy siak, cieszyłam się, że nie wywierają już na mnie takiego wrażenia, jak kiedyś. Wszystko dzięki obiektowi zastępczemu w postaci Luke'a Lloyd'a.

- A to jest...? - powiedział pytająco Jake, zaciskając usta w zamyśleniu i spoglądając na mnie. Był tak wielki, że wewnątrz samolotu nagle dziwnie zmalało.

- Lizzie - rzucił Scott, sadowiąc się z powrotem na swoim miejscu.

- Lizzie, pozwól, że się przedstawię. Mam na imię Jake - wyciągnął dłoń.

Spojrzałam mu prosto w oczy bez drgnięcia powieką.

- Miło mi cię poznać - powiedziałam. Dla Jake'a równie dobrze mogło to być nasze pierwsze spotkanie.

- Czy mogę sobie tu przycupnąć? - spytał, opadając na sofę po przeciwnej stronie

- Naturalnie - wróciłam do czytania.

Zadziwiające, jak łatwo przychodziło mi teraz zachować spokój w jego obecności. Myślę, że to dzięki terapii awersyjnej, w której nader często afirmowałam słowa:

Jake Hudson jest złym człowiekiem  
Jake Hudson jest złym człowiekiem  
Jake Hudson jest złym człowiekiem  
Jake Hudson jest złym człowiekiem

Dzięki temu byłam teraz w stanie patrzeć na niego, myśleć i marzyć o nim bez niepożądanych efektów ubocznych. Musiałam przyznać, że bez względu na okoliczności był jednym z najbardziej sycących wzrok obiektów na świecie. Nabawiłam się przez to paskudnego zęza rozbieżnego, próbując zerkać na niego prawym okiem znad kartek *Zakochanych seksoholików*.

- Rozumiem, że jesteś ze Scottem - rzekł, pochylając się ku mnie po niecałych dziesięciu minutach, gdy już usadowił się wygodnie na swojej kanapie i zapiął pasy.

- Nie, tak naprawdę jestem jego... - miałam najszersze intencje, aby ujawnić mój status drugiej niewolnicy Scotta, ale Jake zbyt szybko się wtrącił:

- Kochanie, oboje doskonale wiemy, że nie jesteś jego żoną.

- Zdaję sobie sprawę, że nie jestem jego żoną. Nie jestem również jego...

- Nie przejmuj się. - Poklepał mnie po kolanie. Prawie nagim, bo odzianym jedynie w prążkowane rajstopy. Przejechał kciukiem po zagłębieniu w stawie. Szarpnięciem uwolniłam nogę. - Wszystko rozumiem.

- To doskonale.

Schowałam nogi pod brązowy kocyk i wróciłam do czytania. Na szczęście kilka minut później samolot poderwał się do lotu. Rzuciłam okiem przez okno, obserwując oddalającą się mgłę deszczu nad oceanem. Wzbijaliśmy się coraz wyżej, a ja czułam rosnącą we mnie radość. Siedziałam na pokładzie prywatnego odrzutowca, naprzeciwko jednego z najprzystojniejszych mężczyzn Hollywoodu. Co z tego, że go nienawidziłam? Przecież mogłam sobie popatrzeć, prawda? Ciekawe, czy jako czterdziestoletnia kobieta będę wracała wspomnieniami do tego dnia jak do najwspanialszej przygody w moim życiu, czy też okaże się on zaledwie początkiem zaczarowanej, wypełnionej ogromnymi sukcesami przyszłości. Trzymałam kciuki za tę drugą ewentualność i miałam nadzieję, że nigdy nie stanę się na tyle cyniczna, aby nie umieć docenić dobrych rzeczy w moim życiu. Potem jednak przypomniałam sobie, że jak dotąd nikt jeszcze nie zainteresował się *Zakochanymi seksoholicami*, ja zaś nadal byłam drugą asystentką, więc pewnie nie powinnam się zbyt rozpędzać z marzeniami.

- Zechce pani spróbować nieco naszej sałatki krabowej? - spytała stewardesa, podprowadzając do mnie stolik zastawiony apetycznymi potrawami. - A może woli pani talerz z serami?

- Poproszę sałatkę krabową. - Odłożyłam scenariusz na bok, robiąc miejsce na stoliku. - I talerz z serami, jeśli można.

- Wino czy szampan?

- Kieliszek czerwonego wina. - Zamierzałam się na-  
jeść i przespać resztę lotu... cóż, tak przynajmniej byto  
do chwili, gdy pojawił się On. Teraz chyba nie potrafi-  
łabym usnąć w obawie przed mimowolną prezentacją  
opadającej szczęki czy głowy.

- Uwielbiam dziewczyny z apetytem. - Jake rozparł się  
na swoim siedzeniu ze szklaneczką szkockiej na lodzie.  
Patrzył na mnie, jakbym sama była sałatką krabową.

- Muszę się wzmocnić - powiedziałam bezmyślnie.

- Oczywiście że tak. Słyszałem, że Scottie potrafi to  
robić całymi godzinami - mrugnął.

Zadrzałam. Sam pomysł uprawiania seksu ze Scot-  
tem był gorszy niż incest.

- Właściwie to Scott jest moim... - zaczęłam znowu,  
próbując wyjaśnić sytuację.

- Oto pana niskowęglowodanowe jedzenie. - Do Ja-  
ke'a podpłynęła inna stewardesa i postawiła przed nim  
miskę sałaty z przybraniem.

- Świetnie, dzięki - uśmiechnął się do niej promien-  
nie, ani trochę niezawstydzony tym, że był na diecie.  
Nie zrozumcie mnie źle: nie mam nic przeciwko męż-  
czyznom, którzy o sobie dbają. Uważam jednak, że w fa-  
cecie, który jest namiętym zwolennikiem diety Atkin-  
sa (albo innego reżimu żywieniowego, który sugeruje,  
że dana osoba myśli wyłącznie o dobrym wyglądzie) jest  
coś bardzo niemęskiego. Osobiście wolę bardziej kor-  
pulentnych mężczyzn, którzy czytują Prousta. Może  
z wyjątkiem obecnej sytuacji, ponieważ pomimo jego  
niskowęglowodanowego posiłku, patrząc na Jake'a, po-  
trafiłam myśleć tylko o tym, jak niemożliwie fantastycz-  
nie byłoby móc go teraz pocałować. Ten jeden, jedyny  
raz.

- Powiedz mi, kochanie, gdzie się zatrzymujesz na fe-  
stiwalu? - Schrupał liść sałaty i spojrzał się na mnie  
wyczekująco.

- Szczerze mówiąc, nie jestem do końca pewna. Wy-  
daje mi się, że w domku wypoczynkowym...

- Ze Scottem?

- Raczej tak.

- Ale będziesz się mogła wymknąć, prawda? - zapytał *sotto voce*.

Scott chrapał głośno na siedzeniu z tyłu samolotu.

- Wymknąć? - Wciąż nie byłam pewna, czy próbował mnie uwieść, czy też chciał się upewnić, że w razie potrzeby będzie mógł mnie wykorzystać w środku nocy o północy do kupowania czerwonych marlboro i smażenia mu jajek na bekonie.

- Daj spokój. Uważam, że jesteś prześliczna - powiedział i na jedną sekundę niemal straciłam głowę. Stewardesa stała tuż obok w pogotowiu, spoglądając na mnie, jakbym była największą szczęściarą na świecie. - Przecież wiesz, że tego chcesz.

Jake mrugnął i poczucie *deja vu* uderzyło mnie mocniej niż krążek hokejowy. Facet całował się ze mną i wcale mnie nie kojarzył. Nie sądzisz, Lizzie, że to dość obraźliwe, pomyślałam. Dziwne, ale w tym samym momencie przypomniałam sobie coś, co powiedziała kiedyś Lara, w ten swój niepowtarzalny, pogardliwy sposób: „Nie ma lepszego narkotyku niż pieprzenie dziewczyny kogoś bardziej wpływowego od ciebie”. Natychmiast przejrzałam grę Jake'a. Chciał ze mną iść do łóżka, bo myślał, że jestem dziewczyną Scotta.

- Właściwie to nie wiem, czy mam ochotę się wymknąć - uśmiechnęłam się uprzejmie i nabrałam nieco sałatki krabowej.

Odmowa była wodą na młyn Jake'a. Zachowywał się jak Hannibal Lecter. Daję słowo, że usłyszałam nawet ten dziwny odgłos wsysania. Radosny uśmiech powoli pojawił się na jego twarzy.

- Klub Mile-High? - mrugnął.

- Co z nim?

- Może raczej „co w nim”?

- A może nic? - Pociągnęłam spory łyk wina i niemal się zakrztusiłam, ale Jake nie zwrócił uwagi na moje wybałuszone oczy.

- Próbowałaś kiedyś?

- Szczerze powiedziawszy - zaczęłam, czując się dużo odważniejsza dzięki odpowiedniej dawce pinot noir płynącej w moich żyłach - zawsze uważałam, że pieprzenie się na umywalce w świetle jarzeniówek, z jedną nogą na sedesie jest czynnością dość aseksualną.

- Bo nigdy nie próbowałaś tego ze mną. Poza tym, jeśli jesteś wstydliva, mogę zaaranżować przyciemnienie światła.

- Nie jestem wstydliva. Nie jestem również zainteresowana. Przykro mi - powiedziałam i zaraz pożałowałam swojej arogancji.

Nie znaczy to, że Jake zasługiwał na uprzejmość z mojej strony. Po prostu poczułam się źle. Najwyraźniej jednak nie ma jak odrobina pogardy. Jake Hudson zawsze dostawał to, co chciał. Widać było wyraźnie, że od szkoły średniej, kiedy przestał nosić aparacik na zębach, żadna dziewczyna nie odmówiła mu swych wdzięków.

- Nie możesz mnie tak spławiać, Lizzie.

- Hmmmm. Wydaje mi się, że jednak mogę. Zapewniam cię, że tak będzie lepiej.

- N i e .

- O tak. - Dojadłam sałatkę i rozparłam się na sofie z błogim westchnieniem. - Zdecydowanie myślę, że tak.

- Jesteś bardzo inteligentna. Nie masz pojęcia, jak mnie to kręci. A na dodatek jesteś bardzo piękna. Proszę, umów się ze mną.

- Gdzie? W toalecie?

- W Los Angeles, po powrocie. Skoro na Sundance jesteś już zaklepana - powiedział, ściągając przez głowę sweter. Włosy mu się zwichrzyły i znów zaczął przypominać modela z billboardów. Niestety. Bardzo chciałam nadal mu odmawiać, ale jednocześnie pragnęłam go znowu pocałować. Poczuć jego uda i zapach whisky w oddechu.

- Wiesz co? - Spojrzałam na niego. Podjęłam najlepszą decyzję w moim życiu (może z wyjątkiem chwili, w której nagle zdecydowałam się wstąpić do sklepu po



paczkę Hubba Bubby, a w miejsce, w którym stałam, dwie sekundy później uderzyła spadająca cegła).

- Co? - Pochylił się wyraźnie podekscytowany. - Powiedz mi.

- Jeśli po powrocie do Los Angeles wciąż będziesz pamiętał moje imię, pozwolę się zabrać na obiad.

- Naprawdę?

- Może - odparłam i nacisnęłam guzik na oparciu kanapy, aby przyciemnić światło do czytania nad głową. Nigdy w życiu nie byłam taką luzaczką i wiedziałam, że dłuższe odgrywanie tej roli może mi nie wyjść, dlatego zdecydowałam się pójść spać. Tyle że wcale nie powinnam zasnąć, ponieważ zniszczyłoby to mój swobodny wizerunek. Tak naprawdę zamierzałam spędzić kolejne pięćdziesiąt minut, leżąc w nadobnej pozycji, udając sen i wbijając paznokcie we wnętrza dłoni, żeby przypadkiem nie zapaść w prawdziwą drzemkę.

## 21

*Nie masz już dosyć, ty wielka bananowa głowo?*

Marilyn Monroe jako Angela Phinlay (*Asfaltowa dżungla*)

- Scott, tu jest tylko jedno łóżko.

Stanęłam w miejscu, wraz z moją nieodłączną walizką, i przyjrzałam się odciskom na swojej dłoni. Kierowca podwiózł nas pod same drzwi domu wypoczynkowego Polny Kwiat, gdzie mieliśmy się zatrzymać. Musiałam zatargać mój bagaż trzy piętra w górę i przemierzyć z nim cztery sypialnie (każda z nagim, nieprzyjaznym materacem), zanim znalazłam „nasz” pokój.

- Co jest?

Scott rzucił swoją torbę na łóżko, nie dostrzegając moich obolałych palców. Wcześniej umknęło jego uwadze również to, że walizka nieustannie obijała mi się o nogi, gdy taszczyłam ją po schodach na górę, przez niezliczone drzwi i dookoła stołów. Jeśli zaś jakimś cudem to dostrzegł, nie dał nic po sobie poznać.

- Lara też miała mieszkać tu z tobą, czy zamówiła sobie osobny pokój? - spytałam, spoglądając tęsknie na miękką kołdrę, która zapadła się w najbardziej puchowy sposób na świecie pod ciężarem torby Scotta.

- Lara? - Scott zdjął kurtkę i ruszył w stronę łazienki. - A tak. Nie wiem. Pewnie zapomniła im powiedzieć, żeby przygotowali dla niej drugie łóżko, albo coś w tym rodzaju.

Obserwowałam, jak zrzuca buty i pochyła się, żeby odkręcić kran. Gorąca para zaczęła wypełniać pokój.

- Hej, masz jakieś kobiece gówienka do kąpieli? - spytał.

- Kobiece gówienka? - Byłam zmęczona i przemarznięta na kość. Scott najwyraźniej nie zamierzał zachować się jak dżentelmen i odstąpić mi swej luksusowej kwatery.

- Płyn do kąpieli.

- Jest gdzieś tutaj.

Usiadłam na walizce i zaczęłam się zastanawiać, czy mam ją zepchnąć ze schodów, czy też zsunąć stopień po stopniu, siedząc na niej okrakiem jak na rodeo, żeby ocalić dekoracje wnętrz.

- Fajnie. Pamiętaj, że nie używam niczego z siarczanami. Wyszuszają skórę. To twoje coś nie ma siarczanów, prawda?

Spojrzałam na niego zdumiona. Rozumiałam już, dlaczego Mia czuła się usprawiedliwiona, obdzierając go codziennie z pieniędzy. Nie spędziłam z nim jeszcze całego dnia, a już czułam, jak zbiera mi się na dwudziestokaratowy napad złości.

- Martwisz się o suchą skórę? - spytałam, gdy przetraszał swoją torbę w poszukiwaniu szczoteczki do zębów.

- Strasznie swędzi, kiedy jest sucha.

- Czy kokaina przypadkiem nie ma tego samego efektu?

- Nie. Kokaina daje kopa.

- Nie o to mi chodziło. Przecież kokaina wywołuje świąd skóry, prawda? A poza tym sprawia, że wygląda się okropnie. - Pragnęłam jego łóżka wręcz nieprzyzwyczajenie. Byłam na nogach od piątej rano, ponieważ musiałam się upewnić, że plan festiwalowych spotkań Scotta jest laminowany i napisany tak, by nawet idiota go zrozumiał oraz że jego telefony komórkowe są naładowane. W porze lunchu musiałam lecieć do Rexallu i kupić kłódki na wszystkie szuflady i szafki z dokumentami

w gabinecie Scotta, resztę popołudnia zaś spędziłam, usuwając z jego skrzynki elektronicznej niepotrzebne e-maile. Scott nie mógł tego zrobić sam, ponieważ odgłosy wydawane przez komputer przy tej czynności wywoływały u niego objawy przedpadaczkowe. Podobno. Dlaczego jednak chciał wyrzucić wszystkie e-maile i zamknąć na cztery spusty szuflady? Nie miałam pojęcia. Podejrzywałam wczesne stadium paranoi, ale kiedy wspomniałam o jego dziwnym zachowaniu Larze, uznała to za bardzo rozsądne działanie.

- Scott zazwyczaj miewa dobre instynkty - powiedziała, po czym wróciła do pisania dziewiętnastego rozdziału swojej powieści.

W tej chwili żałowałam, że manieri Scotta nie były w połowie tak dobre, jak jego instynkty. Musiałam patrzeć, jak zanurza się w ciepłej, parującej kąpieli i wysłuchiwać jego narzekań na moją niezdolność dostarczenia kosmetyków wolnych od siarczanów. Potem poprosił mnie o przygotowanie mu szklaneczki whisky. Kiedy wdrapywaliśmy się na górę, w pokoju bawialnym na pierwszym piętrze zauważył butelkę jacka danielsa. Podejrzywał, że znajdę również lód w zamrażarce. Chwyciłam walizkę i wyciągnęłam ją z pokoju Scotta na zimny korytarz, zostawiając za sobą cudowny widok ośnieżonych gór z panoramicznego okna w apartamencie.

- Aha, jeszcze jedno. Połącz mnie z Larą. Muszę ją o coś poprosić.

- Scott, Lara przyjmuje teraz swoich rodziców - krzyknęłam ze schodów, walcząc z niesforną walizką. - Czy ja nie mogę ci pomóc?

Przed oczami stanęli mi podstarzali rodzice Lary, wyobrażający sobie, że ich córka jest „dziewczyną od seks-telefonów” swojego szefa, skoro ten wydzwania do niej w środku nocy. Moja matka na pewno by tak pomyślała.

- Nie, ty nie możesz mi pomóc. Połącz mnie z nią.

- Jest już późno, Scott.

- Lizzie! - Nie mogłam zignorować tego ostrzegawczego tonu.

- W porządku. Pozwól mi zejść na dół. Przyniosę ci komórkę razem z twoim Jackiem danielsem, dobrze?

Jego milczenie przyjąłam za zgodę. Stoczyłam się po pozostałych sześciu schodkach w dół, na drugie piętro, gdzie przyuważyłam przytulną sypialnię, wprowadzie bez pościeli, ale za to z własnym kamiennym kominkiem.

Później, leżąc już w łóżku, opatulona kocami znalezionymi wewnątrz otomany, słuchałam odległego pohukiwania sów. Nie widziałam śniegu całe wieki, a mój ostatni wypad za miasto zdarzył się chyba w poprzednim życiu. Trudno mi było zasnąć bez ciągłego warkotu silników samochodowych i dalekiego wycia syren policyjnych. Mimo to było cudownie - z wyjątkiem pustego miejsca obok mnie, w łóżku. Sypiać samemu w duszną, balsamiczną kalifornijską noc, z prześcierałkami zrzucenymi do stóp to jedno, ale być samemu w tak pięknym miejscu jak Park City, z jeleniami, łosiami, górami, lasami i ogromnym księżycem zawieszonym nisko nad horyzontem to zupełnie co innego. Tej nocy bardziej niż kiedykolwiek pragnęłam, aby ktoś wypełnił to puste miejsce obok mnie. Oczywiście, nie aż tak bardzo, żeby pobiec na paluszkach do Scotta, by mnie przytulił. Ani też żeby chwycić komórkę i zadzwonić do Jake'a Hudsona, który jeszcze na lotnisku, kiedy wsiadałam do limuzyny ze Scottem, wcisnął mi swoją wizytówkę. Pomyślałam, że chyba nie jestem aż tak bardzo zdesperowana i z tą pocieszającą myślą pograżyłam się w lekki, nieistotny, nieatrakcyjny, lecz jednakowoż cudowny sen.

Festiwal był odlotowy. Pierwszy dzień zaczęłam z mocnym postanowieniem obejrzenia od deski do deski wszystkiego, co miałam rozpisane w grafiku. Za sprawą Scotta porzuciłam moje plany tak szybko, jak gotuje się szparagi.

- Lizzie, nie wygłupiaj się - powiedział. - Nie musisz siedzieć do końca filmu, kapujesz? Chyba że okaże się

genialny i uznasz, że powinniśmy przechwycić reżysera albo obsadę. W innym wypadku daruj sobie.

Potraktowałam to jako znak, że powinnam się nieco zrelaksować. Przestałam również nosić ze sobą miniaturową latareczkę, którą kupiłam specjalnie na tę okazję w Barnesie i Noble'u, żeby widzieć notatnik podczas seansu. Na początku wyglądałam jak idiotka, siedząc na widowni i skrobiąc z zacięciem notatki, próbując wyciągać podobieństwa do Spike'a Jonze albo Aronofsky'ego, czekając, aż przelecą ostatnie napisy, aby wyłapać nazwiska wszystkich osób, które zasługiwały na uwagę. Drugiego dnia zrobiłam się zblazowana i zdecydowałam odgórnie, że jeśli film będzie wystarczająco dobry, po prostu go zapamiętam.

Pierwszego dnia festiwalu Scott wstał dużo wcześniej niż ja. Kiedy się obudziłam, wrócił właśnie ze swojej porannej przebieżki, w opasce na czole, ze śniegiem we włosach i komórką przyklejoną do ucha.

- O której mam pierwsze spotkanie? - spytał, stając w drzwiach mojej sypialni; lekceważył fakt, że wciąż jeszcze pochłaniały mnie myśli o zamkach i księżętach z bajki.

- Zapisałam ci wszystko na laminowanej kartce, którą położyłam wczoraj w nocy na stoliku śniadaniowym - zaskrzeczałam.

Zdumiewał mnie oksymoroniczny tryb życia Scotta. Dbający o kondycję ćpun. Ciężko pracujący playboy. To jeszcze jedna z osobliwości Los Angeles. Można się było łatwo zorientować, że dzieli się dom z producentem lub agentem, ponieważ dość szybko człowiek nabawiał się pasywnego guza mózgu od ciągłej ekspozycji na fale telefonii komórkowej. Ludzie biznesu używali komórek dzień i noc, na okrągło. Poza tym po godzinach pracy zawsze nosili sportowe ciuchy lub biały ręcznik kąpielowy (koniecznie z nagą klata) i nigdy świadomie nie rozmawiali z domownikami ani w ogóle z nikim z tej samej strefy czasowej. Bóg raczej wie z jakiego powodu.

- Dobra. Kiedy w końcu wstaniesz? - spytał Scott, rozciągając ścięgną podkolanowe. - Mam śniadanie na mieście i jeśli nie zabierzesz się ze mną samochodem, utkniesz tu na cały dzień. Poza tym ktoś musi nosić za mną to całe gówno.

Rzeczony „gówno” było plikiem dokumentów, ważącym całe dwadzieścia deko.

- Dobrze, że wcześniej potrenowałam podnoszenie ciężarów na siłowni w Venice Beach, prawda? - powiedziałam, siadając na łóżku i owijając się kocem.

- Jasne.

Scott kompletnie nie zwrócił uwagi na moje słowa. Zaczął do kogoś dzwonić.

- Już wstaję. Już wstaję - zapewniłam, czekając, aż wyjdzie z pokoju, żebym mogła wygramolić się naga z łóżka. - Tak przy okazji, czy Lara ci pomogła? - krzyknęłam za nim, gdy wyszedł na korytarz, żeby złapać lepszy zasięg.

Wczoraj w nocy przyjęła późny telefon ze stoickim spokojem. Może nawet była zadowolona z tego, że jej szefdzwoni do niej podczas obiadu z mamą i tatą w Chi Venice. Najwyraźniej rodzice Lary byli mniej podejrzliwi i apodyktyczni niż moi.

- Lara? - Scott chyba połączył się z czyjąś automatyczną sekretarką, ponieważ ze złości kopnął ramę drzwi. - A, tak, pomogła mi. Zrobiła to, czego potrzebowałam.

Pierwsza sesja filmowa Scotta odbywała się w multiplexie, gdzie rozdawali darmowe kubeczki z prażoną kukurydzą i coca-colę. Ja wylądowałam w nieogrzewanej bibliotece. Na nieszczęście prezentowano tam bardzo interesujący film dokumentalny; niestety, albowiem musiałam siedzieć na najtwardszym, najmniej ergonomicznym i odrętwiającym tyłek krześle w całej historii mebli. Na dodatek moją sąsiadką była nadmierne wyperfumowana dziewczyna z produkcji od Warne-

ra, która przez cały czas trwania filmu usiłowała flirtować z nieszczęśnikiem siedzącym obok niej. Wydawała pseudointelektualne pomruki i gładziła uda z większą sugestywnością, niż uchodziłoby to za przyzwoite w filmach Dirka Digglera, a co dopiero na Sundance, w bibliotece publicznej. Zastanawiałam się, co powiedziałby na to Robert Redford. Nieszczęśnik, z którym flirtowała rzeczona panienka, zdawał się nie zauważać jej wysiłków, ponieważ usnął już podczas pierwszej sceny, w której nastoletni Amisze opuszczają swoją komunię i ruszają w szeroki świat.

Później, kiedy spotkałam się ze Scottem, powiedziała mi, że powinien spotkać się z reżyserką, która, moim zdaniem, miała dobre oko do szczegółów i prezentowania historii. Poza tym, była młoda i ponoć ładna, więc Scott zgodził się bez wahania i zarezerwował dla niej przerwę na herbatę następnego dnia.

Zastanawiałam się, czy w którymś momencie nie natknę się na Jake'a Hudsona. Było to raczej nieuniknione, uznałam, siedząc samotnie w Bluebird Cafe, spisując notatki i podjadając bułeczkę mniejszymi niż zazwyczaj kęskami (na wypadek, gdyby Jake lub ktoś inny pojawił się w kafejce i musiałabym się z nim przywitać). Czytałam w branżówkach specjalne doniesienia o Sundance. Uczylałam się z nich, kto był najpopularniejszy, kto z kim negocjował i jakie gwiazdy pojawiły się w mieście. Jeśli Scotta ominie jakieś ważne wydarzenie lub spotkanie z ważną osobą dlatego, że go nie poinformuję, obwini za wszystko mnie i wpadnę w poważne kłopoty.

- Cześć! Jak leci?

To była Courtney. Wyglądała jak uciekinierka z *Doktora Żiwago*. Miała futrzaną czapkę i ręce schowane w białej mufce.

- Courtney, zapomniałam, że miałaś tu być.

Tak naprawdę wcale nie zapomniałam. Przed wyjściem z biura podała mi przecież swój telefon i obiecała, że na pewno wprowadzi mnie na przyjęcie, które dziś wieczór urządzał Harvey Weinstein. Wiedziałam



jednak, że będzie się to wiązało z kłamaniem i upokorzeniem. Poza tym, nie byłam pewna, czy znajdziemy z rzezonym Harveyem wspólny temat do rozmowy, gdy już go poznam. Zdecydowałam więc zapomnieć o telefonie do Courtney. Zresztą widywałam ją codziennie w Agencji, więc uznałam, że trzy dni rozłąki nie zepsują naszej cudownej przyjaźni.

- Tak, jestem tu z Mikiem.

Mike znów zaczął pojawiać się publicznie. Rogaine pomogło i jego włosy pięknie odrosły. Mike był tym tak podniecony, że je zapuścił i wyglądał teraz jak rockers z lat osiemdziesiątych.

- Muszę jednak powiedzieć, że w tym roku jest beznadziejnie. Żadnych interesujących filmów. - Courtney przysiadła się do mojego stolika.

- Żadnych?

- Tak słyszałam. - Otworzyła sobie mój sok i poczęstowała się.

Nie byłam pewna, czy Courtney kiedykolwiek widziała film za mniej niż sześćdziesiąt milionów. Festiwal Sundance Festival nie był zapewne w jej guście. Za to towarzystwo - zdecydowanie tak.

- Przyjęcie Harveya jest dziś wieczorem. Chcesz przyjść?

Courtney nigdy w życiu nie była wobec mnie tak miła. Pewnie zachowywała się tak dlatego, że nikt inny nie chciał się z nią zadawać.

- Nie jestem pewna co do planów Scotta, a poza tym nie mam zaproszenia. Słyszałam, że są jak złoty pył.

To prawda. Kwestia imprez na festiwalu Sundance była jeszcze bardziej przerażająca niż w LA. Wczoraj, jadąc z lotniska ze Scottem, mieliśmy okazję zobaczyć główną ulicę City i uchwycić przelotnie ogrom całego zamierzenia. W każdej restauracji odbywało się prywatne przyjęcie. Przed drzwiami stali ochroniarze i bramkarze z listami. Ulica zatkana była limuzynami z napędem na cztery koła, tak ukochanymi przez sławy i znanych młodych reżyserów. Scott powiedział, że nikt

nie dostanie się na żadną poważną imprezę bez bransoletki na rękę - a mówimy tu wyłącznie o przyjęciach studiów filmowych. Te bardziej ekskluzywne, jak Redforda czy Miramaxu, były urządzane w domach wypożyczynkowych lub prywatnych posiadłościach. Żeby dostać się na jedno z nich, musiałabym mieć przynajmniej jednego Oscara albo pierścioneł zaręczynowy od pana Weinsteina.

- Scott na pewno tam będzie. Wprowadzę cię bez problemu. Znam tam jednego ochroniarza.

- W porządku, dzięki.

I to by było tyle. Nie miałam ochoty wchodzić na przyjęcie kuchennymi drzwiami, ale chyba nie miałam większego wyboru. Wiedziałam, że na miejscu na pewno wpadnę na Scotta, który wie, że zawsze psuję przyjęcia. Takie zachowanie było beznadziejne i nieprofesjonalne, uznałam jednak, że Scott łatwiej wybaczy mi moje wykroczenie niż Courtney odmowę. Poddałam się.

- O której?

- O szóstej trzydzieści. Przyjadę po ciebie. Naprawdę strasznie się cieszę, że przyjechałaś tu zamiast Lary. Ona podchodzi do takich rzeczy bardzo zdecydowanie. Boi się, że jeśli natknie się przypadkiem na Daniela, ten wyrzuci ją z pracy.

- Daniel będzie na przyjęciu?

- Wszyscy tam będą - powiedziała Courtney i odgryzła ogromny kęs mojego ciastka z masłem orzechowym.

O uroki dzielenia domu ze Scottem Wagnerem!

Kiedy on wciąż był na rozmowach z aktorem z filmu, który obejrzał tego poranka, ja oddawałam się przyjemnościom kąpieli, używając do woli jego kosmetyków. Puściłam sobie znalezioną w salonie płytę z piosenkami Fiony Apple, przygotowałam gorącą kąpiel, a potem owinęłam się w luksusowy, ciepły ręcznik wyciągnięty z bielizniarki. Wiedziałam, że taka rzecz nigdy nie wynurzy się z pralki w piwnicy mojego bloku - nawet gdy

będę miała sto dwa lata i zbiję fortunę na sprzedaży płynu zmiękczającego do prania.

Podreptałam do pokoju Scotta i na chwilę zmieniałam się w bulimiczkę kosmetyczną. Oczyszcziłam twarz dwoma rodzajami płynu do zmywania twarzy, zbiegłam na dół i wlałam do wanny pół butelki płynu do kąpieli od Kiehla. Wbiegłam na górę i usunęłam martwy naskórek, szorując ciało kremem z solą morską, po czym sfrunęłam z powrotem na dół, zostawiając po sobie mgiełkę zapachu vetivera.

Po powrocie Scotta do domu nalałam mu whisky, podałam talerz z serami i krakersy, które kupiłam w supermarkecie dziś pomiędzy dwoma seansami. Fionę Apple zmieniałam na Vana Morrisona. Nie, nie chciałam bynajmniej, żeby Scott się ze mną ożenił. Po prostu miałam nadzieję, że zabierze mnie ze sobą na przyjęcie, żebym nie musiała ryzykować upokorzenia na schodach, jeśli mnie nie wpuszczą, albo powtórnej próby wylania z pracy przez Daniela, jeżeli jednak jakoś dostanę się do środka.

Oczywiście, mój plan się powiódł. Scott nie miał nic przeciwko, żeby mnie ze sobą zabrać. W zamian miałam od czasu do czasu szturchać go w żebra i przypominać imiona gości. Courtney pewnie była na mnie wkurzona za to, że dostałam się na przyjęcie legalnie, ale mimo to między nami całkiem nieźle się układało. Jej przyjaciel ochroniarz wprowadził ją tylnym wejściem i spotkałyśmy się w salonie willi wypoczynkowej Harveya. Usiadłyśmy na werandzie i pijąc grzane wino, obgadałyśmy każdą osobę w salonie, nadając jej status A, B lub C. Courtney uzupełniła moją wiedzę na temat tego, kto z kim spał i jakiemu dziwnemu hobby się oddawał, a potem zasypała mnie opowieściami o podejrzanym przeszłości Jake'a Hudsona. Nie mogłam uwierzyć, że kiedyś uważałam go za uroczonego i miłego człowieka. O błoga nieświadomości! Tamtego dnia, gdy jechaliśmy autostradą numer jeden do jego domu - ja z krwawiącą skronią, a on, ze wzrokiem utkwionym w moich nogach, nie wie-

działam o nim nic. Jake był fenomenalnie bystry. W końcu został szefem studia filmowego. Obojętne, co mówili o nim ludzie, to jednak nie mógł tego dokonać wyłącznie za pomocą wyglądu i gładkiej mowy. Był błyskotliwym biznesmenem i wspaniałym kochankiem. Tak się po prostu nieszczęśliwie złożyło, że cierpiał na satyriozę, co z każdą chwilą stawało się dla mnie bardziej oczywiste.

- Mam tylko nadzieję, że ta męska dziwka nosi prezerwatywy, kiedy obdarowuje sobą całe miasto - powiedziała Courtney, spoglądając nad moim ramieniem w kierunku pokoju w poszukiwaniu nowego obiektu do obmowy.

- Cóż, przynajmniej jest szczerzy i nie udaje, że chodzi o coś więcej niż dobra zabawa. W ten sposób nie stwarza się dużych problemów, prawda? - spytałam.

- Owszem, stwarza - rzuciła, wyciągając laseczkę cyjamonową ze szklanki. - Ostatniego lata naprawdę się popisał.

Okazało się, że podczas któregoś weekendu w lipcu, gdzieś po trzeciej kolejce margarity, Jake ożenił się w Tijuanie z jakąś słynną gwiazdą pop. Opowiadając tę historię, Courtney ledwie ściszyła głos. Właściwie miałam wrażenie, że zaczęła mówić głośniej.

- Oboje pojechali na jakieś gratisowe wczasy, zorganizowane w celach reklamowych przez jedno ze studiów. Podobno totalnie się narabali, poszli ze sobą do łóżka, a następnego dnia się pobrali. Ich małżeństwo przetrwało tylko jeden weekend. W poniedziałek, kiedy wrócili do domu, ona uznała, że to fatalna pomyłka i rozwiedli się, zanim ktokolwiek się dowiedział.

- Żartujesz! Przecież ona jest niesamowita. Powinien się jej trzymać, choćby dla prestiżu. Poza tym czytałam w „People”, że ludzie nieustannie kupują jej facetom jachty i samochody.

- Tyle że ona chce być żoną kogoś bardzo sławnego. Albo kierowcy autobusów. Nic innego ją nie urządza. Poza tym jest gangsterką.

Courtney rzuciła niedopałek papierosa za poręcz balkonu. Przez chwilę obserwowałyśmy, jak powoli spada i gaśnie w zaspie śniegu.

- To znaczy?

- No wiesz, ma różne koneksje z ochroniarzami i mafią. Powiedziała Jake'owi, że jeśli spróbuje sprzedać tę historię, by dostać się do jej pieniędzy, spotka się z jej wysłannikiem. Zaopatrzonym w kominiarkę i ołowianą rurkę.

- Ale przecież wydaje się taka słodka. Ma niesamowitą skórę. - Przypomniały mi się jej teledyski w MTV.

- Jeżeli ktoś się dowie, że upiła się i wyszła za męża, straci reputację i szacunek u młodocianych fanów. Zrobi wszystko, by do tego nie dopuścić.

- Biedny Jake. - W tej chwili niemal zrobiło mi się go żal.

- Tylko pamiętaj, to wielki sekret, więc nikomu ani mru-mru - ogłosiła Courtney na cały pokój.

- Nikomu ani mru-mru o czym?

Za moimi plecami wyrósł Jake Hudson ze szklanką w dłoni. Mogłam przewidzieć, że będzie na przyjęciu. W końcu akurat on był zapraszany na wszystkie imprezy w pierwszej kolejności. Poza tym, jak się wkrótce miałam przekonać, jeżeli czegoś chciał (na przykład dziewczyny swojego przyjaciela), nie ustępował, póki nie osiągnął celu.

- Cholera.

Courtney przypaliła sobie palec zapalniczką. Mogła udawać, że zna wszystkich na przyjęciu, ale prawda była taka, że czerpała swoje informacje ze strony IFILM-pro. W obecności wpływowych ludzi traciła grunt pod nogami.

- Rozmawiałyście o mnie? - napuszył się Jake.

- Niestety, nie. Dyskutowałyśmy o filmie, który oglądałyśmy dziś po południu - wydusiłam z siebie.

- Jak się masz, słodka.

Jake przysunął się bliżej i pocałował mnie w policzek. Courtney z trudem ukryła zaskoczenie.

- Jake, to jest Courtney - powiedziałam. - Przepraszam, ale muszę porozmawiać o czymś ze Scottem. Przepraszam.

Chciałam porzucić towarzystwo Jake'a, ponieważ naprawdę nie wiedziałam, o czym miałabym z nim rozmawiać. Nie mogliśmy wymieniać uwag na temat gwiazd filmowych, ponieważ spał z całą ich żeńską częścią, męska zaś stanowiła grono jego najlepszych przyjaciół. Nie mogliśmy rozmawiać o filmach, albowiem był to temat mniej więcej tak interesujący, jak hemoroidy. Obawiałam się natomiast, że jeśli zaczniemy dyskutować na tematy polityczne, nagle dozna olśnienia i przypomni sobie, kim jestem, a potem straci zainteresowanie w polowaniu na mnie, jak na jedną z Bambich. Ja zaś, muszę przyznać, czerpałam niewymowną radość z żalostnego zainteresowania, jakie okazywał mi tylko dlatego, że nie pamiętał, iż kiedyś już mnie ustrzelił.

- Hej, hej! Nie uda ci się tak łatwo wymknąć. - Jake złapał mnie za ramię i przyciągnął do siebie. - Równie dobrze Scott może tu podejść.

- Nie, naprawdę, nie trzeba. Po prostu pomyślałam... - Cholera, teraz wszystko się wyda. Scott zdradzi się, że jestem jego drugą asystentką, a nie dziewczyną, i Jake przerzuci się ze mnie na żonę Harveya.

- Scott, chłopie! Chodź no tutaj! - wrzasnął Jake.

Scott klepnął w ramię faceta, z którym właśnie rozmawiał, i przeprosił go na moment.

- Lizzie chciała ci coś powiedzieć - oznajmił Jake.

- Tak? - Scott wydawał się zdziwiony. Zapewne myślał, że został poproszony o rozstrzygnięcie jakiejś kłótni dotyczącej baseballu.

- Właściwie to sprawa prywatna - wyplułam z siebie.

- Ach, zakochana para - skomentował Jake, zaglądając mi w dekolt.

- O co chodzi?

Scott patrzył na mnie wyczekująco. Dzięki Bogu w salonie było tak głośno, że nie usłyszał komentarza Jake'a.

- Cóż, tak sobie pomyślałam, że... - W tym momencie za plecami Scotta pojawił się facet w obrzydliwym beżowym golfie narciarskim i zanim zdążyłam pomyśleć, rzuciłam: - ...moglibyśmy pojechać jutro na narty. Nigdy jeszcze nie próbowałam, a słyszałam, że to świetna zabawa.

- Narty? - Scott zacisnął usta, zastanawiając się przez chwilę. - Jasne, czemu nie?!

Dzięki Bogu! Odpowiedź, na jaką liczyłam. Zapomniałam już, że Scott miał duszę licealisty i uwielbiał wszystko, co wiązało się z profesjonalnym sprzętem i wspólnym prysznicem z chłopakami po zakończeniu imprezy.

- Tak jest, dzieciaki. Wybierzmy się wszyscy razem - dodał Jake. - Przyjadę po was o siódmej rano. Zabiorę was do „Ostatniej szansy”. Mają tam świetne stoki, a cały resort jest na samym szczycie góry. Spodoba ci się, Scott.

- Umiesz jeździć na nartach, Scott? - spytałam, modląc się, żeby zaprotestował przeciwko Ostatniej szansie i zdecydował, że powinniśmy zacząć od oślej łączki gdzieś w miejscu zwanym „Miękkie lądowanie”. Albo jeszcze lepiej, żebyśmy usadowili się wygodnie w jakiejś restauracji na stoku i śmiali się przy lampce aromatycznego gluweina z nieporadności innych narciarzy.

- Pewnie, że tak. Chodziłem do szkoły w Boulder. Do zobaczenia rano, stary - powiedział Scott i oddryfował w głąb pokoju.

Nasze trzy minuty, w jego towarzystwie najwyraźniej dobiegły końca.

Jake ze swej strony najwyraźniej przeżył wczoraj w nocy podobny epizod z pustym łóżkiem, jak ja, był bowiem zdeterminowany, żeby zabrać mnie ze sobą do domu. Im więcej zaś wlewałam w siebie grzanego wina, tym usilniej zastanawiałam się, czy przypadkiem mu się to nie uda.

- Zrozum, w Los Angeles nie ma zbyt wielu kobiet, które chciałyby się poślubić. To dobre miejsce na brud-

ne romanse, ale nie spotyka się tam dziewczyn z klasą. - Jego drink zawisł niebezpiecznie między kciukiem i palcem wskazującym. - A ty, Elizabeth, jesteś dziewczyną z klasą.

Na szczęście dla mnie i mojej słabej woli, w chwili gdy Jake oparł się o ścianę tuż obok i przyciągnął mnie do siebie, Courtney zdecydowała, że ma migrenę i muszę odwieźć ją do domu.

- Sprowadzę ci taksówkę - zaoferował Jake, nie spuszczać wzroku z moich ust.

- Nie, wolę ją odprowadzić. Nie mogę jej zostawić samej - powiedziałam, nurkując pod jego ramieniem i stając u boku Courtney. Pierwszy raz w życiu byłam zadowolona, że taka z niej zazdrosna suka. Jeśli Jake powiedziałby jeszcze raz „dziewczyna z klasą”, prawdopodobnie zrobiłabym coś, czego bym żałowała potem do końca życia.

- Zatem do zobaczenia rano. - Przez moment Jake był wkurzony, zaraz jednak dostrzegł w salonie bardzo kiepsko ubrane zastępstwo, które znajdzie się dziś w jego łóżku zamiast mnie. Zostawił nas same z niewykonalną misją znalezienia transportu do domu, w mieście, w którym złapanie wolnej taksówki było tak prawdopodobne, jak spotkanie laureata nagrody Nobla, spacerującego po głównej ulicy i śpiewającego *Smells like teen spiñt*.



## 22

*Serce nie jest praktyczne, bo wciąż można je złamać.*

FYank Morgan jako Profesor Marvel (*Czarnoksiężnik z krainy Oz*)

- Chce pani, żebym zserwisował pani narty? - spytał młodzieniec w kombinezonie, kiedy w końcu udało mi się dotrzeć do podnóża stoku. Przez ostatnie półtorej godziny cierpiałam niewysłowione męki. Dokładnie czterdzieści pięć minut spędziłam na tyłku, drugie tyle na kolanach. Od czasu do czasu lądując na twarzy.

- Nie, chciałabym, żebyś je spalił - mruknęłam gorzko.

Spojrzał na mnie zaniepokojony. Najwyraźniej chłód odmroził jego poczucie humoru.

- Skończyła pani jazdę na dzisiaj czy nie?

- Nie jestem pewna. Napiję się gorącej czekolady w barze, a potem z tobą porozmawiam. A tak przy okazji, jak się serwisuje narty? - spytałam, żeby nie torturować biednego chłopaka dłużej.

- Zabieramy je od klienta, czyścimy, woskujemy i podstawiamy gotowe następnego dnia rano. - Uśmiechnął się do mnie przyjaźnie. Znow był w swoim ogródku.

- Super. Dziękuję. Zgłoszę się później - powiedziałam.

Wbiłam kijki w śnieg i spróbowałam się odepchnąć, ale nie ruszyłam z miejsca. Stok stracił nachylenie i nie można już było rozpędzić się do dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę, prosto na olbrzymi świerk. Nie wiedziałam, czy się cieszyć, czy nie: na pewno nie grozi

mi już gwałtowna śmierć na drzewie, ale istniało pewne prawdopodobieństwo, że utknę tu aż do wiosny.

- Em... przepraszam - zawołałam za chłopcem z obsługi. - Czy mógłbyś... mógłbyś mnie popchnąć? - Ale on był już zajęty serwisowaniem czyichś nart. Ponownie wbiłam kijki za sobą i próbowałam się odepchnąć, bez większego rezultatu.

- Cholera - mruknęłam.

Z moich ust wydobył się mały obłoczek pary. Przeniosłam ciężar na jedną nogę i spróbowałam ustawić narty tak, jak nauczył mnie Scott dziś rano, na przyspieszonym kursie jazdy. Właściwie to powiedział mi po prostu:

- Unikaj drzew i ludzi, a jeśli masz wątpliwości, zastosuj upadek kontrolowany.

- I nie złam sobie niczego. Uprawiałem już kiedyś seks z dziewczynami w gipsie i chociaż może się to wydawać podniecające, po jakimś czasie strasznie zaczyna denerwować - dodał Jack, rzucając perły przed siebie.

Gdyby nie to, że zamarzyły mi kanaliki łzowe, chyba bym się rozpłakała.

- Pieprzyłeś panienkę w gipsie? - Scott był pod wrażeniem.

Obaj wsiedli na wyciąg i odjechali, zostawiając mnie miotającą się ze sprzętem, jak pstrąg wyrzucony na brzeg.

Śmiem twierdzić, że walczyłam naprawdę dzielnie. Jakimś cudem udało mi się dobrnąć do wyciągu, załadować na krzeselko i wjechać na szczyt. A potem upadłam. I jeszcze raz. Powtórzyłam tę mrozącą krew w żyłach czynność wiele razy, chociaż bowiem Scott wynajął mi superekstrabezpieczny sprzęt, który prawdopodobnie ochroniłby mnie nawet przed atakiem chemicznym i nuklearnym, wciąż udawało mi się wykonywać na nartach tak niewyobrażalne manewry, że skończyłam z gromadami śniegu i lodu w okolicach kolan i z przodu, pod bluzką.

Chwilowo miałam dosyć wszelkiej aktywności. Ponieważ nie udało mi się jodełkowanie, obróciłam się żeby zdjąć narty. Okazało się nagle, że stałam na samym środku głównej arterii komunikacyjnej, tylko odrobinę mniej ruchliwej niż autostrada do Santa Monica. Pomyślałam więc, że chyba poczekam.

- Czy pani potrzebuje popchnięcia?

Odwrociłam się z nadzieją, że serwisant wreszcie pośpieszył mi z pomocą.

- Bardzo proszę - odparłam machinalnie. Tylko że to nie był serwisant, lecz mężczyzna, który robił karierę jako mój osobisty wybawca. Luke Lloyd.

- To ty - powiedziałam oskarżycielsko.

- Hej - uśmiechnął się i podpłynął do mnie bez wysiłku. Zatrzymał się tuż przy czubkach moich nart, wzbijając przy tym małą fontannę śniegu.

- Czy ty przypadkiem nie kręcisz się w pobliżu, czekając, aż wpadnę w kłopoty, żeby móc mnie potem z nich wyciągnąć? - spytałam.

Nie byłam pewna, czy się cieszę na jego widok. Wolałabym chyba, żeby odgrywał Casanovę w Maroku ze śliczną Miss Haremowych Gaci, niż był świadkiem mej katastrofalnej niekompetencji w kolejnej dziedzinie życia.

- Mogę sobie pojechać, jeśli wolisz. - Na głowie miał czerwoną czapkę narciarską, która wyglądała na starą, niemarkową, wyciągniętą z głębi szafy, bynajmniej nie z Prądy Sport. Tyle że on wyglądał w niej doskonale. Miał zaczerwienione policzki i wiedziałam, że gdybym ich teraz dotknęła, byłyby chłodne, w ten mroźny zimowy sposób.

- Skoro już tu jesteś, sądzę, że mógłbyś mnie popchnąć - burknęłam. Był trochę za bardzo bezczelny, że bym mogła odczuwać wdzięczność.

- Czy to oznacza, że mogę położyć rękę na twoim pośladku? - spytał z uśmiechem.

- Czyżbyś właśnie się zmienił w Jake'a Hudsona?

- Ha! Jeszcze czego! Ale skoro tak do tego podchodzisz, chyba już sobie pojedę.

Odwrócił się zgrabnie, jakby chciał ruszyć w dalszą drogę. Oczywiście żartował. Tak myślę. Miał to sprytne, lekko perwersyjne poczucie humoru, którego nie spodziewałabym się po hollywoodzkich weteranach.

- Przepraszam. Nie powinnam tego mówić, to było okropne. Popchnij mnie, proszę. Naprawdę potrzebuję pomocy.

- Rzeczywiście myślisz, że jestem jak Jake Hudson? - Spojrzał na mnie wyraźnie zmartwiony.

- Nie wiem, jaki jesteś. Tak naprawdę wcale cię nie znam - powiedziała. - Słuchaj, możesz mi w końcu pomóc? Proszę! - dodałam z desperacją w głosie.

- A jeżeli ci pomogę, czy możemy kontynuować naszą rozmowę w kafeterii? - zapytał przekornie.

- Co zechcesz. Tylko pospiesz się, ponieważ w każdej chwili na tym stoku może się pojawić kolejny narciarz i przeciąć mnie na pół.

- W porządku. - Chwytał kijek w lewą rękę i wyciągnął w moim kierunku. - Trzymaj się mocno.

- Zamierzasz mnie tam zaciągnąć?

- Próbuję cię gdzieś zaciągnąć już od wielu miesięcy - roześmiał się. Zaczerwieniłam się i spojrzałam na czubki swoich nart. - Trzymaj się.

Zrobiłam to. A Luke Lloyd zaholował mnie do baru żenująco powoli, jak się robi z dwulatkami z oślich łączek.

- Specjalnie robisz to tak powoli - rzuciłam, gdy przemknęła koło nas grupka dziewczyn z produkcji i młodych reżyserów.

- To nie takie proste, jak by mogło się wydawać.

- Chcesz powiedzieć, że jestem za ciężka? - Miałam ochotę puścić kijek.

- Niczego nie chcę powiedzieć - odparł. - Zobacz, już dojechaliśmy.

Przewróciłam się po raz ostatni, a potem dotarliśmy do ławki przed restauracją. Luke odpiął narty kijkami, stanął zgrabnie na śniegu, po czym nacisnął butami na moje wiązania.

- Chyba jestem ci winna podziękowanie.

- Kup mi espresso i będziemy kwita.

Uwolnił mnie od mojego diabelnego sprzętu. Zrobiłam kilka kroków w potwornie ciężkich butach.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić - odparłam, obserwując lawinę śniegu wysypującą się z mojej nogawki na ziemię.

- To twój pierwszy raz? - Podniósł nasze narty i zaaranżował je w kolorowy bukiet włókna szklanego.

- Nie. Kiedyś byłam mistrzynią olimpijską w sportach zimowych, ale potem straciłam zimną krew.

Chwycił mnie za rękę i pomógł wejść na górę po drewnianych schodkach kawiarni.

- Zastanawiałem się po prostu, co robisz na czarnym szlaku.

- To, co mi kazano.

Zajęliśmy miejsca przy jednym ze stolików. Luke zdjął granatową kurtkę narciarską, powiesił ją na grzejniku tuż obok i wyciągnął rękę po moją.

- Scott i Jake Hudson zdecydowali się na tę górę, więc też musiałam z nimi tu przyjechać. Ot, uroki bycia drugą asystentką.

- Masz szczęście, że żyjesz. - Spojrzał na menu. - Skoro już tu jesteśmy, chcesz lunch?

- Przykro mi, ale dwadzieścia dolców nie wystarczy. Zostawiłam portmonetkę w torebce, która jest w schowku, w wypożyczalni sprzętu - skrzywiłam się. - Może wystarczy nam na kanapkę?

- W porządku. Ja stawiam. - Zerknął na tablicę z zestawami specjalnymi.

- Ale przecież to ty mnie przyciągnęłaś.

Uśmiechnęłam się do niego, nagle bardzo szczęśliwa, że się tu znalazłam. Po raz pierwszy od przyjazdu na festiwal Sundance czułam się odprężona. W restauracji panował przytulny półmrok, a śnieg za bluzką zaczynał powoli topnieć.

- No właśnie. A to oznacza, że powinienem ci teraz postawić lunch. - Wyglądał niesamowicie słodko, nawet

z włosami przylizanymi do głowy od noszenia czapki i z niesamowicie czerwonymi policzkami.

- Czekaj - wyciągnęłam rękę i zwichrzyłam mu nieco włosy. - Wyglądałeś naprawdę głupio.

- Kurczę, dzięki - zaśmiał się i spojrzał na kelnerkę. - Dwa razy espresso *i...* co bierzesz? - spytał mnie z tym swoim niesamowitym południowym akcentem.

Wzruszyłam ramionami. Było mi wszystko jedno. Mogłam zjeść, cokolwiek tu mieli.

- Tost z szynką i serem? - zasugerowałam.

- Doskonale. Weźmiemy dwa - powiedział kelnerce, która zanotowała sobie zamówienie i odeszła.

- No dobrze. Uważasz więc, że jestem ulepiony z tej samej gliny, co Jake Hudson, tak? - spytał, bawiąc się bezmyślnie solniczką i pieprzniczką.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Naskoczyłam na ciebie, bo zawsze się pojawiaasz w najbardziej żenujących chwilach mojego życia. Prawdę powiedziawszy, jestem zaskoczona, że nie było cię w moim ogólniaku na rozpoczęciu roku, kiedy pękła mi gumka od majtek.

- Bardzo żałuję - uniósł brew. - Żeby jednak wszystko było jasne, w najmniejszym stopniu nie przypominam Jake'a Hudsona.

- Nie jesteś rozwiązłą, zepsutą do szpiku kości męską dziwką, która oddaje się całemu miastu? - spytałam, przypominając sobie czarujące podsumowanie Courtney, dotyczące naszego wspólnego przyjaciela. Luke roześmiał się głośno i zaraz spojrzał na mnie poważnie.

- Mam nadzieję, że nie myślisz o mnie w ten sposób, co?

- Czy to ważne, co myślę?

- Tak się składa, że owszem - odparł.

Byłam zaskoczona, nawet jeżeli skłamał.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co myśleć. Spotkałam cię zaledwie kilka razy i zawsze zachowywałeś się wobec mnie uroczo. Nie mam jednak najlepszych doświadczeń z męską populacją Los Angeles. Kiepsko się nam układało.

- Kiepsko?

- Tak. Zawsze gonili za tym, co uwielbiają wszyscy chłopcy w LA. Striptizerki, prostytutki, narkotyki, sportowe samochody - wyjaśniłam. - Wszystko to bardzo seksowne, ale zbyt mnie onieśmiela. Stara ze mnie nudziara, co nie? - Nie miałam pojęcia, jak wciągnął mnie w tak osobiste zwierzenia. Chciałam się wycofać. - Widziałeś tu jakieś fajne filmy?

- Filmy?

- Jesteśmy na festiwalu filmowym - przypomniałam.

- A tak. Zatem nie zamierzasz umawiać się z facetami z branży?

- Doradzano mi, żebym absolutnie tego nie robiła. - Dzięki niebiosom za Larę. Nawet jeżeli nie do końca stosowałam się do jej rad.

- Szkoda.

- Dlaczego? Uważasz, że coś tracę? - Przybyły nasze kawy i schowaliśmy zziębnięte, czerwone nosy w gorącej parze.

- Nie jestem taki, jak ci wszyscy faceci. - Upił trochę espresso i spojrzał na mnie znad filiżanki.

- Jasne. - Zastanawiałam się, dlaczego tak mu zależy, żebym to zrozumiała. Może ze mną flirtował, chociaż po chamskich awansach Jake'a Hudsona i Boba nie mogłam tego wyczuć. - Z całym szacunkiem, Luke, ale i tak nie powiedziałbyś o sobie niczego innego, prawda?

Pokiwał głową smutno.

- Powiedz mi, jak się tu znalazłaś, Lizzie Miller?

- Przyleciałam prywatnym odrzutowcem.

- Nie tutaj. Tutaj w Hollywood. Tutaj w życiu.

- A, tutaj? - powiedziałam, sadowiac się wygodnie na miękkich poduszkach ławeczki. - Naprawdę chcesz wiedzieć?

Ku mojemu zaskoczeniu rzeczywiście chciał, a jego zdolność koncentracji biła wszelkie rekordy, zwłaszcza w porównaniu z moim szefem. Albo Jakiem Hudsonem. I właściwie wszystkimi ludźmi, których do tej pory poznałam. Chciał wiedzieć, czym zajmują się moi rodzice,

czy bardziej interesuje mnie polityka międzynarodowa, czy też lokalna, jaka jest moja opinia na temat rozwiązania ONZ-u i co mi się podoba w mojej pracy.

- Naprawdę chcesz zostać producentką? - spytał wreszcie, gdy opowiedziałam mu o swoim małym projekcie.

- Obawiam się, że tak.

- Rzeczywiście powinnaś się obawiać i to bardzo.

- To naprawdę dobry projekt. Tak myślę. Pewnie nie zarobi więcej niż równowartość puszki z colą, ale jest interesujący. Artystyczny materiał.

- Czyli w przyszłym roku będziesz tu może prezentowała swój film? - Uśmiechnął się zachęcająco.

- Mam nadzieję. - Co za cudowna myśl. Jason byłby zachwycony.

- Chciałbym to zobaczyć. Mam na myśli scenariusz.

- Jeszcze nie jesteśmy na tym etapie. To znaczy, nie znaleźliśmy jeszcze agenta, ale...

- W porządku, ale jeśli będziesz chciała mi go pokazać, to... - Wzruszył lekko ramionami, sygnalizując, że wybór należy do mnie.

- Nie uznaję mieszania przyjemności z pracą.

- Ach, więc to, co teraz robimy... to przyjemność, tak?

- Hmm... nie jestem pewna, ale jeśli po tym, jak po raz kolejny uratowałaś mi życie, zmusiła bym cię jeszcze do czytania scenariusza, to chyba nie byłoby w porządku.

- Jeśli uznałaś, że spotykamy się tylko dla przyjemności, zapomnij o manuskrypcie. Jeżeli jednak nie, wtedy koniecznie daj mi go do przeczytania. Nie chcę, żeby przeszedł mi koło nosa potencjalny hit sezonu.

- Umowa stoi - odparłam.

Miałam nadzieję, że w ogóle nie będę musiała pokazywać mu scenariusza. W tej chwili bowiem Luke wachlował swoją koszulką, żeby wysuszyć ją przy kominku i... nie dało się ukryć, że wyglądał cholernie przystojnie. *Zakochani seksoholicy* mogli zaczekać. Bardzo chciałam, żeby nasze małe spotkanie było czystą przyjemnością.



O ironio, gdyby nie Jake Hudson, nie spędzilibyśmy z Lukiem w połowie tak cudownych chwil, jak tego dnia. Tak się jednak złożyło, że po kolejnym wspaniałym zjeździe Jake wpadł na wyciągu na swojego kumpla, Boba Redforda. Ten zaś namówił jego i Scotta, żeby wpadli na przyjęcie koktajlowe, które urządzał w Instytucie 0 szóstej. Oczywiście fakt, że dokładnie o tej samej porze Scott umówił się ze mną przed drzwiami naszego domu, kompletnie wypadło mu z głowy. Zresztą, nawet jeżeliby pamiętał, nie zrobiłoby to specjalnej różnicy. Scott i Jake pokłusowali radośnie do Instytutu Sundance ze swoim kumplem Bobem, nie pomyślawszy o mnie nawet przez ułamek sekundy.

- Naprawdę nie masz klucza? - spytał Luke, gdy na próżno bębniłam w drzwi.

- Był tylko jeden i zabrał go Scott. - Zajrzałam przez okno. Zapadał wieczór, a ja zaczęłam szczełać zębami z zimna, ponieważ wciąż miałam na sobie przemoczone rzeczy. - Nie ma się co martwić, na pewno zaraz się tu pojawi. Naprawdę. Możesz spokojnie jechać. Zaczekam tu - powiedziałam, zapinając się po uszy i chowając dłonie w rękawach, żeby trochę je ogrzać.

- Chyba oszalałaś, jeśli myślisz, że zostawię cię tutaj samą w tych ciemnościach. - Luke zajrzał pod kilka leżących przy domu kamieni, sprawdzając, czy nie ma tam zapasowego klucza. - Jeszcze zje cię jakiś łoś albo co innego... albo umrzesz z hipotermii - dodał, dostrzegłszy, że trzęsę się z zimna. - Pakuj się do samochodu, Lizzie.

- Wszystko w porządku.

- Wsiadaj do samochodu.

- Scott niedługo wróci, przysięgam - upierałam się, przysiadając na schodku.

- Mówimy o Scotcie Wagnerze. Może się nie pojawić przez kilka dni.

- Jutro wieczorem wracamy do LA - powiedziałam optymistycznie.

Luke spojrzął na mnie, jakbym urwała się z choinki, i to bardzo wysokiej.

- Skoro tak, to już sobie jadę - rozłożył ręce. - Wracam do swojego luksusowego apartamentu hotelowego, w którym czeka na mnie gorąca kąpiel w wannie, płonący kominek i czysta para spodni od dresu. Pozwolisz, że zostawię cię tutaj do jutrzejszego wieczora. Miło było cię poznać, Lizzie. - Z tymi słowami powędrował ścieżką w kierunku samochodu, w którym cierpliwie czekał kierowca.

- Luke? - zawołałam.

- Tak? - odwrócił się.

- Masz płyn do kąpieli bez sulfatów?

Roześmiałam się, wstałam i pobiegłam w jego kierunku. Patrzył na mnie w osłupieniu. Równie dobrze mogłam mówić po chińsku.

- Ależ z ciebie kaczka dziwaczka - powiedział, sadowiąc się ze mną na tylnym siedzeniu. Potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Daję słowo.

Jechaliśmy do jego hotelu - zimowego Wonderlandu, „Stein Eriksen Lodge”. Po drodze w milczeniu wyglądaliśmy przez okna, podziwiając świerki i jodły. Od czasu do czasu któreś z nas pokazywało palcem jelenia i cienie, które kładły się na błękitnym śniegu w świetle wschodzącego księżyca.

- Pełnia oznacza, że na świecie dzieją się różne dziwne rzeczy. - Spojrzałam na Luka, który rozparł się na siedzeniu.

- No tak, to wiele wyjaśnia.

Zerknął na mnie kątem oka i oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Luke puścił *Tattoo you* Rolling Stonesów i zapadliśmy się w miękkie, ciepłe fotele.

- Chcesz iść do wanny pierwsza? - spytał. - Bo jeśli tak, mogę zaczekać w barze, aż skończysz.

- Nie, no co ty! To twój pokój. Ty idź pierwsza.

- W zasadzie to apartament, więc mógłbym pooglądać telewizję w czasie, gdy ty będziesz się kąpać. Co ty na to?

- Jesteś dżentelmenem.

- Pochodzę z Kentucky. Taki już jestem.

- Bardzo się z tego cieszę, bo gdybym musiała czekać na kąpiel jeszcze chwilę dłużej, zmieniłabym się w choinkę.

Zdjęłam mokrą rękawiczkę i pokazałam mu pomarszczone, zzieleniałe z zimna czubki palców. Chwytał moją dłoń i przyjrzał się jej dokładnie.

- Cała tak wyglądasz? - spytał.

- Nie wiem, nie sprawdzałam, ale z przodu za koszulką mam kilogram śniegu, więc uszkodzenia mogą być dość rozległe.

- Rety! - puścił moją rękę. - Znam świetny sposób na pozbycie się szkód - dodał, gdy przybyliśmy do hotelu.

- Naprawdę? Jaki?

- Poczekaj, zaraz się przekonasz.

Wysiadł z samochodu i przytrzymał dla mnie drzwi. Porozmawiał krótko z kierowcą i ruszyliśmy do środka.

- Dobry wieczór, panie Lloyd - powiedział recepcjonista, gdy wtoczyliśmy się z łomotem do westybulu, wyglądając jak zużyte ścierki do podłogi, a nie szykowni klienci. - Czy życzy pan sobie stół w restauracji?

- Myślę, że zjemy obiad w pokoju - Luke spojrzął na mnie. - Jeżeli dama nie ma nic przeciwko temu.

- Absolutnie nie - stwierdziłam.

W tym momencie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że między mną a Lukiem może się coś wydarzyć. Coś innego niż obiad, osobna kąpiel w wannie i para czystych dresów na zmianę.

- Co to za genialny sposób na pozbywanie się ludzkich choinek? - spytałam, desperacko poszukując tematu do rozmowy.

Byliśmy w jego apartamencie i Luke jednocześnie zapalał światła, zdejmował buty, nastawiał klimatyzację i zasłaniał zasłony. Przycupnęłam na brzegu kanapy i ściągnęłam buty, a potem rozpięłam kurtkę. Mój sweter i skarpetki były kompletnie przemoczone. Nie powiedziałam ani słowa.

- A, to? Jasne, poczekaj chwilę - odparł i zniknął w sąsiednim pokoju. - Muszę przygotować moje wspa-

niałe remedium - dobiegi mnie odgłos lejącej się wody do wanny.

- Świetny masz pokój.

- Uhm, całkiem przytulny. - Luke wrócił do salonu. Gdyby był Jakiem Hudsonem, stałby teraz przede mną wyłącznie w bokserkach. Albo bez. Na szczęście Luke nie był Jakiem Hudsonem. Miał na sobie tę samą koszulkę, w której jeździł na nartach przez cały dzień, zmienił tylko spodnie na nową parę dresów. - Zaraz wybawię cię z twej niedoli - powiedział, wręczając mi lampkę chłodnego szampana.

- Doskonale - przyjął od niego kieliszek. - Dziękuję.

- Na zdrowie. - Usiadł w fotelu naprzeciwko mnie i uniósł szampan w toaście. Pochyliłam się i stuknęliśmy się kieliszkami.

- Mój wybawca - uśmiechnęłam się.

- Tak się składa, że miałem ochotę cię ocalić, więc korzyść jest obustronna.

Upiliśmy nieco szampana. Luke rozsiadł się wygodnie na swoim miejscu i wlepił we mnie wzrok. Na szczęście przedtem przyciemnił światło, mogłam więc udawać, że nie widzę jego znaczących spojrzeń. Wstałam i podeszłam do panoramicznego okna.

- Masz stąd świetny widok na góry.

- Mam.

- I księżyc - dodałam, pochłaniając połowę zawartości kieliszka. Byłam beznadziejna w tego typu sprawach. Chciałam go pocałować, ale całe te podchody po prostu mnie wykańczały. Czułam, jak w moim żołądku otwiera się kolejny wrzód. Luke nie odpowiedział. Nagle zorientowałam się, że stoi tuż za mną.

- Co z nim? - spytał cicho.

- Jest... cóż, jest piękny, prawda? - Nie miałam odwagi, żeby się odwrócić.

- Pewnie tak. - Położył dłoń na mojej talii. W końcu zebrałam się w sobie i odwróciłam. Musiałam, prawda? I to było właśnie to. Ta dam! Pocałował mnie.

A potem była gorąca kąpiel. Jakimś sposobem, niesamowicie powoli, znaleźliśmy się po kostki w gorącej wodzie, rozlanej na podłodze łazienki.

- Czy to właśnie jest twój cudowny lek? - spytałam.

- Zawsze mogę ci sprawić strój płetwonurka - powiedział nerwowo, przyglądając się wodzie gulgożącej wokół naszych stóp.

- Poradzę sobie - mruknęłam i ściągnęłam sweter przez głowę.

Luke'owi chyba ulżyło. Zaczął mnie uwalniać od mokrych ciuchów, rzucając podkoszulek, drugi podkoszulek, brzydkie spodnie narciarskie i majtki na kawałek suchej podłogi za swoimi plecami.

- Nie planowałem tego. - Spojrzał na mnie poważnie.

- Dałabym się nabrać - roześmiałam się i pocałowałam go w usta. Nie obchodziło mnie, czy wyszedł mnie na stoku i zaplanował sobie co do ostatniego szczegółu dalszy ciąg. Nie zamierzałam się przed nim bronić rękami i nogami.

- Lizzie, jesteś pewna? - Patrzył mi w oczy.

Jego niepewność była rozczulająca.

- Możemy wejść do wanny i tam to przedyskutować? - spytałam, zanurzając stopę w pianie.

- Oczywiście. - Ściągnął spodnie od dresu i wsunął się do wanny wraz ze mną. Woda parowała, ogrzewając nasze twarze, a my siedzieliśmy, racząc się kolejną porcją szampana. Luke swój kieliszek zostawił w salonie, ale ja swój przez cały ten czas trzymałam w ręku. Luke napełnił go ponownie, gdy całowaliśmy się, przesuując powoli z pokoju do zalanej światłem księżycą łazienki.

- Pamiętam cię z przyjęcia u Daniela. Wiesz o tym, prawda? - powiedział, odgarniając wilgotny kosmyk włosów z mojej skroni.

- Nie. - Poczulałam się szczerze zaskoczona. - Jesteś pewien? Przecież tam była tona dziewczyn. Pewnie z kimś mnie pomyliłeś.

- Byłaś chyba jedyną dziewczyną na tym przyjęciu na tyle pijaną, żeby całować się z B- O-Bem - uśmiechnął się niezbyt radośnie kącikiem ust.

- O Boże! Ty naprawdę widziałeś mnie na przyjęciu u Daniela.

- Byłaś jedyną osobą, która chyba naprawdę dobrze się tam bawiła. Spodobało mi się to.

- Ja też cię widziałam - wyznałam, machając stopami w gorącej wodzie. - Uznałam, że jesteś strasznie przy-  
stojny i zapytałam o ciebie moją przyjaciółkę.

- W życiu bym nie przypuszczała. - Wyglądał na niezwykle zadowolonego z mojego oświadczenia.

- Akurat. Założę się, że zdarza ci się to przez cały czas.

- Posłuchaj, Lizzie. Wydaje ci się, że znasz Hollywood od podszewki. Zakładasz, że każdy facet jest kłamliwym, niewiernym, aroganckim burasem.

- Z tego, co wiem, wielu z nich podpada pod tę charakterystykę.

- Jesteś pełna uprzedzeń - zmarszczył brwi.

- Lepsze to, niż mieć złamane serce.

- W twoim świecie.

- A o czym świecie rozmawiamy? - Jezu, gdzie się podział cały ten pogodny nastrój? Gdzie się podziało całowanie? Najwyraźniej przysły zmąsły.

- W moim świecie wolałbym, żebyś dała szansę komuś takiemu, jak ja. Uważam, że jesteś wspaniała. Przyznaję, że ledwie cię znam, ale lubię twoje... wibracje.

Nawet on musiał się w tym momencie uśmiechnąć. Uniosłam brwi w wyrazie (jak miałam nadzieję) lekkiego sarkazmu.

- Moje wibracje?

- Twoją energię, witalność, twoje cholerne ciało i duszę, i to, co siedzi w twojej głowie, cokolwiek by to było. - Przerwał na chwilę. - Lubię cię, Lizzie.

- Naprawdę? - straciłam rezon. - Lubisz mnie? - Lubisz mnie?

- Chciałbym się z tobą umówić po powrocie do LA - mrugnął do mnie wyczekująco.

- Bardzo chętnie.

Następnego poranka obudziłam się w ramionach Luke'a, zaciśniętych wokół mnie jak imadło. Czułam jego oddech na szyi i jedno z jego kolan wciśnięte między moje uda. Nie poruszyłam się. Nie tylko dlatego, że nie mogłam, ale też dlatego, że nie chciałam.

- Jeszcze nie wolno ci odejść - wyszeptał i pocałował mnie w kark.

Westchnęłam z zadowoleniem i zapadłam w sen. Od dawna już nie dzieliłam łóżka z mężczyzną, a zwłaszcza z mężczyzną, którego tak bardzo lubiłam.

Dzięki Bogu, zapowiadał się szary dzień i za oknami nie świeciło słońce, więc nic nie zmuszało mnie do wstania z łóżka. Leżałam, przyglądając się palcom Luke'a zaciśniętym na moich ramionach i pobjowisku po wydarzeniach ostatniej nocy: pustej butelce po szampanie, pływającej w srebrnym kubku pełnym roztopionego lodu, dwóm parom znoszonych dresów, moim butom rzuconym na podłogę tuż obok torebki i kieliszkiwi na szafce nocnej obok łóżka. Poprzednia noc była najcudowniejszym przeżyciem mojego dotychczasowego życia. Czułam się przy nim niezwykle swobodnie, a jednocześnie niesamowicie z powodu jego cudownych pocałunków i magnetyzmu między nami. Najlepsze było zaś to, że wszystko to nie stało się pod wpływem impulsu. Luke przysiągł, że zainteresował się mną już wcześniej; na przyjęciu, w parku zwierzęcym, w „Urth”. Pamiętał każdy szczegół naszych spotkań. Dzięki temu cała sprawa nabrała cudownego sensu.

Wyślizgnęłam się z jego objęć i wyskoczyłam z łóżka. Musiałam skorzystać z łazienki, a potem pójść na kilka pokazów. Bardzo chciałam zostać, poczekać, aż Luke się obudzi i sprawi, że przestanę czuć się jak we śnie. Czekająca mnie jednak praca. Jeśli nawet Scott okazywał mi

wystarczająco dużo cierpliwości, żeby zabrać mnie na przyjęcie Miramaxu i patrzeć z pobłażaniem, jak podrywa mnie Jake, to gdybym nie pojawiła się dziś rano, żeby odczytać mu jego program dnia i zorganizować mu szofera, z pewnością wyrzuciliby mnie z pracy. Albo narzeczczął. Żadna z tych opcji nie była zbyt pożądana.

Niczym kobieta jaskiniowa (z przygarbionymi ramionami, żeby mniej rzucać się w oczy) pomknęłam do łazienki i załatwiłam wszystko, co mogło mi przeszkadzać po powrocie do normalnego świata.

- Idziesz już, kochanie?

- Muszę. Przepraszam. - Usiadłam delikatnie na łóżku obok Luke'a i pocałowałam go w policzek. Była to niesamowicie intymna i... po prostu dziwna chwila.

- OK. Zobaczymy się później, prawda? Zadzwoń do ciebie. Było świetnie, prawda?

- Uhm. Naprawdę świetnie. - Pocałowałam go raz jeszcze, tym razem w ramię. - Do zobaczenia.

Spojrzałam na niego po raz ostatni. Miał zamknięte oczy, a jego czarne włosy wyglądały na tle poduszki jak wściekły jeż. Na policzkach pojawił się ciemny puch zarostu. Białe prześcieradło ledwie zakrywało pierś, opaloną na ciepły złoty kolor, niewątpliwie dzięki popołudniom spędzonym na marokańskim basenie.

- Do zobaczenia, aniele - powiedział, otwierając jedno zaspane brązowe oko i spoglądając na mnie. Z trudem powstrzymałam się od wczółgania z powrotem do łóżka.

Wstałam i zebrałam się do wyjścia. Podniosłam z podłogi torebkę i ruszyłam po ciepłym, puszystym dywanie w kierunku wyjścia. Przy drzwiach zatrzymałam się, aby podnieść z podłogi kilka faksów, które obsługa hotelu wsunęła w nocy przez szparę w drzwiach. Ach ci mężczyźni z ich faksami, pomyślałam czule, sięgając po lśniące kartki papieru. Niemal zapomniałam, że Luke był producentem. Tak sprytnie odwiódł mnie od moich uprzedzeń, że zaczęłam traktować go jak zwykłego człowieka.



Nagłówek na samym początku faksu głosił „Weekendowe notowania box office”. Zerknęłam na kolumny, próbując się zorientować, który film stał się przebojem numer jeden i ile zarobił. Zdażyłam sobie już wyrobić taki odruch. Położyłam plik faksów na stoliku obok drzwi. Notowania box office'u zsunęły się ze stosiku i upadły na podłogę. Podniosłam kartkę z zamiarem odłożenia jej na miejsce i nagle dostrzegłam ogromne serce naskrobane na spodzie następnej kartki. Obok niego zaś widniało tyle iksów symbolizujących pocałunek, że można się było nabawić szczękościsku. Wierzę niezbitnie w to, iż jeśli ktoś czyta rzeczy nieprzeznaczone dla jego oczu i w rezultacie jest mu przykro, dostaje to, na co zasługuje. Mimo to przeczytałam ów faks:

*Najdroższy Luke,  
Paryż jest pusty bez Ciebie. Dziś kręcimy w Tuileries. Pamiętasz, jak rok temu w tym samym czasie skakałeś na główkę do jeziora pełnego motorówek? Tym razem nie uda mi się wymknąć aż do początku marca. J. nalega na ponowne nakręcenie wszystkich moich scen plenerowych.*

*A bientot. Pozdrowienia dla Rocky'ego  
Emanuelle W W X X X X X X X X X X*

- Ach tak - mruknęłam i odłożyłam faks drżącą ręką. Nie byłam pewna, co było gorsze; to, że Emanuelle miała śliczny charakter pisma, mówiła po francusku, była aktorką (a zatem zapewne niebiańsko piękna), czy to, że ten dupek, śpiący teraz spokojnie w sąsiednim pokoju potrafił tak doskonale mnie omamić. Wzięłam głęboki oddech i zastanowiłam się nad wyjściami z obecnej sytuacji. Mogłam:

- A. Wrócić do sypialni, podrzeć faks na drobne kawałeczki i obsypać nimi Luke'a z dużej wysokości.
- B. Wysłać odpowiedź do niemożliwie słodkiej Emanuelle i poinformować ją, że dziwnym zbiegiem

okoliczności jej chłopak zamierza powtórzyć dziś swój skok na główkę do jeziora. Być może po raz ostatni w życiu.

- C. Odłożyć faks na samo dno i zakochać się w LL mimo wszystko, w nadziei, że Emanuelle zrobi się tłuśta od jedzenia zbyt wielu bagietek i Luke ją zostawi.

Rozważając mój dylemat, przełożyłam torebkę z jednego ramienia na drugie. Poczułam jej ciężar i przypomniałam sobie, że mam w niej *Zakochanych seksoholików*. Wyciągnęłam z torby scenariusz wraz z długopisem i zrobiłam jedyną rzecz, jaką mogłam zrobić w tak pięknych okolicznościach: napisałam na stronie tytułowej:

*Widzę, że jednak było to spotkanie wyłącznie służbowe!*

*Mam nadzieję, że spodoba Ci się scenariusz.*

*Elizabeth X X*

A potem wyszłam.

*To cudowna noc na tajemnicę i horror. Powietrze przesycone jest potwornością.*

Elsa Lanchester jako Mary Shelley (*Naręczona Frankensteina*)

Po powrocie do Los Angeles porzucenie słodko-gorzkich wspomnień z festiwalu Sundance okazało się łatwiejsze, niż przypuszczałam. Zaledwie drugiego dnia pracy Scott wpadł w nastrój, który Lara określała mianem „szału”. Podobno nie był to pierwszy taki jego występ. Ostatnim razem, trzy lata temu, podobny odjazd Scotta skończył się tym, że Lara musiała jechać do szpitala, gdzie najlepszy chirurg plastyczny w mieście założył jej szwy na prawie trzycentymetrowe rozcięcie nad łukiem brwiowym. Pewnego wtorkowego popołudnia, mając już po dziurki w nosie jego napadów złości, niezdecydowania, obwiniania i ciągłych oskarżeń, rzuciła w Scotta rolodexem. Mierzyła w głowę, ale trafiła go tylko w ramię. Oczywiście w związku z tym Scott musiał się poddać wieloletniej fizjoterapii. Słyszałam nawet kilka razy z jego ust, że gdyby nie rzeźbiony rolodex, mógłby dziś grać w Yankesach. Wracając do tematu, Scott odpowiedział ogniem. Rzucił w Larę jedyną rzecz, jaką miał pod ręką - swoją szczęśliwą talią kart podpisaną przez Amarillo Slima, którą kupił na aukcji w eBay. Róg talii rozciął Larze łuk brwiowy. Gdy zaczęła krwawić, Scott uspokoił się na chwilę. Czuł się tak samo winny, jak zaniepokojona była Agencja ewentual-

nym pozwem do sądu. Nalegał, żeby Lara skorzystała z dwutygodniowego płatnego urlopu (Agencja chętnie na to przystała, w zamian za podpisany przez Larę dokument, że zrzeka się dochodzenia ewentualnych roszczeń w sądzie), które miała spędzić w centrum odnowy biologicznej Canyon Ranch, na koszt Scotta Wagnera.

Zastanawiałam się skrycie, czym mogłabym rzucić w Scotta, żeby zbyt go nie uszkodzić, ale jednocześnie wylądować na dwa tygodnie w uzdrowisku na koszt firmy. Martwiłam się jedynie, że na biurku Scotta leżał szklany przycisk do papieru (daję głowę, że widziałam takie na wyprzedaży w Rexallu), który podarowała mu na Gwiazdkę Mia. Jeśli rzuci tym w moją głowę, z pewnością ominą mnie ożywcze kąpiele z solami mineralnymi, a Agencja zamiast wczasów, będzie musiała opłacić balsamistę.

Próbując uniknąć latających przedmiotów, ukryłyśmy się z Larą w kuchni, gdzie opowiedziałam jej o mojej przygodzie w Sudance, o Luke'u Lloydzie i ogólnie o wszystkim, co się zdarzyło. Zamiast osądzać, Lara uświadomiła mi, że Emanuelle, francuska kokietka, z którą prowadzał się Luke, miewała napady agresji i że prędzej go zabije, niż pozwoli mu ze sobą zerwać. Przez chwilę poczułam się nieco lepiej, zaraz jednak zaczęłam myśleć o tym, jak bardzo lubię jego fałszywy uśmiech i o tym, jak słodko się zachowywał na stoku.

Od dnia mojego powrotu do LA, Luke nie dał znaku życia. Byłam przekonana, że potraktował mnie jak jeszcze jedną przygodę. Miałam nadzieję, że żałował, iż zorientowałam się w jego grze. Ja zdecydowanie żałowałam.

Wydarzenia pofestiwalowe przybrały nieoczekiwany obrót. Okazało się, że Jake Hudson zapamiętał moje imię. Dzwonił teraz co kilka dni. Nadal zgrywałam niedostępną i w rezultacie Jake podbijał cenę, składając mi coraz lepsze oferty. Na początku zaczęło się od rozmów telefonicznych, potem zaprosił mnie na obiad w swoim domu, następnie zaś w miejscu publicznym. Kiedy żadna

z jego propozycji nie zrobiła na mnie wrażenia, przysłał kwiaty. Nie byłam na tyle głupia, żeby myśleć, iż jestem jedyną kobietą na jego liście. Jake i jego potrzeby erotyczne mogłyby stanowić niezłe źródło zarobków kwiaciarni „Luna Gardens”, która sprzedawała niesamowite bukiety pełne dziwacznych gałązek i egzotycznych kwiatów. Szczerze mówiąc, nic mnie nie obchodziło, że tego samego dnia podobne wiązanki lili otrzymała połowa mieszkanek Hollywoodu. Dość, że bukiet dodał uroku mojemu biurku i przez cały tydzień napełniał całe piętro cudownym zapachem. Nagabywanie ze strony Jake'a nie było w połowie tak nieznośne, jak prześladowania Boba.

Poza tym, wszystkie dziewczęta w biurze czerpały niewysłowioną przyjemność z odrzucania przeze mnie zalotów Jake'a Hulaki. Złamał już tyle serc w tym mieście, że stał się stałą rozrywką całego Hollywood. Wtajemniczeni zakładali się o to, kiedy znowu zadzwoni i co zaoferuje tym razem. Courtney, która prowadziła rachunki, przyjęła nawet zakład od jednej z naszych najlepszych aktorek, która jakiś czas temu wdała się w przelotny romans z Jakiem. Oczywiście nie sądzicie, że bezdusznie wodziłam go za nos. Za pierwszym razem, gdy zadzwonił zaraz po festiwalu, wyjaśniłam mu wprost, że źle zrozumiał naturę mojej znajomości ze Scottem i że jestem tylko jego drugą asystentką. Myślałam, że to go zniechęci, ale ku mojemu zaskoczeniu dodało mu to jedynie zapału. Zapewne nie mógł ścierpieć odrzucenia ze strony skromnej asystentki i wpadł w panikę na myśl o tym, że może traci swój sławetny nieodparty urok.

Po kilku dniach przysyłania kwiatów i nieustannego zapraszania mnie na obiad, podniósł wreszcie stawkę i złożył mi jedyną propozycję, której według Lary nie powinnam odrzucić - zaprosił mnie na premierę swojego najważniejszego filmu w tym roku, jeśli nie w całym jego dorobku. Dwa studia filmowe połączyły swe wysiłki i wyprodukowały jeden z najdroższych filmów w historii kina. Podczas realizacji przekroczono ponad stu-

osiemdziesięciomilionowy budżet, co oznaczało, że realistycznie wydano około 200 milionów dolarów. I chociaż ryzyko rozkładało się na dwie wytwórnie, Jake Hudson miał największy udział w sukcesie filmu. Wszystkie role zostały obsadzone prawdziwymi gwiazdami i zanosilo się, że premiera tego filmu będzie wydarzeniem roku. I oto Jake był gotowy poniżyć się i poprowadzić po czerwonym dywanie nie supermodelkę czy sławną aktorkę, ale mnie. Jako uduchowiona i wysoce moralna osoba, oczywiście natychmiast się zgodziłam. Lara uspiła moje poczucie hipokryzji, przypominając, że powinnam się zgodzić, aby udowodnić samej sobie, że poradziłam już sobie z moimi uczuciami do Luke'a Lloyda. Dobry pomysł. Martwiłam się tylko, że mogę na niego wpaść podczas premiery. Ale Lara uspokoiła mnie, że Luke buszuje teraz po Francji w poszukiwaniu odpowiednich plenerów do swojego najnowszego filmu. Jasne! Jak nic buszuje w majtkach pewnej francuskiej aktorki.

Tak więc Jake zyskał odpowiedź, na którą liczył, ja zaś - nowy komplet problemów związanych ze sprawą czerwonego dywanu. Nie wiedziałam, w co mam się ubrać, czy jestem wystarczająco wysoka i czy uda mi się niczego nie zepsuć.

Gdy nastał wielki dzień, Victoria w ostatnim momencie zaciągnęła mnie na jakieś zebranie, żebym robiła notatki i podawała kawę. Wiedziała doskonale o moich planach, ponieważ za każdym razem, gdy ktoś zabierał się do opuszczenia pokoju narad, zaczynała gadkę o jakimś jej dziwacznym pomysle, „pewniaku”, który zarobi dla Agencji miliony. W związku z tym całe żałosne zebranie skończyło się tak późno, że musiałam pędzić do samochodu na złamanie karku, a szybkość, z jaką pokonywałam ograniczniki prędkości na rampach, zdumiałyby samego Michaela Schumachera. Kiedy jednak dotarłam do wyjazdu, zostałam zablokowana przez Daniela, który niespiesznie wycofywał swojego astona martina. Nie mogłam zatrąbić i wrzasnąć:

„Spieprzaj mi z drogi, łysolu!”, obdarzyłam go więc fałszywym uśmiechem i zajęłam się zdrapywaniem lakieru z paznokci. Przynajmniej w ten sposób zaoszczędzę trochę czasu.

Wysoki Jose pomagał Danielowi załadować jaskrawo opakowane prezenty do bagażnika. Drugi Jose podszedł do mojego okna.

- Jak ci idzie, jaszczureczko?

- Och, witaj Jose. Dość dobrze. Mam dziś wieczorem wielką premierę i jak zwykle jestem spóźniona. Ile czasu zabierze Danielowi ruszenie się z miejsca?

- To rozważny mężczyzna, jaszczureczko. *Hierba mala nunca muere.*

Usilnie próbowałam rozszyfrować ostatnie zdanie, Jose zaś stał obok, spoglądając na Daniela twardym wzrokiem, jakiego nigdy przedtem u niego nie widziałam.

- Jose, muszę przyznać, że jeszcze nie miałam czasu zapisać się na hiszpański. Nic martwego? Czy to właśnie znaczyło twoje powiedzenie? - spytałam.

Jose poklepał mnie po ramieniu, nie spuszczając wzroku z Daniela.

- Diabeł dba o swoje.

- W porządku, zapamiętam to.

- Lepiej już jedź, jaszczureczko, inaczej spóźnisz się na swoją randkę.

Dopiero gdy wyjechałam z garażu na światło dnia, zastanowiło mnie, skąd Jose wiedział, że miałam randkę?

Wkładałam właśnie buty pożyczone od Lary, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Jake. Człowiek sukcesu. Miał w głosie tę melodyjną intonację, przez którą wydawało się ludziom, że za chwilę zaczną śpiewać. Owa czarująca cecha sprawiała, że ludzie, a zwłaszcza niczego niepodejrzewające dziewczęta (takie jak ja, zaraz po przygodzie z krążkiem hokejowym, zanim zmądrzałam), czuli się przy nim swobodnie. Był to jednak syreni śpiew.

- Lizzie, to ja, Jake. Przyjechałem po ciebie.

Spojrzałam ostatni raz w lustro i zbiegłam po schodach. Jake czekał na mnie na dole, opierając się o czarną, długą limuzynę. Wyglądał jak mężczyzna, jakich już nie robią. Pomimo wszystkich okropnych rzeczy, które o nim myślałam, wciąż podziwiałam jego styl. Zagwizdał na mój widok z uznaniem i z pełnym aprobaty skienieniem otworzył drzwi limuzyny.

- Chodźmy, kochanie. Nie chcemy się spóźnić - wołał.

Przeżyłam pełną uniesienia chwilę rodem z *Pretty Woman*, gdy, odziana w najlepszą suknię Lary, biegłam w kierunku samochodu. Spuściłam nieco z tonu, gdy przypomniałam sobie, że Julia Roberts grała w tym filmie prostytutkę.

- Wskakuj. - Jake teatralnym gestem przytrzymał drzwi samochodu. - Tak przy okazji, wyglądasz cudownie.

- Dzięki - odparłam, czując się... jak gwiazda filmowa. Zanurkowałam pod ramieniem Jake'a, który gapił się na budynek, w którym mieszkałam.

- Wszystko w porządku? - spytałam, wślizgując się na czarne skórzane siedzenia.

- Tak, tak. - Wsiadł do wozu i zamknął drzwi. - Wszystko gra.

Wciągnęłam w płuca uspokajający zapach luksusu. Jake usiadł naprzeciwko mnie i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Limuzyna ruszyła.

- Więc mówisz, że to świetna zabawa? - spytałam. Zrozumiałam nagle, że choć wiedziałam o nim wiele (tak przynajmniej sądziłam. Miałam przecież własne doświadczenia, nie wspominając o plotkach i artykułach o nim), on wcale mnie nie pamiętał, a zatem, technicznie rzecz biorąc, w ogóle się nie znaliśmy.

- Jasne. - Rozprostował długie nogi i uraczył mnie leniwym uśmiechem. - Powiedz mi, Lizzie, co porabiałaś, zanim pojawiłaś się w Hollywood? Zdaje się, że jesteś tu dopiero od roku, prawda?



- No, no, pamiętałeś - rzuciłam z przekąsem. - Jestem pod wrażeniem.

- Daj spokój - skarcił mnie. - Powiedz mi, czym się przedtem zajmowałaś? Kardiochirurgią albo czymś równie mądrym i seksownym?

- Właściwie to polityką - odparłam bez zastanowienia. Idiotka, nie pomyślałam o tym, że Jake mógł rozpoznać mój dom, a potem przypomniał sobie zdarzenie z krążkiem hokejowym i nasz późniejszy, mały epizodzik. Nie przyszło mi to do głowy, bo nie skorzystał jak dotąd z tysiąca aluzji, dlaczego więc teraz miało być inaczej? Co takiego mogłoby sprawić, że akurat teraz doda dwa do dwóch? Najwyraźniej postradałam rozum, a już na pewno nie doceniłam pamięci Jake'a. Ledwie skończyłam mówić, przysunął się bliżej i spojrzał uważnie przez zmrużone oczy.

- My się już kiedyś spotkaliśmy, prawda?

- Jasne że tak. To ja, Lizzie - rzuciłam głupio, uznając jego słowa za coś w rodzaju uroczego flirtu.

- Nie, mówię o spotkaniu przed Sundance. Przed wejściem do samolotu, w którym wyglądałaś superseksownie. Mam rację?

- Noo... wiesz...

- Pamiętam ten budynek. - Spojrzał za siebie. - Wtedy, w samolocie, ze Scottiem, ani potem nie wspominałaś, że się już znamy, prawda?

Wyglądał teraz bardzo poważnie. Może nawet był wkurzony. W każdym razie przestał się uśmiechać i usiadł grzecznie, z nogami tuż przy siedzeniu.

- Nie sędzę, żebym o tym wspominała. Nie. - Spojrzałam w górę, ponieważ Jake był dość wysoki, a ja próbowałam ocenić rozmiar szkód.

- A powinnaś.

- Przykro mi.

- Przykro ci? - Jake Hudson zmarszczył brwi. Błękitne tęczęwki miał usiane żółtymi plamkami, a oczy otoczone cudownymi, miękkimi zmarszczkami. Jego nos powinien być uwieczniany w rzeźbach. W magicznym

światle zachodzącego słońca wyglądał jak uosobienie perfekcji.

- Tak. Powinnam o tym wspomnieć. To bardzo niegrzeczne z mojej strony.

Chwycałam mocniej torebkę Lary i przygotowałam się do opuszczenia samochodu, a następnie niesławnego powrotu do domu. Dobrze mi tak. To kara za zwodzenie Jake'a, totalizator biurowy i generalnie za zabawianie się porządnym, choć potwornie lubieżnym mężczyzną.

- Żartujesz sobie chyba, prawda?

- Co? - Uniosłam głowę i zobaczyłam, jak wargi Jake'a rozchylają się w uśmiechu, odsłaniając przepiękne zęby.

- To cholernie śmieszne. Jesteś tą panienką od krążka hokejowego - zaśmiał się.

- Wiem - powiedziałam ogłupiała.

- Niezła z ciebie laska. Zastanawiałem się, co się z tobą dzieje. Dzwoniłem do ciebie nawet, prawda?

- Chyba tak.

- A ty nigdy się do mnie nie odezwałaś.

- Słyszałam o tobie różne rzeczy. To znaczy, zamierzałam oddzwonić, ale potem spotkałam cię na przyjęciu, a ty mnie nie rozpoznałeś i...

- To niesamowite. Byłaś panienką od krążka hokejowego. To znaczy jesteś. Ale heca! - Roześmiał się głośno i pocałował mnie w usta. Najwyraźniej uznał, że urobił już sobie odpowiedni grunt. - Lizzie, panienska od krążka i ja wybieramy się na randkę na mojej własnej premierze. Powaliłaś mnie na kolana, kochanie. Uwielbiam cię.

Muszę uczciwie przyznać, że przez całą drogę do amfiteatru Universalu ani razu nie próbował mnie przelecieć. Zamiast tego opowiedziałam mu o całej swojej karierze hollywoodzkiej (co zajęło mi może półtorej minuty), przez resztę czasu zaś gawędziliśmy o tym, jak ciężko było nakręcić film i o tym, że reżyser został wyrzucony z pracy w połowie zdjęć. Jego funkcję przejął pierwszy asystent i zastępca, skończyli zdjęcia razem

z innymi członkami studia filmowego. Pracowali razem przez całą edycję i ocalili film. Na nieszczęście, nikt nie mógł wyjawić tego publicznie, ponieważ reżyser był dobrze zabezpieczony kontraktem i pozwaby studio, gdyby ogłosiło, kto naprawdę był odpowiedzialny za realizację filmu. W rezultacie, na dzisiejszej premierze miał się pojawić ów reżyser i uśmiechając się w świetle lamp błyskowych, zbierać pochwały za nie swoją pracę. Im więcej dowiadywałam się o branży filmowej, tym mniej ją rozumiałam.

Nigdy przedtem nie byłam w Universal City Walk, nie mówiąc już o kinie tak gigantycznych rozmiarów jak tu-tejszy amfiteatr. Gdy limuzyna podjechała do wejścia, poczułam, jak pod czerwoną satynową suknią tłucze mi się serce w piersi. Oglądałam premiery na „E!”, nie byłam jednak przygotowana na rozmach, z jakim przygotowano ową imprezę. Zgromadziły się tu tysiące ludzi pragnących zrobić zdjęcie lub choćby spojrzeć przez moment na znane osobistości. Panował ogłuszający hałas. Część miejsc w amfiteatrze (najgorszych, oczywiście) została sprzedana zwykłej publiczności, zyski zaś przekazano na ulubiony cel dobroczynny głównego bohatera dzisiejszego filmu. Na ogromnej tablicy wyświetlono tytuł filmu i nazwiska aktorów. Ku ucieście tłumu, relację z premiery pokazywano na ogromnym ekranie telewizyjnym, zamontowanym na stadionie w tym właśnie celu. Mniej znane jednostki przemierzały czerwony dywan z kosmiczną prędkością, niczym bytło pędzone na rzeź. Fotografowie szykowali się na robienie zdjęć gwiazdom filmowym.

Gdy wysiedliśmy z limuzyny, Jake przybrał profesjonalny wyraz twarzy i ruszyliśmy po czerwonym dywanie. Nie wiwatowano na naszą cześć, ale nikt by się tego nie domyślił po tym, jak Jake pomachał w kierunku tłumu. Byłam pod wrażeniem jego zuchwałości. Poza tym, sposób, w jaki przytulił się do Julii i pocałował ją prosto w usta, w oślepiającym świetle fleszów, naprawdę powalił mnie na kolana. Julii chyba się spodobało,

bo oddała Jake'owi pocałunek z równą wylewnością. Kamery miały używanie. Jake nie był może gwiazdą filmową, ale zdecydowanie należał do elity „Pretty Pose”, klanu bardzo wpływowych, choć jeszcze młodych decydentów, tak uwielbianych przez media. Każdy z nich mógł być w szkole kapitanem drużyny footballu albo pozować do uniwersyteckiego kalendarza na cele charytatywne. Było też kilka kobiet, ale - podobnie jak przemysł filmowy - bractwo było zdominowane przez mężczyzn. Pracowali uparcie na swój sukces, ciągnąc się wzajemnie na sam szczyt i teraz dorwali się wreszcie do władzy, z czterema czy pięcioma członkami osadzonymi pewnie na kluczowych posadach w studiach filmowych, agencjach i firmach producenckich. Nie wszyscy z nich byli bystrzakami, ale wszyscy zdecydowanie postawili na właściwego konia.

Jake i Julia flirtowali, wymieniając anegdotki, ja zaś stałam kilka kroków za nimi, niczym płaszcz, który czeka na zabranie. Nie przeszkadzało mi to jednak, tak byłam nabuzowana. Wokół mnie krzyczały młode dziewczyny, które rozpłakały się, gdy przepłynął obok nich Leo, machając od niechcenia. Obserwowałam ze zdumieniem, jak tłum eksploduje rykiem na widok kolejnego aktora. Nagle ktoś chwycił mnie za rękę i już za chwilę Jake ciągnął mnie w kierunku amfiteatru, wzdłuż kordonu fanów. Najwyraźniej czas czerwonego dywanu się skończył i musieliśmy przejść do następnego etapu powitań.

Gdy znaleźliśmy się wewnątrz budynku, hałas czyniony przez publikę przekształcił się zaledwie w przyciszony gwar. Jake uśmiechał się jak kot, który właśnie zezarł kanarka.

- Jezu, Elizabeth, kręci mnie to za każdym razem. Wiesz, to całe zamieszanie. Nie mogę się do tego przyzwyczaić, choć jestem tu kilka razy w miesiącu. Wszyscy ci wrzeszczący i wiwatujący ludzie, którzy daliby się zabić, żeby być mną. - Spojrzał na mnie lśnącymi oczami. - Nie podnieca cię to?

Gdyby nawet te słowa nie odebrały mi mowy, nie mogłabym nic powiedzieć, ponieważ rozentuzjasmowany Jake przycisnął mnie do ściany i pocałował. Jak to się stało, że w tym niezwykle publicznym otoczeniu amfiteatru Universalu całowałam się z człowiekiem, przy którym Heidi Fleiss wydawała się Dziewicą Maryją? Może i Jake był słodki, kiedy zabrał mnie limuzyną i zabawił miłą rozmową przez całą drogę, ale mimo wszystko pozostał Jakiem Hudsonem, a mnie nie odpowiadał rodzaj jego rozrywek. Spojrzałam ponad jego ramieniem w nadziei, że znajdę jakiś powód do dezercji, ale napotkałam jedynie zbulwersowane spojrzenie. Luke Lloyd wrócił z Francji.

- Witaj, Elizabeth - powiedział, kompletnie ignorując Jake'a, który szybko wycofał język z okolicy moich migdałków, wytarł usta i klepnął Luke'a po plecach.

- Luke, stary koniu! Jak tam twój film? Nie mogę się doczekać projekcji.

- Wszystko zapuszkowane. Właśnie wróciłem z poszukiwania plenerów do mojego nowego projektu - odparł Luke, nie spuszczając ze mnie wzroku.

- Tak, słyszałam, że byłeś bardzo zajęty we Francji. - Nie mogłam się powstrzymać przed wbiciem ostatniego gwoźdźca do trumny i pogrzebaniu czegoś, co mogłoby być moją jedyną prawdziwą miłością w Hollywood. To tak na wypadek, gdyby pocałunek Jake'a nie wystarczył.

- No nie! Ty szczęściarzu. Francuzki są takie nieokiełznane. Czy ty przypadkiem nie spotykałeś się z tą aktorką? Wiesz, tą superseksowną lalą, która grała w zeszłym roku w tym filmie SF. Jak miała na imię?

- Emanuelle - rzuciłam z szyderczym uśmiechem.

Jake położył dłoń na moim pośladku.

- Właśnie się rozstaliśmy, Jake - powiedział Luke ponuro. - Pewnie skończyłbym z nią wcześniej, gdyby nie to, że nie wierzę w zrywanie przez telefon.

- Masz całkowitą rację! - Jake zdawał się nie zauważać czarnych chmur gromadzących się nad naszymi głowami. - Najlepiej w ogóle nic nie robić. Koniec końców,

dziewczyna sama się orientuje, o co biega i po kłopotcie. - Zaśmiał się. Luke przełknął głośno ślinę. - No dobra, Luke, miło było cię znowu zobaczyć. I pamiętaj, do cholery, przynieś mi swój następny projekt!

Jake objął mnie niedbale i poszliśmy. Chciałam spojrzeć za siebie, ale zdawałam sobie sprawę, że aby zachować resztkę godności, musiałam wtulić się w Jake'a i iść prosto przed siebie. Resztką sił zniosłam lawinę przyjacielskich poklepywań i uścisków dłoni, która nastąpiła zaraz potem.

- Dobrze się bawisz, Elizabeth? - wyszeptał Jake prosto w moje ucho, gdy zajmowaliśmy odgrodzone liną fotele przeznaczone dla VIP-ów, którzy byli bezpośrednio zaangażowani w produkcję filmu.

- Tak, świetnie - upewniłam go, sadowiąc się na miejscu. W końcu mogłam usiąść i, czekając na zgaszenie świateł, zastanović się nad moim spotkaniem z Lukiem Lloydem. Byłam tak zaskoczona jego widokiem, że nie od razu dotarło do mnie znaczenie wypowiedzianych przez niego słów. Poczułam nadchodzącą migrenę. W tej chwili pojawiła się obok nas jakaś rozentuzjasmowana publicystka, wychwalając Jake'a pod niebiosa. Doskonała pożywka dla jego zdecydowanie przerośniętego ego. Obdarzyła go zastanawiająco poufałym pocałunkiem, ja zaś po raz tysięczny tego wieczoru podziękowałam Bogu za to, czego nauczyły mnie o Jake'u poprzednie doświadczenia. Inaczej zalewałabym się teraz łzami w łazience, podczas gdy mój partner obdzielałby sobą całą obecny na widowni ród kobiety.

- Jake, kochanie! Zrobiłam wszystko, żeby siedzieć obok ciebie - nawijała z angielskim akcentem, odrzucając do tyłu brzydko utlenione włosy.

- To cudownie, kochanie - odparł Jake nieobecny głosem.

Publicystka obdarzyła mnie jednym spojrzeniem i od razu uznała, że nie jestem kimś ważnym. Wiedziałam, że zastanawia się, na czym polega mój sekret. Jakim cudem taka przeciętna dziewczyna jak ja zainteresowała

Jake'a do tego stopnia, że zaprosił ją na najważniejszą premierę tego roku? Chciałam jej powiedzieć, że miałam coś, czego jej brakowało - obojętność.

Jake zdjął marynarkę i położył ją sobie na kolanach, a ja rozejrzałam się po sali. Szybko zdałam sobie sprawę z tego, że siedzimy w samym środku rzędu przeznaczonego dla obsady aktorskiej i wszyscy gapią się na nas, usiłując zoczyć bohatera tego wieczoru. Podobał mi się sposób, w jaki w tak bardzo zaawansowanym technologicznie mieście jak Hollywood przydzielano siedzenia. Wydrukowano po prostu plik kartek z imionami i nazwiskami wypisanymi tłustą czcionką, po czym przyklejono je do krzeseł. Nie było różnicy między Cameron, Benem, Jen itd. Owa równość wzruszyła mnie do głębi. Zauważyłam także, że niesławny Tony siedział zaledwie kilka miejsc ode mnie. Podziękowałam niebiosom, że nigdy nie spotkaliśmy się osobiście, inaczej mogłoby teraz nastąpić między nami małe spięcie.

Wreszcie zgasły światła i zatopiłam się w oglądaniu filmu, który był mieszaniną gigantycznych eksplozji i chwil wielkiej ciszy na ekranie szerokim i wielkim jak Himalaje. Jake skończył jeść darmową prażoną kukurydzę, zamieszał kostkami lodu w kubku po coca-coli, po czym nachylił się ku mnie i chwycił mnie za rękę. A ja w panujących ciemnościach wyobrażałam sobie, że to Luke Lloyd. Podczas co jaśniejszych scen rzucałam ukradkowe spojrzenia, w nadziei, że dojrzę go gdzieś w pobliżu. Zanim jednak zaczęłam oglądać głowy siedzących przede mną widzów, w poszukiwaniu postrzępionej czarnej czupryny, rozproszyły mnie dziwaczne, sporadyczne uściski dłoni Jake'a. Na początku myślałam, że zaczyna się do mnie przystawiać, ale potem, gdy nie okazał najmniejszym gestem czy spojrzeniem, że chodzi mu o mnie, uznałam, iż ma to coś wspólnego z nastrojem kolejnych scen. Jake musiał po prostu w ten sposób nieświadomie reagować na smutek, strach czy wielkie wzruszenia w filmie. Zaczęłam zauważać pewien wzorzec.

Podczas ciągnącego się monologu umierającego żołnierza ścisnął moją dłoń z taką zawziętością, jakby zaraz miał dostać ataku serca. Ale nie dostał. Był całkowicie pochłonięty filmem. Potem, w czasie zapierającej dech w piersiach, powalającej scenie miłosnej zaczął ugniatać moje palce z rytmiczną intensywnością. Scena bitewna - brak ściskania. Krajobrazy - uścisk tak żelazny, że niemal odpadły mi palce. Scena łóżkowa - nic.

Doszłam wreszcie do wniosku, że w głębi serca Jake lubi naturę i wieś. Wiedziałam, że pochodzi z Kansas, ale wzruszanie się widokiem pól i bydła było niemal zbyt słodkie, żeby było prawdziwe. Pomyślałam o Jake'u nieco cieplej niż dotychczas. W końcu Luke Lloyd nie zadzwonił do mnie ani razu, ani nie przysłał mi kwiatów, chociaż z nim spałam. Był chyba najgorszym przedstawicielem hollywoodzkich samców. Jake przynajmniej był szczery, Luke zaś skrywał się za moralnością i etyką, będąc jednocześnie największym kłamcą i wykorzystywaczem w całym mieście. Byłam już gotowa porzucić dotychczasowe przekonania co do nich obu, gdy nagle głowa Jake'a opadła na moje ramię. Pomyślałam, że może zasnął, ale gdy na niego spojrzałam, wydał z siebie jęk. Bardzo głośny jęk. Dobrze, że na ekranie trwało właśnie bombardowanie Berlina, inaczej cały amfiteatr zainteresowałby się rozgrywającą się scenką z Jake'em w roli głównej. Niestety, nie był to taki rodzaj jęku, jaki wydaje się po usłyszeniu starego kawału, lecz taki, jaki wyrwa się mężczyznom w chwili... cóż, w tym konkretnym przypadku, czyli w chwili, gdy źle utleniona publicystka wyciągnęła dłoń z jego spodni. Zamrugalam z niedowierzaniem. Jake spojrzał na mnie z wyrazem zadowolenia na twarzy, natomiast publicystka jakby nigdy nic wytarła rękę o oparcie siedzenia i obdarzyła mnie zdawkowym, triumfalnym uśmiechem.

Nigdy więcej nie uścisnę nikomu dłoni z takim niewinnym entuzjazmem, z jakim robiłam to do tej pory. Od tej chwili zamierzam uznawać wyłącznie udawane pocałunki w policzek.



Film dobiegi końca i na ekranie pojawiła się lista płac. Widownia nagrodziła seans owacją na stojąco. Film Jake'a Hudsona wzbudził entuzjazm. Dzięki temu Jake zacznie wspinać się po drabinie sukcesu z prędkością odrzutowca. Tyle że nie ze mną u boku. A już na pewno nie trzymając mnie za rękę.

Gdy w amfiteatrze znów zapłonęły światła, spojrzalam na Jake'a i porzuciłam go pod pozorem odwiedzenia toalety. Zmierzając w stronę tematycznie urządzonego bufetu, dostrzegłam przeciskającego się przez tłum Daniela Rosena. Zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam się z nim przywitać, czy też go zignorować. Nagle poczułam lekkie stukanie w ramię. Odwróciłam się i napotkałam spojrzenie Luke'a Lloyd'a.

- Hej. - Stał i wpatrywał się we mnie.

- Hej - odparłam, niezdolna do niczego więcej.

- Wyglądasz ślicznie.

- Dzięki.

- Dlaczego jesteś z tym facetem? - Wyglądał jak małe dziecko, które właśnie wypluło smoczek.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o swojej dziewczynie?

- Chciałam, ale...

Wiedziałam, co zaraz nastąpi; nieuniknione przeprosiny i głupawe tłumaczenie, które tak desperacko chciałam usłyszeć. Pragnęłam mu wybaczyć i zapomnieć, ale mój instynkt przetrwania zadziałał, zanim pozwoliłam Luke'owi na dalsze wykorzystywanie mego dobrego serca. Gestem dłoni powstrzymałam go w pół słowa.

- Nieważne, Luke. To już nie ma żadnego znaczenia. Nie moja sprawa - powiedziałam.

Luke położył dłoń na moim ramieniu, ale odsunęłam się bez słowa.

- W porządku, rozumiem, nie chcesz być ze mną, trudno. Ale nie bądź z nim. To szuja. Zmienia kobiety jak rękawiczki. Nie mogę znieść myśli o tym, że zniszczy ci życie.

- Zniszczy mi życie? O czym ty mówisz, Luke? To nie osiemnasty wiek, potrafię o siebie zadbać.

- To akurat wiem. - Luke przygryzł wargę, a potem uśmiechnął się do mnie.

Nie potrafiłam się oprzeć i odpowiedziałam tym samym.

- No dobrze. Powiedziałaś, że jeśli nasza znajomość nie okaże się romantyczna, będzie spotkaniem zawodowym. Bardzo mi się spodobał ten twój scenariusz.

- Co takiego? - zupełnie się tego nie spodziewałam. - Mówisz tak dlatego, że czujesz się winny.

- Bynajmniej. Po pierwsze, nie czuję się winny. Nie mam powodu. Po drugie, jestem zwolennikiem niemieszania interesów i uczuć. Rozumiesz mnie? Nigdy nie zaryzykowałbym piętnastu milionów dolarów po to tylko, żeby kogoś przeprosić.

- Nigdy?

- Nigdy. Powiedz mi, kiedy możemy się spotkać, żeby omówić wasz projekt? Chciałbym poznać autora/reżysera. Jest naprawdę świetny. Uważam, że ma ogromny talent. Jak się nazywa? Jason Blum?

- Tak - pokiwałam entuzjastycznie głową

Nagle Luke podniósł rękę i pomachał do kogoś za moimi plecami. Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam Daniela Rosena. Stał nie dalej niż kilka kroków od nas. Jak to dobrze, że nie rozmawialiśmy z Lukiem o naszym „romansie”.

- Hej, Luke. Zadzwoń do mnie jutro. Musimy omówić kilka punktów kontraktu Mela - powiedział Daniel. Luke kiwnął głową potakująco. Daniel zwrócił się do mnie. - Witaj, Elizabeth. Miło cię widzieć poza biurem. Baw się dobrze. - Z tymi słowy zniknął w tłumie.

Kiedy mały Jose mówił o diable, spoglądał prosto na Daniela.

Zwróciłam się w kierunku Luke'a, który zatrzęsł się lekko.

- Ten facet wywołuje u mnie dreszcze - powiedziałam, jak zwykle niezdolna do zatrzymania myśli dla siebie.

- Mam to samo. - Luke się uśmiechnął. - Wracając do sprawy, kiedy możemy się spotkać? To znaczy, kiedy możemy porozmawiać o sprawie?

Był jak pies z ogromną kością w zębach. Nie mogłabym czuć się bardziej szczęśliwa.

- Może w czwartek? Oczywiście rano, w twoim biurze, kiedy jeszcze będzie jasno. - Byłam patentowaną kretynką.

- Wiesz, Lizzie, rano zazwyczaj jest jasno.

- Doskonale. Zaaranżuję wszystko i zadzwonię do ciebie, a teraz pozwolisz, że oddalę się, zanim zmienisz zdanie, albo ja powiem coś nadspodziewanie niegrzecznego.

- Wychodzisz sama? To znaczy... - zająknął się - nie chodzi o to, żebyś wyszła ze mną, ale... nie idziesz z nim... prawda?

Wyglądał na strasznie przygnębionego. Wiedziałam, że mogłabym się teraz z nim podroczyć, sprawić, by dostrzegł, jaka ze mnie doskonała partia i pożałował istnienia tej głupiej francuskiej lali. Nie potrafiłam jednak mu tego zrobić.

- Nie, Luke. Wracam do domu sama. Jake nie jest w moim typie. Lubię uczciwych mężczyzn - mrugnęłam znacząco.

- Rety - złapał się za serce, gdy przesadnie wzruszyłam ramionami. - Wiesz, że nigdy cię nie okłamałem, Lizzie. Po prostu nie powiedziałem ci czegoś, co na dłuższą metę i tak nie było dla mnie ważne.

- Do zobaczenia w czwartek. Nie każ mi zbyt długo czekać.

Podstawowa zasada kontaktów biznesowych głosiła: „Im bardziej wpływowy człowiek, tym dłużej czekać interesantom na spotkanie”.

Odwróciłam się i jak na skrzydłach wybiegłam na zatłoczoną ulicę pasażu Universal City, żeby złapać taksówkę do domu.

*Jakim cudem wszystko to przytrafia się zawsze jednej osobie?*Cary Grant jako David Huxley (*Drapieżne maleństwo*)

Nazajutrz zadzwoniłam do asystentki Luke'a i umówiłam się na spotkanie w jego biurze, na terenie Uniwersalu. Rozważałam przez chwilę, czy nie powinniśmy raczej pójść do kawiarni. Mniej by mnie to onieśmiało. Potem jednak uznałam, że w takich okolicznościach zapewne pograżę się w romantycznych marzeniach, lub, co gorsza, zacznę ponownie rozpamiętywać jego podłość. W biurze nie będzie mnie kusiło, żeby dosypać mu do kawy jakiegoś narkotyku, a potem porzucić na chodniku, żeby potykali się o niego przechodnie. Miałam również nadzieję, że w świetle jarzeniówek trudniej mi będzie się rozpłakać, jeśli oslepią mnie nagle wspomnienia gorącej kąpieli we dwoje lub jego cudownych słów.

- Może być w Uniwersalu - powiedziałam do Allison, asystentki Luke'a. Miałam nadzieję, że to pocziwina, która wkłada okulary do czytania. Nie straciłabym wtedy resztki szacunku, którą jeszcze żywiłam do Luke'a.

- Do zobaczenia jutro o jedenastej rano - odparta dźwięcznie. - Aha, czy pan Blum będzie pani towarzyszył?

- Dołączy do nas w środku spotkania, żeby Luke mógł go poznać - odpartam.

- Doskonale. Bardzo się cieszę na pani jutrzejszą wizytę. - Z tymi słowami odłożyła słuchawkę.

Miałam nadzieję, że odpowiadając na telefony do Agencji, byłam równie profesjonalna i uprzejma jak ona, choć dość w to wątpiłam. Z drugiej strony Allison nie musiała użerać się z Victorią, która ostatnio wisiała mi całymi dniami nad głową, niczym nietoperz-wampir. Podejrzywałam, że dostała nowy koktajl hormonalny, ponieważ do jej zwykłych ataków (które zdiagnozowałam jako odmianę syndromu Tourette'a\*), kiedy to wystawiała głowę przez drzwi i rzucała, np. „Chciałabym, żeby wszyscy w Disneyu pozdychali!”, dołączyły teraz dzikie wrzaski, które dobiegały nas z gabinetu nader często. Czasem zresztą Victoria nie fatygowała się, aby zamknąć drzwi.

Pewnego dnia po jednym z takich epizodów poszłam sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Poinformowała mnie wtedy, że owe krzyki to specjalna technika leczenia neuroz i pozbywania się pierwotnego bólu, opracowana przez Arthura Janova. Jak sądzę, miało to być proaktywne preludium do samouzdrowienia - problem w tym, że bardzo głośne i trudne do wyjaśnienia klientom, z którymi akurat prowadziło się rozmowę telefoniczną.

Ostatnio zresztą Victoria zrobiła się tak okropna, a jej uwagi tak uszczypliwe, że podczas zeszlotygodniowej sesji z doktor Vance spytałam, czy można wysłać kogoś do zakładu psychiatrycznego, nie będąc z nim spokrewnionym.

- Oczywiście, że tak, moja droga - odparła. - Po prostu trzeba zabrać tę osobę do centrum medycznego Cedars Sinai i podejść do okienka numer dziewiętnaście. Jest nieoznaczone, właśnie w tym celu. Dyżurują tam dwaj lekarze, którzy rozmawiają z potencjalnym pacjentem i decydują, czy powinien zostać poddany leczeniu psychiatrycznemu. Bardzo proste.

- Świetnie - odparłam, podniesiona na duchu tą informacją. Byłam przekonana, że jeśli uda się nam z La-

\* Choroba tikowa (przyp. tłum.).

ra podstępem zaciągnąć Victorię do okienka numer dziewiętnaście (pod pozorem podejrzenia, że złamałam sobie kciuk, albo coś w tym stylu), na pewno wysłałby ją do czubków, przynajmniej na krótką obserwację. A tego właśnie potrzebowałam - krótkiego odpoczynku od jej odpychającego zachowania.

Niestety, instytucjonalizacja Victorii pozostawała nadal wyłącznie w sferze moich życzeń, przez co zachowywałam się wobec moich klientów nieco bardziej szorstko i obcesowo niż Allison.

- Cześć, Alannah. Jest Jason? - spytałam ładną Japonkę za ladą Coffee Bean.

Wybrałam się tam, by poinformować go, żeby wyprasał spodnie na najważniejsze spotkanie swego życia. Zaraz po powrocie z premiery zostawiłam mu na sekretarce wiadomość o naszym spotkaniu z Lukiem Lloydem. To było to, na co czekaliśmy. Chwila, której Jason pragnął najbardziej na świecie, od kiedy jako dziecko obejrzał *Bliskie spotkania trzeciego stopnia* i zakochał się w filmach. Dla mnie nasz projekt także nie był tylko interesem. Kochałam go, pasjonowałam się nim bardziej niż czymkolwiek w życiu. Nawet polityka przegrywała tę małą konkurencję.

- Przykro mi, nie ma go dzisiaj - odparła Alannah.

- Myślałam, że dopiero jutro ma dzień wolny - stwierdziłam. - Inaczej nie umawiałabym nas na czwartek. Założyłam, że będzie miał czas, by się pojawić na spotkaniu.

- Zadzwoił do mnie i poprosił, żebyśmy się zamienili. Powiedział, że ma dzisiaj coś bardzo ważnego do załatwienia. - Alannah wzruszyła ramionami.

- OK, dzięki, złotko.

Wychodząc, doszłam do wniosku, że Jason pewnie siedzi w domu, przygotowując się do spotkania, wygładzając scenariusz i zastanawiając się nad obsadą. Wprawdzie robiliśmy to non stop przez ostatnie kilka miesięcy, aż *Zakochani seksoholicy* osiągnęli perfekcję słowną, ale nie miałam za złe Jasonowi dalszej chęci

poprawiania. Cieszyłam się, że jest tak sumienny. W końcu spotkanie z Lukiem mogło odmienić życie nas obojga i Jason najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę.

- Halo, Jason? Wiem, że tam jesteś. Pewnie sprawdzasz ortografię i zmieniasz marginesy, żeby scenariusz wydawał się krótszy. Nie musisz tego robić. Najważniejsze, że pomysł bardzo się spodobał Luke'owi. Szczegółami możemy się zająć później. - Siedziałam z powrotem przy biurku. Starałam się mówić bardzo cicho, żeby nikt się nie dowiedział zawnazasu o naszym małym sukcesie. Powiedziałam o wszystkim Larze, ale Courtney i Talitha, a już zwłaszcza Victoria, niczego jeszcze nie wiedziały. Na razie nie miałam im niczego konkretnego do zakomunikowania, a to oczywiście było bardzo niedobre. Miałyby niezłe używanie, gdyby powinęła się nam teraz noga. - Jason? Gdzie jesteś? Proszę cię, zadzwoń do mnie. Muszę wiedzieć, że będziesz jutro w Universalu, na spotkaniu z Lukiem Lloydem.

Zaaplikowałam sobie pod język siedem kropli toniku z krzewu australijskiego, który podarowała mi Alexa na uspokojenie nerwów, i wróciłam do przeglądania sterty korespondencji.

- Elizabeth, muszę już lecieć. Powodzenia jutro.

Lara pochyliła się i pogładziła moje kolano. Spojrzałam na jej dłoń z zaskoczeniem. Lara raczej unikała kontaktu fizycznego i nigdy przedtem świadomie mnie nie poklepała. Byłam szczerze poruszona. W obu znaczeniach tego słowa.

- Dzięki - odparłam. - Idziesz na spotkanie z kolejnym agentem literackim?

- Niezupełnie, ale to coś bardzo ważnego, więc jutro mnie nie będzie.

- W porządku. Jak myślisz, powinnam zorganizować jakieś zastępstwo? - spytałam. - Inaczej Scott zostanie sam.

- Nie przejmuj się. Scotta też jutro nie będzie - odparła Lara i odchyliła się w swoim krześle z anielskim

uśmiechem na twarzy. - Nie musisz organizować żadnego zastępstwa.

- Tym lepiej. Przed wyjściem z pracy przełączę telefon na automatyczną sekretarkę i zajmę się wszystkim zaraz po spotkaniu. No, może zaraz po krótkim omówieniu jego przebiegu z Jasonem. Obiecuję, że nie będziemy się zbyt rozgadywać. Tak przy okazji - uśmiechnęłam się - wyglądasz prześlicznie. Czy to ten krem nawilżający SK-II, który ostatnio kupiłaś? Bo jeśli tak, zaraz idę do Saksa i spróbuję wyłudzić dla siebie próbkę.

- Dzięki - Lara pogładziła się delikatnie po policzku. - Może to rzeczywiście SK-II.

Spojrzała przed siebie z dziwnym wyrazem twarzy. Pomyślałam, że to chyba nie krem, tylko miłość.

Nie zapomniałam jednak, że rozmawiam z Larą. Nawet jeśli złagodniała na tyle, by pogładzić mnie po kolanie, nie zamierzałam ją wypytywać o jej żonatego chłopaka i o to, czy w końcu do niej wrócił. Byłoby to czyste szaleństwo z mojej strony.

- Halo, Agencja - z trudem zmusiłam się do powrotu do pracy.

- Mówi Jason.

- Dzięki Bogu! Dostałeś moje wiadomości? Gdzieś ty był? Nie sądzisz, że to wspaniałe?

- Uhm - coś trzeszczało na linii - świetna robota, Lizzie.

- Powinieneś pogratulować nam obojgu. W końcu jesteście drużyną - roześmiałam się. - Boże, zachowuję się jak cheerleaderka.

- Tak. To znaczy nie. Zachowujesz się naturalnie.

Jason powiedział to w bardzo hollywoodzkim stylu, nieobecny głosem, jakby robił w tej chwili coś ważniejszego. Dobry znak. Uśmiechnęłam się. Zastanawiałam się, czy kiedy już zostanę niezależną producentką, też będę się tak zachowywać.

- A właściwie, gdzie ty jesteś? Bo chyba nie w swoim mieszkaniu, co?

- Nie, nie jestem w... nie ma mnie w mieszkaniu.



- Założę się, że wybrałeś się do Freda Segala po swoją pierwszą reżyserską koszulę. Mam rację?

- Niezupełnie. Posłuchaj Lizzie, mówiłaś, że o której jest to spotkanie?

- O jedenastej rano. Chcesz, żebym po ciebie przyjechała? Zawsze będziesz mógł poczekać na swoją kolej w kawiarni albo coś w tym stylu.

- Nie, nie ma sprawy. Poradzę sobie. Posłuchaj, muszę już kończyć, bo dzwonię z cudzego telefonu komórkowego. W porządku?

- Jasne. Do zobaczenia jutro w biurze Luke'a Lloyda. Boże, czy to nie dziwne? Następnym razem, gdy się spotkamy, będziemy negocjować sfilmowanie twojego scenariusza - powiedziałam, zapominając o zachowaniu ostrożności.

- Uhm. Muszę już spadać, Lizzie.

Jason się rozłączył. Odłożyłam słuchawkę i rozejrzałam się ostrożnie wokoło, uświadomiwszy sobie, że całe biuro ucichło. Dzięki Bogu, wszyscy już wyszli, a Scott leżał na kanapie, oglądając zwiastun jakiegoś filmu sensacyjnego dla nastolatków, z udziałem młodych panielnek. Był to doskonały sposób na odwrócenie jego uwagi od tego, że wykorzystywałam służbowy czas i telefon do załatwiania spraw prywatnych. Postanowiłam na przyszłość być bardziej dyskretna. Potrzebowałam tej pracy. Przynajmniej do jutra.

Co za dziwna myśl. Czy potrafiłabym, czy mogłabym zrezygnować z posady w Agencji, jeżeli Luke kupi scenariusz Jasona? Problem z filmami polega na tym, że nigdy nic nie wiadomo z ich realizacją. Zielone światło jest dobrym wskaźnikiem, że może uda ci się doprowadzić sprawę do końca, ale po drodze możesz napotkać wiele skórek od banana, które tylko czekają, abyś się na nich poślizgnęła (główna aktorka dostaje poparzenia słonecznego, plenery, które nagle stają się terenem działań wojennych, wycofanie się zagranicznego inwestora - niemieckiego playboya, który przegrał majątek w karty... właściwie wszystko, co człowiek jest w stanie

wymyślić). Wbrew pozorom to bardzo istotne. Nieważne, co powie jutro Luke Lloyd, rezygnacja z posady w Agencji byłaby głupotą. Chyba że usłyszę: „Daję ci pięć milionów dolarów na realizację filmu”. Przychodzi mi do głowy jeszcze jeden bon mot: „Nie mogę bez ciebie żyć. Zamieszkajmy w moim domu w górach i zrobmy sobie gromadkę dzieci”.

No i masz babo placek! W ogóle nie powinnam zaczynać tych rozważań!

Nie zastanawiałam się również, jak będzie wyglądało moje cudowne życie, jeśli realizacja naszego filmu kiedykolwiek dojdzie do skutku. Jakie zmiany w nim nastąpią? Byłam zbyt zajęta martwieniem się, czy charakter Dana był należycie spójny, a jego wątek wystarczająco dramatyczny, żeby spełnić swoje marzenia o lepszym życiu.

To nawet lepiej. Nie potrafiłabym się teraz zastanawiać nad nową parą butów i dwoma tygodniami wakacji na Bali. Poza tym, praca nad scenariuszem była czystą przyjemnością. Po całym dniu uczenia się z książek o budżecie filmowym, poszukiwania kierowników produkcji, obliczania kosztów filmowania w plenerze byłam nieodmiennie tak uszczęśliwiona, że nawet gotując zwykłe spaghetti, uśmiechałam się jak zakochana wariatka. Nigdy przedtem nie doświadczyłam uczucia spełnienia zawodowego. Nawet gdy byłam zaabsorbowana kampanią w Waszyngtonie, czułam się doceniana i ożywiona - i to wszystko. Moje obecne uczucia związane z projektem można by porównać jedynie do radości z wygrania w totolotka albo zostania matką. Albo z kochania się w gorącej wannie z cudownym człowiekiem i NIEDOWIEDZENIA się potem, że był podłym kłamcą.

Universal mieścił się w Valley, dlatego w czwartek wyjechałam odpowiednio wcześniej. Nie na tyle jednak, by uciec przed porannymi korkami i nie siedzieć w samochodzie tak długo, aż moje ubranie zaczęło przypominać pogniecione w złości listy miłosne. W czasie drogi próbowałam się skoncentrować na projekcie i nie

myśleć, jak wygląda biuro Luka, albo jak to będzie spotać go znowu. Tamtej nocy na premierze filmu udało mu się mnie zaskoczyć. Teraz miałam aż nadto czasu, aby poczuć, że mój żołądek zmienił się w ciasno związany worek pełen szalonych fretek. Włączyłam radio i wystawiłam twarz na promienie porannego słońca. Jechałam autostradą Ventura, a Elton John śpiewał o tym, że Daniel był gwiazdą i że bardzo za nim tęskni.

Ja z kolei zupełnie nie tęskniłam dziś za Danielem. Do tej pory nie porozumiał się ze mną w sprawie scenariusza. Trochę się bałam, jak zareaguje, dowiedziawszy się, że Luke zamierza kupić nasz projekt. Zapewne uzna mnie za zdrajczynię, może nawet pozwie do sądu. Podobno kiedyś zrobił już coś takiego, nie wiedziałam tylko z jakiego powodu. Może po prostu z takiego, że miał świetnych i wpływowych prawników. Rzekomo jego dawna recepcjonistka napisała scenariusz i sprzedała go Foksowi za 1,2 miliona dolarów (jest to apokryficzna suma, za którą zazwyczaj inni ludzie sprzedają swoje scenariusze. Kiedy przychodzi twoja kolej, nieodmiennie oferują ci 40 tysięcy - i to jeśli ci się poszczęści). Daniel wpadł we wściekłość i dopilnował, by biduła poszła z torbami. Jego prawnicy udowodnili, że swój bilet do lepszego życia napisała na komputerze będącym własnością Agencji.

Zastanawiałam się, czy podobnie postąpi z Larą, jeśli kiedyś dowie się o jej powieści. Zdecydowanie miałyby prawo zażądać zwrotu części jej zarobków, kiedy bowiem dopadało ją natchnienie, Lara nie należała do najpilniejszych pracowników.

Z drugiej strony, chciałabym to zobaczyć. Jeżeli Daniel spróbuje pozwać ją do sądu, Lara odgryzie mu nos i przepuści przez niszcarkę do dokumentów, żeby nikt nie mógł go wrzucić w paczkę mrożonego groszku, a potem przyszyć z powrotem. Lara sprowokowana byłaby do tego zdolna.

- Witaj, Allison. Jestem Elizabeth Miller - powiedziałam, wchodząc do biura Luke'a.

Słowo „biuro” jest w tym przypadku dość mylące, ponieważ większość hollywoodzkich firm związanych ze studiem filmowymi mieści się w budynkach nieco tylko bardziej luksusowych niż osławione aktorskie przyczepy. Jeśli uderzy się pięścią w ścianę jednego z tych bungalowów, można się przebić na drugą stronę. Oczywiście, istnieją chlubne wyjątki: firma Spielberga, Amblin, mieści się w domu z cegieł i zaprawy, chociaż znajduje się na terenie Universalu. Poza tym większość ścian Paramountu można bezpiecznie kopać (co zresztą podobno często się zdarza), niektóre zaś samofinansujące się albo odnoszące ogromny sukces firmy wynajmują budynek w innej części miasta, jak Santa Monica czy Melrose. Owe spółki należą przeważnie do producentów z wysublimowanym gustem (często homoseksualistów), którzy nie posiadają biur, lecz raczej „przestrzenie”, najczęściej z elementem wody w postaci fontanny zenistycznej lub widoku na Pacyfik. Firma Drew Barrymore, Flower Films, nie znajduje się w pobliżu żadnego ze studiów filmowych. Z okien mają wspaniałe widoki, a w pokoju konferencyjnym, humorystycznie zwanym „Kwaterą wojenną”, porozwieszano mapy i ustawiono modele samolotów. Jeżeli ma się osobowość, dlaczego ją ukrywać?

Luke Lloyd nie był jednak ani gejem, ani aktorką i pracował w ogólnowojskowej kwaterze producenta.

- Witaj, Elizabeth. Luke rozmawia przez telefon. Proszę, usiądź i zaczekaj - odparła Allison, wskazując na liliową kanapę. Obok, na stoliku do kawy leżała sterta czasopism branżowych - „People”, „Us”, „Variety” i „Banity Fair”. Przycupnęłam sobie i otworzyłam jeden z magazynów, żeby swobodnie przyjrzeć się znad jego brzegu wystrojowi wnętrza.

- Czy mogę podać ci coś do picia? Dietetyczną colę albo wodę? - spytała Allison, która nie wyglądała w połowie tak poczciwie, jak sobie wymarzyłam, ale na szczęście nosiła na serdecznym palcu gigantyczny pierścionek zaręczynowy.

- Czy mogłabym dostać zwykłą colę? - spytałam.

Allison powędrowała do lodówki, a ja zaczęłam przyglądać się plakatom z filmów Luke'a. To była kolejna charakterystyczna cecha takich miejsc: ściany zawsze zapełniały afisze. Luke miał na swoim koncie kilka filmów, o których nigdy w życiu nie słyszałam. Większość była w stylu *Weselnej masakry*. Z ulgą zauważyłam, że wyprodukował również wystarczająco dużo filmów artystycznych (plakaty bez mięśniaka z giwerą na ramieniu), aby przywrócić mi wiarę w moją byłą wielką miłość.

- Proszę bardzo. - Allison wręczyła mi zamówiony napój.

- Dziękuję - odpowiedziałam i zaczęłam przerzucać „People”. Przez papierową ściankę działową usłyszałam głos Luke'a. Poczułam się słabo.

- Nie możemy w ten sposób współpracować, Allen - mówił spokojnie. - Odnowiliśmy opcję, zanim wygasł kontrakt. To, że dopiero teraz mówisz mi o wszystkim, to jedno wielkie gówno. Chcę mój procent. Bez dyskusji.

Allison pisała coś na komputerze. Zadrżałam. Dlaczego głos Luke'a musi brzmieć tak bezwzględnie i wszechpotężnie? To cholernie wkurzające. Zaczęłam się zastanawiać, czy gdzieś w gabinecie Luke'a jest jego zdjęcie z Emanuelle. Nagle rozległ się brzęczyk i podskoczyłam na trzy metry w górę. A przynajmniej mój żołądek podskoczył, ciało bowiem zwodniczo pozostało na ziemi. Aż za dobrze znałam ten straszliwy szum interkomu.

- Oczywiście, przekażę jej. - Alison odłożyła słuchawkę.

- Powiedział, żeby pani weszła - uśmiechnęła się.

Zastanawiałam się, czy widząc moją nerwowość, domyśli się, że między mną a Lukiem coś zaszło. A może sama się w nim podkochiwała? W końcu miała przecież oczy i mózg, prawda? Jak mogłaby pozostać obojętna na takiego faceta?

- Lizzie. - Luke wstał zza biurka i uściśnił moją dłoń na przywitanie. - Cieszę się, że cię widzę.

- Wzajemnie.

Wskazai na piękne, stare żółte krzesło, chyba z prywatnych zasobów. Usiadłam.

- Jak się miewasz? - Luke usadowił się za biurkiem i uśmiechnął do mnie trochę smutno.

- Dziękuję, dobrze. - Starałam się być bardzo zasadnicza, ale potrafiłam myśleć tylko o nas na festiwalu Sundance, jadących limuzyną Luke'a przez zasy śniegu, przy akompaniamencie Stonesów.

- Świetnie - chyba odczytał mowę mojego ciała (czy raczej mowę mojego ubrania, przypominającego stylem zestaw, w jakim wystąpiłam na kolacji z Bobem w Spago; nijakich, aseksualnych, luźnych ciuchów w bardzo nieciekawym kolorze). - Jak już mówiłem, podoba mi się wasz projekt i chciałbym ci złożyć ofertę. - Pochylił się ku mnie w swoim dyrektorskim fotelu.

- Fantastycznie. - Małżeństwo i dzieci?

- Oczywiście to będzie film artystyczny, ale z górnej półki. Powiedzmy, dziesięć milionów dolarów, może więcej, jeżeli zdecydujemy się przyciągnąć droższe talenty.

- Rozumiem.

- Po prostu rola głównego bohatera jest tak wspaniała, że gdybyśmy zwerbowali, powiedzmy Ashtona Kutchera albo Orlando Blooma, jestem gotowy wyłożyć więcej. A już na pewno zrobią to zagraniczni inwestorzy.

- Uważasz, że jakiś sławny aktor zgodzi się zagrać za stawkę zdecydowanie niższą niż zazwyczaj? Tak jak powiedziałeś, to typowo niezależna produkcja.

- Możliwe.

Gryzł koniec ołówka i wypisywał coś na kawałku papieru. Liczby, a nie moje imię. Korzystając z tego, że patrzył na kartkę, ja rozejrzałam się po rozwieszonych na ścianach fotografiach. Same pocztówki i dziewczęce, kosztowne zaproszenia na śluby oraz ważne uroczystości. Nad głową Luke'a wisiał obraz olejny przedstawiający konia wyścigowego. Cóż, w końcu pochodził z Kentucky, prawda?

- Mogę wysłać materiał do jakiegoś znanego aktora i zobaczymy, co z tego wyjdzie. Możemy zacząć od przygotowania interesującego pakietu dla inwestorów. Albo odwrotnie. Oba podejścia są równie dobre.

- Uważam, że najlepiej będzie zwerbować gwiazdę. Taki pakiet przyciągnie zainteresowanie większej liczby sponsorów.

- Zgadzam się.

Oboje przerwaliśmy i spojrzeliśmy sobie w oczy o sekundę za długo. Wreszcie przerwałam tę napiętą sytuację.

- Zastanawiam się, gdzie jest Jason. Powinien już dawno się tu pojawić - powiedziałam.

- Może utknął w korku? - mruknął Jason i zaczął coś obliczać na kartce. - OK, tyle mogę zainwestować. Dam wam zielone światło, ale musicie się przygotować na wypłatę z dołu, nie z góry. Co ty na to? - spytał Luke.

Oznaczało to, że dostaniemy pieniądze dopiero wtedy, gdy (jeżeli w ogóle) film odniesie sukces. Spojrzałam na zegarek. Jasona wciąż nie było.

- Nie wiem. To znaczy, mnie twoja propozycja wydaje się w porządku, ale nie rozmawiałam jeszcze z Jasonem o orientacyjnych sumach i rodzaju płatności - powiedziałam szczerze.

- Chcesz do niego zadzwonić? Spytaj, czy już dojeżdża - powiedział Luke.

Pewnie chciał skończyć naszą sprawę i zająć się czymś innym. W końcu był ważnym producentem, prawda?

- Jasne. Dzięki.

Podeszłam do biurka. Wręczył mi telefon, ja zaś z pamięci wystukałam numer Jasona.

*Cześć, mówi Jason Blum. Zostaw wiadomość.*

- Jason, to ja. Chciałam się upewnić, że wszystko w porządku i już jesteś w drodze. Dzwonię z Uniwersalu.

Oddałam słuchawkę Luke'owi, który przez cały czas udawał uprzejmie, że sprawdza coś w Internecie. Bez używania myszki i klawiatury. Przy okazji zauważyłam, że i na jego biurku nie było żadnych osobistych fotografii.

- Przykro mi, odzywa się tylko automatyczna sekretarka - powiedziałam zakłopotana.

Będziemy tu teraz siedzieć aż do przyjazdu Jasona i bawić się własnymi palcami?

Jason w ogóle się nie pojawił. Spędziłam w gabinecie Luke'a dwadzieścia minut, rozmawiając z nim zdawkowo o castingu i plenerach. Oboje wpatrywaliśmy się desperacko w drzwi, myśląc o czymś zupełnie innym. Nieważne, co mówią ludzie; to bardzo dziwne uczucie, siedzieć na spotkaniu w sprawach zawodowych z kimś, kto nie dalej jak tydzień temu całował twoje piersi. W końcu pożegnałam się i wyszłam, do wyrzycania przepraszając za Jasona. Przerobiłam w głowie każde tragiczne wydarzenie, jakie mogło go zatrzymać. Wypadek samochodowy, nagła konieczność zastosowania tracheotomii, uderzenie w głowę krążkiem hokejowym, zepsuty samochód gdzieś w South Central, pożar, którego zarzewiem stały się spodnie od garnituru i żelazko - mogłam wymyślać podobne scenariusze bez końca.

Mój gniew również był, że się tak wyrażę, *sans frontieres*.

„Co się z tobą do cholery stało?“, ta i wszelkie możliwe permutacje owej wiadomości znalazły się na automatycznych sekretarkach Jasona, na numerze domowym i w komórce. Dzwoniłam do niego przez cały dzień, aż obie nieszczęsne maszyny dostały elektronicznego zastoju serca i przestały zapisywać wiadomości. Do dziesiątej w nocy moja wściekłość przerodziła się w coś dużo gorszego - strach, że Jasonowi przydarzyło się coś bardzo, bardzo złego. Pojechałam do Coffee Bean, ale tam też niczego nie wiedzieli. Jason nie pojawił się na swojej zmianie i biedna Allana mężnie trwała na posterunku. Potem zjrzałam do duplexu Jasona na South Sweetzer. Stałam na trawniku za drzewem cytryny i spjrzałam w okna jego mieszkania na pierwszym piętrze. Ciemno. Nikogo nie było w do-



mu. Dla pewności rzuciłam kilka kamyków w okno. Nic.

- Przepraszam, czy widziała pani señora Jasona? - spytałam Perdite, jego siedemdziesięcioletnią sąsiadkę z dołu, która podkochiwała się w nim i gdy jej mąż wychodził na partyjkę szachów, robiła mu hamburgery i smażone lody.

- Wyszedł z domu rano, o siódmej dwadzieścia i jeszcze nie wrócił. Wyglądał bardzo elegancko. Miał ładną koszulę - odparła. Zaczęłam się obawiać najgorszego.

Po powrocie do domu próbowałam sobie przypomnieć, czy znam jakichś przyjaciół lub krewnych Jasona, którzy mogliby mieć o nim jakieś informacje. Jednak i pod tym względem LA było dziwnym miastem. Większość mieszkańców stanowiła ludność napływowa, która nie miała tu żadnej rodziny. Wiedziałam jedynie, że Jason pochodzi z Nowego Jorku, jego ojciec jest handlarzem sztuki, a matka nauczycielką. Ponieważ nie miałam przyjaciół w Interpolu, mogłam sobie darować próby ich odszukania. Co zaś do przyjaciół... jeśli nie był ze mną, spotykał się z grupką wychowanków Uniwersytetu Kaliforni Południowej. Kim jednak byli ci ludzie i gdzie mieszkali, pozostawało dla mnie taką samą zagadką jak to, dlaczego Felliniego uważano za geniusza.

- Poddaję się - powiedziałam do Alexy, zastukawszy do jej drzwi późnym wieczorem. Chciałam ją wyciągnąć na dach naszego budynku, na szklaneczkę wieczornej margarity przed snem. - Nie mogę sobie wyobrazić, co takiego ważnego mogło się wydarzyć, by nie przyszedł na to spotkanie. To znaczy, pomijając wypadek i inne takie.

- Muszę przyznać, że to rzeczywiście dziwne - zgodziła się Alexa.

Trochę mnie zaniepokoiły takie słowa z ust dziewczyny, która wierzy, że żyjemy w trzecim wymiarze duchowości i że gdybyśmy wszyscy na trzy cztery przestali wierzyć w istnienie wszechświata, rzeczywiście by znikł.

- Nie mogę już o tym myśleć. Zadzwoiłam nawet do kilku lokalnych szpitali, ale wydostanie nazwisk przyję-

tych na oddział jest niczym próba wyciskania wody z kamienia. Strasznie przestrzegają prywatności. Nieważne. Idę zrobić nasze margarity. Spotkamy się na górze za kilka minut - powiedziałam, buszując w torebce w poszukiwaniu kluczy.

Potem rozłożyłyśmy sobie na dachu maty modlitewne z Nepalu i przesiedziałyśmy na nich całą noc, trzymając w dłoniach limonkowe margarity i spoglądając na światła miasta na horyzoncie. Na morzu w oddali lśniły łódki, a młyńskie koło na nabrzeżu usiane było diamentowym blaskiem. Znad oceanu wiała lekka chłodna bryza, musiałyśmy więc skulić się, żeby nie dostać gęsiej skórki.

- Powinnam teraz świętować razem z Jasonem - powiedziałam.

- Możemy to zrobić bez niego. Tak czy siak, wykonałaś kawał dobrej roboty. Prawie udało ci się zawrzeć umowę. To niesamowite, Elizabeth.

- Dzięki. Pewnie masz rację. - Uniosłam szklanke i stuknęłam się z Ałexą. - Jestem pewna, że wszystko z nim w porządku. W końcu brak wiadomości to dobre wiadomości, prawda? Zwykliśmy to powtarzać, gdy moja siostra wyjechała do Sierra Leone.

- Racja. - Alexa uśmiechnęła się do mnie słodko, a potem położyła się i spojrzała w niebo. - Pójdziemy spać dopiero wtedy, gdy zobaczymy spadającą gwiazdę i uda nam się powiedzieć na czas życzenie, żeby Jasonowi nie przytrafiło się nic złego.

- Świetnie - zgodziłam się, odstawiając szklanke i układając się na pokrytym papą dachu.

*Bóg mi świadkiem, że mnie nie pokonają. Przeżyję wszystko...  
Choćbym miała kłamać, kraść lub zabijać.*

Vivien Leigh jako Scarlett O'Hara (*Przeminęło z wiatrem*)

- Elizabeth, tak mi przykro - powiedziała Lara, gdy weszłam do biura z podkrążonymi z niewyspania i zmartwienia oczami.

- Z jakiego powodu? - spytałam, czując, że miękną mi kolana.

Lara wiedziała coś o Jasonie. O mój Boże! Muszę szybko usiąść, inaczej zemdleję. To na pewno bardzo złe wieści. Szukając po omacku drogi, dotarłam jakoś do swojego biurka.

- Z tego. - Lara wręczyła mi najnowsze wydanie "Zanety". Spojrzałam na nią zaintrygowana. - O nie! Ty jeszcze tego nie widziałaś?! - krzyknęła i wydarła mi czasopismo z rąk.

- Czego?

- Najpierw usiądź. - Lara podsunęła mi krzesło.

- Nic z tego. Powiedz, o co chodzi - wyjąkałam roztrzęsionym z emocji głosem.

- Elizabeth, naprawdę strasznie mi przykro.

Nie ruszyła się z miejsca. Stała tak, z egzemplarzem "Variety" w ręku, wpatrując się we mnie z przerażeniem. Nie mogłam tego dłużej znieść. Drżącymi dłońmi wyrwałam jej pismo i spojrzałam na stronę tytułową.

A potem wydałam z siebie okrzyk tak pierwotny, że zdołałby wyleczyć nerwice moje, Victorii i Woody'ego Allena razem wzięte. Był to wrzask o tak apokaliptycznym natężeniu, że pojawienie się w przyszłości u kogośkolwiek w tym budynku symptomów neurozy będzie zakrawało na cud. Podobnie jak regeneracja aparatu słuchowego bezpośrednich świadków mojej wokalizy.

- Nie zrobił tego - wyszczałam z oczami zaciśniętymi w szparki.

- Obawiam się, że jednak tak. - Lara była równie wstrząśnięta.

- Kutas.

- Podły, obsrany, pojebany kutas.

- Jak on mógł?

- A co więcej, gdzie on jest? - powiedziała Lara, rzucając „Variety” na moje biurko, żebym mogła jeszcze raz przyjrzeć się nagłówkom. Na wszelki wypadek, gdybym za pierwszym razem uznała to za głupi żart.

*DEBIUTANT BLUM SPRZEDAJE  
WYTWÓRNI REVOLUTION SCENARIUSZ  
„ZAKOCHANYCH SEKSOHOLIKÓW”  
ZA 3 MILIONY DOLARÓW.*

Czy potrzebowałam czegoś więcej, żeby zrozumieć sytuację? Może poza ostatnią linijką artykułu, która radośnie oznajmiała:

*Blum jest reprezentowany przez prezesa Agencji, Daniela Rosena.*

Wrzasnęłam jeszcze raz tak, że mogłabym obudzić umarłych. Z gabinetu wynurzyła się przez drzwi głowa Scotta.

- Na rany Chrystusa, co się tu dzieje? - spytał wyraźnie wkurzony.

Spojrzałyśmy na niego obie z taką nienawiścią do rodzaju męskiego, że zamrugał tylko i wycofał się jak kret do swojej nory.

- Wszystko to sprawka Daniela Rosena - powiedziała Lara. - Niemoralny mały pierdziel. Powinien zaparkować swojego astona martina w garażu i zaciągnąć się parę razy spalinami.

- Ja uważam, że to wina Jasona. Jak mógł coś takiego zrobić. Jak mógł podpisać pakt z Danielem, a potem załatwić sobie kontrakt z Revolution? W ogóle nie zamierzał się wczoraj pojawić na naszym spotkaniu. Jezu kochany! Teraz pewnie świętuje podpisanie cyrografu w Czterech Porach Roku, z butelką szampana w kubku i profesjonalnym masażem fiuta.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Lara z bardzo paskudnym wyrazem w zielonych oczach.

- Wyślę ciebie, żebyś się z nimi rozprawiła - powiedziałam, żałując, że nie mogę tego zrobić.

- Danielem się nie martw. Jest już skończony. - Spojrzała enigmatycznie na drzwi do gabinetu Scotta. - A jeśli nie, przysięgam, że nie spocznę, dopóki go nie załatwię.

Przyciskałam „Variety” do piersi, pragnąc, aby napisy w nagłówku jakimś cudem się zmieniły. Marzyłam, aby doczytać się tych kilku słów (dokładnie pięciu), które były tam od początku, a które przegapiłyśmy z Larą wcześniej:

*Koprodukcją zajmie się Elizabeth Miller.*

Kiedy jednak uważnie przeegzaminowałam okładkę, nic się nie zmieniło. Nadal byłam wyrolowana. Totalnie i na wszystkie strony, tyle że tym razem było to bardzo nieprzyjemne.

- Aha. Dzwonił Luke Lloyd.

No właśnie.

- Lara, nie mam teraz siły ani nastroju, żeby zajmować się jeszcze tą sprawą.

- Wiem. Tylko tyle, że czytał „Variety” i martwił się, że możesz jeszcze nie wiedzieć.

- Naprawdę się martwił?

- Tak, Lizzie, naprawdę. Pewnie był także trochę zadowolony, że nie dostanie tego filmu, ale w pierwszej kolejności wspomniał o tobie.

- Pewnie myśli, że jestem największą idiotką na świecie.

- Nie. Myślę, że uważa cię za zbyt ufną osobę.

- O tak, akurat o tym na pewno coś wie - usiłowałam zażartować. Nie mogłam teraz myśleć o Luke'u Lloydzie. Kręciło mi się w głowie i czułam lekkie nudności.

Lara zmusiła mnie do zrobienia sobie dnia wolnego. Próbowwała mi wcisnąć studolarowy banknot z pieniędzy Scotta na drobne wydatki.

- Zafunduj sobie masaż w Beverly Hot Springs. Przystaniesz się czuć tak podle. Te ogromne kobiety w kostiumach kąpielowych zsuniętych na biodra, z falującymi piersiami, wymasują każdy skrawek twojego ciała, aż poczujesz, jak cały martwy naskórek schodzi z ciebie płatami.

- Świetny pomysł. Może gdy odrośnie nowy, będę bardziej gruboskórna. - Oddałam jej pieniądze. - Nie mogę tego przyjąć. Poza tym, jak znam siebie, postanowiłabym skończyć życie na dnie jednego z tych gorących źródeł.

Teraz naprawdę potrzebowałam swojej pracy, a okradanie własnego szefa nie było najlepszym sposobem na jej utrzymanie. Dlatego zamiast topić swoje smutki w gorących źródłach, w towarzystwie kilku babć i gwiazd popu, pojechałam do domu.

Nad Santa Monica zawisła mgła. Jadąc wzdłuż San Vincente, nie widziałam nic na odległość większą niż metr. Włączyłam światła. Znając swoje szczęście, oczekiwałam, że zaraz zostanę rozjechana jakimś potworem z napędem na cztery koła, należącym do aktorki, która notorycznie zbiega z miejsca wypadku. Ostatnio stało się to popularnym sportem i zapewne niedługo przerozdzę się w modę, tak jak odchudzanie się do chwili, aż człowiek zaczyna przypominać lizaka kulkowego.

Wreszcie dojechałam do Venice. Pierwszy raz ocean skrył się za tak gęstą mgłą. Zniknął błękitny horyzont,

który zawsze, bez względu na okoliczności, wprowadzał mnie w pogodny nastrój. Słyszałam tylko gniewne uderzenia fal o piaszczysty brzeg. Najwyraźniej dziś nie było mi dane dostąpić ukojenia.

Ze spuszczoną głową powlokłam się korytarzem w kierunku mieszkania. Byłam cholerną idiotką. To wyłącznie moja wina. Nigdy nie poprosiłam Jasona o żadne pisemne oświadczenie. Zawarliśmy nasz kontrakt nad chai latte, pieczętując go uściskiem dłoni. W końcu byliśmy przyjaciółmi, przynajmniej tak mi się wydawało. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że wyłączy mnie z kontraktu bez choćby grzecznościowego telefonu. Nie powinnam winić nikogo, poza sobą, tak głupio naiwną.

Pod moimi drzwiami leżały trzy tuziny róż na długich łodygach, z dołączonym bilecikiem. Zrobiłam kolejny krok, pochyliłam się i wyłuskałam karteczkę z celofanowego opakowania. Zanim zdążyłam ją otworzyć, rozpoznałam brzydki, dziecienny charakter pisma Jasona.

*Najdroższa Lizzie,*

*Strasznie mi przykro z powodu całego tego zamieszania. Powinienem powiedzieć ci wcześniej, ale Daniel nie poinformował mnie, że zamierza to rozgłosić w prasie. Możemy o tym porozmawiać? Zgódź się, proszę. Będę czekał na twój telefon w domu, przez cały dzień.*

*Ucałowania  
Jason*

Podarłam jego liścik z taką zawziętością, że przynajmniej trzy razy skaleczyłam się przy tym w palce. Obolałymi dłońmi połamalam i porozrzucałam róże po całym korytarzu, aż zaczął przypominać wystawę kwiatów po przejściu tornada. Pozbierałam wszystko i pojechałam do Jasona. Nie zamierzałam przyjąć jego głupawych przeprosin. Jak on śmiał! Po tym, jak narażałam życie, rozmawiając o jego cholernym scenariuszu z Danielem Rosenem? Było mu przykro z powodu tego za-

mieszania? Trzymajcie mnie! Jak dla mnie, nie było żadnego zamieszania. Jason był kłamliwym śmierzdem, szcurem i skurwysynem. Zapłaci za to, co zrobił!

To dziwne, ale przestałam odczuwać przygnębienie. Byłam ożywiona. Niosło mnie czyste pragnienie zemsty. O nie, Jason i ja nie będziemy rozmawiać. Ja będę mówić, a potem skopię mu tyłek. Zbiorę róże, a przynajmniej to, co z nich zostało, i wsadzę te wszystkie długie gałązki w jego kościsty tyłek. Tak, to zdecydowanie dobry pomysł, zwłaszcza że na łodygach wciąż były kolce. Zastanawiałam się, czy zapłacił za nie z tych trzech milionów dolarów, za które mnie sprzedał.

Gdy przyjechałam pod dom Jasona, wciąż wrzałam gniewem. Zaparkowałam nieprzepisowo moją hondę i pomaszerowałam do drzwi. Zaczęłam w nie walić pięścią, a gdy odezwał się brzęk otwieranego elektronicznego zamka, wbiegłam po schodach i rzuciłam Jasonowi pęk podartych róż prosto w twarz.

- Pieprzę cię! - wrzasnęłam z całej siły, odwróciłam się i zbiegłam w dół do samochodu. Potem odwróciłam się i wróciłam na górę, pokonując po dwa schodki. Jeszcze z nim nie skończyłam. Jason stał wciąż osłupiały przed drzwiami swojego mieszkania z płatkami róż przyczepionymi do koszuli.

- Przynosisz hańbę rodzajowi ludzkiemu. Byłam twoim przyjacielem i partnerem. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony ze swojego układziku, bo właśnie sprzedałeś duszę diabłu. I to za co?! Za forszę. Ustawiłam dla ciebie świetną transakcję, uczciwy interes ze wspianym producentem. Mam nadzieję, że pozmienią cały twój scenariusz, wypieprzą cię z pokoju edytorskiego i naszczają na twoje marzenia, tak jak ty na moje. - Odwróciłam się na pięcie, zeszałam statecznym krokiem po schodach, wsiałam do samochodu i odjechałam.

Cała złość uszła ze mnie jak powietrze z dziurawego balonika. Nie mogłam teraz wrócić do Venice, nie w takim stanie. Do diabła, nie wiedziałam, czy dojadę do następnego bloku. Na szczęście w LA wszędzie jest bli-



sko cywilizacji. Przypomniałam sobie o barze, do którego chodziliśmy kiedyś z Jasonem podczas niezliczonych sesji poprawiania scenariusza, gdy nie mogliśmy już dłużej wytrzymać w jego domu. Westchnęłam z ulgą, widząc różową fasadę i mały pasiasty płócienny daszek. Napis Taqueria nad wejściem spowodował, że zapagnęłam margarity i stałego dopływu guacamoli z chipsami. Pomyślałam, że to znacznie lepsze źródło pocieszenia niż tłusta Azjatka obdzierająca ludzi ze skóry w imię urody. Zostawiłam samochód na parkingu restauracji po przeciwnej stronie ulicy (w końcu zasługiwałam na odrobinę dowartościowania) i zdecydowanym ruchem otworzyłam drzwi El Carmen.

Chociaż wciąż był dzień, stały bywalec tego lokalu nigdy by się tego nie domyślił. Kiedy przeszłam przez próg, spowiła mnie aksamitna ciemność. Nie było tu ani jednego okna i założyłam się, że wewnątrz nic się nie zmieniło od pięćdziesięciu lat. Dzień i noc, taki sam. Można było sobie wyobrazić Raymonda Chandlera, siedzącego na jednym ze stołków i popijającego whisky. Bar ciągnął się przez całą długość pomieszczenia. Przesiadłam na jednym z czerwonych winylowych stołków i powiodłam oszalałym z radości wzrokiem po butelkach z ponad dwustu rodzajami tequili. Byłam we właściwym miejscu - do czasu, aż przestanę cokolwiek widzieć na oczy i będę musiała wracać samochodem do Venice, ryzykując życie moje i mojego wiernego samochodu. Wręczyłam kartę kredytową barmance i zmówiłam szybką modlitwę do wszystkich bogów, którzy mogli mnie teraz słyszeć, żeby nie została odrzucona, jak jej żaloszna właścicielka. Musiałam wyglądać na bardzo zdesperowaną, bo barmanka nawet jej nie sprawdziła. Spojrzała na mnie niewzruszonym wzrokiem i nalała próbkę tequili. A potem drugą. I trzecią.

Dwie minuty i trzy kieliszki później odetchnęłam głęboko, zaczerpnąwszy wreszcie głębszy łyk powietrza. Musiałam pamiętać, że tak naprawdę nie straciłam niczego rzeczywistego. *Zakochani seksoholicy* byli tylko

marzeniem. Nigdy na serio nie wierzyłam, że uda się nam coś wskórać, chociaż pracowałam na to, jakbym była przekonana, że mamy kontrakt w kieszeni. Muszę więc przestać myśleć o sprawie jak o pogorszeniu mojej sytuacji życiowej. W końcu miałam wciąż tę samą posadę, byłam nadal tą samą osobą, tyle że mądrzejszą. I o wiele bardziej agresywną. To przecież coś, nieprawdaż? Nauczyłam się, że wszelkie umowy, nieważne z kim zawierane, powinny zostać spisane na papierze i że Los Angeles, bez względu na urokliwą pogodę, było areną do walki psów. Nie mieszkałam w Kansas.

- Przepraszam, może jeszcze jedna kolejka? - spytała barmanka. - Inny rodzaj tequili?

- Jasne, czemu nie.

Uśmiechnęła się i nalała mi kilka następnych próbek.

- Czy mogę ci postawić jednego? - spytałam, bo uznałam, że upijanie się samotnie w niczym nie przypominało dobrej zabawy. Zamiast topić smutki w alkoholu, człowiek tylko się w nich pogażał.

- Jasne - odparła.

Popchnęłam w jej kierunku jeden z moich kieliszków. Stuknęłyśmy się.

- Nie wiem dlaczego jesteś tak zdenerwowana i smutna, ale to wszystko kiedyś minie - usiłowała mnie pocieszyć.

Obawiam się, że nie wiedziała najistotniejszej rzeczy. Nie chciałam, żeby się to skończyło. O czym będę teraz marzyła?

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i do środka wpadło nieco światła słonecznego. Nie rozpoznałam w nowo przybyłym Jasona, dopóki nie zamknęły się za nim ciężkie drzwi. Odwróciłam się i skupiłam na mojej tequili.

- Szukałem cię wszędzie. Zobaczyłem twój samochód zaparkowany na Trzeciej Ulicy. Oblazłem tam wszystkie miejsca - powiedział Jason nerwowo.

Pewnie się obawiał, że zerwę głowę byka ze ściany i zaatakuję go z furją. Pierwszy raz nie miał na sobie

swego peruwiańskiego swetra, tylko coś znacznie ładniejszego.

- Gratuluję. - To było wszystko, na co się potrafiłam zdobyć po trzech kieliszkach.

- Mogę usiąść?

- To wolny kraj.

Jason przycupnął tuż obok mnie. Barmanka zbliżyła się, aby odebrać zamówienie. Ku mojemu zadowoleniu, patrzyła na niego z ledwie skrywaną wrogością.

- Co mam podać?

- Poproszę margaritę. Z Cuervo Gold.

- Cuervo Gold - powtórzyłam, przedrzeźniając jego ton. - Jesteśmy teraz Panem Reżyserem za Trzy Miliony Dolarów, czyż nie? A tak przy okazji, podoba mi się twój nowy sweter. Kaszmirowy, prawda?

- Lizzie, przepraszam. Naprawdę, strasznie mi przykro. Jestem rozdarty całą tą sprawą.

- Cóż, skoro tak, to nie powinieneś był tego zrobić.

Nabrałam w usta ostatni kieliszek tequili i zaraz ją wyplułam. Nie chciałam się kompletnie upić. Pragnęłam otrząsnąć się z tego smutku i znaleźć nowe marzenie. Pomachałam w stronę barmanki.

- Czy masz tu przez przypadek jakąś kawę i trochę tacos?

- Jasne, złociutka. Na koszt firmy - mrugnęła do mnie.

Jason się uśmiechnął.

- Nie mówię do ciebie, ty dupku - rzuciła.

Zadrżał pod jej spojrzeniem.

- Widzisz? Ona też cię nie lubi, a jeszcze nie zdążyłam jej opowiedzieć, jakim jesteś skończonym złamasem - warknęłam, wpatrując się twardo w ścianę naprzeciwko.

Przez następną godzinę Jason siedział obok mnie jak grzeczny chłopiec i dawał sobą pomiatać. Przechodziliśmy przez tę samą rozmowę w wielu odmianach, około trzydziestu siedmiu razy. Brzmiało to mniej więcej tak:

- Lizzie, powiedz mi, jak mogę ci to wynagrodzić?

- Cofnij czas, szczurze.  
- Gdybym tylko mógł, zrobiłbym to.  
- W takim razie, ty sukinsynu, powiedz im, że dołączasz mnie do produkcji. - Trochę przeginałam, ale nie potrafiłam się powstrzymać.

- Nie mogę. Wczoraj Daniel kazał mi podpisać kontrakt. Zadzwoiłem do niego i powiedziałem, że nie jestem pewien i chcę najpierw porozmawiać z tobą, ale on na to, że jest już za późno i jeśli się wycofam, pozwam mnie za złamanie warunków umowy.

Żeby oddać mu sprawiedliwość, musiałam przyznać, że Jason nie wyglądał jak człowiek, który właśnie sprawił sobie śliczną pensyjkę w wysokości trzech milionów, a raczej jak ktoś, kto właśnie przejechał ukochanego psa.

- Kłamie. Nie pozwam cię. Nie sędzę. Ty lizodupie. - Tu następowało zakończenie i powrót do początku.

Koniec końców, mój gniew chyba musiał się wypalić, ponieważ gdzieś w środku udowadniania mu, że jest poplecznikiem samego Belzebuba, dostałam ataku najgłępszego, najbardziej nieznośnego śmiechu. Może to tequila, a może po prostu rezygnacja. Tak naprawdę podejrzewałam jednak, że rozśmieszyło mnie brzmienie słowa „lizodup” w moich ustach.

- Dzięki Bogu, Lizzie! Ty się śmiejesz! - Jason próbował mnie przytulić, ale go odepchnęłam.

- Nie myśl, że ci się upiekło. Nadal cię nienawidzę. Po prostu śmieję się z siebie. Z tego, jaką byłam idiotką, że zaufałam takiemu kłamliwemu szczirowi jak ty.

- Może po prostu podrę ten kontrakt i podpiszemy ten, który zaaranżowałaś z Lukiem Lloydem?

- Już za późno, Jasonie.

Rozluźnił się nieco, słysząc, jak wypowiadam jego imię.

- Najbardziej żałuję tego, że od początku nie powiedziałem ci wszystkiego - zaczął wyjaśniać. - Wszystko jednak zdarzyło się tak szybko. Zaraz po twoim telefonie na temat Luke'a Lloyda odezwał się Daniel Rosen.

Powiedział, że dałaś mu scenariusz i że wie wszystko o umowie z Lukiem, ale ma dla mnie lepszą ofertę.

Spojrzałam na Jasona zaskoczona.

- Jakim cudem Daniel miałby wiedzieć o naszym układzie z Lukiem?

- Nie wiem. Wspominał coś o rozmowie z nim na jakiejś premierze.

Poczułam, jakby spadła na mnie tona cegieł. Daniel podsłuchiwał naszą rozmowę z Lukiem podczas premiery filmu Jake'a Hudsona. Dowiedział się, że Luke jest zainteresowany projektem i zaczął po cichu wyścig, dzwoniąc do poszczególnych studiów filmowych i rozkręcając aukcję, bazując na potencjalnej ofercie Luke'a. Poczułam nagle, że dalsza praca w Agencji będzie dla mnie niemożliwa. Myśl o przebywaniu pod tym samym dachem co Daniel Rosen była nie do zniesienia. Skończyłabym, produkując domowe bomby, zamiast potraw z kabaczka.

- Powiedziałem mu, że chcę, byś była obecna na spotkaniach, ale Daniel orzekł, że zniechęcisz potencjalnych kupców i zagroziisz całej sprawie. Obiecał, że później zajmujemy się twoją pozycją producentki. A potem nadeszła oferta z Revolution i, Lizzie, chcieli mi dać taką kupę szmalu! Zaoferowali mi umowę „pay-or-play”\* za scenariusz i moje usługi reżyserskie. To więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek mogłem sobie wymarzyć, a do tego możliwości, o których nie śmiałem nawet myśleć. Potem Daniel spuścił bombę. Powiedział, że zrobił, co mógł, żeby ich przekonać, ale ludzie z Revolution powiedzieli, że jeśli masz być podłączona jako producentka, zamierzają wycofać się z umowy. Zapytał, czy spisaliśmy jakąś umowę. Odpowiedziałem, że nie. - Jason chwycił jeden z moich darmowych kieliszków tequili i wychylił ją jednym haustem. Nic nie powiedziałam. Nie zasłużył na informację, że niedawno wyplułam ją

\* Umowa oznaczająca, że wykonawca otrzyma swoją gażę niezależnie od tego, czy film zostanie zrealizowany.

do kieliszka. - Byłem słaby. W tamtej chwili nie lubiłem siebie zbyt, ale naprawdę miałem już dosyć sprzątnięcia bałaganu po Maksie Fischerze, pracy w Coffee Bean i zebrania o to, aby ktoś mnie wysłuchał. Nie mogłem się powstrzymać.

W tej właśnie chwili zrozumiałam, że takie zakończenie było nieuchronne. Nie mogłam nienawidzić Jasona za podjęcie takiej decyzji. Ja próbowałam zrealizować swoje marzenie dopiero od roku, on zaś już od dwudziestu lat.

- Zapewne każdy w twojej sytuacji zrobiłby to samo.  
- Nie ty - odparł ponuro.  
- Ja jestem idiotką - przypomniałam mu.  
- Daniel mnie okantował, zdaję sobie z tego sprawę.  
- Witaj w klubie. - Nagle mój wzrok padł na zegar nad barem. - Cholera! Już szósta. Muszę wstąpić do biura, zabrać lekturę na weekend. - Wstałam, szykując się do wyjścia.

- Lizzie, naprawdę ci to jakoś wynagrodzę. Przysięgam. Wymyślę coś.

Wierzyłam, że naprawdę tak myślał.

- Do zobaczenia wkrótce - powiedziałam.  
- Mam nadzieję, że szybciej niż wkrótce - odparł żałośnie.

Pomachałam mu i nonszalancko ruszyłam w stronę drzwi. Robiłam się w tym naprawdę dobra. Poza tym zostawiłam Jasona z rachunkiem.

***Zakochałam się! Jestem zwyczajną kobietą. Nie sądziłam, że zwyczajnym ludziom zdarzają się tak gwałtowne rzeczy.***

Celia Johnson jako Laura Jesson (*Spotkanie*)

O szóstej pojawiłam się w Agencji, aby zabrać weekendową lekturę, którą Victoria powinna zostawić na moim biurku. Teraz, gdy na długo miałam pozostać drugą asystentką, będę robiła streszczenia, tak jak wszyscy inni.

- Elizabeth, co ty tu robisz? - Lara siedziała przed swoim komputerem. Całe biuro wyglądało ponuro niczym cmentarz; krzesła na stołach, zgaszone światła, z wyjątkiem lampki nad biurkiem Lary. Sprzątaczką krzątała się w biurze Scotta, opróżniając kosz na śmieci i polerując telefon.

- Przyszłam zabrać swoje rzeczy. Moje pytanie brzmi, co ty tutaj robisz? Jest piątek. Powinnaś już dawno być w domu. - Podeszłam do niej. Chciałam opowiedzieć o różach, płaszczeniu się Jasona i błaganiu o wybaczenie. - O, zakupy internetowe - spojrzałam na ekran usiany dziesiątkami zdjęć dziecięcych ubranek; malutkich sweterków, kapelusików i pierwiosnkowych żółtych zakiecików. - Jakie to słodkie. Kupujesz rzeczy dla swojego chrześniaka?

Lara spojrzała na mnie i wyłączyła monitor.

- Elizabeth, masz może czas na drinka?

- Jasne. Będę ci mogła opowiedzieć, co powiedział Jason, gdy przyszedł do El Carmen i obiecywał mi gwiazd-

kę z nieba. - Zeskoczyłam z jej biurka i chwyciłam ogromniasty plik scenariuszy, z przypiętą na samej górze wycyzajową notką od Victorii.

- Doskonale. Co powiesz na Chateau Marmont? - Wyłączyła komputer i lampkę i wrzuciła kilka kartek papieru do foldera w dolnej szufladzie.

- Dla mnie bomba.

Ruszyliśmy w stronę parkingu.

Lara kazała odstawić samochód parkingowemu w Chateau, ja zaś zaparkowałam minutę drogi od restauracji, ponieważ w najbliższej przyszłości nie zanościło się, bym miała się stać osobą bogatą. Spotkałyśmy się w cichym kącie baru. Lara siedziała rozparta na jednej z miękkich, pluszowych kanap. Przy fortepianie jakiś gość hotelowy grał cicho nieznaną mi melodię, a jego pies wpatrywał się weń z uwielbieniem. Inne sofy zajęte były przez ludzi, którzy przeżywali przygody miłosne i romantyczne *tete-a-tete* przy lampce szampa. Nadstawiłam drugi policzek.

- Zamówiłam nam obu martini, dobrze? - poinformowała mnie Lara, gdy podeszłam do naszego stolika.

- Świetnie.

Pracowałam nad piciem martini. Według mnie było gorzkie i niesmaczne, ale wszyscy uznawali je za bardzo elegancki drink. Dlatego z determinacją postanowiłam nauczyć się go lubić. Podobnie planowałam naukę francuskiego oraz gry na flecie poprzecznym. Realizacja jednego z trzech postanowień to chyba nie aż tak źle, prawda?

- Miłość wisi w powietrzu - powiedziała mi uszczypliwie, siadając w fotelu naprzeciwko Lary i zwracając się w stronę pokoju pełnego gruchających kochanków. - Skoro nie wyszło mi z Lukiem, to znaczy, że był mi pisany ktoś inny, prawda? A może to tylko złudzenia?

- Elizabeth, wszystko się dobrze ułoży.

- Mam nadzieję. - Przybyły nasze martini. Spokojnie podniosłam kieliszek do ust. - No więc, jeśli chodzi o Jasona. Wiesz, nie było to coś, na co liczyłam i wciąż jestem



na niego wściekła, że podpisał ten kontrakt, a ja nie jestem producentką, ale przynajmniej okazał skrucę...

- Elizabeth, muszę ci coś powiedzieć. - Lara trzymała w zamyśleniu wykałaczkę pomiędzy pięknymi wargami.

- O, naprawdę? - Pociągnęłam łyk martini. Wiedziałam, że to nie będą dobre wiadomości. Po prostu wiedziałam. Ostatnio nigdy nie dowiadywałam się o dobrych rzeczach. Poza tym, Lara spoglądała na mnie z dziwnym przerażeniem w oczach. - Czy to coś złego? - spytałam z rezerwą.

- Właściwie to wspomniała wiadomość, ale czuję się podle, że muszę ci to powiedzieć - odparła, garbiąc ramiona z przygnębienia.

- O Boże, miejmy to już za sobą - ponagliłam, przygotowując się na cios. Nie mogłam sobie nawet wyobrazić, co takiego chciała mi zakomunikować. Na wszelki wypadek odstawiłam drinka. Mogłabym go rozlać pod wpływem szoku albo chlusnąć w Larę, gdy podzieli się ze mną swoimi rewelacjami.

Spojrzała mi w oczy, jakby oceniała stopień zagrożenia ze strony przeznaczonego do rozbiórki budynku, który właśnie zamierzała zburzyć. Potem spuściła wzrok i zaczęła uważnie przyglądać się swojej czerwonej bawełnianej spódniczce.

- Jestem w ciąży - oznajmiła bez ogródek.

- J e j ! - podskoczyłam i upiłam trochę martini. - To niesamowite! To cudowne, nieprawdaż?

Spooglądałyśmy na siebie przez chwilę.

- Tak, to cudowne. Nie moglibyśmy być bardziej szczęśliwi - uśmiechnęła się lekko.

- Twój żonaty facet? - spytałam niepewnie. - To jego dziecko?

- T a k .

- On też się cieszy?

- Jest bardzo podekscytowany. Zachowuje się cudownie - powiedziała, nagle rozjaśniając się w szerokim, szczęśliwym uśmiechu. - Wczoraj poszliśmy na pierwsze USG. Razem. To było niesamowite. Nasze dziecko

jest takie malutkie i doskonale. Oczywiście, on się zaklina, że widział ogromnego penisa, ale ja sędzę, że to tylko pępowina - parsknęła śmiechem.

- To cudownie. - Uściskałam ją mocno. - Bardzo się cieszę i gratuluję obojgu.

- Jest coś jeszcze. - Lara odepchnęła mnie lekko.

- Oczywiście, że tak. To nie takie proste, związek z żonatym mężczyzną. Ale przecież powiedziałaś, że ich małżeństwo i tak jest na pograniczu rozpadu, więc może nie będzie tak źle?

Byłam szczęśliwa, teraz, kiedy wyszło na jaw, że wiadomość Lary w żaden sposób mnie nie dotyczyła. Chodziło o żonatego mężczyznę i dzieci, i...

- To Scott - powiedziała bezbarwnym tonem.

Rozejrzałam się wkoło, przeszukując całe pomieszczenie. Co za pech, wpaść na własnego szefa w restauracji. Scotta jednak nigdzie nie było.

- Gdzie? - spytałam i wtedy dotarło do mnie, co chciała powiedzieć. Nie chodziło o jego obecność w Chateau. - Myślisz, że będzie miał coś przeciwko twojej ciąży? - Odchyliłam się w fotelu i zrelaksowana, upiłam drinka. - Cóż, trudno. Scott nie ma wyjścia. Kobiety zachodzą w ciążę przez cały czas. Takie jest życie. To twój wybór. To, że jesteś jego asystentką nie oznacza, że musisz poświęcać całe swoje życie zadowalaniu szefa. Musi się nauczyć trochę samodzielności. Dobrze mu to zrobi. Myślę, że i tak za bardzo jest od ciebie uzależniony - powiedziałam odważnie.

- Naprawdę?

Spojrzała na mnie jak zakochana nastolatka. Nagle zaskoczyłam.

- Chyba żartujesz? - Wyprostowałam się w fotelu. O Boże, ależ byłam idiotką.

Od pierwszego dnia w Agencji aż do teraz udało mi się nie zauważyć, co rozgrywa się tuż pod moim nosem. Mimo że, jak sobie nagle uświadomiłam, wszyscy wkoło czynili do tego bezpośrednie aluzje i... byłam taka głupia, że się nie domyśliłam.

- Przez cały ten czas miałaś romans ze Scottem, a ja nigdy tego nie zauważyłam - powiedziałam w osłupieniu.

- Tyle razy chciałam ci powiedzieć, ale tak dobrze dogadywałyście się z Mią, że nie chcieliśmy ryzykować, by nie postawić cię w trudnej sytuacji, kiedy zaczniesz się o coś wypytywać... No więc...

Na jej twarzy pojawiła się ulga. Pozbyła się swego małego sekretu. Ja jednak jeszcze z nią nie skończyłam.

- Postanowiłaś więc poczekać, aż utrzymanie tajemnicy stanie się niemożliwe, tak? Chociaż wszyscy już wiedzieli, o co chodzi? Nawet Courtney i Talitha, prawda?

- Pewnie tak. To znaczy, nie rozmawiałam z nimi na ten temat, ale przez cały czas rzucały mi złośliwe uwagi, więc musiały się chyba domyślić. - Wzruszyła ramionami.

- Lara, myślałam, że jesteś moją przyjaciółką.

Pomyślałam o wszystkich jej kłamstwach, którymi oplatała moje oczy niczym pajęczyną od pierwszego dnia, gdy się tu pojawiłam. Nagle wszystko nabrało sensu; ekskluzywna garderoba, błyszczący SUV, wycieczki do centrum odnowy biologicznej, jej zdolność usadzenia Scotta, gdy nie udawało się to nikomu innemu, ich gigantyczna kłótnia, po której Lara wylądowała na dachu, a Scott pograżył się w szaleństwie ritalinu. Zrobili ze mnie totalną idiotkę.

- Jestem twoją przyjaciółką. Teraz, kiedy już wiesz, możemy to uczcić, prawda? Wybierzesz się ze mną na zakupy dla dziecka, a kiedy przestanę pracować, będziemy się spotykać na lunch w II Fornaio.

- Hej, zaczekaj sekundkę. Zamierzasz rzucić pracę? - Lara nie mogła odejść! Życie w Agencji bez niej będzie jak codzienne picie kwasu z baterii.

- Oczywiście że tak. Mam do napisania powieść - rzekła Lara łagodnym tonem. - Poza tym, ktoś musi się zaopiekować małym Scooterem - poklepała się po brzuchu.

- Mama piłkarza Beverly Hills - wydukałam z przerażeniem w głosie.

- Wiem. Czy to nie wspaniałe?

- Pewnie tak.

Zagłębiłam się w fotelu, czując się tak przygnębiona, jak to tylko było możliwe. Wylądowałam twardo tyłkiem na samym dnie.

Potem spojrzałam na rozświetloną szczęściem twarz Lary i musiałam zapomnieć o smutku. W jej życiu zdarzyło się coś niesamowitego. Chciałam się cieszyć razem z nią.

- W porządku. Po pierwsze, żadnych więcej martini, młoda damo - powiedziałam surowo, odsuwając od niej na wpół wypity drink. - Zamówię ci sok pomarańczowy i przedyskutujemy, jak będziesz nazywała młodego Scootera. Jeżeli chcesz, żebym pozostała twoją przyjaciółką, nie wolno ci nazywać swojego dziecka na cześć jakiegokolwiek gwiazdy piłki nożnej albo baseballu, rozumujemy się?

- Zabawne, że to mówisz. - Lara dotknęła mnie po ufałe. - Wczoraj w nocy Scott próbował mnie przekonać, że Shaq pasuje do obu płci.

- A co z Mią? - spytałam niepewnie. Na pewno się tym martwili, bo teraz już nie było mowy, żeby Mia się nie dowiedziała.

- Obiecała, że wypowie mu prawdziwą wojnę rozwodową. Zatrudniła najlepszego, najbardziej bezwzględnego prawnika pod słońcem.

- Cholera. Biedny Scott.

Wiedziałam, że Mia obedrze go ze wszystkiego, co miał. Miałam nadzieję, że po rozwodzie będzie ich stać chociaż na pieluszki.

- Będzie dobrze. Okazało się, że ma romans z jakimś straszliwie bogatym facetem, który kiedyś był właścicielem sieci telewizyjnej. Powinnaś go zobaczyć. Miał tyle operacji plastycznych, że wygląda jak zreanimowana mumia. Tak czy owak, ona też była niewierna i Scott ma na to dowody, więc Mia nie dostanie więcej niż połowę - oświadczyła Lara radośnie.

Prawdę mówiąc, wyglądało mi na to, że Lara i Scott nie dbają o pieniądze. Teraz, gdy ostatni kawałek łami-

główki wskoczył na miejsce, wiedziałam, że szaleją za sobą. Przypomniałam sobie ich tęskne spojrzenia, brudne kłótnie, to, że wciąż byli razem, mimo że Lara narzekała na niego, a Scott zdradzał ją od czasu do czasu. Kochali się, to jasne jak pierścionek, którego nie było na palcu Lary.

- Pobierzemy się w Vegas, jak tylko skończy się sprawa rozwodowa.

Chyba czytała w moich myślach.

- Doskonale. Ślub w Vegas. Będziecie się dobrze bawić!

- Przyjdiesz, prawda?

- Oczywiście. To znaczy, jeśli jestem zaproszona.

- Jasne że tak. Jesteś jedną z moich najlepszych przyjaciółek.

Poklepała mnie po kolanie i chociaż przez większość naszej znajomości nie wyczułam od Lary siostrzanych, ciepłych uczuć, myślę, że rzeczywiście tak uważała. Co było słodkie i zarazem smutne.

- A co z miesiącem miodowym? - zmieniłam szybko temat.

- Arizona - poinformowała mnie z dumą.

- Arizona? - Przyszło mi na myśl, że wybudowano nowy, niesamowicie modny hotel, o którym jak zwykle jeszcze nie słyszałam.

- Scott idzie do kliniki odwykowej Meadows Rehab, żeby się oczyścić, zanim przyjdzie na świat dziecko, ja zaś będę sobie spacerować po tamtejszych kanionach. W ten sposób oboje będziemy szczęśliwi.

- Fantastycznie - powiedziałam ze zwątpieniem w głosie, bo jednak nie tak wyobrażałam sobie podróż poślubną...

- Boże, Elizabeth, jestem taka szczęśliwa - powiedziała Lara i opróżniła jednym haustem szklankę soku pomarańczowego. - Scott jest taki cudowny i wrażliwy. Nie mogę się doczekać, kiedy się pobierzemy.

Wszystko to potwierdziło moją teorię, że każda potwora znajdzie swego amatora. Skoro tak piękna, mą-

dra i cudowna dziewczyna jak Lara mogła zdrapać z chodnika gówno pokroju Scotta i go pokochać, może ja też poznam kogoś zabawnego i fajnego, kogo polubię.

Potem jednak przypomniałam sobie, że już go spotkałam. I że wszystko między nami skończone. Uściskałam Larę na pożegnanie i powłócząc nogami, ruszyłam w stronę swojego samochodu, zaparkowanego w dole, na Sunset Boulevard.

Wsadziłam torebkę pod ramię i rozejrzałam się. Mijałam właśnie sklep alkoholowy. Zwolniłam i zrobiłam parę kółek przed wejściem, zastanawiając się, czy nie powinnam kupić wódki albo czegoś w tym stylu. Może jeśli popadnę w alkoholizm i wyląduję na odwyku, Luke przyjdzie mnie odwiedzić i kupi mi koszyk muffinów. Spojrzałam na swoje pijane odbicie w oknie wystawowym. Nie chciałam współczucia. Chciałam odzyskać Luke'a Lloyd'a. Musiałam przestać pić. Alkohol sprawiał, że stawałam się nierozważna. Kupiłam więc paczkę miętówek i pojechałam do domu.

W końcu zdecydowałam, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko do niego zadzwonić. Był jednak tak nieprzyzwoicie wczesny sobotni poranek, że bałam się zostawić wiadomość na sekretarce. Jeżeli później obudzi się i zobaczy, o której godzinie zadzwoniłam, nigdy więcej się do mnie nie odezwie. Piąta rano była godziną prześladowców. I fanów joggingu. I karmiących matek. Normalni ludzie nie budzili się po to, aby obserwować blade, wdzierający się w noc język świtu. Nie mogłam jednak zasnąć. Przeleżałam bez zmruczenia oka kilka godzin, słuchając bulgotania zbiornika w toalecie. Byłam przerażona, że mogę już nigdy nie zobaczyć Luke'a Lloyd'a. A jeśli już, to nasz kontakt ograniczy się jedynie do pocałowania w policzek.

Nie dosyć, że nie będziemy kochankami - przepadła również szansa pracy razem. Nie mogłam się już pocieszać myślami o cotygodniowych spotkaniach, wspólnym

jedzeniu pączków Krispy Kreme jesienią, na planie zdjęciowym. Nie będzie już marzeń o upiciu się na przyjęciu po zakończeniu zdjęć i o wyznaniu sobie uczuć. Nie dane nam będzie olśnienie na premierze naszego filmu. Nie miałam nic, oprócz tego, co kiedyś prawie się zdarzyło. Na samą myśl o tym poczułam mdłości. Naprawdę go kochałam. Nie na śmierć i życie, na wieki wieków i bez względu na wszystko, ale Luke był jedynym mężczyzną w moim całym życiu, którego tak bardzo lubiłam i który sprawiał, że się uśmiechałam, nawet gdy zachowywał się głupio, nieprzyjemnie lub idiotycznie. I który tak strasznie mnie podniecał.

Nie pamiętam, jak długo katowałam się myślami o zdradzieckim ciosie losu, który przywiódł nas oboje w to samo miejsce w czasie - miejsce, w którym polubiłam go, z wzajemnością, i w którym, pomimo istnienia francuskiej kokoty nadal chcieliśmy być ze sobą. Ale nie byliśmy. Czy nie powinniśmy przynajmniej sprawdzić, jak by to było iść za rękę ulicą, obejrzeć film w kinie i porozmawiać o dzieciństwie? Nawet jeśli odkryjemy później, że między nami się nie układa, że Luke cały czas ogląda się za innymi dziewczynami i że dzieciństwo strawił na uprawianiu sportów, zamiast słuchać *Darklands\**, to czy przynajmniej nie powinniśmy spróbować?

Co jednak mogłam zrobić? Nigdy przedtem nie zadzwoniłam pierwsza do faceta, a Mężczyzna Hollywoodu nie był najlepszym obiektem, na którym można było potrenować sztukę usidlania. Ludzie pokroju Luke'a Lloyda nigdy nie będą narzekać na brak powodzenia, nawet jeżeli są grubi jak hipopotamy, mają maniery szympansa i seksualne upodobania markiza de Sade. Posiadają bowiem coś, czego pragnie każdy człowiek na świecie - władzę. Nie wiem czy to prawda, że władza deprawuje, a absolutna władza deprawuje absolutnie. Wiem natomiast z moich przygód z polityką i przemysłem rozrywkowym, że władza potrafi zapew-

\* Tytuł albumu ..Jesus & Mary Chain" (przyp. tłum.).

nić kochanka na każdy tydzień, a wiadza absolutna sprawa, że można kochać się w każdy sposób zwierzęcy, roślinny, mineralny lub jaki sobie zażyczysz. Każdej nocy. Z każdym, któremu pofatygujesz się wręczyć swoją wizytówkę. I to nie tylko w LA. Myślę, że jest to uniwersalna zasada, pamiętająca jeszcze czasy, gdy mieliśmy na całym ciele więcej włosów, niż mogłoby przerobić środek bliss spa. Instykt wczesnych prymatów. Coś takiego nie daje się tak po prostu wyłączyć w styczniowy sobotni poranek.

Tak więc zamiast zadzwonić, wstałam i, ubrana w szlafrok, wypucowałam podłogę w kuchni. Nie miałam żadnych specjalistycznych środków czyszczących. Do wczoraj, kiedy to moje życie straciło dotychczasowy sens, niespecjalnie interesowałam się stanem podłogi. Użyłam więc doskonale działającej mieszanki płynu do mycia naczyń i kremu wybielającego Jolene. Kiedy skończyłam szorowanie podłogi, stanęłam nad piecykiem z brudną szczoteczką do zębów, dumając nad brudem, w którym żyłam. Może jeśli moja egzystencja nie ulegnie poprawie, stanę się Czyścioszką i poświęcę się utrzymywaniu nieskazitelnych listew podłogowych oraz wolnych od moli szaf. Doprowadzę do perfekcji sztukę odkurzania, wosk do podłogi stanie się zaś moim najlepszym przyjacielem.

- Pieprzę to - wyrzuciłam brudną szczoteczkę do kosza i ściągnęłam rękawiczki. Była dziewiąta rano i stało się jasne, że między mną i sprzątaniami miał miejsce nic nieznaczący epizod. - Gdzie ja to położyłam? - zaczęłam przetrząsać mieszkanie w poszukiwaniu rachunku za taksówkę, na którym Luke starannie zapisał swój numer.

- Luke? Mówi Elizabeth Miller - powiedziałam, gdy w słuchawce odezwał się zaspany głos.

- Lizzie? - Nie wyglądało, żeby był na mnie wkurzony za to, że go obudziłam. To już coś.

- Zastanawiałam się nad czymś. - Usiadłam na parapecie i przycisnęłam czoło do chłodnej szyby, wpatrując się bezmyślnie w palmy rosnące wzdłuż promenady.



- Tak?  
- Jesteś sam?  
- Tak.  
- Jesteś pewien?  
- Na to wygląda.  
- Co z francuską lalą?  
- Słucham?  
- Z twoją dziewczyną. Jest we Francji?  
- Nie wiem, gdzie jest teraz moja była dziewczyna.  
- Dobrze.  
- Czy po to właśnie zadzwoniłaś do mnie o... dziewiątej nad ranem? - spytał wyraźnie zdezorientowany.

- Jeśli jesteś zajęty, powiedz mi, zrozumiem. Możemy pogadać później. Albo i nie. To w końcu nie takie ważne. - Otworzyłam okno i popatrzyłam sześć pięter w dół na betonowy chodnik.

- Lizzie, już się obudziłem. Przepraszam, jeśli nie wykazałem odpowiedniego zainteresowania. Strasznie się cieszę, że zadzwoniłaś i bardzo chciałbym usłyszeć, co masz mi do powiedzenia.

- Nie zabrzmiało to zbyt szczerze.

- Lizzie - powiedział prosząco. Kobieca intuicja, a może jego znużony ton podpowiedziały mi, że nie powinnam już dalej przeciągać struny. Cofnęłam się i zeskoczyłam z parapetu na podłogę w pokoju.

- Wiesz, myślałam trochę nad tą naszą profesjonalną znajomością. Nad tym, co powiedziałam, że nie mieszm przyjemności z pracą i że jeśli mamy ze sobą pracować, nie powinniśmy się umawiać na randki.

- Pamiętam to bardzo dobrze.

- Właśnie. Teraz jednak okoliczności nieco się zmieniły, prawda?

- W tym, że nie będziemy ze sobą współpracować?

- Właśnie.

- Lizzie, myślę, że wiem do czego zmierzasz. Jeśli to skończy się tak, jak myślę, będę wniebowzięty - westchnął zmęczony - ale czy mogłabyś powiedzieć, tak po prostu, o co chodzi?

- Oczywiście.
- Bardzo ci dziękuję.
- Właśnie zostałam wykorzystana przez własnego szefa i wolałabym, żebyś ty był na jego miejscu.

Tego wieczoru Luke zabrał mnie na obiad do Gladstone's. Czego oczywiście nie zrobiłby żaden szanujący się producent. Jest to bowiem tandetna restauracja pod gołym niebem, na plaży w Malibu, gdzie wszyscy siedzą pod ogrzewającymi powietrze lampami, umazani masłem ze szczypców krabowych oraz innych owoców morza i intoksykują się kiepskimi alkoholami. Luke'owi nie sprawiało to różnicy, ponieważ po pierwsze, lubił Gladstone's, a po drugie, nie przywiązywał aż tak ogromnej wagi do faktu, że jest producentem. Mnie też nie przeszkadzała wizyta w ulubionym weekendowym lokalu sekretarek, albowiem... po pierwsze, byłam tu z Lukiem, a po drugie, cokolwiek by mówić, byłam przecież sekretarką.

- I oto jesteśmy. - Luke pochylił się nad stołem i podał mi krewetkę.

- Wiem. Ciągłe nie mogę w to uwierzyć. - Zdjęłam skorupkę. - Zaczynałam już myśleć, że skończę jako samotna sześćdziesięciolatka, mieszkająca w samochodzie na Sunset Boulevard.

- Z siwymi dreadami?

- Hobbystycznie zbierająca puszki po fancie. - Usiłowałam nie opryskać się stopionym masłem. - Oczywiście, nie ma gwarancji, że coś takiego mi się nie zdarzy tylko dlatego, że na trzydzieści cztery lata przed moim potencjalnym upadkiem umówiłam się z tobą na randkę.

- Teoretycznie masz rację, ale jest coś, czego o mnie nie wiesz - powiedział Luke, upijając nieco piwa.

- Czego mianowicie?

- Tego, że gdy raz zdobędę kobietę, nie pozwalam jej tak łatwo odejść.

- Masz prywatne lochy, w których ją trzymasz?

- Nie, coś znacznie fajniejszego.
- Wiem - mruknęłam do niego i oboje wybuchnęliśmy śmiechem.
- Cieszę się, że zrobiło to na tobie takie wrażenie.
- Wycisnęło na mnie niezatarte piętno - uśmiechnęłam się. Luke miał na sobie luźną, białą bluzę, która bardzo pasowała do jego przystojnej, opalonej twarzy. - Gdyby nie było to tak trwałe, nie siedzielibyśmy tu dzisiaj razem. Po prostu nie mogłam wymazać z pamięci wspomnień.
- Nie pozwoliłbym ci odejść - powiedział, kładąc dłoń na mojej dłoni. - Nawet gdybyś się ze mną nie umówiła, i tak byśmy tu wyładowali.
- Wcale się z tobą nie umówiłam, ty świniou. Po prostu zaprosiłam cię na obiad.
- Jak uważasz.
- To duża różnica, bratku - spojrzałam na niego ostro. Luke chwycił moją dłoń i pocałował ją.
- Prawda jest taka, że ja też, wierzę święcie w to, co powiedziałaś o niemieszaniu przyjemności i pracy.
- Tak święcie, że przez trzy lata żyłeś z aktorką - rzuciłam z całą drwiną, jaką mogłam wykrzesać w sobie dla mężczyzny, który właśnie trzymał mnie za rękę (i pragnęłam, aby to robił do końca życia).
- Ona była Francuzką.
- I? - Nie miałam ochoty rozmawiać o niedawnej znajomości Luke'a z La Kokotą na naszej pierwszej randce, ale prędzej czy później musieliśmy rozprawić się z tym drobnym incydentem w jego życiu.
- I to, że się nie liczyła. Mieszkała gdzie indziej, nie wiedziała, co to StairMaster\* i nie zdawała sobie sprawy z tego, że istnieje mleko beztłuszczowe. Mówiła w innym języku, do cholery! Jak mogłam się oprzeć?
- No, no. Rzeczywiście masz bardzo ostre kryteria.
- Możesz chociaż raz potraktować mnie serio? Proszę.
- Postaram się - odparłam i zrobiłam poważną minę.

\* Stepper (przyp. tłum.).

- Jesteś pierwszą kobietą w tym mieście, z którą mógłbym czytać „Sunday Times”. Pewnie pomyślisz, że jestem zbyt pochopny w swoich sądach i możesz się nawet wystraszyć, ale wiedz, że to nie zdarza mi się zbyt często.

- Wcale mnie nie wystraszyłeś - odparłam.

- Jesteś pewna, aniele?

Był takim południowcem, że można było umrzeć z rozkoszy.

- Tak. Jestem szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa, nie głupiejac w obecności mężczyzny w mieście, w którym na każdym rogu czyhają na ciebie głupole. Uświadomiłam sobie, że jeśli pocałuję jeszcze jednego z nich, mogę tego nie zdzierżyć.

- A więc jestem twoim wybawicielem, tak?

- Całkiem możliwe. - W filmach zdarzają się różne rzeczy.

***Rety! Wszyscy tu szybko przychodzą i znikają.***Judy Garland jako Dorothy Gale (*Czarnoksiężnik z krainy Oz*)

Gdy w poniedziałek rano wjechałam na parking Agencji, czułam, że coś się zmieniło - i to nie tylko ja. To nie dlatego, że spędziłam weekend z Lukiem. Nie dlatego, że leżeliśmy na trawie przed Muzeum Getty'ego i całąmi godzinami gawędziliśmy o niczym, że spacerowaliśmy brzegiem morza, jedząc lody, że obiecał nauczyć mnie jazdy na rowerze, że kupiłam mu *Zbrodnię i karę* w sieci Book Soup. Nie. Wiszące w powietrzu zmiany nie miały absolutnie nic wspólnego ze świeżo zaróżowionymi okularami nowej miłości. Raczej z tym, że przed budynkiem kłębił się tłum dziennikarzy, a w środku panowała dziwna, nerwowa atmosfera. Opadły mnie złe przeczucia.

- Jose, co się dzieje? - spytałam, podchodząc do windy, przy której stał wysoki Jose.

- Sama się przekonasz - odparł z niezwykle poważnym wyrazem twarzy.

- Ale ja muszę wiedzieć. Miałeś rację, ostrzegając mnie przed Danielem. Obaj mieliście rację. Zawsze. O co chodzi tym razem?

- Nie możemy powiedzieć.

- Nie możecie mi powiedzieć, dlaczego przed drzwiami stoją dziennikarze?

- Sama się dowiesz, jaszczureczko, i to wkrótce - powiedział drugi Jose. Nacisnął guzik od windy i zamilkł.

- Nie macie dla mnie żadnych nowych mądrości życiowych?

Czułam się jak Alicja w króliczej norze. Wszystko nagle stało się zupełnie inne. Nikt nie robił tego, co powinien. Nawet obydwaj Jose, głosiciele prawd, się zmienili. Chciałam, żeby wszystko było jak dawniej.

- Jose, proszę, powiedz coś.

- Niczego więcej nie możemy cię już nauczyć, jaszczureczko - powiedział wysoki Jose.

Poklepał mnie po ramieniu i popchnął w kierunku windy. Jadąc w górę, czułam łaskotanie w żołądku. Przyjrzałam się swemu odbiciu w lustrze. Te same matowe blond włosy, ta sama czarna bluzka i spódnica, ta sama torba wyładowana scenariuszami, które czytałam przez weekend dla Victorii. Coś jednak się zmieniło. Coś wisiało w powietrzu.

Przemierzając przestrzenny westybul w drodze do biura, słyszałam, jak w recepcji urywają się telefony. Dzwonki rozbrzmiewały jak jakaś obłąkana gra komputerowa, albo jakby e-maile Scotta dostały głupawki.

- Przykro mi, w tej chwili nie mogę udzielić żadnych informacji - powtarzały recepcjonistki, niczym refren łabędziej pieśni. Obejrzałam się, ale nic się nie zmieniło. Za szklaną ladą siedziały wciąż te same cztery dziewczyny z fikuśnymi zestawami słuchawkowymi, superprostymi włosami i lepszym makijażem od mojego. Plus jeden zniewieściały facet z melodyjnym głosem i wydętymi ustami. Wszystko wyglądało absolutnie tak, jak zwykle. Tyle że takie nie było. Pobiełam korytarzem w stronę mojego działu.

Lary nie było przy biurku, podobnie Talithy i Courtney. Przez szklane drzwi dostrzegłam, że ta ostatnia siedzi w gabinecie Mike'a. Talitha, ku mojemu bezbrzeżnemu zdumieniu, rozmawiała ze swoją szefową, Gigi, której bezprecedensowa obecność w Agencji była zdecydowanie niepokojącym sygnałem. Talitha i Courtney

były najwyraźniej do czegoś instruowane. Drzwi do gabinetu Scotta były zamknięte. Właśnie zamierzałam zapukać, żeby sprawdzić, czy Lara odbywa podobną dyskusję z naszym szefem, gdy przypomniałam sobie, że akurat w ich przypadku kontakty między pracodawcą a pracownikiem były nieco innego rodzaju. Wróciłam do biurka. Na klawiaturze leżała kartka, na której wydrukowano następujące obwieszczenie:

O GODZINIE 12:00 ODBĘDZIE SIĘ SPOTKANIE DOTYCZĄCE NAJNOWSZYCH WYDARZEŃ W AGENCJI. WSZYSCY PRACOWNICY PROSZENI SĄ O PUNKTUALNE STAWIENIE SIĘ W SALI KONFERENCYJNEJ NA DRUGIM PIĘTRZE. PROSIMY NIE KONTAKTOWAĆ SIĘ Z PRZEDSTAWICIELAMI PRASY.

Popatrzyłam na te słowa i zastanawiałam się, co też mogą oznaczać. Nagle drzwi do gabinetu Scotta otworzyły się i zamiast Lary i naszego wspólnego szefa wyszli stamtąd robotnicy w granatowych kombinezonach. Dwóch z nich dźwigało biurko Scotta, trzeci przytrzymywał drzwi z nalepką Lakersów.

- Przepraszam bardzo - podbiegłam do nich. - Gdzie panowie to zabierają?

- Nie mogę powiedzieć, panienko - poinformował mnie mężczyzna z czerwonymi policzkami i akcentem z Queens.

- Ale to jest biurko mojego szefa - naciskałam.

- To niech lepiej pani jego zapyta - wtrącił się żyłasty robotnik z trądzikiem.

- Mogłabym po prostu za wami pójść i zobaczyć, dokąd idziecie - rzuciłam ostro, ale mnie zignorowali.

Czyżby Scott został wylany z pracy? A może to policja? Czyżby Mia osuszyła jego konto w banku i ci ludzie to wysłannicy komornika? Zastanawiałam się, czy jako asystentka Scotta powinnam ich powstrzymać przed wyniesieniem jego kina domowego.

Usiadłam przy biurku (dopóki jeszcze je miałam) i zaczęłam się zastanawiać, o co, do diabła, w tym wszystkim chodzi. Włączyłam komputer w nadziei, że natchnie mnie jakiś e-mail, ale wszystkie nowe wiadomości w mojej skrzynce dotyczyły tego, że mogę powiększyć sobie penisa. Był też list od Jasona, ale zanim zdążyłam go otworzyć, z gabinetu Mike'a wymaszerowała Courtney.

- To naprawdę niesamowite - rzuciła, siadając przy biurku.

- Co się dzieje? - Bardzo nie chciałam się przed nią przyznawać do swojej ignorancji, ale najwyraźniej byłam jedyną osobą, która nie wiedziała, co się tu dzieje.

- Scott niczego ci nie powiedział? - Powinna z miejsca dostać posadę w gabinecie odnowy jako specjalistka od peelingu, tak była wprawiona w rozjątrzeniu ran.

- Tak się składa, że nie. Nic mi nie powiedział.

- Ten człowiek jest niesamowity.

- Wiem - zgodziłam się z nią. - Więc? Co się tu dzieje, Courtney?

- Wrogie przejęcie - rzuciła z samozadowoleniem.

- C o ?

- Wrogie przejęcie - rozparła się w fotelu, zadowolona z tego, że nie będzie musiała dzisiaj pracować. Sięgnęła do szuflady i wyciągnęła tabletki na gardło. Np,tak, za to zdecydowanie zamierzała dużo gadać.

- Gdzie jest Scott? Daniel go wylał? - spytałam, nie do końca rozumiejąc, co miała na myśli.

- Elizabeth, czasami jesteś taka naiwna.

- Słuchaj, czy możesz mi powiedzieć, co się tu wyprawia? Mój szef zaginął, jego pierwszej asystentki nie ma w pracy, a jacyś faceci wnoszą meble z budynku.

- Nie wnoszą ich z budynku, tylko przenoszą na czwarte piętro.

Courtney ściągnęła sandałek i zaczęła podziwiać swój pedikur. Miałam ochotę ją zamordować.



- Courtney. - Zastosowałam ostrzegawczy ton, który w wykonaniu Scotta i Luke'a wywierał na mnie ogromne wrażenie.

Dziwne, ale podziałało. Courtney wyprostowała się, włożyła z powrotem but i zaczęła wyjaśniać:

- Katherine Watson i Scott zawiązali porozumienie i z poparciem zarządu przejęli Agencję. Daniel został zdjęty z funkcji prezesa. Teraz trwa przepychanka, bo chce zabrać ze sobą kilka dużych nazwisk.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. Czy to znaczy, że nigdy już nie zobaczę Daniela Rosena? Nie będę musiała mijać go w korytarzu i syczeć na niego, jakbym była Otellem, a on Jagonem (choćby jeżeli kiedykolwiek spotkamy się na czerwonym dywanie, podczas gali oscarowej, nie wiem, czy się powstrzymam, by podstawić mu nogę, albo strzelić w niego parę razy grochem z procy)?

- Scott został prezesem? - Byłam wstrząśnięta.

- Na spótkę z Katherine.

- O mój Boże! Nie miałam zielonego pojęcia.

- Nikt nie miał. Choćby raz nie byłas odosobniona w swojej nieświadomości. - Popatrzyła znacząco na ładnie umalowaną Larę, która właśnie weszła do biura w spodniach od Joie i w podkoszulku.

- Dzień dobry - rzuciła, idąc w kierunku swojego stanowiska. Rzuciła na blat torbę od Marca Jacobsa, w kolorze khaki, i zaczęła opróżniać biurko.

- Oho! Widzę, że niektórzy nie marnują czasu - warknęła Courtney. - Przenosimy się na czwarte piętro?

- Otóż nie. Przenoszę się do The Colony - uśmiechnęła się Lara i mrugnęła do mnie porozumiewawczo. - Elizabeth, możemy porozmawiać na osobności? - spytała, wskazując na jeszcze przez chwilę gabinet Scotta.

Courtney zaniemówiła.

- Jasne - powiedziałam. Weszłyśmy do środka i przysiadłyśmy na nielicznych pozostałych meblach. Każdy nasz krok i słowo wywoływał głuchy pogłos, a w powietrzu wirowały drobiny kurzu. Nie pozostało nic, co by

wskazywało, że Scott tu pracował. Zastanawiałam się, kto przyjdzie na jego miejsce. Najwyraźniej zapowiadały się spore przetasowania.

- Wiesz, że w ogóle nie powinnam ci o tym mówić, prawda, Elizabeth? - Lara zdjęła okulary przeciwsłoneczne i spojrzała na mnie błagalnie. - Sama nie wiedziałam zbyt wiele, tylko tyle, że Scott był bardzo zestresowany, a jednocześnie strasznie podekscytowany. Dopiero niedawno powiedział mi ogólnie o co chodzi i to tylko dlatego, że oskarżyłam go o romans z Katherine Watson, po tym, jak zaczęli się spotykać w tajemnicy poza Agencją.

- Chyba rozumiem - wzruszyłam ramionami. - Choć ciężko mi było znieść to zadowolone poczucie wyższości Courtney.

- Doskonale cię rozumiem. Niestety, będzie jeszcze gorzej, kiedy się dowie, że została awansowana na młodszą agentkę - Lara wywróciła oczami.

- A została? - Biedni, niczego niepodirzewający klienci.

- Scott chciał skaptować Mike'a, więc obiecał, że zrobi mu tę małą przyjemność.

Spojrzałyśmy po sobie z Larą i równocześnie wzruszyłyśmy ramionami.

- W każdym razie, wszystko zmierza ku dobremu - zaśmiała się Lara.

- No tak. Teraz, kiedy wyjdiesz za męża za Scotta, będziesz jedną z najbardziej wpływowych żon Hollywoodu - mruknęłam, chociaż Lara i tak to wiedziała.

Kiedy wyszła na zakupy i zajęcia jogi dla ciężarnych, rozparłam się beczynnym w fotelu i zaczęłam rozmyślać, co się ze mną stanie. Czy nadal będę pracowała dla Scotta? Czy wciąż będę asystentką? Próbowałam nie przysłuchiwać się Talicie i Courtney, które zamknęły się w kuchni, obgadywały nową torebkę Lary i próbowały dorobić historię do jej wzmianki o The Colony. Raz w życiu wiedziałam coś, czego one nie wiedziały. Czy tak właśnie czuł się ktoś ważny?

Nagle za moimi plecami rozległ się okropny jazgot. Odwróciłam się i zobaczyłam, że dochodzi z gabinetu Victorii.

- Zabieraj swoje brudne łapska z moich rzeczy! - wrzeszczała.

- Przykro mi, proszę pani, ale dostałem polecenie, żeby je spakować i wynieść poza teren Agencji - tłumaczył strażnik.

- Jak śmiesz! - wydarła się Victoria i wybiegła z gabinetu z naręczem lalek Barbie. - Jak śmiesz trzymać moje lalki za włosy?!

- Przepraszam, będę ostrożniejszy, ale muszą opuścić budynek. Razem z panią - odparł strażnik.

Courtney wyszła z kuchni i podeszła do mnie.

- Victoria zamierza odejść z Danielem. Powiedziała dziś rano Scottowi, że woli mieszkać we własnym samochodzie, niż pracować dla takiego beztalencia, jak on.

- Dalej, Victoria! - gwizdnęłam. - Nie sądziłam, że potrafi się tak postawić.

- Tak jest, dalej, Victoria! - dołączyła Talitha.

Obserwowałyśmy z rozbawieniem, jak Victoria wychodzi, obładowana swoimi małymi przyjaciółkami.

- Jeśli jeszcze raz dotkniesz mnie albo moich lalek, zabiję cię! - powiedziała, po czym wrzasnęła prosto w twarz Bogu ducha winnemu strażnikowi, zmuszając go, by się cofnął.

- Dobrze wiedzieć, że te pierwotne krzyki do czegoś się przydają, co? - zachichotała Talitha, kiedy zamknęły się drzwi za moją upiorną protektorką.

Nie mając nic więcej do roboty, poza dumaniem nad obecną sytuacją, zajrzałam do mojej skrzynki, żeby zobaczyć, co przysłał Jason. Pewnie kolejne żałosne przeprosiny. W zasadzie dobrze by mi zrobiły. Nie byłam na tyle szlachetna, żeby nie chcieć się na nim odegrać. Jednak to, co przeczytałam, było warte znacznie więcej niż przeprosiny:

DO: SCOTTA WAGNERA  
CC: ELIZABETH MILLER  
OD: JASONA F. BLUMA

TEMAT: REPREZENTACJA

Scott,

Milo Cię było poznać wczoraj wieczorem. Dziękuję, że poświęciłeś mi czas w tak delikatnym dla Ciebie momencie. Bardzo to doceniam.

Chciałbym potwierdzić moją decyzję pozostania z Agencją i Twoim klientem. Nie zamierzam odejść z Danielem do jego nowej kompanii. Moja decyzja jest, jak wspominałem wcześniej, podyktowana wyłącznie lojalnością i szacunkiem do Twojej pracownicy, Elizabeth Miller. Dotychczasowe kontakty z nią utwierdziły mnie w przekonaniu, że jest niezwykle inspirującą, pracowitą i wspaniałą osobą. Rezygnacja z jej profesjonalnego doradztwa oznaczałaby dużą szkodę dla mojej kariery.

Dlatego też żywię nadzieję, że począwszy od dziś, Agencja zgodzi się reprezentować mnie jako scenarzystę i reżysera.

Z poważaniem  
Jason Blum

Ha! Ogarnęła mnie ogromna wdzięczność dla Jasona. Chwyciłam za telefon i zadzwoniłam do niego na komórkę.

- Zapewne dzwoni Scott Wagner albo Elizabeth Miller - zaprogramował sobie telefony Agencji, prawdopodobnie po to, żeby mógł bez przeszkód dzwonić do Daniela. - Tak czy siak, znam ten numer.

- Mówi Lizzie - uśmiechnęłam się.

- Wiedziałem, że to ty, kochanie.

Kochanie? Rozmawiałam z całkiem nowym, bardzo niejasonowym Jasonem.

- Co porabiasz? Jesteś zajęty? - spytałam, zastanawiając się, czy nie jest przypadkiem w Revolution, na spotkaniu produkcyjnym.

- Siedzę sobie w fantastycznym salonie odnowy. Szkoda, że musisz pracować. Mogłabyś do mnie dołączyć.

- No, no, nie spoufalaj się, koleś - ostrzegłam. - Dzwonię tylko, żeby ci podziękować za wysłanie tego e-maila do Scotta. To bardzo miłe z twojej strony.

- No wiesz, musiałem się jakoś zrehabilitować po tym, co ci zrobiłem. - Słyszałam w tle pluskanie wody i wybuchy kobiecego śmiechu. - Dobrze wiemy, jak kończą ci, co z tobą zaczynają.

- Mógłbyś mniej więcej powiedzieć, co masz na myśli?

- Popatrz na Daniela Rosena. Zrobił jeden malutki interes za twoimi plecami i zaraz pojawili się Jeźdźcy Apokalipsy, mszcząc się na nim w twoim imieniu - roześmiał się Jason.

- Dramatyzujesz, Jason - potrząsnęłam głową i westchnęłam. - Ale podoba mi się to.

- Powiedz, co się z tobą stanie po tych wszystkich przetasowaniach?

Chociaż bardzo dobrze to ukrywał, wiedziałam, że jednocześnie zajmuje się czymś zgoła innym.

- Pewnie nic. To znaczy, przeniosę się na czwarte piętro. Scott będzie prezesem, a reszta zapewne nie zmieni się zbytnio, nie sądzisz?

Nie miałam jeszcze czasu, by zastanowić się nad wydarzeniami dzisiejszego dnia, a tym bardziej przewidzieć, co się z nami wszystkimi stanie. Awans Courtney na młodszego agenta był jednak dość zachęcający. Jeśli ona się załapała, dla mnie też była jakaś nadzieja.

- Chyba sobie żartujesz, Lizzie. Wysłałem ten e-mail, żeby Scott się dowiedział, jaka jesteś wspaniała. Poza tym, musi docenić, że dzięki tobie Agencja zyskała dodatkowy trzymilionowy kontrakt i... cóż, nie chcę wyjść na zarozumialca, ale wedle dzisiejszego „Entertainment Weekly”, jestem jednym z najbardziej pożądanym

talentów w Hollywood. Spielbergiem przyszłości. Scott powinien być ci wdzięczny, że z nim zostałem.

- Jason, tak niewiele czasu minęło, a ty już zmieniłeś się w zadufka - roześmiałam się. - Rzeczywiście tak **0** tobie napisali w „Entertainment Weekly”?

- O tak. I jeszcze parę innych rzeczy. Powiem ci tyle, że jestem kimś, kogo tu nazywają „prestizowym klientem”. Fakt, że zostałem ze Scottem, a nie z Danielem, sprawił, że Agencja stała się najbardziej popularnym miejscem w całym tym biznesie. Za mną pójda inni. - Roześmiał się gardłowo.

Wiedziałam, że w gruncie rzeczy ma rację.

- No dobrze. Skoro już jesteś takim rockandrollowcem, lepiej zajmij się tą panienką, którą masz w kąpiele. Zadzwoń później, żebyś mógł opowiadać w wywiadach, jak to wciąż utrzymujesz kontakt z dawnymi przyjaciółmi i w ogóle się nie zmieniłeś.

- Kochanie, zabiorę cię do EOrangerie na najlepszy suflet czekoladowy, jaki kiedykolwiek jadłaś - powiedział. - Całusy z Zachodu, OK?

- OK - powiedziałam i Jason się rozłączył.

Miałam przecucie, że w przyszłości stanie się moim najbardziej zabawnym znajomym. Zarzucił powyciągane swetry, zdążył się obeznać z hollywoodzkim slangiem **1** drogimi restauracjami. W jacuzzi też na pewno nie był sam. Zawsze uważałam go za słodkiego i miłego w objęściu faceta, ale nie mogłam też zaprzepaścić znajomości z bogatym, sławnym, wpływowym i wziętym Jasonem, zdobywcą Oscarów. Ominęłaby mnie prawdziwa zabawa.

Weszłam na stronę „Hollywood Reporter”, żeby sprawdzić, czy napisano już coś o naszym przejęciu. Embargo na informacje było wciąż aktualne, ponieważ nigdzie nie dopatrzyłam się nawet najmniejszej wzmianki o Agencji. Wiedziałam, że dzisiejsze wydarzenia wywołają niezłe zamieszanie w przemyśle rozrywkowym. Była to sprawa, o której „Vanity Fair” napisze pewnego dnia obszerny reportaż. Przedstawia

Agencję jako legowisko żmij, a potem zaczną się rozwozić nad konstelacją gwiazd, które obsługujemy, kto trzyma z kim i jaka rzeź osobowości miała miejsce tego dnia.

Pomyślałam o moim udziale w tych historycznych zdarzeniach. A przecież byłam tak samo nieświadoma szykującego się przejęcia firmy, jak wszystkich innych rzeczy. Podejrzewałam jednak, że jeśli znajdę się jeszcze kiedyś w podobnej sytuacji, to z obecną wiedzą będę sprytniejsza. Z pewnością nie pozwolę, aby upiekło się kreaturom pokroju Ryana. Zwłaszcza jeżeli zastanę kogoś takiego w gabinecie mojego szefa, grzebiącego w szafce z dokumentami. Następnym razem przytrzasnę mu drzwiczkami głowę. Poradzę sobie nawet z harpiami i wykorzystywaczkami w stylu Victorii, jeśli takowe kiedykolwiek pojawią się w moim życiu. Poza tym, po sukcesie, jaki odnieśli *Zakochani seksolicy*, zyskałam pewność siebie. Potrafiłam dostrzec dobry materiał na film.

Spojrzałam na zegarek w komputerze. Jeszcze godzina do spotkania w sali konferencyjnej. Nie mogłam się doczekać, kiedy Scott i Katherine, nowi kapitanowie naszego statku, wyjaśnią najnowszą sytuację. Ciekawe, czy Scott ogoli się na tę okazję.

Postanowiłam wziąć sobie dietetyczną colę z kuchni. Teraz, gdy Daniela już tu nie było, mogliśmy zaszaleć i stawiać napoje w lodówce, jak się nam żywnie podobało, niekoniecznie naklejkami do przodu. Wstałam i w tej samej chwili zadzwonił telefon.

- Lizzie.

- Scott?

- Jak ci leci tam na dole, Lizzie - O?

Pochlebiło mi, że w środku niewątpliwego chaosu Scott znalazł czas, żeby sobie o mnie przypomnieć.

- Chciałbym, żebyś odwiedziła mnie na górze i dostroiła mój ekran - powiedział. Mogłam się domyślić, że nie zamierza poinformować swojej drugiej asystentki (z którą nie sypiał) o rozwoju sytuacji.

- Jasne. Będę za chwilę. Gdzie dokładnie jesteś?

- W moim nowym biurze.

Scott był skazany na sukces. Nawet przez chwilę nie przyszłoby mu do głowy, by nazwać to miejsce „starym gabinetem Daniela”. Musiałby wtedy przyznać, że kiedyś pracował tu jego były szef. W nowych okolicznościach jednak Daniel Rosen mógł równie dobrze w ogóle nie istnieć. Żeby odnieść sukces w świecie Myszk i Mickey, trzeba być bezwzględny.

- Zaraz tam będę - powiedziałam, zakładając, że Scott mówił o starym gabinecie Daniela. Chociaż za taką myśl powinna mnie aresztować umysłowa policja.

W drodze do lobby dostrzegłam drobną łysiejącą figurę, stojącą na zewnątrz budynku wśród tłumu dziennikarzy. W pierwszym momencie byłam przekonana, że wzrok mnie zawodzi. Ów człowiek wyglądał jak Daniel. Ruszyłam w kierunku wielkiego wazonu z kwiatami, stojącego na blacie recepcji, i przyjrzałam się mu uważniej przez szklane drzwi. To był Daniel. Mówił coś, gestykulując do mikrofonu, spoglądając prosto w kamerę. Wiedziałam, że wciska dziennikarzom mnóstwo kitu o przyjacielskim rozstaniu i eksploracji nowych obszarów biznesu. Nie dało się jednak ukryć, że dziś wyglądał starzej i drobniej niż zazwyczaj. Prawdopodobnie dlatego, że odarto go z władzy. Garnitur był ten sam, zachowanie pozornie również. Wyglądał całkiem normalnie. Miałam ochotę rzucić orzeszkami w jego lśniącą łysinę, ale na szczęście dla niego przed chwilą pożarłam ostatnią paczkę. Ruszyłam na górę, do gabinetu Scotta.

Jadąc windą, zastanawiałam się, jaką powierzy mi teraz rolę. Oczywiście, oprócz strojenia ekranu ciekłokrystalicznego. Czyżby Jason miał rację? Czy czekają mnie jakieś nowe wyzwania? Na nic nie liczyłam, ale byłoby miło, gdybym otrzymała chociaż częściową rekompensatę za to, co straciłam z powodu zagrywki Jasona.

- Lizzie, wejdz proszę.

Wysłałam z lśniącej windy i stanęłam na terenie czwartego piętra. Scott czekał w otwartych drzwiach na



końcu korytarza. Wszystkie antyki Daniela zniknęły, zamiast obrazów Stubsa i rzędów oprawnych w czerwoną skórę książek pojawiła się maszyna do gry w „Space Invaders”, szafa grająca i ogromny ekran, który kiedyś wisiał na ścianie u Scotta.

- Co myślisz?

- Myślę, że będzie świetnie - powiedziałam szczerze, mijając rządę skrytych za szklanymi drzwiami biur i zastanawiając się, kto w nich będzie pracował. Na drugim końcu korytarza dostrzegłam Katherine w cudownym karmelowym kostiumie, ustawiającą na biurku bukiet storczyków. Jej pokój był dosłownie zapchany gratulacyjnymi koszami kwiatów. Dzięki jej awansowi cena lilii na rynku musiała skoczyć pod sufit. Podejrzewałam, że Scott i Katherine będą stanowili bardzo dynamiczny duet i szczerze się cieszyłam na współpracę z nimi. W pewnym zakresie uprawnień, oczywiście.

- Chodź, Lizzie - krzyknął Scott na cały korytarz. - Jest tutaj. Ma trochę rozmazany obraz.

- Nie masz jakiegoś elektryka albo kogoś w tym rodzaju, kto mógłby rozwiązać ten problem? - spytałam, podchodząc do pęku zwisających z ekranu kabli.

- Nie ufam nikomu tak, jak tobie - powiedział, testując jednocześnie jazdę na fotelu po parkiecie nowego gabinetu. Jestem przekonana, że już choćby dla świszczącego odgłosu kółek toczących się po drewnianych klepkach Scott nie zawahałby się przed przejęciem.

- Tak przy okazji, moje gratulacje - powiedziałam, regulując antenę, aż na ekranie pojawił się obraz jak żyletka. - Nie znam szczegółów przejęcia, ale mam wrażenie, że szykują się zmiany na lepsze.

Scott wjechał za biurko, złożył dłonie i położył je na znajomym blacie z drzewa wiśniowego.

- Możesz zamknąć drzwi, Elizabeth? - Nagle zmienił się w szefa niezwykle wpływowej firmy hollywoodzkiej. - Usiądź.

- Dziękuję.

Wszystko to aż za dobrze przypominało mój mały epizod z wyrzucaniem mnie z pracy. Przystawiłam sobie bliżej krzesło i usiadłam.

- No dobrze, Elizabeth, sprawa jest następująca - przerwał na chwilę. - Agencja bardzo docenia to, co robisz.

- Cieszę się.

- Dziś rano dostałem e-maila od Jasona Bluma. Dzięki tobie nasza firma ma okazję współpracować z nowym utalentowanym reżyserem.

- Hmm... nie jestem pewna, czy to moja zasługa - powiedziała skromnie.

- Nie wciskaj kitu, Szerloku. - Jego głos wypełnił na wpół umeblowany pokój. - Masz dobry gust. Masz dobre oko. Za kilka lat dzięki twojemu talentowi będziemy mogli zapisać na swoim koncie kilka nowych Oscarów.

- Scott, naprawdę myślę, że to trochę przedwczesne spekulacje, ale mimo wszystko dziękuję. - Nie chciałam okazywać niewdzięczności za jego pochwalne słowa.

- Poza tym, założę się, że zarobimy na karierze Jasona niezły grosz.

- Prawdopodobnie masz rację.

- Znasz mnie, Lizzie, jestem uczciwym facetem - zaśmiał się. - Przez większość czasu.

- Cóż, nie rzuciłeś jeszcze we mnie talią kart, uważam więc, że jesteś w porządku.

Wzruszyłam ramionami z uśmiechem. Ku mojemu zażenowaniu, nie roześmiał się z żartu. Po prostu kontynuował, jakbym się w ogóle nie odezwała.

- Jestem uczciwym gościem i uważam, że lojalność pracowników należy nagradzać. Jeśli chodzi o ciebie, Lizzie - wskazał na mnie w sposób, w jaki trener pokazuje na swojego czołowego zawodnika - ty jesteś kimś szczególnym. Naraziłaś dla mnie swoją karierę. Byłaś dobrą przyjaciółką dla Lary, która, wiem to doskonale, nie jest wcieleniem łagodności.. Pracowałaś bardzo ciężko i zwerbowałaś dla Agencji nowy talent. Nie wiem, jakim cudem się tu znalazłaś - (nie zamierzałam

w tym momencie opowiadać Scottowi o Danielu) - ale jestem szczęśliwy, że los przywiódł cię do moich drzwi. - Przerwał na chwilę.

„Dalej, Scottie!”, pomyślałam bez tchu.

- Ja również cieszę się, że mogę z tobą pracować - zapewniłam go.

- Chciałem powiedzieć, że wierzę w dobroczynność nagród, dlatego mam dla ciebie propozycję, Lizzie. - Nagle wyprostował się w fotelu i uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Tak? - Czułam łaskotanie w palcach u stóp. Przez moją głowę przebiegały tysiące myśli, żadna nie zagrzewając dłużej miejsca.

- Tak. - Pochylił się do przodu i spojrzał mi prosto w oczy.

Usiadłam sztywno, szykując się na to, co za chwilę miał mi zaproponować.

- Poza wszystkim, co powiedziałem, bardzo cię lubię, Lizzie. Świetna z ciebie dziewczyna. Masz dobrze w głowie, a przy okazji przyjemnie na ciebie popatrzeć - mrugnął.

Dział zatrudnienia byłby zachwycony tym komentarzem, pomyślałam.

- Lizzie?

- Tak, Scott?

- Jak wiesz, w moim biurze nastąpiły pewne przetasowania.

- T a k ?

- Dlatego bardzo, bardzo byłbym szczęśliwy, gdybyś zgodziła się dla mnie pracować.

Wstrzymałam oddech i zamrugałam.

- Tak?

- Jako moja pierwsza asystentka.